

Fantasy

BEZBRONNE IMPERIUM



TERRY GOODKIND

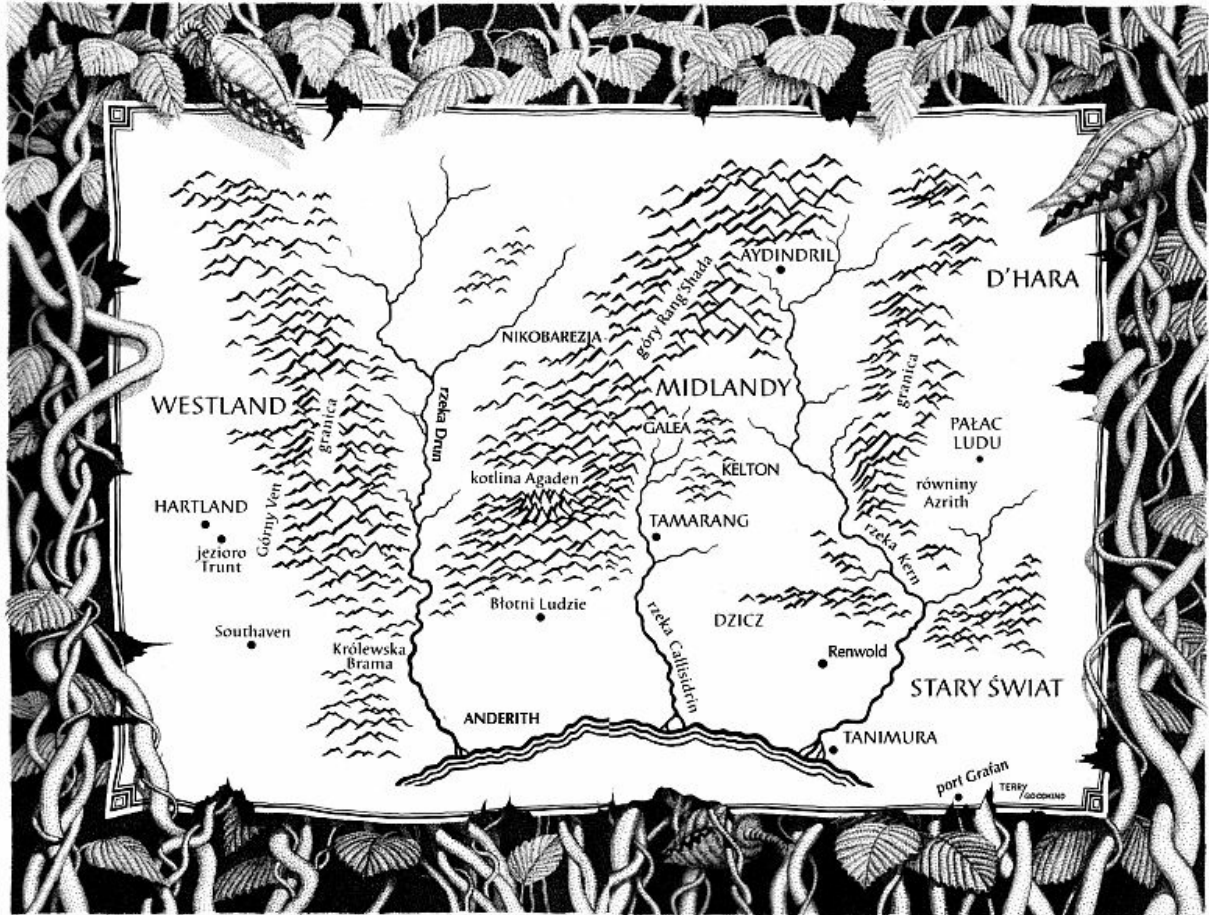
Terry Goodkind

Bezbronne imperium

Tom VIII serii

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS



*Tomowi Doherty,
Zawsze zwyciężającemu w walce dobra ze złem*

ROZDZIAŁ 1

- Wiedziałaś, że tam były, nieprawdaż? - spytała cicho, pochylając się ku niemu.

Z trudem dostrzegła na tle ciemniejącego nieba sylwetki trzech czarnosternych chyżolotów, wzbijających się w powietrze i wyruszających na nocne łowy. To dlatego się zatrzymał. I to właśnie je obserwował, podczas gdy reszta kompanii czekała, milcząca i zaniepokojona.

- Tak - odparł Richard. Wskazał przez ramię, nie patrząc w tamtą stronę.
- A tam są jeszcze dwa.

Kahlan zbadała wzrokiem ciemną gmatwaninę skał, ale nie dostrzegła innych ptaków.

Richard ujął w palce srebrną głowicę rękojeści i nieco uniósł miecz, sprawdzając, czy luźno siedzi w pochwie. Ostatni promień bursztynowego światła zaigrał na jego złocistej pelerynie, kiedy pozwolił mieczowi opaść. Jego znajoma, wysoka, mocarna sylwetka wyglądała w zapadającym zmierzchu, jakby była jedynie utkaną z cieni zjawą.

I właśnie wtedy ponad ich głowami przemknęły dwa wielkie ptaki. Jeden z nich, szeroko rozpościerając skrzydła, krzyknął przenikliwie i zatoczył krąg nad pięciorgiem ludzi, a potem ruszył za lecącymi na zachód towarzyszami.

Tej nocy nie zabraknie im pożywienia.

Kahlan przypuszczała, że obserwujący ptaki Richard myśli o swoim przyrodnim bracie, o którego istnieniu dopiero co się dowiedział. Ów brat spoczywał teraz o dzień ciężkiej drogi na zachód, w miejscu tak palonym promieniami słońca, że niewielu ludzi się tam zapuszczało. A jeszcze mniej stamtąd wracało. I straszliwy skwar wcale nie był największym z zagrożeń.

Gasnące światło rysowało za tymi wymarłymi równinami sylwetkę odległego pierścienia gór, sprawiając, że wyglądały jak zwęglone w płomieniach zaświatów. Pięć ptaków - mroczniejących jak owe góry, jak one nieprzejednanych i niebezpiecznych - ścigało znikające światło.

Jennsen, stojąca najdalej od Richarda, patrzyła za nimi ze zdumieniem.

- A cóż to, u licha...?

- Czarnosterne chyżoloty - odparł Richard.

Jennsen zadumała się nad obcą sobie nazwą.

- Często przyglądałam się jastrzębiom, sokołom i innym takim - powiedziała w końcu - ale nigdy nie widziałam polujących nocą ptaków drapieżnych, poza, oczywiście, sowami. A to nie są sowy.

Richard przyglądał się chyzolotom, odruchowo zbierając kamyki z kruszącej się skałki, przy której stał. Potrząsał nimi w luźno zamkniętej dłoni.

- I ja zobaczyłem je dopiero tutaj. Ludzie mówili nam, że pojawiają się ledwie od roku lub dwóch. Lecz wszyscy zgodnie twierdzili, że wcześniej nigdy nie widywali chyzolotów.

- Parę ostatnich lat... - zastanowiła się Jennsen.

Kahlan, niemal wbrew swojej woli, zaczęła sobie przypominać opowieści, które im powtarzano, pogłoski, szeptane zapewnienia.

- Sądzę, że są spokrewnione z sokołami. - Richard rzucił kamyki na zlepieńcowy szlak.

Jennsen w końcu przykucnęła, żeby pocieszyć tulącą się do jej spódnicy brązową kózkę Betty.

- To nie mogą być sokoły. - Małe, białe bliźnięta Betty, zwykle brykające, ssące mleko lub śpiące, teraz w milczeniu wtuliły się pod krągły brzuch matki. - Są za duże na sokoły, większe niż jastrzębie, większe niż orły przednie. Żaden sokół nie jest taki wielki.

Richard oderwał wreszcie gniewny wzrok od ptaków i pochylił się, żeby pomóc ukoić trzęsące się bliźnięta. Jedno z nich, łaknące pocieszenia, zerknęło nań niespokojnie, wysunęło różowy języczek i dopiero potem postawiło na dłoni chłopaka małe czarne kopytko. Richard gładził kciukiem porośniętą białą sierścią chudziutką nóżkę. Uśmiech złagodził jego rysy i głos.

- Czy to oznacza, że wolisz zignorować to, co właśnie ujrzałaś?

Jennsen głaskała oklapnięte uszy Betty.

- Coś mi się widzi, że zjeżone włosy na moim karku wierzą w to, co widziałam.

Richard oparł rękę na kolanie i spojrzał ku ponuremu horyzontowi.

- Chyzoloty mają smukłe sylwetki, krągłe głowy i długie, ostro zakończone skrzydła, podobnie jak wszystkie sokoły, które widywałem. Często rozkładają wachlarzowato ogony, kiedy szybują, lecz nigdy w locie.

Jennsen skinęła głową, rozpoznając wymienione przez niego charakterystyczne cechy. Tymczasem dla Kahlan ptak to był ptak. Jednak te - z czerwonymi pręgami na piersi i szkarłatnymi u nasady lotek - nauczyła się rozpoznawać.

- Są szybkie, silne i agresywne - dodał chłopak. - Widziałem, jak jeden z nich z łatwością dogonił sokoła stepowego i pochwycił w szpony.

Jennsen aż zaniemówiła z wrażenia.

Richard dorastał w bezkresnych lasach Westlandu i był leśnym przewodnikiem. Wiele wiedział o przyrodzie, o zwierzętach, o życiu pod gołym niebem. Takie wychowanie wydawało się osobliwe Kahlan, dorastającej w pałacu w Midlandach. Uwielbiała uczyć się od Richarda o przyrodzie, uwielbiała wspólnie z nim zachwycać się cudami świata i życia. Rzecz jasna, już dawno stał się kimś więcej niż leśnym przewodnikiem. Zdawało się, że wieki minęły od pierwszego spotkania z Richardem w tych jego lasach - a przecież było to zaledwie nieco więcej niż dwa i pół roku temu.

Teraz zaś znajdowali się daleko od rodzinnych domów - wytwornego Kahlan i skromnego Richarda. Gdyby mogli, wybraliby każde inne miejsce niż to. No, ale przynajmniej byli razem.

Po tym wszystkim, czego wspólnie z Richardem doświadczyli - niebezpieczeństwach, niepokoju, bólu po stracie przyjaciół i bliskich - Kahlan z całego serca radowała się każdą spędzoną z nim chwilą, niechby i w samym sercu ziem wroga.

Teraz zaś dowiedzieli się nie tylko o istnieniu przyrodniego brata Richarda, ale i jego przyrodniej siostry, Jennsen. Z tego, co usłyszeli od wczorajszego spotkania, wynikało, że i ona dorastała w lasach. Szczera radość Jennsen z bliskiego pokrewieństwa z osobą, z którą miała tak wiele wspólnego, radowała serce. Jej ogromne zaciekawienie Kahlan i dzieciństwem dziewczyny w Pałacu Spowiedniczek w odległym Aydindril przewyższała jedynie fascynacja dopiero co poznanym starszym bratem.

Jennsen miała inną matkę niż Richard, lecz oboje spłodził ten sam okrutny tyran, Rahl Posępny. Była młodsza, niedawno skończyła dwadzieścia lat, miała błękitne jak niebo oczy i sięgające ramion rude loki. Odziedziczyła po Rahlu Posępnym okrutnie nieskazitelne rysy, lecz matczyna spuścizna i prostolinijność przydały im zachwycającej kobiecości.

Drapieżne spojrzenie Richarda zaświadczało o ojcostwie Rahla, ale wyraz jego twarzy, poglądy i charakter, tak dobrze widoczne w szarych oczach, były już wyłącznie jego.

- Widywałam sokoły rozszarpujące małe zwierzęta - powiedziała Jennsen. - I wcale nie zachwyca mnie myśl o takim wielkim sokole, a tym bardziej o pięciu równocześnie.

Jej kózka, Betty, najwyraźniej podzielała zdanie swojej pani.

- Będziemy kolejno czuwać nocą - uspokoiła ją Kahlan. Sokoły nie były jedynym powodem niepokoju Jennsen, lecz te słowa wystarczyły.

Ze znajdujących się wokół jałowych skał, w niesamowitej ciszy, bił żar. Mieli za sobą całodzienną ciężką drogę ze środka doliny i przez otaczające ją równiny, lecz żadne z nich nie skarżyło się na szaleńcze tempo. Straszliwy skwar sprawił jednak, że Kahlan okropnie bolała głowa. Była przeraźliwie zmęczona, ale wiedziała, że w ostatnich dniach Richard miał jeszcze mniej snu i wypoczynku niż oni. W jego spojrzeniu i ruchach czytała wyczerpanie.

Wtem Kahlan uświadomiła sobie, co ją tak denerwuje: cisza. Nie było słychać szczekania kojotów, nie dochodziło z oddali wycie wilków, nie trzepotały skrzydła nietoperzy, nie szeleściły szopy, żadnych odgłosów norników, nawet najcichszego brzęczenia owadów. Przedtem takie milczenie żywych istot zapowiadało niebezpieczeństwo. Teraz zaś było tak przeraźliwie cicho, ponieważ nie mieszkało tu żadne stworzenie - ani kojoty, ani wilki, ani nietoperze, ani myszy, ani owady. W te jałowe okolice prawie nigdy nie zapuszczały się nawet pojedyncze zwierzęta. Noc była tutaj równie milcząca jak gwiazdy.

Przytłaczająca cisza sprawiła, że mimo skwaru Kahlan wstrząsnął zimny dreszcz. Ponownie spojrzała na chyzoloty, ledwie widoczne na tle fioletowego zachodniego nieba. I one nie pozostaną długo na tym pustkowiu, które nie jest ich domem.

- Spotkanie z takim groźnym stworzeniem, gdy nawet nie wie się o jego istnieniu, trochę działa na nerwy - stwierdziła Jennsen, otarła rękawem pot z czoła i zmieniła temat. - Słyszałam, że kiedy u początku podróży zakotuje nad tobą drapieżny ptak, oznacza to ostrzeżenie.

Cara, do tej pory milcząca, wychyliła się ku niej zza Kahlan.

- Niech no się tylko znajdę wystarczająco blisko, a powyrywam ptaszyskom te ich paskudne piórka. - Jej długie blond włosy splecione były w

tradycyjny warkocz Mord-Sith, miała zdecydowaną minę. - I wtedy się przekonamy, co z nich za omen.

Gniewne spojrzenie Cary stawało się równie mroczne jak chyżoloty, ilekroć widziała wielkie ptaki. A spowijające ją od stóp do głów ochronne szaty z cieniutkiej czarnej tkaniny - wszyscy, oprócz Richarda, byli tak odziani - sprawiały, że wyglądała jeszcze groźniej niż zwykle. Kiedy Richard nieoczekiwanie odziedziczył władzę, odkrył ku swemu zdumieniu, że Cara i jej siostry Mord-Sith stanowią część dziedzictwa.

Richard oddał małe, białe koźlątko czujnej matce, wstał i zatknął kciuki za skórzany pas. Szerokie, podbite skórą srebrne obręcze - ozdobione dziwnymi symbolami i splecionymi pierścieniami - na jego nadgarstkach zdawały się skupiać i odbijać resztki dziennego światła.

- Kiedyś u początku podróży zatoczył nade mną krąg jastrzęb.

- I co się stało? - zapytała żywo Jennsen, jakby jego odpowiedź mogła raz na zawsze rozstrzygnąć o prawdziwości starego przesądu.

- Skończyło się tak, że poślubiłem Kahlan - odparł z szerokim uśmiechem.

Cara skrzyżowała ramiona na piersi.

- Czyli było to ostrzeżenie dla Matki Spowiedniczki, a nie dla ciebie, lordzie Rahlu.

Ramię Richarda czule otoczyło talię Kahlan. Uśmiechnęła się do niego i przytuliła. To, że za sprawą owej podróży stali się małżeństwem, zadziwiało bardziej niż wszystko, o czym kiedykolwiek ośmielała się marzyć. Podobne jej kobiety - Spowiedniczki - nie śmiały marzyć o miłości. Ona - dzięki Richardowi - się ośmieliła i jej marzenie się spełniło.

Kahlan zadrżała, wspomniawszy straszliwe chwile, kiedy bała się, że on nie żyje lub że spotkał go jeszcze gorszy los. Tak wiele razy boleśnie tęskniła za nim, za czułym dotknięciem lub choćby świadomością, że jest bezpieczny.

Jennsen popatrzyła na Richarda i Kahlan i przekonała się, że oboje potraktowali słowa Cary jak żartobliwe docinki. Kahlan przypuszczała, że dla obcych - a już zwłaszcza dla kogoś z D'Hary - kpiny Cary z Richarda są nie do pojęcia; strażnicy nie drocą się ze swymi panami, szczególnie gdy owym panem jest lord Rahl, władca D'Hary.

Mord-Sith zawsze miały obowiązek chronić lorda Rahla, nawet za cenę własnego życia. Zuchwałość Cary wobec Richarda w przewrotny sposób była

fetowaniem wolności, hołdem składanym temu, który tę wolność jej zagwarantował.

Mord-Sith z własnej woli postanowiły być gwardią przyboczną Richarda. I nie zostawiły mu wyboru. Często nie zwracały uwagi na jego rozkazy, chyba że same uznały je za ważne. W końcu mogły się teraz bez przeszkód zajmować tym, co miało dla nich znaczenie - a dla Mord-Sith nic nie było ważniejsze od bezpieczeństwa Richarda.

Cara, nieustannie towarzysząca im strażniczka, stała się z czasem członkiem rodziny. A teraz ta rodzina nieoczekiwanie się powiększyła.

Co do Jennsen, to nie mogła wyjść z podziwu, że została tak mile przyjęta. Z tego, czego się zdołali dowiedzieć, wynikało, że dziewczyna dorastała, stale się kryjąc. Żyła w nieprzemijającym strachu, że poprzedni lord Rahl, jej ojciec, w końcu odnajdzie ją i zamorduje, jak mordował każdego pozbawionego daru potomka, którego udało mu się odnaleźć.

Richard dał znak Tomowi i Friedrichowi, trzymającym się w tyle z wozem, że zatrzymają się na noc. Tom w odpowiedzi uniósł rękę i zabrał się do wyprzęgania koni.

Jennsen, nie mogąc już dostrzec chyżolotów na tle czerni zachodniego nieba, odezwała się do Richarda:

- Zakładam, że ich pióra mają czarne końcówki.

Zanim Richard zdołał coś odpowiedzieć, Cara rzekła jedwabistym, pełnym groźby głosem:

- Wyglądają, jakby sama śmierć skapywała z czubków ich piór, jakby Opiekun zaświatów pisał ich ohydnyymi piórami wyroki śmierci.

Mord-Sith nie cierpiała widoku tych ptaszysk w pobliżu Richarda czy Kahlan. A Kahlan podzielała jej odczucia.

Jennsen odwróciła wzrok od zapalczywej miny Cary. Znów zwróciła się do Richarda:

- Czy one... przysparzają wam kłopotów?

Kahlan, w której to pytanie na nowo obudziło lęk, przycisnęła pięść do brzucha.

Richard spojrział w zaniepokojone oczy Jennsen.

- Chyżoloty nas śledzą.

ROZDZIAŁ 2

- Co takiego? - Jennsen zmarszczyła brwi.

Richard wskazał na siebie i Kahlan.

- Chyżoloty nas śledzą.

- Chcesz powiedzieć, że poleciały za wami na to pustkowie i obserwują was, czekając, aż umrzecie z pragnienia, żeby mogły do czysta oskubać wasze kości?

- Nie. - Richard z wolna potrząsnął głową. - Chcę powiedzieć, że lecą za nami, pilnując, gdzie w danej chwili jesteśmy.

- Nie rozumiem. Skąd możesz wiedzieć...

- My to wiemy - burknęła Cara. Jej kształtna postać była równie smukła i groźna jak same chyżoloty, a czarny strój nomadów, którzy czasami wędrowali skrajem tej rozległej pustyni, nadawał jej równie ponury wygląd.

Richard dotknął ramienia Mord-Sith, łagodnie ją tym uciszając, i podjął:

- Zajmowaliśmy się tą sprawą, kiedy Friedrich nas odnalazł i opowiedział nam o tobie.

Jennsen obejrzała się na dwóch mężczyzn przy wozie. Ostry sierp księżycy, płynący nad odległymi czarnymi górami, dawał akurat tyle światła, by Kahlan dostrzegła, że Tom zdejmuje postronki wielkim pociągowym koniom, Friedrich zaś rozkulbacza pozostałe.

Jennsen znów spojrzała Richardowi w oczy.

- Czegoście się zdołali dowiedzieć?

- Nie mieliśmy okazji dowiedzieć się zbyt wiele. Oba, nasz brat przyrodni, skierował naszą uwagę na coś innego, usiłując nas zabić. A teraz sam leży tam martwy. - Richard odczepił od pasa bukłak. - Ale chyżoloty dalej nas obserwują.

Podał Kahlan bukłak, bo zostawiła swój przy siodle. Nie zatrzymywali się od wielu godzin. Była zmęczona jazdą i wyczerpana marszem, kiedy musieli dać odpocząć koniom. Uniosła bukłak do ust i ponownie się przekonała, jak paskudny smak ma gorąca woda. No, ale przynajmniej mieli wodę. Bo bez wody śmierć szybko by ich dopadła na tym rozpalonym, bezkresnym, jałowym pustkowie otaczającym opuszczone miejsce zwane Filarami Świata.

Jennsen zsunęła z ramienia ramię z bukłakiem i z wahaniem powiedziała:

- Wiem, że łatwo jest opacznie coś pojąć. Patrzcie, jak mnie podstępnie przekonano, że chcesz mnie zabić, tak jak przedtem Rahl Posępny. Naprawdę w to wierzyłam i tak wiele rzeczy zdawało się o tym świadczyć, a przecież ogromnie się myliłam. Chyba tak się bałam, że to prawda, że aż w to uwierzyłam.

Richard i Kahlan wiedzieli, że to nie była wina Jennsen - że to inni poprzez nią chcieli dopaść Richarda - lecz zmarnowali przez to cenny czas.

Jennsen łyknęła wody. Krzywiąc się na jej smak, wskazała bukłakiem jałową pustynię za nimi.

- Chodzi mi o to, że tam właściwie nic nie żyje. Może chyzoloty po prostu są głodne i zwyczajnie czekają, czy aby nie umrzecie, no a skoro tak patrzą i czekają, to zaczęliście się w tym dopatrywać czegoś więcej. - Spojrzała niewinnie na Richarda i uśmiechnęła się doń, jakby chciała złagodzić to napomnienie. - Może tylko o to chodzi.

- Wcale nie chcą się przekonać, czy tu umrzemy - odezwała się Kahlan, pragnąc zakończyć tę dyskusję, żeby Richard mógł się trochę przespać i żeby mogli coś zjeść. - Obserwowały nas, zanim tu dotarliśmy. Obserwowały nas, od kiedy znaleźliśmy się w lasach na północnym wschodzie. No, a teraz coś zjedzmy i...

- Ale dlaczego? Ptaki się tak nie zachowują. Czemu by miały to robić?

- Uważam, że tropią nas dla kogoś - powiedział Richard. - A dokładniej, uważam, że ktoś je wykorzystuje do polowania na nas.

Kahlan znała w Midlandach różne osoby - od prostych ludzi mieszkających na pustkowiu do możnych mieszkających w wielkich miastach - które polowały z sokołami. Jednak to było coś zupełnie innego. Chociaż nie całkiem pojmowała, o co chodzi Richardowi, a jeszcze mniej rozumiała powody, które go o tym przekonały, to wiedziała, że nie miał na myśli tradycyjnego sensu tych słów.

Jennsen nagle coś sobie uświadomiła i przestała pić.

- To dlatego rzucałeś kamyki na oczyszczone przez wiatr odcinki szlaku.

Richard potwierdził uśmiechem. Wziął bukłak, który oddała mu Kahlan. Napił się, a Cara łyknęła na niego chmurnie.

- Rzucałeś kamyki na szlak? Po co?

Jennsen ochoczo za niego odpowiedziała:

- Wiatr zwiewa wszystko z nieosłoniętej skały. A on robił to po to, żeby kamyki rzucone na te odsłonięte miejsca zachręściły pod stopami tego, kto chciałby podejść w ciemności.

- Naprawdę? - Cara spojrzała pytająco na Richarda.

Wzruszył ramionami i podał jej bukłak, żeby nie musiała się dogrzebywać swojego pod pustynnym strojem.

- Takie dodatkowe zabezpieczenie, na wypadek gdyby ktoś był blisko i nie był dość uważny. Ludzie czasami nie spodziewają się najprostszych rzeczy i przez to wpadają.

- Ale nie ty - stwierdziła Jennsen, zawieszając bukłak na ramieniu. - Ty myślisz o najdrobniejszych szczegółach.

Richard zaśmiał się cicho.

- Jeśli sądzisz, Jennsen, że nie popełniam błędów, to się mylisz. Niebezpiecznie jest zakładać głupotę tych, którzy cię chcą skrzywdzić, i nie zaszkodzi rozrzucić trochę żwiru, na wypadek gdyby ktoś sobie myślał, że może się bezszelestnie podkraść nocą po wysmaganej wiatrem skale. - Zapatrzył się na zachodni horyzont, na którym gwiazdy jeszcze nie zabłysły, i z jego twarzy zniknęło rozbawienie. - Ale obawiam się, że rozrzucone na ziemi kamyki na nic się zdadzą przeciwko oczom patrzącym z ciemnego nieba. - Spojrzał na Jennsen i rozchmurzył się, jakby sobie przypomniał, że to do niej mówi. - Każdy popełnia błędy.

Cara otarła krople wody z szelmowsko uśmiechniętych ust i oddała Richardowi jego bukłak.

- Lord Rahl stale popełnia błędy, a zwłaszcza te najgłupsze. To dlatego ciągle muszę się trzymać blisko niego.

- Czyżby, panno perfekcjonistko? - zbeształ ją, odbierając bukłak. - Może gdybyś nie „pomagała” mi unikać kłopotów, to by nas nie śledziły czarnosterne chyżoloty.

- A cóż innego mogłam zrobić? - wybuchnęła Mord-Sith. - Staralam się chronić was obydwoje... starałam się pomóc. - Jej uśmiech zniknął. - Tak mi przykro, lordzie Rahlu.

Richard westchnął.

- Wiem - przyznał, uspokajająco ściskając jej ramię. - Coś wymyślimy. - Ponownie zwrócił się do Jennsen: - Każdy popełnia błędy. A o charakterze

osoby świadczy to, jak sobie z nimi radzi.

Dziewczyna zastanowiła się nad tym i potaknęła.

- Mama zawsze się bała, że popełni błąd, przez który umrzemy. Robiła coś takiego jak ty teraz, na wypadek gdyby ludzie ojca starali się do nas podkraść. Zawsze mieszkaliśmy w lasach, więc były to suche gałązki, a nie kamyki. Często je wokół nas rozrzucała. - Pociągnęła pukiel rudych włosów i zapatrzyła się w mroczne wspomnienia. - Padało tej nocy, której przyszli. Gdyby nastąpili na patyki, to by ich nie usłyszała. - Przesunęła drżącymi palcami po srebrnej rękojeści miecza zatkniętego za pas. - Byli wielcy i zaskoczyli ją, a i tak powaliła jednego, zanim...

Rahl Posepny chciał śmierci Jennsen, bo urodziła się pozbawiona daru. Wszyscy władcy z tej linii rodu zabijali takie potomstwo. Richard i Kahlan uważali, że każdy ma prawo do życia i że nie wolno go tego pozbawiać.

Jennsen popatrzyła na brata pełnymi udręki oczami.

- Powaliła jednego, zanim ją zabili.

Richard ją przytulił. Rozumieli, jaka to okrutna strata. Człowiek, który troskliwie wychował Richarda, zginął z rąk Rahla Posepnego. Rahl Posepny nakazał wymordować wszystkie Spowiedniczki. Lecz ci, którzy zabili matkę Jennsen, byli żołnierzami Imperialnego Ładu przysłanymi, żeby ją oszukać. Mieli zabić, by uwierzyła, że to Richard nastaje na jej życie.

Kahlan ogarnęła fala rozpaczliwej bezsilności. Wiedziała, jak to jest być samą, przerażoną, obezwładnioną przez silnych mężczyzn, żądnych krwi i niezachwianie przekonanych, że zbawienie ludzi wymaga rzezi.

- Wszystko bym dała, żeby się dowiedziała, że to nie ty nasłałeś tych ludzi. - Cichy głos Jennsen zdradzał, czym było doświadczenie takiej straty i przytłaczającej samotności, jaka z niej wyniknęła. - Tak bym chciała, żeby mama poznała prawdę, dowiedziała się, jacy naprawdę jesteście.

- Jest z dobrymi duchami, nareszcie spokojna - wyszeptała współczująco Kahlan, chociaż teraz miała powody wątpić w zasadność tego stwierdzenia.

Jennsen skinęła głową, otarła palcami policzek.

- Jaki błąd popełniłaś, Caro? - spytała w końcu.

Cara - wcale nie rozgniewana pytaniem zadany z tak niewinnym zrozumieniem - odpowiedziała spokojnie:

- To się łączy z owym małym problemem, o którym wcześniej wspomnieliśmy.

- Masz na myśli tę rzecz, której powinnam dotknąć?

Kahlan ujrzała w poświacie wąskiego sierpa księżyca, że Cara znów się nachmurzyła.

- I to im szybciej, tym lepiej.

Richard potarł palcami czoło.

- Nie jestem tego taki pewny.

Kahlan również uważała, że Cara zbyt to upraszcza. Mord-Sith wyrzuciła w górę ramiona.

- Ależ lordzie Rahlu, nie możemy tego tak zostawić...

- Rozbijmy obóz, zanim się zrobi za ciemno - spokojnie nakazał Richard.

- Teraz potrzebujemy strawy i snu.

Cara choć raz uznała, że jego polecenie jest sensowne, i nie sprzeciwiła się. Kiedy wcześniej samotnie wyruszył na zwiady, powiedziała Kahlan, że martwi się widocznym zmęczeniem Richarda, i dodała, że nie powinni go tej nocy budzić na wartę, skoro jest ich tylu.

- Sprawdź okolicę - oznajmiła Mord-Sith - i upewnię się, że żadne z tych ptaszysk nie siedzi na skale i nie gapi się na nas tymi czarnymi ślepiami.

Jennsen rozejrzała się, jakby się bała, że z ciemności mógłby nadlecieć jakiś czarnosterny chyżolot.

Richard skwitował zamierzenia Cary niedbałym potrząśnięciem głową.

- Na razie wszystkie odleciały.

- Mówiłeś, że was śledzą - odezwała się Jennsen, gładząc szyję Betty, trącającej ją nosem i szukającej pociechy. Bliźnięta nadal kryły się pod krągłym brzuchem matki. - Aż do tej pory ich nie zauważyłam. Nie było ich w pobliżu ani wczoraj, ani dzisiaj. Nie pokazywały się aż do tego wieczoru. Jeżeli naprawdę was śledzą, to nie powinny zniknąć na tak długo. Cały czas powinny się trzymać blisko was.

- Mogą nas zostawić na jakiś czas, żeby zapolować albo żebyśmy zaczęli wątpić w nasze podejrzenia co do ich zamiarów, no i łatwo nas odnaleźć nawet wtedy, gdybyśmy się nie zatrzymali. Oto przewaga, jaką mają czarnosterne chyżoloty: nie muszą nas bez przerwy obserwować.

Jennsen wsparła się pięściami pod boki.

- No, to jak, u licha, możecie być tacy pewni, że was śledzą? - Skinęła dłonią ku ciemności za plecami. - Często widujecie ten sam gatunek ptaków. Widzicie kruki, wróble, gęsi, zięby, kolibry, gołębie. Skąd wiecie, że to

właśnie czarnosterne chyzoloty was śledzą, a nie któreś z tych ptaków?

- Ja to wiem - rzekł Richard, odwracając się i ruszając ku wozowi. - Wypakujmy rzeczy i rozbijmy obóz.

Kahlan chwyciła Jennsen za ramię, gdy ta już miała pójść za Richardem i ponowić zastrzeżenia.

- Daj mu już spokój, Jennsen, dobrze? Przynajmniej w tej sprawie.

Kahlan była zupełnie pewna, że czarnosterne chyzoloty naprawdę ich śledzą, lecz tu nie chodziło o jej pewność co do tego. Ufała słowu Richarda w takich sprawach. Sama znała się na sprawach państwowych, etykietce, ceremonii i panowaniu. Poznała rozmaite kultury, genezę zadawnionych sporów między krainami, dzieje traktatów. Mówiła wieloma językami, w tym i pokrętną mową dyplomatyczną. W takich sprawach to Richard polegał na jej słowie.

Jednak w przypadku tak dziwnym jak śledzące ich ptaszyska nie zamierzała kwestionować zdania Richarda.

Kahlan wiedziała również, że on się jeszcze nie dowiedział wszystkiego. Już przedtem go takiego widywała - dalekiego i zamkniętego w sobie - kiedy starał się pojąć doniosłe prawidłowości i związki pomiędzy szczegółami, które tylko on dostrzegał. Wiedziała, że nie należy mu wtedy przeszkadzać. Domaganie się od niego odpowiedzi, zanim sam je pozna, jedynie mu przeszkadzało, odrywało go od tego, co musiał zrobić.

Jennsen, wpatrując się w plecy odchodzącego Richarda, zmusiła się wreszcie do uśmiechu na zgodę. Wtem szeroko otworzyła oczy, jakby przyszła jej do głowy inna myśl. Pochyliła się ku Kahlan i wyszeptwała:

- Czy tu chodzi o magię?

- Nie wiemy, o co tu chodzi.

Jennsen skinęła głową.

- Pomogę. Chcę pomóc, jak tylko zdołam.

Spowiedniczka chwilowo zatrzymała dla siebie swoje troski. Na znak wdzięczności otoczyła ramieniem barki młodej kobiety i poprowadziła ją ku wozowi.

ROZDZIAŁ 3

W bezkresnej, milczącej pustce nocy Kahlan dobrze słyszała, jak na uboczu Friedrich przemawia do koni. Poklepywał je po łopatce lub przesuwiał dłonią po ich bokach, oporządzając je i pętając na noc. Ciemność przesłaniała jałowy bezkres, a za sprawą swojskiej troski o zwierzęta obce miejsce było mniej złowrogie.

Friedrich był starszym, skromnym mężczyzną średniego wzrostu. Pomimo swego wieku zdecydował się na długą i ciężką wyprawę do Starego Świata, żeby odszukać Richarda. Wyruszył w tę podróż, żeby dostarczyć ważnych informacji, wkrótce po śmierci żony. Ogromny smutek po tej stracie wciąż jeszcze ocieniał jego łagodną twarz. Kahlan sądziła, że już zawsze tak będzie.

W przyćmionym świetle dostrzegła, że Jennsen się uśmiechnęła, kiedy Tom na nią spojrział. Wielki, jasnowłosy D'Harańczyk rozjaśnił się chłopięcym uśmiechem na widok Jennsen, lecz raz-dwa wrócił do pracy. Wyciągał ściwory spod kozła. Przekroczył leżące na wozie pakunki i podał ściwory Richardowi.

- Nie ma drew na ognisko, lordzie Rahlu. - Tom wsparł stopę na tylnej ścianie wozu i złożył rękę na ugiętym kolanie. - Ale, gdybyś chciał, mam trochę węgla drzewnego do gotowania.

- Przede wszystkim chciałbym, żebyś przestał nazywać mnie „lordem Rahlem”. Jeśli się tak do mnie odezwiesz przy nieodpowiednich ludziach, wpadniemy w spore tarapaty.

Tom uśmiechnął się i poklepał ozdobne „R” na srebrnej rękojeści zatkniętego za pas noża.

- Nie trap się, lordzie Rahlu. Stal przeciwko stali.

Richard westchnął, usłyszawszy tę często powtarzaną maksymę mówiącą o więzi łączącej D'Harańczyków z ich lordem Rahlem. Tom i Friedrich obiecali, że przy ludziach poniechają tytułowania Richarda i Kahlan. Jednak trudno im było zmienić wieloletnie nawyki i Kahlan zdawała sobie sprawę, że dziwnie się czują, pomijając tytuły, kiedy w pobliżu nie ma obcych.

- Życzysz sobie ogienka, żeby coś ugotować? - zapytał Tom, podając

ostatni śpiwór.

- Wydaje mi się, że w tym skwarze obejdziemy się bez dodatkowego podgrzewania. - Richard położył śpiwory na wyładowanych wcześniej workach owsa. - Poza tym wolę nie marnować czasu. Chciałbym, żebyśmy wyruszyli o brzasku, a potrzebny nam solidny wypoczynek.

- Co do tego muszę ci przyznać rację. - Olbrzymi Tom wyprostował się. - Nie podoba mi się, że jesteśmy na otwartym terenie, gdzie tak łatwo nas dostrzec.

Richard szerokim gestem wskazał pociemniałe niebo.

Tom nieufnie spojrział w górę. Z ociąganiem skinął głową i zaczął szukać narzędzi do naprawy uprzęży i drewnianych wiader do pojenia koni. Richard postawił stopę na szprysze tylnego koła wozu i wspiął się na górę, żeby mu pomóc.

Tom - nieśmiały, lecz pogodny - zjawił się poprzedniego dnia, wkrótce po tym, jak spotkali Jennsen. Wyglądał na kupca wiozącego towary na sprzedaż. Kahlan i Richard dowiedzieli się, że wóz wypełniony towarami pozwalał mu podróżować, gdzie i kiedy chciał, w rzeczywistości jednak należał do tajnego ugrupowania strzegącego lorda Rahla przed knowaniami i zagrożeniami.

Jennsen pochyliła się ku Kahlan i powiedziała cicho:

- Po sępach nawet z daleka poznasz, gdzie leży zdobycz. Poznasz to po tym, jak kołują i się zbierają. Pewnie tak samo jest z chyzolotami. Ktoś może je dostrzec z daleka i będzie wiedzieć, że poniżej coś jest.

Kahlan zamilczała to. Bolała ją głowa, była głodna i chciała spać, a nie rozprawiać o rzeczach, o których nic nie mogła powiedzieć. Ciekawa była, ile razy Richard myślał o jej natarczywych pytaniach tak, jak ona teraz o dopytywaniu się Jennsen. W duchu obiecała sobie, że spróbuje być choć w połowie tak cierpliwa, jak zawsze był Richard.

- Problem w tym - podjęła Jennsen rzeczowo - jak ktoś zdołałby nakłonić ptaki, żeby... no wiesz, kołowały nad wami jak sępy nad padliną, by mógł po tym poznać, gdzie jesteście. - Znowu się nachyliła i szepnęła, dla pewności, że Richard jej nie usłyszy: - Może użyto magii, żeby leciały za konkretnymi ludźmi.

Cara wbiła w Jennsen mordercze spojrzenie. Kahlan leniwie zastanawiała się, czy Mord-Sith zdzieli siostrę Richarda, czy też okaże

wyrozumiałość, bo to jednak rodzina. Rozmowy o magii, a już zwłaszcza o związanym z nią zagrożeniu dla Richarda lub Kahlan, ogromnie Careę irytowały. Mord-Sith były nieustraszone w obliczu śmierci, lecz nie lubiły magii i nie wahały się tego demonstrować.

Taka wrogość wobec magii była charakterystyczna dla Mord-Sith - potrafiły one zawładnąć mocą obdarzonych darem i zniszczyć tychże ich własną magią. Mord-Sith poddawano straszliwej tresurze, żeby stały się bezlitosne. Dopiero Richard uwolnił je od tych okropieństw.

Kahlan doskonale pojmowała, że jeżeli chyżoloty naprawdę ich śledzą, to dzieje się to za sprawą jakiegoś zaklęcia. A wynikające z tego problemy ogromnie ją niepokoiły.

Nie zaczęła roztrząsać owej sprawy, więc Jennsen spytała:

- A czemu według ciebie ktoś miałby wykorzystywać chyżoloty do śledzenia was?

Kahlan spojrzała na młodą kobietę.

- Jesteśmy w samym środku Starego Świata, Jennsen. Trudno się dziwić, że ktoś nas śledzi na wrogich ziemiach.

- Pewnie masz rację - przyznała dziewczyna. - Tak mi się jednak zdaje, że w tym się kryje coś więcej. - Rozmasowała ramiona, jakby pomimo skwaru ogarnął ją chłód. - Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo imperator Jagang chce was pojmać.

Spowiedniczka uśmiechnęła się do siebie.

- O, chyba jednak wiem.

Jennsen przyglądała się Richardowi, nalewającemu wody do wiader ze stojących na wozie beczek. Pochylił się i podał jedno z wiader Friedrichowi. Konie nadstawiły uszu i też się bacznie przyglądały, ogromnie spragnione. Betty również patrzyła; koźlątko ssały, a ona zameczała, dając znać, że i jej się chce pić. Richard napełnił wiadra, a potem nabrał wody do swojego bukłaka.

Jennsen potrząsnęła głową i znów spojrzała Kahlan w oczy.

- Imperator Jagang podstępem skłonił mnie do myślenia, że Richard chce mojej śmierci. - Obejrzała się na zajętych swoją pracą mężczyzn i dodała: - Byłam przy Jagangu, kiedy zaatakował Aydindril.

Kahlan serce podeszło do gardła, gdy z ust naocznego świadka usłyszała, że ów okrutnik najechał miasto, w którym spędziła dzieciństwo. Miała

wrażenie, że nie zniesie odpowiedzi na swoje pytanie, a jednak musiała je zadać:

- Czy on zniszczył miasto?

Kiedy Richarda pojmano i zabrano od niej, Kahlan z Carą u boku poprowadziła d'harańską armię przeciwko hordom najeźdźców ze Starego Świata. Miesiąc po miesiącu walczyli z przeważającym przeciwnikiem, wycofując się przez Midlandy. Kiedy przegrali walkę o Midlandy, minął akurat rok, odkąd ostatni raz widziała Richarda; jej ukochany przepadł bez wieści. W końcu się dowiedziała, gdzie jest, i razem z Carą pospiesznie wyruszyły na południe, do Starego Świata. Zjawiły się na miejscu akurat wtedy, gdy Richard wywołał rewolucję w samym sercu rodzinnych ziem Jaganga. Przed odejściem na południe Kahlan ewakuowała wszystkich z Aydindril - Pałac Spowiedniczek opuścili wszyscy, dla których był domem. Ważne było życie, a nie miejsce.

- Nie miał okazji zniszczyć miasta - odparła Jennsen. - Jak dotarliśmy do Pałacu Spowiedniczek, imperator Jagang myślał, że osaczył ciebie i Richarda. Ale przed pałacem czekała włócznia z głową umiłowanego duchowego przewodnika imperatora, Brata Nareva. - Znacząco zniżyła głos: - Jagang znalazł dołączoną do głowy wiadomość.

Kahlan dobrze pamiętała dzień, kiedy Richard wysłał w długą podróż na północ głowę owego niegodziwego człowieka i wiadomość dla Jaganga: „Pozdrowienia od Richarda Rahla”. Powiedziała to głośno.

- Właśnie - potwierdziła Jennsen. - Nie masz pojęcia, jak się Jagang wściekł. - Zamilkła na chwilę, żeby się upewnić, że Kahlan zwróci uwagę na jej ostrzeżenie. - Jest gotów na wszystko, byle dopaść ciebie i Richarda.

Kahlan wcale nie potrzebowała ostrzeżeń dziewczyny przed Jagangiem.

- Kolejny powód, żeby stąd zniknąć i gdzieś się ukryć - odezwała się Cara.

- A chyzoloty? - przypomniała jej Matka Spowiedniczka.

Mord-Sith wymownie spojrzała na Jennsen i odparła cicho:

- Jeżeli uporamy się z resztą, to może i ten problem zniknie.

Zadaniem Cary było strzec Richarda. Najchętniej schowałaby go w jakiejś dziurze i trzymała tam, gdyby była pewna, że to go przed wszystkim uchroni.

Jennsen czekała, przyglądając się im obu. Kahlan wcale nie była pewna, czy młoda kobieta zdoła cokolwiek zrobić. Richard przemyślał wszystko i

nabrał poważnych wątpliwości. Chociaż Kahlan i bez nich bardzo sceptycznie do tego podchodziła. Jednak...

- Może - powiedziała do Cary.

- Jeżeli mogę coś zrobić, zrobię to. - Jennsen przesuwiała w palcach guzik sukienki. - Richard nie sądzi, że mogę pomóc. Nie wiedziałby, gdyby się to łączyło z magią? Jest czarodziejem, powinien się znać na magii.

Kahlan westchnęła. To wcale nie było takie proste.

- Richard wychował się w Westlandzie, daleko od Midlandów i jeszcze dalej od D'Hary. Wzrastał w izolacji od reszty Nowego Świata, nie mając pojęcia o swym darze. I nadal niewiele o nim wie, mimo tego, czego się nauczył i czego dokonał.

Już o tym mówiły Jennsen, ale niedowierzała. Najwyraźniej podejrzewała, że przesadzają, opowiadając jej o nieobznajomieniu Richarda z własnym darem. W końcu starszy brat w jednej chwili wyzwolił ją z koszmaru dręczącego Jennsen przez całe życie. Tak głęboka przemiana najwyraźniej wydawała się magiczna komuś, kto pozbawiony był najdrobniejszej iskierki daru.

- Skoro Richard wie o magii tak mało, jak twierdzicie - Jennsen wreszcie dotarła do założonego celu - to może nie powinniśmy się aż tak bardzo przejmować tym, co on o tym myśli. Może zwyczajnie nic mu nie mówmy, tylko idźmy tam, a ja zrobię to, czego chce ode mnie Cara, żeby rozwiązać wasze problemy i żebyście się pozbyli chyzolotów.

Tuż obok Betty z zadowoleniem wylizywała swoje bielutkie bliźnięta. Skwarny mrok i panująca wokół głucha cisza zdawały się równie bezkresne jak sama śmierć.

Kahlan spokojnie zacisnęła palce na kołnierzu Jennsen.

- Dorastałam, chodząc po Wieży Czarodzieja i Pałacu Spowiedniczek. Sporo wiem o magii. - Przyciągnęła ku sobie młodą kobietę. - Dlatego chcę cię ostrzec, że takie naiwne pomysły w tak niebezpiecznych sprawach mogą z łatwością doprowadzić do śmierci ludzi. Rzecz jasna, zawsze istnieje możliwość, że jest to tak proste, jak myślisz, ale najprawdopodobniej jest to bardziej skomplikowane, niż potrafisz sobie wyobrazić, i każda pochapna próba mogłaby doprowadzić do wybuchu, który zniszczyłby nas wszystkich. A należy jeszcze dodać do tego obawy o to, jak ktoś taki jak ty, pozbawiony nawet iskierki daru, przed kim ostrzega starożytna książka, którą dostał

Richard, mógłby wpłynąć na całość procesu. Niekiedy pozostaje tylko natychmiastowe działanie, ale i wtedy musisz dokładnie ocenić sytuację, korzystając z całego swojego doświadczenia i wszystkich posiadanych informacji. Dopóki jednak jest wybór, to w sprawach magii zaczynasz działać dopiero wtedy, kiedy się całkowicie upewnisz co do konsekwencji. Nigdy nie ryzykujesz w ciemno.

Kahlan aż nazbyt dobrze wiedziała, jak prawdziwe są te słowa. Jednak Jennsen nie wyglądała na przekonaną.

- Ale jeśli on naprawdę mało wie o magii, to wszystkie jego obawy mogą tylko...

- Szłam przez wymarłe miasta, mijałam okaleczone ciała mężczyzn, kobiet i dzieci wyznaczające ślad przemarszu wojsk Imperialnego Ładu. Widziałam młodsze od ciebie kobiety, które popełniały bezwiedne, niewinne omyłki, a potem przykuwane były do pala i przez wiele dni wykorzystywane przez bandy żołnierzy, na koniec zaś zadręczane na śmierć dla zabawy żołdaków, czerpiących wynaturzoną rozkosz z gwałcenia umierającej kobiety.

Kahlan z całej siły zacisnęła zęby, bo pamięć bezlitośnie ukazywała jej te wszystkie okropieństwa. Mocniej zwarła palce na kołnierzu Jennsen.

- Wszystkie moje siostry Spowiedniczki zginęły w taki właśnie sposób, a one znały swoją moc i wiedziały, jak się nią posługiwać. Wiedzieli o tym również ci, którzy je pojмали, i wykorzystali tę wiedzę przeciwko nim. Moja najbliższa przyjaciółka umarła na moich rękach, kiedy ci ludzie z nią skończyli. Tacy jak oni czczą śmierć, życie nic dla nich nie znaczy. I to właśnie tego pokroju ludzie zamordowali twoją matkę. Ludzie, którzy i nas zabijają, jeżeli popełnimy błąd. To tacy jak oni zastawiają na nas pułapki, również magiczne. A co do tego, że Richard tak mało wie o magii... niekiedy wykazuje w najprostszych sprawach taką niewiedzę, że ledwo mogę w to uwierzyć i muszę sobie przypominać, że rósł, nie mając pojęcia o swoim darze, że nikt go niczego o magii nie uczył. Staram się być cierpliwa i nakierowywać go najlepiej, jak potrafię. Bardzo poważnie traktuje moje słowa. Kiedy indziej zaś podejrzewam, że pojmuje takie złożoności magii, które ani mnie, ani nikomu innemu jeszcze w ogóle nie przysły do głowy, których istnienia nawet nie podejrzewaliśmy. W takich sprawach sam musi być swoim przewodnikiem. Odpowiadamy za życie wielu ludzi, więc nie

możemy sobie pozwolić na popełnianie błędów przez nieuwagę, a już zwłaszcza w sprawach związanych z magią. Jako Matka Spowiedniczka nie mogę dopuścić, by czyjaś lekkomyślna zachcianka naraziła tych ludzi na niebezpieczeństwo. Rozumiesz?

Kahlan miewała koszmarne sny o tym, co widziała, o ludziach, których pojmano, o tych, którzy popełnili błąd i zapłacili zań życiem. Nie była wiele starsza od Jennsen, lecz dzieliły je nie tylko te lata. Mocno szarpnęła trzymanym w garści kołnierzem dziewczyny.

- Rozumiesz?

Jennsen przełknęła ślinę i wybałuszyła na nią oczy.

- Tak, Matko Spowiedniczko. - Wreszcie spuściła wzrok.

I dopiero wtedy Kahlan ją puściła.

ROZDZIAŁ 4

- Głodne jesteście? - zawołał do trzech kobiet Tom.

Richard zdjął z wozu latarnię, zapalił ją za pomocą krzesiwa i postawił na skalnej półce. Obrzucił podejrzliwym spojrzeniem trzy zbliżające się kobiety, lecz najwyraźniej wołał się nie odzywać.

Kahlan usiadła obok niego, a Tom podał mu pierwszy kawałek długiej kiełbasy. Richard odmówił, lecz Kahlan chętnie go przyjęła. Tom odciął następny kawałek i podał go Carze, a potem kolejny Friedrichowi.

Jennsen podeszła do wozu i grzebała w swoim plecaku. Kahlan pomyślała, że pewnie chce być chwilę sama, żeby się pozbiierać. Zdawała sobie sprawę, jak szorstko brzmiały jej słowa, lecz nie mogła sobie pozwolić na mydlenie dziewczynie oczu miłymi kłamstewkami.

Betty, uspokojona bliskością Jennsen, ułożyła się obok Rusty, rudej klaczy swojej pani. Były dobrymi przyjaciółkami. Pozostałe konie cieszyły się z tych odwiedzin i żywo interesowały jej koźlątkami; obwąchiwały je, jak tylko podchodziły wystarczająco blisko.

Podeszła Jennsen, wyjmując marchewkę, i Betty natychmiast się poderwała. Energicznie machała ogonkiem. Konie zarżały i potrząsnęły łbami, mając nadzieję, że i im się coś dostanie. Każdy dostał swoją część i został podrapany za uchem.

Gdyby rozpalili ognisko, to pewnie ugotowaliby gulasz, ryż albo fasolę, upiekli bezdrożdżowy chleb, a może i zrobili smaczną zupę. Chociaż Kahlan była bardzo głodna, czuła, że nie miałaby siły gotować, i chętnie zadowoliliła się tym, co było pod ręką. Jennsen wydobyła z plecaka paski suszonego mięsa i częstowała wszystkich. Richard i jej odmówił - jadł twarde suchary podróżne, orzechy i suszone owoce.

- Czemu nie chcesz żadnego mięsa? - zapytała Jennsen, siadając naprzeciwko niego na śpiworze. - Powinieneś zjeść coś konkretnego.

- Nie jadam mięsa. Odkąd obudził się we mnie dar.

Jennsen w zadziwieniu zmarszczyła nos.

- A czemuż to dar nie pozwala ci jeść mięsa?

Richard podparł się na łokciu i przez chwilę patrzył w gwiazdy, szukając odpowiednich słów.

- Równowaga w przyrodzie - odezwał się w końcu - wynika z wzajemnego oddziaływania wszystkiego, co istnieje. Weź pod uwagę, jak ustala się równowaga pomiędzy drapieżnikami a ich zdobyczą. Gdyby drapieżniki były zbyt liczne i zjadły całą swoją zdobyczą, to i one w końcu pomarłyby z głodu. Brak równowagi byłby groźny tak dla jednych, jak i dla drugich: ich świat by się skończył. Wytworzyła się między nimi równowaga, bo działają zgodnie ze swoją naturą. Owa równowaga nie jest rezultatem ich świadomego wyboru. Ludzie są inni. Jeżeli nie będziemy świadomie do tego dążyć, możemy nie osiągnąć stanu równowagi, od której często zależy nasze przeżycie. Jeżeli chcemy zachować życie, musimy się nauczyć posługiwać umysłem, nauczyć się myśleć. Uprawiamy rośliny, polujemy, żeby chronić się futrami od zimy, albo hodujemy owce, strzyżemy je i uczymy się tkąć materiały z ich wełny. Musimy się nauczyć budować schronienie. Ustalamy wartość jednej rzeczy w porównaniu z drugą i wymieniamy to, co sami zrobiliśmy, na to, czego potrzebujemy, a co inni zrobili, wyhodowali, zbudowali lub upolowali. Dostosowujemy nasze pragnienia do tego, co wiemy o rzeczywistości. Kierujemy się dobrze pojętym własnym interesem, a nie chęcią spełnienia chwilowej zachcianki, bo wiemy, że na dłuższą metę to właśnie jest dla nas korzystniejsze. Układamy w kominku drwa i rozpalamy ogień, żeby nie zmarznąć w zimową noc, lecz jakkolwiek byśmy zmarzli, nie rozpalamy zbyt wielkiego ognia, żeby nasze schronienie się nie spaliło, kiedy się już rozgrzejemy i zaśniemy.

- Ale ludzie kierują się także krótkowzrocznym egoizmem, chciwością i żądzą władzy. Zabijają. - Jennsen wskazała w mrok. - Popatrz tylko, co robi Imperialny Ład i jak na tym korzysta. Za nic mają przedzenie wełny, budowanie domów czy handel. Mordują ludzi, żeby zdobywać nowe ziemie. Biorą, co chcą.

- A my stawiamy im opór. Nauczyliśmy się cenić życie, więc walczymy, żeby znów zwyciężył rozsądek. Stanowimy dla nich przeciwwagę.

- A co to ma wspólnego z niejedzeniem mięsa? - Jennsen odsunęła za ucho pukiel włosów.

- Mówiono mi, że i czarodzieje muszą w swoich działaniach zachowywać równowagę względem swego daru, swojej mocy, siebie. Walczę z tymi, którzy jak Imperialny Ład niszczą życie, bo nie ma ono dla nich żadnej wartości. Jednak przy tym i ja muszę niszczyć to, co dla mnie najcenniejsze,

czyli życie. Ponieważ mój dar to dar wojownika, powstrzymywanie się od jedzenia mięsa ma równoważyć śmierć, którą jestem zmuszony zadawać.

- A co się stanie, jeżeli zjesz mięso?

Kahlan wiedziała, że po wczorajszym dniu Richard miał powody do rezygnacji z mięsa.

- Sama myśl o zjedzeniu mięsa przyprawia mnie o mdłości. Jadłem je, kiedy musiałem, ale staram się tego unikać, jeśli to tylko możliwe. Pozbawiona przeciwwagi magia może mieć groźne skutki, podobnie jak rozpalenie w kominku zbyt wielkiego ognia.

Kahlan przyszło na myśl, że Richard nosi Miecz Prawdy i że pewnie oręż ów też wymaga odpowiedniego zrównoważenia. Richard słusznie został mianowany Poszukiwaczem Prawdy przez samego Pierwszego Czarodzieja, Zeddica Zu'l Zorandera, swojego dziadka, który pomagał go wychowywać i po którym także odziedziczył dar. Dar Richarda był nie tylko dziedzictwem po Rahlach, ale i po Zoranderach. Zaiste równowaga.

Prawomocnie mianowani Poszukiwacze od niemal trzech tysięcy lat nosili ten sam miecz. Może to, że Richard rozumiał konieczność zachowania harmonii, pozwoliło mu przeżyć mimo wszelkich przeciwności.

Jennsen odgryzła kawałek suszonego mięsa, rozmyślając nad tym, co usłyszała.

- Czyli skoro musisz walczyć i czasem zabijać, nie możesz jeść mięsa, żeby to zrównoważyć?

Richard skinął głową, zajadając suszone morele.

- To musi być okropne mieć dar - stwierdziła cicho Jennsen. - Mieć coś tak niszczycielskiego, że aż trzeba to jakoś zrównoważyć.

Odwróciła wzrok od szarych oczu Richarda. Kahlan wiedziała, jak trudno czasem wytrzymać jego przenikliwe spojrzenie.

- Też tak uważałem - odezwał się - kiedy obwołano mnie Poszukiwaczem i dano miecz, a nawet i potem, kiedy się przekonałem, że mam dar. Nie chciałem daru, nie chciałem tego, co z posiadania mocy wynikało, podobnie jak nie chciałem miecza przez wzgląd na te moje cechy, których według mnie nie powinno się rozbudzać.

- Ale teraz ani miecz, ani dar już ci tak nie przeszkadzają?

- Masz nóż i posługiwałaś się nim. - Richard nachylił się ku niej i wyciągnął przed siebie rękę. - Masz rękę. Czy czujesz odrazę do swojego

noża lub rąk?

- Jasne, że nie. Ale co to ma wspólnego z posiadaniem daru?

- Ja się zwyczajnie urodziłem z darem, tak jak się rodzi mężczyznę lub kobietą, z niebieskimi, piwnymi albo zielonymi oczami, czy też z dwiema rękami. Nie czuję odrazy do swoich rąk tylko dlatego, że ewentualnie mógłbym kogoś nimi udusić. To rozum kieruje moimi rękami. Nie działają z własnej woli. Taki pomysł oznacza ignorowanie prawdziwej natury każdej rzeczy, ignorowanie tego, czym w istocie dana rzecz jest. Jeżeli chcesz osiągnąć harmonię, powinnaś pojąć istotę rzeczy, powinnaś naprawdę wszystko zrozumieć.

Kahlan zastanawiała się, dlaczego sama nie potrzebuje żadnego zrównowżenia, w przeciwieństwie do Richarda. Dlaczego było to tak ważne dla niego, lecz nie dla niej? Chociaż była ogromnie śpiąca, nie potrafiła zamilczeć.

- Często wykorzystuję swoją moc Spowiedniczki w tym samym celu, żeby zabić, a nie przeciwważę tego unikaniem mięsa.

- Siostry Światła twierdzą, że to magia podtrzymuje zasłonę oddzielającą świat życia od świata śmierci. A dokładniej, twierdzą one, że zasłona jest tutaj - dotknął skroni - w tych z nas, którzy mają dar: w czarodziejach i, w mniejszym stopniu, w czarodziejkach. Twierdzą, że dla mających dar takie zachowywanie harmonii, równowagi, ma zasadnicze znaczenie, bo to w nas, w naszym darze tkwi owa zasłona, czyniąc nas swoimi strażnikami, osobami zachowującymi równowagę między światami. Być może mają rację.

Mam dar obu magii: addytywnej i subtraktywnej. Może dlatego ze mną jest inaczej. Może dlatego tak ważne jest, żebym utrzymywał harmonię mojego daru.

Kahlan zastanawiała się, ile z tego może być prawdą. Bała się pomyśleć, jak jej działania mogły zakłócić harmonię magii.

Świat niszczył na wiele sposobów. No, ale nie było wyboru.

Cara lekceważąco pomachała przed nimi kawałkiem suszonego mięsa.

- Cała ta sprawa z przeciwważą to przesłanie od dobrych duchów, z tamtego świata, żeby lord Rahl sprawy walki pozostawił nam. Gdyby tak zrobił, nie musiałby się przejmować równowagą ani tym, co mu wolno, a czego nie wolno zjeść. Gdyby się przestał wystawiać na śmiertelne niebezpieczeństwo, ta jego równowaga byłaby w porządku i mógłby zjeść

całutką kożę.

Brwi Jennsen powędrowały wysoko.

- Wiesz, co mam na myśli - burknęła Mord-Sith.

- Może pani Cara ma rację, lordzie Rahlu - wtrącił się Tom. - Masz ludzi do ochrony. Powinieneś im pozwolić cię chronić, a wtedy mógłbyś wszystkie talenty spożytkować na bycie lordem Rahlem.

Richard zamknął oczy, rozmasował palcami skronie.

- Gdybym stale miał czekać, aż Cara mnie ochroni, to pewnie musiałbym się obyć bez głowy.

Cara wywróciła oczami, widząc jego uśmiech, i zajęła się swoim kawałkiem kielbasy.

Kahlan, przyglądając się w niewyraźnym świetle twarzy Richarda zującego mały kęs suchara, pomyślała, że on źle wygląda i że to coś więcej niż tylko zmęczenie. Słaby blask latarni oświetlał połowę twarzy chłopaka, pozostawiając resztę w mroku, jakby był tu jedynie w połowie - w połowie w tym świecie, w połowie w świecie mroku, niczym zasłona pomiędzy światami. Pochyliła się ku niemu i odgarnęła mu włosy z twarzy, przy okazji dotykając czoła. Było rozpalone, ale wszyscy mieli nagrzaną skórę i pocili się. Trudno było poznać, czy ma gorączkę, no i nie sądziła, że ma. Przytuliła dłoń do skraju jego policzka; uśmiechnął się. Pomyślała, że może się zatracić w zachwycie patrzenia mu w oczy. Jego uśmiech wręcz boleśnie radował serce. Odwzajemniła go; uśmiechnęła się doń w sposób przeznaczony wyłącznie dla niego. Kahlan bardzo pragnęła go pocałować, ale wokół zawsze byli jacyś ludzie, a takiego całusa nie daje się w obecności innych.

- Tak trudno to pojąć - powiedział Friedrich do Richarda. - To znaczy lorda Rahla dorastającego w nieświadomości, że ma dar. - Mężczyzna potrząsnął głową. - Trudno to pojąć.

- Mój dziadek Zedd ma dar - rzekł Richard, odchylając się do tyłu. - Chciał mnie chować z dala od magii i, podobnie jak Jennsen, ukrytego tak, żeby Rahl Posępny mnie nie dopadł. To dlatego chciał, żebym się wychowywał w Westlandzie, po drugiej stronie magicznej granicy.

- I twój dziadek czarodziej nigdy nie zdradził, że ma dar? - spytał Tom.

- Nigdy. Dopóki Kahlan nie zjawiała się w Westlandzie. Kiedy teraz sięgam pamięcią wstecz, uświadamiam sobie, ile drobiazgów świadczyło o tym, że jest kimś więcej, niż się wydaje. Ale dorastając, nie miałem pojęcia.

Zawsze wydawał mi się czarodziejski, bo wiedział wszystko o otaczającym nas świecie. Otwierał dla mnie ów świat, sprawiał, że zawsze chciałem wiedzieć więcej i więcej, jednak to nie magię daru mi ukazywał, ale życie.

- Więc to prawda - odezwał się Friedrich - że w Westlandzie nie ma magii.

Richard uśmiechnął się na wzmiankę o ojczystej krainie.

- Prawda. Dorastałem w lasach Hartlandu, w pobliżu granicy, i nigdy nie widziałem nic magicznego. Może z wyjątkiem Chase'a.

- Chase'a? - zainteresował się Tom.

- To mój przyjaciel, strażnik granicy. Równie wielki jak ty, Tomie. Ty chronisz lorda Rahla, a Chase strzegł granicy, a raczej starał się trzymać ludzi z daleka od niej. Powiedział mi, że jego robota polega na odstraszeniu łupu, czyli ludzi, żeby wychodzące z granicy stwory nie rosły w siłę. Trudził się utrzymaniem równowagi. - Richard uśmiechnął się do siebie. - Nie miał daru, lecz często myślałem, że potrafi dokonać czarodziejskich rzeczy.

I Friedrich się uśmiechał, słuchając opowieści chłopaka.

- Całe życie mieszkałem w D'Harze. Kiedy byłem młody, uważałem ludzi strzegących granicy za bohaterów i chciałem się do nich przyłączyć.

- Czemuś tego nie zrobił? - zapytał Richard.

- Byłem za młody, kiedy granica się pojawiła. - Friedrich zatonął we wspomnieniach, a potem zmienił temat: - Kiedy się wreszcie wydostaniemy z tego pustkowia, lordzie Rahlu?

Richard popatrzył ku wschodowi, jakby mógł coś zobaczyć w czerni nocy za kręgiem nikłego światła latarni.

- Jeżeli utrzymamy tempo, to jeszcze parę dni i najgorsze będzie za nami. Grunt wznosi się stale ku odległym góróm i staje się coraz bardziej skalisty. Podróż będzie trudniejsza, ale jak się znajdziemy wyżej, nie będzie już tak gorąco.

- Jak daleko jest do tej rzeczy... co to Cara uważa, że powinnam jej dotknąć? - zapytała Jennsen.

Richard przez chwilę badawczo się jej przyglądał.

- Nie jestem przekonany, że to dobry pomysł.

- Ale idziemy tam?

- Tak.

Jennsen skubnęła pasek suszonego mięsa.

- A czego właściwie Cara dotknęła? Ona i Kahlan nie chcą mi powiedzieć.

- Prosiłem, żeby ci nie mówiły.

- Ale dlaczego? Skoro i tak mamy to zobaczyć, dlaczego nie chcecie mi powiedzieć, co to jest?

- Bo nie masz daru - odparł Richard. - I nie chcę uprzedzać, co zobaczysz. Dziewczyna aż zamrugnęła.

- A co to za różnica?

- Jeszcze nie zdążyłem zbyt wiele przetłumaczyć, ale z tego, co wyczytałem w książce od Friedricha, wynika, że nawet ci, którzy w potocznym rozumieniu nie mają daru, są obdarzeni choćby jego najdrobniejszą iskierką. I dzięki temu reagują na obecną w świecie magię; to tak, jak się widzi barwy, mając oczy. Rodzisz się z oczami i potrafisz zobaczyć oraz zrozumieć wspaniałe malowidło, mimo że wcale nie musisz mieć talentu, by coś takiego samodzielnie stworzyć. Obdarzony magiczną mocą lord Rahl płodzi tylko jednego równego sobie w tym dziedzica. Może mieć więcej dzieci, lecz rzadko które z nich ma dar. Jednak, podobnie jak inni, mają w sobie ową najdrobniejszą iskierkę daru. I, by tak rzec, potrafią zobaczyć barwy. Książka mówi też, że niekiedy trafiają się podobni tobie potomkowie obdarzonego magiczną mocą lorda Rahla, w których brak nawet owej najdrobniejszej iskierki magii. Książka zwie ich Filarami Świata. I tak jak ci od urodzenia pozbawieni oczu nie mogą dostrzec barw, tak podobni tobie nie dostrzegają magii. Ale nie jest to wystarczająco precyzyjne stwierdzenie, bo to coś więcej niż zwyczajne niedostrzeżenie magii. Dla ślepych od urodzenia barwy istnieją, oni jedynie nie są w stanie ich zobaczyć. W waszym przypadku zaś nie jest tak, że nie potraficie dostrzec magii. Dla was magia nie istnieje, nie jest rzeczywista.

- Jak to możliwe? - spytała Jennsen.

- Nie wiem - odparł Richard. - Kiedy nasi przodkowie wytworzyli więź łączącą lorda Rahla z D'Harańczykami, wiązała się z tym konieczność istnienia obdarzonego magiczną mocą dziedzica. Magia wymaga przeciwwagi. Może musieli to w ten sposób rozwiązać. Może tobie podobni muszą stanowić przeciwwagę, żeby stworzona przez nich magiczna więź działała. Może nie uświadomili sobie, co się stanie, i bezwiednie stworzyli tę przeciwwagę.

Jennsen odkaslnęła.

- A co się wydarzy, jeżeli... no wiesz... będę miała dzieci?

Richard przez boleśnie długi czas bacznie patrzył jej w oczy.

- Będą takie jak ty.

Dziewczyna zeszywniała, błagalnie złożyła ręce.

- Nawet jeżeli wyjdę za kogoś, kto ma tę iskierkę daru? Kto, jak to powiedziałeś, potrafi widzieć barwy? Nawet wtedy moje dzieci będą takie jak ja?

- Tak, zawsze - odparł z przekonaniem. - Jesteś pękniętym ogniwem w łańcuchu przekazywania daru. A według książki, jeżeli przerwana zostanie linia rodzących się z iskierką daru, w tym i z darem, jak ja, przekazywanym od tysięcy lat, to już na zawsze. Nie można tego naprawić. W takim małżeństwie żaden potomek nie odziedziczy daru. A kiedy owe dzieci zawrą małżeństwa, to, podobnie jak ty, rozerwą łańcuch przekazywania daru w rodzie tych, którzy zostaną ich małżonkami. To samo spotka ich dzieci, dzieci ich dzieci i tak dalej. To dlatego lord Rahl zawsze ścigał pozbawionych magii potomków i eliminował ich. Dalibyście początek czemuś, czego świat nigdy nie znał: ludziom niewrażliwym na magię, nie tkniętym nią. Każda taka osoba kładłaby kres linii przekazywania iskierki magii przez współmałżonka. Świat i ludzie na zawsze zostaliby zmienieni. To dlatego książka nazywa podobnych tobie Filarami Świata.

Cisza aż dzwoniła w uszach,

- I dlatego to miejsce też się tak nazywa - powiedział Tom, wskazując kciukiem za ramię, zdecydowany przerwać tę ciszę - Filary Świata. - Powiódł wzrokiem po twarzach oświetlonych chwiejnym światłem latarni. - To osobliwy zbieg okoliczności, że to miejsce i podobni Jennsen noszą tę samą nazwę.

Richard patrzył w ciemność, ku straszliwemu miejscu, w którym Kahlan umarłaby, gdyby on popełnił błąd co do oddziałującej tam magii.

- Nie sądzę, że to zbieg okoliczności. Na pewno istnieje tu jakiś związek.

Filary Świata, mówiące o podobnych Jennsen, zostały napisane w starożytnym górnod'harańskim. Niewielu ludzi znało teraz górnod'harański. Richard zaczął się go uczyć, żeby odcyfrować ważne informacje z innych znalezionych przez nich ksiąg z czasów wielkiej wojny.

Owa wojna, zakończona przed trzema tysiącami lat, rozpalila się na nowo i znów szalała na świecie. Kahlan bała się pomyśleć, że to ona i Richard

- chociaż bezwiednie - odegrali główną rolę w jej odnowieniu.

Jennsen pochyliła się w przód, jakby szukała odrobiny nadziei.

- A jaki według ciebie jest ten związek?

Richard westchnął ze znużeniem.

- Jeszcze nie wiem.

Dziewczyna przesuwiała palcem kamyk po małym okręgu, zostawiając w pyłe nikły ślad.

- Przez to wszystko, przez to, że jestem Filarem Świata, przerwany ogniwem magicznego łańcucha, czuję się jakaś... brudna.

- Brudna? - spytał Tom, najwyraźniej zraniony jej słowami. - Dlaczego miałabyś się tak czuć, Jennsen?

- Takich jak ja zwą też „dziurami w świecie”. I chyba już wiem dlaczego.

Richard pochylił się do przodu i wsparł łokcie o kolana.

- Dobrze wiem, jak to jest czuć żal z powodu swojego urodzenia, z powodu tego, co się ma lub nie. Kiedyś budziło we mnie zgrozę, że się taki urodziłem, że mam dar. Ale w końcu uświadomiłem sobie, że takie uczucia są bezsensowne i błędne.

- Jednak ze mną jest inaczej - powiedziała Jennsen, zacierając palcem ślad wyłobiony przez kamyk. - Są inni tacy jak ty, mający dar, czarodzieje i czarodziejki. Wszyscy inni potrafią przynajmniej zobaczyć barwy, jak to nazwałś. A nie ma innych takich jak ja.

Richard przyjrzał się swojej przyrodniej siostrze, swojej pięknej, bystrej, pozbawionej choćby isierki magii siostrze, którą każdy z poprzednich lordów Rahlów natychmiast by uśmiercił, i promiennie się uśmiechnął.

- Według mnie, Jennsen, urodziłaś się czysta. Jesteś jak płatek śniegu, niepodobny do żadnego innego i olśniewająco piękny.

Dziewczyna spojrzała nań i też się uśmiechnęła.

- Nigdy tak o tym nie myślałam. - Lecz uśmiech zniknął, kiedy wspomniała tamte słowa. - Ale i tak zniszczę...

- Stworzysz, a nie zniszczysz - przerwał jej Richard. - Magia istnieje. Jednak nie ma wyłączności na istnienie. Uważać tak znaczyłoby ignorować prawdziwą naturę rzeczy. Ludzie, jeśli nie zabijają innych, mają prawo żyć po swojemu. Nie możesz twierdzić, że skoro się urodziłaś ruda, to pozbawiłaś włosy innego koloru prawa rośnięcia na twojej głowie.

Jennsen zachichotała, usłyszawszy, co on opowiada. Miło było patrzeć,

jak uśmiech wraca na jej buzię. Mina Toma dowodziła, że i on jest tego zdania.

- A co z tą rzeczą, którą mamy zobaczyć? - spytała na koniec dziewczyna.

- Jeżeli rzecz, której dotknęła Cara, została jakoś zmieniona przez osobę z darem, to być może dostrzeżesz coś, czego my nie widzimy. To, co się znajduje pod magią.

Jennsen potarła krawędź obcasa.

- I uważasz, że to ci da coś ważnego?

- Bo ja wiem? Może to coś da, może nie, ale chcę wiedzieć, co zobaczysz tym swoim specyficznym okiem, nie zasugerowana przez nas.

- Skoro to cię tak trapi, dlaczego to zostawiłeś? Nie boisz się, że ktoś się na to natknie i przywłaszczy sobie?

- Trapi mnie wiele spraw - powiedział Richard.

- Nawet jeśli to coś rzeczywiście zmienionego przez magię, a ona zobaczy, co to naprawdę jest - odezwała się Cara - wcale nie będzie znaczyło to, że owa rzecz nie jest tym, czym się nam wydaje, że nie jest równie niebezpieczna.

Richard skinął głową.

- Ale przynajmniej czegoś więcej się o tym dowiemy. A wszystko, czego się dowiemy, może nam jakoś pomóc.

Cara się zachmurzyła.

- Chciałabym, żeby ona to odwróciła.

Richard spojrzeniem powstrzymał ją od dorzucenia czegoś jeszcze. Mord-Sith prychnęła, pochyliła się i wzięła jedną z suszonych moreli chłopaka. Zerknęła na niego gniewnie i wsunęła morelę do ust.

Zaraz po kolacji Jennsen zaproponowała, żeby zapakować resztę jedzenia do wozu, aby Betty nie poczęstowała się nocą. Betty zawsze była głodna. Ale przynajmniej teraz, przy swoich koźlątkach, przekonała się na własnej skórze, jak to jest, kiedy ktoś bez przerwy domaga się od ciebie nakarmienia.

Kahlan uznała, że należy mieć wzgląd na wiek Friedricha, i spytała go, czy chciałby pierwszy trzymać wartę. Pierwsza warta była lepsza niż budzenie w środku nocy na czuwanie między czasem na sen. Uśmiechnął się z wdzięcznością i przytaknął.

Richard rozłożył swój śpiwór i śpiwór Kahlan, a potem zgasił latarnię.

Noc była upalna, lecz kryształowo przejrzysta i kiedy oczy Kahlan przyzwyczaiły się do mroku, zupełnie dobrze widziała w blasku gwiazd. Jedno z białych bliźniąt uznało, że rozłożone śpiwory to wspaniałe miejsce do baraszkowania. Kahlan pochwyciła białą czworonożną kulkę i oddała ją machającej ogonkiem matce. Położyła się obok Richarda i patrzyła, jak Jennsen układa się przy Betty, tuląc koźlątko, które raz-dwa się uspokoiły.

Richard nachylił się i delikatnie ucałował wargi Kahlan.

- Kocham cię.

- Gdybyśmy byli sami, lordzie Rahlu - szepnęła - to chciałabym czegoś więcej niż ten przelotny pocałunek.

Zaśmiał się cicho i pocałował ją w czoło, a potem ułożył się na boku, tyłem do niej. Ona tymczasem spodziewała się jakiejś czulej obietnicy lub żartobliwej odpowiedzi. Zwinęła się za nim i dotknęła jego ramienia.

- Nic ci nie jest, Richardzie? - wyszeptała.

Zbyt długo czekała na odpowiedź, i to ją zaniepokoiło.

- Przeraźliwie boli mnie głowa.

Pragnęła zapytać, jakiego to rodzaju ból głowy, lecz nie chciała, żeby wypowiedzenie jej obaw przydało im realności.

- To nie taki ból jak poprzednio - rzekł Richard, jakby odpowiadał na jej myśli. - Przypuszczam, że to z tego straszliwego upału i braku snu.

- Też tak myślę. - Kahlan zwinęła służący jej za poduszkę koc tak, żeby podpierał obolałe miejsce na potylicy. - I mnie łupie w głowie z tego skwaru.

- Delikatnie pogłaskała jego ramię. - To dobranoc.

Była wyczerpana i obolała i cudownie było się położyć. Miękki wałek z koca pod karkiem łagodził ból głowy. Kahlan, opierając dłoń na ramieniu Richarda i czując jego spokojny oddech, zapadła w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 5

Mimo przeraźliwego zmęczenia cudownie było tak leżeć obok Richarda, choć na chwilę odsunąć od siebie troski i zmartwienia i zapaść w sen. Ale ledwo zasnęła, a już obudziła ją Cara. Kahlan zamrugła, patrząc na stojącą nad nią znajomą postać.

- Moja kolej?

Mord-Sith skinęła głową.

- Ale cię zastąpię, jeśli chcesz.

Kahlan usiadła, spojrzała przez ramię. Richard nadal mocno spał.

- Nie - szepnęła. - Prześpij się trochę. I tobie potrzeba wypoczynku. - Ziewnęła, przeciągnęła się. Ujęła Carę za łokieć, odprowadziła kawałek i nachyliła się ku niej. - Uważam, że masz rację. Jest nas na tyle dużo, że każde może czuwać i jeszcze odpocząć. Pozwólmy Richardowi spać aż do rana.

Cara uśmiechnęła się i ruszyła ku swojemu śpiworowi. Spiskowanie dla ochrony Richarda bardzo jej odpowiadało.

Kahlan znów ziewnęła i przeciągnęła się, usiłując oczyścić umysł z resztek sennego zamglenia, obudzić czujność. Odgarnęła włosy z twarzy, przerzuciła je za ramię. Bacznie przyglądała się okolicznemu pustkowiu, wypatrując czegoś, co by odbiegało od normy. Ich obozowisko otaczał całkowity bezruch. Na tle połyskliwych gwiazd czerniała na horyzoncie poszarpana linia gór. Sprawdziła, czy nikogo nie brakuje. Cara już się odprężyła. Tom spał w pobliżu koni. Friedrich - za końmi. Jenssen zwinęła się w kłębek w pobliżu Betty, lecz przewracała się z boku na bok jak ktoś, kto nie śpi. Koźlątka zmieniły miejsce i teraz leżały wygodnie, przyciskając łebki do matki.

Kahlan zawsze zachowywała szczególną czujność podczas zmiany warty. Była to odpowiednia pora na atak; doskonale o tym wiedziała, bo sama często właśnie wtedy atakowała. Ci, którzy schodzili z warty, zwykle byli zmęczeni i myśleli już o czym innym, uważając, że czujność to obowiązek zmiennika. Natomiast ci, którzy obejmowali wartę, zazwyczaj nie byli psychicznie przygotowani na niespodziewany atak. Zwykli sądzić, że wróg się nie pojawi, dopóki odpowiednio nie rozlokują się na posterunku. Zwycięstwo było po stronie zawsze gotowych. Nieostrożnym groziła klęska.

Kahlan ruszyła ku skałkom wznoszącym się w pobliżu Richarda. Usiadła na jednej z nich, żeby z wyższego punktu lepiej widzieć pozbawioną życia okolicę. Szorstka skała nawet w środku nocy promieniowała żarem minionego dnia. Dziewczyna odgarnęła z szyi wilgotne włosy; przydałby się choć lekki wiaterek. A zimą tyle razy omal nie zamarzła na śmierć. Za to teraz, choćby nie wiem jak się starała, nie potrafiła sobie przypomnieć, jak to jest marznąć na kość.

Kiedy tylko usadowiła się na posterunku, zobaczyła, że Jennsen wstaje i cichutko przechodzi przez obóz, starając się nikogo nie zbudzić.

- Mogę z tobą posiedzieć? - spytała, gdy dotarła do Kahlan.

- Oczywiście.

Jennsen usiadła obok, podciągnęła kolana, objęła je ramionami: mocno do siebie przycisnęła. Przez jakiś czas jedynie patrzyła w noc.

- Przepraszam, Kahlan, za... za to, co było przedtem. - Pomimo ciemności Spowiedniczka dobrze widziała, jaką Jennsen ma nieszczęśliwą minę. - Nie chciałam wyjść na głupka, który bezmyślnie działa. Nigdy żadnego z was nie skrzywdzę.

- Wiem, że rozmyślnie byś czegoś takiego nie zrobiła. Chodzi mi o to, co możesz zrobić bezwiednie.

Dziewczyna skinęła głową.

- Chyba już trochę lepiej rozumiem, jakie to wszystko jest skomplikowane i jak właściwie mało wiem. Obiecuję, że nie zrobię niczego, dopóki ty lub Richard mi nie każecie.

Kahlan uśmiechnęła się, przesunęła dłoń po włosach Jennsen i zostawiła dłoń na jej ramieniu.

- Powiedziała ci to wszystko tylko dlatego, że się o ciebie troszczę. - Ze współczuciem ścisnęła ramię dziewczyny. - Chyba niepokoję się o ciebie tak jak Betty o swoje naiwne koźlątko, nie mające pojęcia o dobrze jej znanych zagrożeniach. Musisz zrozumieć, że jeżeli znajdziesz się na cienkim lodzie, to nie ma znaczenia, czy to mróz, czy zakłęcie zmroziło jezioro. Jeżeli nie wiesz, na czym stawiasz stopę, że tak powiem, możesz wpaść prosto w czarne, zimne objęcia śmierci. A śmierć to śmierć, bez względu na to, skąd się wziął lód. Chcę przez to powiedzieć, że nie powinnaś się zapuszczać na cienki lód, jeśli cię do tego nie zmusza nieodparta konieczność, bo mogłoby cię to kosztować życie.

- Ale we mnie nie ma ani odrobiny magii. Jestem, według Richarda, jak ktoś urodzony bez oczu, kto nie może zobaczyć barw. Jestem pękniętym ogniwem w magicznym łańcuchu. Pewnie mogę przez to wpaść niechcący w kłopoty?

- A czy to ważne, czy głaz, pod którym zginęłaś, został zepchnięty ze skały za pomocą zaklęcia czy łomu?

- Rozumiem, o co ci chodzi. Chyba nigdy tak o tym nie pomyślałam. - Głos Jennsen zdradzał zaniepokojenie.

- Ja tylko staram się ci pomóc, bo dobrze wiem, jak łatwo popełnić błąd.

Dziewczyna chwilę obserwowała w mroku Kahlan.

- Znasz się na magii. Jaki błąd byś mogła popełnić?

- O, całe mnóstwo.

- Na przykład?

Spowiedniczka zapatrzyła się we wspomnienia.

- Kiedyś o mgnienie za długo zwlekałam z zabiciem kogoś.

- Przecież mówiłaś, że niedobrze jest działać zbyt pochopnie.

- Czasami zwłoka jest największą lekkomyślnością. To była czarodziejka. I kiedy wreszcie zadziałałam, było już za późno. Przez ten mój błąd pojmała i zabrała Richarda. Rok nie wiedziałam, co się z nim dzieje. Myślałam, że nigdy go już nie zobaczę, że umrę z rozpacz i tęsknoty.

Jennsen wpatrywała się w nią z zadziwieniem.

- I kiedy go odnalazłaś?

- Niedawno. To dlatego jesteśmy w Starym Świecie. Ona go tu przyprowadziła. No, ale przynajmniej go odnalazłam. Popełniłam i inne błędy, które spowodowały nie kończące się kłopoty. Richard również. Jak powiedział, wszyscy popełniamy błędy. Gdybym mogła, chciałabym cię uchronić chociaż od niepotrzebnej pomyłki.

Jennsen odwróciła wzrok.

- Jak zaufania temu mężczyźnie, z którym byłam wczoraj, Sebastianowi. Przez niego zamordowali moją mamę i omal nie doprowadziłam do waszej śmierci. Okropnie mi teraz głupio.

- Twój błąd nie wynikał z nieostrożności, Jennsen. Oni cię oszukali i posłużyli się tobą. Najważniejsze, że ostatecznie ruszyłaś głową i zechciałaś spojrzeć prawdzie w oczy.

Dziewczyna skinęła głową.

- Jak nazwiemy bliźnięta Betty? - spytała w końcu.

Kahlan nie sądziła, że nadawanie koźlątkom imion to dobry pomysł, przynajmniej w tej chwili, lecz nie chciała tego powiedzieć.

- Nie wiem. A o jakich imionach myślałaś?

Jennsen westchnęła ciężko.

- Zaszokowało mnie, że Betty tak nieoczekiwanie do mnie wróciła, a jeszcze bardziej to, że wraz z dziećmi. Tego przedtem nawet nie brałam pod uwagę. No i nie miałam czasu zastanowić się nad imionami.

- Pomyśl o tym.

Jennsen uśmiechnęła się na ową myśl. Jej uśmiech rozszerzył się, jakby jeszcze coś przyszło jej do głowy.

- Wiesz - odezwała się - chyba wiem, co Richard miał na myśli, mówiąc, że uważał dziadka za czarodzieja, chociaż nigdy nie widział, jak czaruje.

- To znaczy?

- Jestem ślepa na magię, a Richard nie rzucał dziś żadnych czarów. Przynajmniej nic o tym nie wiem. - Zaśmiała się cicho; Kahlan jeszcze nie słyszała tak miłego śmiechu, pełnego radości i życia. Przypominał śmiech Richarda, był jego kobiecym odpowiednikiem. - Ale to, co mówił, sprawiło, że pomyślałam o nim tak jak on o Zeddzie. Kiedy to mówił, po prostu wiedziałam, co ma na myśli, co wtedy czuł, bo Richard otworzył przede mną świat, chociaż to nie magię daru mi ukazał. Ukazał mi życie, przekonał, że moje życie należy do mnie i że warto je przeżyć.

Kahlan uśmiechnęła się, bo to samo Richard zrobił dla niej, bo i ją nauczył cenić życie i wierzyć w nie nie tylko dla innych, ale przede wszystkim dla siebie.

Siedziały tak jakiś czas, w milczeniu obserwując jałowe pustkowie. Kahlan zaczęła się przyglądać rzucającemu się we śnie Richardowi. Jennsen też mu się przyglądała, coraz bardziej zatroskana.

- Wygląda na to, że coś mu jest - wyszeptała, pochylając się ku Spowiedniczce.

- Śni mu się coś złego.

Kahlan, jak tyle razy przedtem, patrzyła, jak śpiący Richard zaciska pięści, jak w milczeniu zmaga się z jakimś koszmarem.

- Strasznie widzieć go takim - odezwała się Jennsen. - Wydaje się taki odmieniony. Kiedy nie śpi, zawsze jest taki... rozsądny.

- Trudno zachować logikę w koszmarze - powiedziała ze smutkiem Kahlan.

ROZDZIAŁ 6

Richard nagle się obudził.

Wróciły.

Miał zły sen. Nie pamiętał go, jak wszystkich swoich snów. Wiedział jedynie, że był to zły sen, bo zostawił po sobie pozbawiającą tchu, przyspieszającą bicie serca przeraźliwą grozę. Odrzucił resztki koszmaru, jakby odrzucał skłębiony koc. Miał wrażenie, że ciemne stwory z pozostałości snu wciąż się weń wczepiają, chcąc na powrót wciągnąć go w swój świat, lecz wiedział, że sny są bezcielesne, więc się z tego otrząsnął. Kiedy się już na dobre obudził, groza zaczęła się rozpraszać niczym mgła w promieniach słońca. Ale i tak z wysiłkiem zapanował nad oddechem.

Ważne było to, że wróciły. Nie zawsze wiedział, kiedy wracały, lecz tym razem z jakiegoś powodu był tego pewny.

Pojawił się też wiatr. Bił w Richarda, szarpał jego odzieniem, rozwiewał włosy. Ale pędzący od rozpalonego pustkowia wiatr wcale nie łagodził upału. Nie przynosił ochłody, był tak gorący, jakby wiał z otwartych drzwiczek rozżarzonego pieca i aż parzył.

Richard sięgnął po bukłak, lecz nie było go pod ręką. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie go położył, ale nie mógł, bo tyle innych myśli domagało się uwagi. Potem się napije.

Kahlan leżała tuż obok, zwrócona ku niemu. Zebrała pod brodą swoje długie włosy. Wiatr nawiewał jej kosmyki na policzek. Richard uwielbiał tak siedzieć i przyglądać się jej twarzy, jednak tym razem pozwolił sobie ledwie na chwilę zwłoki, tylko po to, by zobaczyć w słabym blasku gwiazd, że spokojnie oddycha. Spała głęboko.

Powiódł wzrokiem po obozowisku; na wschodzie niebo ledwie się różowiło. Do świtu zostało jeszcze trochę czasu.

Uświadomił sobie, że przespał swoją wartę. Cara i Kahlan bez wątpienia uznały, że on bardziej potrzebuje snu niż one jego warty, i zmówiły się, żeby go nie budzić. Pewnie miały rację. Był tak wyczerpany, że przespał całutką noc. Teraz jednak na dobre się obudził.

Ból głowy minął.

Richard ostrożnie, po cichutku odsunął się od Kahlan, żeby jej nie

zbudzić. Instynktownie sięgnął po leżący przy drugim boku miecz. Palce dotknęły znajomej srebrno-złotej pochwy; metal był ciepły. Zawsze dobrze było znaleźć miecz w zasięgu ręki, a już zwłaszcza w tej chwili. Cicho wstał, przełożył pendent nad głowę i umieścił giętki rzemień na prawym ramieniu. Kiedy już zupełnie się podniósł, miecz znalazł się u biodra, gotowy do użycia.

Chociaż dobrze było czuć miecz u boku, myśl o dobytciu go - po jatce w miejscu zwanym Filarami Świata - przyprawiała o mdłości. Wzdrygnął się na wspomnienie tego, co zrobił. Jednak gdyby tego nie zrobił, Kahlan nie spałaby tak spokojnie - byłaby martwa lub spotkałby ją jeszcze gorszy los.

No i wyniknęła z tego jeszcze jedna dobra rzecz. Jennsen cofnęła się znad przepaści. Patrzył, jak śpi obok ukochanej kózki, otaczając ramionami jej bliźnięta. Uśmiechnął się na jej widok, zachwycony tym, że ma siostrę, taką bystrą, mającą przed sobą tyle wspaniałości życia. Cieszył się, że pragnie być przy nim, chociaż przez to martwił się o jej bezpieczeństwo. Ale właściwie żadne miejsce nie było bezpieczne, dopóki nie pokonają wojsk Imperialnego Ładu lub przynajmniej ich nie zneutralizują.

Przez obóz przeleciał jeszcze silniejszy poryw wiatru, wzbijając gęstsze kłęby kurzu. Richard zamrugał, starając się pozbyć piasku z oczu. Irytował go szum wiatru w uszach, bo tłumiał inne odgłosy. Nasłuchiwał bacznie, lecz słyszał jedynie wiatr.

Mrużył oczy, chroniąc je przed niesionym z wiatrem piaskiem. Dojrzał, że Tom siedzi na wozie i rozgląda się - była już jego pora warty. Friedrich spał po drugiej stronie koni, a Cara dość blisko Kahlan, od strony pustyni, chroniąc ich przed tym, co się tam mogło czaić. Tom nie dostrzegł Richarda w nikłej poświacie gwiazd. Chłopak odczekał, aż Tom spojrzy w przeciwnym kierunku, i wyszedł z obozu, zostawiając go, by czuwał nad pozostałymi.

Richard czuł się swobodnie w mroku nocy. Lata praktyki nauczyły go przemykania się w cieniach tak, by nikt go nie zauważył, nauczyły go bezszelestnego poruszania się w ciemności. Robił tak teraz, odchodząc od obozu i koncentrując się na tym, co go obudziło, a czego nie wyczuliby inni wartownicy.

Chyżoloty, w przeciwieństwie do Toma, nie przeoczyły ruchów Richarda. Kołowały wysoko ponad jego głowę, obserwowały go, stale były nad nim, kiedy szedł przez popękaną ziemię. Na tle ciemnego nieba były niemal

niewidoczne, lecz Richard dostrzegał, jak przesłaniały gwiazdy - zdradzieckie cienie na tle połyskliwej czarnej zasłony nocy, cienie, które równie dobrze wyczuwał, jak widział.

Ustąpienie przeraźliwego bólu głowy przyniosło ulgę, lecz niepokoiło, że ból ów zniknął w taki właśnie sposób. Udręka często zniknęła, kiedy Richarda pochłaniało coś ważnego. Coś niebezpiecznego. I choć ból zniknął, to zarazem było tak, jakby się jedynie przyzczał w mrokach umysłu, czekając, aż Richard się odpręży, by wtedy znów uderzyć.

Kiedy miał te migreny, budzący mdłości ból był tak silny, że Richarda bolało dosłownie wszystko. Choć czasami straszliwa udręka sprawiała, że z trudem stał, a z jeszcze większym szedł, wiedział, że pozostanie tam oznaczałoby nieuchronną śmierć. I choć migreny te były okropne same w sobie, Richard nie tyle trapił się bólem, ile jego przyczyną.

Nie były to te migreny, które miewał przedtem i których tak się bał - powodowane przez dar - lecz nie były to i zwyczajne bóle głowy. Od czasu do czasu miewał przeraźliwe bóle głowy, podobnie jak o wiele częściej jego matka. Nazywała je „swoimi nieubłaganymi migrenami”. Richard doskonale ją rozumiał.

Jednak te, chociaż nieubłagane, były inne. Obawiał się, że to dar może je zsyłać.

Już miewał bóle głowy związane z darem. Powiedziano mu, że to się może powtórzyć, kiedy przybędzie mu lat, kiedy rozwinie swoje zdolności, kiedy zacznie więcej pojmować. Remedium miało być dość proste. Miał jedynie poszukać pomocy innego czarodzieja, który pomógłby mu osiągnąć kolejny poziom świadomości i zrozumienia daru. Taka świadomość i zrozumienie umożliwiłyby mu zaś kontrolowanie i - co za tym idzie - eliminowanie bólu, gaszenie rozpalającego się na nowo płomienia. Tak mu przynajmniej powiedziano.

Jasne, że przy braku innego czarodzieja Siostry Światła z ochotą założyłyby obrożę, by pomóc w kontrolowaniu „przecieków” magicznej mocy.

Uprowadzono go, że owe migreny mogą doprowadzić do śmierci, jeśli się ich odpowiednio nie uśmierzy. Wiedział, że przynajmniej to była prawda. Teraz nie mógł sobie pozwolić na takie problemy, nie przy pozostałych. W tej chwili nic nie mógł na to poradzić: w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mu

pomóc przy tego rodzaju migrenach - żadnego czarodzieja ani nawet Siostry Światła, która chętnie znowu założyłaby mu obrozę, chociaż na to nigdy by nie pozwoliła.

Richard kolejny raz napomniął się, że to nie taki ból, jak ten zsyłany przez dar. Napomniął się, by nie wymyślać sobie problemów.

Dość było tych prawdziwych.

Jeden z wielkich ptaków ze świstem przeciął powietrze tuż nad jego głową. Chyżolot wykręcił się w locie, uniósł na wietrze, zerknął na Richarda. W jego ślady poszedł drugi, potem kolejno trzeci, czwarty i piąty. Jeden za drugim bezszelestnie odleciały nad pustkowiec. Chwiały skrzydłami, żeby utrzymać wysokość w porywach wiatru. W pewnej odległości zawróciły i znów się ku niemu zbliżały.

Ale nim do niego dotarły, zaczęły zataczać krąg. Kiedy rozpościerały swoje wielkie skrzydła, Richard zwykle słyszał, jak powietrze szumi wśród ich piór; teraz zagłuszał to wiatr. Przyglądały się czarnymi ślepiami, jak je obserwuje. Chciał, żeby wiedziały, że jest świadom ich obecności, że nie przespał ich nocnego powrotu.

Gdyby tak go nie trapiło to, co oznacza ich obecność, pewnie by uznał, że chyżoloty są piękne. Ich smukłe czarne sylwetki wspaniale kontrastowały z rozbłyskującą na niebie purpurą.

Obserwował je, lecz nie miał pojęcia, co właściwie robią. Widział już takie ich zachowanie i też go nie pojmował. Uświadomił sobie nagle, że kiedy wcześniej wracały, by kołować w ten osobliwy sposób, również wyczuwał ich obecność. Nie zawsze był świadom ich obecności, ich powrotu. Jednak kiedy miał migrenę, ta zniknęła z ich powrotem.

Gorący wiatr targał włosami Richarda. Chłopak wpatrywał się w jałowy bezkres przesłonięty pylistym mrokiem przedświt. Nie podobała mu się ta wymarła okolica. Tutaj świt nie oznaczał budzącego się do życia świata. Tak by chciał już być z Kahlan w lasach. Nie mógł się nie uśmiechnąć na wspomnienie owego miejsca w górach, w którym rok temu spędzili lato. Było tak wspaniale, że nawet Cara tam złagodniała.

Czarnosterne chyżoloty kołowały w słabym, lecz przybierającym na sile blasku, tak jak to zwykle robiły: nie ponad jego głowę, lecz trochę dalej - tym razem nad otwartą pustynią, nad którą porywy wiatru wzbijały przeświecające fale piasku. Kiedy indziej kołowały ponad zalesionymi

wzgórzami lub trawiastymi równinami. Kiedy tym razem obserwował je zataczające krąg, musiał mrużyć oczy przed unoszącym się w powietrzu piaskiem.

Nagle pochylily wielkie skrzydła, zacieśniły krąg i opuściły się ku pustyni. Wiedział, że na pewien czas tak zrobią, nim rozerwą krąg i wrócą do normalnego lotu. Niekiedy latały parami, wykonując wspaniałe ewolucje, w których jedno wdzięcznie powtarzało ruchy drugiego, jak to czasem robią kruki, lecz nigdy - poza tym sporadycznym kołowaniem - nie latały w zwartej grupie.

Wtem, kiedy atramentowoczarne kształty zataczały ścisły krąg, Richard zdał sobie sprawę, że piasek pod nimi wcale nie unosi się bezcelowo na wietrze, lecz opływa coś, czego właściwie tutaj nie ma.

Zjeżyły mu się włosy na karku.

Zamrugał, zmrużył oczy przed wiatrem, starał się wyraźnie widzieć w wyjącej piaskowej burzy. Jednak każdy poryw wichru wzbijał kolejne kłęby piachu i kurzu. A kiedy owe tumany mknęły nad płaskim gruntem i przechodziły pod chyzolotami, opływały coś, co tam tkwiło, uwydatniając ten kształt.

Jakaś postać.

Piach wirował wokół tej próżni, nadawał jej kontury, ukazywał to, co tam zarazem było i nie było. Ilekroć wiatr rzucił tam nowy kłęb piachu, ów zarys przypominał sylwetkę człowieka w szatach z kapturem.

Prawa dłoń Richarda znalazła się na rękojeści miecza.

Obecność tej postaci zdradzał jedynie piach osypujący się po jej konturach, podobnie jak mulista woda ukazuje zarys przejrzystej szklanej buteleczki. Postać stała bez ruchu, obserwowała go.

W oczodołach z piasku nie było, rzecz jasna, oczu, lecz Richard czuł, jak się weń wpatrują.

- Co się dzieje? - wyszeptała z niepokojem Jennsen, wyrastając znienacka obok niego. - O co chodzi? Widzisz coś?

Richard odepchnął ją w tył lewą ręką. Był tak spięty, że musiał się wysilić, by zrobić to łagodnie. Tak mocno zaciskał prawą dłoń na rękojeści miecza, że wypukłe litery słowa PRAWDA, litery ze złotych drucików, wbijały mu się w ciało.

Przywoływał cel istnienia miecza, rację jego bytu. Zbudziła się magiczna

moc oręza.

Wtargnął weń gniew miecza, rozbudził furję, lecz Richard mgliście wyczuwał nieoczekiwany opór magii broni na jego wezwanie. Jakby wychodził na zewnątrz gotowy stawić czoło wichurze - i mylił krok, bo napór wiatru był słabszy, niż się spodziewał. Nim Richard zdążył się zastanowić nad tym odczuciem, wtargnął weń gniew miecza, przepoił go lodowatą furją, magiczną mocą.

Chyżoloty kołowały, zaczynały się przybliżać. To także robiły przedtem, lecz tym razem tumany piachu zdradzały obecność kształtu, który przybliżał się wraz z nimi. Wyglądało to tak, jakby ptaki przyciągały bliżej owego niematerialnego zakapturzonego człowieka.

Charakterystyczny brzęk stali oznajmił pojawienie się Miecza Prawdy w gorącym powietrzu poranka.

Jennsen, ujrawszy to, pisnęła i odskoczyła.

Chyżoloty odpowiedziały przenikliwymi, drwiącymi wrzaskami unoszonymi przez wyjący wicher.

Charakterystyczny dźwięk dobywanego przez Richarda miecza sprawił, że Kahlan i Cara zerwały się do biegu. Cara chętnie osłoniłaby chłopaka, lecz wiedziała, że nie należy stawać przed nim, kiedy już trzymał miecz. Zaciskała w dłoni Agiel, broń Mord-Sith wyglądającą jak czerwony skórzany pręt. Zatrzymała się z boku i przykucnęła, gotowa do ataku niczym szykująca się do skoku krzepka kocica.

- Co to jest? - zapytała Kahlan, wpatrzona w rysującą się w wicherze sylwetkę.

- To chyżoloty - odparła z niepokojem Jennsen. - Wróciły.

Kahlan spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Chyżoloty wcale nie są tu najgorsze.

Richard obserwował stwora pod kołującymi chyżolotami. Zaciskał w dłoni miecz, jego moc przenikała go aż do szpiku kości, lecz się zawahał. Nie tracąc czasu, odwrócił się ku Tomowi, który akurat przerywał zaprzęganie koni. Zamarkował wysłanie strzały. Tom zrozumiał, zatrzymał się i wrócił ku wozowi. Friedrich chwycił postronki pozostałych koni i uspokajał zwierzęta, żeby się nie spłoszyły. Tom szukał wśród ładunku łuku i kołczanu Richarda.

Jennsen przenosiła wzrok z jednej ponurej twarzy na drugą.

- Czemu mówisz, że chyżoloty nie są tu najgorsze?

- Tamta... postać. - Cara wskazała Agielem. - Tamten człowiek.

Dziewczyna, zdumiona, patrzyła to na Carę, to na unoszony wiatrem piach.

- Co widzisz? - zapytał Richard.

Jennsen wyrzuciła w górę ramiona, dając upust swojej frustracji.

- Czarnosterne chyzoloty. Pięc. No i jeszcze oślepiający tuman piachu. Nic więcej. Czy tam ktoś jest? Widzicie nadchodzących ludzi?

Nie widziała tej postaci.

Tom wygrzebał na wozie łuk i kołczan i przybiegł do nich. Dwa chyzoloty, jakby zauważając nadciągającego z łukiem Toma, zatoczyły większy krąg. Okrążyły biegnącego i zniknęły w ciemności. Jednak pozostałe trzy ptaki dalej kołowały, jakby niosły tę osypywaną piaskiem postać.

Chyzoloty były coraz bliżej, a postać wraz z nimi. Richard nie miał pojęcia, co to takiego, lecz budziła grozę niczym koszmarny sen. Wypełniająca go moc miecza nie znała wątpliwości ni lęku. Dlaczego więc on je czuł? Wrzała w nim magiczna burza o mocy przewyższającej siłę wichury nad pustkowiem, domagała się uwolnienia. Richard z całych sił powstrzymywał to pragnienie, skłaniał moc do wypełnienia jego woli, gdyby ją uwolnił. Był panem miecza i musiał z pełną świadomością nim władać. Reakcja miecza na to, co ujawniały tumany piachu, świadczyła, że Richard nie powinien mieć żadnych wątpliwości co do natury tkwiącej przed nim postaci. Cóż więc wyczuwał w mieczu?

Za wozem dziko zarżał koń. Chłopak rzucił okiem przez ramię: Friedrich próbował uspokoić zwierzęta. Wszystkie trzy konie stawały dęba, szarpały linę, którą mocno trzymał. Parskały, uderzały kopytami w ziemię. Richard kątem oka dostrzegł strzelające z mroku dwie plamy czerni; przemknęły tuż nad ziemią. Betty przeraźliwie zameczała.

A plamy czerni zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, wtapiając się w mrok.

- Nie! - krzyknęła Jennsen i pobiegła ku zwierzętom.

Obserwowała ich nieruchoma postać. Tom wyciągnął rękę, by zatrzymać mijającą go Jennsen. Wyrwała mu się. Richard przez chwilę bał się, że Tom pogoni za nią, lecz nie - biegł ku niemu.

Z kłębiącego się mroku wyleciały nagle dwa chyzoloty - były tak blisko, że Richard widział stosiny lotek w szeroko rozpostartych skrzydłach. Ptaki

wychynęły z tumanów niesionego wiatrem piachu, włączyły się w krąg. Każdy z nich trzymał w szponach małe, białe, bezwładne stworzenie.

Nadbiegł Tom, trzymając w jednej ręce łuk, w drugiej zaś kołczan. Richard dokonał wyboru - wepchnął miecz do pochwy i chwycił łuk.

Jednym płynnym ruchem zgiął go i przymocował cięciwę. Wyszarpnął strzałę ze skórzanego kołczanu tkwiącego w krzepkiej garści Toma.

Richard odwrócił się ku celowi - zdążył już nasadzić strzałę i naciągnął cięciwę. Miło było znów czuć, jak napinają się mięśnie, naciągając łuk i szykować go do strzału. Dobrze było polegać na własnej sile, umiejętnościach, wielu godzinach ćwiczeń - i nie musieć zdawać się na magię.

Nieruchoma postać mężczyzny, którego tu nie było, zdawała się ich obserwować. Spływające po niej smużki piasku rysowały jej kontury. Richard spojrzał gniewnie na zarys głowy, w którą mierzył ostry jak brzytwa grot strzały. Grot, jak wszystkie ostrza, był swojski i dodawał chłopakowi otuchy. Z ostrzem w dłoniach był w swoim żywiole i nie miało znaczenia, czy utaczało ono krwi, czy wzbijało kamienny pył. Strzała o stalowym grocie mierzyła w tworzącą głowę pustkę.

Przenikliwe wrzaski chyzolotów wybijały się ponad wycie wichru.

Richard, z cięciwą przy policzku, rozkoszował się napięciem mięśni, ciężarem łuku, dotykiem piór strzały, odległością pomiędzy grotem a celem wypełnioną kłębiącym się piaskiem, naporem wichru na ramię, łuk i strzałę. Każdy z tych czynników i setki innych podlegały ocenie - teraz, po tylu latach praktyki, już zupełnie podświadomej - od której zależało, gdzie znajdzie się czubek grotu, kiedy już Richard przywoła cel.

Postać przed nim tkwiła nieruchomo, obserwowała.

Richard gwałtownie uniósł łuk i przywołał cel.

Świat dłań znieruchomiał i umilkł, odległość zdawała się kurczyć. Ciało miał równie napięte jak łuk, strzała była projekcją jego woli, znak przed strzałą - celem istnienia. Przywołał ocenę wszystkich czynników niezbędnych do połączenia strzały z celem.

Tumany piachu poruszały się wolniej. Chyzoloty, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, płynęły w zgęstniałym powietrzu. Richard nie miał wątpliwości, w co powinna trafić właśnie wypuszczona strzała. Poczuł, jak cięciwa uderza go w nadgarstek. Widział, jak nad jego pięścią pióra

znikają z łuku. Drzewce strzały leciutko się wygięło i śmignęło w przód.

Pierwsza strzała trafiła w cel, a Richard już wyciągał następną z trzymanego przez Toma kołczana. W szkarłatnym blasku świtu zawirowały czarne pióra. Ptak ciężko przeciął powietrze i z łomotem uderzył w ziemię tuż obok tajemniczej postaci. Wypuścił ze szponów okrwawione białe stworzenie - lecz było już za późno.

Pozostałe chyzoloty wrzasnęły z wściekłością. Pracowały skrzydłami, starając się nabrać wysokości, a jeden z przenikliwym wizgiem ruszył na Richarda. Chłopak przywołał cel. Wypuścił drugą strzałę.

Strzała wpadła w rozwartą gardziel chyzolota i wyszła z tyłu głowy, ucinając gniewny wizg. Ptak spadł na ziemię.

Postać pod resztą chyzolotów zaczęła się rozpląwać w kłębiącym się piachu.

Trzy pozostałe ptaki opuściły podopiecznego i pomknęły ku Richardowi, najwyraźniej w złych zamiarach. Przyglądał się im spokojnie zza swoich piór. Wypuścił trzecią strzałę. Lecący pośrodku chyzolot chciał zmienić kierunek, lecz dostał prosto w serce. Przekoziółkował, spadł korkociągiem przez kłębiący się piach i uderzył o zlepionce przed Richardem.

Dwa pozostałe ptaki runęły na chłopaka, wrzeszcząc wyzywająco.

Richard przyciągnął cięciwę do policzka, skierował w cel czwartą strzałę. Odległość szybko się kurczyła. Strzała natychmiast była w drodze. Trafiła chyzolota, który wciąż ścisnął w szponach okrwawione ciało koźlątka.

Ostatni rozwścieczony chyzolot złożył skrzydła i zanurkował. Jak tylko chłopak porwał strzałę z kołczana trzymanego przez Toma, wielki D'Harańczyk cisnął nożem. Nim Richard nasadził strzałę, nóż trafił w drapieżnego ptaka. Richard odsunął się, a wielkie martwe ptaszysko śmignęło obok i łupnęło o ziemię tuż za nim. Zawirowały czarno zakończone pióra, krew trysnęła na wysmaganą wichrem skałę.

Świt - jeszcze przed chwilą pełny mrozących krew w żyłach wrzasków chyzolotów - stał się nagle spokojny i cichy. Słysać było jedynie ciche zawodzenie wiatru. Czarne pióra unosiły się na owym wietrze, leciały nad pustkowiem pod żółtopomarańczowym niebem.

W tym właśnie momencie zza horyzontu wynurzyło się słońce, rzucając na jałową ziemię długie cienie.

Jennsen przytuliła jedno z nieruchomych białych koźlątek. Betty,

żałośnie mecząc i krwawiąc z rany na boku, stanęła na tylnych nogach i starała się obudzić małe, spoczywające nieruchomo w ramionach dziewczyny. Ta zaś nachyliła się nad drugim, rozciągniętym na ziemi koźlątkiem i położyła przy nim martwe bliźnię. Betty natarczywie lizała okrwawione ciałka. Jennsen przytuliła ją, a potem spróbowała odciągnąć. Lecz kózka zaryła się kopytami, nie chcąc zostawić pokaleczonych dzieci. Dziewczyna mogła ją jedynie pocieszać przez łzy.

Wreszcie wstała, nie mogąc oderwać Betty od martwych dzieci. Richard ją objął.

- Czemu chyżoloty nagle tak zrobiły?

- Nie wiem. Niczego oprócz nich nie widziałaś?

Jennsen tuliła się do Richarda, kryjąc twarz w dłoniach i płacząc.

- Widziałam wyłącznie ptaki - powiedziała, ocierając rękawem policzki.

- A postać obrysowaną przez niesiony wiatrem piach? - spytała Kahlan, pocieszająco dotykając jej ramienia.

- Postać? - Jennsen spojrzała na nią i na Richarda. - Jaką postać?

- Miała kontury człowieka. - Kahlan obiema rękami nakreśliła w powietrzu zarysy postaci. - Okrytego peleryną z kapturem.

- Widziałam tylko czarnosterne chyżoloty i chmury piachu.

- A nie zauważyłaś, jak piasek się po czymś osypuje? - zapytał Richard. - Jak uwidacznia jakiś kształt?

Jennsen zdecydowanie pokręciła głową i wróciła do Betty.

- Jeżeli ta postać miała coś wspólnego z magią - powiedziała Kahlan - to ona nie mogła jej dostrzec. Ale dlaczego nie dostrzegła tego piasku?

- Dla niej magia tu nie istniała.

- Jednak piasek był.

- Barwa jest na obrazie, lecz niewidomy nie może jej dostrzec, nie potrafi też zobaczyć kształtów namalowanych barwami. - Patrząc na Jennsen, w zadziwieniu potrząsnął głową. - Tak naprawdę nie wiemy, jak odbiera coś osoba nie mogąca dostrzec magii oddziałującej z tym czymś. Możemy jedynie zakładać, że jej umysł nie widzi magicznego kształtu i dostrzega wyłącznie chmury piasku. Może być i tak, że skoro to magiczny kontur, to tylko my potrafimy dostrzec zdradzające jego obecność ziarenka piasku, a ona widzi wyłącznie całe tumany i dlatego nie zauważa owego zarysu. A może jest to coś podobnego do granic: dwa światy istniejące w tym samym

miejscu, w tym samym czasie. Jennsen i my patrzymy na to samo, lecz widzimy innymi oczami, przez odmienne światy.

Kahlan skinęła głową, a Richard przyklęknął obok Jennsen i oglądał ranę w porośniętym kręconą brązową sierścią boku kózki.

- Lepiej to zeszyjmy - stwierdził. - Nie zagraża życiu, ale wymaga opatrzenia.

Wstał. Jennsen zapytała przez łzy:

- Więc widziałeś coś magicznego?

Richard spojrzał ku miejscu, gdzie w niesionym wiatrem piachu pojawiła się owa postać.

- Coś złego.

Za nimi Rusty potrząsała łbem i rżała współczująco ku niepocieszonej Betty. Tom ze smutkiem położył dłoń na ramieniu Jennsen, a ona chwyciła ją - jakby chciała z niej czerpać siłę - i przytuliła do policzka.

Po jakimś czasie dziewczyna wstała, osłoniła oczy i popatrzyła ku horyzontowi.

- Przynajmniej pozbyliśmy się tych obrzydliwych chyżolotów.

- Nie na długo - stwierdził Richard.

Ból głowy powrócił z taką siłą, że niemal ściął go z nóg. Sporo się kiedyś nauczył o kontrolowaniu bólu, o ignorowaniu go. Teraz tak zrobił.

Były większe zmartwienia.

ROZDZIAŁ 7

Gdzieś w połowie popołudnia, kiedy szli przez rozpaloną pustynię, Kahlan zauważyła, że Richard bacznie przygląda się swojemu wyciągniętemu przed nim cieniowi.

- Co się dzieje? - zapytała.

Wskazał widoczny przed nim cień.

- Chyżoloty. Dziesięć lub dwanaście. Właśnie się do nas podkradły. Kryją się w słońcu.

- Kryją się w słońcu?

- Lecą wysoko, a ich cień pada stamtąd na nas. Gdybyśmy spojrzeli w górę, nie zobaczylibyśmy ich, bo musielibyśmy patrzeć prosto w słońce.

Kahlan się odwróciła, osłoniła oczy i spróbowała sama się przekonać, lecz oczy bolały od prób spojrzenia w bezlitosne słońce. Kiedy wreszcie spuściła wzrok, Richard - który nadal patrzył przed siebie - znów skinął dłonią ku ceniom.

- Jeśli się uważnie wpatrzysz w ziemię wokół swojego cienia, dostrzeżesz zmiany blasku. To one.

Gdyby nie chodziło o tak poważną sprawę jak chyżoloty, Kahlan mogłaby podejrzewać, że Richard z niej żartuje. Wpatrywała się w ziemię wokół ich cieni i wreszcie dostrzegła to, o czym mówił. Z tej wysokości cienie chyżolotów były ledwie drobniutkimi nieregularnościami blasku.

Obejrzała się w stronę zaprzęgu. Tom powoził, Friedrich siedział przy nim na koźle. Ona i Richard dali odetchnąć koniom pojeździe; szły uwiązane do wozu. Jennsen siedziała na kocach obok żałośnie meczącej Betty. Kahlan pomyślała, że kózka przez cały dzień zamilkła ledwo na chwilę. Jej rana nie była groźna; cierpiała z innego powodu. Na szczęście Jennsen pocieszała biedaczkę.

Na ile Kahlan wiedziała, dziewczyna miała kózkę przez pół swego życia. Bez przerwy się przenosiły, ukrywały, uciekały przed Rahlem Posępnym. Trzymały się z dala od ludzi, żeby się niczym nie zdradzić, nie ryzykować, że wieść o nich dotrze do uszu władcy - lecz przez to Jennsen nie mogła mieć koleżanek. Matka dała jej więc kózkę do towarzystwa. Było to najlepsze, co mogła zrobić przy tych nieustannych wysiłkach, żeby ocalić córkę od

wpadnięcia w łapy potwora.

Kahlan otarła oczy z piekącego potu. Spojrzała na cztery czarne pióra, które Richard związał razem i przymocował sobie do prawego ramienia. Wziął te pióra, kiedy zbierał zdatne jeszcze do użytku strzały. Piąte pióro dał Tomowi, który nożem zabił ostatniego chyżolota. Tom, podobnie jak Richard, przymocował to pióro do ramienia. Uważał, że to swego rodzaju nagroda przyznana przez lorda Rahla.

Jednak ona wiedziała, że Richard nosi swoje pióra z całkiem innego powodu: jako widoczne dla wszystkich ostrzeżenie.

Odrzuciła włosy na plecy.

- Sądziś, że pod chyżolotami był człowiek? Obserwujący nas człowiek?

Richard wzruszył ramionami.

- Więcej ode mnie wiesz o magii. To ty mi powiedz.

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. - Spojrzała nań chmurnie. - Skoro to był człowiek... lub coś go przypominającego... to czemu, według ciebie, nagle się zdecydował ujawnić?

- Wcale nie uważam, że się zdecydował ujawnić. - Richard popatrzył na nią baczными szarymi oczami. - Myślę, że to był przypadek.

- Jak to, przypadek?

- Jeżeli ktoś wykorzystuje chyżoloty, żeby nas śledziły, i w jakiś sposób może nas widzieć...

- Jak może nas widzieć?

- Nie wiem. Może oczami chyżolotów.

- Magią tego nie osiągniesz.

Richard spojrzał na nią ostro.

- Wspaniale. Więc co to było?

Kahlan zerknęła na cienie rozciągnięte przed nimi na skale barwy koźlej skóry, na małe, niewyraźne kształty krążące wokół głowy jej cienia niczym muchy wokół zwłok.

- Nie wiem. Cóż to mówiłeś...? O kimś, kto wykorzystuje chyżoloty do śledzenia nas? Do patrzenia na nas ich oczami?

- Uważam - rzekł Richard - że ktoś nas obserwuje, albo z pomocą chyżolotów, albo patrząc ich oczami, a one nie mogą wszystkiego zobaczyć. Nie widzą wyraźnie.

- Więc?

- Skoro więc on nie widzi jasno i wyraźnie, to mógł się nie zorientować, że tu trwa burza piaskowa. Nie przewidział, co ujawni niesiony wiatrem piach. Nie sądzę, że zamierzał zdradzić swoją obecność. - Znów na nią spojrział. - Uważam, że popełnił błąd. Że się ujawnił zupełnie przypadkowo.

Kahlan westchnęła zdesperowana. Nie wiedziała, co przeciwstawić tak niedorzecznemu pomysłowi. Nic dziwnego, że nie przedstawił jej całej swojej teorii. Kiedy powiedział, że chyzoloty ich śledzą, myślała, że rzucono magiczną sieć i teraz coś uruchomiło sprzężone z nimi zaklęcie - najprawdopodobniej ów nieumyślny postępek Gary - a chyzoloty lecą za tym magicznym znacznikiem. I, jak to sugerowała Jennsen, ktoś sprawdza, gdzie są chyzoloty, a tym samym orientuje się, gdzie przebywają Richard i Kahlan. Pamiętała, że kiedyś Rahl Posepny „przyczepił” do Richarda znakujący obłok, by wiedzieć, gdzie oni są. Jednak Richard nie kierował się tym, co już się kiedyś zdarzyło - patrzył na wszystko oczami Poszukiwacza.

Wiele jeszcze rzeczy było dla niej bezsensownych w pomysłach Richarda, lecz nie zamierzała odrzucać go tylko dlatego, że nigdy przedtem o czymś takim nie słyszała.

- Może to nie „on” - powiedziała w końcu. - Może to „ona”. Może to Siostra Mroku.

Siostry Mroku, niegdyś Siostry Światła, które złożyły przysięgę wierności Opiekunowi, działały potajemnie. W zamian za ową przysięgę mogły w ograniczonym stopniu korzystać z mocy niedostępnych Siostrom Światła.

Richard znów popatrzył na Kahlan, tym razem z z troskaniem.

- Uważam, że bez względu na to, „kto” lub „co” to jest, nie jest czymś dobrym.

Z tym akurat nie mogła się spierać, lecz nadal nie potrafiła się przekonać do całej teorii.

- Powiedzmy, że jest tak, jak twierdzisz, że przypadkowo dostrześliśmy, jak nas podpatruje. Dlaczego więc chyzoloty nas zaatakowały?

Richard kopnął mały kamyk, wzbijając kurz.

- Nie wiem. Może po prostu był zły, że się zdradził.

- Był zły, więc kazał chyzolotom zabić małe Betty? I zaatakować ciebie?

- Tak tylko zgaduję, bo pytałaś. - Wzruszył ramionami. - Wcale nie twierdzę, że tak naprawdę myślę.

Powiewy wiatru kołysały długimi piórami, krwawoczerwonymi u nasady,

potem ciemnoszarymi i wreszcie atramentowoczarnymi na czubkach.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem rzekł z namysłem:

- A mogło być i tak, że ten „ktoś”, wykorzystujący chyzoloty do śledzenia nas, nie miał nic wspólnego z atakiem. Może one same z siebie postanowiły zaatakować.

- Odebrały wodze temu, kto nimi kierował?

- Być może. Mógł je wysłać za nami, żeby wiedzieć, gdzie jesteśmy i dokąd idziemy, lecz tylko na tyle potrafi je kontrolować.

Kahlan westchnęła poirytowana.

- Richardzie - odezwała się, nie mogąc już ukryć wątpliwości - sporo wiem o najrozmaitszych rodzajach magii, ale nigdy jeszcze nie słyszałam, by coś takiego było możliwe.

Richard pochylił się ku niej i znów wpatrzył się w nią tymi swoimi wspaniałymi szarymi oczami.

- Znasz się na magii z Midlandów. Może tutaj mają coś, z czym się jeszcze nie spotkałaś. Bo czy słyszałaś o Nawiedzającym Sny, zanim się zetknęliśmy z Jagangiem? Czy chociaż przyszło ci na myśl, że coś takiego jest możliwe?

Kahlan zagryzła dolną wargę i długo wpatrywała się w jego ponurą twarz. Richard dorastał bez magii - to wszystko było dlań zupełnie nowe. Na swój sposób była to jego siła, bo nie zakładał z góry, co jest możliwe, a co nie. A niekiedy stykali się z czymś bezprecedensowym.

Dla Richarda zresztą prawie cała magia była bezprecedensowa.

- Cóż więc według ciebie powinniśmy zrobić? - spytała w końcu.

- To, co postanowiliśmy. - Obejrzał się przez ramię; Cara była w sporej odległości, po ich lewej stronie. - To musi być powiązane z całą resztą.

- Cara tylko chciała nas chronić.

- Wiem. A może byłoby o wiele gorzej, gdyby tego nie dotknęła. Może być i tak, że zrobiwszy to, zdobyła dla nas dodatkowy czas.

Kahlan przełknęła ślinę. Ogarnął ją strach.

- Myślisz, że wciąż jeszcze mamy czas?

- Coś wymyślimy. Nadal nie jesteśmy całkiem pewni, co by to mogło oznaczać.

- Kiedy piasek przesypie się w klepsydrze, to zwykle znaczy, że już jest po wszystkim.

- Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- Obiecujesz?

Richard delikatnie pogłaskał jej szyję.

- Obiecuję.

Kahlan uwielbiała jego uśmiech, to, jak rozbłyskiwał iskierkami w jego oczach. Pamiętała, że zawsze dotrzymywał obietnic. Jednak w jego oczach było coś jeszcze i to nie pozwoliło jej spytać, czy Richard wierzy, że obiecane rozwiązanie zjawi się na czas, czy będzie dla nich korzystne.

- Boli cię głowa, prawda?

- Tak. - Uśmiech znikł. - To inny ból niż przedtem, ale jestem przekonany, że powód jest ten sam.

Dar. To miał na myśli.

- Dlaczego według ciebie jest inny? A skoro tak, dlaczego myślisz, że powód jest ten sam?

Zastanawiał się chwilę.

- Pamiętasz, jak tłumaczyłem Jennsen, że dar musi mieć przeciwwagę, że muszę unikaniem mięsa równoważyć udział w walkach? - Kiedy potaknęła, dodał: - Zaraz potem ból się nasilił.

- Nawet takie migreny się zmieniają.

- Nie... - Zmarszczył brwi, szukając odpowiednich słów. - Nie, to prawie tak, jakby mówienie, myślenie o konieczności rezygnacji z mięsa dla zrównoważenia daru sprawiło, że przybrały na sile.

Kahlan wcale się to nie spodobało.

- Chcesz powiedzieć, że twój dar, przyczyna migren, próbuje uświadomić ci doniosłość równowagi w korzystaniu z twojej magicznej mocy.

Richard przeczesał włosy palcami.

- Sam nie wiem. Ale w tym jest coś więcej. Jakoś nie mogę tego rozgryźć. Kiedy czasem próbuję iść tym tropem, myśleć, jak powinienem przeciwważyc swój udział w walkach, ból tak się nasila, że nie mogę o tym myśleć. No i jeszcze coś - dorzucił. - Mogą być kłopoty z moim sprzężeniem z magią miecza.

- Co takiego? Jak to możliwe?

- Nie wiem.

- Jesteś tego pewny? - Kahlan starała się, żeby w jej głosie nie zabrzmiał

niepokój.

Potrząsnął głową, zniechęcony i zirytowany.

- Nie, nie jestem. Po prostu tego ranka było jakoś inaczej, kiedy uznałem, że tak trzeba, i dobytek miecza. Jakby jego magia opornie zareagowała na moje wezwanie.

Kahlan chwilę się nad tym zastanawiała.

- Może to oznacza, że tym razem migreny są innego rodzaju. Może to nie dar je powoduje.

- Nawet jeżeli niektóre z nich są inne, to i tak uważam, że to dar je wywołuje - odparł. - Z poprzednimi łączy je to, że się stopniowo nasilają.

- Co chcesz zrobić?

Uniósł ramiona i pozwolił im opaść.

- Na razie nie mamy wielkiego wyboru. Musimy zrobić to, co zaplanowaliśmy.

- Moglibyśmy pójść do Zedda. Jeżeli to dar, jak przypuszczasz, to Zedd wiedziałby, co robić. Pomógłby ci.

- Kahlan, czy ty naprawdę wierzysz, że w ogóle mamy szansę dotrzeć na czas do Aydindril? Nawet gdyby pominąć całą resztę, jeśli te migreny wywołuje dar, to umarłbym wiele tygodni przed dotarciem na miejsce. A przecież nie wzięliśmy jeszcze pod uwagę trudności z przedarciem się przez zalewającą Midlandy armię i Jaganga, a zwłaszcza przez oddziały wokół Aydindril.

- Może go tam nie ma.

Richard kopnął następny kamień leżący na drodze.

- Myślisz, że Jagang ot, tak sobie zostawi Wieżę Czarodzieja z całą jej zawartością? Że zrezygnuje, żebyśmy mogli tego przeciwko niemu użyć?

Zedd był Pierwszym Czarodziejem. Dla kogoś z jego uzdolnieniami obrona Wieży Czarodzieja nie byłaby zbyt trudna. Miał też przy sobie Adie. Stara czarodziejka prawdopodobnie i w pojedynkę mogłaby bronić takiego miejsca. Zedd dobrze wiedział, czym byłaby wieża dla Jaganga, gdyby ten ją zdobył. Będzie więc bronił wieży bez względu na wszystko.

- Jagang nie przejdzie przez istniejące tam osłony - powiedziała Kahlan; tym się przynajmniej nie musieli martwić. - On o tym wie i nie będzie marnować czasu na trzymanie tam armii na próżno.

- Może i masz rację, ale i tak nic nam to nie da. To zbyt daleko.

Zbyt daleko. Kahlan chwyciła ramię Richarda, zatrzymała go.

- Sylfa. Gdybyśmy zdołali znaleźć jedną z jej studni, moglibyśmy przebyć tę drogę w sylfie. Wiemy, że w Starym Świecie taka studnia jest w Tanimurze. I że to o wiele bliżej niż Aydindril.

Richard spojrział ku północy.

- To by się mogło udać. Nie musielibyśmy omijać armii Jaganga. Wydostalibyśmy się w samej wieży. - Otoczył ramieniem jej barki. - Ale najpierw musimy się zająć tamtą sprawą.

- W porządku. - Kahlan się uśmiechnęła. - Najpierw zajmiemy się mną, a potem tobą.

Czuła wielką ulgę, że istniało takie rozwiązanie. Pozostali nie mogliby podróżować w sylfie - nie mieli wymaganej do tego magicznej mocy - lecz ona, Richard i Cara na pewno mogli to zrobić. I wynurzyliby się w wieży.

Wieża była ogromna, miała tysiące lat. Kahlan spędziła tam sporo czasu, a widziała jedynie małą jej część. Nawet Zedd nie znał całości, bo dostępu do niej strzegły pola ochronne umieszczone tam przed wiekami przez tych, którzy mieli dar obu magii, podczas gdy Zedd miał jedynie dar magii addytywnej. Przez całe eony przechowywano tu rzadkie i niebezpieczne magiczne przedmioty, jak również zapiski i niezliczone księgi. Bardzo możliwe, że do tej pory Zedd i Adie znaleźli w wieży coś, co wypędzi Imperialny Ład do Starego Świata.

Dotarcie do wieży nie tylko rozwiązałoby problemy Richarda z magicznym darem, ale i mogłoby im dostarczyć czegoś, co odwróciłoby na ich korzyść losy wojny.

Aydindril, Zedd i wieża wydały się nagle bardzo bliskie.

Kahlan poczuła, jak odżywa w niej optymizm, i uścisnęła dłoń Richarda. Wiedziała, że on chce iść przodem na zwiady.

- Wrócę sprawdzić, co porabia Jennsen.

Richard poszedł dalej, a Kahlan zwolniła i zaczęła, aż wóz znajdzie się obok. Wysoko ponad rozpaloną równiną prądy powietrzne niosły kolejny tuzin chyzolotów. Trzymały się słońca, poza zasięgiem strzał Richarda, lecz na widoku.

Tom podał Kahlan bukłak z toczącego się wozu. Była tak spragniona, że łykała nagrzaną wodę, nie dbając o paskudny smak. Przepuściła wóz, oparła stopę o metalową obręcz i podciągnęła się.

Jennsen wyraźnie się ucieszyła z jej towarzystwa. Kahlan odwzajemniła uśmiech, usiadła przy siostrze Richarda i rozpaczającej Betty.

- Co z nią? - spytała, delikatnie głaszcząc obwisłe uszy kózki.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Jeszcze jej takiej nie widziałam. Aż mi serce pęka. Mnie też było tak ciężko, kiedy straciłam mamę. Serce mi pęka.

Kahlan współczująco ścisnęła dłoń Jennsen.

- Wiem, że to ciężkie, ale zwierzęciu łatwiej to przeżyć niż ludziom. Nie przyrównuj tego do siebie i swojej mamy. To bardzo smutne, lecz inne. Betty może mieć jeszcze młode i całkiem o tym zapomni. Ty i ja zawsze byśmy pamiętały.

Jeszcze zanim wypowiedziała te słowa, poczuła nagłe ukłucie bólu na myśl o nie narodzonym dziecku, które straciła. Jak mogłaby się kiedykolwiek pogodzić ze stratą dziecka Richarda? Jeżeli nawet będzie miała inne dzieci, to nigdy nie zapomni o tym, które straciła przez tamtych bydlaków. Odruchowo obracała w palcach mały, ciemny kamyk swojego naszyjnika, dumając, czy jeszcze kiedyś będzie miała dziecko, czy kiedykolwiek świat będzie bezpiecznym miejscem dla ich potomka.

- Nic ci nie jest?

Kahlan uświadomiła sobie, że Jennsen ją obserwuje. Zmusiła się do uśmiechu.

- Po prostu martwię się z powodu Betty.

Jennsen czule pogładziła łeb kózki.

- Ja też.

- Ale wiem, że wkrótce dojdzie do siebie.

Kahlan patrzyła, jak po obu stronach wozu powoli przesuwa się bezkresna równina. Fale żaru sprawiały, że horyzont był jak płynny, a ziemne wysepki unosiły się ku niebu. Nadal nic tu nie rośło. Zbliżali się do odległych gór i grunt wznosił się powoli. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy dotrą do pełnych życia okolic, lecz teraz miała wrażenie, że to nigdy nie nastąpi.

- Czegoś tu nie rozumiem - odezwała się Jennsen. - Mówiłaś, że nie powinnam działać pochopnie, kiedy chodzi o magię, chyba że miałabym pewność, co się stanie. Mówiłaś, że to niebezpieczne. Że w magicznych sprawach działa się wtedy, kiedy się jest pewnym rezultatów.

Kahlan wiedziała, do czego dziewczyna dąży.

- To prawda.

- Nooo, a tamto bardzo mi wygląda na to działanie na oślepa, przed którym mnie przestrzegaliś.

- Mówiłam też, że czasem nie ma innego wyjścia, jak działać natychmiast. Tak właśnie postąpił Richard. Znam go. Zrobił to, co uznał za najlepsze.

Jennsen wyglądała na usatysfakcjonowaną.

- Nie sugeruję, że się mylił. Po prostu mówię, że nie rozumiem. Wydało mi się to bardzo lekkomyślne. No, i skąd niby mam wiedzieć, co masz na myśli, mówiąc mi, że w sprawach związanych z magią mam nie postępować lekkomyślnie?

Kahlan się uśmiechnęła.

- Witaj w bliskim otoczeniu Richarda. Często nie mam pojęcia, o czym on myśli. Nierzadko uważałam, że działa pochopnie, a okazywało się, że tak było trzeba, że to jedno mógł zrobić. To jeden z powodów, dla których obwołano go Poszukiwaczem Prawdy. Jestem pewna, że wziął pod uwagę rzeczy, które wyczuł, chociaż ja tego nie potrafiłam.

- Ale skąd on to wszystko wie? Skąd wie, co robić?

- Często jest równie zdezorientowany jak ty czy nawet ja. Ale jest też odmienny i pewny czegoś, co nam nie przyjdzie do głowy.

- Odmienny?

Kahlan spojrzała na młodą kobietę, na jej rude włosy połyskujące w popołudniowym słońcu.

- Urodził się z darem obu magii. Przez ostatnie trzy tysiące lat inni rodzili się wyłącznie z darem magii addytywnej. Niektórzy, jak Rahl Posepny i Siostry Mroku, potrafili się posługiwać magią subtraktywną, lecz tylko dzięki pomocy Opiekuna, bo sami takiego daru nie mieli. Jeden Richard urodził się z darem magii subtraktywnej.

- Wspomniałaś o tym ostatniego wieczoru, ale nie znam się na magii, więc nie wiem, co to znaczy.

- Sami nie całkiem jesteśmy pewni, co to znaczy. Addytywna magia wykorzystuje to, co istnieje, „dokłada” do tego lub w jakiś sposób to zmienia. Na przykład magia Miecza Prawdy wykorzystuje gniew i wzmacnia go, czerpie z tego moc i zmienia w coś innego. Osoby mające dar magii addytywnej

mogą leczyć. Magia subtraktywna zaś to niweczenie. Może spowodować zniknięcie czegoś. Według Zedda, magia subtraktywna jest przeciwieństwem addytywnej, tak jak noc jest przeciwieństwem dnia. A przecież obie są częścią całości. Posługiwanie się magią subtraktywną, jak to czynił Rahl Posępny, to jedno, lecz przyjście na świat z jej darem, to zupełnie coś innego. W dawnych czasach było inaczej, często rodzili się ludzie mający dar obu magii. Wielka wojna zakończyła się ustanowieniem bariery oddzielającej Nowy Świat od Starego. Dzięki temu zapanował pokój, lecz od tamtej pory sprawy się zmieniły. Nie tylko ci z darem rodzili się coraz rzadziej, ale i stracili dar magii subtraktywnej. Richard jest potomkiem dwóch rodów czarodziejów, jego dziadkami są Rahl Posępny i Zedd. Pierwszy od tysięcy lat urodził się z darem obu magii. Wszystkie nasze zdolności umożliwiają nam reagowanie na rozmaite sytuacje. Nie wiemy, jak dar obu magii wpływa u Richarda na możliwości postrzegania tego, co się dzieje, i robienie tego, co konieczne. Uważam, że jego dar kieruje nim w większym stopniu, niż mu się wydaje.

Jennsen westchnęła zaniepokojona.

- A jak to się stało, że ta bariera zniknęła po tak długim czasie?

- Richard ją zniszczył.

Dziewczyna spojrzała na nią ze zdumieniem.

- A więc to prawda. Sebastian powiedział mi, że lord Rahl, Richard, zniszczył barierę. I że zrobił to, żeby bez przeszkód najechać na Stary Świat i podbić go.

Kahlan uśmiechnęła się, usłyszawszy to bezczelne kłamstwo.

- Chyba w to nie wierzysz?

- Teraz już nie.

- Bariera nie istnieje i Imperialny Ład zalewa Nowy Świat, niszcząc wszystko i zamieniając jego mieszkańców w niewolników.

- Gdzie ludzie mogliby żyć bezpiecznie? A my?

- Żadne miejsce nie będzie bezpieczne, dopóki się ich nie powstrzyma i nie przepędzi.

Jennsen jakiś czas nad tym myślała.

- Skoro brak bariery pozwolił Imperialnemu Ładowi najechać i podbijać Nowy Świat, to czemu Richard ją zniszczył?

Kahlan przytrzymała się boku wozu podskakującego na nierównym

terenie. Patrzyła przed siebie, obserwując Richarda, który kroczył w oślepiającym blasku jałowego pustkowia.

- Z mojego powodu - odparła cicho. - To jedna z tych pomyłek, o których ci wspomniałam. - Westchnęła ze znużeniem. - Jedno z tych działań na oślep.

ROZDZIAŁ 8

Richard przysiadł, wsparł ręce na udach i badawczo przyglądał się dziwnemu fragmentowi skały. Głowa pulsowała mu bólem, lecz ze wszystkich sił starał się to ignorować. Migreny zjawiały się i znikwały bez wyraźnego powodu. Niekiedy zaczynał sądzić, że może to skwar je wywołuje, a nie dar.

Przyglądając się ziemi, zapomniał o bólu głowy.

Coś znajomego było w tej skałce. Nie po prostu znajomego, lecz niepokojąco znajomego.

Zatrzymały się przy nim kopytka gdzieś zakryte długimi kosmykami szorstkiej, brązowej sierści. Betty delikatnie trąciła łbem jego ramię; wyraźnie miała nadzieję na poczęstunek lub przynajmniej głaskanie. Richard spojrział na pełną oczekiwania mordkę kózki. Betty patrzyła, jak się jej przygląda, i zaczęła machać ogonkiem. Chłopak uśmiechnął się i podrapał ją za uchem. Zameczała z zadowoleniem, lecz wydało mu się, że wołałaby jakiś kąsek.

Nie jadła dwa dni, tylko leżała nieszczęśliwa na wozie. Teraz najwyraźniej wracała do życia i zaczynała przychodzić do siebie po utracie młodych. Wróciły jej i apetyt, i ciekawość. Bardzo lubiła chodzić na zwiady z Richardem, jeśli jej na to pozwolił. Jennsen śmiała się, patrząc, jak kózka biegnie za nim niczym szczeniaczek. Może tak naprawdę śmiała się uradowana, że Betty znów staje się taka jak przedtem.

Przez ostatnie dni zmieniała się i okolica. Zaczynali dostrzegać powrót życia. Najpierw były to zaledwie rdzawe porosty rosnące na popękanej skale. Wkrótce potem ujrzeli mały ciernisty krzak w obniżeniu terenu. Teraz owe wytrzymałe rośliny pojawiały się w sporych odstępach. Betty doceniała te krzaki i objadała je, jakby były najsmaczniejszą zieleniną. Konie też czasami próbowały je obgryzać, lecz nigdy im to nie smakowało.

Rozrastające się na skale porosty wyglądały jak upstrzone kolorami kruche łaty. Miejscami były ciemne, grube i skórzaste, a gdzie indziej tworzyły zaledwie cieniutką zieloną powłokę. Zielonkawe odbarwienie wypełniało pęknięcia i szczeliny, pokrywało spodnią stronę kamieni. Kiedy wyciągał sterczące z sypkiej ziemi większe kamienie, odsłaniał cienkie

strzępki ciemnobrązowych, rosnących w glebie grzybów.

Małe owady z długimi czułkami przemykały od skałki do skałki lub chowały się w dziurach rozrzuconych na ziemi kamieni, wyglądających, jakby kiedyś się gotowały i nagle zestaliły, więżąc w sobie bąble. Niekiedy po piasku brnął lśniący zielony chrząszcz o dużych szczypcach. Małe czerwone mrówki usypywały wokół swoich jamek kopczyki ziemi. W rozwidleniach gałązek rosnących tu i tam kolczastych krzaków widać było pajęczyny. Grunt stale się wznosił. Smukłe jasnozielone jaszczurki siedziały na skałkach, wygrzewając się w słońcu i obserwując mijających je ludzi. Gdy się zanadto zbliżali, szybkie jak błyskawica stworzenia kryły się w jakimś załomku.

Te oznaki życia, które od jakiegoś czasu widział Richard, na pewno nie wystarczyłyby do wyżywienia ludzi - lecz jakąż przynosiły ulgę, świadcząc, że ponownie wkraczał w świat żywych istot. Poza tym wiedział, że za pierwszą linią gór nareszcie znajdą się wśród bujnej przyrody. I że znowu zaczną napotykać ludzi.

Coraz częściej pojawiały się ptaki. Przede wszystkim te niewielkie: czerwonawe zięby, siwuszki, strzyżyki skalne i trznadle czarnoszyje. Richard widywał w oddali pojedyncze ptaki unoszące się na tle błękitnego nieba, trznadle zaś zbijały się w małe, płochliwe stadka. Ptaki przysiadaly niekiedy na mizernych krzakach, szukając ziaren i owadów. Znikały natychmiast, ilekroć pojawiały się chyzoloty.

Richard podniósł się, zapatrzony w rozciągający się przed nim otwarty teren i skałki. Był zaskoczony, bo nagle pojął, dlaczego to mu się wydaje tak niepokojąco znajome. Migrena zniknęła w tej samej chwili, kiedy to zrozumiał.

Po prawej dostrzegł Kahlan i Carę - szły ku niemu, ku miejscu, w którym stał, przyglądając się zadziwiającej powierzchni skały. Wóz z Tomem, Friedrichem i Jennsen jechał na południe. Kurz, wzbijany przez koła i konie, wisiał w nieruchomym powietrzu widoczny całe mile. Richard pomyślał, że przy zjawiających się co jakiś czas chyzolotach ten tuman kurzu właściwie nie ma już znaczenia. Ale i tak będzie zadowolony, kiedy dotrą do terenów, na których będą mogli nie rzucać się tak w oczy.

- Znalazłeś coś ciekawego? - spytała Kahlan, ocierając czoło rękawem.

Richard rzucił kilka kamyków na skałę, której się przypatrywał.

- Powiedz mi, co o tym myślisz.

- Myślę, że się lepiej czujesz - odparła. - Twój wygląd mi to zdradził.

Patrząc mu w oczy, obdarzyła go tym specjalnym, przeznaczonym wyłącznie dla niego uśmiechem. Nie mógł go nie odwzajemnić.

Cara, udając, że nie widzi ich uśmiechów, pochyliła się, by rzucić okiem.

- Uważam, że lord Rahl widział zbyt wiele skałek. To taka sama skała jak inne.

- Czyżby? - zapytał Richard. Wskazał miejsce, któremu się tak badawczo przyglądał, a potem to, przy którym stały Kahlan z Carą. - Oba są takie same?

Mord-Sith omiotła wzrokiem oba miejsca, skrzyżowała ramiona.

- To, na które patrzyłeś, nie jest może tak brązowe, ot i tyle.

Kahlan wzruszyła ramionami.

- Uważam, że ona ma rację, Richardzie. Wygląda jak ten sam rodzaj skały, może tylko odrobinę jaśniejszy. - Przez chwilę z namysłem przyglądała się ziemi, a potem dodała: - Powiedziałabym, że bardziej przypomina skałę, po której tyle dni wędrowaliśmy, nim zaczęliśmy napotykać skąpą trawę i krzaki.

Richard wsparł się pod boki i patrzył na ów niezwyklej fragment skalnej powierzchni.

- No to mi powiedz, co cechowało tamte skały sprzed paru dni, w pobliżu Filarów Świata.

Kahlan obejrzała się na zachowującą kamienny wyraz twarzy Carę, a potem spojrzała chmurnie na Richarda.

- Co cechowało? Nic. To było martwe miejsce. Nic tam nie rośło.

Chłopak zatoczył krąg ręką, wskazując ziemię, przez które podróżowali.

- A tutaj?

- Tutaj już coś rośnie - odezwała się Cara, coraz bardziej znudzona jego badaniami nad florą i fauną.

- A tam? - Wskazał.

- Tam nic nie rośnie. - Mord-Sith westchnęła z desperacją. - Dokoła pełno jest miejsc, w których jeszcze nic nie rośnie. To nadal jałowe pustkowie. Wykaż cierpliwość, lordzie Rahlu. Już wkrótce wrócimy do lasów i pól.

Kahlan nie zwracała uwagi na to, co tamta mówi. Pochyliła się i patrzyła z uwagą, marszcząc brwi.

- Wzrost roślin pojawia się nagle - odezwała się do siebie. - Czyż to nie dziwne?

- Tak bym i ja powiedział - stwierdził Richard.

- Myślę, że lord Rahl musi się solidnie napić wody - docięła mu Cara.

Uśmiechnął się.

- Stań tutaj. Stań obok mnie i spójrz jeszcze raz.

Mord-Sith, w której obudziła się ciekawość, zrobiła, jak chciał. Popatrzyła na ziemię, a potem chmurnie na miejsca, w których coś rośnie.

- Matka Spowiedniczka ma rację - stwierdziła zdecydowanym tonem. - Myślisz, że to ważne? Że mówi o jakimś zagrożeniu?

- Tak, przynajmniej na pierwsze pytanie - odparł Richard. Przykucnął obok Kahlan. - A teraz spójrzcie na to.

Uklękły przy nim i nachyliły się, żeby się dokładniej przyjrzeć skale. Richard musiał odsunąć na bok ciekawską Betty. Wskazał łatę pręgowanego żółcia porostu.

- Spójrzcie no tylko - rzekł. - Widzicie ten medalion porostów? Jest asymetryczny. Ta strona jest kulista, a tamta, bliższa miejsca, gdzie nic nie rośnie, spłaszczona.

Kahlan popatrzyła na niego.

- Porosty tworzą na skałach najrozmaitsze wzory.

- Owszem, ale spójrz: tam, gdzie są porost i krzak, prawie wszędzie coś rośnie. A za spłaszczoną częścią porostu nie ma prawie nic. Skała jest czyściutka. Gdy się bliżej przyjrzyysz, zobaczysz, że w ostatnich latach zaczęły tam rosnać pojedyncze rośliny, ale jeszcze muszą się zadomowić.

- Taaak - odezwała się ostrożnie. - To istotnie dziwne, ale nie jestem pewna, ku czemu zmierzasz.

- Popatrz, gdzie coś rośnie, a gdzie nie.

- No tak, po tej stronie nic nie rośnie, po tamtej zaś tak.

- Nie patrz tylko na ziemię. - Richard uniósł jej głowę. - Spójrz na granicę pomiędzy strefami, na cały układ.

Kahlan przyjrzała się, marszcząc brwi. I nagle pobladła.

- Drogie duchy... - wyszeptała.

- Nad czym się tak rozwodzicie? - spytała z przyganą Cara.

Chłopak tak ustawił głowę Mord-Sith, żeby widziała to, co on i Kahlan.

- Dziwne - oznajmiła, patrząc przymrużonymi oczami. - Obszar, na którym rosną rośliny, ucina się równo, jakby ktoś zbudował biegnący ku wschodowi niewidoczny płot.

- Właśnie - rzekł Richard. Wstał i otrzepał dłonie. - A teraz chodźcie - zażądał i skierował się na północ.

Kahlan i Cara też się podniosły i ruszyły za nim przez jałową skałę. Betty zameczała i pobiegła ich śladem.

- Dokąd idziemy? - spytała Cara, doganiając go.

- Po prostu idziemy - odparł.

Pół godziny szły za nim dobrym tempem wprost na północ, przez skalisty grunt i zwirowate miejsca, na których w ogóle nic nie rosło. Dzień był skwarny, lecz Richard niemal nie zauważał gorąca, skoncentrowany na jałowym pustkowiu. Jeszcze nie widział tego, co było po drugiej stronie, ale nie miał wątpliwości, co znajdą, kiedy tam dotrą.

Obie kobiety spieszyły jego śladem, obficie się pocąc. Pochód zamykała Betty mecząca od czasu do czasu.

Kiedy wreszcie dotarli do miejsca, którego szukał, w którym znów pojawiały się porosty i cherlawe krzaki, zatrzymał się. Betty wsunęła łeb pomiędzy Kahlan i Carę - też chciała zobaczyć.

- Przyjrzyjcie się temu - odezwał się Richard. - Rozumiecie, o co mi chodzi?

Kahlan była zasapana po tym szybkim marszu w upale. Zdjęła bukłak z ramienia i napiła się wody. Potem podała go Richardowi. Pił i przyglądał się, jak Cara bada wzrokiem owo miejsce.

- Rośliny znów się tam pojawiają - powiedziała; kiedy kózka niecierpliwie trącała ją łbem, Mord-Sith machinalnie drapała ją za uszami. - Pojawiają się w takiej samej linii jak tam, gdzie wcześniej byliśmy.

- Otóż to - rzekł Richard, podając jej bukłak. - Idźcie za mną.

Cara wyrzuciła ramiona w górę.

- Dopiero co stamtąd przyszliśmy!

- Chodźcie! - zawołał przez ramię.

Ponownie szedł na południe, ku centrum pozbawionej życia skalnej łąty, a one podążały za nim. Betty meczeniu oznajmiała swoje niezadowolenie z tempa marszu w skwarze i pyle. Jeżeli nawet Kahlan i Cara podzielały opinię kózki, to głośno tego nie okazywały.

Kiedy Richard uznał, że są mniej więcej pośrodku, rozstawił nogi, wsparł się pod boki i raz jeszcze spojrział ku wschodowi. Z punktu, w którym stali, nie widzieli boków jałowej połaci, miejsc, w których znów zaczynały się

pojawiać rośliny.

Jednak spojrzenie ku wschodowi wyraźnie ukazywało pewną prawidłowość. W dal ciągnął się dobrze odgraniczony pas szeroki na całe mile.

W obrębie owego prostego pasa pustyni nie rosło absolutnie nic, ani na skałach, ani na piaszczystym gruncie. Po obu jego stronach rozrzucone gdzieśgdzie krzaki i rosnące na skałach porosty miały ciemniejszą barwę. Miejsce pozbawione roślin było jaśniejsze. Owe różnice w zabarwieniu były nawet wyraźniejsze z pewnej odległości.

Jałowy pas ciągnął się mila za milą ku odległym góróm, stopniowo stając się linią wznoszącą się wraz z gruntem, i ostatecznie nikał w mglistej oddali.

- Myślisz to samo, co ja? - zapytała cichym, niespokojnym głosem Kahlan.

- A co? - wtrąciła się Cara. - Co myślicie?

Richard przypatrywał się zatroskanej twarzy Mord-Sith.

- Co zatrzymywało w D'Harze wojska Rahla Posępnego? Co przez tyle lat nie pozwalało mu, choć bardzo tego chciał, najechać i podbić Midlandów?

- Nie mógł przejść przez granicę - powiedziała Mord-Sith, i to takim tonem, jakby skwar pomieszał mu rozum.

- A co tworzyło granicę?

Teraz zbieła i twarz Cary, okolona ciemnym pustynnym zawojem.

- Zaświaty?

Richard przytaknął.

- To było niczym pęknięcie w zasłonie, przez które zaświaty wnikały do naszego świata. Zedd nam o tym opowiedział. Utworzył granicę za pomocą zaklęcia, które odnalazł w wieży. Zaklęcia z pradawnych czasów wielkiej wojny. Kiedy granica powstała, była miejscem, w którym w naszym świecie istniał też świat umarłych. Nic nie może rosnąć w miejscu, w którym stykają się oba światy.

- Jesteś przekonany, że nic by tam nie rosło? - zapytała Cara. - Przecież w końcu to i tak był nasz świat, świat życia.

- Nic nie mogłoby tam wzrastać. Był w owym miejscu świat życia, była gleba, lecz życie nie mogło się w owej glebie rozwijać, bo w tym samym miejscu istniał też świat umarłych. Śmierć zwarzyłaby wszystko.

Cara zerknęła na biegnącą w mglistą dal prostą, jałową połąć ziemi.

- Więc co myślicie? Że to jest granica?

- Była.

Mord-Sith spojrzała na niego, na Kahlan i ponownie w dal.

- Ale co oddzielała?

Ponad nimi ukazały się czarnosterne chyżoloty niesione przez powietrzne prądy. Leniwie kołowały, obserwując ich.

- Nie wiem - przyznał Richard. Znów popatrzył na zachód, na grunt stopniowo obniżający się od gór ku miejscu, w którym byli. - Widzicie? - spytał, wskazując rozprażone pustkowie, z którego przyszli. - Ciągnie się ku Filarom Świata.

Tam roślinność stawała się coraz bardziej skąpa, aż wreszcie znikła - a wraz z nią ów pas ziemi. Przestawał się odcinać od okalającego go pustkowie, bo żadne rośliny nie wyznaczały jego zarysów.

- Nie wiadomo, jak daleko się ciągnie - odezwał się chłopak. - Ale całkiem możliwe, że aż do samej doliny.

- To nie ma dla mnie żadnego sensu - powiedziała Kahlan. - Rozumiem, że według ciebie było to coś takiego jak granice w Nowym Świecie, granice pomiędzy Westlandem, Midlandami i D'Harą. Tyle pojmuję. Ale niech mnie duchy porwą, nie mogę zrozumieć, czemu miałyby się to ciągnąć aż do Filarów Świata. Wydaje mi się to ogromnie dziwne.

Richard odwrócił się i spojrzał ku wschodowi, ku któremu się kierowali, ku szarej ścianie gór stopniowo wyrastającej z bezkresnej pustyni. Wpatrywał się w odległą wąską przełęcz, nieco na północ od biegnącej ku owym góróm linii granicy. Potem popatrzył na południe, na wóz jadący ku tym góróm.

- Lepiej dołączmy do nich - powiedział w końcu. - Muszę się znów zabrać do tłumaczenia książki.

ROZDZIAŁ 9

Widmowe iglice wokół Richarda lśniły w promieniach nisko wiszącego słońca. Przeprowadzał rekonesans owego odludnego skraju potężnych gór. Długie plamy cieni w bursztynowym świetle stopniowo stawały się sinoczarne. Pinakle czerwonych skałek sterczały w dolnych partiach niegościnnego pogórza niczym kamienni strażnicy nasłuchujący odgłosów jego kroków po wijących się jęzorach żwiru.

Richard chciał być sam, żeby spokojnie się zastanowić, więc wyruszył na ten rekonesans. Trudno nad czymś rozmyślać, kiedy bez przerwy o coś cię pytają.

Był zniecierpliwiony i poirytowany, że jeszcze nie znalazł w książce niczego, co by pozwoliło wyjaśnić obecność tej dziwnej linii granicznej, a zwłaszcza związek pomiędzy tytułem tej książki, miejscem zwanym Filarami Świata, i ludźmi tak całkowicie pozbawionymi daru jak Jennsen. Tekst - przynajmniej w tym fragmencie, który dotąd przetłumaczył - wyglądał na kronikarskie zapiski dotyczące nieprzewidzianych problemów mających związek z obecnością „Filarów Świata”, jak zwano podobnych Jennsen, i daremnymi próbami „wyleczenia” owych „nieszczęśników”.

Richard coraz bardziej się upewniał, że książka starannie prezentuje wszelkie fakty, żeby po tym wstępie przejść do czegoś katastrofalnego. Niemal chorobliwa troska o przedstawienie każdej ewentualności, którą brano pod uwagę, przekonywała chłopaka, że autor był tak drobiazgowy z nader ważnego powodu.

Nie chcąc spowalniać podróży, tłumaczył, jadąc na wozie. Dialekt nieco się różnił od górnod'harańskiego, w którym nauczył się czytać, więc praca postępowała wolno. Nie miał pojęcia, czy książka w końcu cokolwiek wyjaśni, lecz tekst przyprawiał go o coraz większy niepokój. Chętnie by przeskoczył do przodu, ale już się kiedyś przekonał, że przynosiło to więcej szkód niż korzyści, bo zaburzało prawidłowy ogląd całości, co z kolei prowadziło niekiedy do niebezpiecznie błędnych wniosków. Musiał się więc trudzić dalej.

Po całym dniu wytężonej pracy nad książką nabawił się potężnego bólu głowy. Przez jakiś czas migreny go nie nękały, lecz kiedy teraz wracały,

zdawały się gorsze niż przedtem. Nie powiedział Kahlan, że martwi się, iż nie zdoła dotrzeć do studni sylfy w Tanimurze. Pracował nad przekładem i łamał sobie głowę nad znalezieniem jakiegoś rozwiązania.

Nie miał pojęcia, co stanowi klucz do migren zsyłanych przez dar, lecz dręczyło go poczucie, że to „coś” tkwi w nim samym. Obawiał się, że to kwestia zachowania równowagi, którego to problemu nie potrafi dostrzec i rozwiązać. Raz, kiedy samotnie wyruszył na zwiady, skorzystał z nauk Sióstr Światła: usiadł spokojnie i medytował, starając się koncentrować na swoim darze. Nic mu to nie dało.

Wkrótce zrobi się ciemno i będą się musieli zatrzymać na noc. Zmieniło się ukształtowanie terenu i już nie tak łatwo było się przekonać, czy są bezpieczni. W niektórych miejscach mogła się czaić w zasadzce cała armia. Chyżoloty podążały ich śladem i ów tajemniczy „ktoś” mógł dzięki ptakom wiedzieć, gdzie ich znaleźć. Richard nie tylko chciał mieć spokój, żeby przemyśleć to, co wyczytał, i poszukać w sobie remedium na migreny, ale i wołał osobiście sprawdzić okolicę.

Zatrzymał się na chwilę i przyglądał rodzinie przepiórek spieszącej przez odkryty spłacheć gruntu. Dreptały rządkiem przez zwirowisko, a ojciec tkwił na skałce i czuwał. Wkrótce znów zniknęły mu z oczu, kryjąc się w zaroślach.

Niewielkie, poskręcane sosny rosły tu i ówdzie na stokach wzgórz w żlebach i skalnych wychodniach. Wyżej, na pobliskich zboczach, widać już było liczniejsze, większe drzewa iglaste. W osłoniętych zagłębieniach krzaki tworzyły gęste zarośla. Otwarte kawałki gruntu porastała niekiedy mizerna trawa.

Richard otarł oczy z potu. Liczył, że wraz z zachodem słońca powietrze choć trochę się ochłodzi. Szedł pomiędzy dwoma wzgórzami, dnem rynny, którą spływała kiedyś woda. Właśnie sięgał po bukłak, bo chciał się napić, kiedy jego uwagę przyciągnął jakiś ruch na odległym stoku. Schował się za długą skalną półką. Ostrożnie wyjrzał: po pokrytym rumoszem stoku schodził jakiś mężczyzna. Chrząst rozgniatanych butami, zsuwających się po pochyłości odłamków niósł się echem po górskich kanionach.

Richard spodziewał się, że zaczną napotykać ludzi, kiedy zostawią za sobą złowrogie pustkowia, polecił więc, żeby wszyscy zamienili czarne odzienie nomadów na zwyczajne stroje podrózne. Sam był w czarnych spodniach i skromnej koszuli, ale miecz rzucał się w oczy. Kahlan również

przywdziała skromne szaty, żeby jak najmniej się różnić od zubożałych ludzi ze Starego Świata, lecz nic to nie dało; trudno było ukryć jej twarz i włosy, a przede wszystkim osobowość. Ilekroć spojrzała na kogoś tymi swoimi zielonymi oczami, taki ktoś zwykle natychmiast padał na kolana i skłaniał głowę. Strój nie miał tu nic do rzeczy.

Imperator Jagang na pewno rozesał wszędzie ich rysopisy i obiecał na tyle wysoką nagrodę, że nawet jego wrogowie mieliby się ochotę na nią skusić. Jednak wielu mieszkańców Starego Świata miało dość życia pod tyrańskimi rządami Imperialnego Ładu. Wielu z nich, nie bacząc na obiecaną nagrodę, pragnęło wolności i zamierzało ją zdobyć.

No i była jeszcze więź łącząca lorda Rahla z D'Harańczykami. Dzięki owej prastarej więzi, będącej dziełem przodków Richarda, każdy D'Harańczyk potrafił wyczuć, gdzie się znajduje lord Rahl. Dzięki owej więzi i Imperialny Ład mógł odkryć, gdzie jest Richard. Wystarczyło, by torturami wydobyli tę wiadomość od jakiegoś D'Harańczyka. Gdyby ktoś nie wydał go pomimo tortur, na pewno nie zawahaliby się przed dręczeniem innych, dopóki by się tego nie dowiedzieli.

Richard patrzył, jak samotny mężczyzna dociera do stóp wzgórza i rusza po żwirze leżącym na dnie skalnych rynien. Po prawej stronie chłopaka widać było kurz wzbijany przez wóz i konie. Ów człowiek najwyraźniej kierował się właśnie tam.

Z tej odległości trudno było mieć pewność, lecz Richard wątpił, że to żołnierz. Raczej nie był też zwiadowcą, nie w swoich rodzinnych stronach, no i nie dotarli jeszcze w pobliże ognisk rewolty przeciwko władzy Imperialnego Ładu. Chłopak nie sądził, by żołnierze mieli powody kręcić się tutaj, na tych niezamieszkałych terenach. Przecież właśnie dlatego wybrał tę drogę wiodącą na wschód, w cień gór, a potem skręcającą bardziej na północ, ku miejscu ich poprzedniego pobytu.

Istniała też możliwość, że dzięki więzi odkryto, gdzie przebywa, i że teraz szukała go cała armia. Jeżeli ów człek jest żołnierzem, to wkrótce pojawią się inni, schodząc ze wzgórz niczym mrówki.

Richard wdrapał się na niewysokie skalne wzniesienie, położył się na brzuchu i patrzył. Kiedy tamten znalazł się bliżej, okazało się, że jest młody, niespełna trzydziestoletni, nieco wychudzony i odziany zupełnie nie jak żołnierz. Potykał się, co zdradzało, że nie przywykł do takich terenów lub w

ogóle do wędrowania. Ciężko było iść po luźnych, ostrych, spękanych głazach, a już zwłaszcza po pokrytym nimi stoku, bo nie było pewnego oparcia dla stóp.

Nieznajomy przystanął i wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na wóz. Dyszał, zmęczony schodzeniem po stoku. Kilka razy przeczesał palcami cienkie blond włosy, a potem się nachylił i wsparł dłoń o kolano - łapał oddech.

Kiedy się wyprostował i ruszył dalej po chrzęszczącym żwirze, Richard zsunął się ze skałki. Krył się przed wzrokiem tamtego, wykorzystując rzeźbę terenu i kępy mizernych sosen. Niekiedy podchodził bliżej, przystawał i nasłuchiwał ciężkich kroków oraz wysiłonego oddechu, sprawdzając, czy dobrze ocenił, gdzie się tamten znajduje.

Ostrożnie wyjrzał zza wolno stojącej skalnej ściany wysokiej na dobre sześćdziesiąt stóp. Udało mu się dotrzeć aż tutaj, nie zdradzając swojej obecności. Przemykał bezszelestnie od drzewa do skałki ku przeciwległej stronie stoku, aż wysforował się przed tamtego i znalazł na linii jego marszu. Teraz, nieruchomy jak głaz za pokręconą czerwonawą iglicą sterczącą ze spękanego podłoża, nasłuchiwał zbliżających się kroków, ciężkiego oddechu mężczyzny, wdrapującego się na skalne wybrzuszenia.

Kiedy nieznajomy był o jakieś sześć stóp, Richard stanął przed nim.

Mężczyzna zachłysnął się oddechem, zebrał pod szyją lekką podrózną pelerynę i cofnął się o krok.

Richard przyglądał mu się z nieodgadnioną miną, chociaż szalał w nim gniew miecza. Przez mgnienie wyczuł, jak owa moc słabnie. Magia miecza reagowała tak, jak pan owego oręza oceniał niebezpieczeństwo - to chwilowe osłabienie mocy mogło się wziąć z tego, że nieznajomy nie stanowił bezpośredniego zagrożenia.

Odzienie owego człowieka - brązowe spodnie, lniana koszula i cienka, wystrzępiona barchanowa peleryna - pamiętało lepsze dni. Wyglądał na utrudzonego podróżnika, ale i Richard, żeby nie wzbudzać podejrzeń, wdział skromne ubranie. Plecak tamtego był prawie pusty. Odznaczające się pod peleryną dwa bukłaki, których rzemienie krzyżowały się mu na piersi, były płaskie i opróżnione. Richard nie zauważył żadnej broni, nawet noża.

Mężczyzna tkwił wyczekująco, jakby bał się pierwszy odezwać.

- Wygląda na to, że podążasz ku moim przyjaciółom - rzekł Richard, skinąwszy głową ku złocistemu tumanowi kurzu wiszącemu w promieniach

słońca ponad mroczniejącą równiną. Dawał napotkanemu okazję, żeby się wytłumaczył.

Tamten, przygarbiony, z wybałuszonymi oczami, parę razy przeczesał palcami włosy. Richard tkwił przed nim jak skała, zagradzając mu drogę. Człowiek ów łypnął na boki niebieskimi oczami, sprawdzając, czy miałyby którądy uciec, gdyby się na to zdecydował.

- Nie zrobię ci nic złego - powiedział Richard. - Po prostu chcę wiedzieć, co zamierzasz.

- Zamierzam?

- Po co idziesz do wozu.

Mężczyzna zerknął ku wozowi, skrytemu teraz za urwistymi skałkami, potem na miecz Richarda i w końcu w jego oczy.

- Ja... szukam pomocy - wykrztusił.

- Pomocy?

Nieznajomy potaknął.

- Tak. Szukam kogoś, kogo fachem jest walka.

Richard przekrzywił głowę.

- Szukasz jakiegoś żołnierza?

- Tak, właśnie tak - odparł spłoszony chmurną miną Richarda.

- Imperialny Ład ma całe mnóstwo żołnierzy. - Chłopak wzruszył ramionami. - Na pewno na któregoś z nich natrafisz, jeżeli będziesz dalej szukać.

Tamten pokręcił głową.

- Nie. Ja szukam człowieka z dalekich stron, z dalekich stron na północy. Tego, który przybył, żeby dać wolność wielu ciemężonym ludziom Starego Świata. Który dał nam nadzieję, że Imperialny Ład, niech Stwórca wybaczy im ich błędy, zostanie przepędzony i że znowu będziemy mogli żyć w pokoju.

- Przykro mi - stwierdził Richard - ale nikogo takiego nie znam.

Mężczyzna nie wyglądał na rozczarowanego. Raczej sprawiał wrażenie, że nie uwierzył. Wyraz jego twarzy o delikatnych rysach świadczył, że Richard go nie przekonał.

- Może byś mógł - niepewnie podniósł rękę i wskazał - dać mi chociaż... łyk wody?

Richard trochę się odprężył.

- Oczywiście.

Zsunął z ramienia rzemyk i podał bukłak nieznajomemu. Ten pochwycił go, jakby był z drogiego szkła, które bał się potłuc. Wyciągnął zatyczkę i zaczął pić. Nagle przestał i opuścił naczynie.

- Przepraszam. Przecież nie mogę wypić ci całej wody.

- W porządku. - Richard dał mu znak, żeby pił dalej. - Na wozie mam jej więcej. A tobie to potrzebne.

Zatknął kciuk za szeroki skórzany pas, a tamten skłonił głowę w podziękowanie i znów się napił.

- Gdzieś słyszał o tym człowieku, który walczy o wolność? - spytał chłopak.

Nieznajomy, nie spuszczać zeń oczu, opuścił bukłak i łapał oddech.

- Wielu o nim mówi. Wolność, którą tu zapoczątkował, dała nadzieję nam wszystkim.

Richard uśmiechnął się w duchu, słysząc, że nadzieja na wolność gorzej nawet w tak mrocznym miejscu jak samo serce Starego Świata. Wszędzie byli ludzie pragnący tego samego, pragnący żyć swobodnie i dzięki własnej pracy poprawiać swój los.

Ponad ich głowami ukazał się czarnosterny chyzolot szybujący z szeroko rozpostartymi skrzydłami przez widoczny między skałami fragment nieba. Richard nie miał ze sobą łuku, zresztą ptak i tak był poza zasięgiem strzały.

Mężczyzna na widok chyzolota skulił się niczym zając na widok jastrzębia.

- Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc - odezwał się Richard, kiedy ptak zniknął im z oczu. Spojrzał w stronę wozu, za pobliskie wzgórza. - Podróżuję z żoną i rodziną, szukając pracy, miejsca, w którym moglibyśmy się zająć własnymi sprawami.

Tą „sprawą” była rewolucja, gdyby udało mu się wcielić plan w życie, a wiele osób na to liczyło. Ale najpierw musiał się zająć bardziej naglącymi problemami.

- Ale, lordzie Rahlu, moi ludzie potrzebują...

Richard określił się ku niemu.

- Dlaczego mnie tak tytułujesz?

- Ja... ja przepraszam - wydukał tamten. - Nie miałem zamiaru cię rozgniewać.

- Dlaczego uważasz, że jestem lordem Rahlem?

Nieznajomy przesunął dłonią w górę i w dół, wskazując Richarda, i dławił się, szukając słów.

- No... no... bo nim jesteś. Nie mam pojęcia, jakiej odpowiedzi ode mnie oczekiwałeś. Przepraszam, lordzie Rahlu, jeżeli uraziłem cię swoją bezczelnością.

Zza skalnej iglicy ukazała się Cara.

- A cóż my tu mamy?

Obcy na jej widok zakrztusił się oddechem i chwiejnie cofnął, przyciskając bukłak do piersi niczym stalową tarczę.

Tom, dzierżąc w dłoni srebrny nóż, ukazał się z tyłu, ze skalnej rynny, i zablokował biedakowi jedyną drogę ucieczki.

Nieznajomy obrócił się i ujrzał z tyłu wielkiego Toma. A kiedy znów spojrzął przed siebie, zobaczył stojącą obok Richarda Kahlan i raz jeszcze zachłysnął się oddechem. Wszyscy nosili zakurzone podrózne stroje, ale Richard raczej nie wierzył, że w tej chwili wyglądają na zwykłych, jeżdżących w poszukiwaniu roboty ludzi.

- Błagam - odezwał się biedak. - Nie zamierzam zrobić nic złego.

- Uspokój się - rzekł Richard, patrząc z ukosa na Carę, bo mówił nie tylko do wylęknionego mężczyzny, ale i do Mord-Sith. - Sam jesteś?

- Tak, lordzie Rahlu. W misji dla mojego ludu, jak już mówiłem. Oczywiście, należy ci wybaczyć twoją agresywność, i tak niczego innego się nie spodziewałem. Chcę, byś wiedział, że nie żywię do ciebie urazy.

- Dlaczego uważa cię ze lorda Rahla? - Cara zwróciła się do chłopaka bardziej oskarżycielskim niż pytającym tonem.

- Słyszałem, jak wygląda - wtrącił się nieznajomy. Nadal przyciskając bukłak do piersi, wskazał drugą ręką. - No i ten miecz. Słyszałem o mieczu lorda Rahla. - Ostrożnie spojrzął na Kahlan. - A to, oczywiście, Matka Spowiedniczka - dodał, pochylając głowę.

- Oczywiście - westchnął Richard.

Podejrzewał, że będzie musiał chować miecz przed obcymi, a teraz przekonał się, jakie to będzie ważne, kiedy się znajdą w zamieszkaney okolicy. Miecz można było dość łatwo ukryć. Ale nie Kahlan. Pomyślał, że pewnie winni ją zamotać w łachmany i głosić, że jest trędowata.

Nieznajomy, zachowując ostrożność, oddał Richardowi bukłak.

- Dziękuję, lordzie Rahlu.

Chłopak pociągnął solidny łyk paskudnej wody i podał bukłak Kahlan. Odmówiła ruchem głowy i pokazała, że ma własny. Więc łyknął znowu, zakorkował bukłak i zawiesił go na ramieniu.

- Jak się nazywasz? - spytał.

- Owen.

- No cóż, Owenie, może byś spędził tę noc w naszym obozowisku. Napełnilibyśmy wodą twój bukłak, zanim rankiem wyruszyłyś w drogę.

Cara, z trudem nad sobą panując, powiedziała doń przez zaciśnięte zęby:

- Może pozwolisz mi się zająć...

- Uważam, że problemy Owena są zrozumiałe dla nas wszystkich. Martwi się o swoją rodzinę i przyjaciół. Rankiem wyruszy w swoją stronę, a my w swoją.

Richard nie chciał, żeby Owen tkwił gdzieś w ciemnościach, bo nie mogliby go wtedy mieć na oku tak jak w obozie. A rankiem dość łatwo się upewnia, czy nie idzie ich tropem. Mord-Sith wreszcie pojęła zamiary chłopaka i uspokoiła się. Wiedział, że wolałaby nie mieć w pobliżu żadnego obcego, kiedy on i Kahlan zasną.

Richard, z Kahlan u boku, ruszył ku wozowi. Owen poszedł za nimi, popatrując to na Carę, to na Toma.

Po drodze chłopak wypił resztę wody z bukłaka, a idący z tyłu Owen dziękował za zaproszenie i obiecywał, że nie sprawi żadnych kłopotów.

Richard zamierzał zadbać, żeby dotrzymał obietnicy.

ROZDZIAŁ 10

Richard wdrapał się na wóz i zanurzył oba buklaki Owena w ostatniej beczce wody. Owen siedział oparty plecami o koło i od czasu do czasu spoglądał wyczekująco na chłopaka. Cara wbijała w nieoczekiwanego gościa gniewne spojrzenie. Najwyraźniej nie przypadł jej do gustu lecz Mord-Sith były aż nadopiekuńcze wobec Richarda, więc jej obawy wcale nie musiały być uzasadnione.

Z jakiegoś powodu i Richardowi mężczyzna się nie spodobał; nie to że wzbudził w nim niechęć - po prostu nie mógł go polubić. Owen był uprzejmy i niegroźny, lecz było w nim coś takiego, co budziło w Richardzie... irytację.

Tom i Friedrich łamali zebrane wcześniej suche drewno i dorzucali je do ogniska. Wspaniały aromat płonącej sosny skutecznie zamaskował odór stojących w pobliżu koni.

Owen co jakiś czas zerkał lękliwie na Carę, Kahlan, Toma i Friedricha. Jednak o wiele bardziej niepokoiła go Jennsen. Starał się omijać ją wzrokiem, nie patrzeć w jej kierunku, nie spoglądać w oczy - lecz jej rude, połyskujące w blasku ognia włosy nieodparcie przyciągały jego wzrok. Aż przestał oddychać, kiedy podeszła doń Betty żeby obejrzyć sobie obcego. Richard wyjaśnił Owenowi, że kózka chce tylko, żeby okazać jej zainteresowanie. Mężczyzna tak ostrożnie poklepał ją po łebku, jakby była chimera gotową odgryźć mu ramię.

Jennsen - udając, że nie widzi, jak on zerka na jej włosy - poczęstowała go suszonym mięsem. On zaś tylko wybałuszał na nią oczy.

- Nie jestem wiedźmą - wyjaśniła mu. - Ludzie uważają, że moje rude włosy to znak, że jestem wiedźmą. Ale nie jestem nią. Zapewniam cię, że nie ma we mnie ani krzty magii.

Ostry ton jej głosu zdumiał Richarda, przypomniał mu, że pod kobiecym czarem kryje się żelazna wola.

Owen, nadal się na nią gapiąc, rzekł:

- Jasne, że nie. Ja... ja... po prostu jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknych włosów.

- O, dziękuję. - Dziewczyna znów się uśmiechała. Ponownie podsunęła mu kawałek suszonego mięsa.

- Przepraszam - zaczął się usprawiedliwiać - ale wolę nie jeść mięsa, jeśli ci to nie przeszkadza. - Pospiesznie sięgnął do kieszeni i wyjął płócienne zawiniątko z sucharami. Zmusił się do uśmiechu i wyciągnął suchary ku Jennsen. - Poczęstujesz się?

Tom podskoczył i spojrzał nań z gniewem.

- Nie, dziękuję - odparła Jennsen, cofnęła rękę i usiadła na niskim, płaskim głazie. Chwyliła Betty za ucho i kazała jej się ułożyć u swoich stóp. - Lepiej sam jedz suchary, skoro nie chcesz mięsa. Obawiam się, że mamy głównie mięso.

- Dlaczego nie jesz mięsa? - zaciekał się Richard.

Owen spojrzał przez ramię na tkwiącego na wozie chłopaka.

- Bo nie chcę krzywdzić zwierząt, żeby zaspokoić głód.

- Cóż za wielkoduszność. - Jennsen uśmiechnęła się uprzejmie.

Mężczyzna skrzywił się i znów popatrzył na jej włosy.

- Tak po prostu uważam - odparł i w końcu odwrócił od niej wzrok.

- Rahl Posępny też był tego zdania. - Cara skierowała na Jennsen gniewne spojrzenie. - Widziałam, jak zachłostał na śmierć kobietę, którą przyłapał na jedzeniu w holu Pałacu Ludu. Uznał, że obraziła jego uczucia.

Dziewczyna wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

- Innym razem - podjęła Mord-Sith, pogryzając kielbasę - byłam przy nim, kiedy wyszedł z za rogu w pobliżu ogrodów. Dostrzegł siedzącego na koniu i jedzącego mięsny pasztecik kawalerzystę. Wyczarował błyskawicę, która w jednej chwili pozbawiła konia głowy, odrzucając ją aż w żywopłot. Żołnierz zdołał wylądować na nogach, kiedy reszta konia waliła się na ziemię. Rahl Posępny odebrał mu miecz i jednym cięciem rozplątał koński brzuch. Potem złapał kawalerzystę za kark i wepchnął twarzą w zwierzęce wnętrzności, wrzeszcząc, żeby je jadł. Biedak robił, co mógł, ale się udusił w ciepłych trzewiach konia.

Owen zasłonił usta, zamknął oczy.

Cara machnęła kielbasą, jakby wskazywała stojącego przed nią Rahla Posępnego.

- Potem odwrócił się ku mnie już spokojny i zapytał, jak ludzie mogą być tak okrutni i jeść mięso.

- I co mu odpowiedziałaś? - zapytała porażona tą opowieścią Jennsen.

Mord-Sith wzruszyła ramionami.

- A cóż mogłam powiedzieć? Odparłam, że nie wiem.

- Jak ludzie mogli jeść mięso, skoro on taki był? - spytała dziewczyna.

- Przeważnie taki nie był. Kupcy sprzedawali w pałacu mięso, a on zwykle w ogóle nie zwracał na to uwagi. Czasami z niesmakiem potrząsał głową albo nazywał ich okrutnikami, ale zazwyczaj tego nie zauważał.

Friedrich kiwał głową.

- Tak właśnie z nim było: nikt nigdy nie wiedział, co zrobi. Mógł się do kogoś uśmiechnąć lub zamęczyć na śmierć. Nigdy się tego nie wiedziało.

Cara wpatrywała się w płomienie ogniska.

- Nie sposób było się domyślić, jak zareaguje - odezwała się cichym, znękanym głosem. - Wielu ludzi zwyczajnie uznało, że to tylko kwestia czasu, kiedy i ich zabije, więc żyli jak skazańcy, czekając, aż spadnie na nich topór, nie ciesząc się życiem i nie myśląc o przyszłości.

Tom ponuro kiwał głową, potwierdzając zdanie Cary o życiu w D'Harze. Dorzucił drewna do ogniska.

- Czy i ty tak zrobiłaś, Caro? - spytała Jennsen.

Mord-Sith podniosła wzrok i zamarszczyła gniewnie brwi.

- Jestem Mord-Sith. A Mord-Sith są zawsze gotowe na śmierć. Nie chcemy umierać stare i bezzębne.

Owen pogryzał suchar, jakby uznał, że musi jeść, skoro oni wszyscy się pozywają. Najwyraźniej jednak był wstrząśnięty tą opowieścią.

- Nie potrafię sobie wyobrazić życia w takim barbarzyństwie, które musieliście znosić. Czy ten Rahl Posępny był twoim krewnym, lordzie Rahlu?

- Nagle chyba uświadomił sobie, że popełnił błąd, i chciał to złagodzić. - Tak samo się nazywał... więc pomyślałem, po prostu pomyślałem... ale wcale nie chciałem dać do zrozumienia, że według mnie jesteś taki sam...

Richard zszedł z wozu i podał mężczyźnie napełnione bukłaki.

- Był moim ojcem.

- Tak tylko spytałem, niczego nie miałem na myśli. Nigdy bym świadomie nie rzucił kalumni na czyjegoś ojca, a już zwłaszcza na ojca człowieka, który...

- Zabiłem go - oznajmił Richard.

I wcale nie miał zamiaru się nad tym rozwodzić. Odrzucała go sama myśl o opowiedzeniu tej okropnej historii.

Owen rozejrzał się nerwowo, jakby był otoczonym przez wilki jelonkiem.

- Był potworem - odezwała się Cara, jak zawsze skora do wystąpienia w obronie Richarda. - Teraz mieszkańcy D'Hary mogą z nadzieją patrzeć w przyszłość i układać sobie życie, jak tylko zechcą.

Richard usiadł obok Kahlan.

- A przynajmniej będą mogli, kiedy się uwolnią od Imperialnego Ładu.

Owen, ze spuszczoną głową, pogryzał suchary i spoglądał na innych.

Wszyscy milczeli, więc odezwała się Kahlan.

- Może byś nam wyjawiał, Owenie, powody swojego przybycia.

Richard rozpoznał ten ton: Matka Spowiedniczka zadawała uprzejmie pytanie, chcąc uspokoić wystraszonego suplikanta.

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko. - Z respektem pochylił głowę.

- I ją rozpoznałeś? - zapytał chłopak.

Owen skinął głową.

- Tak, lordzie Rahlu.

- Jak?

Tamten spojrzał na Kahlan, potem znów na Richarda.

- Wieści o tobie i Matce Spowiedniczce rozeszły się szeroko. Wszyscy wiedzą, jak wyzwoliliście mieszkańców Altur'Rang spod władzy Imperialnego Ładu. Ci, którzy pragną wolności, wiedzą, że ty ją dajesz.

Richard zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli, mówiąc, że daję wolność?

- Nooo, przedtem władał Imperialny Ład. Są okrutni... wybacz, błędzą i nie wiedzą, co czynią. To dlatego ich rządy są tak okrutne. Może to nie ich wina. Nie mnie o tym sądzić. - Odwrócił wzrok, jakby szukał słów, a równocześnie widział sceny, które go przekonały o okrucieństwie Imperialnego Ładu. - Potem zjawiłeś się ty i dałeś ludziom wolność, tak jak w Altur'Rang.

Richard przesunął dłonią po twarzy. Musiał przetłumaczyć książkę, musiał się dowiedzieć, co się kryje za rzeczą, której dotknęła Cara, i śledzącymi ich czarnosternymi chyżolotami, musiał wrócić do Victora i tych, którzy walczyli z Ładem, a potem spotkać się z Nicci. No i musiał sobie poradzić z migrenami. Może Nicci choć w tej sprawie zdołałaby mu pomóc.

- Ja nie „daję” ludziom wolności, Owenie.

- Tak, lordzie Rahlu.

Mężczyzna najwyraźniej uważał, że nie wolno zaprzeczać słowom

Richarda, lecz jego spojrzenie zdradzało, że w to nie wierzy.

- Co miałeś na myśli, Owenie, mówiąc, że dajesz ludziom wolność?

Zapytany odgryzł odrobinę suchara i powiódł wzrokiem po pozostałych. Poruszył ramionami. Wreszcie odchrząknął.

- Noo, robisz to samo co Imperialny Ład: zabijasz ludzi. - Machnął sucharem niby mieczem, dźgając powietrze. - Zabijasz tych, którzy obracają innych w niewolników, a potem tym niewolnikom dajesz wolność, żeby mógł wrócić pokój.

Richard głęboko zaczerpnął powietrza. Nie był pewien, czy Owen istotnie tak myśli, czy też ma kłopoty z wysłowieniem się w obecności ludzi, którzy go niepokoją.

- To niezupełnie jest tak - wyjaśnił.

- Ale przecież właśnie po to się tu zjawiłeś. Wszyscy o tym wiedzą. Przyszedłeś do Starego Świata, żeby dać ludziom wolność.

Richard wsparł łokcie o kolana, pochylił się w przód. Pocierał jedną dłoń o drugą i zastanawiał się, na ile chce to wytłumaczyć. Poczuł, że ogarnia go spokój, gdy Kahlan położyła mu łagodnie dłoń na ramieniu. Nie chciał powracać do grozy swojego uwięzienia i rozdzielenia z Kahlan, kiedy to myślał, że już nigdy jej nie zobaczy. Odsunął na bok całą tę udrekę i zaczął:

- Pochodzę z Nowego Świata, Owenie...

- Tak, wiem - rzekł mężczyzna, kiwając głową. - I przybyłeś tu, żeby uwolnić ludzi...

- Nie. To nie tak. Mieszkaliśmy w Nowym Świecie. Niegdyś żyliśmy w spokoju, jak wy tutaj. Imperator Jagang...

- Nawiedzający Sny.

- Tak. Imperator Jagang, Nawiedzający Sny, posłał swoje wojska, żeby podbiły Nowy Świat, zamieniły nas w niewolników...

- I nas także.

Richard skinął głową.

- Rozumiem. Wiem, jakie to okropne. Jego żołnierze grasują w Nowym Świecie, mordują, robią z naszych ludzi niewolników.

Owen odwrócił zażawione oczy, zapatrzył się w mrok i kiwnął głową.

- I z moimi tak robią.

- Próbowaliśmy z nimi walczyć - odezwała się Kahlan. - Ale są zbyt liczni. To zbyt wielka armia, żeby ją przepędzić z naszych ziem.

Owen, nie patrząc jej w oczy, pogryzał suchar.

- Moi panicznie boją się żołnierzy Ładu, oby Stwórca wybaczył im ich złe uczynki.

- Oby przez całą wieczność wrzeszczeli z udręki w najgęstszym cieniu Opiekuna zaświatów - poprawiła go bezlitośnie Cara.

Mężczyzna patrzył z rozdziawionymi ustami na osobę, która wypowiedziała tak straszliwe słowa.

- W ten sposób nie zdołamy ich pokonać. Nie wystarczy ich przepędzić do Starego Świata - odezwał się Richard, znów przyciągając wzrok Owena. - Jestem więc tutaj, na ojczystych ziemiach Jaganga, i pomagam tęskniącym za wolnością zrzucić okowy Ładu. Póki podbija nasze ziemie, w swoim kraju zostawia wolne pole tym, którzy pragną wolności. Nieobecność Jaganga i jego wojsk pozwala nam uderzyć w jego czuły punkt, wyrządzić mu znaczne szkody. Robię to, bo to jedyny sposób walki z Imperialnym Ładem, jedyna możliwość zwycięstwa. Jeżeli osłabię fundamenty jego potęgi, zablokuję źródło żołnierzy i zaopatrzenia, będzie musiał wycofać wojska z naszych ziem i wrócić na południe, by bronić swojego państwa. Tyrania nie może być wieczna. Z samej swej natury niszczy wszystko, czym włada, w tym siebie. Ale to może trwać bardzo długo. Staram się przyspieszyć ów proces, żebyśmy i ja, i moi bliscy mogli się cieszyć wolnością jeszcze za życia, żebyśmy mogli swobodnie kierować własnym życiem. Jeżeli przeciwko Imperialnemu Ładowi powstanie wystarczająco wielu ludzi, to mogą nawet spowodować upadek i Jaganga, i Ładu. Właśnie w ten sposób z nim walczę, w ten sposób próbuję go pokonać, w ten sposób staram się go przepędzić z moich ziem.

Owen skinął głową.

- Tego właśnie i my potrzebujemy. Jesteśmy ofiarami fatum. Musisz przyjść i wyrzucić tych ludzi z naszych ziem, a potem zabrać swój miecz, a my znów będziemy żyli w spokoju. Potrzebujemy cię, żebyś nam dał wolność.

Kawałek drewna pękł w ognisku, śląc ku niebu smugę iskier. Richard opuścił głowę, stukał palcami o palce. Nie sądził, by ten człowiek pojął choć słowo z jego przemowy. Musieli wypocząć. Powinien tłumaczyć książkę. Musieli dotrzeć tam, dokąd podążali. No, ale przynajmniej głowa go nie bolała.

- Przykro mi, Owenie - odezwał się w końcu cicho. - W ten sposób nie mogę ci pomóc. Jednak chciałbym, żebyś zrozumiał, że działam także na twoją korzyść i że efektem moich wysiłków może się również stać odwołanie przez Jaganga wojsk z twoich ojczystych stron. Albo przynajmniej takie zmniejszenie ich liczebności, że sami zdołacie przepędzić Ład.

- Nie - rzekł Owen. - Jego żołnierze nie opuszczą mojego kraju, dopóki się nie zjawisz i... - wzdrygnął się - nie zniszczysz ich.

Już samo to słowo budziło w nim odrazę i lęk.

- Jutro - stwierdził Richard, nie trudząc się już o uprzejmy ton - musimy wyruszyć w drogę. Ty zaś ruszysz w swoją stronę. Życzę ci powodzenia w uwolnieniu swoich ludzi od Imperialnego Ładu.

- Nie możemy zrobić czegoś takiego - zaprotestował mężczyzna i wyprostował się. - Nie jesteśmy dzikusami. Ty i tobie podobni, nieoświeceni, macie to uczynić i dać nam wolność. Tylko ja mogę cię do nas sprowadzić. Musisz się zjawić i zrobić to, co robią tobie podobni. Musisz dać wolność naszemu imperium.

Richard potarł opuszkami palców zmarszczone czoło. Cara zaczęła się podnosić. Jedno spojrzenie chłopaka sprawiło, że na powrót usiadła.

- Dałem ci wody - stwierdził Richard, wstając. - Nie mogę dać ci wolności.

- Ale musisz...

- Tej nocy podwojone warty - dodał, przerywając Owenowi i patrząc na Carę.

Potwierdziła skinieniem głowy, krzywiąc usta w zadowolonym uśmiechu.

- Rankiem - dorzucił chłopak - Owen ruszy w swoją stronę.

- O tak - błękitne, gniewne oczy spojrzały na mężczyznę - z całą pewnością.

ROZDZIAŁ 11

- Co się stało? - spytała Kahlan, jadąc obok wozu. Richarda najwyraźniej coś rozzłościło. Spostrzegła, że w jednej ręce trzyma książkę, drugą zacisnął w pięść. Już miał odpowiedzieć, kiedy obróciła się ku nim Jennsen, siedząca na koźle obok Toma, więc rzekł do niej:

- Pojedziemy z Kahlan sprawdzić drogę przed nami. Miej oko na Betty, żeby nie wyskoczyła, dobrze, Jenn?

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową.

- Jeśli Betty sprawi ci jakiś kłopot - odezwał się Tom - to szepnij mi słówko, a ja już ją zaprowadzę do znanej mi damy, która robi kozie kielbaski.

Jennsen roześmiała się z tego ich prywatnego żarciku i po przyjacielsku szturchnęła Toma łokciem w żebra. Richard zeskokczył na ziemię, a ona pstryknęła palcami na machającą ogonkiem kózkę.

- Betty! Ty zostajesz! Nie możesz za każdym razem deptać Richardowi po piętach!

Betty oparła przednie kopytka na boku wozu, zameczała i obejrzała się na Jennsen, jakby prosząc, żeby ta zmieniła zdanie.

- Spokój - powiedziała z naganą dziewczyna. - Połóż się.

Kóзка znów zameczała i niechętnie cofnęła kopytka z bocznej ściany wozu, ale położyła się dopiero, gdy podrapano ją za uchem na pociechę.

Kahlan wychyliła się w siodle i rozplątała wodze uwiązanego z tyłu zaprzęgu konia Richarda. Chłopak wsunął stopę w strzemię i jednym płynnym ruchem znalazł się w siodle. Nie miała wątpliwości, że jest czymś wzburzony, lecz jej serce śpiewało ze szczęścia, kiedy na niego patrzyła.

Lekko pochylił się w przód, koń ruszył. Kahlan ścisnęła nogami boki klaczy, ponaglając ją do cwału, żeby nie zostać w tyle za mężem. Wysforował się przed nią, zatoczył kilka kół wśród stromawych stoków, aż zrównał się z Carą i Friedrichem przepatrującymi teren.

- Teraz my przez jakiś czas pojedziemy przodem - powiedział im. - Może byście sprawdzili tyły?

Kahlan wiedziała, że odsyła ich, bo Cara nie spuściłaby jej i Richarda z oka, gdyby oznajmił, że sprawdzą, czy z tyłu nie nadciąga jakieś niebezpieczeństwo. Jeżeli pojedą przodem, Mord-Sith będzie spokojna, że

nie zostaną za daleko w tyle i się nie zgubią.

Cara zawróciła. Richard ruszył galopem, a Kahlan, której mokra od potu koszula kleiła się do pleców, skłoniła klacz do szybszego biegu, żeby nie zostać w tyle. Na pogórzcu rosły już tu i ówdzie kępy wysokiej trawy i pojawiały się nieliczne skupiska drzew, lecz nadal było skwarnie. Nocą trochę się ochładzało, ale dni były gorące, a wilgotność coraz większa, bo ponad widoczną po prawej ścianą gór zbierały się chmury.

Rozciągająca się ku wschodowi bariera poszarpanych gór wyglądała bardzo groźnie. Urwiste skalne ściany wyrastały z płaskowyży aż po sam skraj zasłanych głazami, które osunęły się z jeszcze wyżej położonych urwisk i płaskowyży, jakby cały łańcuch górski stopniowo niszczał. Wspinaczka po takim rumowisku na leżące tysiące stóp wyżej skalne półki była zupełnie niemożliwa. Jeżeli przez te jałowe zbocza wiodły jakieś przełęczce, to na pewno bardzo nieliczne i trudne do przejścia.

Jednak teraz orientowali się już, że to nie pokonanie owych szarych gór stanowi największy problem.

Blżej położone, rozciągające się na północ i na południe góry na skraju palonej słońcem pustyni po części skrywały to, co znajdowało się po drugiej stronie - jeszcze potężniejszy łańcuch ośnieżonych szczytów całkowicie zagradzający drogę ku wschodowi. Kahlan nigdy nie widziała tak ogromnych gór. Nie dorównywały im nawet najwyższe pasma Rang'Shada w Midlandach. Te góry były wręcz gigantyczne. Urwiste ściany skalne strzelały na tysiące stóp. Groźne ściany, nie przecięte żadną przełęczą ani szczeliną, były tak strome, że tylko pojedyncze drzewa zdołały się jakoś na nich utrzymać. Wniosłe ośnieżone szczyty, wznoszące się majestatycznie nad pędzone wiatrem chmury, stały tak blisko siebie, że bardziej przypominały dziewczynie zębate ostrze noża niż górskie wierzchołki.

Kiedy poprzedniego dnia ujrzała, jak Richard wpatruje się w te potężne góry, spytała go, czy sądzi, że prowadzi przez nie jakaś droga. Odparł, że nie i że pewnie jedynym przejściem jest owa wąska przełęcz, którą wypatrzył, gdy odnalazł tę dziwną dawną granicę. Dodał, że przełęcz jest jeszcze dość daleko, po północnej stronie.

Na razie jechali pozbawionym wody skrajem bliższych gór, wzdłuż wyginającego się ku północy łańcucha, po ułatwiających podróżowanie nizinach.

Richard zwolnił dopiero u stóp łagodnego wzgórza porośniętego kępami zbrązowiałych traw. Obejrzał się w siodle, sprawdzając, czy tamci jadą i czy są dość daleko. Pokierował konia bliżej klaczy Kahlan.

- Przeskoczyłem do przodu z tekstem książki.

Dziewczynie wcale się to nie spodobało.

- Kiedy pytałem przedtem, dlaczego nie przeskoczysz do przodu, odparłeś, że nie należy tego robić.

- Wiem, ale nie mogłem do niczego dojść, a przecież musimy się czegoś dowiedzieć. - Konie szły stępą, Richard zaś rozmasowywał ramiona. - Nie mogę uwierzyć, że po tej całej spiekocie robi się tak zimno.

- Zimno? Co ty...

- Pamiętasz tych podobnych do Jennsen ludzi? - Skórzane siodło zaskrzypiało, kiedy się ku niej nachylił. - Rodzących się zupełnie bez daru, pozbawionych nawet najdrobniejszej iskierki magii? Filary Świata? W czasach, kiedy pisano książkę, wcale nie było ich tak mało.

- Chcesz powiedzieć, że częściej się rodzili?

- Nie. Ale urodzeni bez daru dorastali, zawierali małżeństwa i mieli dzieci, jak oni pozbawione nawet iskierki magii.

Kahlan spojrzała nań ze zdumieniem.

- Pęknięte ogniwa w łańcuchu przekazywania daru, o których wcześniej wspomniałeś?

Richard przytaknął.

- Byli dziećmi lorda Rahla. Wówczas nie było tak, jak za Rahla Posępnego czy jego ojca. Z tekstu wynika, że wszystkie dzieci lorda Rahla oraz jego żony należały do rodziny władcy i zgodnie z tym je traktowano, choćby się i urodziły z taką „wadą”. Wygląda na to, że czarodzieje starali się im pomóc: tak potomkom lorda Rahla, jak i ich dzieciom oraz wnukom. Próbowali ich wyleczyć.

- Wyleczyć? Z czego?

Richard wyrzucił w górę ramiona, dając upust swojej frustracji.

- Z tego, że się urodzili bez daru, nawet bez tej jego maleńkiej iskierki, którą mają wszyscy inni. Ówczesni czarodzieje starali się naprawić pęknięte ogniwa.

- Jak mogli się spodziewać, że zdołają uleczyć kogoś z tego, że nie ma nawet odrobiny daru?

Chłopak zacisnął usta, starał się znaleźć najlepszy sposób na objaśnienie tego.

- Pamiętasz czarodziejów, którzy wysłali cię przez granicę, żebyś odszukała Zedda?

- Taak - odparła podejrzliwie Kahlan.

- Nie byli urodzonymi czarodziejami, nie przyszli na świat z magicznym darem. Kim byli: drugimi, trzecimi czarodziejami? Coś w tym rodzaju? Kiedyś mi o nich opowiadałaś. - Pstryknął palcami, bo sobie przypomniał. - Czarodzieje trzeciego stopnia. Tak?

- Tak. Tylko jeden z nich, Giller, był czarodziejem drugiego stopnia. Żaden z nich nie był w stanie przejść prób na czarodzieja pierwszego stopnia, takiego jak Zedd, bo nie mieli daru. To był ich zawód, ich powołanie, lecz nie mieli daru, prawdziwego daru, mimo że tkwiła w nich taka sama jego iskierka jak w innych ludziach.

- Właśnie o tym mówię - stwierdził Richard. - Nie urodzili się z darem, mocą czarodzieja, a jedynie z iskierką daru, jak wszyscy inni. Mimo to Zedd wyszkolił ich tak, że potrafili posługiwać się magią i zostali czarodziejami, chociaż z urodzenia takiego daru nie mieli.

- Richardzie, to były efekty wieloletniej pracy.

- Wiem. Chodzi o to, że Zedd zdołał uczynić z nich czarodziejów, a przynajmniej takich, którzy pomyślnie przeszli jego próby i potrafili korzystać z zaklęć.

- No tak. Kiedy byłam mała, uczyli mnie o magii i Wieży Czarodzieja, o midlandzkich ludziach i istotach magicznych. Może nie urodzili się z darem magii, lecz przez wiele lat pracowali, by zostać czarodziejami. Byli czarodziejami - zakończyła z uporem.

Uśmiech chłopaka zdradził jej, że ujęła w słowa sedno jego argumentacji.

- Jednak nie urodzili się z owym atrybutem daru. - Nachylił się ku niej. - Zedd nie tylko ich szkolił. Musiał się też posłużyć magią, żeby im pomóc zostać czarodziejami, prawda?

- Bo ja wiem. - Kahlan się zachmurzyła. - Nigdy mi nie opowiadali o terminowaniu na czarodziejów. To nie miało żadnego związku ani z moją nauką, ani z ich relacjami ze mną.

- Zedd ma przecież dar magii addytywnej - upierał się Richard. - A magia addytywna może zmieniać rzeczy, „dodawać” coś do nich, sprawiać, że stają

się czymś więcej.

- Owszem - przyznała ostrożnie Kahlan. - A więc?

- Zedd wybrał ludzi urodzonych bez daru czarodziejów i wyszkolił ich, a co ważniejsze, musiał się przy tym posłużyć swoją mocą, oddziałując na ich wrodzony dar. Musiał sprawić, że stał się większy, żeby mogli pełnić funkcję, do której się nie urodzili. - Richard obejrzał się na nią; jego koń okrążał niewielką, mizerną sosenkę. - Zmieniał ludzi za pomocą magii.

Kahlan głęboko odetchnęła, odwróciła wzrok od chłopaka i spojrzała na otaczające ich łagodne trawiaste wzgórza, starając się dokładnie zrozumieć jego słowa.

- Racja, chociaż wcześniej się nad tym nie zastanawiałam - rzekła w końcu. - I co z tego?

- Sądziliśmy, że potrafili to jedynie dawni czarodzieje, lecz najwyraźniej owe umiejętności nie zagięły. Ład więc i czarodzieje z czasów książki mieli podstawy wierzyć, choć sądziłem inaczej, że potrafią tak coś odmienić, by się stało takie, jakie według nich być powinno. Twierdzą, że podobnie jak Zedd, który dał tym ludziom dar większy niż wrodzony, owi dawni czarodzieje starali się tchnąć iskierkę daru w urodzonych jako Filary Świata.

Kahlan przeszył dreszcz, zrozumiała. Wstrząsnęło nią to. Nie tylko dawni czarodzieje, ale także Zedd korzystał z magii, by zmienić najgłębszą naturę ludzi, to, czym byli, co było im przyrodzone. Ona zaś sądziła, że jedynie im pomógł urzeczywistnić największe życiowe ambicje, ich powołanie, zwiększając moc, z którą i tak się urodzili. Że pomógł im osiągnąć pełnię możliwości. Jednak to dotyczyło ludzi, którzy się rodzili z takowymi talentami. Dawni czarodzieje na pewno w podobny sposób pomagali ludziom, ale też czasami wykorzystywali swoją moc w mniej życzliwy sposób.

- Czyli - rzekł Richard - tamci czarodzieje, biegli w odmienianiu ludzkich zdolności, uważali, że można by wyleczyć osoby zwane Filarami Świata.

- Uleczyć z wrodzonego braku daru - powiedziała z niedowierzaniem Kahlan.

- Niezupełnie. Nie usiłowali zmienić ich w czarodziejów, lecz sądzili, że można by ich przynajmniej uleczyć z braku owej najdrobniejszej iskierki daru, która pozwala na współoddziaływanie z magią.

Dziewczyna głęboko odetchnęła.

- I co się wtedy wydarzyło?

- Tę książkę napisano po końcu wielkiej wojny, po utworzeniu bariery i odseparowaniu Starego Świata. Kiedy Nowy Świat trwał w spokoju, a przynajmniej kiedy bariera szczelnie odgradzała go od Starego Świata. A przypominasz sobie, czego się wcześniej dowiedzieliśmy? Co przekonało nas, że w czasie wojny czarodziej Ricker i jego grupa zrobili coś, co sprawiło, że potomkowie czarodziejów nie dziedziczyli już daru magii subtraktywnej? Po wojnie ci z darem zaczęli się coraz rzadziej rodzić, no i nie mieli już daru magii subtraktywnej.

- Czyli po wojnie - wtrąciła Kahlan - szybko zniknęli tacy, którzy mieli dar i magii addytywnej, i magii subtraktywnej. To już wiedzieliśmy.

- Racja. - Richard nachylił się ku niej i uniósł książkę. - Ale wówczas, kiedy rodziło się coraz mniej czarodziejów, dodatkowo uświadomiono sobie, że istnieje problem ludzi całkowicie pozbawionych daru, zerwanych ogniwi w łańcuchu magii. I nagle na sprawę zmniejszającej się liczby przyszłych czarodziejów nałożył się problem Filarów Świata.

Kahlan kołysała się w siodle, zastanawiając się nad tym i starając sobie wyobrazić ówczesną sytuację w wieży.

- Musiało ich to wszystko ogromnie trapić.

- Byli zrozpaczeni - powiedział ciszej.

Kahlan prowadziła klacz za koniem Richarda, omijającym dawno powalone drzewo, które całkiem wybielało pod prażącymi promieniami słońca.

- Domyślam się - mówiła, jadąc znów obok niego - że owi czarodzieje zaczęli robić to samo, co robił Zedd. Szkolili tych, którzy mieli powołanie, którzy pragnęli zostać czarodziejami, ale urodzili się bez daru.

- Tak, ale w tamtych czasach uczyli tych, którzy mieli wyłącznie dar magii addytywnej, korzystania i z magii subtraktywnej, jak to potrafili prawdziwi czarodzieje. Jednak z czasem utracili tę możliwość i mogli jedynie robić to, co Zedd: szkolili ludzi na czarodziejów, którzy potrafili korzystać tylko z magii addytywnej. Lecz to nie jest główny temat książki. To tylko jedna ze spraw, którymi się zajmowali. Zaczynali z ufnością. Sądzili, że Filary Świata można uleczyć z całkowitego braku magii w podobny sposób, jak czarodziejów mających dar magii addytywnej uczono posługiwania się magią subtraktywną, a ludzi pozbawionych daru czarodzieja szkolono na

czarodziejów potrafiących przynajmniej korzystać z magii addytywnej.

Gestykulacja Richarda przypominała Kahlan ruchy podekscytowanego tematem Zedda.

- Usiłovali odmienić przyrodzoną naturę tych ludzi. Desperacko starali się zmienić ludzi pozbawionych nawet iskiereki daru i umożliwić im współoddziaływanie z magią. Nie tyle „dodawali” czy „zwiększali”, ile starali się stworzyć coś z niczego.

Dziewczyni wcale się nie spodobało to, co usłyszała. Wiedzieli, że w pradawnych czasach czarodzieje mieli wielką moc, że odmieniali ludzi mających dar, manipulowali ich darem, by służył określonym celom.

Czynili z ludzi oręż.

Przodkowie Jaganga - Nawiedzający Sny - byli w wielkiej wojnie jednym z rodzajów takiego oręża. Stworzono ich, żeby zapanowali nad umysłami ludzi Nowego Świata i w ten sposób ich kontrolowali. W odpowiedzi na to powstała więź z lordem Rahlem, mająca chronić ludzi przed Nawiedzającymi Sny.

Z obdarzonych magicznymi zdolnościami wyczarowano wiele rodzajów broni. Takie zmiany często były dogłębne i zawsze nieodwracalne. Niekiedy powstawały w ten sposób okrutne monstra. To od nich wywodził się Jagang.

Jeden z czarodziejów, którego w czasach wielkiej wojny sądzono za zdradę, nie chciał wyjawić, jaką wyrządził szkodę. Kiedy nawet torturami nie wydobyto z niego zeznania, prowadzący proces wykorzystali uzdolnienia czarodzieja Merritta, nakazując mu stworzenie Spowiedniczki. Magda Searus, pierwsza Spowiedniczka, uzyskała wyznanie oskarżonego. Trybunał był tak zadowolony z efektów dzieła Merritta, że rozkazał utworzenie zakonu Spowiedniczek.

Kahlan nie czuła się inna od pozostałych ludzi, nie była w mniejszym od nich stopniu człowiekiem, kobietą, nie mniej kochała życie - jednak jej moc Spowiedniczki była dziełem tamtych czarów. Pochodziła z linii kobiet zmienionych magią w oręż - w tym przypadku służący odsłanianiu prawdy.

- O co chodzi? - zapytał Richard.

Obejrzała się na niego - miał zatroskaną minę. Zmusiła się do uśmiechu, potrząśnięciem głowy dała znak, że nic się nie stało.

- Cóż więc odkryłeś, przeskakując w przód z tłumaczeniem?

Richard głęboko odetchnął i położył dłonie na kuli siodła.

- W gruncie rzeczy starali się wykorzystać barwę, by pomóc... widzieć ludziom urodzonym bez oczu.

W porównaniu z tym, co Kahlan wiedziała o magii i historii, te usiłowania zasadniczo różniły się nawet od najbardziej złowrogich prób przemiany ludzi w oręż. Nawet w najokropniejszych z tych działań czarodzieje starali się usunąć jeden z atrybutów człowieczeństwa, równocześnie dodając lub „wzmacniając” jakąś podstawową umiejętność. Nigdy jednak nie starali się stworzyć czegoś, co w ogóle nie istniało.

- Innymi słowy, nie powiodło się im - podsumowała Kahlan.

Chłopak potaknął.

- I tak wielka wojna dawno się skończyła, a Stary Świat, to znaczy ci, którzy, podobnie jak Imperialny Ład, chcieli się pozbyć magii, został odgradzony nieprzebytą, specjalnie po to stworzoną barierą. Tymczasem czarodzieje przekonali się, że ludzie z takim jak ich darem rodzą się coraz rzadziej i że magia zapoczątkowana przez ród Rahlów, owa więź lorda Rahla z jego ludem chroniąca przed Nawiedzającymi Sny, przyniosła nieoczekiwane następstwa. Sprawiała, że zaczęli się rodzić ludzie całkowicie pozbawieni daru, powodujący nieodwracalne rozerwanie linii dziedziczenia owej magicznej iskry.

- Czyli mieli dwa problemy - odezwała się Kahlan. - Rodziło się coraz mniej czarodziejów potrafiących sobie radzić ze sprawami magii, a równocześnie pojawiali się ludzie pozbawieni nawet iskierek daru.

- Właśnie. I ten drugi problem nasilał się szybciej niż pierwszy. Początkowo sądzili, że uda im się znaleźć jakieś rozwiązanie, jakieś remedium. Ale się nie udało. Co gorsza, jak już mówiłem, ci urodzeni bez iskierek daru, jak Jennsen, mieli wyłącznie podobnych sobie potomków. Po kilku pokoleniach okazało się, że liczebność ludzi całkowicie pozbawionych daru rośnie szybciej, niż się spodziewano.

- Istotnie, rozpaczliwa sprawa - westchnęła ciężko dziewczyna.

- Rozwierała się przepaść.

Kahlan odgarnęła w tył pukiel włosów.

- I cóż postanowili?

Richard spojrział na nią z miną świadcząca, jak bardzo go poruszyło to, co wyczytał.

- Przedłożyli magię nad ludzi. Uznali, że ów atrybut, magia, oraz nim

obdarzeni są ważniejsi niż ludzkie życie. - Podniósł głos. - Tak przeinaczyli sprawę, o którą toczyli wojnę, czyli prawo do istnienia, do życia ludzi bez względu na to, jacy się urodzili. Ów atrybut, magia, stał się ważniejszy niż obdarzona nim istota! - odetchnął, zniżył głos. - Zbyt wielu musieliby zabić, więc zrobili co innego: wygnali ich.

- Wygnali? - Brwi Kahlan powędrowały wysoko. - Dokąd?

Richard pochylił się ku niej, oczy mu płonęły.

- Do Starego Świata.

- Co takiego?!

Chłopak wzruszył ramionami, jakby mówił w imieniu tamtych czarodziejów, parodiował ich rozumowanie.

- A cóż innego mogli zrobić? Nie mogli ich przecież pozabijać, bo to byli przyjaciele i krewni. Wielu ludzi z iskierką daru, lecz nie obdarzonych mocą czarodziejów i czarodziejek i dlatego nie uważających się za osoby posiadające dar, miało synów, córki, braci, siostry, wujów, ciotki, kuzynów i sąsiadów, którzy poślubili osoby całkowicie pozbawione daru, Filary Świata. Byli częścią społeczeństwa, społeczeństwa, w którym coraz rzadziej trafiali się ci z prawdziwym magicznym darem. Władający tą społecznością czarodzieje, coraz mniej liczni i darzeni coraz mniejszym zaufaniem, nie mogli się zdobyć na zgładzenie wszystkich ludzi urodzonych z ową skazą.

- Chcesz powiedzieć, że rozważali taką możliwość???

Spojrzenie Richarda powiedziało jej, że tak i co on o tym sądzi.

- Ale w końcu nie zdołali się na to zdobyć. Jednocześnie, wypróbawszy wszystkie możliwości, uświadomili sobie, że nawet nie potrafią naprawić zerwanego przez owych ludzi łańcucha dziedziczenia magicznej iskry, a przecież ludzie ci zawierali małżeństwa i mieli dzieci, które także miały dzieci i przekazywały dalej tę skazę. W ten sposób ich liczba zwiększała się szybciej, niż się ktokolwiek spodziewał. I światu ludzi mających magiczny dar zaczęło zagrażać niebezpieczeństwo, zupełnie jak w czasach wojny. Bo właśnie do tego dążyli ci ze Starego Świata: do zniszczenia magii. I oto działało się to, czego obawiali się ci z Nowego Świata. Nie mogli naprawić szkody, nie mogli zapobiec jej rozprzestrzenianiu się, ale i nie mogli wydać na śmierć tych wszystkich ziomków. Skaza stawała się coraz powszechniejsza i wiedzieli, że mają coraz mniej czasu. I tak zdecydowali się na jedyną drogę wyjścia: wygnanie.

- I mogli się przedostać za barierę? - spytała Kahlan.

- Przekroczyć bariery nie mogli ci, którzy mieli magiczny dar, lecz dla Filarów Świata magia nie istniała. Nie działała na nich, więc bariera nie była dla nich przeszkodą.

- Skąd rządzący mogli mieć pewność, że zebrali wszystkie Filary Świata? Gdyby umknął im choć jeden, to wygnanie nie rozwiązałoby ich problemu.

- Mający dar, czarodzieje i czarodziejki, potrafią w jakiś sposób rozpoznawać te całkowicie pozbawione daru osoby, te „dziury w świecie”, jak według Jennsen zwano jej podobnych. Mający dar widzą ich, lecz nie wyczuwają swoją mocą. Czyli całkiem łatwo było rozróżnić, kto jest Filarem Świata, a kto nie.

- A ty dostrzegasz różnicę? - zaciekawiała się Kahlan. - Wyczuwasz, że Jennsen jest inna? Że jest dziurą w świecie?

- Nie. Lecz mnie nikt nie uczył korzystania z mocy. A ty widzisz tę różnicę?

Kahlan potrząsnęła głową.

- Nie jestem czarodziejką, więc pewnie nie mam niezbędnych po temu talentów. - Poprawiła się w siodle. - I co się wówczas stało z tymi ludźmi?

- Mieszkańcy Nowego Świata zgromadzili wszystkich pozbawionych daru potomków rodu Rahlów i wszystkie ich latorośle, a następnie wysłali ich przez wielką barierę do Starego Świata, do tych, którzy chcieli uwolnić ludzi od magii.

Richard uśmiechnął się nad ironią tego ponurego wydarzenia.

- Czarodzieje Nowego Świata dali swoim wrogom ze Starego Świata to, czego tamci ponoć pragnęli, o co toczyli wojnę: ludzi pozbawionych magii. - Przestał się uśmiechać. - Potrafisz sobie wyobrazić, że musielibyśmy przegnać Jennsen i skazać ją na niewiadomy los tylko dlatego, że nie potrafi dostrzec magii?

Kahlan potrząsnęła głową. Spróbowała sobie wyobrazić coś takiego.

- Cóż to za okropieństwo zostać wysiedlonym i wypędzonym, a już zwłaszcza do wrogów.

Chłopak przez jakiś czas jechał w milczeniu. Wreszcie podjął:

- Było to przerażające dla wypędzonych, ale i niezwykle ciężkie dla tych, którzy pozostali. Wyobrazasz sobie, co to musiało być? Ci wszyscy przyjaciele i krewni wyrwani nagle z twojego życia, z twojej rodziny?

Zakłócenia w handlu, w zdobywaniu środków do życia? - W głosie Richarda brzmiała gorycz. - A wszystko dlatego, że uznali pewien atrybut za ważniejszy od ludzkiego życia.

Kahlan słuchała tej opowieści i miała wrażenie, że sama przeżywa te udręki. Przyglądała się jadącemu obok Richardowi, który patrzył przed siebie, zatopiony w myślach.

- I co dalej? - zapytała w końcu. - Mieli jakieś wieści o tych wypędzonych? Potrzęsnał głową.

- Nie, żadnych. Bo teraz znajdowali się za wielką barierą. Zniknęli. Dziewczyna gładziła kark klaczy, czerpiąc ulgę z dotykania żywej istoty.

- A co robili z takimi, którzy rodzili się potem?

Nadal patrzył przed siebie.

- Zabijali ich.

Aż się wstrząsnęła z odrazy.

- Nie rozumiem, jak mogli to czynić.

- Zaraz po narodzinach dziecka wiedzieli, czy jest pozbawione daru. Podobno łatwiej je było uśmiercić, zanim nadano mu imię.

Przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć.

- I tak - wyszeptała - nie potrafię tego pojąć.

- To się niczym nie różni od tego, co Spowiedniczki robią z nowo narodzonymi chłopcami.

Owe słowa boleśnie ją ugodziły. Nie cierpiała wspomnień o chłopcach rodzących się Spowiedniczkom. O istotach zabijanych na rozkaz matki.

Twierdzono, że nie ma innego wyjścia. W przeszłości Spowiednicy nie potrafili kontrolować swojej mocy. Stawali się potworami, wszczynali wojny, powodowali niewyobrażalne cierpienia.

Upierano się, że jedynym wyjściem jest zgładzenie urodzonego przez Spowiedniczkę chłopca, i to zanim mu się nada imię.

Kahlan nie umiała spojrzeć Richardowi w oczy. Wiedźma Shota przepowiedziała, że będą mieli chłopca. Ani Kahlan, ani Richard nie dopuszczali do siebie myśli, że mogliby wyrządzić krzywdę któremuś ze swoich dzieci, owocowi swej wzajemnej miłości i miłości ich życia. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że wydałaby na śmierć ich dziecko, gdyby się okazało chłopcem, męskim potomkiem Spowiedniczki, lub pozbawionym daru męskim czy żeńskim potomkiem Rahlów. Jak ktokolwiek mógł

twierdzić, że takie istoty nie mają prawa do życia ze względu na to, kim są, czego są pozbawione lub kim się mogą stać?

- Po napisaniu tej książki - odezwał się cicho Richard - czasy się zmieniły. Kiedy ją pisano, lord Rahl D'Hary zawsze się zenił, więc wiedzieli, kiedy mu się rodziło dziecko. Gdy okazywało się, że jest pozbawione daru, najmiłośniej jak mogli pozbawiali je życia. W pewnym momencie rządzący czarodzieje z rodu Rahlów stali się tacy jak Rahl Posępny. Brali każdą kobietę, jakiej chcieli i kiedy chcieli. Przestało ich obchodzić, że z takich związków mogą powstawać Filary Świata. Po prostu uśmiercali każde dziecko, z wyjątkiem obdarzonego magiczną mocą dziedzica.

- Przecież byli czarodziejami, więc mogli sprawdzić, które nie ma w ogóle daru, i oszczędzić pozostałe.

- Pewnie mogliby to zrobić, gdyby chcieli, ale, podobnie jak Rahla Posępnego, obchodził ich wyłącznie jeden, obdarzony magiczną mocą dziedzic. Całą resztę zwyczajnie zabijali.

- Więc tacy potomkowie ukrywali się z obawy o swoje życie, a jednemu z nich udało się ująć przed Rahlem Posępnym, przetrwać, dopóki go nie zabił. Dzięki temu masz siostrę, Jennsen.

Richard znów się uśmiechał.

- Właśnie.

Kahlan spojrzała tam gdzie on i dostrzegła odległe punkciki - to obserwujące ich czarnosterne chyzoloty szybowaly na prądach wstępujących wzbudzanych przez wyniosłe skały wschodnich gór. Głęboko odetchnęła gorącym, parnym powietrzem.

- Sądzisz, Richardzie, że ci pozbawieni daru potomkowie wypędzeni do Starego Świata przeżyli?

- Jeśli nie wymordowali ich czarodzieje Starego Świata.

- Ale przecież wszyscy tu, w Starym Świecie, są tacy sami jak w Nowym. Wraz z Zeddem i Siostrami Światła walczyłam z pochodzącymi stąd żołnierzami. Próbując powstrzymać marsz Ładu, wykorzystywaliśmy najrozmaitszą magię. I z własnego doświadczenia mogę ci powiedzieć, że działała ona na ludzi ze Starego Świata, co by oznaczało, że wszyscy oni urodzili się z ową iskierką daru. Nie są pękniętymi ogniwami w łańcuchu magii Starego Świata.

- Po tym, co tu widziałem, muszę ci przyznać rację.

Kahlan otarła pot z czoła. Zalewał jej oczy.

- Cóż więc się stało z tymi wygnanymi?

Richard popatrzył ku górcom, nad którymi unosiły się chyzoloty.

- Nie mam pojęcia. Ale to musiało być dla nich przerażające.

- Czyli jednak uważasz, że to mógł być ich kres? Że być może wyginęli lub zostali zabici?

Spojrzał na nią z ukosa.

- Nie wiem. Jednak bardzo bym się chciał dowiedzieć, dlaczego tamto miejsce zwie się tak, jak nazywano ich w tej książce: Filary Świata. - Oczy błysnęły mu groźnie. - A jeszcze bardziej chciałbym się dowiedzieć, czemu, jak nam powiedziała Jennsen, kopia owej książki należy do najcenniejszych skarbów Jaganga.

Kahlan też o tym myślała. Spojrzała nań chmurnie.

- Może nie powinieneś był przeskakiwać fragmentów tekstu, lordzie Rahlu.

Musiała się zadowolić przelotnym uśmiechem Richarda.

- Cieszyłbym się, gdyby to był największy z moich ostatnich błędów.

- Co masz na myśli?

Przeczesał palcami włosy.

- Zauważyłaś jakąś zmianę w swojej mocy Spowiedniczki?

- Zmianę? - Bezwiednie dotknęła mocy, którą nieustannie w sobie czuła, oeniła ją. - Nie. Jest taka jak zawsze.

Nie musiała przyzywać tkwiącej w niej mocy, kiedy jej potrzebowała. Moc stale tam trwała, gotowa do działania. W razie potrzeby musiała ją tylko uwolnić.

- Coś jest nie tak z mieczem - powiedział ku jej zaskoczeniu. - Z jego mocą.

Kahlan nie wiedziała, jak ma to rozumieć.

- Skąd wiesz? Co się zmieniło?

Richard machinalnie gładził kciukami trzymane w dłoniach cugle.

- Trudno tak dokładnie opisać, co się zmieniło. Przyzwyczałem się, że jest na każde moje zawołanie. Reaguje, kiedy jest mi potrzebna, lecz z jakiegoś powodu z oporami.

Dziewczyna pomyślała, że teraz to już na pewno powinni wrócić do Aydindril, do Zedda. Zedd był opiekunem miecza. I chociaż nie mogli zabrać

oreża przez sylfę, to czarodziej i tak mógłby im wytłumaczyć najdrobniejsze niuanse jego mocy. Wiedziałyby, co robić. No i pomógłby Richardowi zapanować nad tymi migrenami. A wiedziała, że Richard potrzebuje pomocy. Widziała, że nie jest dawnym sobą. W szarych oczach widoczny był ból. Ale coś jeszcze kryło się w wyrazie jego twarzy, w ruchach, w zachowaniu.

Książka i to, co w niej wyczytał, podkopało jego siły.

Kahlan zaczynała sądzić, że to nie ona ma coraz mniej czasu, lecz Richard. Ta myśl sprawiła, że mimo gorącego popołudnia wstrząsnął ją lodowaty dreszcz przerażenia.

Richard obejrzał się przez ramię na tamtych.

- Wracajmy do wozu. Muszę włożyć coś cieplejszego. Zimno dzisiaj.

ROZDZIAŁ 12

Zedd spojrział w opustoszałą ulicę. Mógłby przysiąc, że kogoś widział. Posłużył się darem, szukając oznak życia, i wyczuł, że wokół nikogo nie ma. Nadal jednak trwał nieruchomo i rozglądał się.

Ciepły wiatr oblepiał skromne szaty na kościstej postaci czarodzieja, lekko rozwiewał niesforne siwe włosy. Obszarpana, wyblakła na słońcu niebieska suknia, którą ktoś przymocował do poręczy balkonu pierwszego piętra, żeby wyschła, łopotała jak chorągiew. I tę suknię, i cały znajdujący się w mieście dobytek już dawno porzucono.

Domy - o murach pomalowanych różnymi barwami, od rdzawej czerwieni do żółci, z okiennicami w jaskrawych, kontrastowych odcieniach - tłoczyły się w nierównych rzędach po obu stronach wąskiej, brukowanej uliczki, zmieniając ją w wąwóz o kolorowych ścianach. Większość pierwszych pięter o kilka stóp wychylała się ponad partery, a ich okapy wysuwały się jeszcze dalej, prawie całkiem zasłaniając niebo - tylko wąska szczelina, oświetlona popołudniowym słońcem, wiła się nad uliczką w górę stoku łagodnego wzniesienia. Drzwi były dokładnie pozamykane, okna przeważnie zasłonięte okiennicami. Jasnozielona furtka do bocznego przejścia kołysała się, skrzypiąc, na wietrze.

Zedd uznał, że pewnie widział jakiś odblask światła: może wiatr poruszył szybą i światło błysnęło na ścianie.

Kiedy wreszcie stwierdził, że na pewno nikogo nie widział, ruszył uliczką, trzymając się jednej strony i poruszając jak najciszej. Wojska Imperialnego Ładu nie powróciły do miasta, odkąd Zedd uruchomił sieć światła, zabił bardzo wielu żołnierzy i zniszczył mnóstwo sprzętu. Jednak to wcale nie oznaczało, że nie ma żadnego zagrożenia.

Imperator bez wątpienia nadal chciał zająć miasto, a zwłaszcza wieżę, lecz nie był głupcem. Wiedział, że jeszcze parę sieci światła uczynionych pośród jego wojsk, a siły Ładu, choć tak liczne, zostaną uszczuplone do tego stopnia, że mogłoby to wpłynąć na przebieg wojny. Już od roku walczył z armiami Midlandów i D'Hary, ale w żadnej z bitew nie stracił tylu ludzi, co w owym pojedynczym oślepiającym wybuchu. Na pewno nie zaryzykuje kolejnej takiej eksplozji.

Po tym ciosie Jagang niewątpliwie jeszcze bardziej pragnie zająć wieżę. I dostać w swoje łapy Zedda.

Gdyby Zedd miał więcej takich sieci światła jak ta, którą po gorączkowych poszukiwaniach odnalazł w wieży, to już wszystkimi poraziłby wroga. Westchnął. Gdybyż tak miał więcej sieci światła.

Ale Jagang nie wiedział przecież, że Zedd nie ma już takich strukturalnych zaklęć. Dopóki imperator obawiał się, że istnieją inne, dopóty - co było celem Zedda - trzymał Imperialny Ład z dala od Aydindril i Wieży Czarodzieja.

W czasie zamachu na Jaganga trochę ucierpiał Pałac Spowiedniczek, ale Zedd uważał, że straty się opłaciły. Mało brakowało, żeby wraz z Adie zdołali zabić imperatora. A szkody zawsze można naprawić. Ślubował, że tak się stanie.

Zedd zacisnął pięść, myśląc, jak niewiele brakowało, żeby tamtego dnia skończył z Jagangiem. No, ale przynajmniej zadał potężny cios jego armii.

Mógłby dopaść imperatora, gdyby nie ta dziwna młoda kobieta. Potrząsnął głową, wspominając, jak wreszcie ujrzał kogoś, na kogo magia nie działała. Wiedział, rzecz jasna, o istnieniu takich ludzi, ale nie miał pewności, czy owe zapiski są prawdziwe. Niejasne wzmianki w starych księgach dawały podstawy do interesujących abstrakcyjnych rozważań - ale zobaczyć kogoś takiego na własne oczy to zupełnie co innego.

To wytrącało z równowagi. Adie była jeszcze bardziej wstrząśnięta niż on. Była ślepa, ale dzięki darowi widziała lepiej od niego. Ale tamtego dnia nie mogła dostrzec owej młodej kobiety, która tam była, a zarazem jakby jej nie było. Dla oczu Zedda stanowiła uroczy widok: miała w sobie coś z Rahla Poępnego, lecz odmienione, urzekająca. Nie było wątpliwości, że jest przyrodnią siostrą Richarda - łączyły ich podobne rysy, a zwłaszcza oczy. Gdyby Zedd zdołał ją wówczas powstrzymać, odsunąć na bok, przekonać, jaki straszliwy błąd popełnia, trzymając z Ładem, albo gdyby ją zabił, Jagang nie uszedłby sprawiedliwości.

Zedd nie łudził się jednak, że samo zabicie Jaganga oznaczałoby kres zagrożenia ze strony Imperialnego Ładu. Imperator był zaledwie okrutnikiem przewodzącym innym niegodziwcom w narzucaniu ślepej wiary w Ład; ślepej wiary uznającej śmierć za wybawienie od niedoli życia; ślepej wiary, według której życie miało wartość wyłącznie jako krwawa

ofiara na ołtarzu altruizmu; ślepej wiary głoszącej, że jej idee są odrzucane, bo ludzie są źli i grzeszni i nie chcą z należyтым poświęceniem dążyć ku jakiemuś iluzorycznemu większemu dobru; ślepej wiary w Ład nieustępliwie trzymający się władzy i tuczący się tym, co wyciskał z prowadzących produktywne życie, rujnując ich przy tym.

Wiara, która w istocie odrzucała rozum, a opowiadała się za irracjonalnością, nie mogłaby długo istnieć bez wsparcia siły i bez zastraszania - bez podobnych Jagangowi łajdaków, którzy ją przemocą narzucali.

Chociaż imperator działał bardzo skutecznie, błędem byłoby myśleć, że jego śmierć natychmiast zlikwiduje zagrożenie ze strony Ładu. To idee Ładu stanowiły takie niebezpieczeństwo - jego kapłani na pewno znaleźliby innych nikczemników na miejsce Jaganga.

Żeby naprawdę położyć kres terrorowi Ładu, należało ukazać bez osłonek zło tkwiące w jego naukach, a cierpiący pod władzą Ładu sami powinni zrzucić jego jarzmo. Dopóki tak się nie stanie, muszą ze wszystkich sił stawiać opór i mieć nadzieję, że przynajmniej powstrzymają siły wroga.

Zedd wychylił głowę zza rogu; obserwował, czekał, nasłuchiwał, węszył w wietrze ewentualny ślad każdego, kto mógł się czaić w pobliżu. Miasto było opuszczone, lecz wielokrotnie zapuszczali się tu z gór żołnierze Imperialnego Ładu.

Po zniszczeniach spowodowanych przez sieć światła obóz Imperialnego Ładu ogarnęła panika. Wielu żołnierzy uciekło na wzgórza. Kiedy armia się przegrupowała, całkiem sporo ludzi wołało zdezerterować, niż wrócić do swoich jednostek. Dziesiątki tysięcy takich dezertorów otoczono i wybito, ich zwłoki zaś pozostawiono, żeby gnily i ostrzegały, co się przydarza takim, którzy wyrzekają się walki o większą chwałę Imperialnego Ładu. Większość dezertorów ze wzgórz zmieniła wówczas zdanie i wróciła do obozu.

Ale i tak pozostali tacy, którzy nie chcieli wracać, a których nie wyłapano. Kiedy armia Jaganga poszła dalej, zaczęli się zapuszczać do miasta - czasem w pojedynkę, czasem w grupach - na poły zagłodzeni, szukając stawy i plądrując. Zedd stracił już rachubę, ilu takich żołdaków zabił.

Był raczej pewny, że wszyscy ci maruderzy już nie żyją. Żołnierze Ładu pochodzili przede wszystkim z miast i miasteczek. Nie byli przyzwyczajeni do życia pod gołym niebem. Ich zadaniem było zmiażdżyć przeciwnika,

zabijać, gwałcić, terroryzować i grabić. Służby logistyczne zajmowały się zaopatrzeniem, rozdzielając nieustannie napływającą żywność i inne potrzebne armii rzeczy. Wszyscy oni byli agresywni i groźni, lecz ktoś się musiał o nich troszczyć; przetrwać mogli wyłącznie w grupie. W pojedynkę, zdani tylko na siebie, nie pociągnęli długo w dzikich, zalesionych górach okalających Aydindril.

Zedd od pewnego czasu nie widział żadnego z nich. Dlatego był raczej pewny, że maruderzy pomarli z głodu, zostali zabici albo już dawno wracali do Starego Świata.

Zawsze jednak istniała możliwość, że Jagang wysłał do Aydindril asasynów. Mogły wśród nich być i Siostry Światła lub - co gorsza - Siostry Mroku. Dlatego też czarodziej rzadko wychodził z bezpiecznego schronienia w wieży, a jeżeli już, to był nadzwyczaj ostrożny.

Poza tym nie cierpiał się kręcić po wymarłym mieście. Mieszkał tu przez większość życia. Pamiętał czasy, kiedy wieża była centrum aktywności - nie tak jak niegdyś, oczywiście, ale pełno tu było ludzi. Stwierdził, że się uśmiecha do tych wspomnień.

Przestał się uśmiechać. Teraz miasto przedstawiało smutny widok: pozabawione ludzi zapelniających ulice, rozmawiających z balkonu z sąsiadami w oknie po drugiej stronie, handlujących na targu. Nie tak dawno ludzie kończyliby rozmowy w drzwiach, kupcy pchaliby wąskimi ulicami wózki z towarem, a bawiące się dzieciaki przemykałyby wśród tłumów. Zedd westchnął, patrząc na smutne, wyludnione ulice.

No, ale przynajmniej byli bezpieczni, mimo że tak daleko od domów. Chociaż w wielu sprawach pomiędzy nim a Siostrami Światła istniały zasadnicze różnice, to wiedział, że ich Ksieni, Verna, i skupione przy niej Siostry będą nad nimi czuwać.

Problem w tym, że teraz poza wieżą Jagang nie miał w Aydindril nic wartościowego do zdobycia, wiele zaś do stracenia. Skierował więc armię na wschód, ku resztkom midlandzkich wojsk. Jasne było, że armia D'Hary czeka za wschodnimi górami, a Zedd wiedział, jacy to wspaniali żołnierze, nie mógł się jednak łudzić, że mają jakąkolwiek szansę w starciu z tak olbrzymią armią jak siły Imperialnego Ładu.

Jagang zostawił miasto, żeby uderzyć na wojska D'Hary. Imperialny Ład nie wygrałby wojny, okupując opuszczone Aydindril. Musieli raz na zawsze

zgnieść cały opór, żeby nie został ani jeden człowiek mogący swoim dostatnym, szczęśliwym i spokojnym życiem zadać kłam naukom Ładu.

Jagang, docierając aż tutaj przez Midlandy, rozszczepił Nowy Świat na dwie części. Po drodze zostawiał garnizony mające okupować miasta i miasteczka. Teraz główne siły Ładu, żądne krwi, uderzą na wschód, na osamotnioną D'Harę. Takie podzielenie Nowego Świata pozwoli imperatorowi łatwiej zgnieść opór.

Zedd wiedział, że Nowy Świat nie oddała pola bez walki. Razem z Kahlan - pośród wielu innych - całymi miesiącami wyteżali się, żeby jakoś powstrzymać siły Jaganga.

Czarodziej zacisnął szaty przy szyi, wspominając ze smutkiem zaciekłą walkę, nieudane próby zatrzymania ogromnej armii Jaganga, zabitych i umierających, utraconych przyjaciół.

To tylko kwestia czasu, kiedy wszystko przepadnie i hordy Starego Świata zwyciężą.

Richard i Kahlan nie przeżyją zwycięstwa Imperialnego Ładu. Chude palce Zedda zasłoniły jego drżące wargi; z rozpaczą pomyślał, że i ich utraci. Tylko oni pozostali mu z rodziny. Byli dla niego wszystkim.

Przytłoczyło go poczucie beznadziei i musiał przysiąc na pniaku przed zamkniętym na głucho sklepem z butami. Kiedy Ład w końcu zgniecie wszelki opór, Jagang wróci, zajmie miasto i zacznie oblegać wieżę. Wcześniej czy później zdobędzie wszystko.

Zedd obawiał się, że świat czeka ponura przyszłość pod władzą Imperialnego Ładu. Jeśli świat dostanie się pod jarzmo Ładu, zapewne minie bardzo wiele czasu, zanim ludzkość znów odzyska wolność. Kiedy swoboda skapituje przed tyranią, mogą minąć całe wieki, zanim odżyje i znów rozjaśni świat.

Czarodziej posiedział chwilę i zmusił się do wstania. Był Pierwszym Czarodziejem. Bywał już w na pozór beznadziejnych sytuacjach i widział, jak przepędzano wroga. Całkiem możliwe, że razem z Adie znajdą w wieży coś, co im pomoże, lub odszukają w bibliotekach informacje, dzięki którym zdobędą cenną przewagę.

Dopóki żyli, mogli walczyć. Jeszcze mogli zwyciężyć.

Zedd teatralnie odchrząknął. Jeszcze zatriumfuje.

Rad był, że Adie nie widzi go w tak żalonym stanie ducha,

sprawiającym, że choć przez moment dopuścił możliwość porażki. Stale by mu to potem wypominała, i słusznie.

Znów odchrząknął. Nie brakowało mu doświadczenia, potrafi sprostać wyzwaniom. A jeżeli rzeczywiście kręcą się tu asasyni - mający dar lub nie - to raz-dwa natkną się na malutkie niespodzianki, które wokół pozostawiał. Bardzo niemiłe niespodzianki.

Zedd dumnie uniósł głowę, uśmiechnął się do siebie i skręcił w wąskie przejście, wiodące płataniną podwórzy z pustymi zagrodami, w których kiedyś trzymano kury, gęsi, kaczki i gołębie. Przesuwał wzrokiem po niewielkich podwórkach, na których rosły zaniedbane zioła i kwiaty, wisiały puste sznury do prania, a ułożone po bokach drewno i inne materiały czekały, aż ludzie wrócą i zmienią je w coś pożytecznego.

Po drodze zatrzymywał się w ogródkach warzywnych, zbierając to, co już urosło. Było mnóstwo sałaty, poza tym szpinak, trochę małych kabaczków, zielone pomidory, nieco groszku. Płócienny worek z tak cenną zdobyczą zarzucił na ramię i obchodził grządki, sprawdzając, jak rosną cebula, fasola, rzepa i buraki. Uznał, że jeszcze powinny podrosnąć.

Warzyw nikt nie siał, więc nie rosły obficie, lecz i tak sporo ich było w całym mieście, a to znaczyło, że za jakiś czas będą mieć z Adie świeże jarzyny. Może nawet mogłaby zrobić zapasy na następną zimę. Rośliny korzeniowe mogliby zmagazynować w chłodniejszych pomieszczeniach wieży, a te łatwiej się psujące zakonserwować. Mieliby więcej żywności, niż zdołaliby zjeść.

Po drodze Zedd wypatrzył rosnący przy niskim płocie między dwoma domami bujny, zielony krzak. Krzak jeżyny obsypany dojrzałymi owocami. Przystanął i od czasu do czasu zerkając ku pobliskim uliczkom, usypał na kawałku płótna sporą kupkę ciemnych, soczystych owoców. Starannie związał rogi płótna i położył zawiniątko na wierzchu worka. Na krzaku zostało jeszcze mnóstwo jeżyn. Nie chciał, żeby się zmarnowały lub żeby je zjadły ptaki, więc napełnił nimi kieszenie. Nie martwił się, że to mu odbierze apetyt na kolację - do wieży była jeszcze długa droga pod górę, więc spokojnie mógł coś przekąsić. Adie szykowała zawieszistą potrawkę z marynowanej szynki. Nie ma obawy, że jakieś tam jeżyny popsują mu apetyt na kolację. Adie ucieszy się z jarzyn, które przyniesie, i na pewno od razu zechce je dodać do potrawki. Wspaniale gotowała, chociaż wołał jej tego nie

mówić, żeby się jej w głowie nie przewróciło.

Zedd zatrzymał się przed kamiennym mostem i obejrzał na szeroką, wiodącą w górę drogę. Jedyne źródłem dźwięku i ruchu były kołysane wiatrem drzewa i ich szeleszczące, połyskliwe listowie. Mimo to dłuższą chwilę patrzył na drogę.

Potem obrócił się ku długiemu na jakieś trzysta kroków mostowi, spinającemu rozpadlinę o niemal pionowych, opadających tysiące stóp w dół ścianach. Daleko w dole chmury unosiły się ciężko wśród stromych skał. Chociaż już mnóstwo razy przekraczał ten kamienny most, wciąż go trochę mdliło. Dla kogoś bez skrzydeł była to jednak jedyna droga do Wieży Czarodzieja, z wyjątkiem pewnego akrobatycznego przejścia, z którego korzystał jako chłopiec.

Most i droga poza nim miały strategiczne znaczenie, więc Zedd zastawił tyle pułapek, że nikt nie uszedłby nimi więcej niż kilka kroków. Nawet Siostra Mroku. Kilka próbowało dokonać owej niemożliwości i przypłaciło to życiem.

Na pewno się spodziewały, że Pierwszy Czarodziej zastawi takie sieci, i wyczuły niektóre z osłon ostrzegających, ale Jagang bez wątpienia nie pozostawił im wyboru - wysłał je, żeby się spróbowwały dostać do wieży, w razie potrzeby poświęcając życie dla większej chwały Ładu.

Verna znalazła się niegdyś na krótko pod władzą Nawiedzającego Sny i opowiedziała Zeddowi wszystko o tym przeżyciu w nadziei, że uda się im znaleźć inną ochronę niż szczerą przysięgą lojalności wobec lorda Rahla. Zedd robił, co mógł, ale nie wynalazł innego magicznego przeciwdziałania. Podczas wielkiej wojny czarodzieje o większej niż on mocy i mający dar obu magii starali się stworzyć osłonę przed Nawiedzającymi Sny. Kiedy Nawiedzający Sny raz wniknął w czyjś umysł, już nie było przed nim obrony - taka osoba musiała wykonywać jego rozkazy bez względu na wszystko, nawet jeśli miała to przypłacić życiem. Zedd podejrzewał, że dla niektórych śmierć była upragnionym wybawieniem spod władzy Nawiedzającego Sny. Jagang oczywiście nie pozwalał popełnić samobójstwa. Potrzebował magicznej mocy Sióstr i innych osób z darem. Nie mógł dopuścić, żeby wszyscy mu się pozabijali, uciekając przed straszliwym losem jego „własności”. Jednak kiedy wysyłał ich na pewną śmierć - na przykład, rozkazując wdrzeć się do wieży - mogli się w końcu wyzwolić od udręki,

jaka się stało ich życie.

Na stoku góry wznosiła się ogromna wieża. Strzeliste mury z ciemnego kamienia, budzące grozę w większości ludzi, napawały Zedda ciepłym poczuciem swojskości. Wodził oczami po rampartach i wspominał, jak przed bardzo wieloma laty spacerował tam z żoną - wydawało się, że od tamtej pory minęły całe wieki. Z wież tak często oglądał piękną panoramę leżącego w dole Aydindril. Chodził mostami i pasażami, przekazując rozkazy co do obrony Midlandów przed atakiem D'Hary, którą dowodził ojciec Rahla Posępnego.

I od tego, zdawało się, minęły całe wieki. Teraz lordem Rahlem był Richard, jego wnuk, któremu udało się zjednoczyć większość Midlandów pod berłem imperium D'Hary. Zedd potrząsał głową, dziwując się temu i myśląc o tym, jak Richard wszystko odmienił. I teraz, za sprawą Richarda, Zedd był poddanym imperium D'Hary. Dziwy nad dziwami.

Zanim czarodziej dotarł na drugą stronę mostu, spojrzął w przepaść. Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Oparł kościste palce na szorstkim kamieniu i troszkę się wychylił, żeby lepiej widzieć. W dole, lecz ponad chmurami, dojrzał dwa wielkie ptaki, czarne jak bezksiężycowa noc, szybujące skalną rozpadliną. Zedd nigdy jeszcze nie widział takich ptaszysk. Pojęcia nie miał, co to za gatunek i co znaczy ich pojawienie się.

Kiedy znów spojrzął ku wieży, wysoko ponad nią zobaczył jeszcze trzy takie ptaki lecące razem. Uznał, że to na pewno kruki. Kruki są duże. Na pewno źle je ocenił z tej odległości - dawał się we znaki brak stawy. Skoro uznał, że to kruki, spróbował skorygować ocenę odległości, ale już zniknęły. Spojrzął w dół - tych dwóch też już nie było.

Zedd przeszedł pod żelazną spuszczaną kratą w bramie, wyczuł przyjazny urok wieży... i poczuł się przeraźliwie samotny. Tak bardzo tęsknił za Erylin, od dawna nieżyjącą żoną, za dawno zmarłą córką, matką Richarda, i - drogie duchy - za Richardem. Uśmiechnął się, pomyślawszy, że Richard jest teraz z własną żoną. Trudno mu było myśleć o wnuku jako dorosłym mężczyźnie. Przeżył wspaniały okres, pomagając w wychowywaniu Richarda. Cóż to były za czasy - w Westlandzie, daleko od Midlandów, odpowiedzialności i magii. Jedynie ów ciekawy wszystkiego chłopiec i cały cudowny świat, który mu pokazywał i poznawał razem z nim. Istotnie, cóż za czasy!

Kiedy w wieży Pierwszy Czarodziej Zeddicus Zu'l Zorander szedł przez korytarze i komnaty, w głąb olbrzymiej górskiej fortecy, lampy posłusznie się zapalały, oświetlając mu drogę. Mijając zostawione przez siebie sieci, sprawdzał ich magiczną strukturę - nikt jej nie naruszył. Westchnął z ulgą. Nie spodziewał się co prawda, że ktoś będzie na tyle głupi, by spróbować wejść do wieży, ale głupków na świecie nie brakowało. Wcale mu się nie podobało, że musiał wszędzie zastawiać tak niebezpieczne sieci, wzmacniając i tak już strzegące wieży ekrany ochronne, lecz nie śmiał zaniechać nawet odrobiny czujności.

Mijając stolik w olbrzymiej sali zgromadzeń, Zedd - tak jak to robił od czasów, kiedy był chłopcem - przesunął palcem po rowku w krawędzi pstrego, brązowego jak czekolada marmurowego blatu. Przystanął, spojrzął z namysłem na stolik i uświadomił sobie, że leży tam coś, co chciałby zabrać: kłębek czarnej linki zostawiony tu przed tyloma laty, żeby przywiązywać do kinkietów w sali zgromadzeń wstążki i inne ozdoby. I rzeczywiście, w środkowej szufladzie znalazł kłębek linki. Zabrał go i schował do kieszeni już dawno opróżnionej z jeżyn. Z kinkietu obok stolika zdjął różdżkę z sześcioma dzwoneczkami. Owa różdżka - jedna z setek lub nawet tysięcy w całej wieży - służyła niegdyś do przywoływania służących. Zedd westchnął w duchu. Całe dziesięciolecie minęły od czasów, kiedy w Wieży Czarodzieja mieszkali służący wraz z rodzinami. Pamiętał, jak ich dzieci biegały i bawiły się w korytarzach. Pamiętał rozbrzmiewający w wieży radosny śmiech, który ożywiało owo miejsce.

Powiedział sobie, że pewnego dnia po korytarzach znów będą biegać i śmiać się dzieci - dzieci Richarda i Kahlan - i uśmiechnął się szeroko.

W kamiennych ścianach były okna i prześwity wpuszczające światło do wielu komnat i korytarzy, lecz były też miejsca słabiej oświetlone. Zedd odnalazł jedno z takich miejsc odpowiednio ciemne do jego zamierzeń. Przegrodził drzwi kawałkiem czarnej linki, do której przywiązał dzwoneczek, mocując ją do nierówności w kamiennym obramowaniu. Zapuszczał się głębiej w labirynt przejść i korytarzy, przystając tu i ówdzie i mocując linki z dzwoneczkami w miejscach, gdzie trudno je było zauważyć. Musiał zabrać jeszcze kilka takich różdżek, żeby mu wystarczyło dzwoneczków.

Co prawda wszędzie były magiczne osłony, lecz ktoś wiedział, jakimi

mocami władają niektóre z Sióstr Mroku. Będą się rozglądać za magią, a nie za dzwoneczkami. Takie dodatkowe zabezpieczenie na pewno nie zaszkodzi.

Zedd zapamiętał, gdzie umieścił dzwoneczki na czarnej lince - musi o tym powiedzieć Adie. Chociaż pewnie nie potrzebowała żadnego ostrzeżenia, nie z tym swoim magicznym „wzrokiem”. Był przekonany, że swoimi ślepyimi oczami widziała lepiej niż wszyscy.

Zedd, kierując się aromatem potrawy z szynki, dotarł do wygodnego pokoju obstawionego półkami z książkami, z których najczęściej korzystali. Z niskich belek, rzeźbionych przez dawnych rzemieślników, zwisały się suszone przez Adie korzenie i zioła. Przed szerokim kominkiem stała skórzana kanapa. Wygodne fotele umieszczono obok inkrustowanego srebrem stolika pod oknem z oprawionymi w ołów rombokatymi szybami, za którym rozciągał się zapierający dech w piersi widok Aydindril.

Słońce zachodziło, zalewając ulice ciepłym blaskiem. A miasto wyglądało jak zawsze, tyle że z kominów nie unosił się dym.

Zedd położył wyładowany jarzynami płócienny worek na stosach książek umieszczonych na mahoniowym stoliku obok kanapy. Zbliżył się do ognia, głęboko wciągając kuszący aromat potrawy.

- Adie! - zawołał. - To wspaniale pachnie! Wychodziłaś dzisiaj? Widziałem jakieś dziwaczne ptaszyska. - Uśmiechnął się, znów wciągnął w nozdrza aromat. - Adie, to już chyba gotowe - zawołał ku drzwiom do niewielkiej spiżarni. - Powinniśmy choć spróbować. Spróbować nigdy nie zawadzi. - Obejrzał się przez ramię. - Adie? Słyszysz?

Podszedł do drzwi i zajrzał do spiżarni - była pusta.

- Adie! - zawołał ku widocznym w głębi schodom. - Jesteś tam?!

Odpowiedzi nie było i Zedd skrzywił się z niezadowoleniem.

- Adie?! - krzyknął jeszcze raz. - Kurczę, kobieto, gdzie jesteś?!

Zerknął na potrawkę bulgoczącą w zawieszonym nad ogniem kociołku. Wziął z kredensu długą drewnianą łyżkę. Trzymając w garści łyżkę, wychylił się ku schodom.

- Nie spiesz się, Adie! Ja tu sobie... poczytam! - Uśmiechnął się od ucha do ucha i rażno ruszył ku potrawce.

ROZDZIAŁ 13

Richard gwałtownie wstał, widząc Carę idącą jarem ku obozowi i popychającą przed sobą człowieka, który mu się wydał znajomy. W słabnącym świetle nie widział wyraźnie twarzy tamtego. Obejrzał uważnie okolicę - suche łożyska strumieni, kamieniste wzgórza, strome, zalesione stoki gór - lecz nikogo nie dostrzegł.

Friedrich ruszył na zwiady ku południowi, Tom zaś ku zachodowi, sprawdzając, jak to robiła i Cara, czy nikt się nie kręci w pobliżu i czy mogą tu bezpiecznie spędzić noc. Byli już zmęczeni wyszukiwaniem drogi przez coraz bardziej nierówny, poszarpany teren. Cara sprawdzała kierunek północny - to właśnie tam się kierowali i to tę stronę Richard uważał za najbardziej niebezpieczną. Jennsen odwróciła się od zwierząt, chcąc zobaczyć, kogo prowadzi Mord-Sith.

Richard natychmiast pożałował, że tak szybko wstał, bo zakręciło mu się w głowie. Nie mógł się pozbyć osobliwego wrażenia, że obserwuje, jak ktoś inny reaguje, mówi, porusza się. Kiedy się koncentrował, zmuszał się do skupienia uwagi, to owo wrażenie przynajmniej częściowo zniknęło i zaczynał się zastanawiać, czy aby sobie tego tylko nie wyobrażał.

Kahlan zacisnęła dłoń na jego ramieniu, jakby się wystraszyła, że upadnie.

- Dobrze się czujesz? - szepnęła.

Kiwnął głową, obserwując Carę i owego człowieka; nie przestawał się również rozglądać po okolicy. Po popołudniowej rozmowie o książce Kahlan jeszcze bardziej się o niego martwiła. Oboje niepokoił się tym, co wyczytał, lecz ona przede wszystkim trapiła się o niego.

Richard podejrzewał, że dostaje gorączki. To by tłumaczyło, dlaczego jest mu tak zimno, kiedy pozostałym - gorąco. Kahlan od czasu do czasu dotykała jego czoła lub policzka. Dotknięcie jej dłoni dodawało otuchy; martwiła się o niego i nie zwracała uwagi na jego uśmiechy. Obawiała się, że ma niewielką gorączkę. Raz nawet poprosiła Jennsen, żeby dotknęła jego czoła, by sprawdzić, czy naprawdę jest cieplejsze, niż powinno. Jennsen również uznała, że jeśli ma gorączkę, to niewielką. Cara, jak dotąd, zadowolona była z zapewnieniami Kahlan, że chłopak nie ma gorączki, i nie

sprawdzała tego sama.

Gorączka wcale nie byłaby teraz Richardowi na rękę. Były ważne... było coś ważnego. Nie mógł sobie tylko teraz przypomnieć co. Starał sobie przypomnieć imię tego młodego człowieka lub przynajmniej, gdzie go wcześniej widział.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca barwiły na różowo góry na wschodzie. Bliżej położone wzgórza coraz bardziej szarzały w zapadającym zmroku. W miarę jak nadciągała noc, ognisko zaczynało rozsiewać wokół ciepły, żółtopomarańczowy blask. Richard dbał, żeby ogień nie był zbyt duży, bo nie chciał zdradzać ich obecności bardziej, niż to było konieczne.

- Lordzie Rahlu - odezwał się czołobitnie ów człowiek, wchodząc do obozu. Pochylił głowę w niepewnym ukłonie, jakby nie wiedział, czy ma się skłonić czy nie. - To zaszczyt widzieć cię znowu.

Był może parę lat młodszy od Richarda. Kręcone czarne włosy dotykały jego szerokich ramion okrytych skórzaną kurtą. U pasa miał długi nóż, a nie miecz. Uszy mu odstawały, jakby chciał usłyszeć najlżejszy dźwięk. Richard pomyślał, że w dzieciństwie pewnie się nasłuchiwał docinków na temat tych uszu, lecz teraz nadawały mu wygląd poważny i stanowczy. Poza tym tak muskularny mężczyzna na pewno nie był obiektem kpin.

- Przykro mi... ale nie mogę sobie przypomnieć...

- Och, nie możesz mnie pamiętać, lordzie Rahlu. Byłem zaledwie...

- Sabar - przypomniało się Richardowi. - Sabar. Ładowałeś piece w odlewni Priski w Altur'Rang.

- To prawda - rozpromienił się mężczyzna. - Nie mogę uwierzyć, że mnie zapamiętałeś.

Sabar był jednym z tych, którzy mogli pracować dzięki zaopatrzeniu, jakie Richard dostarczał Prisce, kiedy inne źródła zawiodły. Pojmował, jak ciężko Priska haruje, żeby jego odlewnia przetrwała mimo utrudniających życie, coraz to nowych i często sprzecznych ze sobą zaleceń Ładu. Był na miejscu, kiedy odsłonięto posąg wyrzeźbiony przez Richarda. Widział tę rzeźbę, zanim została zniszczona. Uczestniczył w początkach rewolty w Altur'Rang, walczył u boku Victora, Priski i tych wszystkich, którzy wykorzystali sprzyjającą chwilę. Sabar walczył, pomagając przywrócić wolność sobie, swoim przyjacielom, swojemu miastu.

Tamten dzień wszystko odmienił.

Chociaż ten człowiek, jak wielu innych, był poddanym Imperialnego Ładu - wrogiem - to chciał spędzić życie pod sprawiedliwymi prawami, a nie pod dyktatem despotów, którzy każdą iskierkę nadziei na polepszenie bytu tłamsili pod miazdzącym brzemieniem okrutnej ułudy większego dobra.

Richard zorientował się, że pozostali czekają w napięciu, jakby się spodziewali kłopotów.

- W porządku. - Uśmiechnął się do Cary. - Znam go.

- Tak też mi mówił - odparła. Położyła dłoń na ramieniu Sabara i pchnęła go w dół. - Siadaj.

- Tak. - Richard był zadowolony, że Mord-Sith nie ma nic przeciwko temu. - Usiądź i opowiedz nam, co cię tu sprowadza.

- Nicci mnie przysyła.

Chłopak znów raz-dwa się podniósł, Kahlan wraz z nim.

- Nicci? Właśnie do niej jedziemy.

Sabar skinął głową i przykucnął, niepewny, czy ma wstać, skoro Richard i Kahlan stoją, czy dalej siedzieć. Cara nie usiadła - stała za mężczyzną niczym kat. Mord-Sith była w Altur'Rang, kiedy wybuchła rewolta, i mogła pamiętać Sabara, lecz to nie miało dla niej znaczenia. Kiedy w grę wchodziło bezpieczeństwo Richarda i Kahlan, nie ufała nikomu.

Richard dał Sabarowi znak, żeby nie wstawał.

- Gdzie ona jest? - zapytał, kiedy wraz z Kahlan znów usiedli na śpiworze. - Wkrótce się zjawi?

- Nicci kazała ci powiedzieć, że czekała, jak długo mogła, lecz pojawiły się naglące sprawy i nie mogła już dłużej siedzieć w miejscu.

Richard, zawiedziony, westchnął.

- I my mieliśmy przygody. - Kahlan pojmano i zawieziono do Filarów Świata, żeby zwabić Richarda w pułapkę. Nie wdawał się jednak w szczegóły, tylko stwierdził krótko: - Staraliśmy się do niej zdążyć, ale najpierw musieliśmy pojechać gdzie indziej. Nie dało się tego uniknąć.

Sabar przytaknął.

- Zmartwiłem się, kiedy wróciła do nas i powiedziała, że nie pojawiliście się w umówionym miejscu. Ale dodała, że jest przekonana, że zatrzymało was coś ważnego i dlatego nie przyjechaliście. Victor Cascella, kowal, też ogromnie się zmartwił, kiedy Nicci nam to przekazała. Spodziewał się, że wrócisz razem z nią. Powiedział, że rewolta lada chwila wybuchnie także w

miejscach, w których on i Priska się zaopatrują. Tamtejsi ludzie usłyszeli o Altur'Rang, o zrzuceniu u nas jarzma Ładu i o tym, jak nam się teraz zaczyna powodzić. Mówił, że zna tam wolnych ludzi, którzy tak jak my kiedyś starają się przeżyć pod uciskiem Ładu i marzą o wolności. Chcą, żeby Victor im pomógł. Ci Bracia z Bractwa Ładu, którzy zdołali uciec z Altur'Rang, udali się do tych miejscowości, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się rewolty. Okrutnie karzą wszystkich podejrzanych o chęć wzniesienia powstania. Zabili już wielu ludzi: i całkiem niewinnych, i chcących przepędzić Imperialny Ład. Bracia udali się do wszystkich ważniejszych miast, żeby nie stracić nad nimi kontroli i szykować obronę przed rozprzestrzenianiem się rewolty. Na pewno niektórzy kapłani wyruszyli również do Jaganga, żeby donieść mu o upadku Altur'Rang, śmierci wielu oficjeli w toczących się tu walkach, o zgonie Brata Nareva i wielu jego najbliższych uczniów.

- Jagang wie już o śmierci Brata Nareva - odezwała się Jennsen, podając mu kubek wody.

Sabar uśmiechnął się, zadowolony z tej wiadomości. Podziękował za wodę, a potem nachylił się ku Richardowi i Kahlan i podjął:

- Priska uważa, że Ład będzie chciał stłumić rewoltę w Altur'Rang, że nie mogą pozwolić, by się tu powiodła. Mówi, że zamiast się starać o rozdmuchanie rewolty, powinniśmy się przygotować do obrony, bo Ład wróci z zamiarem wymordowania wszystkich mieszkańców miasta. - Zamilkł na chwilę najwyraźniej strapiiony ostrzeżeniami Priski. - Za to Victor twierdzi, że powinniśmy kuć żelazo póki gorące i budować dla nas sprawiedliwą i bezpieczną przyszłość, a nie czekać, aż Ład zbierze siły i pozbawi nas tej przyszłości. Mówi, że Ład nie zdusi tak łatwo rewolty, która wybuchnie wszędzie.

Richard przesunął dłonią po twarzy.

- Victor ma rację. Jeśli mieszkańcy Altur'Rang spróbują zostać jedynym ogniskiem wolności w sercu wrogiego terytorium, to Ład nadciągnie i zgnie ich. Ład nie może przetrwać na swoich wypaczonych ideałach i wie o tym. Dlatego muszą siłą narzucać swoje przekonania. Inaczej by zniknęli. Jagang poświęcił dwadzieścia lat na połączenie Starego Świata w jedną całość siecią dróg i poddanie go władzy Imperialnego Ładu. Jednak to zaledwie część sposobów, dzięki którym mu się powiodło. Wielu nie dawało baczenia przemowom jego kapłanów. Drogi pozwalały szybko reagować na

każdy taki przypadek: Jagang mógł się błyskawicznie pojawić i zabić tych, którzy otwarcie się sprzeciwiali jego nowemu Ładowi. Co ważniejsze, po wyeliminowaniu tych, którzy przeciwstawiali się naukom Ładu, ugruntował w nieświadomych życia dzieciach ślełą wiarę w owe nauki, zmienił je w fanatyków gotowych umrzeć za tę szlachetną sprawę: poświęcenie dla tego nieokiełznanego większego dobra. Ci młodzi ludzie, o umysłach wypaczonych naukami Ładu, są teraz na północy i podbijają Nowy Świat, mordując każdego, kto odrzuca ich altruistyczne zasady. Dzięki temu, że Jagang i jego wielka armia są na północy, tutejsze siły Ładu są o wiele słabsze. To stwarza nam szansę i musimy z niej skorzystać. Jaganga i jego wojsk nie ma, zbudowane przezeń drogi pozwolą nam zaś szybko rozprzestrzenić walkę o wolność. Pochodnia wolności zapłonęła dzięki takim jak ty, dzięki mieszkańcom Altur'Rang, którzy sobie wolność wywalczyli. Tę pochodnię należy trzymać wysoko, żeby inni mogli ujrzeć jej blask. Ład zdmuchnie ów płomień, jeśli się go ukryje i osłoni. I już za waszego życia, czy za życia waszych dzieci, może nie być drugiej okazji do przejęcia kontroli nad własnym życiem. Należy tę pochodnię zanieść i w inne miejsca.

Sabar uśmiechnął się, dumny, że i on ma swój udział w tym wszystkim.

- Wiem, że Victor chciałby przypomnieć takim jak Priska o tych sprawach, o tym, co lord Rahl by powiedział o naszych powinnościach. Victor chce z tobą porozmawiać, zanim pojedzie w tamte strony, żeby „zadać w miechy”, jak się wyraził. Mówił, że czeka na wieść, jaki będzie twój kolejny ruch i jak najlepiej „przy piec ich rozżarzonym żelazem”.

- Więc Nicci cię wysłała, żebyś mnie odnalazł.

- Tak. Chętnie do ciebie wyruszyłem, kiedy mnie o to poprosiła. Victor też się ucieszy, nie tylko z tego, że nic ci się nie stało, ale i z tego, co mu powiesz.

Victor czekał na wieść, ale Richard wiedział, że kowal i bez tego by zadziałał. To nie on, Richard, był motorem rewolty - wtedy by się nie powiodła - lecz pragnienie ludzi, żeby odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Jego rolą zaś było takie koordynowanie rozszerzającej się rewolty, żeby była jak najskuteczniejsza. Żeby nie tylko przyniosła wolność tym, którzy jej pragnęli, ale i zniszczyła fundamenty Ładu w Starym Świecie. Tylko wtedy odciągną uwagę Jaganga i wielu jego żołnierzy od podboju

Nowego Świata, gdy uda im się obalić władzę Ładu w Starym Świecie.

Jagang zamierzał podbić Nowy Świat, zaczynając od rozszczepienia go. Richard musiał zrobić to samo, jeżeli chciał zatriumfować. Ład można było pokonać wyłącznie wtedy, kiedy się podzieliło jego siły.

Chłopak wiedział, że skoro Aydindril zostało wyludnione, Imperialny Ład skieruje miecze przeciwko D'Harze. I chociaż wojska D'Hary były znakomicie wyszkolone, zmiażdży je o wiele liczniejsza armia, którą Jagang przeciwko nim rzuci. Jeżeli nie odwróci się uwagi Ładu od tej sprawy lub przynajmniej nie rozdrobni jego sił, D'Hara wpadnie w łapy Imperialnego Ładu. Imperium D'Hary, stworzone, żeby zjednoczyć Nowy Świat w walce z tyranią, upadnie, zanim jeszcze na dobre zaczęło istnieć.

Richard musiał wrócić do Victora i Nicci, żeby mogli wspólnie kontynuować to, co zaczęli - wypracować jak najskuteczniejszą strategię, która pozwoli pokonać Imperialny Ład.

Ale mieli coraz mniej czasu, żeby rozwiązać inny problem, problem, którego jeszcze nie zrozumieli.

- Rad jestem, Sabarze, żeś nas odnalazł. Powiedz Victorowi i Nicci, że najpierw musimy coś załatwić, ale jak tylko się z tym uporamy, pomożemy im.

- Wszystkich ucieszą te słowa - rzekł Sabar z wyraźną ulgą. Zamilkł na chwilę, a potem skinieniem głowy wskazał północ. - Kiedy cię szukałem, lordzie Rahlu, kierując się wskazówkami Nicci, minąłem miejsce, w którym miała się z tobą spotkać, i szedłem na południe. - Na jego twarzy odmalowało się zaniepokojenie. - Kilka dni temu natrafiłem na szerokie na wiele mil zupełnie martwe miejsce.

Richard spojrzał na niego. Uświadomił sobie, że ból głowy nagle zniknął.

- Jak to martwe?

Sabar skinął ręką ku wieczornym mrokom.

- Podróżowałem przez okolice bardzo podobne do tych. Rosły tam nieliczne drzewa, kępy trawy, skupiska krzaków. - Zniżył głos. - Ale potem dotarłem do miejsca, w którym zupełnie nic nie rośło. Granica była wyraźna. Dalej były tylko skały. Nicci nie mówiła, że dotrę do takiej okolicy. Przyznaję, że się bałem.

Richard popatrzył w prawo - na wschód - ku leżącym tam górcom.

- Jak rozległa była ta okolica?

- Szedłem, zostawiając za sobą życie, i myślałem, że pewnie dotarłem do samych zaświatów. - Sabar odwrócił wzrok od oczu Richarda. - Lub paszczy jakiejś nowej broni, którą Ład zbudował, żeby nas wszystkich zniszczyć. Zacząłem się bardzo bać i chciałem zawrócić. Ale potem pomyślałem, jak Ład sprawiał, że bałem się przez całe życie, i wcale mi się to odczucie nie spodobało. A później pomyślałem jeszcze, że stanę przed Nicci i powiem jej, że wolałem zawrócić, niż iść do lorda Rahla, jak mnie prosiła, i zawstydziłem się, więc poszedłem dalej. Po kilku milach znów natrafiłem na rośliny. - Odetchnął. - Poczuję wielką ulgę, a potem trochę mi się zrobiło głupio, że się aż tak wystraszyłem.

Dwie. Były więc dwie takie osobliwe granice.

- Byłem w takich okolicach jak ta, Sabarze, i wiedz, że i ja się wystraszyłem.

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął.

- Więc to nie była głupota, że się przeląknęłem.

- Oczywiście, że nie. Czy ta martwa okolica była rozległa? Może była to zaledwie naga skała w tym jednym miejscu? A może biegła w prostej linii, w jakimś konkretnym kierunku?

- Było, jak mówisz. Przypominała prostą linię. - Sabar skinął ku wschodowi. - Schodziła z odległych gór, na północ od tego wklęsnięcia terenu. - Ułożył dłoń płasko, a potem przesunął ją w dół. - Biegła na południowy zachód, w pustkowiu.

Ku Filarom Świata.

Kahlan pochyliła się do Richarda i szepnęła:

- To niemal równoległe do granicy, którą przecięliśmy trochę dalej na południe. Dlaczego dwie granice miałyby leżeć tak blisko siebie? To bez sensu.

- Nie wiem - szepnął. - Może granica oddzielała coś tak niebezpiecznego, że ten, kto ją ustanowił, bał się, że pojedyncza mogłaby nie wystarczyć.

Kahlan rozmasowała sobie ramiona, ale nic nie powiedziała. Jej mina zdradziła jednak Richardowi, co o tym myśli - a zwłaszcza przez wzgląd na to, że teraz obie granice nie istniały.

- W każdym razie - rzekł Sabar, z zażenowaniem poruszając ramieniem - rad jestem, że nie zawróciłem, bo musiałbym odpowiedzieć Nicci za to, że nie pomogłem, jak mnie prosiła, lordowi Rahlowi, mojemu przyjacielowi

Richardowi.

Chłopak się uśmiechnął.

- I ja się z tego cieszę, Sabarze. Nie sędzę, żeby ta okolica, przez którą szedłeś, była nadal niebezpieczna, a przynajmniej nie tak, jak niegdyś.

Jennsen już nie potrafiła tłumić swojej ciekawości.

- Kim jest ta Nicci?

- Nicci to czarodziejka - wyjaśnił Richard. - Kiedyś była Siostrą Mroku.

- Była? - Brwi Jennsen powędrowały w górę.

Richard skinął głową.

- Działała na rzecz Jaganga, lecz w końcu zrozumiała, że popełniła błąd, i przyłączyła się do nas. - Nie miał ochoty wdawać się w szczegóły tej historii. - Teraz walczy po naszej stronie. Jej wsparcie było nieocenione.

Jennsen nachyliła się ku niemu jeszcze bardziej zdumiona.

- Jak możecie ufać komuś takiemu, kto pracował na rzecz Jaganga? I, co gorsza, Siostrze Mroku? Richardzie, miałam do czynienia z kilkoma tymi kobietami i wiem, jakie są bezwzględne i bezlitosne. Może i muszą robić to, czego życzy sobie Jagang, ale są służkami Opiekuna zaświatów. Naprawdę jesteś przekonany, że ona cię nie zdradzi?

Richard spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

- Spokojnie śpię, chociaż masz nóż.

Jennsen usiadła prosto. Uśmiechnęła się. Bardziej z zażenowania niż z innego powodu, pomyślał Richard.

- Chyba rozumiem, o co ci chodzi.

- Co jeszcze mówiła Nicci? - Kahlan wróciła do tematu.

- Tylko tyle, że muszę iść zamiast niej i spotkać się z wami - odparł Sabar.

Richard wiedział, że Nicci zachowała ostrożność. Wolą nie mówić za wiele temu młodemu człowiekowi, na wypadek gdyby go pojmano.

- Skąd wiedziała, gdzie jestem?

- Powiedziała, że wyczuwa to dzięki magii. Nicci jest równie piękną jak potężną czarodziejką.

Sabar rzekł to z podziwem i respektem. A nie wiedział wszystkiego. Nicci była jedną z najpotężniejszych czarodziejek, jakie kiedykolwiek istniały. Nie miał również pojęcia, że kiedy wspierała sprawę Ładu, zwano ją Panią Śmierci.

Richard domyślał się, że Nicci odszukała go dzięki więzi z lordem

Rahlem. Owa więź powstawała, kiedy przysięgło się lojalność władcy D'Hary. Nawiedzający Sny nie miał wstępu do umysłów ludzi, którzy złożyli taką przysięgę. D'Harańczycy czystej krwi, jak Cara, dzięki tej więzi wiedzieli, gdzie jest lord Rahl. Kahlan zwierzyła mu się, jak drażni ją to, że Cara zawsze wie, gdzie on jest. Nicci nie była D'Haranką, lecz była czarodziejką i przysięgła lojalność Richardowi, więc na pewno potrafiła dzięki łączącej ich więzi dowiedzieć się, gdzie akurat jest.

- Sabarze, Nicci musiała cię do nas przysłać z jakiegoś powodu - odezwał się Richard - a nie tylko dlatego, że nie mogła czekać w umówionym miejscu.

- Tak, rzeczywiście - przytaknął pospiesznie Sabar, zasmucony, że trzeba mu było o tym przypomnieć. - Kiedy spytałem, co mam ci powiedzieć, odparła, że napisała wszystko w liście. - Otworzył wiszącą u pasa sakiewkę. - Że kiedy się zorientowała, jak daleko jesteście, była ogromnie poruszona i nie mogła jechać aż do was. Powtarzała, jakie to ważne, żebym cię odnalazł i oddał ci list. Mówiła, że ten list wyjaśni, dlaczego nie mogła czekać. - Ostrożnie wyciągnął list, trzymając go w dwóch palcach. Minę miał taką, jakby trzymał jadowitą żmiję, a nie mały zwój zapieczętowany czerwonym woskiem. - Nicci uprzedziła mnie, że to niebezpieczne - wyjaśnił, patrząc Richardowi w oczy. - Że gdyby ktoś inny niż ty próbował to otworzyć, to nie powinienem być za blisko, bo zginę razem z nim.

Położył list na dłoni Richarda. Mały zwój wyraźnie się rozgrzał. Czerwony wosk zajaśniał, jakby padł na niego promień słońca, choć zapadał zmrok. Blask spłynął z pieczęci i ogarnął cały list. Na czerwonym wosku pojawiły się cieniutkie rysy, jak na pokrywającym staw jesiennym lodzie, kiedy się postawi na nim stopę. Pieczęć popękała i odpadła.

Sabar przełknął ślinę.

- Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby ktoś inny niż ty spróbował otworzyć list.

Jennsen znów się ku nim nachyliła.

- Czy to była magia?

- Z całą pewnością - odparł Richard i zaczął rozwijać list.

- Ale widziałam, jak się rozpada.

- Widziałaś coś jeszcze?

- Nie, tylko jak nagle pęka.

Chłopak wziął w palce trochę pokruszonego wosku ze swojej dłoni.

- Na pewno osnuła list magiczną siecią i zestroiła zaklęcie z moim dotykiem. Gdyby ktoś inny spróbował rozerwać tę sieć i otworzyć list, wyzwoliłby zaklęcie. A mój dotyk złamał pieczęć. Widziałaś efekt działania magii, złamaną pieczęć, a nie samą magię.

- Chwileczkę! - Sabar uderzył się w czoło. - Byłbym zapomniał. Przecież mam ci jeszcze dać to.

Zsunął plecak i położył go sobie na kolanach. Pospieszenie rozwiązał rzemienie i sięgnął do środka. Ostrożnie wyjął jakiś przedmiot otulony w czarny, pikowany materiał. Miał może ze stopę wysokości, niewielki obwód. Sabar trzymał to tak, jakby było dość ciężkie. Postawił ów przedmiot przed ogniskiem.

- Nicci powiedziała, że mam ci to dać i że list wszystko wyjaśni.

Jennsen pochyliła się nieco, zafascynowana tajemniczym, opatulonym przedmiotem.

- Co to jest?

Sabar wzruszył ramionami.

- Nicci mi nie powiedziała. - Jego mina świadczyła, że czuje się dość nieswojo, tak niewiele wiedząc o misji, z którą go wysłano. - Kiedy Nicci na ciebie patrzy i mówi, żebyś coś zrobił, to nie w głowie ci zadawanie pytań.

Richard uśmiechnął się do siebie, rozwijając list. Aż za dobrze wiedział, o czym mówi mężczyzna.

- Czy Nicci powiedziała, kto może odwinąć tę rzecz?

- Nie, lordzie Rahlu. Tylko że mam ci to dać i że list wszystko wyjaśni.

- Ostrzegłaby cię, gdyby i tego, tak jak listu, chroniło zaklęcie. - Richard spojrział na Mord-Sith i wskazał tajemniczy przedmiot stojący przed ogniskiem. - Caro, odpakuj to, a my z Kahlan przeczytamy list.

Cara usiadła na ziemi i zaczęła rozplątywać rzemyki przytrzymujące czarną, pikowaną osłonę, a Richard tak przesunął list, żeby Kahlan mogła go czytać razem z nim.

Drodzy Richardzie i Kahlan

Żałuję, że nie mogę wam od razu powiedzieć tego wszystkiego, co bym chciała, lecz czekają na mnie nie cierpiące zwłoki sprawy i nie śmiem dłużej zwlekać. Jagang zapoczątkował coś, co uważałam za niemożliwe. Wykorzystał swój talent Nawiedzającego Sny i zmusił Siostry Mroku pozostające w jego władzy, żeby spróbowały przekształcić ludzi w oręż, jak to

robiono w czasach wielkiej wojny. Taka działalność już sama w sobie jest niebezpieczna, a ponieważ Jagang nie ma daru, ma o tym wszystkim bardzo nikłe pojęcie. Jest jak niezdarny byk, który próbuje rogami upleść koronkę. Dokonują tego eksperymentu na czarodziejach. Jeszcze nie wiem dokładnie, w jakim stopniu się im powiodło, ale obawiam się tych wyników. Więcej o tym za chwilę.

Najpierw o przedmiocie, który przysyłam. Znalazłam go, kiedy podjęłam twój trop i szłam nim tam, gdzie mieliśmy się spotkać. Uważam, że już go widzieliście, bo został dotknięty przez osobę mającą związek z tą sprawą lub z tobą.

To znak ostrzegawczy. Został włączony - nie przez owo dotknięcie, lecz przez wydarzenia. Nie mogę nie doceniać groźby, którą oznacza.

Jedynie czarodzieje z dawnych czasów mogli sporządzać takie przedmioty, gdyż stworzenie czegoś takiego wymaga daru, i to wrodzonego, tak magii addytywnej, jak i subtraktywnej. Przedmioty te są tak rzadkie, że nigdy wcześniej ani jednego nie widziałam.

Jednak czytałam o nich w podziemiach Pałacu Proroków. Mogą zadziałać dzięki sprzężeniu z umarłym czarodziejem, który je wytworzył.

Richard się wyprostował, westchnął z niepokojem.

- Jak takie sprzężenie może istnieć? - spytała Kahlan.

Chłopak od razu pojął, że Nicci solennie go ostrzega.

- Musi mieć jakąś łączność z zaświatami - szepnął.

Wpatrywała się w niego; w zielonych oczach tańczył odblask ogniska.

Kahlan popatrzyła na Care, rozwiązującą węzły i odwijającą jeden z rzemyków z przedmiotu sprzężonego z umarłym czarodziejem w zaświatach. Podtrzymała brzeg listu i pospiesznie czytała wraz z Richardem.

Z tego, co wiem o takich znakach ostrzegawczych, wynika, że nadzorują one niezbędne tarcze ochronne wielkiej mocy mogące odseparować coś niezwykle groźnego. Są podwójne. Pierwszy taki znak jest zawsze bursztynowy. Ma być ostrzeżeniem dla tego, kto złamie pieczęć. Pobudza go dotknięcie sprawcy lub osoby z nim związanej, więc może zostać rozpoznany i odegrać swoją rolę - ostrzec osoby mające związek z owym wydarzeniem. Można go zniszczyć dopiero wtedy, kiedy się odmieni tego, kogo miał ostrzec. Wysyłam to, by mieć całkowitą pewność, żeście to widzieli.

O drugim znaku wiem jedynie to, że jest przeznaczony dla tego, kto potrafi nałożyć nową pieczęć.

Nie znam natury tej pieczęci i nie wiem, co ona chroni. Nie ma jednak wątpliwości, że została złamana.

Oczywista jest przyczyna jej złamania, choć nie wiadomo, co konkretnie uczyniło ów znak.

- Chwileczkę - odezwała się Cara, wstając i cofając się, jakby z czarnego materiału uwolniła jakąś śmiertcionośną plagę. - Tym razem to nie moja wina. - Wskazała odwinięty przedmiot. - Tym razem mi kazałeś.

Pośrodku czarnej osłony stała przejrzysta statuetka, której Mord-Sith przedtem dotknęła.

To była ta sama rzeźba: rzeźba Kahlan.

Postać przyciskała lewe ramię do boku, prawe zaś unosiła, coś wskazując. Posążek służący za klepsydrę wyglądał, jakby go zrobiono z przezroczystego bursztynu. Widzieli jego wnętrze.

Z górnej części klepsydry, przez przewężenie w talii, piasek przesypywał się w dół długiej sukni Matki Spowiedniczki.

Piasek przesypywał się w dół tak samo jak wtedy, kiedy Richard ostatnio widział posążek. Wówczas było go więcej w górnej części niż w dolnej. Teraz odwrotnie.

Twarz Kahlan zbielała.

Kiedy Richard po raz pierwszy to zobaczył, nie potrzebował ostrzeżenia Nicci, by pojąć, jakie to oznacza niebezpieczeństwo. Nie chciał, żeby ktokolwiek z nich tego dotknął. Gdy się na to natknęli - w załamku skały obok szlaku, wyglądające niemal jak część tej skały - posążek był nieprzejrzysty, o matowej, ciemnej powierzchni, lecz nie było wątpliwości, że przedstawia Kahlan. Leżał na boku.

Carze nie podobało się, że się natknęli na coś takiego, i nie zamierzała zostawić podobizny Kahlan na pastwę kogoś, kto by posążek odnalazł i wykorzystał do nie wiadomo czego. Podniosła statuetkę, chociaż Richard wrzasnął, żeby to zostawiła w spokoju.

Jak tylko podniosła posążek, zaczął się stawać przejrzysty.

Cara, przerażona, odłożyła go.

To wtedy prawe ramię uniosło się i wskazało ku wschodowi.

To wtedy zaczęli dostrzegać wnętrze posążka, przesypujący się w dół

piasek.

Groźba symbolizowana przez przesypujący się piasek zaniepokoiła ich wszystkich. Mord-Sith chciała znów podnieść statuetkę i obrócić do góry nogami, żeby piasek przestał się przesypywać. Jednak Richard - nic nie wiedząc o takich przedmiotach i wątpiąc, by tak proste rozwiązanie przyniosło dobre efekty - zabronił Carze go dotykać. Pogrzebał posążek pod kamieniami i suszem, żeby już nikt go nie znalazł. Jak widać, nic to nie dało.

Teraz wiedział, że dotknięcie Cary nie miało nic wspólnego z tym, co się działo, że jedynie uaktywniło znak ostrzegawczy. Chciał tylko potwierdzić swoje początkowe podejrzenia.

- Połóż go, Caro.

- Położyć?

- Na boku, jak chciałaś przedtem zrobić, żeby się przekonać, czy to unieruchomi piasek.

Mord-Sith przez chwilę wpatrywała się w niego, a potem czubkiem buta przewróciła posążek.

Piasek przesypywał się tak samo jak przedtem.

- Jak piasek może się sypać? - zapytała zszokowana tym Jennsen. - Jak może dalej spadać? Spadać bokiem?

- Widzisz to? - spytała Kahlan. - Widzisz przesypujący się piasek?

Jennsen kiwnęła głową.

- No pewnie, że widzę, i powiem ci, że to mnie przyprawia o gęsią skórkę.

Richard mógł jedynie wpatrywać się w siostrę przyglądającą się leżącemu na boku posążkowi Matki Spowiedniczki. Przesypujący się wciąż piasek z całą pewnością był sprawką magii. Jennsen była Filarem Świata, dziurą w świecie, całkowicie pozbawioną daru córką Rahla Posępnego. Nie powinna dostrzegać tego, co miało związek z magią.

A przecież widziała przesypywanie się piasku.

- Muszę przyznać rację młodej damie - odezwał się Sabar. - To mnie przeraża o wiele bardziej niż te wielkie czarne ptaszyska, które widziałem przez ubiegły tydzień.

Kahlan zeszywniała.

- Widziałeś...

Richard usłyszał ostrzegawczy krzyk Toma i wstał pospiesznie, jednym

ruchem dobywając miecza. Charakterystyczny szcęk stali wypełnił ciemności.

Mieczowi nie towarzyszyła jego magiczna moc.

ROZDZIAŁ 14

Kahlan uchylała się, widząc, że Richard dobywa miecza. Charakterystyczny szczęk dobywanej w gniewie stali złączył się z echem ostrzegawczego krzyku Toma, nadal odbijającym się od okolicznych wzgórz, ona zaś jak zawsze poczuła przelotne ukłucie lęku. Wpatrywała się w mrok nocy. Instynktownie chciała sięgnąć po własny miecz, lecz był na wozie. Nie nosiła go u boku, żeby nie wzbudzać podejrzeń co do tego, kim naprawdę są, gdyż kobiety w Starym Świecie nie nosiły broni.

Wyraźnie widziała twarz Richarda oświetloną blaskiem ognia. Mnóstwo razy patrzyła, jak dobywa Miecza Prawdy w najrozmaitszych sytuacjach - odkąd Zedd wręczył mu ów miecz i nakazał go dobyć, a Richard ostrożnie wyciągnął go z pochwy. Widywała, jak dobywa miecza w ogniu walki oraz w takich chwilach jak ta - kiedy miał się bronić.

Gdy Richard dobywał miecza, uwalniał równocześnie zaklętą w nim magię. Bo taka właśnie była rola oręża: magia nie została stworzona wyłącznie po to, żeby bronić prawowitego właściciela miecza, lecz - co ważniejsze - by stanowić projekcję jego woli. Miecz Prawdy nie był talizmanem - był narzędziem Poszukiwacza Prawdy.

Prawdziwym orężem był prawowicie obwołany Poszukiwacz, który władał mieczem. Magiczna moc miecza służyła mu.

Za każdym razem, kiedy Richard dobywał broni, Kahlan widziała ową magiczną moc groźnie jarzącą się w szarych oczach.

Jednak dzisiaj - po raz pierwszy - nie dostrzegła w oczach chłopaka magicznej mocy dobytego miecza. Groźne, drapieżne spojrzenie należało tylko i wyłącznie do Richarda.

Wstrząsnęło nią to, ale chłopaka zdumiało to jeszcze bardziej. Przez chwilę się wahał, jakby jego umysł natknął się na jakąś przeszkodę.

Zanim mieli czas się zastanowić, co spowodowało ostrzegawczy krzyk Toma, zza pobliskich drzew wyskoczyły ciemne postaci i wpadły między nich. Kiedy napastnicy wtargnęli do oświetlonego ogniskiem obozu, noc rozdarły wściekle, mrozące krew w żyłach wrzaski.

Atakujący nie wyglądali na żołnierzy - nie byli w mundurach i nie atakowali jak wojskowi, z dobytą bronią. Kahlan nie zauważyła, by

którykolwiek z nich dzierżył miecz, topór lub chociażby nóż.

Byli wszakże dość liczni i wydawali przeraźliwe bojowe wrzaski, jakby ich jedynym celem była krwawa rzeź. Wiedziała jednak, że takie nagłe ogłuszenie przeraźliwym hałasem miało sparaliżować potencjalne ofiary i tym samym ułatwić ich zabicie. Wiedziała to, bo sama stosowała podobną taktykę.

Richard, z mieczem w dłoni, był w swoim żywiole: skoncentrowany, zdecydowany, całkowicie zaangażowany - nawet bez wsparcia magicznej mocy oręża.

Napastnicy atakowali. Klinga, kierowana gniewem Richarda, rozcięła powietrze purpurowa od płomieni ogniska. Kahlan przez ułamek sekundy obawiała się, że bez magicznej mocy miecza wszystko mogłoby się źle zakończyć.

W obozowisku - po pełnej napięcia ciszy - w jednej chwili zapanowało istne pandemonium. Napastnicy nie mieli mundurów, lecz byli rośli i nie kryli wrogich zamiarów.

Jeden z nich wyciągnął ręce, chcąc pochwycić Richarda, zanim ten zdąży się posłużyć mieczem. Ostrze ze świstem przecięło powietrze kierowane zdecydowaną wolą. Odrąbało jedną z uniesionych rąk, rozłupało czaszkę. Ponad ogniskiem trysnęła krew, poleciały odłamki kości, mózg. Zaatakował drugi napastnik. Miecz Richarda trafił go w pierś. W okamgnieniu dwaj mężczyźni padli martwi.

Magiczna moc w końcu zapłonęła w oczach Richarda, jakby zgrała się z jego wolą.

Kahlan nie mogła się dopatrzeć sensu w działaniach napastników. Uderzali bez dobytej broni, lecz wcale nie byli przez to mniej groźni. Ich szybkość, liczebność, wzrost i krzepa oraz zawzięte miny wystarczyłyby, żeby atakowani zaczęli się trząść ze strachu.

Z ciemności wypadli kolejni mężczyźni i rzucili się na nich. Cara zastąpiła im drogę, zaatakowała Agielem. Ci, których dotknęła straszliwą bronią, krzyczeli z przerażającego bólu, wzbudzając w innych niepewność. Sabar - z nożem w garści - potoczył się na ziemię z napastnikiem, który chwycił go od tyłu. Jennsen uchyliła się przed innym, sięgającym do jej włosów. Odskoczyła, przejeżdżając nożem po jego twarzy. Wrzask rannego dołączył do przenikliwego chóru innych.

Kahlan uświadomiła sobie, że słyhać nie tylko wrzaski ludzi, ale i pełne przerażenia kwiczenie koni. Agiel Cary dotknął czyjegoś byczego karku, wywołując przerażający krzyk. Napastnicy wrzeszczeli ile sił i wykrzykiwali rozkazy, gwałtownie uciszane mieczem Richarda. Wyglądało na to, że cały ten hałas miał ogłuszyć ich czworo.

Kahlan pojęła wówczas, co się dzieje. Nie próbowali ich zabić, lecz pojmać. Dla tych ludzi zadanie śmierci byłoby aktem miłosierdzia w porównaniu z tym, co zamierzali.

Dwaj krzepcy mężczyźni skoczyli przez ogień, szeroko rozpościerając ramiona, jakby chcieli pochwycić Richarda i Kahlan. Cara złapała jednego z nich za koszulę i okręciła ku sobie. Wbiła mu Agiel w brzuch, a on osunął się na kolana. Drugi nieoczekiwanie dla siebie zetknął się z mieczem Richarda. Przedśmiertny wrzask bólu szybko ucichł, bo klinga rozplatała napastnikowi gardło. Mord-Sith, stojąc ponad klęczącym mężczyzną, przycisnęła Agiel do jego piersi. Jedno poruszenie groźnego oręża - i człowiek padł martwy.

Richard już przeskakiwał ognisko, by wpaść w sam środek walki. Wylądował z głuchym tupnięciem, rozcinając niemal na pół leżącego na Sabarze napastnika; trzewia wypłynęły na ziemię.

Człowiek zraniony przez Jennsen podniósł się i powtórnie dostał od niej nożem. Odskoczyła, kiedy padał, trzymając się za gardło - przecięła mu tchawicę. Cara dopadła tego, którego Jennsen nie zauważyła, a który atakował ją od tyłu. Mord-Sith, z bezlitosną, zdecydowaną miną, przytknęła mu Agiel do gardła i nie odrywała, kiedy osuwał się na ziemię, dławiąc własną krwią.

Wtem Kahlan ujrzała, że w rękach otaczających Richarda mężczyzn błysnęły noże. Już nie chcieli go powalić na ziemię, korzystając z liczebnej przewagi - uznali, że lepiej dźgnąć go nożem. To zagrożenie jedynie wzmogło furię chłopaka. Wyraz jego oczu świadczył, że magiczna moc miecza w pełni uczestniczy w walce.

Kahlan na chwilę znieruchomiała, zafascynowana widokiem Richarda tak skupionego na samoobronie, że zabijanie przeciwników stało się wspaniałym pokazem sztuki - tańcem ze śmiercią. Przy płynnych, pełnych gracji ruchach chłopaka napastnicy sprawiali wrażenie ciężkich i niezdarnych. Richard, nie wykonując jednego zbędnego ruchu, prześlizgiwał się pośród nich jak wśród posągów, a jego miecz szalał niepowstrzymanie.

Każdy sztych trafiał w czuły punkt. Każde cięcie wchodziło w mięsień i kość. Każdy zwrot parował atak i był miazdzącą kontrą. Żadnej przegapionej okazji, żadnego chybienia, żadnego lekkiego draśnięcia. Ilekroć uniknął ostrza, skontrolował wypad czy kolejny atak - ciął bezlitośnie.

Kahlan była zła, że nie ma miecza. Nie wiadomo, ilu jeszcze napastników czaiło się w mroku. Aż za dobrze wiedziała, co to znaczy być bezbronną, otoczoną przez zgraję łotrów. Ostrożnie ruszyła ku wozowi.

Krzepki mężczyzna wyskoczył z ciemności, zbijając z nóg Jennsen i Sabara. Runęli na ziemię, a on zwałił się na nich, pozbawiając oddechu. Wielkimi dłońmi przycisnął im nadgarstki, żeby go nie mogli pchnąć nożem. Klinga Richarda śmignęła jak błyskawica, zagłębiła się w plecy napastnika, przecięła mu kręgosłup. Chłopak przyklęknął, odwrócił się i pchnął mieczem kolejnego, który pędził ku niemu ile sił w nogach, by go dopaść, zanim zdąży się złożyć do ciosu. Nie udało mu się jednak i z wyrazem osłupienia nadział się na klingę Richarda; ostrze weszło mu w pierś aż po rękojeść. Jennsen i Sabar zrzucili z siebie ciężkiego, bezwładnego napastnika. Wstrząsały nim drgawki i nie mógł zaczerpnąć oddechu. Richard - nadal klęcząc - wyszarpnął miecz ze śmiertelnie rannego, walącego się na ziemię łotra.

Kolejny mężczyzna wpadł do obozu. Rozglądał się, starając się zorientować w sytuacji, gdy Cara trafiła go Agielem w szyję. Runął na ziemię, a Mord-Sith grzmotnęła łokciem w twarz biegnącego za nim, który usiłował ją złapać od tyłu. Wrzasnął, zakrył dłońmi zmiażdżone kości i tryskającą krew, ona zaś okręciła się i kopnęła go między nogi. Poleciał na twarz, przyciskając ręce do krocza, a tymczasem Mord-Sith złamała mu kolanem szczękę, obróciła się i powaliła trzeciego, trafiając go Agielem w pierś.

Jeden z napastników skoczył na Sabara, odrzucając go w tył. Sabar zamachnął się nożem i trafił. Drugi z atakujących skorzystał z okazji i chwycił leżący na ziemi list od Nicci. Kahlan chciała mu go wyrwać, ale chybiła, bo szarpnęła rękę w tył i rzucił się do ucieczki. Na drodze stanęła mu Jennsen. Uderzył ją z całej siły, nawet nie zwalniając. Zatoczyła się, ale odzyskała równowagę i wbiła mu nóż między łopatki. Nie puszczała rękojeści, skręcając broń ile sił, kiedy mężczyzna z jękiem bólu wygiął plecy, a potem wydał ryk wściekłości, który natychmiast zamienił się w charkot. Nóż Jennsen dotarł do jego serca. Napastnik zachwiał się, potknął i wpadł w

ognisko. Płomienie zasyczały, zapaliło się jego odzienie. Kahlan próbowała wyciągnąć list z pięści wijącego się w przeraźliwym bólu mężczyzny, lecz żar jej na to nie pozwalał. I tak już było za późno - list, który wraz z Richardem dopiero zaczęli czytać, buchnął jasnym płomieniem, a potem zmienił się w czarny popiół, który uleciał ku niebu przy wtórze ryku ognia.

Kahlan zasłoniła usta i nos, dławiąc się odorem płonących włosów i ciała, żar zmusił ją, aby się cofnęła. Zdawało się, że walczą już od wielu godzin, a przecież napad dopiero co się zaczął. Wokół leżały zwłoki napastników, nowi zaś wciąż wylinali się z ciemności.

Kahlan cofnęła się, nie zdoławszy odzyskać listu, i znów chciała ruszyć ku wozowi, po swój miecz. Podniosła wzrok i ujrzała wielkiego jak góra mężczyznę, który pędził ku niej, blokując jej drogę. Uśmiechnął się od ucha do ucha, stwierdziwszy, że trafił na pozbawioną broni kobietę. Za owym człowiekiem ujrzała Richarda. Spojrzeli sobie w oczy. Uderzył w główną grupę napastników, starając się zakończyć atak, nim dotrą do pozostałych, nim zdołają kogoś zranić.

Nie mógł być w każdym miejscu równocześnie.

Był za daleko, żeby zdążyć do niej na czas. Ale mimo to spróbował. Kahlan wiedziała jednak, że to daremny wysiłek.

Patrząc w oczy człowieka, którego kochała nad życie, widziała w nich jego gniew, jego furię. Wiedziała, że Richard widzi pozbawioną wyrazu twarz Spowiedniczki. A potem pędzący wróg znalazł się między nimi i przestali się widzieć.

Kahlan zatrzymała wzrok na napastniku. Uniósł ramiona jak rozszalały, atakujący niedźwiedź. Z całej siły zaciskał zęby. Wykrzywił twarz z wysiłku, chcąc ją dopaść, zanim zdąży uskoczyć w bok, zanim zdoła uciec.

Wiedziała, że jest zbyt blisko, by jej się to udało, więc nie traciła czasu na daremne próby.

Ten jeden nie brał udziału w walce. Ominął Jennsen i Sabara. Tak wszystko zaplanował, żeby uniknąć miecza Richarda i Agiela Cary, która właśnie zajęła się innym napastnikiem. Nie wpadł do obozowiska na oślep, jak tamci - zwlekał na tyle, by precyzyjnie ruszyć do celu.

Wiedział, że ma okazję dopiąć swego.

Był tuż-tuż, pędząc ku niej ile sił w nogach.

Kahlan, patrząc w pałające ciemne oczy napastnika, słyszała krzyk

Richarda.

Atakujący wrzasnął wściekle i skoczył. Oderwał stopy od ziemi i leciał ku niej. Złośliwy uśmiech świadczył, jak bardzo pewny jest zwycięstwa.

Kahlan widziała górne kły wystające na spękaną dolną wargę i pociemniały przedni ząb w górnej szczęce tkwiący między pożółkłymi zębiskami. Widziała też niewielką, pobielaną wygiętą bliznę, jakby kiedyś jadł nożem i przypadkowo rozciął sobie kącik ust. Szttywno sterczał jego kilkudniowy zarost. Lewe oko nie otwierało się równie szeroko jak prawe. W górnej części prawego ucha miał nacięcie w kształcie V. Przypomniała sobie, że niektórzy hodowcy w ten sposób znakują swoje świnię.

Widziała w ciemnych oczach własne odbicie. Uniosła prawe ramię.

Zastanawiała się, czy on ma żonę, kobietę, która się o niego troszczy, tęskni za nim, usycha z tęsknoty. Dumiała, czy ma dzieci, a jeżeli tak, to czego taki człowiek jak on swoje dzieci nauczy. Uświadomiła sobie, jak ohydnie byłoby znaleźć się pod takim brutalem: szczeciniasty zarost drapałby do żywego policzki, spękanie wargi dotykałyby jej ust, pożółkłe zęby kąsałyby szyję, a on by się zatracił w zaspokajaniu się.

Czas zmienił bieg.

Wyciągnęła ramię. Mężczyzna pędził ku niej. Dłoń Kahlan dotknęła jego piersi, poczuła zgrzebne płótno ciemnobrązowej koszuli.

Jeszcze nie zaczęła się chwila, kiedy zbije ją z nóg. Richard jeszcze nie zdążył zrobić kroku.

Ciężkie cielsko napastnika muskało dłoń Kahlan niczym oddech niemowlęcia. Miała wrażenie, że znieruchomiał przed nią w powietrzu.

Czas należał do niej.

Ten człowiek należał do niej.

Nie istniały już dla niej zamęt walki, krzyki, wrzaski, odór potu i krwi, błyski stali, zderzające się ciała, groźne pomruki i przekleństwa, lęk, groza, przyspieszający bicie serca strach... Znalazła się we własnym, milczącym świecie.

Chociaż urodziła się z tą magiczną mocą i zawsze ją wyczuwała w głębi siebie, owa straszliwa moc wydawała się niepojęta, niewyobrażalna, daleka. Wiedziała, że będzie miała takie wrażenie, dopóki nie uwolni swojego daru - a wówczas kolejny raz zespoli się z tak zapierającą dech mocą, że można ją w pełni pojąć dopiero wtedy, kiedy się tego zespolenia doświadcza. Już nie

pamiętała, ile razy uwalniała ową moc, a mimo to zawsze zaskakiwała ją ta niesłychana gwałtowność.

Patrzyła na znajdującego się przed nią człowieka z chłodnym opanowaniem, przygotowana na wybuch tej gwałtowności.

Kiedy ów człowiek gnał ku niej, czas należał do niego.

Teraz czas należał do niej.

Wyczuwała splot tkaniny koszuli, zarośniętą pierś pod spodem.

Zniknął przyspieszający bicie serca wstrząs wywołany nagłym atakiem, jego zażartością. Teraz była wyłącznie ona i ów człowiek, już na zawsze złączeni tym, co się miało wydarzyć. Ten człowiek nieświadomie wybrał własny los, kiedy postanowił na nich napaść. Widząc, co przywołuje, znalazła się poza koniecznością nazywania uczuć. I żadnych nie doznawała - ani radości, ani nawet ulgi; ani nienawiści, ani odrazy; ani współczucia, ani żalu.

Kahlan odsunęła na bok wszelkie emocje, by magiczna moc mogła swobodnie zadziałać.

Nie miał już szans.

Należał do niej.

Twarz mężczyzny wykrzywił grymas chępliwej satysfakcji, niezbitego przekonania, że jest wspaniałym zwycięzcą, że zaraz ją pochwyci, że teraz do niego należy decyzja, co ją czeka, że jest jego łupem.

Kahlan uwolniła swoją moc.

Zgodnie z jej wolą uśpiony dotąd dar zmienił się w nieokiełznaną siłę zdolną przekształcić najgłębszą istotę świadomości.

W ciemnych oczach napastnika błysnęło podejrzenie, że nieodwołalnie zaczęło się coś, czego nie pojmuje. A potem zrozumiał, że dobiegło kresu życia, jakie znał. Dobiegło kresu wszystko, czego pragnął, o czym myślał, do czego dążył, na co miał nadzieję, o co się modlił.

W jej oczach nie dostrzegł litości i to go najbardziej przeraziło.

Powietrzem wstrząsnął bezgłośny grom.

Nieokiełznaną gwałtowność była w owej chwili równie nieskazitelna, wspaniała i piękna, jak przerażająca.

Jeszcze nie zaczęło się to mgnienie, zanim dopadł Kahlan.

Czytała w jego oczach, że było dla niego już za późno na jakąkolwiek myśl. Sama percepcja okazała się powolniejsza od nieokiełznanej magicznej

mocy wdzierającej się w jego umysł i na zawsze niszczącej tego, kim wcześniej był.

Powietrzem wstrząsnęła bezgłośnie eksplozja.

Gwiazdy zadrżały.

Rozbiegł się krąg fali uderzeniowej, niosąc iskierki ognia i pył. Drzewa zadygotały pod tym uderzeniem, gubiąc igły i liście.

Należał do niej.

Lecące rozpędem ciało otarło się o odchylającą się przed nim Kahlan. Dziewczyna musiała się cofnąć o krok. Mężczyzna przeleciał obok niej i runął na ziemię, twarzą w dół.

Bez chwili wahania ukląkł. Błagalnie złożył dłonie. Łzy napłynęły mu do oczu. Usta, dopiero co wykrzywione w złośliwym, triumfalnym uśmiešku, wygięły się w grymasie bolesnego niepokoju.

- Rozkazuj mi, o pani! - zaskamlał.

Kahlan po raz pierwszy w jego nowym życiu spojrzała na niego z uczuciem - z pogardą.

ROZDZIAŁ 15

Nad obozem niosło się jedynie ciche, pełne lęku meczenie Betty. Ziemię zaścielały zwłoki. Atak się skończył. Richard, z mieczem w dłoni, biegł ku Kahlan przez pobojowisko. Jennsen stała na skraju blasku rzucanego przez ogień, Cara zaś sprawdzała, czy któryś z napastników nie daje znaku życia. Kahlan zostawiła klęczącego mężczyznę, którego dotknęła swoją mocą, i ruszyła ku Jennsen. Richard już był przy niej i z ulgą otoczył ją ramieniem.

- Nic ci się nie stało?

Dała znak, że nic, i pospiesznie rozejrzała się po obozie, wypatrując kolejnych napastników, lecz zobaczyła jedynie zabitych.

- A co z tobą? - spytała.

Richard jakby nie dosłyszał jej pytania. Cofnął ramię, którym ją obejmował.

- O drogie duchy - powiedział, podbiegając do jednego z ciał.

To był Sabar.

Jennsen stała w pobliżu. Drżała ze zgrozy, osłaniając się uniesionym nożem, a oczy miała szeroko rozwarte. Kahlan przytuliła ją i szeptała, że już po wszystkim, że to się już skończyło, że nic jej nie jest.

Dziewczyna przywarła do niej.

- Sabar... on... mnie bronił...

- Wiem, wiem - pocieszała ją Kahlan.

Widziała, jak Richard spokojnie przekręca Sabara na plecy. Ramię młodego człowieka opadło bezwładnie. Ogarnęła ją rozpacz. Nadbiegł zadyszany Tom. Ociekał potem i krwią. Jennsen załkała i rzuciła mu się w ramiona. Objął ją opiekuńczo, przytulił jej głowę do ramienia i starał się uspokoić oddech.

Pod wozem meczała przerażona Betty; wyszła stamtąd niepewnie dopiero wtedy, gdy Jennsen kilka razy ją zawołała. Płaczliwie mecząca kózka podbiegła w końcu do dziewczyny i przywarła, dygocząc, do jej spódnicy. Tom bacznie wpatrywał się w otaczające ich mroki.

Cara spokojnie chodziła wśród ciał, sprawdzając, czy ktoś nie daje znaku życia. W większości przypadków nie było żadnych wątpliwości. Tu i ówdzie trącała kogoś noskiem buta lub Agielem. Jej brak pośpiechu wskazywał, że

wszyscy są martwi.

Kahlan czule dotknęła pleców Richarda skulonego obok ciała Sabara.

- Ilu jeszcze ludzi musi umrzeć - zapytał cicho, z goryczą - za zbrodnicze pragnienie wolności, za grzeszną chęć życia po swoimu?

Zauważyła, że nadal zaciska Miecz Prawdy w pięści o zbielełych kłykciach. Magiczna moc oręza, która z takim oporem się ujawniła, wciąż jeszcze groźnie pałała w jego oczach.

- Ilu jeszcze? - powtórzył.

- Nie wiem, Richardzie - szepnęła.

Chłopak przeniósł gniewne spojrzenie na ciągle jeszcze klęczącego mężczyznę o dłoniach złożonych w modlitewnym geście. Owym gestem błagał o rozkazy, nie ośmielając się odezwać.

Osoba dotknięta mocą Spowiedniczki nie była już taka jak przedtem. Decydująca o tym część umysłu zniknęła bez śladu. Zniknęło, przestawało istnieć to, czym i kim wcześniej była. Moc Spowiedniczki sprawiała, że zamiast tego pojawiała się bezwarunkowe podporządkowanie życzeniom i rozkazom tej, która taką osobę dotknęła. Nic innego nie miało znaczenia. Jedynym celem było teraz wypełnianie poleceń pani, wykonywanie jej rozkazów, odpowiadanie na wszelkie pytania. Taka osoba, zapytana, wyjawiała wszystkie swoje zbrodnie. To właśnie dlatego stworzono niegdyś Spowiedniczki. Właściwie miały ten sam cel co Poszukiwacz - poznanie prawdy. W czasie wojny - podobnie jak w ogóle w życiu - prawda była niezbędna, żeby przetrwać.

Klęczący w pobliżu mężczyzna szlochał w rozpacz, bo Kahlan niczego od niego nie chciała. Nie było dla niego straszliwszej udręki, bardziej przerażającej pustki niż nieświadomość jej życzeń. Życie bez jej poleceń nie miało sensu. Wiadomo było, że dotknięci przez Spowiedniczkę umierali, gdy nie wydawała im rozkazów.

Wszystkie jej polecenia - czy to, aby wyjawiał, jak się nazywa, czy wyznał, kogo szczerze kocha, czy nawet, by zabił ukochaną matkę - sprawiłyby mu szaleńczą radość, bo wreszcie mógłby coś dla niej zrobić.

- Dowiedzmy się, co to właściwie było - warknął Richard.

Kahlan, wyczerpana, wpatrywała się w klęczącego mężczyznę. Była tak zmęczona, że ledwie trzymała się na nogach. Pot spływał jej między pierściami. Musiała wypocząć, lecz ta sprawa była ważniejsza i należało ją

najpierw załatwić.

Szli ku klęczącemu, wpatrzonemu wyczekująco w Kahlan mężczyźnie, lecz wtem Richard przystanął. Na ziemi, u jego stóp, leżały szczątki posążku, który przyniósł im Sabar. Posążek rozpadł się na wiele odłamków rozpoznawalnych dzięki temu, że nadal były przejrzyste i bursztynowe. Nicci napisała w liście, że nie potrzebują już statuetki, skoro odegrała ona swoją rolę - ostrzegła, że Kahlan przerwała tarczę ochronną, odgradzającą coś niezmiernie niebezpiecznego.

Dziewczyna nie miała pojęcia, przed czym strzegła owa osłona, ale aż za dobrze wiedziała, co zrobiła, że została ona przerwana.

Jeszcze bardziej obawiała się tego, że przez nią zaczyna słabnąć magiczna moc miecza Richarda.

Kiedy patrzyła na leżące na ziemi bursztynowe odłamki, ogarnęła ją rozpacz.

Ramię Richarda objęło ją w talii.

- Nie daj się ponieść wyobraźni. Jeszcze nie wiemy, co to wszystko miało znaczyć. Nawet nie wiemy, czy to w istocie prawda. Może to jedynie pomyłka.

Bardzo by chciała w to uwierzyć. Richard w końcu wsunął miecz do pochwy.

- Może wolałabyś najpierw odpocząć, usiąść?

Przede wszystkim troszczył się o nią. Tak było od dnia, w którym się po raz pierwszy spotkali. Ona zaś troszczyła się o niego.

Uwolnienie mocy ogromnie osłabiało Spowiedniczkę. Tym razem Kahlan nie tylko czuła się znużona, ale i mdliło ją. Matką Spowiedniczką została między innymi dlatego, iż miała tak wielką moc, że przychodziła do siebie już po kilku godzinach; inne potrzebowały na to całego dnia albo i dwóch. Kiedy pomyślała o innych Spowiedniczkach - niekiedy bardzo jej bliskich - od dawna już martwych, poczuła, jak przytłacza ją rozpacz.

Będzie potrzebować całej nocy, żeby odzyskać siły. W tej chwili były jednak ważniejsze sprawy - przede wszystkim to, co dotyczyło Richarda.

- Nie - odparła. - Nic mi nie jest. Mogę odpocząć później. Wypytajmy go, o co chcesz.

Richard powiódł wzrokiem po obozowisku zasłanym zwłokami, trzewiami, odciętymi kończynami. Ziemia była przesiąknięta krwią. Odór

krwi i smród wciąż jeszcze skwierczącego w ognisku ciała sprawiały, że Kahlan coraz gorzej się czuła. Odwróciła się od klęczącego mężczyzny ku opiekuńczym ramionom męża. Była wyczerpana.

- A później odejźmy stąd - powiedziała. - Powinniśmy stąd odejść. Mogą się pojawić następni. - Obawiała się, że gdyby znów musiał dobyć miecza, magia oręża mogłaby go nie wesprzeć. - Musimy znaleźć bezpieczniejsze miejsce na obóz.

Richard przytaknął. Przytulił ją, patrząc ponad jej głowę. Mimo Wszystko - a może przez wzgląd na wszystko - cudownie było tak trwać w jego uścisku. Słyszała, jak nadbiega zadyszany Friedrich. Potknął się, zatrzymał i jęknął ze zdumienia i grozy nad tym, co ujrzał.

- Tomie, Friedrichu - odezwał się Richard - myślicie, że mogą się pojawić jeszcze jacyś?

- Nie sądzę - odparł Tom. - Uważam, że natarli całą grupą. Wypatrzyłem ich, jak szli żlebem. Chciałem zawrócić i ostrzec was, ale czterech z nich rzuciło się na mnie, a reszta pobiegła do naszego obozu.

- Nie widziałem nikogo, lordzie Rahlu - dodał zadyszany Friedrich. - Ruszyłem biegiem, kiedy usłyszałem wrzaski.

Richard położył mu dłoń na ramieniu.

- Pomóż Tomowi zaprząć konie. Nie chcę tu zostać na noc.

Obaj ruszyli ku wozowi, a chłopak rzekł do Jennsen:

- Mogłabyś ułożyć na wozie kilka śpiworów? Chciałbym, żeby Kahlan położyła się i wypoczęła, kiedy ruszymy.

Jennsen poklepała Betty, nakłaniając kózkę, żeby za nią poszła.

- Oczywiście, Richardzie - odparła i pospieszyła ku wozowi, Betty zaś biegła tuż obok niej.

Kiedy wszyscy zwijali w pośpiechu obozowisko, Richard poszedł na pobliski spłacheć ziemi, żeby wykopać płytki grób. Nie było czasu na stos pogrzebowy. Mogli jedynie przygotować samotną mogiłę, lecz duch Sabara odszedł i nie zarzuci im, że tak pospiesznie pogrzebali jego ciało.

Kahlan ponownie wszystko rozważała. Teraz, po liście od Nicci i informacjach o znaku ostrzegawczym, miała jeszcze więcej powodów wątpić w prawdziwość wielu rzeczy, w tym i duchów. Świat umarłych łączył się magicznymi więzami ze światem żywych. Zasłona również była magiczna i rzekomo istniała w ludziach podobnych do Richarda. Dowiedzieli się, że bez

magii owe więzy mogą zostać zerwane, a wówczas te inne światy - które mogą istnieć jedynie w relacji do świata istot żywych, a nie niezależnie od niego - przestałyby istnieć. Podobnie jak dzień nie istniałby bez słońca.

Wiedziała już, że magia wymyka się światu, i to od kilku lat.

Wiedziała dlaczego.

Już wkrótce mogą zniknąć duchy, dobre i złe, oraz to wszystko, czego istnienie zależne jest od magii. A to oznaczało, że śmierć stałaby się kresem w każdym sensie tego słowa. A może nawet nie można by już było po śmierci znaleźć się wśród bliskich lub dobrych duchów. Być może w nicość odeszłyby nie tylko dobre duchy, ale i same zaświaty.

Kiedy Richard skończył kopać grób, Tom pomógł mu ułożyć w ziemi ciało Sabara. Później Tom poprosił dobre duchy, żeby czuwały nad jednym z nich, i wraz z Richardem zasypali mogiłę.

- Lordzie Rahlu - odezwał się cicho Tom, kiedy skończyli - gdy część tych ludzi was zaatakowała, pozostali podcięli koniom gardziele i dopiero wtedy dołączyli do reszty.

- Wszystkim koniom?

- Z wyjątkiem moich. Moje konie zaprzęgowe są wielkie. Napastnicy pewnie się bali, że ich stratuja. Zostawili paru ludzi, żeby się mną zajęli, więc sądzili, że już po mnie. Chyba uznali, że tymi końmi będą się martwić później, jak już zrobią porządek z wami. - Poruszył szerokimi barami. - Może nawet planowali, że was pochwyca, zwiążą i wywiozą.

Richard krótkim skinieniem głowy skwitował jego słowa. Potarł palcami czoło. Kahlan pomyślała, że wygląda gorzej, niż ona się czuje. Widziała, że migrena wróciła i znów nęka go bólem.

Tom rozejrzał się po obozie zasłanym trupami napastników.

- A co zrobimy z resztą ciał?

- Chyżoloty się nimi zajmą - odparł bez wahania Richard.

Tom najwyraźniej był tego samego zdania.

- Lepiej pójde pomóc Friedrichowi przy zaprzęganiu. Będą narowiste, bo czują krew i widzą trupy reszty zwierząt.

Kiedy Tom odszedł do swoich koni, Richard przywołał Careę.

- Policz zabitych - nakazał. - Musimy wiedzieć, ilu ich jest.

- Richardzie - spytała cicho Kahlan, gdy Tom już nic nie mógł usłyszeć, a Cara zaczęła liczyć zwłoki - co się stało, kiedy dobyłeś miecza?

Nie zapytał, co miała na myśli, nie próbował niczego przed nią ukryć, żeby oszczędzić jej troski.

- Coś złego dzieje się z magiczną mocą miecza. Kiedy go dobyłem, nie odpowiedziała na moje wezwanie. Tamci atakowali i nie mogłem zwlekać. Gdy stanąłem do walki, magia w końcu zadziałała. To pewnie efekt wywołanych przez dar migren. Osłabiają moją zdolność zespalania się z magią miecza.

- Poprzednie migreny nie blokowały jego magicznej mocy.

- Już ci mówiłem, żebyś nie dała się ponieść wyobraźni. To się przydarzyło teraz, kiedy migreny powróciły. I to musi być przyczyna.

Kahlan nie wiedziała, czy ma mu wierzyć, a nawet, czy on sam w to wierzy. Ale miał rację. Ta sprawa z mocą miecza pojawiła się dopiero teraz, kiedy Richard znów zaczął mieć migreny.

- Nasilają się, prawda?

Potaknął.

- Chodź, dowiedzmy się, ile zdołamy.

Kahlan westchnęła ze znużeniem, pogodzona z ową koniecznością. Musieli wykorzystać tę szansę zdobycia potrzebnych informacji.

Popatrzyła na wciąż jeszcze klęczącego mężczyznę.

ROZDZIAŁ 16

Gdy Kahlan stanęła przed nim, klęczący spojrzał na nią błagalnie załzawionymi oczami. Czekał od jakiegoś czasu, samotny, bez jej poleceń, i dlatego straszliwie cierpiał.

- Pójdiesz z nami - oznajmiła mu zimno. - Będziesz szedł przed wozem, żebyśmy stale mieli cię na oku. Będziesz wykonywał polecenia wszystkich moich towarzyszy tak, jakby pochodziły ode mnie. Szczerze odpowiesz na wszelkie pytania.

Mężczyzna płacząc, padł na ziemię. Całował stopy Kahlan i wylewnie dziękował jej za to, że w końcu raczyła mu coś rozkazać. W jej oczach zaś pełzający po ziemi napastnik z nacięciem w uchu wyglądał jak wieprz.

Zacisnęła pięści i krzyknęła:

- Przestań!

Nie chciała, żeby ten zbrodniczy wieprz jej dotykał.

Natychmiast odskoczył, przerażony dźwięczącym w jej głosie gniewem, zdjęty grozą, że jest z niego niezadowolona. Kulił się nieruchomo u jej stóp, wytrzeszczał oczy, przestraszony, że znów zrobi coś, co się jej nie spodoba.

- Nie jesteś w mundurze - odezwał się do niego Richard. - Czyżbyście nie byli żołnierzami?

- Jesteśmy żołnierzami, lecz nie zawodowymi - odparł tamten ochoczo, rad, że potrafi odpowiedzieć na to pytanie i tym samym wypełnić polecenie Kahlan. - Jesteśmy specjalnymi żołnierzami służącymi Imperialnemu Ładowi.

- Specjalnymi? Cóż to znaczy?

Mężczyzna niepewnie spojrzał na Kahlan wilgotnymi oczami. Nie dała mu żadnego znaku. Już mu przecież powiedziała, że ma wykonywać wszystkie ich rozkazy. Upewniwszy się co do jej intencji, podjął pospiesznie:

- Jesteśmy oddziałem specjalnym. Naszym zadaniem jest chwycić wrogów Ładu. Musimy przechodzić próby, by udowodnić, że jesteśmy zdolni do służby, lojalni i że potrafimy wykonać zadanie, które nam...

- Wolniej - powiedział Richard. - Mówisz zbyt szybko.

Mężczyzna zerknął na Kahlan; znów miał łzy w oczach z obawy, że i jej się naraził.

- Mów dalej - nakazała.

- Nie nosimy mundurów, nie rozgłaszamy naszych zamiarów - ciągnął z wyraźną ulgą uradowany, że zadowoli ją opowieścią. - Zwykle działamy w miastach, wyszukując buntowników. Zadajemy się z ludźmi, sprawiamy, że biorą nas za swoich. Przyłączamy się do nich, kiedy spiskują przeciwko Ładowi, i współdziałamy z nimi, dopóki nie poznamy nazwisk wszystkich zamieszanych w spisek. Wtedy ich wyłapujemy i przekazujemy na przesłuchanie.

Richard długo się w niego wpatrywał, jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Sam był w łapach Ładu, był „przesłuchiwany”. Kahlan mogła jedynie zgadywać, co sobie teraz myśli.

- Wydajecie tylko tych, którzy według waszej wiedzy spiskują przeciwko Ładowi? - zapytał chłopak. - A może też po prostu wydajecie tych, których o to podejrzewacie, oraz wszystkich ich znajomych?

- Jeżeli podejrzewamy, że mogą spiskować, na przykład gdy się trzymają na uboczu lub w swojej grupie i zachowują swoje sprawy w tajemnicy przed współobywatelami, wysyłamy ich na przesłuchanie, żeby się można było dowiedzieć, co ukrywają. - Obliznął wargi, chętny do wyjawienia wszystkich swoich metod. - Rozmawiamy z tymi, z którymi pracują, albo z ich sąsiadami i poznajemy nazwiska ich znajomych, wszystkich ich przyjaciół, czasem nawet członków najbliższej rodziny. Zwykle bierzemy też niektórych z nich i wysyłamy na przesłuchanie. Na przesłuchaniu wszyscy wyznają swoje zbrodnie przeciwko Ładowi, co potwierdza, że słusznie ich podejrzewaliśmy.

Kahlan sądziła, że Richard dobędzie miecza i natychmiast zetnie tamtemu głowę. Aż za dobrze wiedział, co robiono z więźniami, jak beznadziejny był ich los.

Wydobyte torturami zeznania często dostarczały nazwisk ludzi, których można było podejrzewać o cokolwiek, więc torturującym nigdy nie brakowało roboty. Mieszkańcy Starego Świata żyli w ciągłym strachu, że zamkną ich w którymś z więzień, w których trwają przesłuchania.

Zatrzymani rzadko spiskowali przeciwko Ładowi - zbyt wiele czasu zabierały im próby utrzymania się przy życiu, wyżywienia rodziny, żeby jeszcze mieli wolne chwile na knucie przeciwko władzy Imperialnego Ładu. Jednakże wielu ludzi rozmawiało o lepszym życiu, o tym, co by chcieli robić,

co by chcieli uprawiać, tworzyć, mieć, o nadziei, że życie ich dzieci będzie lepsze niż ich. Skoro jednak obowiązkiem ludzi było poświęcać się dla dobra bliźnich, a nie własnego, takie rozmowy były dla Imperialnego Ładu nie buntem, lecz bluźnierstwem. W Starym Świecie bieda była cnotą, powinnością wobec wyższego powołania.

Byli i tacy, którzy nie marzyli o lepszym życiu, lecz o wspomaganiu Ładu. Ci donosili na tych, którzy źle mówili o Ładzie, którzy ukrywali żywność albo drobne sumy, lub gadali o lepszym życiu. Donoszenie na takich „niełojalnych obywateli” chroniło donosiciela. Donosicielstwo stało się probierzem świątobliwości i nietykalności.

Richard nie dobył miecza, lecz zmienił temat.

- Ilu was tu dzisiaj było?

- Razem ze mną dwudziestu ośmiu - odparł natychmiast zapytany.

- Zaatakowaliście nas całą grupą?

Mężczyzna potaknął, rad wyznać ich zamierzenia i zdobyć tym aprobatę Kahlan.

- Chcieliśmy mieć pewność, że ty i... i... - Popatrzył na Kahlan, jakby sobie uświadomił, że jego cele są sprzeczne: szczerą odpowiedź i przypodobanie się Matce Spowiedniczce. Wybuchnął płaczem i błagalnie złożył dłonie. - Wybacz mi, pani! Wybacz, błagam!

Jego głos był przepętniony uczuciem, jej zaś lodowaty.

- Odpowiedz na pytanie.

Powściągnął szloch, żeby odpowiedzieć, jak mu nakazała. Jednak łzy nadal płynęły po brudnych policzkach.

- Trzymaliśmy się razem, żeby mieć pewność, że złapiemy lorda Rahla i... i ciebie, Matko Spowiedniczko. Kiedy łapiemy sporą grupę, to się rozdzielamy i połowa zostaje z tyłu, by czuwać, żeby nikt się nie wymknął. Ale tym razem powiedziałem ludziom, że chcę złapać was oboje i że macie być razem, więc to była dla nas okazja. Nie chciałem ryzykować, że nas pokonacie, i kazałem uderzyć wszystkim ludziom. Kilku z nich jeszcze podcięło najpierw gardła koniom, żebyście nie mogli uciec. - Twarz mu się rozjaśniła. - Nie spodziewałem się, że nas pokonacie.

- Kto cię nasłał? - zapytała go Kahlan.

Mężczyzna zbliżył się na kolanach, chciał dotknąć jej nogi.

Kahlan nie drgnęła, lecz jej lodowate, groźne spojrzenie ostrzegło go, że

nie byłaby z tego zadowolona. Dłoń się cofnęła.

- Nicholas - odparł.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Spodziewała się, iż powie, że to Jagang go przysłał.

Była świadoma, że Nawiedzający Sny może ich obserwować oczami owego mężczyzny. W przeszłości Jagang nasyłał asasynów, wślizgnąwszy się najpierw w ich umysły. Imperator całkowicie opanowywał takie osoby i kierował nimi, a wtedy nawet Cara nie potrafiła przejąć nad nimi kontroli. Kahlan również.

- Kłamiesz. Jagang cię wysłał.

Mężczyzna żałośnie zaszlochał.

- Nie, o pani! Nigdy nie miałem do czynienia z Jego Ekszelencją. Armia jest liczna i rozproszona na dużym obszarze. Rozkazy dostaję od członków z mojej formacji. Wątpię, czy ci, od których oni dostają rozkazy, albo ich dowódcy czy dowódcy tych dowódców, są godni uwagi Jego Ekszelencji. Jego Ekszelencja jest daleko na północy, niosąc nauki Ładu o zbawieniu dzikim i nie znającym prawa ludom. Pewnie nawet nie wie o naszym istnieniu. Jesteśmy żołnierzami niskiej rangi, łapiącymi wskazanych przez Ład ludzi, żeby ich przesłuchać lub uciszyć. Wszyscy pochodzimy z tej części imperium i wezwano nas, bo tu byliśmy. Nie jestem godny uwagi Jego Ekszelencji.

- Ale Jagang nawiedził cię w twoich snach. Wniknął w twój umysł.

- Pani??? - Napastnik wydawał się przerażony tym, że zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, sam musi spytać. - Nie rozumiem.

Kahlan wpatrzyła się w niego.

- Jagang znalazł się w twoim umyśle. Mówił do ciebie.

Wydawał się szczerze zdumiony, pokręcił głową.

- Nie, o pani. Nigdy nie spotkałem Jego Ekszelencji. Nigdy o nim nie śniłem. Wiem o nim tylko jedno: że Altur'Rang ma zaszczyt być jego rodzinnym miastem. Chciałabyś, o pani, żebym go dla ciebie zabił? Błagam, pozwól mi go zabić, jeżeli sobie tego życzysz.

Ten człowiek nie miał pojęcia, jaki to niedorzeczny pomysł. Jednak gdyby mu to nakazała z najwyższą radością podjąłby się tego, byle tylko się jej przypodobać. Odwróciła się tyłem do klęczącego, a Richard mu się przypatrywał.

Pochyliła się nieco ku chłopakowi i powiedziała cicho, tak żeby tamten

nie słyszał:

- Nie wiem, czy nawiedzeni przez Nawiedzającego Sny muszą być tego świadomi, lecz sądzę, że są. Ci, których wcześniej widziałam, wiedzieli, że Jagang tkwi w ich umyśle.

- A czy Nawiedzający Sny nie mógłby się dostać do czyjegoś umysłu tak, żeby ta osoba nie była tego świadoma i żeby mógł nas obserwować?

- Przypuszczam, że to możliwe - odparła. - Ale pomyśl tylko o tych milionach mieszkańców Starego Świata. Musiałby dokładnie wiedzieć, do czyjego umysłu wniknąć, żeby nas obserwować. Może być Nawiedzającym Sny, ale się przecież nie zwielokrotni.

- Masz dar? - spytał Richard napastnika.

- Nie.

- Nicci powiedziała mi - szepnął chłopak - że Jagang rzadko zajmuje się takimi ludźmi. Że trudno mu opanować umysł osoby pozbawionej daru, dlatego kontrolę nad nią zleca osobom mającym dar, które sobie podporządkował. Ma na głowie te wszystkie Siostry, które pojmał. Musi dbać o zachowanie kontroli nad nimi i kierować ich działaniami, w tym też, jak zaczęliśmy czytać w liście Nicci, przemienianiem ludzi w oręż. Poza tym dowodzi armią, układa strategię. Ma do załatwienia tak wiele spraw, że zwykle poprzestaje na umysłach ludzi mających dar.

- Jednak nie zawsze. Jeżeli musi, chce czy potrzebuje tego, może wniknąć w umysł osób nie obdarzonych magiczną mocą. Gdybyśmy byli sprytni - szepnęła Kahlan - zabilibyśmy teraz tego człowieka.

Rozmawiali, lecz Richard nie spuszczał z tamtego gniewnego spojrzenia. Wiedziała, że nie zawahałby się przed takim rozwiązaniem, gdyby nie uważał, że ów człowiek może się im jeszcze przydać.

- Wystarczy, że tak nakazę - przypomniała mu - a on natychmiast umrze.

Richard przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem znów przeniósł wzrok na żołnierza i zmarszczył brwi.

- Powiedziałaś, że przysłał cię jakiś Nicholas. Kto to taki?

- Nicholas to straszliwy czarodziej służący Ładowi.

- Widziałaś go. Czy to on wydał ci te rozkazy?

- Nie. Zbyt niską rangą jesteśmy, żeby ktoś taki jak on mówił wprost do nas. On wydaje rozkazy, a te przekazywane są dalej.

- Skąd wiedzieliście, gdzie jesteśmy? - spytał Richard.

- Rozkazy wymieniały ogólny obszar. Powiedziano nam, że powinniśmy was szukać na wschodnim skraju pustkowia, że kierujecie się ku północy i że jak was odnajdziemy, to mamy was pojąć.

- Skąd Nicholas wiedział, gdzie jesteście?

Mężczyzna zamrużył, jakby szukał w pamięci odpowiedzi na to pytanie.

- Nie wiem. Nie powiedziano nam, skąd wie. Kazano nam tylko szukać w tej okolicy i przyprowadzić oboje żywych, kiedy was znajdziemy. Dowódca, który przekazał te rozkazy, powiedział, żebyśmy nie zawiedli, bo Slide byłby ogromnie niezadowolony.

- Kto byłby niezadowolony?... Slide?

- Nicholas Slide. Tak go nazywają. A niektórzy mówią po prostu Slide.

Kahlan zachmurzyła się, popatrzyła na klęczącego.

- Jak?

Mars na jej twarzy sprawił, że żołnierz zaczął dygotać.

- Slide, o pani.

- Slide? A cóż to znaczy?

Zaczął lamentować i składać dłonie, błagając o wybaczenie.

- Nie wiem, o pani. Nie wiem. Pytałaś, kto mnie wysłał, i tak się nazywa. Nicholas. A ludzie mówią o nim Slide.

- Gdzie on jest? - zapytał Richard.

- Nie wiem - wybełkotał ze szlochaniem. - Dostałem rozkazy od mojego dowódcy. Mówił, że Brat przyniósł te rozkazy jego dowódcy.

Richard głęboko zaczerpnął powietrza, rozmasował sobie kark.

- Co jeszcze wiesz o tym Nicholasie, oprócz tego, że jest czarodziejem i że nazywają go Slide?

- Tyle tylko, że powinienem się go bać, jak moi dowódcy.

- Dlaczego? Co się dzieje, gdy jest z kogoś niezadowolony? - spytała Kahlan.

- Wbija na pal tych, którzy mu się narażą.

Odór krwi, palącej się skóry oraz to, czego się dowiadywała, sprawiało, że Kahlan z trudem powstrzymywała mdłości. Nie miała pojęcia, ile jeszcze zdoła wytrzymać jej żołądek, jeśli tutaj zostaną, jeśli ów człek powie coś jeszcze. Zaciśnęła dłoń na ramieniu Richarda.

- To właściwie nie przynosi nam niczego użytecznego - wyszeptała. - Odejźmy stąd, błagam. Jeżeli jeszcze coś nam przyjdzie na myśl, możemy

go później wypytać.

- Marsz na swoje miejsce przed wozem - nakazał bez wahania chłopak. - Nie chcę, żeby musiała na ciebie patrzeć.

Mężczyzna pochylił głowę i chwiejnie odszedł.

- Nie sądzę, żeby Jagang był w jego umyśle - odezwała się Kahlan - ale co, jeżeli się mylę?

- Uważam, że na razie powinniśmy go zostawić przy życiu. Tom będzie miał na niego oko, kiedy pójdzie przed wozem. Jeżeli się mylimy... Tom wprawnie posługuje się nożem. - Richard odetchnął. - Już się dowiedzieliśmy czegoś ważnego.

- Czego?

Łagodnie skłonił ją, by ruszyła z miejsca.

- Opowiem ci po drodze.

Kahlan widziała czekający na nich w mroku wóz. Tom nie spuszczał oka z mężczyzny, który wybiegł przed konie i znieruchomiał, czekając. Jennsen i Cara siedziały w tyle, Friedrich zaś na koźle, obok Toma.

- Ilu? - zawołał Richard do Cary, kiedy się zbliżali do wozu.

- Razem z czwórką, którą Tom zajął się na wzgórzach, i tym tutaj dwudziestu ośmiu.

- Czyli wszyscy - rzekł chłopak z ulgą.

Kahlan poczuła, że cofa dłoń z jej talii. Zatrzymał się. Przystanęła obok niego, nie wiedząc, dlaczego stanął. Osunął się na kolana. Uklękła przy nim, objęła go i podtrzymała. Zamknął z bólu oczy. Przycisnął rękę do brzucha i zgiął się w pół.

Cara zeskoczyła z wozu, podbiegła do nich.

Kahlan była ogromnie wyczerpana, lecz przerażenie natychmiast postawiło ją na nogi.

- Musimy dotrzeć do sylfy - odezwała się do Cary i Richarda. - Musimy dotrzeć do Zedda, uzyskać wyjaśnienia i pomoc. Zedd może nam pomóc.

Richard oddychał z trudem, nie mógł mówić dręczony okropnym bólem. Kahlan nie wiedziała, jak go ratować, czuła się bezsilna.

- Lordzie Rahlu - powiedziała Cara, klękając przed nim - nauczono cię kontrolować ból. Teraz musisz skorzystać z tych lekcji. - Złapała go za włosy i tak odchyliła głowę chłopaka, żeby móc spojrzeć mu w oczy. - Pomyśl - rozkazała. - Przypomnij sobie. Odsuń ból. Ale już!

Richard zacisnął dłoń na ramieniu Mord-Sith w podziękę za te słowa.

- Nie możemy - odezwał się wreszcie do Kahlan, chociaż bardzo cierpiał.
- Nie możemy się zanurzyć w sylfie.
- Musimy - upierała się. - Sylfa to najszybsza podróż.
- A jeżeli moja magiczna moc zawiedzie, kiedy się zanurzę w sylfie i napełnię płuca jej srebrzystością?

Kahlan była zdesperowana.

- Przecież musimy wejść do sylfy, żeby się tam szybko dostać.

Lękała się powiedzieć „na czas”.

- Umrę, jeśli coś pójdzie nie tak. - Ból utrudniał mu nabieranie powietrza. - Oddychanie sylfą to śmierć dla pozbawionych magii. Miecz mnie zawodzi. - Przełknął ślinę, zakaszał, zakrztusił się oddechem. - Jeżeli mój dar zsyła na mnie migreny i przez to moja magiczna moc się załamuje, to umrę przy pierwszym wciągnięciu sylfy w płuca. A próby przeprowadzić nie można.

Kahlan ogarnął lodowaty strach. Jediną nadzieją dla Richarda było dotarcie do Zedda. Bardzo jej na tym zależało. Zabiją go zsyłane przez dar migreny, jeżeli nie uzyska pomocy. Obawiała się, że wie, dlaczego zawodzi go magia miecza, i migreny nie miały tu nic do rzeczy. Obawiała się, że to skutek tej samej sprawy, przez którą pękła pieczęć. Znak ostrzegawczy poświadczył, że to się stało za jej przyczyną. Jeżeli naprawdę tak było, to przez nią wydarzyło się nie tylko to, ale i o wiele więcej.

Pojęła, że jeśli się nie myli, że jeśli to prawda, to Richard ma rację co do sylfy - zanurzenie się w sylfę równałoby się śmierci. Jeśli miała rację, to nawet nie byłby w stanie przywołać sylfy, a co dopiero podróżować w niej.

- Richardzie Rahlu, jeżeli zamierzasz obrzucać błotem moje najcenniejsze pomysły, to lepiej zaproponuj coś w zamian.

Z trudem chwycił oddech, porażony atakiem gwałtownego bólu. Dziewczyna ujrzała, że wykaszła krew.

- Richardzie!

Tom, najwyraźniej zaniepokojony, podbiegł ku nim. Zszarzał, kiedy zobaczył krew ściekającą Richardowi po brodzie.

- Pomóżcie mu się dostać na wóz - odezwała się Kahlan, usiłując panować nad głosem.

Cara wzięła go pod pachę. Tom otoczył go ramieniem i pomógł Carze i

Kahlan postawić Richarda na nogi.

- Nicci - powiedział chłopak.

- Co takiego? - spytała Kahlan.

- Chciałaś wiedzieć, czy mam jakiś pomysł. - Wstrzymał oddech z bólu, przez chwilę się dusił. Kiedy zakaszłał, pojawiło się więcej krwi; skapywała mu z brody.

Nicci była czarodziejką, nie czarodziejem. Richardowi potrzebny był czarodziej. Ale mogliby do niej zdążyć na czas, gdyby pędzili co koń wyskoczy.

- Ale Zedd lepiej by...

- Zedd jest za daleko. Musimy się dostać do Nicci. Potrafi korzystać z mocy obu magii.

O tym Kahlan nie pomyślała. Może Nicci naprawdę mogłaby pomóc.

Kiedy byli już w połowie drogi do wozu, Richard zasnął. Musieli go nieść. Tom wziął go pod pachy, Cara i Kahlan trzymały nogi. Resztę dystansu przebiegli. Potem Tom - już bez ich pomocy - uniósł Richarda i położył na wozie. Jennsen pospiesznie rozwinęła jeszcze jeden śpiwór. Ułożyli go najdelikatniej jak mogli. Kahlan miała wrażenie, że obserwuje sama siebie: patrzy, jak reaguje, porusza się, mówi. Wzbraniała się ulec panice.

Wraz z Jennsen chciały się nad nim nachylić, sprawdzić, jak się czuje, lecz Cara odsunęła je na bok. Pochyliła się nad Richardem, przyłożyła ucho do jego ust, nasłuchiwała. Czubkami palców wyczuła puls na szyi. Drugą dłoń podłożyła mu pod głowę - bez wątpienia szykowała się, żeby w razie potrzeby obdarzyć go tchnieniem życia. Mord-Sith znały się na takich sprawach. Wiedziały, jak utrzymywać ludzi przy życiu, żeby przedłużyć ich mękę. Cara wiedziała również, jak wykorzystywać tę wiedzę do ratowania życia.

- Oddycha - powiedziała Mord-Sith, prostując się. Dotknęła pocieszająco ramienia Kahlan. - Teraz już łżej oddycha.

Dziewczyna bała się, że głos odmówi jej posłuszeństwa, więc tylko skinęła głową w podzięcie. Przysunęła się do Richarda; Cara ocierała mu krew z ust i brody. Kahlan czuła się bezsilna. Nie wiedziała, co robić.

- Pojedziemy całą noc - rzekł przez ramię Tom, wdrapując się na kozioł.

Kahlan zmusiła się do myślenia. Mieli dotrzeć do Nicci.

- Nie - odezwała się. - Do Altur'Rang daleka droga, a my jesteśmy na

puszku. Jazda nocą na przełaj byłaby szaleństwem. Jeżeli przeszarżujemy, to zamęczymy konie albo zwierzęta połamią sobie nogi, co byłoby równie złe. A jeśli stracimy konie, to nie zdążymy na czas, skoro będziemy musieli nieść Richarda. Najlepsze, co możemy zrobić, to podróżować jak najszybciej, odpoczywając od czasu do czasu, żeby mieć siły, gdyby znów nas napadli. Musimy ruszyć głową, bo inaczej nigdy się nam nie uda.

Jennsen trzymała w dłoniach ręce Richarda.

- Tak go bolała głowa, a mimo to dał sobie radę z tymi wszystkimi typami. Może mu się poprawi, jak się wyśpi.

Kahlan co prawda nie sądziła, żeby to było aż tak proste, lecz te słowa i tak dodały jej otuchy. Stała i popatrzyła na mężczyznę czekającego na jej rozkazy.

- Jest was tam więcej? Wysłanych, żeby nas napaść i porwać? Czy ten Nicholas wysłał jeszcze kogoś?

- Nic mi o tym nie wiadomo, o pani.

- Gdyby chciał nam przysporzyć jakichś kłopotów - powiedziała cicho do Toma - to się nie wahaj. Zabij go.

Tom skinął głową; chętnie to zrobi. Kahlan usiadła, dotknęła czoła Richarda. Miał zimną i wilgotną skórę.

- Lepiej ruszajmy i poszukajmy miejsca, w którym łatwiej by się było bronić. Jennsen słusznie powiedziała, że potrzebny mu wypoczynek, a trzęsienie się na wozie z pewnością mu dobrze nie zrobi. Wszystkim nam się przyda choć krótki odpoczynek. Wyruszymy o brzasku.

- Powinniśmy znaleźć konia - odezwała się Cara. - Wóz jest zbyt powolny. Jeżeli zdobędziemy konia, pomknę jak wicher, odszukam Nicci i wrócę tu z nią. Tak byłoby szybciej, niż gdybyśmy musieli dojechać wozem.

- Dobry pomysł. - Kahlan spojrzała na Toma. - Ruszajmy i znajdziemy jakieś miejsce na nocleg.

Tom skinął głową, odblokował hamulec. Ponaglił konie - napały na uprzęż i wóz ruszył z miejsca.

Betty, skarżąc się cichutko, położyła się obok nieprzytomnego Richarda i przytuliła łeb do jego ramienia. Jennsen pogłaskała ją po pyszczku.

Kahlan widziała łzy płynące po twarzy dziewczyny.

- Tak mi przykro z powodu Rusty.

Betty podniosła łeb. Żałośnie zameczała. Jennsen skinęła głową.
- Richard wyzdrowieje - powiedziała zdławionym przez łzy głosem,
ujmując dłoń Kahlan. - Wiem, że wyzdrowieje.

ROZDZIAŁ 17

Zeddowi wydało się, że coś usłyszał.

Ręka z łyżką potrawki znieruchomiała w pół drogi do ust. Zamarł i nasłuchiwał.

Często miał wrażenie, że wieża żyje, oddycha. Niekiedy nawet brzmiało to tak, jakby leciutko wzdychała. Od dzieciństwa słyszał co jakiś czas głośne trzaski, których pochodzenia nigdy nie zdołał wytropić. Podejrzewał, że dźwięki takie powodowały przesuwające się odrobinę skalne bloki, które zderzały się ze swoimi sąsiadami. W fundamentach wieży tkwiły kamienne bloki wielkości małych pałaców.

Kiedy Zedd miał dziesięć czy dwanaście lat, w całej wieży rozległ się głośny huk, niczym od uderzenia olbrzymiego młota. Wybiegł wówczas z biblioteki, w której się uczył, i zobaczył, że i z innych komnat wychodzą na korytarz ludzie, rozglądają się, szepczą do siebie. Ojciec powiedział później Zeddowi, że to tylko hałas wywołany przez pękające zniecka wielkie kamienne bloki fundamentów i że chociaż nie powoduje to żadnych kłopotów, to łoskot niósł się po całej wieży. Zdarzało się to co prawda bardzo rzadko, ale słyszał i potem taki nieszkodliwy, choć zatrważający hałas.

No i były również zwierzęta. W niektórych partiach wieży latały nietoperze. Istniały zawrotnie wysokie wieżyce, a w części z nich znajdowały się wyłącznie schody biegnące spiralą przy ścianie do niewielkiego pomieszczenia na szczycie lub tarasu obserwacyjnego. W promieniach słońca wpadających do ciemnego wnętrza takich wież unosiły się nie tylko drobiny kurzu, ale i śmigały miriady owadów. Nietoperze uwielbiały owe wieżyce. W wieży żyły także szczury. Biegały i popiskiwały, czasem ktoś się ich wystraszył. Tu i ówdzie biegało pełno myszy: słychać było, jak drapią pazurkami i coś gryzą. No i były rzecz jasna koty, potomstwo niegdysiejszych kotów łownych i kanapowców - teraz wyłącznie zdziczałe, żywiące się szczurami i myszami. Koty polowały też na ptaki, które wlatywały przez nieosłonięte prześwit, żeby się pożywić owadami, lub wiły gniazda w wysoko położonych zakamarkach.

Czasami słychać było przerażające odgłosy, kiedy nietoperz, mysz, ptak czy kot dostał się tam, gdzie nie powinien. Tarcze ochronne miały trzymać

ludzi z dala od niebezpiecznych lub zakazanych miejsc, lecz umieszczano je także po to, żeby strzegły przed niepowołanymi wielu przechowywanych w wieży przedmiotów. Tarcze takie strzegły przed wszystkim, co żywe - nie czyniły różnicy między życiem ludzi i innych stworzeń.

Inaczej mogłoby się przecież zdarzyć, że czyjś piesek zapuściłby się na zakazany obszar, znalazł jakiś niebezpieczny talizman i dumnie zaniósł go swojemu małemu panu, a to by się mogło źle skończyć. Ci, którzy umieszczali te ochronne tarcze, zdawali sobie również sprawę, że pozbawieni skrupułów ludzie mogliby tak tresować zwierzęta, by te wchodziły do zakazanych miejsc i przynosiły im to, co zdołałyby unieść. Ponieważ nie wiadomo, jakie zwierzę ktoś by tak wytresował, tarcze strzegły przed wszystkim, co żywe. Nietoperz, który niebacznie dostał się w niewłaściwą tarczę ochronną, płonął.

W wieży znajdowały się bariery ochronne, przez które nawet Zedd nie mógł się przedostać, bo potrzebny był do tego dar obu magii, on zaś miał jedynie dar magii addytywnej.

Niektóre z tych magicznych osłon stanowiły fizyczną przeszkodę - ograniczały zdolność ruchu lub wywoływały tak nieprzyjemne odczucia, że nie można się było zmusić do kontynuacji marszu. Owe osłony miały bronić dostępu do pewnych miejsc ludziom pozbawionym daru i dzieciom - mający magiczną moc przechodzili swobodnie - więc nie musiały zabijać.

I takie osłony działały tylko na tych, którzy nie mieli daru.

Do innych miejsc dostęp mieli jedynie upoważnieni, dysponujący równocześnie właściwą magiczną mocą. Tarcze ochronne zabijały każdego, kto nie dysponował zarówno właściwą mocą, jak i odpowiednimi pełnomocnictwami - bezpieczeństwo zapewniały zaklęcia sprzężone z tarczą ochronną takiego miejsca, wyłączaną, kiedy upoważniony czarodziej dotknął metalowej płytki. Tarcze zabijały zwierzęta równie niezawodnie, jak zabiłyby każdego innego intruza.

Takie groźne osłony ostrzegały o swojej obecności uczuciem gorąca, błyskami, mrowieniem, żeby nikt mimowolnie nie dostał się w ich zasięg; w końcu łatwo się było zgubić w tak olbrzymiej budowli. Owe znaki ostrzegawcze działały i na zwierzęta, lecz czasami kot zagonił przerażoną mysz w taką osłonę, a niekiedy, rozpedzony, sam tam za nią wpadał.

Zedd nasłuchiwał znieruchomiały, ale nic nie zakłócało ciszy. Jeżeli

naprawdę coś usłyszał, to musiały to być ruchy samej wieży, pisk zwierzaka, który znalazł się za blisko osłony, albo świst wiatru w jednym z setek prześwitów. Teraz jednak - bez względu na to, co to było - panowała cisza. Drewniana łyżka z potrawką dotarła do celu.

- Mmmmmiam - rzucił Zedd w przestrzeń. - Pyszne!

Kiedy pierwszy raz spróbował potrawki, stwierdził ku swojemu rozczarowaniu, że jeszcze nie doszła. Nie przyspieszył owego procesu odrobiną magii - co by na pewno rozszerdziło Adie - ale usiadł na kanapie i trochę poczytał.

Lektura, zdawało się, nie miała końca. Zawsze przecież mogli natrafić w księgach na cenną informację, która okazałaby się niezmiernie pomocna. Czytał więc i od czasu do czasu - według niego z ogromną cierpliwością - sprawdzał stan potrawy.

Teraz nareszcie była gotowa. Kawałki szynki były tak kruche, że się rozpadały, kiedy je przyciskał językiem do podniebienia. W rozkosznie bulgoczącym kociołku połączyły się w aromatyczną całość cebule i oliwa, marchewki i rzepy, odrobina czosnku i korzenne przyprawy oraz mnóstwo kawałków szynki.

Zedd już dawno zauważył z irytacją, że Adie nie zrobiła żadnych bułeczek. A taka potrawka najlepiej smakowała z bułeczkami. Powinny być bułeczki. Uznał, że miska potrawki pozwoli mu wytrwać do czasu, aż Adie wróci i zrobi trochę bułeczek. Powinny być bułeczki. Tylko one tu pasowały.

Nie miał pojęcia, gdzie Adie się podziała. Większość dnia spędził w Aydindril, więc uznał, że poszła do jednej z bibliotek, żeby poszukać w księgach czegoś, co by się im przydało. Wspaniale jej szło wygrzebywanie w bibliotekach ksiąg, które mogły być pomocne. Adie pochodziła z Nikobarezji, wyszukiwała księgi w rodzinnym języku. Księgi zaś znajdowały się w całej wieży, więc nie wiadomo, dokąd poszła.

Były tu również pomieszczenia zastawione stelażami z kośćmi. W innych stały szeregi wysokich szafek z setkami szufladek. Zedd widział kości stworzeń, jakich nigdy nie oglądał w naturze. Adie była znawczynią kości. Sporą część życia spędziła w odosobnieniu, w pobliżu granicy. Ludzie żyjący w tamtych okolicach bali się jej i nazywali ją kościaną babką, bo zbierała kości. W jej domku było ich pełno. Niektóre z owych kości chroniły ją przed stworami wydostającymi się z granicy.

Zedd westchnął. Księgi czy kości, nie wiadomo, gdzie się podziały. Poza tym w Wieży Czarodzieja było całe mnóstwo innych rzeczy, które mogłyby ogromnie czarodziejkę zaciekać. Mogła się też po prostu wybrać na spacer lub wyjść na mury obronne, żeby popatrzeć w gwiazdy i porozmyślać.

Wygodniej było zaczekać, aż wróci do swojej potrawki, niż ruszyć na poszukiwania. Szkoda, że nie zawiesił jej na szyi jednego z tych dzwoneczków.

Zedd nucił wesoło i napełniał miskę potrawką. Zawsze twierdził, że nie należy na nic czekać z pustym brzuchem, bo to tylko psuje humor. Lepiej coś przekąsić i być w dobrym nastroju, niż czekać i się zadreć. A taki udreć Zedd byłby marnym towarzyszem.

Usłyszał dźwięk, kiedy nakładał do miski ósmą łyżkę potrawki.

Ręka czarodzieja znieruchomiła nad bulgoczącym kociołkiem.

Wydało mu się, że usłyszał dźwięk dzwoneczka.

Zedd trzymał wyobraźnię na wodzy i nie zwykł się denerwować bez wyraźnego powodu, lecz ów dźwięk sprawił, że przeszył go lodowaty dreszcz, jakby dotknęły go lodowate palce ducha sięgającego doń z tamtego świata. Stał nieruchomo, nieco nachylony ku wiszącemu nad ogniem kociołkowi i odrobinę zwrócony w stronę korytarza. Nasłuchiwał.

To mógł być kot. Może nie przywiązał linki wystarczająco wysoko i przechodzący pod nią kot trącił ogonem dzwoneczek. Może to był psotny kot - przysiadł i uderzał ogonem w dzwoneczek. To mógł być jedynie kot.

A może to ptak usiadł na lince, bo chciał tu przespać noc. Nikt nie mógł przejść przez osłony i wpaść na linkę z dzwoneczkiem. Zedd umieścił dodatkowe tarcze ochronne. To musiało być zwierzę - kot albo ptak.

Ale skoro nikt się nie mógł przedostać przez zwykłe i dodatkowe osłony, to czemu porozwieszał dzwoneczki?

Wyjaśnienie było zupełnie prawdopodobne, a mimo to włosy Zedda usiłowały stanąć dęba. Nie podobało mu się to, jak zadzwonił dzwonek - w tym dźwięku było coś takiego, co go przekonało, że to nie zwierzę. Dźwięk był zbyt zdecydowany, zbyt nagły, zbyt szybko ucichł.

Był już całkowicie pewny, że dzwonek naprawdę zadzwonił. Nie wyobraził sobie tego. Spróbował odtworzyć ów dźwięk w pamięci, żeby nadać kształt postaci, która potrąciła linkę.

Zedd bezszelestnie postawił miskę na obrzeżu granitowego kominka.

Wyprostował się i nasłuchiwał, zwracając ucho ku korytarzykowi, w którym zadźwięczał dzwonek. Przebiegał w myślach mapkę rozmieszczenia dzwonek.

Musiał się upewnić.

Wśliznął się w korytarzyk i, ocierając się ramieniem o ścianę, szedł ku pierwszemu skrzyżowaniu z innym przejściem po prawej. Obserwował przy tym nie tylko drogę przed sobą, ale i za sobą. Z przodu nic się nie poruszało. Przystanął, rzucił okiem w korytarz Po prawej. Nikogo, więc tam skręcił.

Pospiesznie minął zamknięte drzwi, gobelin z winnicami (zawsze uważał, że to marna robota), wejście do pokoju z oknem na głęboki szczyb pomiędzy wieżycami na wysokim wale obronnym. Przeciął jeszcze trzy skrzyżowania, zanim dotarł do pierwszych schodów. Wysunął się zza prawego narożnika i wszedł po wyginających się w lewo schodach; biegły ponad korytarzem, z którego właśnie wyszedł. W ten sposób cofnie się do siatki korytarzy, w których porozwieszał dzwonki, a nie będzie musiał z tych korytarzy korzystać.

Zedd przeglądał w myślach plan gmatwaniny korytarzyków, korytarzy, komnat i ślepo zakończonych przejść, który z biegiem lat dokładnie poznał. Jako Pierwszy Czarodziej miał dostęp do każdego miejsca w wieży, z wyjątkiem tych, gdzie potrzebna była magia subtraktywna. W niektórych sektorach wieży mógłby być nieco zdezorientowany, lecz nie tutaj.

Wiedział, że - o ile nikt nie szedł dokładnie po jego śladach - będą musieli zawrócić lub minąć miejsce, w którym poumieszczał wymyślne magiczne pułapki oraz zwykłe linki z dzwoneczkami. Jeżeli nie zauważą linki, zadzwoni kolejny dzwoneczek. I wówczas będzie miał pewność.

Może to była Adie. Może po prostu nie zauważyła ciemnej, rozciągniętej w poprzek korytarza linki. Może się zirytowała, że porozwieszał te linki z dzwoneczkami, i potrąciła jeden z nich, żeby Zedda zaniepokoić, żeby mu dokuczyć.

Nie, Adie taka nie jest. Pogroziłaby mu palcem i wyjaśniła zgryźliwie, dlaczego w przeciwieństwie do niego nie uważa za dobry pomysł rozwieszania linek z dzwonekami. Na pewno jednak nie wyczyniałaby żadnych sztuczek z czymś, co miało ostrzegać przed niebezpieczeństwem. Nie. Adie mogłaby przypadkowo potrącić dzwoneczek, ale na pewno nie zrobiłaby czegoś takiego z rozmysłem.

Zadzwonił następny dzwonek. Zedd obrócił się w stronę, z której dobiegł dźwięk, i zamarł.

Dzwoneczek zabrzmiał z niewłaściwego kierunku - ktoś potrącił linkę z drugiej strony oranżerii. Za daleko od pierwszego dzwonka, by ktoś tak szybko zdążył tam dotrzeć. Musiałby wspiąć się po schodach w wieży, przejść przez most na wał obronny, potem wąskim korytarzem, w mroku, minąć kilka skrzyżowań, zanim doszedłby do właściwego, a następnie spiralną rampą w dół i przez płataninę korytarzyków - i dopiero wtedy mógłby potrącić dzwoneczek.

Chyba że nie była to jedna osoba.

Dzwonek zabrzmiał nagle, krótko, a potem zabręczał, jakby smyrnął po kamieniu. Ktoś musiał wpaść na linkę i dzwonek poleciał po kamiennej podłodze.

Zedd zmienił plan. Zawrócił i pomknął wąskim przejściem w lewo, po czym wspiął się pierwszymi napotkanymi schodami, biorąc po trzy dębowe stopnie naraz. Na podeście skręcił w prawe odgałęzienie, wbiegł po drugich, tym razem kamiennych schodach; pędził ile sił w nogach. Stopa ześliznęła mu się z węższej części stopnia skręcających spiralnie schodów i łupnął się w goleń. Skrzywił się, lecz przystanął ledwie na sekundę. Wykorzystał tę chwilę, by przypomnieć sobie plan wieży, i znów ruszył biegiem.

U szczytu schodów skoczył w krótki, wyłożony boazerią korytarz; z poślizgiem zatrzymał się na lśniącej podłodze z klonu. Naparł ramieniem na niewielkie, zaokrąglone u szczytu dębowe drzwi. Stał pod usianym gwiazdami niebem. Ruszył wąskim rampartem, głęboko wciągając w płuca zimne nocne powietrze. Dwukrotnie przystanął, żeby spojrzeć w dół otworami w zwieńczonym blankami parapecie muru obronnego. Nikogo nie dostrzegł. To był dobry znak - wiedział, gdzie powinni być, gdyby nie korzystali z zewnętrznej drogi.

Biegł - szaty rozwiewały się za nim - po kołyszącym się prześle między wieżycami, ponad leżącą daleko w dole częścią wieży, w której zabrzmiały oba dzwonki. Gnał ponad ową częścią, żeby się dostać na tyły tych, którzy zerwali linki. Skoro wpadli na dzwonki po obu stronach oranżerii, musieli się dostać do środka przez to samo skrzydło - tyle wiedział. Chciał się zapuścić na ich tyły, zablokować ich, nim dotrą do nie chronionej części wieży, do prawdziwego labiryntu korytarzy. Jeżeli zdołają tam dotrzeć i

ukryć się, to wykurzenie ich stamtąd zajmie mu sporo czasu.

Jego umysł szybkością nie ustępował nogom. Zedd starał się sobie przypomnieć wszystkie osłony, starał się pojąć, jak ktoś mógł się przez nie przedostać i dotrzeć do tego właśnie skrzydła, gdzie zawiesił dzwoneczki, które dopiero co zabrzmiały. Przy tych osłonach to się nie powinno stać. Musiał wziąć pod uwagę tysiące korytarzy i korytarzyków wieży, żeby wybrać wszelkie możliwe trasy. Przypominało to skomplikowaną, wielopoziomową układankę i choćby nie wiadomo jak był dokładny, istniała możliwość, że coś pominie. Musiał coś przeoczyć.

Istniały pomieszczenia, a nawet całe odcięte osłonami sektory, do których nie można się było dostać - lecz często można je było obejść. Nawet jeżeli jakiś korytarz zapieczętowano z obu stron, żeby nikt nie mógł się dostać do znajdujących się w nim komnat, to zwykle i tak można było bokiem przejść na drugi koniec i dotrzeć do tego, co było za nim. Było to zamierzone działanie: komnaty mogły być pełne niebezpiecznych magicznych przedmiotów, które lepiej było trzymać w ukryciu, lecz musiały istnieć drogi do nich oraz do położonych dalej pomieszczeń. Większość wieży była właśnie taka - trójwymiarowy labirynt z niemal nieskończoną liczbą możliwych tras.

Dla nieostrożnych mogło to być otoczenie najeżone śmiertcionośnymi pułapkami. Istniały miejsca o wielu osłonach ostrzegawczych, które odstraszały nierozważnych. Jednak za owymi osłonami ochronnymi znajdowały się tarcze, które zabijały bez ostrzeżenia. Intruzi nie mieli pojęcia, że dalej też są osłony i że wchodzą w pułapkę. Te drugie osłony miały zabijać intruzów, którzy dotarliby aż tutaj. Brak ostrzeżenia był zamierzony.

Zedd przypuszczał, że ktoś mógłby ominąć te wszystkie tarcze ochronne i dotrzeć w głąb wieży, żeby potraścić właśnie te dwa dzwoneczki - lecz za nic w świecie nie potrafił prześledzić kolejnych odcinków tej trasy. Jednak ktokolwiek to był i ile miał szczęścia, wkrótce zagubi się w labiryncie, a wtedy Zedd się z nim rozprawi.

Czarodziej spojrzał poza wieżyce, wały obronne, mosty, odkryte schody prowadzące do pomieszczeń górujących nad strzelistymi murami - na leżące daleko w dole Aydindril, teraz ciemne i wymarłe. Jak ktoś zdołał się przedostać przez kamienny most do wieży?

Może jakaś Siostra Mroku. Może któraś znalazła sposób przełamania

jego osłon za pomocą magii subtraktywnej. Lecz jeżeli nawet jej się to udało, to osłony w wieży były inne. Większość z nich była dziełem czarodziejów z dawnych czasów, którzy mieli dar obu magii. Siostra Mroku nie potrafiłaby przełamać takich osłon - miały się przecież oprzeć wrogim czarodziejom tamtych czasów. A ci byli obdarzeni o wiele większą mocą niż zwyczajna Siostra Mroku.

No i gdzie się podziewała Adie? Już powinna wrócić. Teraz żałował, że jej nie poszukał. Powinna się dowiedzieć, że ktoś się dostał do wieży. Chyba że już wie. Że ją pojмали.

Zedd zawrócił i pognął wałem obronnym. W bastionie chwycił barierkę, żeby wyhamować pęd, i gwałtownie skręcił za róg. Pomknął w dół ciemnymi schodami, jakby zbiegał ze wzgórza.

Dar upewniał go, że w pobliżu nikogo nie ma. Skoro tak, to znaczy, że udało mu się zejść ich od tyłu. Złapał ich w pułapkę.

Na dole gwałtownie otworzył drzwi i wpadł w korytarz.

Zderzył się z czekającym tam człowiekiem.

Impet Zedda zbił tamtego z nóg. Upadli i ślizgali się po lśniącej zielono-żółtej marmurowej posadzce, próbując się nawzajem unieruchomić.

Czarodziej był ogromnie zaskoczony. Jego dar mówił mu, że tego człowieka tu nie ma. Najwyraźniej mylnie. Zderzenie z owym mężczyzną w korytarzu, który według daru był pusty, bardziej wstrząsnęło Zeddem niż to koziołkowanie.

Toczył się i równocześnie usiłował oplątać tamtego magiczną siecią. Napastnik z kolei starał się przydusić Zedda krzepkimi ramionami.

Zdesperowany czarodziej, nie bacząc na to, że są tak blisko siebie, dobył z powietrza wystarczającą ilość ciepła i posłał ku tamtemu potężną błyskawicę. Oślepiający błysk wypalił zygzakowatą linię na kamiennej ścianie za intruzem.

Zedd zbyt późno uświadomił sobie, że śmiercionośny błysk przeszedł przez mężczyznę, nie czyniąc mu krzywdy. Korytarz wypełniły lecące ze świstem kamienne odłamki, odbijające się od ścian i sufitu, mknące po posadzce.

Napastnik wylądował na Zeddzie i pozbawił go oddechu. Wrzaskiem wzywał pomocy, przygniatając czarodzieja do śliskiej posadzki. Zedd pozorował słabnącą obronę, żeby tamten nabrał pewności siebie. Wreszcie

zebrał się w sobie i grzotnął napastnika kolanem w mostek. Mężczyzna wrzasnął ze zdumienia i bólu, spadł z czarodzieja i z trudem chwycił oddech.

Zedd wziął z powietrza tyle ciepła, że stało się lodowate jak w zimową noc. Unosiły się w nim teraz obłoki pary ich oddechów, kiedy dyszeli zmęczeni walką. Tamten znów zawołał o pomoc, w nadziei, że nadbiegną jego kompani.

Zorander sądził, że każdy bałby się zaatakować czarodzieja siłą samych mięśni. Jednak ten człowiek nie musiał się obawiać magii. Choćby wcześniej tego nie wiedział, teraz miał na to niezbity dowód. Ów mężczyzna był ze dwa razy potężniejszy, ze trzy razy młodszy i niewrażliwy na magię, a mimo to Zedd miał wrażenie, że walczy... dość ostrożnie.

Napastnik może i był bojaźliwy, ale za to zdeterminowany. Ponownie zbierał się do ataku. Jeżeli skręci Zeddowi kark, to nie będzie miało znaczenia, że zrobił to nieśmiało.

Intruz podniósł się i rzucił na czarodzieja. Zedd cofnął ugięte w łokciach ręce, szeroko rozstawił palce i cisnął błyskawicę. Tym razem jednak nie marnował jej na daremne próby powalenia niewrażliwego na magię człowieka. Wolał przeorać nią posadzkę. Błyskawica z niepohamowaną mocą uderzyła w kamień, rozdzierając i krusząc całe połacie podłogi. W powietrzu śmignęły ostre odłamki.

Rozpędzony kawałek kamienia wielkości pięści trafił mężczyznę w ramię. Zedd, mimo potężnego grzmotu, usłyszał trzask pękających kości. Uderzenie okręciło napastnikiem i rzuciło nim o ścianę. Czarodziej wiedział już, że magia nie wyrządzi mu krzywdy, wywołał więc burzę magicznej mocy, która - zamiast bezpośrednio uderzyć w intruza - niszczyła wszystko wokół i wypełniała korytarz niosącymi śmierć odłamekami.

Napastnik pozbierał się po łupnięciu o ścianę i znów rzucił się na Zedda. Powitał go deszcz groźnych odłamków. Poszarpały go, krew trysnęła na ścianę. W jednej chwili był martwy, ciężko upadł na podłogę.

Zza wypełniającego korytarz dymu i pyłu wyskoczyli dwaj mężczyźni i rzucili się na Zedda. Według jego daru nie było ich tutaj, podobnie jak tego pierwszego.

Czarodziej cisnął kolejne błyskawice, żeby rozorać podłogę i zasypać wrogów gradem odłamków, lecz byli już za blisko. Skoczyli. Poleciał na

plecy, oni zaś upadli na niego. Unieruchomili mu ręce.

Zedd szarpał się ile sił, chciał uderzyć błyskawicą w sufit. Zaczął wzbudzać nad nimi powietrzny wir, żeby rozerwać na strzępy korytarz i ich.

Mięsista łapa przycisnęła do twarzy Zedda brudną białawą szmatę. Zachłysnął się oddechem, a wraz z powietrzem wciągnął jakiś mocny odór, od którego ścisnęło mu się gardło - ale już było za późno.

Szmata i przyciskająca ją łapa sprawiły, że Zedd nic nie widział. Świat kołował, aż mdliło.

Czarodziej walczył z ogarniającą go miękką, milczącą ciemnością, lecz w końcu stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 18

Zedd się ocknął. Mdliło go i kręciło mu się w głowie. W całym życiu nie czuł się taki chory. Nie miał pojęcia, że można odczuwać tak straszliwe mdłości, a mimo to niczego nie zwracać. Nie mógł unieść głowy. Śmierć byłaby wyzwoleniem od tej okropnej udręki.

Chciał zasłonić oczy przed rażącym je światłem, lecz przekonał się, że ręce ma związane za plecami.

- Chyba się budzi - rzekł służalczym tonem jakiś człowiek.

Czarodziej, mimo mdłości, instynktownie starał się wyczuć za pomocą daru, ilu ludzi go otacza. Jednak z jakiegoś powodu dar, zwykle reagujący równie szybko jak myśl, oczy czy uszy, był powolny i oporny, jakby ugrzązł w czymś lepkiem. Zedd doszedł do wniosku, że to skutki działania tej paskudnej substancji, którą nasączyli przytkniętą do jego twarzy szmatę. Udało mu się wszakże wyczuć, że towarzyszy mu tylko jedna osoba.

Krzepkie dłonie złapały go za szaty i postawiły na nogi. Zedd pozwolił sobie zwymiotować. Wbrew oczekiwaniom nic takiego się nie stało. Przed zamglonymi oczami wirowała mu ciemna noc. Dostrzegał na tle nieba sylwetki drzew, gwiazdy, wyniosły kontur wieży.

Nagle w powietrzu zapłonął jęczyczek ognia. Zedd zamrugał, chroniąc oczy przed nieoczekiwanym blaskiem. Niewielki, chwiejący się leniwie płomień unosił się nad otwartą dłońią kobiety o sztywnych siwych włosach. W mrokach czarodziej dostrzegł innych ludzi - jego dar się mylił. I oni, jak napstnik, musieli być całkowicie niewrażliwi na magię.

Stojąca przed nim kobieta bacznie mu się przyglądała. Jej twarz wykrzywiła się w grymasie usatysfakcjonowanej odrazy.

- No, no, no - odezwała się protekcjonalnie z uciechą. - Sam wielki czarodziej się ocknął.

Zedd milczał. Wyglądało na to, że ją to bawi. Groźny mars i garbaty nos, oświetlone płomykiem znad dłoni, podpłynęły bliżej.

- Teraz jesteś nasz - syknęła.

Czarodziej, czekający cierpliwie i zbierający się w sobie, zdecydował się nagle sięgnąć umysłem do daru, w głąb duszy, żeby równocześnie przywołać błyskawicę, zogniskować tak powietrze, żeby przecięło ją na pół, i

zgromadzić wszystkie pobliskie kamienie i kamyki, by zgnieść ją kamiennym gradem. Oczekiwał, że noc zapłonie od mocy, którą wyzwolił.

Nic się nie stało.

Nie marnował czasu na zastanawianie się nad przyczyną, zrezygnował z prób zaspokojenia swoich upodobań i uznał, że wystarczy, jak pochłonie ją ogień czarodzieja.

Nic się nie stało.

Nie tylko nic się nie stało, ale i wyglądało to tak, jakby owe próby były jedynie kamykiem spadającym w bezdenną, mroczną studnię. Wszelką nadzieję zgasiło to, co odkrył w swoim wnętrzu - straszliwą pustkę.

Zedd miał wrażenie, że nawet gdyby jego życie od tego zależało, nie mógłby, tak jak ona, rozpaść ognia ponad wnętrzem dłoni. W jakiś sposób pozbawiono go możliwości korzystania z magicznej mocy, zostawiając wyłącznie mglistą jej świadomość. Pewnie to utrzymujące się skutki działania tej cuchnącej substancji, którą pozbawili go przytomności.

Skoro nie panował nad własną mocą, zrobił to, co mu pozostało - splunął kobiecie w oczy.

Natychmiast z całej siły trzasnęła go w twarz; jej podwładni nie zdołali go utrzymać. Runął na ziemię bezwładnie, nie mogąc się podeprzeć rękami. Leżał tak jakiś czas - w uszach mu dzwoniło po tym ciosie - i czekał, aż ktoś go zabije.

Ale znowu postawili go na nogi. Jeden z mężczyzn złapał go za włosy i szarpnął w górę jego głowę, zmuszając, żeby spojrzeć kobiecie w twarz. Gniewny grymas na pewno już bardzo dawno zadomowił się na jej twarzy.

Plunęła na niego.

Zedd się uśmiechnął.

- O, mamy tu rozpuszczone dziecko, które oddaje wet za wet.

Stęknął z bólu, który nagle skręcił mu wnętrzości. Gdyby ci ludzie nie trzymali go pod ramiona, zgiąłby się wpół i padł na ziemię. Nie bardzo wiedział, jak to zrobiła - zapewne magiczną powietrzną pięścią. Dość luźno splotła powietrze, bo inaczej rozdarłoby go na pół. A tak będzie miał na brzuchu potężny siniak.

Długo trwało, nim znów mógł zaczerpnąć powietrza. Mężczyźni, których według jego daru tam nie było, ustawili go prosto.

- Jestem rozczarowany odkryciem, że znajduję się w rękach czarodziejki,

której nie stać na nic więcej - zadrwił Zedd.

Do gniewnego grymasu dołączył uśmiech.

- Nie martw się, czarodzieju Zoranderze. Jego Ekscelencji ogromnie zależy na twojej kościstej osobie. A jego zabawę na pewno uznasz za pomysłową. Nauczyłam się, że Jego Ekscelencja nie ma sobie równych w wymyślnym okrucieństwie. Jestem przekonana, że cię nie zawiedzie.

- To po co tu jeszcze tkwimy? Nie mogę się doczekać, żeby zamienić słówko z Jego Ekscelencją.

Jej ludzie przytrzymali mu głowę, a kobieta przesunęła paznokciem po policzku i gardle Zedda - nie dość mocno, żeby zadrapać do krwi, lecz wystarczająco, by dać mu poznać własne powściągane okrucieństwo. Znów się ku niemu nachyliła. Uniosła brew w sposób, który przyprawił Zedda o zimny dreszcz.

- Coś mi się wydaje, że masz wzniosłe pomysły co do owego posłuchania, tego, co wówczas zrobisz lub powiesz.

Wyciągnęła rękę i zaczęła palec o coś na jego szyi. Szarpnęła za to, a Zedd zdał sobie sprawę, że nosi jakąś obrożę. Tak mu się wpiła w skórę, że musiała być z metalu.

- Zgadnij, co to takiego - odezwała się. - No, zgadnij.

Zedd westchnął.

- Ale z ciebie nudna baba. Pewnie to często słyszałaś.

Zignorowała drwinę, chcąc jak najszybciej przekazać mu złe wieści. Jej naburmuszony uśmieшек rozszerzył się.

- To Rada'Han.

Zedd się zaniepokoił, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Ach tak. - Teatralnie ziewnął ze znużeniem. - No cóż, nie spodziewałem się, że kobieta z twoim ograniczonym intelektem wymyśli coś lepszego.

Trafiła go kolanem w krocze. Zedd zgiął się z bólu i nie zdołał stłumić jęku. Nie spodziewał się czegoś tak prostackiego.

Jej ludzie ustawili go prosto, nie zostawiając czasu na pozbieranie się. Z bólu aż się zakrztusił oddechem. Zaciskał zęby, łzy napływały mu do oczu, kolana uginały się pod nim - ale tamci trzymali go krzepko.

Jej uśmieшек zaczynał mu działać na nerwy.

- No i widzisz, czarodzieju Zoranderze? Pomysłowość wcale nie jest

potrzebna.

Zedd wiedział, o co jej chodzi, lecz zmilczał.

Już przygotowywał się do usunięcia z szyi tej przeklętej obroży. Kiedyś był „pojmany” - przez samą Ksienię - i miał na szyi Rada’Han niczym jakiś urodzony z darem chłopaczek, którego należało wyszkolić. Siostry Światła zakładały takim chłopcom obrożę, żeby dar nie wyrządził im krzywdy, zanim nauczą się go kontrolować. Richarda też pojmano i założono mu obrożę, kiedy ujawnił się jego dar.

Obroża służyła również do kontrolowania młodych czarodziejów, do zadawania im bólu, kiedy Siostry Światła uznały, że to konieczne. Zedd pojmował, dlaczego Ksieni potrzebowała pomocy Richarda - wiedzieli, że ma wrodzony dar obu magii, no a poza tym niepokoiły ich dybiące na niego złe moce - ale nigdy jej nie wybaczy, że założyła chłopakowi obrożę. Czarodziej powinien być szkolony przez czarodzieja, a nie przez takie stadko niedoinformowanych gąsek jak Siostry Światła.

Chociaż Ksieni nie łudziła się, że wyszkolą Richarda na czarodzieja. Założyła mu obrożę, żeby zdemaskować wśród swojej trzódki zdrajczynię - Siostry Mroku.

A Zedd, w przeciwieństwie do Richarda, wiedział, jak się pozbyć z szyi tego paskudztwa. Już to zrobił - gdy Ksieni założyła mu obrożę, żeby zmusić go do współpracy.

Czarodziej wykorzystał magię, by zbadać zatrząsk - nie otwarcie, żeby ta kobieta niczego nie zauważyła, lecz na tyle, żeby znaleźć ów punkt zaklęcia, w którym będzie mógł zogniskować moc i otworzyć magiczny zamek. Pozbędzie się obroży, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, kiedy całkowicie odzyska siły, kiedy przestanie mu się kręcić w głowie. I w tej samej chwili, zanim ta kobieta się zorientuje, co się stało, spopieli ją ogniem czarodzieja.

Znów zaczęła palec za obrożę, szarpnęła.

- Problem w tym, mój drogi czarodzieju, że spodziewałam się, iż człowiek tak sławny ze swojej mocy będzie wiedzieć, jak się tego pozbyć.

- Naprawdę? Jestem sławny? - Zedd błysnął ku niej uśmiechem. - Jakie to miłe.

Uśmiechnęła się z pogardą i lekceważeniem. Przyciągnęła go za obrożę do swej wykrzywionej twarzy. Pomięła milczeniem jego uwagę i dodała:

- Ponieważ Jego Ekscelencja byłby ogromnie niezadowolony, gdybyś się

pozbył obroży, zastosowałam środki, które temu zapobiegną. Zabezpieczyłam zatrask magią subtraktywną.

Oooo, to już kłopot.

Skinęła głową trzymającym go ludziom. Zedd spojrzał na nich i po raz pierwszy zauważył, że mają wilgotne oczy. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że płaczą. Mimo to wykonali jej rozkaz - bezceremonialnie podnieśli go i cisnęli na wóz, jakby był wiązką drewna na opał.

Zedd wylądował obok kogoś.

- Rada cię widzę żywym, stary - wychrypiał cichy głos.

To była Adie. Policzek miała opuchnięty i zakrwawiony.

Wyglądało na to, że zatłukli ją niemal na śmierć. Też miała ręce związane za plecami. Zobaczył na jej policzkach łzy. Serce mu pękało, kiedy widział ją taką pobitą.

- Co ci zrobili, Adie?

Uśmiechnęła się.

- Nie tyle złego, ile mieli zamiar.

W słabym blasku latarni ujrzał, że i ona ma na szyi tę ohydłą obrożę.

- Twoja potrawka była przepyszna.

Adie jęknęła.

- Błagam, stary, nie wspominaj mi teraz o jedzeniu.

Zedd ostrożnie obrócił głowę i zobaczył, że z boku czeka w mrokach nocy jeszcze kilku ludzi. Byli za nim, więc ich wcześniej nie zauważył. A jego dar nie ostrzegł go o ich obecności.

- Myślę, że wpadliśmy w poważne tarapaty - szepnął.

- Naprawdę? - wychrypiała Adie. - A co ci podsunęło tę myśl?

Zedd wiedział, że chce go sprowokować do uśmiechu, lecz nie potrafił się do tego zmusić.

- Przepraszam, Zeddzie.

Kiwnął głową, na ile zdołał, leżąc na boku ze związanymi z tyłu rękami.

- Myślałem, że jestem taki przebiegły, zastawiając wszystkie pułapki, jakie mi przysły do głowy. Niestety, takie pułapki są bezużyteczne wobec tych, na których magia nie działa.

- Przecież nie mogłeś o tym wiedzieć - starała się go pocieszyć Adie.

Ogarnęło go rozgoryczenie.

- Powinienem brać to pod uwagę, skoro wiosną zetknęliśmy się z tamtą

w Pałacu Spowiedniczek. Powinienem zdawać sobie sprawę z takiego zagrożenia. - Zapatrzył się w ciemność. - Nie lepiej przysłużyłem się naszej sprawie niż zwykły głupiec.

- Ale skąd oni wszyscy się wzięli? - Mało brakowało, żeby wpadła w panikę. - W całym moim życiu nie spotkałam ani jednej takiej osoby, a teraz jest tutaj cała ich grupa.

Zeddowi zaniepokojenie Adie sprawiało przykrość. Jedynie po odgłosach poznawała obecność tamtych. On przynajmniej ich widział, chociaż nie wyczuwał darem.

Stali wokół ze zwieszonymi głowami, czekając na rozkazy. Wcale nie wyglądali na zadowolonych z tego, co się działo. Pewnie mieli około dwudziestu lat. Wielu płakało. Dziwnie było widzieć łzy w oczach takich wielkoludów. Zedd prawie żałował, że zabił jednego z nich. Prawie.

- Wy trzej - warknęła kobieta do czekających w mroku mężczyzn, biorąc latarnię od jednego z nich i przenosząc do niej płomyk znad swojej dłoni - do środka i zaczniecie przetrząsanie.

Adie z powagą spojrzała na Zedda swoimi białymi oczami.

- Siostra Mroku - wyszeptała.

A teraz mieli więź.

ROZDZIAŁ 19

A skąd wiesz, że widziałaś Siostrę Mroku? - zapytała z roztargnieniem Verna, maczając pióro w atramencie.

Postawiła swoje inicjały pod prośbą o przysłanie jednej z Sióstr do miasta na południu, żeby omówiła z tamtejszą czarodziejką plany owego regionu. Papierkowa robota urzędu Ksieni dopadła ją nawet w terenie. Ich pałac zniszczono. Prorok grasował na wolności, a prawdziwa Ksieni ścigała go samotnie; niektóre z Sióstr Światła zaprzedały dusze Opiekunowi zaświatów, wskutek czego o krok zbliżył się do osiągnięcia swojego celu: pogrążenia wszystkich na wieczność w ciemnościach; spora liczba Sióstr - tak Światła, jak i Mroku - znalazła się w okrutnych rękach wroga i wykonywała jego rozkazy; zniknęła bariera oddzielająca Stary Świat od Nowego; cały świat został przewrócony do góry nogami; Richard Rahl, jedyny człowiek, który według proroctwa miał szansę pokonać Imperialny Ład, był nie wiadomo gdzie i nie wiadomo czym się zajmował - a papierkowa robota przetrwała to wszystko i zadrezczała Verne.

Niektóre z pomocnic Verny zajmowały się i papierkową robotą, i licznymi prośbami, ale Ksieni - chociaż nie lubiła takich nudziarstw - uważała, że jest zobowiązana to wszystko nadzorować. Poza tym papierkowa robota, chociaż tak irytująca, zaprzętała jej myśli i nie pozwalała na rozważania o tym, co by mogło być.

- W końcu - dodała Verna - równie dobrze mogła to być Siostra Światła. Jagang wykorzystuje zdolności magiczne tak jednych, jak i drugich. Nie możesz mieć całkowitej pewności, że to była Siostra Mroku. Przez całą zimę i wiosnę wysyłał Siostry ze zwiadowcami.

Mord-Sith oparła pięści o małe biurko i nachyliła się.

- Mówię ci, Ksieni, że to była Siostra Mroku.

Właściwie nie miało to znaczenia, więc Verna nie zamierzała się sprzeczać.

- Skoro tak twierdzisz, Rikko.

Verna odłożyła pismo i zajęła się kolejnym ze stosu: prośbą o przysłanie Siostry, która opowiedziałaby dzieciom o powołaniu Sióstr Światła i wyłożyła, dlaczego Stwórca jest po ich stronie, a przeciwko Imperialnemu

Ładowi. Ksieni uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak Zedd wściekłby się na samą myśl, że w Nowym Świecie Siostra będzie się wypowiadać na takie tematy.

Rikka cofnęła pięści z biurka.

- Tego się właśnie spodziewałam.

- No to się doczekałaś - mruknęła Verna, czytając następne wieści z południa. Siostry Światła pisały o przejściach przez góry i sposobach ich zablokowania.

- Nie ruszaj się stąd - burknęła Rikka i wypadła z namiotu.

- Nigdzie się nie wybieram - westchnęła Verna, przeglądając wyliczenie, ale wybuchowej blondynki już nie było.

Przed namiotem rozległ się podniesiony głos. To Rikka komuś urągała. Mord-Sith była niepoprawna. I pewnie dlatego Verna ją - mimo wszystko - lubiła.

Od śmierci Warrena Ksieni właściwie do niczego nie miała serca. Robiła, co musiała, wykonywała swoje obowiązki, lecz czuła wyłącznie rozpacz. Człowiek, którego kochała, za którego wyszła, najcudowniejszy człowiek na świecie... odszedł. I nic już nie miało znaczenia.

Verna starała się wykonywać swoją część, robić to, co konieczne, ponieważ tak wielu ludzi na nią liczyło. Jednak, prawdę mówiąc, zapracowywała się niemal na śmierć tylko po to, żeby zająć czymś umysł, żeby myśleć o czymś innym niż o Warrenie. Tak naprawdę to się nie udawało, lecz trwała przy swojej metodzie. Wiedziała, że ludzie na nią liczą, ale w gruncie rzeczy na wszystko zobojętniała.

Warren odszedł. Straciła to, co było dla niej najważniejsze. Życie stało się puste. I to był kres wszystkiego, już nic nie miało znaczenia.

Odruchowo wyciągnęła z pasa swoją książkę podrózną. Nie wiedziała, dlaczego właściwie to zrobiła - może przyczyną było to, że już dość dawno temu sprawdzała, czy nie ma w niej wieści od prawdziwej Ksieni. Odkąd Kahlan oskarżyła ją o całe zło, które się wydarzyło, zarzuciła jej, że doprowadziła do wojny, Ann przeżywała ciężkie chwile zwątpienia. Verna była zdania, że Kahlan w większości się myliła, lecz aż za dobrze rozumiała, dlaczego Spowiedniczka obciążała Ann winą za wszelkie życiowe komplikacje. Sama przez jakiś czas tak uważała.

Kartkowała książkę i mignęła jej nowa wiadomość.

Do namiotu wpadła Rikka. Cisnęła na biurczko Verny - na stos pism - ciężki worek.

- Masz! - oznajmiła pełnym pasji głosem.

Verna podniosła wzrok i dopiero teraz zauważyła, jak dziwnie Rikka jest ubrana. Rozdziawiła usta. Mord-Sith nie była, jak zwykle, w obcisłym czerwonym uniformie, który w chwilach odpoczynku zmieniały na brązowy. Verna nigdy nie widziała dziewczyny w innym stroju niż któryś z tych skórzanych uniformów.

Tymczasem Rikka była w sukni.

Verna w życiu się tak nie zdumiała. Bo nie była to jakaś zwyczajna sukienka, lecz różowa szatka w której żadna szanująca się kobieta w wieku Rikki - pewnie dobrze po dwudziestce lub tuż po trzydziestce - za nic by się nie pokazała. Głęboki dekolt odsłaniał obfity biust. Bliźniacze wzgórki były wypchnięte do góry i niemal się wylewały z wycięcia. Verna dziwiła się, że brodawki nadal skryte są pod sukienką, chociaż gniewny oddech Rikki wysoko unosił obie piersi.

- I ty też? - prychnęła Mord-Sith.

Verna spojrzała wreszcie w gorejące niebieskie oczy tamtej.

- Co ja też?

- Ty też nie możesz oderwać wzroku od moich piersi?

Verna poczuła, że pąsowieje. Pogroziła Mord-Sith, jakby to był rumieniec oburzenia.

- Dlaczego paradujesz w takiej sukni w wojskowym obozie?! Wśród tych wszystkich żołnierzy?! Wyglądasz jak dziwka!

Skórzane uniformy sięgały aż pod szyję, lecz były tak obcisłe, że niewiele zostawiały wyobraźni. Jednak widok jej obnażonego biustu był czymś zupełnie innym i dość szokującym.

Verna patrzyła teraz w twarz Rikki, więc w końcu dostrzegła, że Mord-Sith rozplotła warkocz. Długie blond włosy spływały swobodnie. Ksieni nie widziała jeszcze Mord-Sith paradującej publicznie z włosami nie splecionymi w warkocz, symbol ich profesji.

Nawet widok odsłoniętego biustu nie szokował tak, jak te rozpuszczone włosy. Verna uznała, że to właśnie za ich sprawą Rikka wygląda wyzywająco. Chociaż nie była w stanie zaakceptować profesji wyspecjalizowanej w zadawaniu tortur, odnosiła wrażenie, że owe rozpuszczone włosy mają w

sobie coś świętokradczego.

Przypomniła sobie, że poprosiła jedną z Mord-Sith, Carę, aby zadała jak największy ból młodemu człowiekowi, który zamordował Warrena. I przesiedziała całą noc, słuchając, jak chłopak wrzeszczy w udreće. Cierpiał potwornie, ale i tak zbyt mało.

Zastanawiała się niekiedy, czy Opiekun zaświatów nie szykuje dla niej czegoś paskudnego za to, co zrobiła. Nie dbała o to; gotowa była zapłacić każdą cenę.

Uznała poza tym, że gdyby miała zostać potępiona za słuszną karę, którą wymierzyła owemu człowiekowi, to cała koncepcja sprawiedliwości okazałaby się chybiona i nie miałyby znaczenia, czy się żyje według dobrych czy złych zasad. Właściwie w przyszłym życiu powinna zostać nagrodzona za sprawiedliwą karę, jaka spadła na tę amoralną bestię, i spędzić wieczność w blasku chwały Stwórcy z dobrym duchem Warrena - bo inaczej okaże się, że sprawiedliwość nie istnieje.

Do namiotu z dłońmi zaciśniętymi w pięści wszedł generał Meiffert i zatrzymał się obok Rikki. Kiedy zobaczył siedzącą za biurkiem Verne, odgarnął do tyłu jasne włosy i wyraźnie ochłonął.

To właśnie on kazał stolarzom zbić dla niej owo biurko ze szczątków mebli znalezionych na opuszczonej farmie. Nie przypominało, rzecz jasna, biurka z Pałacu Proroków, lecz kryło w sobie więcej troski i dbałości niż najwspanialszy pozłacany mebel. Generał Meiffert był dumny z tego, że jej się spodobało i dobrze służyło.

Żołnierz przyjrzał się sukni i włosom Rikki.

- O co chodzi?

- Nie wiem za dobrze - odparła Verna. - O którąś z Sióstr Jaganga na zwiadach na przełęczy.

Rikka skrzyżowała gołe ramiona na prawie obnażonych piersiach.

- Nie „którąś” z Sióstr, ale o Siostrę Mroku.

- Jagang całą zimę wysyłał Siostry na przespiegi na przełęcze - stwierdził młody generał. - Ksieni zastawiła pułapki i osłony. - Wyraźnie się zatroskał. - Twierdzisz, że jedna z nich się przedostała?

- Nie. Informuję was, że zapolowałam na nich.

- O czym ty mówisz? - Verna się zachmurzyła. - Pół tuzina Mord-Sith straciliśmy w podobnych próbach. A kiedy znalazłyście głowy dwóch

towarzystek zatknięte na piki, sama Matka Spowiedniczka zakazała wam narażać życie w takich nieskutecznych wyprawach.

Rikka wreszcie się uśmiechnęła. Był to ten rodzaj pełnego satysfakcji uśmiechu, który - zwłaszcza na twarzy Mord-Sith - zsyłał koszmarne sny. - Czy to jest „nieskuteczność”? - Wyciągnęła z worka ludzką głowę. Trzymając ją za włosy, podsunęła Vernie przed oczy. Potem odwróciła się i potrząsnęła głową przed twarzą generała Meifferta, a w końcu z rozmachem odłożyła łup na biurko. Na raporty zaczęła się sączyć krzepnąca krew. - Jak mówiłam, Siostra Mroku.

Verna rozpoznała tę twarz mimo wykrzywającego ją śmiertelnego grymasu. Rikka miała rację, to była Siostra Mroku. Ale skąd Mord-Sith wiedziała, że to Siostra Mroku, a nie Światła?

Ksieni słyszała odgłos kopyt mijających namiot wierzchowców. Niektórzy żołnierze głośno witali powracających z patroli. Z dala słychać było rozmowy, wydawane rozkazy. Niczym dźwięk dzwonów niosły się uderzenia młotów o stal, kiedy rozżarzony metal przekuwano w to, co było potrzebne do naprawy ekwipunku. W pobliskim ogrodzeniu brykały konie. Podzwaniał ekwipunek mijających namiot żołnierzy. Ogień trzaskał, kiedy dorzucano drewno przy gotowaniu, lub ryczał, kiedy miechy pracowały w polowych kuźniach.

- Dotknęłaś jej Agielem? - spytała cicho Verna. - Agiel nie jest w pełni skuteczny wobec tych, których kontroluje Nawiedzający Sny.

Uśmiech Rikki stał się szelmowski. Rozłożyła ramiona.

- Agielem? A widzisz jakiś Agiel?

Ksieni wiedziała, że żadna Mord-Sith nie pozbyłaby się swojego Agiela. Zerknęła na dekolt tamtej; mogła sobie wyobrazić, gdzie go schowała.

- No dobrze - odezwał się generał Meiffert już bez pobłażliwości. - Chcę wiedzieć, co się dzieje, i to natychmiast.

- Byłam w pobliżu Przełęczu Dobbina, rozglądałam się, no i cóż zauważyłam, jak nie patrol Imperialnego Ładu.

Generał skinął głową i westchnął z irytacją.

- Od czasu do czasu przychodzą tamtędy. Ale jak ci się udało trafić na taki nieprzyjacielski patrol? Dlaczego któraś z naszych Sióstr wcześniej go nie wyczuła?

Rikka wzruszyła ramionami.

- Ten patrol był po drugiej stronie przełęczy. Na tej opuszczonej farmie. - Dotknęła czubkiem buta biureczka Verny. - Tej, z której wzięliście na to drewno.

Verna skrzywiła się z niezadowoleniem. Rikka nie powinna przekraczać przełęczy. Jednak Mord-Sith przyjmowały rozkazy wyłącznie od samego lorda Rahla. Rikka tylko dlatego wykonywała swego czasu rozkazy Kahlan, że ta działała w imieniu nieobecnego Richarda. A Verna podejrzewała, że powód jest inny: Mord-Sith spełniały polecenia Matki Spowiedniczki, bo była żoną lorda Rahla i gdyby się jej sprzeciwiły, osiągnąłby je jego gniew. I tak zresztą wykonywały polecenia tylko wtedy, kiedy stwierdziły, że nie będą miały złych następstw. W przeciwnym razie robiły to, co uznały za słuszne.

- Siostra była sama - podjęła Rikka. - Dręczył ją okropny ból głowy.

- Jagang - odezwała się Verna. - Jagang był w jej umyśle. Wydawał rozkazy, karał ją za coś lub napominał. Robi tak od czasu do czasu. To nie jest przyjemne.

Mord-Sith pogładziła włosy głowy tkwiącej na biurku Verny i zapaskudzającej raporty.

- Biedactwo - zadrwiła. - Kiedy siedziała pośród sosen, gapiąc się w przestrzeń i przyciskając palce do skroni, jej ludzie zabawiali się na farmie z dwiema młodymi kobietami. Obie piszczały, krzyczały i szarpały się, ale oni nic sobie z tego nie robili.

Verna spuściła oczy i ciężko westchnęła. Niektórzy nie chcieli uwierzyć, że należy uciec, zanim nadciągnie Imperialny Ład.

Czasem, kiedy ludzie nie chcą uwierzyć, że zło istnieje, nagle muszą stawić czoło temu, w czego istnienie woleli nie wierzyć.

Rikka znów się uśmiechała z zadowoleniem.

- Weszłam tam i zajęłam się dzielnymi żołnierzami Imperialnego Ładu. Byli tacy zaabsorbowani, że nawet nie zauważyli, kiedy się za nimi znalazłam. Kobiety były tak przerażone, że się darły, chociaż je ratowałam. Siostra ani przedtem, ani potem nie zwracała jednak uwagi na wrzaski. Jedna z tych kobiet była blondynką o figurze podobnej do mojej, no i wpadłam na pewien pomysł. Włożyłam jej suknię i rozpuściłam włosy, żeby można mnie było z nią pomylić, a dziewczynie dałam trochę ciuchów tamtych i kazałam się w nie ubrać. Następnie powiedziałam obu, żeby uciekały na wzgórze naprzeciw Siostry i nie oglądały się za siebie. Nie

musiałam im tego dwa razy powtarzać. No i potem usiadłam sobie na stołku przed stodołą. Po chwili zjawiała się Siostra. Zobaczyła, jak siedzę ze zwieszoną głową; a jeszcze udawałam, że płaczę. Pomyślała, że ta druga nadal jest w środku, z żołnierzami. Powiedziała: „Czas, żeby ci głupcy skończyli z tobą i z twoją przyjaciółką. Jego Ekscelencja żąda raportu, i to natychmiast. Jest gotów do wymarszu”.

Verna aż wstała.

- Słyszałaś, jak to powiedziała?

- Tak.

- I co potem? - spytał generał Meiffert.

- Potem ruszyła do bocznego wejścia do stodoły. Kiedy mnie zamaszycie minęła, wstałam i podciąłam jej gardło nożem jednego z żołnierzy.

Generał pochylił się ku Rikce.

- Podcięłaś jej gardło? Nie użyłaś Agiela?

Mord-Sith spojrzała na niego tak, jakby uznała, że w ogóle nie słuchał.

- Jak to już powiedziała Ksieni, Agiel niezbyt działa na tych, których kontroluje Nawiedzający Sny. Więc użyłam noża. Nawiedzający Sny Nawiedzającym Sny, a podcięcie gardła było skuteczne. - Znów złapała głowę za włosy i podsunęła Vernie; przykleił się do niej jeden z raportów. - Przecięłam jej szyję na dobre. Trochę się rzucała, więc ją mocno trzymałam, kiedy umierała. I nagle na chwilę zrobiło się całkiem ciemno, świat zrobił się tak czarny jak serce Opiekuna. Jakby nagle otoczyły nas zaświaty.

Verna odwróciła wzrok od głowy Siostry, którą znała od bardzo dawna i zawsze uważała za oddaną Stwórcy i chwale życia. A okazało się, że wybrała śmierć.

- Opiekun przybył po jedną ze swoich - wyjaśniła cicho.

- No cóż - stwierdziła Rikka, zdaniem Verny, dość sarkastycznie - nie sądziłam, że coś takiego się dzieje, kiedy umiera Siostra Światła. Powiedziałam ci więc, że to była Siostra Mroku.

- Powiedziałaś - potwierdziła Ksieni.

Generał Meiffert klepnął Mord-Sith w łopatkę.

- Dziękuję, Rikko. Lepiej powiadomię innych. Jeżeli Jagang ruszy, to wkrótce tu będzie. Musimy się upewnić, że przełęcz są przygotowane dla jego armii.

- Przełęcz wytrzymają - odezwała się Verna i westchnęła bezgłośnie. -

Przynajmniej jakiś czas.

Jeżeli Ład chciał podbić D'Hareę, musiał przebyć góry. Przecinały je nieliczne przełęcze. Verna i Siostry zablokowały je i zapieczętowały na wszelkie możliwe sposoby. Zakłęciami zesłały lawiny skalne, całkowicie tarasując niektóre wąskie drogi. W innych miejscach za pomocą magii rozszczepiły przejścia wykute w stromych zboczach gór - teraz można się było przedostać wyłącznie po gruzowisku. Żeby temu zapobiec, żołnierze całą zimę budowali i na tych, i na innych przejściach kamienne przegrody. Na szczycie owych murów znajdowały się umocnienia, z których mogli zsyłać śmierć na tych, którzy znaleźliby się w dole. Poza tym w każdym z tych miejsc Siostry zastawiły tak śmiertelne magiczne pułapki, że napastników czekała krwawa łaźnia, jeszcze zanim dotrą pod mury z obrońcami na szczycie.

Jagang i Siostry Mroku starali się zniszczyć tak magiczne, jak i kamienne przeszkody, lecz Verna miała potężniejszą od nich moc magii addytywnej. Poza tym łączyła swoją moc z mocą pozostałych Sióstr, żeby przydać owym barierom zaiste groźnej i straszliwej magii.

Ale Jagang i tak nadejdzie. Żadne wysiłki Ksieni, jej Sióstr ani d'harańskiej armii nie powstrzymają mrowia, które imperator na nich rzuci. Nawet gdyby musiał rozkazać swoim ludziom, żeby przeszli po wypełniających przełęcze zwłokach towarzyszy, to się przed tym nie cofnie. Nie miałyby dlań znaczenia, czy warstwa ciał liczyłaby sto czy może i tysiąc stóp.

- Wrócę za chwilę - powiedział generał. - Musimy zebrać oficerów i kilka Sióstr i upewnić się, że wszystko gotowe.

- Tak, oczywiście - rzekła Verna.

Meiffert i Rikka ruszyli ku wyjściu.

- Rikko! - zawołała Ksieni i wskazała na biurko. - Zabierz drogą zmarłą Siostrę, dobrze?

Mord-Sith westchnęła, a piersi omal nie wyskoczyły jej z dekoltu. Przybrała cierpienniczą minę, złapała głowę i zniknęła za generałem.

Verna usiadła, wsparła głowę na dłoniach. Wszystko znowu się zaczęło. To była długa i spokojna, chociaż mroźna zima.

Jagang stanął na zimę obozem po drugiej stronie gór, na tyle daleko, że przy tym mrozie i śniegach trudno było robić skuteczne wypadki przeciwko

jego wojskom. Teraz zaś, jak minionego lata, lata śmierci Warrena, pogoda zaczęła sprzyjać i Ład ruszy. Wszystko zaczyna się na nowo. Zabijanie, groza, walka, ucieczka, głód, wyczerpanie.

Jednak czyż był inny wybór, niż dać się zabić? Z rozmaitych przyczyn życie zaczęło się wydawać gorsze od śmierci.

Verna przypomniała sobie zniecka o książce podróżnej. Wyciągnęła ją z kieszeni w pasie, przysunęła lampę. Zastanawiała się, gdzie też są Richard i Kahlan, czy są bezpieczni. Pomyślała też o Zeddzie i Adie, we dwoje strzegących Wieży Czarodzieja. Przynajmniej oni - Zedd i Adie - byli bezpieczni i spokojni, choćby na krótko. D'Hara wcześniej czy później padnie, a wtedy Jagang powróci do Aydindril.

Verna położyła książkę na biurku, wygładziła suknię i przysunęła bliżej krzesło. Musnęła palcami znajomą skórzaną okładkę magicznego przedmiotu liczącego ponad trzy tysiące lat. Książki podróżne swoje właściwości zawdzięczały tym samym tajemniczym czarodziejom, którzy tak dawno temu zbudowali Pałac Proroków. Każda miała swój bliźniaczy egzemplarz i dlatego były bezcenne: to, co się napisało w jednej z nich, natychmiast pojawiała się w drugiej. Dzięki temu Siostry mogły się porozumiewać bez względu na dzielącą je odległość i dowiadywać się wszystkiego od razu, a nie dopiero po tygodniach czy nawet miesiącach.

Ann - prawdziwa Ksieni - miała bliźniaczy egzemplarz książki podróżnej Verny.

Niemal dwadzieścia lat temu Ann wysłała Verne, żeby odszukała Richarda. A przecież cały czas wiedziała, gdzie Richard jest. To dlatego Verna potrafiła zrozumieć gniew Kahlan na to, że Ann wtrąca się w ich życie i wikła je. Jednak Verna w końcu pojęła, że Ksieni wysłała ją z misją o doniosłym znaczeniu, misją, która zmieniła świat, dając zarazem nadzieję na przyszłość.

Otworzyła książkę podróżną i tak ją trzymała, żeby lepiej widzieć w blasku lampy.

Verno, chyba odkryłam, gdzie się ukrywa Prorok.

Verna, zaskoczona, odchyliła się na oparcie. Po zniszczeniu pałacu Nathan, Prorok, wyrwał się spod ich kontroli i grasował na wolności, stanowiąc prawdziwe zagrożenie.

Reszta Sióstr Światła wierzyła przez ostatnie parę lat, że i Ksieni, i

Prorok nie żyją. Ann, opuszczając Pałac Proroków razem z Nathanem, sfingowała ich śmierć i ogłosiła Vernę swoją następczynią. Tylko niewielu - oprócz Verny, Zedda, Richarda i Kahlan - znało prawdę. Jednakże w trakcie tej wyprawy Nathan zdołał się pozbyć obroży i uciekł Ann. Nie wiadomo, do jakiej katastrofy może doprowadzić.

Verna znów się pochyliła nad książką podrózną.

Teraz dopadnę go już za kilka dni. Ledwie mogę uwierzyć, że wreszcie, po tak długim czasie, wpadnie mi w ręce. Wkrótce ci o tym napiszę.

Co u ciebie, Verno? Jak się czujesz? Co z Siostrami Światła? Jak sprawy wojskowe? Napisz, kiedy będziesz mogła. Co noc będę sprawdzać swoją książkę podrózną. Ogromnie mi ciebie brakuje.

Verna znów się odchyliła na oparcie. To było wszystko. Ale wystarczyło. Aż jej się zakręciło w głowie z ulgi, że Ann w końcu pochwyci Nathana.

Jednak nawet te doniosłe wieści nie poprawiły jej nastroju. Jagang gotował się do ataku na D'Hare, Ann wreszcie znów miała odzyskać kontrolę nad Nathanem - lecz Richard był gdzieś daleko na południu, poza ich zasięgiem. Ann przez pięćset lat tak wszystko układała, żeby Richard mógł ich poprowadzić do walki o przyszłość ludzi, a teraz, w przeddzień tego, co może się okazać rozstrzygającą batalią, nie było go z nimi.

Verna wyciągnęła rysik z grzbietu książeczki i zabrała się do odpisywania Ann.

Najdroższa Ann, obawiam się, że czekają nas niemiłe wydarzenia.

Lada moment zacznie się oblężenie przejść wiodących do D'Hary.

ROZDZIAŁ 20

Korytarze Pałacu Ludu, siedziby władz D'Hary, rozbrzmiewały odgłosami kroków po kamiennej posadzce. Ann przesunęła się trochę do tyłu na białej marmurowej ławie, na której siedziała wciśnięta między trzy kobiety i starszą parę. Wszyscy paplali o tym, w jakich strojach ludzie się przechadzają po wspaniałych holach, co inni tu porabiają, co najbardziej by chcieli zobaczyć. Ann sądziła, że to dość niewinne ploteczki, mające zapewne odwrócić ich myśli od zatroskania wojną. I tak z trudem mieściło jej się w głowie, że o tak późnej porze nie leżą w ciepłych łóżkach, lecz siedzą tu i gadają.

Opuściła głowę i udawała, że szpera w torbie podróżnej, lecz równocześnie czujnie popatrywała na przechodzący w pobliżu wojskowy patrol. Nie wiedziała, czy taka ostrożność jest konieczna, lecz wołała się o tym zbyt późno nie przekonać.

- Z dalekaś? - spytała siedząca tuż przy niej kobieta.

Ann podniosła na nią wzrok, bo uświadomiła sobie, że pytanie było skierowane do niej.

- A tak, z dość daleka - odparła i znów energicznie zaczęła szperać w torbie, licząc na to, że tamta zostawi ją w spokoju.

Kobieta - w średnim wieku o kasztanowych włosach, które właśnie zaczynały leciutko siwieć - się uśmiechnęła.

- Ja tam nie jestem aż z tak daleka i lubię od czasu do czasu spędzić noc w pałacu, żeby sobie dodać ducha.

Ann rozejrzała się. Popatrzyła na lśniące marmurowe posadzki, na błyszczące, ozdobione rzeźbionymi pnączami czerwone kolumny Pod łukami, podtrzymujące położone wyżej galerie. Spojrzała na umieszczone wysoko świetliki wpuszczające tu blask dnia. Zerknęła na posągi wokół fontanny, w której naturalnej wielkości kamienne konie biegły pośród migotliwych kropel.

- Taak, rozumiem, co masz na myśli - mruknęła Ann.

To miejsce wcale nie dodawało jej ducha. Prawdę mówiąc, czuła się tu jak kot zamknięty w psiej budzie. Czuła, jak ogromnie osłabła tutaj jej magiczna moc.

Pałac Ludu nie był zwyczajnym pałacem. Było to wybudowane na rozległym płaskowyzu całe miasto, złączone w jedną całość i nakryte licznymi dachami. W tej wspaniałej budowli mieszkały dziesiątki tysięcy ludzi, kolejne tysiące zaś codziennie ją odwiedzały. Pałac był podzielony na rozmaite poziomy: na jednych mieściły się sklepy, w których sprzedawano najróżniejsze towary, na innych pracowali urzędnicy, na jeszcze innych znajdowały się mieszkania. Wiele sektorów było niedostępnych dla zwiedzających.

U stóp płaskowyzu rozciągało się zaimprovizowane targowisko, na którym kupowano, sprzedawano i wymieniano się różnościami. Wzdłuż drogi wznoszącej się we wnętrzu płaskowyzu ku pałacowi Ann widziała wiele sklepów. Pałac był centrum handlowym, przyciągającym ludzi z całej D'Hary.

Jednak przede wszystkim był gniazdem rodzinnym dynastii Rahlów. I dlatego jego niezwykłość i wspaniałość wykraczała poza świadomość oraz zdolność zrozumienia wielu tych, którzy nazywali go domem lub odwiedzali. Pałac Ludu był zaklęciem - nie zaklętą budowlą, jak Pałac Proroków, w którym Ann spędziła większość życia, lecz sam w sobie zaklęciem.

Cały pałac zbudowano według precyzyjnego wzoru - zgodnie z liniami zaklęcia wyrysowanymi na ziemi. Zewnętrzne ufortyfikowane mury wyznaczały ogólny kształt zaklęcia, większe kompleksy komnat tworzyły istotne węzły, hole i korytarze zaś były łączącymi to wszystko liniami: istotą zaklęcia, mocą.

Hole - podobnie jak zaklęcie rysowane na ziemi - powinny powstawać w kolejności wymaganej przez tę konkretną formułę. Taka budowa, wbrew typowym zasadom i sposobom budowania, musiała być niezmiernie kosztowna, lecz tylko to stanowiło gwarancję, że zaklęcie będzie działać - i rzeczywiście działało.

To było specjalne zaklęcie. Pałac był bezpiecznym schronieniem dla każdego Rahla. Wzmacniał magiczną moc przebywającego tu Rahla i osłabiał moc innych, którzy się tu znaleźli. Ann jeszcze nigdy nie była w miejscu tak osłabiającym jej Han, samą istotę życia i zawarty w niej dar. Powątpiewała, czy w takim miejscu jak to jej Han wystarczyłaby chociaż do zapalenia świeczki.

Nagle pojęła kolejny element zaklęcia i aż otworzyła usta ze zdumienia. Rozejrzała się po pełnych ludzi holach stanowiących część linii zaklęcia.

Zaklęcia wyrysowane krwią zawsze są skuteczniejsze i mają większą moc. Ale kiedy krew wsiąknie w ziemię, rozłoży się i zniknie, wraz z nią często znika i zaklęcie. Jednak to zaklęcie, a zwłaszcza rysujące je linie - korytarze - pełne były krwi tych wszystkich ludzi, którzy w nich przebywali. Ów wspaniały pomysł wprowadził Ann w podziw.

- No, to pewnikiem wynajmujesz pokój.

Ksieni zupełnie zapomniała o siedzącej obok kobiecie, która wciąż się jej przyglądała z uśmiechem przyklejonym do umalowanych warg. Zmusiła się do zamknięcia ust.

- Hmm - przyznała w końcu - właściwie to jeszcze nie zapewniłam sobie noclegu.

Kobieta nadal się uśmiechała, ale jakby z coraz większym wysiłkiem.

- Nie możesz się zwinąć na ławce, sama rozumiesz. Strażnicy na to nie pozwolą. Musisz wynająć pokój albo usunąć cię stąd na noc.

Ann wreszcie pojęła, do czego kobieta zmierza. W oczach tych ludzi - w większości noszących najlepszą odzież - musiała wyglądać jak żebraczka. A jej obecność na pewno zaambarasowała ową kobietę, dopiero co plotkującą o strojach innych.

- Mam na pokój - zapewniła ją Ann. - Po prostu jeszcze nie wiem, gdzie się je wynajmuje. Po takiej długiej podróży chciałam tam iść od razu, oporządzić się, ale najpierw musiałam dać wytchnąć zmęczonym stopom. Możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę pokoje do wynajęcia?

Uśmiech tamtej stał się odrobinę mniej wymuszony.

- Właśnie idę do pokoju, mogę cię doprowadzić. To blisko.

- Miło z twojej strony - rzekła Ann, wstając, bo patrol odszedł korytarzem.

Kobieta też się podniosła, życzyła obu rozmówczynom dobrej nocy.

Ksieni była zmęczona, bo wbrew swej woli wzięła udział w popołudniowych modłach do lorda Rahla. Na otwartym placu zabrzmiał dzwon i wszyscy się tam zbierali, by oddać hołd. Ann zauważyła, że nikt nie próbował uniknąć modłów. Żołnierze chodzili wśród tłumu, obserwując, jak ludzie się gromadzą. Siostra czuła się jak mysz obserwowana przez jastrzębie, więc przyłączyła się do ludzi idących na plac. I niemal dwie

godziny spędziła na kolanach na twardej posadzce z płyt, jak wszyscy dotykając czołem ziemi i wraz z innymi powtarzając modły: „Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie”.

Przebywający w pałacu byli obowiązani do tych modłów dwa razy dziennie. Ann nie pojmowała, jak ci ludzie znoszą taką udrękę. Potem przypomniała sobie o więzi pomiędzy lordem Rahlem i jego ludem, chroniącej umysły przed Nawiedzającym Sny, i już wiedziała, dlaczego to znoszą. Sama była krótko branką Jaganga. Na jej oczach zamordował Siostrę, ot tak, dla przykładu.

Nic dziwnego, że wolą te modły od bestialstwa i udręki.

Jej samej nie był potrzebny taki głośno wypowiedany hołd dla lorda Rahla, dla Richarda. Była mu szczerze oddana już na jakieś pięćset lat przed jego narodzinami.

Proroctwo głosiło, że Richard jest ich jedyną nadzieją na uniknięcie katastrofy.

Ann uważnie rozglądała się po holach. Teraz był jej potrzebny Prorok we własnej osobie.

- Tędy - odezwała się kobieta, ciągnąc ją za rękaw.

Dała Ann znak, żeby poszła za nią korytarzem wiodącym w prawo. Ksieni naciągnęła szal, osłaniając tobolek, i mocniej przycisnęła torbę podróżną. Ruszyła za tamtą szerokim korytarzem. Zastanawiała się, ilu ludzi siedzących na marmurowych ławach albo na marmurowych obrzeżach fontann o niej plotkuje.

Posadzkę ułożono z ciemnobrązowych, rdzawych i jasnobrązowych płyt biegnących zygzakami, co miało sprawiać wrażenie trójwymiarowości. Ann widywała już takie tradycyjne wzory, w Starym Świecie, lecz nigdy nie były tak wspaniałe. Tu było to dzieło sztuki, chociaż zdołało zaledwie posadzkę. Wszystko w tym pałacu było piękne i wspaniałe.

Po obu stronach korytarza, pod antresolą, mieściły się sklepy. Niektóre z nich oferowały to, co się mogło przydać podróżnym. W jednych sprzedawano najrozmaitsze gotowe dania i napoje: od gorących mięsnych pasztecików po słodczyce, od piwa do ciepłego mleka. W innych nocne stroje.

W jeszcze innych - wstążki do włosów. Sporo sklepów było otwartych pomimo tak późnej pory i robiły niezły interes. W takim miejscu część osób na pewno pracowała nocą i takie sklepy były im potrzebne. Za to aż do rana zamknięto przybytki, w których układano kobietom włosy, robiono makijaż lub obiecywano dokonać cudów z paznokciami. Ann wątpiła, czy w jej przypadku zdołaliby dokonać cudu.

Powoli szły szerokim korytarzem, przyglądając się sklepom i stoiskom po obu jego stronach. Kobieta odkasznęła.

- A skądże to przybyłaś?

- Och, z południa. Z bardzo daleka. - Ann zauważyła skupioną minę tamtej, nieco ku niej pochylonej. - Moja siostra tu mieszka - dodała, dając kobiecie kolejny powód do rozmyślań. - Przyszłam ją odwiedzić. Doradza lordowi Rahlowi w ważnych sprawach.

Kobieta uniosła brwi.

- Ach tak! Doradca samego lorda Rahla. Jakież to zaszczyt dla waszej rodziny.

- Taak - rzekła przeciągle Ksieni. - Jesteśmy z niej dumni.

- A w czymże mu doradza?

- W czym doradza? Hmm, w sprawach wojny.

Tamta rozdziawiła usta.

- Kobieta??? Doradza lordowi Rahlowi co do wojaczki???

- A tak - potwierdziła Ann. Pochyliła się ku znajomej i szepnęła: - Jest czarodziejką. Zagląda w przyszłość, no wiesz. Napisała w liście, że ujrzała, jak się zjawiam w pałacu z wizytą. Czyż to nie zdumiewające?

Rozmówczyni odrobinę się zachmurzyła.

- Hmm, to niezwykle, skoro tu jesteś i w ogóle.

- Napisała mi też, że spotkam pomocną kobietę.

Tamta znów się uśmiechała, choć trochę wymuszenie.

- No, zdolności to ona ma.

- Och, nawet sobie tego nie wyobrażasz - powiedziała Ann. - Jest taka precyzyjna w tych swoich przepowiedniach.

- Naprawdę? To co jeszcze powiedziała o twojej wizycie tutaj? Coś konkretnego?

- W istocie. A wiesz, że przepowiedziała mi, że spotkam tu mężczyznę?

Kobieta rozejrzała się wokół.

- Mnóstwo tu mężczyzn. To nie jest jakaś specjalna przepowiednia. Pewnie musiała powiedzieć coś jeszcze... skoro jest taka zdolna, jest doradcą lorda Rahla i w ogóle.

Ann dotknęła palcem ust i zmarszczyła brwi, udając, że sobie z wysiłkiem przypomina.

- A tak, jak o tym napomknęłaś, to sobie przypominałam. Jak to napisała... - Poufale położyła dłoń na ramieniu kobiety. - Cały czas opowiada mi o mojej przyszłości. Moja siostra tak wiele pisze mi o mojej przyszłości, że czasem nie nadążam za własnym życiem! Niekiedy trudno mi to wszystko spamiętać.

- Och, spróbuj sobie przypomnieć - nalegała tamta, zawsze gotowa plotkować. - To takie fascynujące!

Ksieni znów dotknęła palcem dolnej wargi i zapatrzyła się w sufit, udając, że pogrąża się w myślach - i po raz pierwszy dostrzegła, że sufit wygląda jak niebo, bo namalowano nawet obłoki. Całkiem zmyślnie to wyglądało.

- Otóż - powiedziała, kiedy się upewniła, że kobieta słucha - siostra napisała, że ten mężczyzna jest stary. - Znów położyła dłoń na ramieniu rozmówczynie. - Ale bardzo wytworny. Nie wiekowy i niedołyżny, lecz wysoki, bardzo wysoki, o gęstych siwych włosach sięgających szerokich barków. Pisała, że będzie starannie ogolony, o wyrazistej, przystojnej twarzy, z przenikliwymi lazurowymi oczami...

- Lazurowe oczy... no, no - zaćwierkała tamta. - Jakież on musi być przystojny!

- I napisała jeszcze, że jak popatrzy na kobietę tym swoim jastrzębim wzrokiem, to kolana się pod nią uginają.

- No, to już jest konkretne - rzekła kobieta, rumieniąc się. - Szkoda, że nie podała imienia tego przystojnego gościa.

- Ależ podała, podała. Jaki by z niej był doradca lorda Rafla, gdyby nie potrafiła dowiadywać się takich rzeczy?

- Podała i jego imię? Naprawdę aż tak potrafi przepowiadać przyszłość???

- O tak - zapewniła ją Ann.

Jakiś czas szła w milczeniu, przyglądając się ludziom sunącym tam i z powrotem korytarzem, przystającym przy otwartych wciąż sklepach lub siedzącym na ławkach i rozmawiającym.

- No i? - nie wytrzymała wreszcie kobieta. - Jakie imię podała ci siostra? Imię tego wytwornego dżentelmena.

Ksieni znów zmarszczyła z namysłem brwi, zapatrzyła się w sufit.

- Coś na N. Nigel lub Norris, jakoś tak. Nnnie... to nie było to... - Pstryknęła palcami. - Podała imię Nathan.

- Nathan - powtórzyła kobieta z taką miną, jakby była gotowa wydusić to z Ann, gdyby ta nie zdradziła owego imienia. - Nathan.

- Otóż to. Nathan. Znasz tu, w pałacu, kogoś o takim imieniu? Jakiegoś Nathana? Wysokiego, już starszego, z długimi siwymi włosami, szerokimi barkami i lazurowymi oczami?

Kobieta, zamyślona, wbiła wzrok w sufit. Tym razem to Ann się ku niej pochyliła, w skupieniu czekając na odpowiedź.

Czyjaś dłoń złapała Ann za suknię na ramieniu i gwałtownie zatrzymała. Ann i jej znajoma się obróciły.

Za nimi stała bardzo wysoka kobieta z bardzo długim blond warkoczem, bardzo groźną miną i w bardzo czerwonym skórzanym stroju.

Towarzyszka Ann zbieła jak płótno. Rozdziawiła usta. Ann zdołała zacisnąć wargi.

- Spodziewaliśmy się ciebie - rzekła kobieta w czerwonej skórce.

Za nią, trochę dalej, stało szeregiem w poprzek korytarza dwunastu doborowych, rosnących żołnierzy we wspaniałych skórzanych pancerzach, dzierżąc nieskazitelnie wypolerowane miecze, noże i lance.

- Chyba mnie omyłkowo...

- Ja się nie mylę.

Ann była sporo niższa od blondynki w czerwonym skórzanym uniformie. Ledwie wystawała ponad żółty półksiężyc i gwiazdę na brzuchu tamtej.

- Przypuszczam, że nie popełniasz błędów. O co chodzi? - spytała Ann, porzucając pokorny ton.

- Czarodziej Rahl kazał nam cię przyprowadzić.

- Czarodziej Rahl?

- Tak. Czarodziej Nathan Rahl.

Ann usłyszała, jak jej niedawna rozmówczyni zachłystuje się oddechem. Pomyślała, że pewnie zemdleje, więc na wszelki wypadek ujęła ją za ramię.

- Wszystko w porządku, moja droga?

Tamta szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w kobietę w czerwonej

skórce, która obserwowwała ją gniewnie.

- Tak. Muszę iść. Już się spóźniłam. Muszę iść. Mogę odejść?

- Tak, lepiej już idź - rzekła wysoka blondynka.

Kobieta skłoniła się, wymamrotała „Dobranoc” i pospiesznie odeszła korytarzem. Tylko raz zerknęła przez ramię.

Ann znów spojrzała na groźną minę blondynki.

- Cieszę się, że mnie znalazłaś. Chodźmy więc do Nathana. Wybacz... do czarodzieja Rahla.

- Nie czeka cię audyencja u czarodzieja Rahla.

- Chcesz powiedzieć, że nie tego wieczoru... że nie udzieli mi dziś posłuchania.

Ksieni okazywała tyle uprzejmości, na ile zdołała się zdobyć, lecz najchętniej przyłożyłaby temu nieznośnemu typowi albo skrzyła mu kark, i to im szybciej, tym lepiej.

- Mam na imię Nyda - oznajmiła kobieta.

- Miło mi cię...

- Wiesz, kim jestem? - Nie czekała na odpowiedź Ann. - Jestem Mord-Sith. Ostrzegam cię przez grzeczność. To jedyne ostrzeżenie i jedyna grzeczność, więc słuchaj uważnie. Przybyłaś tu z wrogimi zamiarami wobec czarodzieja Rahla. Jesteś teraz moim więźniem. Wykorzystanie magicznej mocy przeciwko Mord-Sith będzie miało ten skutek, że ja lub jedna z moich siostr Mord-Sith przechwycimy ją i użyjemy przeciwko tobie. Będzie to ogromnie dotkliwy oręż.

- Cóż - odparła Ann - w tym miejscu moja moc nie jest szczególnie użyteczna. Prawdę mówiąc, nie jest warta nawet funta kłaków. Jak widzisz, jestem nieszkodliwa.

- Nie interesuje mnie, jak oceniasz użyteczność swojej magicznej mocy. Jeśli spróbujesz użyć jej choćby do zapalenia świeczki, będzie moja.

- Rozumiem - powiedziała Ann.

- Nie wierzysz mi? - Nyda pochyliła się ku niej. - Zachęcam, żebyś spróbowała mnie zaatakować. Od jakiegoś czasu nie przechwyciłam mocy żadnej czarodziejki. To by mogło być... zabawne.

- Dzięki, ale za bardzo jestem zmęczona, żeby kogoś właśnie teraz atakować. Może później?

Nyda się uśmiechnęła. Ten uśmiech zdradził Ksieni, czemu Mord-Sith

budziły taką grozę.

- Wspaniale. Zatem później.

- A co zamierzasz ze mną zrobić do tego czasu, Nydo? Umieścić w jednej ze wspaniałych pałacowych komnat?

Mord-Sith zignorowała to pytanie i lekko skinęła głową. Natychmiast przyskoczyli dwaj żołnierze z szeregu. Górowali nad Ann niczym dęby. Ujęli ją za ramiona.

- Idziemy - zakomenderowała Nyda, ruszając korytarzem na czele całej grupy.

Żołnierze karnie podążyli za nią, wlokąc ze sobą Ann. Dotykała stopami podłogi co trzeci lub czwarty krok. Ludzie w korytarzu rozstępowali się przed Mord-Sith. Przyciskali się do ścian, byle być jak najdalej od niej. Niektórzy znikali w otwartych sklepach i wyglądali przez witryny. Wszyscy wpatrywali się w pulchną kobietę w ciemnej sukni wleczoną przez dwóch pałacowych gwardzistów w gładkich, ciemnych skórach oraz w połyskujących kolczugach. Z tyłu słyszała szcęk oręża pozostałych żołnierzy.

Skręcili w boczny korytarzyk między kolumnami podtrzymującymi wysuniętą galerię. Jeden z żołnierzy skoczył naprzód, żeby otworzyć drzwi. Zanim Ann się zorientowała, wszyscy przemknęli przez małe drzwi niczym wino przez lejek.

Ten korytarz był ciemny i ciasny - zupełnie inny niż marmurowe hole oglądane przez większość ludzi. Niemal natychmiast skręcili na schody. Dębowe stopnie trzeszczały pod stopami. Niektórzy żołnierze podali do przodu latarnie, żeby Nyda mogła sobie oświetlić drogę. Odgłos kroków wracał echem z panujących poniżej ciemności.

Znaleźli się na dole i Mord-Sith poprowadziła ich przez labirynt brudnych kamiennych przejść. Z rzadka używane korytarze zalatywały stęchlizną, a miejscami i wilgocią. Dotarli do następnych schodów i ruszyli w dół wąskim szybem z podestami na każdym zakręcie - schodzili w mroczne zakamarki Pałacu Ludu. Ann zastanawiała się, iluż to ludzi w przeszłości schodziło takimi przejściami, żeby już nigdy się stąd nie wydostać. Tak ojciec Richarda, Rahl Posepny, jak i jego dziadek, Panis, bardzo lubili torturować. Dla takich jak oni życie nic nie znaczyło.

Richard to wszystko odmienił.

Ale teraz Richarda nie było w pałacu. Był Nathan.

Znała Nathana od bardzo dawna - niemal tysiąc lat. Przez większość owego czasu, jako Ksieni, trzymała go w zamknięciu w jego pałacowych apartamentach. Prorocy nie mogli grasować na wolności. Jednak teraz ten jeden był wolny. I, co gorsza, zdołał przejąć władzę nad pałacem - rodzowym gniazdem dynastii Rahlów. Był przodkiem Richarda. Rahlem. Czarodziejem.

Wszystkie zamierzenia Ann okazały się nagle bardzo niemądre. Zaskoczyć Proroka, pomyślała. Zaskoczyć go i zatrzasnąć mu na szyi obrozę. Na pewno trafi się jakaś okazja i znów dostanie się pod jej władzę.

Wtedy brzmiało to całkiem sensownie.

U stóp długich schodów Nyda skręciła w prawo, na wąski kamienny chodnik. Z prawej strony ograniczony był strzelającą w górę kamienną ścianą, a z lewej żelazną barierką. Ann zerknęła poza barierkę, lecz w blasku latarni ujrzała jedynie leżącą w dole atramentową ciemność. Aż się bała pomyśleć, jaka tam musi być głębia - nie żeby przychodziło jej do głowy walczyć z porywaczami, po prostu zaczęła się obawiać, że mogą ją wyrzucić za barierkę i raz na zawsze się z nią w ten sposób rozprawić.

Ale to Nathan ich wysłał. Nathan, chociaż czasami taki wybuchowy, na pewno by im czegoś takiego nie nakazał. Tu Ann wspomniała stulecia, przez które trzymała go pod kluczem, wspomniała nadzwyczajne środki potrzebne niekiedy do utrzymania tego niepoprawnego człowieka pod kontrolą. I znów spojrzała w mroki za barierką.

- Czy Nathan będzie nas oczekiwał? - spytała, siląc się na radosny ton. - Chętnie bym z nim porozmawiała. Musimy omówić pewne sprawy.

Nyda zerknęła na nią ponuro przez ramię.

- Nathan nie ma o czym z tobą gadać.

Po prawej ukazał się ginący w kamiennej ścianie bardzo ciasny korytarzyk i Mord-Sith poprowadziła ich w ciemność. Jej pośpiech przydawał grozy już i tak budzącej strach wyprawie.

Ann w końcu dostrzegła w przodzie światełko. Wąziutki korytarzyk docierał do niewielkiego pomieszczenia, w którym zbiegało się kilka innych przejść. Poszli w prawo i zaczęli schodzić po kręconych schodach. Wleczona w dół Ann złapała się żelaznej poręczy - bała się, że się potknie, chociaż krzepka dłoń trzymająca ją za suknię na prawym ramieniu z całą pewnością nie pozwoliłaby jej upaść, a tym bardziej uciec.

U stóp schodów Nyda, Ann i żołnierze zatrzymali się pod niskim,

belkowanym stropem. Migotliwe światło pochodni płonących w ustawionych na podłodze stojakach nadawało owemu miejscu surrealistyczny wygląd. Cuchnęło tu palącą się smołą, dymem, zastarzałym potem i uryną. Ksieni podejrzewała, że tak głęboko nie dociera w Pałacu Ludu nawet odrobina świeżego powietrza.

Z mrocznego korytarza po prawej doleciał odgłos suchego kaszlu. Ann zajrzała w ów korytarz i po obu jego stronach zobaczyła drzwi. Na żelaznych prętach niektórych judaszy zaciskały się palce. Z cel, w których tkwili pozbawieni wszelkiej nadziei ludzie, słychać było wyłącznie kaszel.

Przed okutymi żelazem drzwiami po lewej czekał rosły mężczyzna w mundurze. Sprawiał wrażenie, jakby go wyciosano z tego samego kamienia co ściany. W innych okolicznościach Ann pewnie uznałaby go za niczego sobie.

- Nydo - rzekł na powitanie, a kiedy znów podniósł oczy po uprzejmym skłonieniu głowy, zapytał tym swoim głębokim głosem: - A cóż my tu mamy?

- Więźnia dla ciebie, kapitanie Lernerze. - Mord-Sith chwyciła suknię na ramieniu Ann i szarpnęła Ksienię w przód, jakby pokazywała upolowanego bazanta. - Niebezpiecznego więźnia.

Kapitan powiódł wzrokiem po Ann i znów skierował uwagę na Nydę.

- Czyli jedna z dobrze zabezpieczonych cel.

Mord-Sith z aprobatą skinęła głową.

- Czarodziej Rahl nie życzy sobie, żeby się wydostała. Twierdzi, że jest źródłem nieustających kłopotów.

Ksieni natychmiast przyszło na myśl parę celnych, choć niezbyt uprzejmych replik, ale zdołała się ugryźć w język.

- W takim razie lepiej chodź z nami - rzekł kapitan Lerner - i upewnij się, że zostanie zamknięta za odpowiednimi barierami.

Nyda skinęła głową. Dwaj jej ludzie skoczyli ku stojakom i chwycili pochodnie. Kapitan wreszcie znalazł właściwy klucz wśród tego tuzina, który miał na kółku. Zamek ustąpił ze szczękiem, a hałas poniósł się echem po sąsiednich niskich korytarzach. Zabrzmiało to w uszach Ann jak dzwon dla skazańców.

Kapitan, postępując z wysiłku, szarpał ciężkie drzwi i powoli je otwierał. Dalej był długi korytarz, w którym Ann dostrzegła zaledwie kilka świec rzucających słabe światło na niewielkie okienka w drzwiach po obu stronach.

Więźniowie zaczęli pokrzykiwać i wyc jak zwierzęta, przeklinając tych, którzy wchodzili do ich świata. Z okienek w drzwiach wyciągały się ręce i drapały powietrze, starając się dotknąć idących.

Dwaj żołnierze z pochodniami znaleźli się w korytarzu zaraz za Nydą - światło padało na jej czerwony skórzany uniform, tak że widzieli ją wszyscy więźniowie przyciskający twarze do okienek. Agiel wiszący u nadgarstka Mord-Sith znalazł się w zaciśniętej pięści. Obrzuciła gniewnym spojrzeniem okienka po obu stronach korytarza. Brudne ręce się cofnęły. Głosy zamilkły. Ann słyszała, jak więźniowie wycofują się w najdalsze zakamarki swoich cel.

Nyda, teraz już pewna, że nie przydarzy się żaden wybryk, znów ruszyła naprzód. Wielkie dłonie ciągnęły Ann. Z tyłu szedł kapitan Lerner z kluczami. Ksieni zasłoniła usta i nos rogiem szala, chroniąc się przed smrodem.

Kapitan wziął z kąta niewielką lampę i zapalił ją od świecy, a potem wysunął się przed nich, żeby otworzyć kolejne drzwi. W tym długim korytarzu drzwi cel znajdowały się bliżej siebie. Z jednego z małych okienek zwisała bezwładnie ręka pokryta zakażonymi ranami.

Korytarz za kolejnymi drzwiami był niższy i nie szerszy niż ramiona Ann. Szła nierównym, krętym korytarzem, starając się uspokoić zbyt szybko bijące serce. Nyda i żołnierze musieli się pochylić, przycisnąć ramiona do piersi.

- Tutaj - oznajmił kapitan Lerner, zatrzymując się.

Uniósł latarnię i zajrzał w niewielki otwór w drzwiach. Drugi klucz okazał się właściwy, żołnierz otworzył zamek. Podał lampę Nydzie, a następnie oburącz złapał klamkę. Stękał i ciągnął z całych sił, aż wreszcie drzwi uchylły się ze zgrzytem. Lerner wcisnął się do środka.

Nyda najpierw podała mu lampę, a potem sama tam weszła. Zza drzwi wysunęło się jej obleczone w czerwoną skórę ramię, złapało Ann za suknię i wciągnęło do wnętrza.

Kapitan otwierał kolejne drzwi po drugiej stronie niewielkiego pomieszczenia. Ann wyczuwała, że miało ono osłony. Drugie drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Dalej była cela wykuta w litej skale. Wyjść można było jedynie przez te drzwi, zewnętrzne pomieszczenie z osłoną i potem drugie drzwi.

Ród Rahlów wiedział, jak budować dobrze chronione więzienia.

Nyda chwyciła Ann za łokieć i skierowała ku kamiennej celi. Choć Ksieni była taka niska, i tak musiała się pochylić, przekraczając wysoki próg. W pomieszczeniu znajdowała się ława wykuta w skalnej ścianie na wprost drzwi - można na niej było siedzieć lub spać. Na jednym końcu ławy stał cynowy dzban z wodą, na drugim leżał złożony brązowy koc. W kącie stał nocnik. Może niezbyt czysty, ale za to pusty.

Nyda postawiła lampę na ławie.

- Nathan kazał ci to zostawić.

Najwyraźniej inni więźniowie bywali pozbawiani tego luksusu.

Mord-Sith przełożyła nogę przez próg, lecz zatrzymała się, kiedy Ann ją zawołała.

- Przekaż, proszę, Nathanowi wiadomość ode mnie. Przekażesz? Powiedz mu, że chciałabym się z nim zobaczyć. Że to bardzo ważne.

Nyda uśmiechnęła się do siebie.

- Mówił, że to powiesz. Nathan jest Prorokiem i pewnie będzie wiedział, o czym chciałabyś z nim pogadać.

- A przekażesz mu te słowa?

Zimne niebieskie oczy Mord-Sith sondowały duszę Ann.

- Nathan kazał ci powiedzieć, że ma na głowie cały pałac i nie może gnać tutaj, ilekroć zażyczyś sobie go widzieć.

Niemal dokładnie to samo mnóstwo razy odpisywała Nathanowi, gdy któraś z Sióstr przybiegała do niej z wieścią, że Prorok chce się widzieć z Ksienią.

„Powiedzcie Nathanowi, że mam cały pałac na głowie i nie mogę biec do niego, ilekroć ryknie, że chce się ze mną zobaczyć. Jeżeli ma jakieś proroctwo, to niech je zapisze, a ja się z tym zapoznam, jak znajdę czas”.

Aż do tej chwili Ann nie zdawała sobie sprawy, jak okrutne były to słowa.

Nyda zatrasnęła za sobą drzwi. Ksieni została sama w więzieniu, z którego nie było ucieczki.

No, ale jej życie zbliżało się ku końcowi, więc nikt jej tu nie będzie więził tak długo jak ona Nathana. Podbiegła do niewielkiego okienka.

- Nydo!

Mord-Sith odwróciła się od drugich drzwi, za osłoną, której Ann nie mogłaby przejść.

- Słucham?

- Powiedz Nathanowi... powiedz Nathanowi, że mi przykro.

Nyda zaśmiała się krótko.

- Och, myślę, że Nathan wie, że ci przykro.

Ann wyciągnęła rękę przez okienko ku Mord-Sith.

- Proszę cię, Nydo. Powiedz mu... powiedz Nathanowi, że go kocham.

Nyda długo się w nią wpatrywała, a potem zamknęła za sobą zewnętrzne drzwi.

ROZDZIAŁ 21

Kahlan podniosła głowę. Delikatnie położyła dłoń na piersi Richarda i zwróciła ucho ku dźwiękowi, który posłyszała z ciemności. Pod jej dłonią pierś Richarda unosiła się w ciężkim oddechu, ale i tak poczuła ulgę - nadal żył. A dopóki żył, dopóty mogła szukać jakiegoś rozwiązania. Nie da za wygraną. Dotrą do Nicci. Na pewno się im to uda.

Popatrzyła na księżyc i stwierdziła, że nie spała nawet godziny. Od północy zaczęły napływać chmury, srebrząc się w księżycowej poświacie. W oddali dostrzegła na tle nieba podświetlone skrzydła czarnosternych chyzolotów, które nadal leciały ich śladem.

Nie cierpiała tych ptaków. Chyzoloty leciały za nimi, odkąd Cara dotknęła posążka Kahlan, według Nicci będącego znakiem ostrzegawczym. Ciemne skrzydła zawsze trzymały się w pobliżu niczym cień śmierci, stale idące ich tropem, stale czyhające.

Dziewczyna aż za dobrze pamiętała piasek przesypujący się w owej klepsydrze. Jej czas się kończył. Nie miała żadnych wskazówek na temat tego, co się stanie, kiedy piasek się przesypie, kiedy czas się skończy - lecz potrafiła to sobie wyobrazić.

Miejsce, w którym rozbili obóz - przed stromym skalnym wzniesieniem, obok kolczastych zarośli i lasku sosen ościstych - nie było ani tak szczelnie osłonięte, ani tak łatwe do obrony, jak by chcieli, lecz Cara powiedziała, że boi się, iż Richard nie przeżyje nocy, jeżeli się nie zatrzymają.

Owo wyszeptane ostrzeżenie przywiodło Kahlan na skraj paniki; serce zaczęło jej się tłuc jak oszalone, a czoło pokryło się zimnym potem.

Wiedziała, że jazda trzęsącym się i podskakującym wozem, choć powolna - jechali przecież nocą, na przełaj - utrudnia Richardowi oddychanie. Musieli się zatrzymać niecałe dwie godziny od wyjazdu, zaraz po ostrzeżeniu Cary. I z ulgą stwierdzili, że chłopak zaczął oddychać z mniejszym wysiłkiem, bardziej miarowo.

Musieli dotrzeć do jakichś dróg, żeby podróż tak nie męczyła Richarda i żeby mogli jechać szybciej. Może uda im się zwiększyć tempo, jeżeli chłopak wypocznie przez noc.

Kahlan nieustannie musiała się przekonywać, że go tam dowiozą, że

mają szansę, że to nie czczy nadzieja.

Kiedy ostatni raz czuła się tak bezradna, kiedy czuła, że życie Richarda gaśnie, miała przynajmniej możliwość uratować go. Nie wiedziała wówczas, że jeżeli skorzysta z tej możliwości, zapoczątkuje ciąg zdarzeń, które rozpoczną niszczenie magii.

To ona zdecydowała, że wykorzysta tę możliwość, a więc to ona była odpowiedzialna za to wszystko, co się teraz działo. Gdyby wówczas wiedziała to, co wie teraz, i tak podjęłaby tę samą decyzję - żeby ratować życie Richarda - lecz to nie umniejszało jej odpowiedzialności.

Była Matką Spowiedniczką, a więc jej obowiązkiem było chronić życie osób mających magiczną moc, życie magicznych istot. A oto może się okazać przyczyną ich końca.

Kahlan poderwała się na nogi, zaciskając w dłoni miecz, kiedy usłyszała ptasi zew Cary, zawiadamiającej ich w ten sposób o swoim powrocie. To Richard nauczył ją tej ptasiej melodii. Całkiem otworzyła przesłoniętą latarni, żeby mieć więcej światła. Zobaczyła, jak z pobliskiej skałki wstaje Tom z dłonią na rękojeści zatkniętego za pas noża. Siedział tam, obserwując i obóz, i człowieka, którego Kahlan dotknęła swoją mocą. Mężczyzna nadal leżał na ziemi, u stóp Toma, jak mu nakazała.

- Co się dzieje? - wyszeptła Jennsen, pojawiając się obok Kahlan i pospiesznie przecierając oczy.

- Jeszcze nie wiem. Cara dała sygnał, więc na pewno kogoś prowadzi.

Mord-Sith wyłoniła się z mroku, popychając przed sobą - jak Kahlan podejrzewała - jakiegoś człowieka. Spowiedniczka zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, gdzie go już widziała. Zamrugła, uświadomiwszy sobie, że to ów młody człowiek, którego spotkali jakiś tydzień wcześniej - Owen.

- Starłem się wcześniej was dogonić! - zawołał Owen, gdy tylko ujrzał Kahlan. - Przysięgam, że się starałem!

Cara przywlokła go bliżej, trzymając za kołnierz lekkiego okrycia, i szarpnięciem zatrzymała tuż przed Spowiedniczką.

- O czym ty mówisz? - zapytała dziewczyna.

Owen spostrzegł stojącą za nią Jennsen i na chwilę znieruchomiał z otwartymi ustami, a dopiero potem odpowiedział:

- Przysięgam, że zamierzałem was wcześniej dogonić. - Wyglądało na to,

że jest bliski łez. - Poszedłem do waszego obozu. - Szczelniej otulił się lekkim okryciem, zaczął dygotać. - Iii... iii zzzobaczyłem te szszczątki. O drogi Stwórco, jak mogliście być tak okrutni?

Kahlan pomyślała, że Owen lada chwila zwymiotuje. Zakrył usta, zamknął oczy, trząsł się.

- Jeżeli masz na myśli tamtych ludzi - poinformowała go - to usiłowali nas pojmać i zabić. Nie wyrwaliśmy ich z bujanych foteli przy kominkach i nie przywlekliśmy na te pustkowia, żeby ich tu wymordować. Zaatakowali nas, więc się broniliśmy.

- Ale, drogi Stwórco, jak mogliście... - Stał przed nią i nie potrafił opanować dygotu. Zamknął oczy. - Nic nie jest realne. Nic nie jest realne. Nic nie jest realne. Nic nie jest realne - powtarzał w kółko niczym inkantację, mającą go chronić od złego.

Cara odciągnęła go trochę i usadowiła na skalnym występie. Z zamkniętymi oczami mamrotał do siebie, że „nic nie jest realne”, a tymczasem Mord-Sith stanęła przy lewym boku Kahlan.

- Powiedz nam, co tutaj robisz - warknęła Cara. Nie dodała głośno „bo inaczej...”, ale to się rozumiało samo przez się.

- I nie ociągaj się - dodała Kahlan. - Mamy wystarczająco wiele kłopotów i nie musisz nam ich jeszcze dokładać.

Owen otworzył oczy.

- Poszedłem do waszego obozu, żeby wam o tym powiedzieć, ale... te wszystkie ciała...

- Wiemy, co się tam wydarzyło. Powiedz nam, po co się tu zjawileś. - Kahlan była u kresu cierpliwości. - Drugi raz nie zamierzam pytać.

- Lord Rahl - wyjęczał Owen, w końcu wybuchając łzami.

- Co lord Rahl? - spytała Kahlan przez zaciśnięte zęby.

- Lord Rahl został otruty - wykrztusił wśród łez.

Dziewczyna zdrętwiała.

- Jak możesz być pewny, że coś takiego się zdarzyło?

Owen wstał, zaciskając kurczowo w dłoniach materię okrycia.

- Wiem - zawołał, łkając - bo to ja go otruję!

Czy to możliwe? Czy to nie słabnąca moc daru zabijała Richarda, lecz zwyczajna trucizna? Źle to pojęli? Do tego wszystkiego doprowadził ów człowiek, trując Richarda?

Kahlan ruszyła ku Owenowi, czując, jak rękojeść miecza wyślizguje się jej z dłoni.

Stał i patrzył, jak się zbliża, niczym jelonek obserwujący szykującą się do skoku pumę.

Kahlan wiedziała, że w tym człowieku jest coś dziwnego. Richard też uważał, że jest w nim coś niepokojącego, coś osobliwego.

Ten bełkoczący obcy jakoś zdołał otruć Richarda.

Richard jest bliski śmierci. Cierpi. Z winy tego człowieka. Kahlan już się dowie dlaczego, pozna całą prawdę.

Szybko zbliżała się do tamtego. Nie pozwoli mu uciec. Nie pozwoli, żeby kłamał.

Sprawi, że wszystko wyzna.

Zaczęła wyciągać ku niemu rękę. Jej moc już się zregenerowała - czuła ją, gotową do działania, w głębi siebie.

Ten człowiek próbował zabić Richarda. A ona zamierza się dowiedzieć, czy i jak można go ocalić. Ten mężczyzna jej to powie.

Była zdecydowana dotknąć go swoją mocą.

Kahlan nie musiała przyzywać wrodzonej mocy, wystarczyło, by przestała ją powstrzymywać. Zblakły, rozwiały się odczucia wywołane czynem owego człowieka. Teraz nie miały już znaczenia. Teraz potrzebowała wyłącznie prawdy. Była zdeterminowana.

Nie miał najmniejszej szansy. Należał do niej.

Widziała, że tkwi niczym skamieniały, patrząc, jak ona się zbliża. Widziała szeroko otwarte niebieskie oczy, spływające po policzkach łzy. Czuła wzbierającą moc, która domaga się uwolnienia. Uniosła rękę ku człowiekowi, który skrzywdził Richarda, i niczego tak nie pragnęła jak tego, co miała zrobić.

Należał do niej.

Nagle pomiędzy nich wskoczyła Cara.

Mord-Sith zasłoniła Kahlan tego człowieka. Spróbowała odepchnąć Carę, ale ta była na to przygotowana i nie ustąpiła. Złapała Kahlan za ramiona i odepchnęła.

- Nie, Matko Spowiedniczko. Nie.

Kahlan nadal koncentrowała się na Owenie, chociaż go nie widziała.

- Z drogi.

- Nie. Zatrzymaj się.
- Z drogi! - Spróbowała odepchnąć Carę, lecz ta stała w rozkroku i nawet nie drgnęła. - Caro!
- Nie. Wysłuchaj mnie.
- Caro, zejdz mi...
Mord-Sith tak nią potrzęsnęła, że Kahlan miała wrażenie, iż pęknie jej kręgosłup.
- Wysłuchaj mnie!
Dziewczyna dyszała z wściekłości.
- Co?!
- Zaczekaj, póki nie usłyszysz, co powie. Zjawił się tutaj z jakiegoś powodu. Kiedy skończy, użyjesz swojej mocy, jeżeli tego zechcesz, albo wydasz go mnie, by tak wrzeszczał, że aż księżyc zakryje sobie uszy. Ale najpierw musimy go wysłuchać.
- Wkrótce się dowiem, co ma do powiedzenia, i poznam prawdę. Kiedy go dotknę, wszystko wyśpiewa.
- A jeżeli lord Rahl wtedy umrze? Życie lorda Rahla wisi na włosku. O tym przede wszystkim musimy myśleć.
- Tak też robię. A niby dlaczego chcę to zrobić?
Cara przyciągnęła Kahlan ku sobie i szepnęła:
- A co, jeżeli twoja moc zabije tego człowieka z powodu, o którym nie mamy pojęcia? Pamiętasz, jak to było w przeszłości, kiedy nie wiedziałyśmy wszystkiego? Pamiętasz Marlina Pickarda, który głosił, że przybył zamordować lorda Rahla? Wtedy było to zbyt proste i teraz też takie jest. A jeżeli ktoś właśnie chce, żebyś dotknęła tego Owena? Jeżeli jest on wyłącznie przynętą? Jeżeli z jakiegoś powodu chcą, żebyś to zrobiła? I jeżeli zrobisz to, do czego cię prowokują, co wtedy? To nie będzie prosty błąd, który zdołamy naprawić. Jeśli lord Rahl umrze, to go nie wskrzesimy.
Gniewne błękitne oczy Cary były wilgotne. Silne palce wbijały się w ramiona Kahlan.
- Cóż szkodzi go wysłuchać, zanim dotkniesz go swoją mocą? Możesz to zrobić potem, jeżeli nadal będziesz to uważała za konieczne, ale najpierw go wysłuchaj. Błagam cię, Matko Spowiedniczko, jako siostra w Agielu: wstrzymaj się dla dobra lorda Rahla.
Kahlan powstrzymało przede wszystkim to, że Cara sprzeciwiała się

użyciu siły. Bo to właśnie Mord-Sith bez wahania posłużyłaby się siłą, żeby chronić Richarda. W słabym blasku latarni dziewczyna wpatrywała się w zmienioną twarz Cary. Jednak mimo wszystko nie była pewna, czy może zaryzykować, czy może jej ustąpić.

- A jeśli to takie działanie na oślepe? - odezwała się z tyłu Jennsen.

Kahlan obejrzała się przez ramię na siostrę Richarda, popatrzyła na jej zatroskaną twarz. Kiedyś popełniła błąd, bo nie zadziałała wystarczająco szybko, i Richarda pojmano, a następnie zabrano od niej. Wtedy stawką była jego wolność, teraz - życie. Zdawała sobie sprawę, że chociaż wówczas wahanie okazało się błędem, to wcale nie oznaczało, że zawsze należy działać natychmiast. Znów popatrzyła Carze w oczy.

- Dobrze. Posłuchamy, co ma do powiedzenia. - Palcem otarła łzę z policzka Mord-Sith: łzę lęku o Richarda, łzę przerażenia na myśl, że go stracą. - Dziękuję - wyszeptła.

Cara skinęła głową i puściła ją. Potem się odwróciła, skrzyżowała ramiona i wbiła w Owena gniewne spojrzenie.

- Lepiej się postaraj, żebyś nie żałowała, że ją powstrzymałam.

Owen popatrzył po zwróconych ku niemu twarzach: Toma, Friedricha, Cary, Kahlan, Jennsen i nawet tego leżącego w pobliżu człowieka, którego Kahlan dotknęła swoją mocą.

- Po pierwsze, jak w ogóle zdołałeś otruć Richarda? - zapytała Spowiedniczka.

Owen obliznął wargi. Bał się jej powiedzieć, chociaż najwyraźniej właśnie po to wrócił. Wreszcie spuścił oczy.

- Kiedy zobaczyłem kurz wzbijany przez wóz i wiedziałem, że jestem blisko, wylałem resztę wody, żeby wyglądało, że mi jej brakuje. A kiedy lord Rahl mnie znalazł, poprosiłem, żeby dał mi się napić. Podał mi swój bukłak, a ja dolałem tam trucizny, zanim mu go oddałem. Ulżyło mi, kiedy i ty się zjawiałaś. Zamierzałem otruć i lorda Rahla, i ciebie, Matko Spowiedniczko, ale miałaś własny bukłak i nie napiłaś się jego wody. Uznałem jednak, że to bez znaczenia. Tyle powinno wystarczyć.

Kahlan nie mogła się w tym dopatrzeć żadnego sensu.

- Czyli zamierzałeś zabić nas oboje, ale udało ci się jedynie otruć Richarda?

- Zabić...? - Owen był wstrząśnięty tym pomysłem; zdecydowanie

pokręcił głową. - Nie, nie, nic podobnego. Próbowałem wcześniej do was dotrzeć, Matko Spowiedniczko, ale ci ludzie byli w waszym obozie przede mną. Chciałem dać lordowi Rahlowi odtrutkę.

- Rozumiem. Chciałeś go ocalić, choć wcześniej podałeś mu truciznę, ale kiedy dotarłeś do naszego obozu, to nas już tam nie było.

Owen znów miał łzy w oczach.

- To było takie okropne. Te wszystkie ciała, tyle krwi. Jeszcze nigdy nie widziałem takich bestialskich mordów. - Zasłonił usta.

- Gdybyśmy się nie bronili - rzekła Kahlan - to istotnie doszłoby do morderstwa. Nas by zabito.

Wydawało się, że Owen jej nie słyszy.

- A was nie było, odjechaliście. Nie wiedziałem dokąd. Ciężko było w ciemnościach iść śladem waszego wozu, ale musiałem to zrobić. Musiałem biec, dogonić was. Bałem się, że dopadną mnie chyzoloty, ale wiedziałem, że jeszcze tej nocy muszę was dogonić. Nie mogłem zwlekać. Bałem się, ale musiałem przyjść.

Cała ta historia wydawała się Kahlan zupełnie bezsensowna.

- Czyli jesteś jak ktoś, kto podkłada ogień, ogłasza alarm i pomaga gasić pożar. Wszystko po to, żeby zostać bohaterem.

Owen, zaskoczony i wystraszony, pokręcił głową.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Nic z tych rzeczy, przysięgam. Zrobiłem to ze wstrętem. Naprawdę. Z niechęcią.

- No to dlaczego go otrułeś?

Łzy spływały mu po policzkach, miał w dłoniach okrycie.

- Musimy mu zaraz dać odtrutkę, Matko Spowiedniczko, bo inaczej umrze. Już i tak jest na to dość późno. - Modlitewnie złożył dłonie i spojrzał ku niebu. - Błagam, drogi Stwórco, niech nie będzie za późno, błagam. - Wyciągnął ręce ku Kahlan, jakby i ją chciał usilnie błagać, zapewnić o swojej szczerości, lecz cofnął je, widząc jej minę. - Nie ma już czasu, Matko Spowiedniczko. Próbowałem wcześniej do was dotrzeć, przysięgam. Jeżeli zaraz nie podasz mu leku, to koniec z nim. I wszystko będzie na próżno, wszystko. Wszystko będzie na nic!

Kahlan nie wiedziała, czy może zaufać tym słowom. Po co było truć kogoś, a potem go ratować?

- Gdzie antidotum? - spytała.

- Tutaj. - Owen pospiesznie wyjął małą fiolkę z wewnętrznej kieszeni okrycia. - Tutaj. Proszę, Matko Spowiedniczko. - Podał jej kanciaste naczynie. - Musi to zaraz dostać. Pospiesz się, błagam, bo umrze.

- Albo to go wykończy - powiedziała dziewczyna.

- Gdybym chciał z nim skończyć, mogłem to zrobić wtedy, jak mu dosypywałem trucizny do bukłaka. Mogłem jej więcej nasypać albo nie zjawić się z odtrutką. Nie jestem zabójcą, przysięgam, i dlatego przede wszystkim musiałem do was przyjść.

Owen mówił raczej od rzeczy. Kahlan nie bardzo mu wierzyła. Jeżeli się pomyli, Richard straci życie.

- Uważam, że powinniśmy dać Richardowi antidotum Owena - szepnęła Jennsen.

- Działać na oślepie? - zapytała Kahlan.

- Mówiłaś, że czasem nie ma innego wyjścia, jak działać bez zwłoki, ale i wtedy według jak najlepszego rozeznania, zgodnie z całym doświadczeniem i wiedzą. A wcześniej, na wozie, słyszałam, jak Cara mówiła ci, że wątpi, by Richard przeżył noc. Owen twierdzi, że ma antidotum. Uważam, że to jedna z tych chwil, kiedy powinniśmy działać.

- Jeżeli wolno mi coś powiedzieć - wtrącił Tom - to muszę się z tym zgodzić. Nie widzę innego wyjścia. Ale jeżeli znasz jakiś inny sposób na uratowanie lorda Rahla, to najwyższy czas go wyjawić.

Kahlan nie miała żadnego pomysłu z wyjątkiem dotarcia do Nicci, a i to stawało się coraz bardziej wątpliwe.

- Matko Spowiedniczko - odezwał się cicho Friedrich - i ja się z tym zgadzam. Powinnaś wiedzieć, że jeżeli podasz mu remedium, to za zgodą nas wszystkich, bo wszyscy uważamy, że w tej sytuacji to jedyny i najlepszy wybór.

Nie będą mieli jej za złe, jeżeli antidotum zabije Richarda. Oto, co jej mówił.

Jennsen postąpiła ku Owenowi, ciągnąc za sobą Betty.

- Jeżeli kłamiesz, że to antidotum, to odpowiesz za to przede mną, przed Carą, a potem i Matką Spowiedniczką, jeśli jeszcze coś z ciebie zostanie. Rozumiesz, co?

Owen odskoczył od niej, odwrócił głowę i energicznie potakiwał. Wyraźnie bał się spojrzeć i na Jennsen, i na Betty. Kahlan pomyślała, że

bardziej się boi Jennsen niż pozostałych.

Cara nachyliła się ku niej i szepnęła:

- Musi mieć antidotum. Bo po co by się narażał na to, co mu zrobimy, gdyby skłamał? Po co by wracał, gdyby chciał zwyczajnie otruć lorda Rahla? Przecież już mu podał truciznę i odszedł. Uważam, Matko Spowiedniczko, że powinniśmy dać lordowi Rahlowi antidotum, i to szybko.

- Ale po co go w takim razie truć? - spytała szeptem Kahlan. - Jeżeli masz zamiar dać komuś antidotum, to po co go w ogóle trujesz?

Cara westchnęła zniecierpliwiona.

- Nie wiem. Ale jeżeli lord Rahl umrze... - Zamilkła.

Kahlan obejrzała się na nieprzytomnego Richarda. Słabo jej się zrobiło na myśl, że mógłby się już nie obudzić. Jak mogłaby żyć bez niego?

- Ile trzeba mu tego dać? - spytała Owena.

Pospieszył ku niej, omijając Jennsen z tyłu.

- Wszystko. Niech wypije wszystko. - Wcisnął Kahlan w dłoń kanciasty pojemniczek. - Pospiesz się. Błagam, pospiesz się.

- Wyrządziłeś mu krzywdę. - W jej głosie zabrzmiała nie tajona groźba. - Twoja trucizna zadała mu ból. Kaszłał krwią i zemdłał z bólu. Mylisz się, sądząc, że kiedykolwiek o tym zapomnę i że wystarczy mi to, że się teraz zjawiłeś, by ocalić mu życie.

Owen nerwowo oblizwał wargi.

- Ale próbowałem do was dotrzeć. Niosłem wam antidotum, żeby to wszystko się nie stało. Nigdy nie chciałem zadać mu takich cierpień. Starłem się do was dotrzeć, ale zabiliście tych ludzi.

- Czyli to wszystko z naszej winy?

Chłopak leciutko się uśmiechnął, przytakując. Był to uśmiezek satysfakcji, że wreszcie ją oświeciło i że pojęła, iż to nie była jego wina, lecz z ich.

Jennsen pilnowała Owena, żeby się tam nie zbliżył, Tom miał oko na mężczyznę dotkniętego mocą Kahlan, a Friedrich na Betty. Tymczasem Kahlan i Cara uklękły i uniosły Richarda, żeby móc go napić antidotum. Cara oparła go plecami o swoje udo, a Kahlan podtrzymywała mu głowę ramieniem. Zębami wyciągnęła korek i wypluła go. Uważając, żeby nie uронić ani kropli odtrutki, przytknęła fiolkę do ust Richarda i przechyliła. Patrzyła, jak płyn zwilża mu usta. Trochę bardziej odchyliła mu głowę, żeby

usta nieco się rozwarły, i uniosła fiolkę. Ostrożnie wlała mu do ust odrobinę przejrzystego płynu.

Kahlan nie wiedziała, czy zawartość fiołki naprawdę jest odtrutką. Płyn był bezbarwny i wyglądał zupełnie jak woda. Kiedy Richard poruszył wargami, przetykając to, co wlała mu w usta, powąchała fiołkę. Płyn delikatnie pachniał cynamonem.

Wlała Richardowi do ust kolejną porcję. Zakaszła, ale połknął. Cara zebrała palcem kroplę, która pociekła mu po brodzie, i podała mu ją do ust.

Kahlan, z bijącym niespokojnie sercem, wlała mu do ust resztę płynu. Trzymając w palcach pustą fiołkę, odgięła dłonią w tył głowę Richarda, zmuszając go, żeby to przełknął. Westchnęła z ulgą, gdy kilka razy przełknął - wypił całe lekarstwo. Zdołała go nim napoić.

Razem z Carą ostrożnie położyły chłopaka. Kiedy Mord-Sith wstała, Owen skoczył ku nim.

- Wszystko mu podałyście? Wypił wszystko?

Agiel Cary znalazł się w jej zaciśniętej dłoni. Dźgnęła nim w ramię Owena, który żywołowo parł naprzód. Owen cofnął się o krok.

- Przepraszam. - Roztarł ramię, w które dostał Agielem. - Ja tylko chciałem zobaczyć, co z nim. Nie zamierzałem zrobić nic złego. Chcę, żeby wydobrzeł, przysięgam.

Kahlan wpatrywała się weń ze zdumieniem. Cara spojrzała na Agiel, a potem na Owena.

Jej Agiel na niego nie podziałał. Magia na niego nie działała.

Nawet Jennsen wpatrywała się w Owena. Był jak ona Filarem Świata. Urodził się bez najdrobniejszej iskielki daru, całkowicie odporny na działanie magii. Jennsen rozumiała, co to oznacza, lecz Owen najwyraźniej nie. Nie miał pojęcia, że Cara zrobiła coś jeszcze, a nie tylko dźgnęła solidnie, żeby go zatrzymać.

Jej Agiel powinien powalić go na kolana.

- Richard wypił całe antidotum. Teraz odtrutka musi zadziałać. Uważam, że powinniśmy się choć trochę przespać. - Kahlan skinęła głową. - Zajmiesz się wartami, Caro? Ja zostanę przy Richardzie.

Mord-Sith przytaknęła. Rzuciła Tomowi spojrzenie, które zrozumiał.

- Owenie - odezwał się Tom - chodź tutaj i ułóż się na noc przy tym człowieku, dobrze?

Chłopak zbladł, ujrawszy minę wielkiego D'Harańczyka, i pojął, że nie ma wyboru.

- Tak, oczywiście. - Obejrzał się na Kahlan. - Będę się modlił, by okazało się, że antidotum podano na czas. Będę się za niego modlił.

- Módl się za siebie - odparła.

Kiedy już wszyscy się rozeszli, Kahlan ułożyła się obok Richarda. Teraz, gdy wreszcie została z nim sama, rozplakała się z niepokoju. Choć noc była gorąca, Richard trząsał się z zimna. Otuliła go kocem, położyła mu dłoń na ramieniu i przytuliła się do niego, nie wiedząc, czy jeszcze będzie przy niej, kiedy wstanie dzień.

ROZDZIAŁ 22

Richard otworzył oczy i zmrużył je, choć jeszcze nie było słońca. Smugi fioletu na stalowoszarym niebie świadczyły, że to dopiero brzask. Ciężkie chmury wisiały nisko. A może to zachód - sam nie wiedział. Czuł się osobiście zdezorientowany.

Tępe pulsowanie w głowie przechodziło aż na kark. Każdy oddech palił. W gardle miał sucho. Bolało, gdy przelykał.

Za to minął ten najgorszy ból, który odbierał oddech i sprawił, że świat zapadł się w ciemność. Zniknęło również poczucie dojmującego chłodu.

Richard miał wrażenie, że na jakiś czas utracił kontakt ze światem - nie wiedział na jak długo. Zdawało się, że trwało to całą wieczność, że świat żywych stał się odległym wspomnieniem z przeszłości. Czuł też, że mało brakowało, by się już nigdy nie ocknął. Pot wystąpił mu na czoło na samą myśl, że był bliski utraty życia, że mógł się już nie obudzić.

Otoczenie było inne niż to, które zapamiętał. Tuż obok wznosiła się stromo żółtawa skalna ściana o ostrych krawędziach. Z boku rosła kępa powykręcanych sosen ościstych. W miejscach, w których zerwano ciemną korę, widać było jasne drewno. Majestatyczne góry wznosiły się bliżej, niż pamiętał, a na stokach pobliskich wzgórz rosło więcej drzew.

Jennsen leżała obok Betty, zawinięta w koc i wsparta plecami o tylne koło wozu. W pobliżu niej, obok swoich koni, spał Tom. Friedrich siedział na głazie i czuwał. Richard nie miał pojęcia, kim są dwaj mężczyźni leżący u stóp Friedricha. Pomyślał, że jeden z nich to na pewno ten, którego Kahlan dotknęła swoją mocą. Ale ten drugi? Chociaż było w nim coś znajomego.

Kahlan spała twardo tuż przy nim. Miecz leżał u drugiego boku, pod ręką. Po drugiej stronie dziewczyny leżał jej miecz - w pochwie, lecz na podorędziu.

Wszyscy Poszukiwacze, którzy przed Richardem władali Mieczem Prawdy, i ci dobrzy, i ci źli, zostawili w magicznej mocy oręża samą esencję swojej biegłości. Władając mieczem jako prawowity Poszukiwacz, dla którego twórcy owej broni przeznaczili jej moc, Richard nauczył się przywoływać magiczną moc i korzystać z niej, przywoływać umiejętności i wiedzę tych, którzy byli przed nim. Stał się mistrzem miecza, pod każdym

względem, a częściowo zawdzięczał to samemu orężu.

Kahlan uczyła się walki mieczem od swego ojca, króla Wyborna Amnella, który - zanim matka Kahlan go wybrała - był władcą Galei. Richard dokończył szkolenia Kahlan, nauczył ją posługiwać się mieczem w zupełnie nowy sposób, obracać na swoją korzyść szybkość i rozmiary ciała - a nie walczyć tak jak przeciwnik i polegać wyłącznie na sile mięśni.

Bliskość Kahlan sprawiła, że się uśmiechnął, choć w głowie go łupało, a każdy oddech sprawiał ból. Była taka śliczna, nawet ze spletanymi włosami. Budziła w nim wręcz bolesne pragnienie. Zawsze kochał jej piękne, długie włosy. Kochał patrzeć, jak śpi, i spoglądać w jej wspaniałe zielone oczy. Uwielbiał zmieniać jej włosy w spletaną grzywę.

Wspomniał, jak ją pierwszy raz spotkał, jak patrzył na nią śpiącą na podłodze w domku Adie, jak obserwował powolne pulsowanie żyłki na jej szyi. Wspomniał, jak nim wtedy wstrząsnęło to, że tyle w niej życia. Była tak pełna życia, płomiennego życia. Nie mógł się nie uśmiechać, kiedy na nią patrzył.

Pochylił się ostrożnie i pocałował ją w czubek głowy. Poruszyła się i mocniej do niego przytuliła.

A potem gwałtownie usiadła i wpatrzyła weń szeroko otwartymi oczami.
- Richardzie!

Przypadła do niego i położyła mu głowę na ramieniu. Tuliła go z całych sił. Przeraziło go krótkie łkanie, świadectwo straszliwej rozpacz.

- Nic mi nie jest - uspokajał ją, głaszcząc po włosach.

Znów usiadła, tym razem wolniej, wpatrując się w niego, jakby go nie widziała całą wieczność. Jej twarz rozświetlił ów specjalny uśmiech przeznaczony wyłącznie dla niego.

- Richardzie... - Mogła tylko patrzeć na niego i się uśmiechać.

Chłopak - nadal leżąc i usiłując odzyskać jasność umysłu - uniósł nieco ramię i wskazał, pytając:

- A to kto?

Kahlan obejrzała się przez ramię. A potem znów na niego popatrzyła i wzięła go za rękę.

- Pamiętasz tego człowieka sprzed jakiegoś tygodnia? Owena? To on.

- Tak mi się zdawało, że go rozpoznaję.

- Lordzie Rahlu! - Cara uklękła przy jego drugim boku. - Lordzie Rahlu...

I ona nie mogła znaleźć słów. Po prostu wzięła go za rękę. A ten gest był wymowniejszy od słów.

Richard cofnął dłoń, ucałował swoje palce i dotknął nimi policzka Mord-Sith.

- Dziękuję, że nad wszystkimi czuwałaś.

Pojawiła się i Jennsen, z nogami ciągle jeszcze owiniętymi kocem.

- Richardzie! Antidotum podziałało! Podziałało, o drogie duchy, podziałało!

Chłopak podparł się na łokciu.

- Antidotum? - Spojrzał chmurnie na trzy otaczające go kobiety. - Antidotum na co?

- Podano ci truciznę - wyjaśniła Kahlan. Wskazała kciukiem przez ramię.

- Owen. Dałeś mu wody, kiedy się pierwszy raz pojawił. A on w podzięcie dodał trucizny do twojego bukłaka. Mnie też zamierzał przy okazji otruć, ale tylko ty się tej wody napiłeś.

Gniewny wzrok Richarda spoczął na obserwującym ich człowieku u stóp Friedricha. Owen - jak na rozkaz - skinieniem głowy potwierdził, że to prawda.

- Jedna z tych drobnych pomyłek - odezwała się Jennsen.

- Słucham??? - Richard spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Mówiłeś, że i ty popełniasz błędy i że nawet drobny błąd może spowodować spore kłopoty. Nie pamiętasz? Cara twierdziła, że bez przerwy popełniasz pomyłki, zwłaszcza najgłupsze, i że dlatego stale musi mieć cię na oku. - Jennsen uśmiechnęła się do niego przekornie. - I chyba miała rację.

Richard nie sprostował, lecz powiedział, wstając:

- To znakomity przykład na to, że może cię wyprowadzić w pole nawet tak niepozorny osobnik jak ten tam.

Kahlan obserwowała Owena.

- Coś mi się wydaje, że to nie taki prostaczek.

Mord-Sith podsunęła Richardowi ramię, żeby się na nim wsparł.

- Caro - rzekł, kiedy musiał usiąść na pobliskiej skrzyni z wozu - przyprowadź go tutaj, dobrze?

- Z przyjemnością - odparła, ruszając przez obóz.

- A nie zapomnij mu powiedzieć o Owenie - napomniała ją Kahlan.

- Co masz mi powiedzieć?

Kahlan nachyliła się ku niemu. Patrzyła, jak Cara stawia Owena na nogi.

- On jest pozbawiony nawet iskiereki daru, tak jak Jennsen.

Richard odgarnął w tył włosy, starając się to pojąć.

- Chcesz powiedzieć, że jest moim przyrodnim bratem?

Kahlan wzruszyła ramionami.

- Tego nie wiemy. Wiemy jedynie, że nie ma nawet iskiereki daru. - Zmarszczyła brwi, coś sobie przypominając. - A w obozie, w którym nas zaatakowali, miałeś mi akurat powiedzieć coś ważnego, czego się domyśliłeś, kiedy przesłuchiwaliliśmy tego dotkniętego moją mocą. Miałeś powiedzieć, ale nie zdążyłeś.

- A tak. - Zmrużył oczy, starając się sobie przypomnieć, co ów człowiek im powiedział. - To dotyczyło tego, kto mu rozkazał nas pojmać: Nicholasa... Nicholasa jakiegoś tam.

- Slide'a - przypomniała mu Kahlan. - Nicholasa Slide'a.

- Właśnie. Nicholas powiedział mu, że znajdzie nas na wschodnim skraju pustkowia, zdążających ku północy. Skąd to wiedział?

Kahlan zastanawiała się nad tym.

- No właśnie. Skąd mógł to wiedzieć? Nikogo nie widzieliśmy, a przynajmniej nie dostrzegliśmy, więc kto mógł mu donieść, gdzie jesteśmy? A jeżeli nawet ktoś nas zauważył, to zanim mu donieśli, gdzie to było, i zanim wysłał ludzi, my już byliśmy gdzie indziej. Chyba że Nicholas jest blisko.

- Chyżoloty - powiedział Richard. - On musi nas obserwować oczami chyżolotów. Żadnego innego stworzenia nie widzieliśmy. Tylko w ten sposób ktoś może wiedzieć, gdzie jesteśmy. Ten Nicholas Slide musiał nas widzieć i dowiedzieć się, gdzie jesteśmy, za pośrednictwem lecących naszym śladem ptaków. To dlatego, wydając rozkaz, mógł od razu powiedzieć, gdzie nas znajdą.

Richard wstał, bo zbliżał się Owen.

- Lordzie Rahlu - odezwał się z ulgą chłopak, szeroko rozpościerając ramiona i spiesząc naprzód, przytrzymywany przez krzepko trzymającą go za ramię Carę. - Tak się cieszę, że lepiej się czujesz. Nigdy nie chciałem, żeby trucizna aż tak ci zaszkodziła, i nie stałoby się tak, gdybyś wcześniej dostał antidotum. Chciałem wcześniej do ciebie dotrzeć, naprawdę chciałem, przysięgam, ale ci wszyscy ludzie, których pozabijaliście... to nie była moja

wina. - Spojrzał błagalnie na Kahlan, uśmiechnął się do niej. - Matka Spowiedniczka to wie i rozumie.

Dziewczyna skrzyżowała ramiona i spojrzała chmurnie na Richarda.

- To nasza wina, że Owen wcześniej do nas nie dotarł z antidotum. Zjawił się w poprzednim obozie z zamiarem przekazania nam go i uleczenia cię, lecz stwierdził, że zamordowaliśmy tych wszystkich ludzi i odjechaliśmy. Czyli to nie jego wina: miał dobre zamiary i starał się, a myśmy zmarnowali jego wysiłki. Tacy byliśmy nieuprzejmi.

Richard wpatrywał się w nią, nie bardzo wiedząc, czy przekazuje mu sarkastyczne streszczenie tego, co usłyszała od Owena, czy dokładnie powtarza jego usprawiedliwienia, czy wreszcie jemu samemu jeszcze się miesza w głowie. Spochmurniał jak niebo ponad nimi.

- Otrułeś mnie - rzekł do Owena, chcąc się upewnić, że dobrze zrozumiał - a potem przyniosłeś antidotum do naszego obozu, ale tam natknąłeś się na ludzi, którzy nas zaatakowali, i przekonałeś się, że już nas tam nie ma.

- Tak. - Nagle rozwiało się zadowolenie z tego, że Richard tak dobrze to pojął. - Należy, rzecz jasna, spodziewać się takiego okrucieństwa ze strony nieoświeconych. - Niebieskie oczy Owena wypełniły się łzami. - Ale i tak było to takie... - Objął się ramionami, zamknął oczy i kołysał się na boki. - Nic nie jest realne. Nic nie jest realne. Nic nie jest realne.

Richard złapał go za koszulę pod szyją i przyciągnął do siebie.

- Co ty wygadujesz, że nic nie jest realne?

Owen zbladł pod jego wściekłym spojrzeniem.

- Nic nie jest realne. Nie możemy być pewni, czy to, co widzimy, czy cokolwiek jest realne czy nie. No bo niby jak?

- Jeżeli coś widzisz, to jak możesz zakładać, że to nie jest realne?

- Bo nasze zmysły nieustannie zniekształcają prawdziwość rzeczywistości i zwodzą nas. Nasze zmysły podsuwają nam jedynie iluzję, pozory pewności. Nocą nie widzimy. Wzrok mówi nam, że noc jest pusta, lecz sowa potrafi złapać mysz, której nasze oczy nie mogły dostrzec. Nasza rzeczywistość twierdzi, że mysz nie istniała, a przecież wiemy, że musiała istnieć, na przekór temu, co zaświadczaają nasze oczy. Czyli istnieje inna rzeczywistość, niedostępna naszemu poznaniu. Nasz wzrok nie ujawnia nam prawdy, lecz tai ją przed nami, a co gorsza, daje nam fałszywe wyobrażenie o rzeczywistości. Nasze zmysły nas zwodzą. Pies wyczuwa

węchem świat, którego nie znamy, bo nasze zmysły są bardzo ograniczone. Jak pies może iść tropem czegoś, czego my nie potrafimy wywąchać, jeśli nasze zmysły istotnie mówią nam, co jest realne, a co nie? Nasze niedoskonałe zmysły nie poprawiają naszego rozumienia rzeczywistości, ale raczej to pojmowanie ograniczają. Nie rozumiesz, że błędnie sądzimy, iż znamy to, co jest niepoznawalne? Nie mamy zmysłów umożliwiających poznanie prawdziwej natury rzeczywistości, odróżnienie, co jest realne, a co nie jest. Znamy ledwie drobną cząstkę otaczającego nas świata. Istnieje cały zakryty przed nami świat, świat tajemnic, których nie dostrzegamy. A przecież i tak istnieje, czy my go widzimy czy nie, czy potrafimy przyznać, że mamy kłopoty z poznaniem rzeczywistości, czy nie. Sądzimy, że znamy coś, co tak naprawdę jest niepoznawalne. Nic nie jest realne.

Richard pochylił się ku niemu.

- Widziałeś tamte zwłoki, bo były realne.

- To, co widzimy, to jedynie pozorna rzeczywistość, zwyczajne pozory, iluzja, którą sami sobie wmawiamy. Wszystko to wynika z naszego niedoskonałego postrzegania. Nic nie jest realne.

- Nie spodobało ci się to, co ujrzałeś, więc wolisz twierdzić, że to nie jest realne?

- Nie potrafię orzec, co jest realne. Ty też nie. Upieranie się, że jest inaczej, to buta nieoświeconych. Prawdziwie oświecony człowiek potrafi się przyznać do swej pozałowania godnej nieudolności w borykaniu się z życiem.

Richard bliżej przyciągnął Owena.

- Takie wymysły mogą cię jedynie wpędzić w niedolę i strach, sprawić, że zmarnujesz życie, zamiast je świadomie i w pełni przeżyć. Lepiej zacznij wreszcie wykorzystywać swój umysł do tego, do czego powinien służyć: do poznawania otaczającego cię świata, zamiast wydawać go na łup takim irracjonalnym mrzonkom. W mojej obecności poprzestań na faktach ze świata, w którym żyjemy, i porzuć wymyślone przez innych bajki.

Jensen szarpnęła Richarda za rękaw, odciągnęła go trochę na bok i szepnęła:

- A jeżeli Owen ma rację, Richardzie? Nie co do ciała, ale ogólnie?

- Czyli uważasz, że wyciągnął zupełnie błędne wnioski, a mimo to jego pokrętne założenia są prawdziwe?

- No, nie. Ale jeśli tak naprawdę jest? Pomyśl tylko o sobie i o mnie. Pamiętasz naszą rozmowę, tę, w której mi tłumaczyłeś, że urodziłam się bez oczu i dlatego nie widzę... - zerknęła na Owena i powiedziała coś innego, niż chciała - pewnych rzeczy. Pamiętasz, jak mówiłeś, że dla mnie te rzeczy nie istnieją? Że dla mnie rzeczywistość jest inna? Że moja rzeczywistość jest inna niż twoja?

- Błędnie rozumiesz moje słowa, Jennsen. Większość ludzi, zapędziwszy się w kępę sumaka jadowitego, ma na skórze pęcherze i czuje swędzenie. Ale niektórzy nie. I to wcale nie oznacza, że sumak jadowity nie istnieje lub że jego istnienie zależy od tego, czy my uważamy, że on jest lub go nie ma.

Jennsen przyciągnęła go do siebie.

- Jesteś tego pewny? Nie masz pojęcia, Richardzie, jak to jest być zupełnie innym niż wszyscy, nie widzieć i nie czuć tego, co inni. Twierdzisz, że magia istnieje, lecz ja jej ani nie dostrzegam, ani nie wyczuwam. Nie działa na mnie. Mam ci uwierzyć na słowo, skoro moje zmysły zapewniają mnie, że magia nie istnieje? I może właśnie dlatego troszkę lepiej rozumiem, o co chodzi Owenowi. Może nie we wszystkim się myli. Człowiek zaczyna się zastanawiać, co jest realne, a co nie, choćby tylko, jak on mówi, z naszego punktu widzenia.

- Informacje dostarczane przez zmysły należy przyjmować w szerszym kontekście. Jeżeli zamknę oczy, to słońce wcale nie przestanie świecić. Kiedy zasnę, nie jestem niczego świadomy, lecz to wcale nie oznacza, że świat przestał istnieć. Informacje przekazywane przez zmysły powinnaś łączyć z tym, czego się dowiedziałaś o naturze rzeczy. Sposób, w jaki o czymś myślimy, wcale tego czegoś nie zmienia. To, co istnieje, istnieje.

- Ale, jak on mówi, skąd możemy wiedzieć, że coś jest realne, jeżeli nie doświadczamy tego zmysłami?

Richard skrzyżował ramiona.

- Nie mogę zająć w ciążę. Byłabyś zdania, że dla mnie kobiety nie istnieją?

Jennsen cofnęła się, trochę zmieszana.

- No, nie.

- A więc - rzekł Richard do Owena - otrułeś mnie. Sam to przyznałeś. - Uderzył się pięścią w pierś. - Odczuwam tam ból, realny ból. Ty to spowodowałeś. Chcę wiedzieć, dlaczego i czemu przyniosłeś antidotum. Nie

obchodzi mnie, co myślisz o obozie usłanym ciałami tych, którzy na nas napadli. Przestań na głównej sprawie. Przyniosłeś antidotum na truciznę, którą mi podałeś. Coś się musi za tym kryć. Co?

- Nnnno - wydukał Owen - nie chciałem, żebyś umarł, więc cię uratowałem.

- Przestań się rozwodzić o swoich uczuciach i powiedz, co zrobiłeś i dlaczego. Po co mnie otrułeś i dlaczego potem uratowałeś? Chcę usłyszeć odpowiedź, poznać prawdę.

Owen powiódł wzrokiem po otaczających go ponurych twarzach. Odetchnął i wziął się w garść.

- Potrzebowałem twojej pomocy. Musiałem cię przekonać, żebyś mi pomógł. Prosiłem cię wcześniej o pomoc, a ty odmówiłeś, choć mój lud bardzo jej potrzebuje. Błagałem. Powiedziałem ci, ile dla nich znaczy twoja pomoc, ale ty dalej odmawiałeś.

- Mam własne problemy, które muszę rozwiązać - rzekł Richard. - Przykro mi, że Ład zajął twoje ojczyste ziemie, i wiem, jakie to straszne, ale przecież mówiłem ci, że staram się ich pokonać, i to właśnie pomogłoby tobie i twojemu ludowi się ich pozbyć. Ci barbarzyńcy zajęli nie tylko wasze ziemie. I naszych bliskich mordują żołnierze Ładu.

- Najpierw musisz pomóc nam - upierał się Owen. - Ty i tobie podobni, nieoświeceni, musicie uwolnić mój lud. Sami nie możemy się wyzwolić, nie jesteśmy dzikusami. Słyszałem, coście mówili o jedzeniu mięsa. Aż mi się niedobrze od tego zrobiło. My tacy nie jesteśmy, bo jesteśmy oświeceni. Widziałem, jak zabijaliście tamtych. I to samo powinniście zrobić z Ładem.

- A sądziłem, że to było nierealne.

Owen to zignorował.

- Musisz dać mojemu ludowi wolność.

- Już ci mówiłem, że nie mogę.

- Musisz. - Popatrzył na Carę, Jennsen, Toma i Friedricha. Zatrzymał wzrok na Kahlan. - Musisz dopilnować, żeby lord Rahl to zrobił, bo inaczej umrze. Otrułem go.

Kahlan złapała Owena za koszulę.

- Przyniosłeś mu antidotum na truciznę.

Chłopak potaknął.

- Tamtego pierwszego wieczoru, kiedy powiedziałem wam o mojej

palącej potrzebie, dopiero co podałem mu truciznę. - Znów popatrzył na Richarda. - Minęło ledwie parę godzin, odkąd ją wypiliśmy. Gdybyś się zgodził dać mojemu ludowi wolność, od razu dostałbyś antidotum i oczyściłbyś się z trucizny. Wyleczyłoby cię. Ale nie chciałeś pójść ze mną, odmówiłeś wspomnienia tych, którzy sami nie mogą sobie pomóc, chociaż masz obowiązek pomagać potrzebującym. Odesłałeś mnie. Nie dałem ci więc antidotum. I trucizna czyniła swoje dzieło. Gdybyś nie był tak samolubny, zostałbyś wówczas wyleczony. Teraz zaś trucizna wżarła się w ciebie i działa dalej. Ponieważ od jej wypicia upłynęło tyle czasu, moje antidotum już nie mogło cię uleczyć, zdołało jedynie na jakiś czas poprawić twój stan.

- A co mnie uleczy? - zapytał Richard.

- Żeby się pozbyć trucizny, potrzebujesz większej dawki antidotum.

- A ty, oczywiście, więcej nie masz.

Owen pokręcił głową.

- Musisz dać wolność mojemu ludowi. Tylko wtedy zdobędziesz więcej antidotum.

Richard chętnie wydusiłby informacje z tego typu. Ale tylko głęboko odetchnął, starając się opanować i pojąć, dlaczego właściwie Owen to zrobił, potem zaś znaleźć rozwiązanie.

- Dlaczego tylko wtedy? - zapytał.

- Bo - odparł Owen - antidotum jest w miejscu zajęтым przez Imperialny Ład. Jeżeli chcesz je zdobyć, musisz przepędzić najeźdźców. Jeśli chcesz żyć, musisz dać nam wolność. Jeżeli tego nie zrobisz, umrzesz.

ROZDZIAŁ 23

Kahlan wyciągnęła ręce, by złapać Owena za gardło. Chciała go udusić, zadławić, sprawić, by tak desperacko walczył o oddech jak przedtem Richard, żeby się bał, żeby cierpiał, żeby się przekonał, jak to jest. Cara także ruszyła ku Owenowi, najwyraźniej w tych samych zamiarach. Richard je powstrzymał. Chwycił Owena za koszulę i potrząsał nim.

- Ile czasu mi zostało, nim znów się pochoruję? Ile życia, nim trucizna mnie zabije?

Owen przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

- Jeśli zrobisz, o co proszę, jeżeli spełnisz swój obowiązek, to wydobrzejesz. Obiecuję. Przecież widziałeś, że przyniosłem ci odtrutkę. Nie chcę cię skrzywdzić. Nie mam takiego zamiaru, przysięgam.

Kahlan nie mogła przestać myśleć o straszliwie cierpiącym Richardzie, który ledwie łapał oddech. To było przerażające. Jej umysł zaprzętało tylko jedno - że znów to na niego spadnie i że tym razem już z tego nie wyjdzie.

- Ile czasu? - powtórzył Richard.

- Jeżeli tylko...

- Ile?!

Owen oblizwał wargi.

- Mniej niż miesiąc. Myślę, że trochę mniej niż miesiąc.

Kahlan starała się odepchnąć Richarda.

- Pozwól mi go dotknąć. Dowiem się...

- Nie. - Cara ją odciągnęła. - Matko Spowiedniczko - wyszeptała - pozwól lordowi Rahlowi zrobić to, co musi. Nie wiesz przecież, jak twoje dotknięcie podziała na takiego jak ten tutaj.

- Może nic to nie da - upierała się Kahlan - ale jeśli podziała, wszystkiego się dowiemy.

Cara otoczyła ją ramieniem w talii i dziewczyna nie mogła się wyrwać.

- A jeśli zadziała tylko część subtraktywna i zabije go?

Kahlan przestała się szarpać i spojrzała chmurnie na Mord-Sith.

- A od kiedy to studiujesz magię?

- Od kiedy może zaszkodzić lordowi Rahlowi. - Cara jeszcze dalej odciągnęła ją od Richarda. - Mam też umysł, wiesz. Potrafię myśleć. A ty

teraz używasz głowy? Gdzie jest to miasto? I gdzie w nim znaleźć antidotum? A co jeżeli twoja moc zabije tego człowieka i skazesz lorda Rahla na śmierć, bo nie zdobędziesz informacji, które by nam podał, gdybyś go nie dotknęła? Jeżeli chcesz, połamię mu ręce. Upuszczę mu krwi. Sprawię, że będzie wrzeszczał z bólu. Ale go nie zabiję. Utrzymam go przy życiu, żeby nam podał wszelkie informacje niezbędne do ocalenia lorda Rahla. Spytaj sama siebie, czy chcesz to zrobić, bo wierzysz, że dzięki temu się wszystkiego dowiemy, czy też bo chcesz go dopaść. Życie lorda Rahla zależy od twojej szczerości wobec siebie.

Kahlan oddychała ciężko - tak po szarpaninie z Carą, jak i z wściekłości. Chciała się rzucić na niego, zemścić - dokładnie tak jak mówiła Mord-Sith - zrobić wszystko co w jej mocy, żeby uratować Richarda i ukarać złoczyńcę.

- Mam już tego dość - oznajmiła. - Chcę wreszcie usłyszeć całą historię.

- Ja również - stwierdził Richard. Uniósł tamtego za koszulę i z impetem usadowił na skrzyni. - No dobrze, Owenie. Żadnego kręcenia, dlaczego zrobiłeś to lub tamto. Zacznij od początku i opowiedz nam, co się wydarzyło i jak ty i twój lud na to zareagowaliście.

Chłopak siedział, dygocząc jak listek. Jennsen odciągnęła Richarda.

- Budzisz w nim strach - szepnęła. - Cofnij się trochę, bo inaczej nic z siebie nie wydusi.

Richard odetchnął głęboko dla uspokojenia. Położył dłoń na ramieniu Jennsen i zastanowił się nad tym, co powiedziała. Odszedł parę kroków i przystanął, a następnie splótł ręce za plecami i zapatrzył się ku wschodowi, ku góróm. To po drugiej stronie niższych, bliżej położonych gór, przytłoczonych cieniem majestatycznych szczytów sterczących ponad stalowoszarymi chmurami, znaleźli ów znak ostrzegawczy i po raz pierwszy ujrzeli czarnosterne chyżoloty.

Niebo zakrywały ciężkie, ciemne chmury, i to aż do owych dalekich, ogromnych szczytów. Kahlan dawno już nie miała wrażenia, że nadciąga burza. Teraz zaś powietrze pachniało deszczem.

- Skąd pochodzisz? - zapytał spokojnie Richard.

Owen odchrząknął, wygładził koszulę i kaftan, odzyskał godny wygląd. Nadal siedział na skrzyni.

- Mieszkam w krainie oświecenia, cywilizacji i wysokiej kultury... w wielkim imperium.

- A gdzie jest owo szlachetne imperium? - zapytał Richard, wciąż wpatrując się w dal.

Owen wyciągnął szyję i spojrzął ku wschodowi. Wskazał odległą ścianę niebosiężnych gór, na które patrzył Poszukiwacz.

- Tam. Widzisz tę wąziutką przełęcz w wysokich górach? Mieszkałem za nią, w imperium za tymi górami.

Kahlan przypomniała sobie, że pytała Richarda, czy według niego uda im się przedostać za te góry. A on w to wątpił. Richard obejrzał się przez ramię.

- Jak się nazywa to imperium?

- Bandakar - wyszeptał ze złości Owen. Przygładził jasne włosy, jakby się chciał zaprezentować jako godny przedstawiciel swoich ojczystych ziem. - Byłem obywatelem Bandakaru, Imperium Bandakarskiego.

Richard odwrócił się i dziwnie w niego wpatrywał.

- Bandakar. A wiesz, co oznacza ta nazwa?

Owen skinął głową.

- Tak. *Bandakar* to starożytne słowo z dawno zapomnianych czasów. Znaczący „wybrańcy”, czyli „wybrane imperium”.

Richard nieco zbladł. Spojrzął Kahlan w oczy i już wiedziała, że dobrze znał znaczenie owego słowa i że Owen błędnie to rozumiał. Potem nagle się opamiętał. W zamyśleniu potarł czoło.

- Czy ty lub ktoś z twojego ludu wie, z jakiego języka pochodzi starożytne słowo *bandakar*?

Owen zbył to machnięciem ręki.

- Nic nie wiemy o tym języku, zresztą już dawno został on zapomniany. Przekazywano sobie jedynie znaczenie tego słowa, bo ważne jest, żeby nasz lud pozostawał wierny owemu dziedzictwu: wybranemu imperium. Jesteśmy narodem wybranym.

Zmieniło się nastawienie Richarda. Gniew zniknął. Podszedł ku chłopakowi i odezwał się łagodnie:

- Dlaczego Imperium Bandakarskie jest nieznane? Dlaczego nikt nic nie wie o twoim ludzie?

Owen spojrzął ku wschodowi, wilgotnymi oczami patrzył ku odległej ojczyźnie.

- Powiadają, że starożytni, ci, którzy nadali nam tę nazwę, chcieli nas chronić, bo jesteśmy szczególnym ludem. Zaprowadzili nas tam, gdzie nikt

inny nie mógł się dostać, bo zewsząd okalały to miejsce góry. Takie góry, jakie jedynie Stwórca mógł spiętrzyć, żeby nas chronić.

- I zostało tylko to jedno przejście. - Richard wskazał ku wschodowi. - To wąziutkie wycięcie w ścianie gór.

- Tak - przyznał Owen, cały czas patrząc ku swojej ojczyźnie. - Tamtędy dostaliśmy się na leżące dalej ziemie, do naszego kraju, ale i inni mogli tamtędy wejść. To nasz jedyny słaby punkt. Jesteśmy oświeconym ludem, który wzniósł się na wyższy poziom, ponad przemoc, lecz na świecie nadal jest wiele dzikich ras. Więc ci starożytni, którzy chcieli, żeby przetrwała nasza zaawansowana kultura, by rozkwitała wolna od brutalności reszty świata... zapieczętowali ową przełęcz.

- I twój lud przez cały ten czas, przez tysiące lat, żył w izolacji.

- Tak. Mamy doskonały kraj, siedlisko zaawansowanej kultury chronione od przemocy ludów, które mieszkają z tej strony gór.

- Jak zapieczętowano tę przełęcz, to wycięcie w górach?

Owen spojrział na Richarda wyraźnie zaskoczony tym pytaniem. Zastanawiał się chwilę.

- No cóż... przejście zostało zamknięte. Nikt tam nie mógł wejść.

- Bo umarłby, gdyby wszedł w tę granicę.

Kahlan przeszył lodowaty dreszcz; pojęła nagle, co zamykało dostęp do tego imperium.

- Nnno tak - zająknął się Owen. - Ale tak musiało być, żeby nikt z zewnątrz nie mógł najechać naszego imperium. Bezwarunkowo odrzucamy wszelką przemoc. To nieoświecone działanie. Przemoc rodzi dalszą przemoc i nie ma to końca. - Widać było, że niepokoi go sama myśl o tym, że mogliby wpaść w taką paskudną pułapkę bez wyjścia. - Jesteśmy na wyższym poziomie, odrzuciliśmy przemoc naszych przodków. Wznieśliśmy się ponad to. Ale bez granicy pieczętującej przełęcz do czasu, gdy i reszta świata, tak jak my, odrzuci przemoc, moglibyśmy paść ofiarą nieoświeconych dzikusów.

- A teraz ta pieczęć została złamana.

Owen opuścił wzrok i przełknął ślinę, zanim odpowiedział.

- Tak.

- Kiedy zniknęła granica?

- Nie wiemy dokładnie. To niebezpieczne miejsce. Nikt nie mieszka w pobliżu, więc nie możemy być całkiem pewni, ale sądzimy, że jakieś dwa lata

temu.

To potwierdziło obawy Kahlan.

Gdy Owen znów na nich spojrział, był uosobieniem nieszczęścia.

- I teraz nasze imperium jest wydane na łup nieoświeconych dzikusów.

- Jakiś czas po zniknięciu granicy przełęcz pokonał Imperialny Ład.

- Tak.

- To z krainy za ośnieżonymi górami, z Imperium Bandakarskiego, są te czarnosterne chyzoloty, nieprawdaż? - spytał Richard.

Chłopak spojrział nań zdumiony, że Richard to wie.

- Tak. Te ohydne stwory, bez grzechu, choć napastliwe, polują na ludzi z moich ziem. Nocą, kiedy ruszają na łowy, nie wychodzimy z domów. Ale i tak te przerażające stworzenia czasami kogoś zaskoczą i złapią, zwłaszcza jakieś dziecko...

- Dlaczego ich nie zabijecie? - spytała z oburzeniem Cara. - Nie przepędzicie? Nie poczęstujecie strzałami z łuków? Drogie duchy, dlaczego choć nie walniecie ich w łeb kamieniem w razie potrzeby?

Uwagi Cary zaszokowały Owena.

- Już mówiłem, że wznieśliśmy się ponad przemoc. A przemoc wobec tych niewinnych stworzeń byłaby czymś jeszcze gorszym. Mamy obowiązek je chronić, bo to my wkroczyliśmy na ich tereny. Wina leży po naszej stronie, bo to my prowokujemy je do takiego, leżącego w końcu w ich naturze postępowania. Godziwie zachowujemy się tylko wtedy, gdy akceptujemy każdy aspekt świata, nie bacząc na uprzedzenia podsuwane nam przez nasze niedoskonałe zmysły.

Richard zdecydowanym gestem nakazał Carze milczenie.

- Czy wszyscy w imperium są tacy pokojowi? - spytał, odciągając uwagę Owena od Mord-Sith.

- Tak.

- A czy od czasu do czasu nie trafiają się tacy, którzy... powiedzmy, nieodpowiednio się zachowują? Na przykład dzieci? Tam skąd pochodzę, dzieci potrafią być niesforne. Wasze dzieci też pewnie czasami takie są.

Owen lekko poruszył ramieniem.

- No tak. Dzieciaki niekiedy źle się zachowują i stają się niezdyscyplinowane.

- I jak postępujecie z takimi dziećmi?

Chłopak odkaszlnął wyraźnie skrępowany.

- Nnno... na jakiś czas wydalamy je z domu.

- Przepędzacie je na jakiś czas - powtórzył Richard. Uniósł ramiona w pytającym geście. - Znanie mi dzieciaki zwykle się cieszą, kiedy się je przepędzi za drzwi. Idą się wtedy bawić.

Owen teatralnie potrząsnął głową, sygnalizując powagę tej sprawy.

- My jesteśmy inni. Od urodzenia przebywamy wśród bliźnich. Wszyscy jesteśmy sobie bardzo bliscy. Jesteśmy od siebie zależni. Troszczymy się o siebie nawzajem. Cały czas spędzamy z innymi. Razem pracujemy, pierzemy, gotujemy. Śpimy w noclegowni, też razem. Wiedziemy oświecony żywot ludzkiej bliskości, międzyludzkich kontaktów. Najwyższą wartością jest wspólne bytowanie.

- Czyli - spytał z udawanym zdziwieniem Richard - gdy się któregoś z was, na przykład dziecko, odpędza, jest to nieszczęście?

Owen przełknął ślinę, łza spłynęła mu po policzku.

- Nie może być już nic gorszego. Odpędzenie, odizolowanie od innych to najgorsze, co nas może spotkać. Wypędzenie w zimny, okrutny świat to koszmar.

Aż drżał, mówiąc o owej karze, myśląc o niej.

- I to wtedy chyzoloty upolują czasem takie dziecko - rzekł współczująco Richard. - Kiedy jest samotne i bezbronne.

Młodzieniec grzbietem dłoni otarł łzę z policzka.

- Kiedy trzeba w ten sposób ukarać jakieś dziecko, podejmujemy wszelkie środki ostrożności. Nigdy nie wypędzamy dziecka z domu nocą, bo właśnie wtedy chyzoloty zwykle polują. Dzieci wypędza się za drzwi wyłącznie w ciągu dnia. Ale kiedy jesteśmy odseparowani od innych, jesteśmy wydani na łup wszelkim okrucieństwom i lękom świata. Samotność to koszmar. Robimy wszystko co w naszej mocy, żeby uniknąć takiej kary. Każde dziecko, które źle postąpi i zostanie na krótko wypędzone, nie powtórzy szybko swego błędu. Nie ma większej radości jak powrót do przyjaciół i rodziny.

- Czyli dla twoich ziomków wygnanie jest największą karą.

Owen patrzył przed siebie.

- Oczywiście.

- I moi ziomkowie są ze sobą blisko. Lubimy być razem i dobrze się

bawimy, kiedy się nas sporo zbierze. Cenimy wspólnie spędzane chwile. Kiedy przez jakiś czas nas nie ma, po powrocie pytamy o wszystkich znajomych.

Owen się uśmiechnął.

- Więc rozumiesz.

Richard skinął głową i odwzajemnił uśmiech.

- Ale niekiedy trafia się ktoś, kto źle postępuje, chociaż jest już dorosły. Staramy się tego unikać jak możemy, ale czasem ktoś zrobi coś złego, chociaż wie, że to złe. Skłamię lub ukradnie. Co gorsza, czasami rozmyślnie skrzywdzi drugą osobę: pobije tego, którego okrada, zgwałci kobietę albo i kogoś zamorduje.

Owen wolał nie patrzeć na Richarda. Wpatrywał się w ziemię.

Richard zaś mówił dalej, powoli chodząc tam i z powrotem.

- Kiedy ktoś zrobi coś równie złego w twoim kraju, Owenie, jak postępują twoi ziomkowie? Jak oświecony lud karze za tak straszliwe przestępstwa?

- Staramy się tłumić takie postępowanie w zarodku - odparł żywo zapytany. - Dzielimy się wszystkim, żeby każdy miał to, co mu potrzebne, i nie musiał kraść. Ludzie kradną, bo czują się dotknięci wyższością innych. Pokazujemy im, że wcale nie jesteśmy lepsi od nich, więc nie muszą się obawiać, że ktoś będzie się ponad nich wywyższał. Uczymy ich, by odrzucili takie działania i postępowali w sposób godny oświeconych.

Richard nonszalancko wzruszył ramionami. Kahlan podejrzewała, że gotów jest wydusić z Owena wszystkie informacje, lecz mimo to okazuje spokój i zrozumienie. Już go takiego widywała. Był Poszukiwaczem Prawdy prawowicie obwołanym przez samego Pierwszego Czarodzieja. Richard czynił powinność Poszukiwacza: dociekał prawdy. Czasem mieczem, czasem słowami.

Choć takim zachowaniem często rozbierał ludzi, których wypytywał, Kahlan stwierdziła, że Owen jest do tego przyzwyczajony i najbardziej mu to odpowiada. I dzięki owej łagodności wyjawiał informacje, których Kahlan nawet się nie spodziewała.

Już dowiedziała się, że to ona jest przyczyną tego, co spotkało owych ludzi.

- Obaj wiemy, Owenie, że mimo najwyższych wysiłków takie próby zmieniania ludzi nie zawsze się udają. Niektórzy nie chcą się zmienić.

Niekiedy ludzie robią bardzo złe rzeczy. Nawet wśród cywilizowanych ludów są tacy, którzy pomimo wszelkich starań ich ziomków nie chcą się zachowywać w cywilizowany sposób. A co gorsza, jeżeli się tego nie ukróci, to tacy nieliczni osobnicy mogą zagrozić całej społeczności. Przecież jeżeli jest wśród was gwałciciel, nie możecie pozwolić, żeby polował na kobiety. Jeśli ktoś popełni morderstwo, nie pozwolicie chyba, żeby swoimi zbrodniami zagroził imperium, nieprawdaż? Nie można byłoby winić społeczności o wysoko rozwiniętej kulturze, że chce chronić swoich oświeconych obywateli przed takimi zagrożeniami. Jednak wy wyrzekliście się wszelkich form przemocy, więc nie możecie fizycznie ukarać takiego człowieka, nie możecie skazać mordercy na śmierć. Jeśli naprawdę, bezwarunkowo wyrzekliście się wszelkiej przemocy. Jak więc oświecona społeczność radzi sobie z tak poważnymi występkami jak morderstwo?

Owen był zlany potem. Nie mógł zaprzeczyć istnieniu morderców - Richard pozbawił go tej możliwości, dowiódł istnienia takich ludzi. Zanim chłopak zdążył się sprzeciwić, Richard już przeszedł do kolejnych zagadnień.

- No cóż - odparł, przetykając ślinę - jak sam mówisz, jesteśmy oświeconymi ludźmi. Jeżeli ktoś skrzywdzi drugiego, to... zostaje potępiony.

- Potępiony. Chcesz powiedzieć, że skazujecie na potępienie nie człowieka, lecz jego czyn. Dajecie mu drugą szansę.

- Właśnie tak. - Owen otarł pot z czoła i spojrzał na Richarda. - Bardzo ciężko pracujemy, żeby zmienić na lepsze ludzi, którzy popełnili takie błędy i których spotkało za to potępienie. Pojmujemy, że ich czyn był wołaniem o pomoc, więc staramy się im pomóc, oświecić, by zrozumieli, że gdy krzywdzą jednego, to krzywdzą wszystkich i że skoro należą do naszego umiłowanego ludu, to krzywdząc kogoś, krzywdzą i siebie. Okazujemy takim ludziom współczucie i zrozumienie.

Kahlan złapała Carę za ramię i twardym spojrzeniem nakazała jej milczenie.

Richard przechadzał się wolno przed Owenem i kiwał głową, jakby uważał jego słowa za rozsądne.

- Rozumiem. Wkładacie wiele wysiłku w przekonanie ich, że już nigdy nie powinni powtórzyć swojego czynu.

Owen kiwnął głową zadowolony, że Richard zrozumiał.

- Jednak zdarzają się i takie przypadki, że ktoś, kto został potępiony i

później wysłuchał oświecających nauk, raz jeszcze popełnia ten sam albo i gorszy występki. Wyraźnie wtedy pokazuje, że nie chce się zmienić na lepsze i że stanowi zagrożenie publicznego porządku, bezpieczeństwa i zaufania. Taka osoba, zostawiona samej sobie, może doprowadzić do tego, że zagnieździ się wśród was to, co bezwarunkowo odrzucacie: przemoc. Może też sprowadzić innych na złą drogę.

Zaczęła opadać lekka mgła. Owen siedział na skrzyni, drżący, wystraszony, samotny. Jeszcze niedawno nie chciał jednoznacznie odpowiadać nawet na najprostsze pytania, a teraz Richard doprowadził do tego, że mówił otwarcie i szczerze.

Friedrich obserwował wszystko spokojnie, gładząc pysk jednego z koni. Jennsen siedziała na głazie, a Betty leżała u jej stóp. Tom stał za Jennsen, z dłonią na jej ramieniu; miał na oku człowieka, którego Kahlan dotknęła swoją mocą. Mężczyzna ten siedział z boku, przysłuchując się obojętnie i czekając na rozkazy swojej pani. Cara stała obok Kahlan, jak zwykle czujna, lecz najwyraźniej pochłonięta opowieścią o rodzinnych ziemiach Owena.

Natomiast Kahlan - świetnie pojmując, z jakim trudem Cara powstrzymuje się od komentarzy - z osłupieniem słuchała opowieści o tajemniczym imperium, którą Richard tak swobodnie wyciągał od człowieka, który go otruł. Nie wiedziała, do czego Richard zmierza swoimi pytaniami. Co miały wspólnego z jego otruciem kary stosowane w imperium? Widziała jednak wyraźnie, że Richard wie, ku czemu zmierza, i że podąża do celu szeroką, jasno oświetloną drogą.

Właśnie zatrzymał się przed Owenem.

- Jak postępujecie w takich przypadkach? Kiedy nie możecie zmienić na lepsze kogoś, kto stał się zagrożeniem dla wszystkich? Co oświecona społeczność robi z takimi osobami?

Owen odpowiedział cichym, wyraźnie słyszalnym we mgle wczesnego poranka głosem:

- Wypędzamy ich.

- Wypędzacie ich. Chcesz powiedzieć, że wysyłacie ich w granicę?

Chłopak przytaknął.

- Przecież wcześniej powiedziałaś, że wejście w granicę oznacza śmierć. Nie możecie ich ot tak odesłać w granicę, bo to by oznaczało wykonanie wyroku śmierci. Musicie mieć jakieś miejsce, do którego ich wysyłacie. Jakiś

specjalny region. Miejsce, do którego możecie ich wypędzić, nie zabijając, lecz skąd nigdy nie powrócą, żeby krzywdzić swoich ziomków.

Owen znów skinął głową.

- Tak. Jest taka okolica. Przełęcz, zamknięta przez granicę, jest stroma i zdradziecka. Ale istnieje szlak wiodący w granicę. Ten szlak wytyczyli ci sami ludzie z pradawnych czasów, którzy chcieli nas ochronić i dlatego wzniesli granicę. Podobno ten szlak pozwala wyjść na jej drugą stronę. Góry są wielkie i strome, więc trudno tamtędy przejść, lecz można się wydostać.

- I tylko dlatego, że to taki trudny szlak, nie można nim wrócić? Znow się znaleźć w Imperium Bandakarskim?

Owen zagryzł dolną wargę.

- Ten szlak prowadzi przez straszliwe tereny. To wąskie przejście przez granicę, pozbawione życia ziemie, gdzie po obu stronach szlaku czyha śmierć. Wypędzony nie dostaje ani wody, ani strawy. Musi to sobie znaleźć po tamtej stronie lub zginąć. U początku szlaku stawiamy obserwatorów, którzy tam czekają, by się upewnić, że wypędzony naprawdę ruszył przejściem, a nie zaczął się w granicy, by wrócić. Obserwatorzy stoją tam kilka tygodni, aby mieć pewność, że taka osoba odeszła w poszukiwaniu wody i strawy, w poszukiwaniu nowego życia z dala od swoich ziomków. Za przełęczą jest okropne, przerażające miejsce: las, w którym korzenie zwieszają się jak węże. Szlak prowadzi pod tymi korzeniami i ściekającą wodą. A jeszcze później, niżej, docierasz do dziwnego miejsca, w którym drzewa są wysoko, wyciągając się ku światłu, a ty widzisz jedynie ich korzenie, skręcające się i sięgające ku ziemi. Powiadają, że gdy już ujrzysz ten las korzeni, to znaczy, że przeszedłeś przez granicę i góry. Powiadają, że od tej strony nie można się już dostać do naszego imperium, nie można tam wrócić tym szlakiem. Wygnanie jest nieodwołalne.

Richard znalazł się tuż przy Bandakarczyku i położył mu dłoń na ramieniu.

- Co zrobiłeś, Owienie, że cię wypędzono?

Chłopak zgiął się wpół, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

ROZDZIAŁ 24

Richard, trzymając dłoń na ramieniu Owena, rzekł pełnym współczucia tonem:

- Opowiedz mi, co się stało, Owenie. Opowiedz to po swojemu.

Kahlan ze zdumieniem - po tym wszystkim, co mówił Owen - przyjęła wiadomość, że jest jednym z wypędzonych. Zobaczyła, że Jennsen aż rozdziawiła usta. Cara uniosła brew.

Kahlan nie miała wątpliwości, że dłoń Richarda, spoczywająca na ramieniu chłopaka, zapewnia biedakowi emocjonalne wsparcie. Wreszcie się wyprostował, powstrzymał łzy. Otarł nos rękawem. Popatrzył na Richarda.

- Mam opowiedzieć całą historię? Calutką?

- Tak. Chciałbym usłyszeć wszystko, od początku.

W tej chwili uderzająco przypominał Kahlan swojego dziadka, Zedda; także w tym, że jak Zedd chciał usłyszeć całą historię.

- Żyłem sobie szczęśliwie wśród moich ziomków. Nosili mnie na rękach, kiedy byłem mały. W ich ramionach zawsze byłem bezpieczny. Wiedziałem, że inne dzieci bywały niegrzeczne i karano je wyrzuceniem, ale sam nigdy nie ściągnąłem na siebie takiej kary. Bardzo chciałem się stać taki jak moi ziomkowie. Nauczali mnie, jak zostać oświeconym. Jakiś czas służyłem im jako mentor. Potem moim ziomkom bardzo się podobało, że jestem taki światły i że tak dobrze ich rozumiem, więc zrobili mnie heroldem naszego miasta. Podróżowałem do pobliskich miast i głosiłem to, w co wierzyli ludzie z mojego miasta. Głosiłem to też w naszych wielkich miastach. Ale najszcześniejszy byłem zawsze w domu, pośród najbliższych mi ludzi. Zakochałem się w kobiecie z mojego miasta. W Marilee.

Owen zatopił się we wspomnieniach. Richard go nie poganiał, cierpliwie czekał, aż sam podejmie opowieść.

- Zakochaliśmy się w sobie wiosną, trochę ponad dwa lata temu. Spędzaliśmy z Marilee czas na rozmowach, trzymaliśmy się za ręce i jeśli tylko mogliśmy, to i wśród innych siadaliśmy obok siebie. Ale ja widziałem jedynie Marilee, ona zaś patrzyła tylko na mnie. A kiedy byliśmy wśród innych, wydawało się nam, że jesteśmy sami na świecie, że świat należy

wyłącznie do nas, że tylko my dostrzegamy całe jego ukryte piękno. Takie uczucie to grzech; takie widzenie tylko siebie to egoizm; pogląd, że tylko nasze oczy tak wyraźnie widzą, to grzeszna pycha. Ale nic na to nie mogliśmy poradzić. Drzewa kwitły tylko dla nas. Woda w strumieniach wyłącznie dla nas śpiewała swoją piosnkę. Księżyc wschodził dla nas i tylko dla nas. - Owen z wolna potrząsnął głową. - Nie możecie pojąć, jak to było... co czuliśmy.

- Całkiem dobrze to rozumiem - zapewnił go spokojnie Richard.

Chłopak spojrział na niego, potem zaś na Kahlan. Skinęła głową, potwierdzając. Zmarszczył w zdumieniu czoło. A później odwrócił wzrok; dziewczyna pomyślała, że pewnie z poczucia winy.

- No i byłem heroldem mojego miasta - podjął Owen - tym, który głosił prawdy uznane przez wszystkich mieszkańców. Czasem pomagałem też ludziom decydować zgodnie z zasadami wysokiej kultury, co jest słuszne. - Z zażenowaniem poruszył ręką. - Jak już mówiłem, kiedyś służyłem ziomkom jako mentor, więc ludzie mi wierzyli.

Richard jedynie skinął głową. Nie przerywał, chociaż Kahlan wiedziała, że - podobnie jak ona - nie pojmuje wielu szczegółów z opowieści Owena. Za to ogólny sens stawał się aż nadto jasny.

- Spytałem Marilee, czy zechciałaby zostać moją żoną, czy wyjdzie za mąż za mnie i za nikogo innego. Odparła, że moje pytanie sprawiło, że jest to dla niej najszczęśliwszy dzień w życiu, bo wyznałem tym, że pragnę tylko jej. Dla mnie też był to najszczęśliwszy dzień w życiu, bo powiedziała, że chce mnie za męża. Wszyscy ogromnie się cieszyli. Kochali nas; długo nas obejmowali, żeby okazać nam swoją radość. Siedliśmy wraz z innymi i omawialiśmy plany weselne, a oni mówili nam, jak bardzo się cieszą, że Marilee i ja będziemy mężem i żoną i przysporzymy dzieci naszej społeczności.

Owen znów zatonął w myślach. Chyba sobie nawet nie zdawał sprawy, że zamilkł.

- Więc odbyło się wspaniałe weselisko? - ponaglił go w końcu Richard.

Chłopak wciąż patrzył przed siebie.

- Pojawili się żołnierze Ładu. To wtedy się zorientowaliśmy, że pękła pieczęć chroniąca nas od początku czasu. Już nie było bariery ochronnej. Nasze imperium stało otworem dla dzikusów, bezbronne wobec nich.

Kahlan wiedziała, że to przez nią zniknęła granica i ci ludzie zostali pozbawieni ochrony. Nie miała wtedy wyboru, ale i tak ciężko jej było o tym słuchać.

- Przyszli do miasta, w którym byłem heroldem. Nasze miasto, tak jak i inne, otoczone jest murami. To ci, którzy nadali nam nazwę Bandakar, nakazali, by miasta budować właśnie tak. Mądrze uczynili, nakazując nam to. Mury chronią nas przed zwierzętami z lasów: jesteśmy bezpieczni i nie musimy krzywdzić innych stworzeń w swojej obronie. Żołnierze Ładu rozbili obóz pod murami. W mieście naprawdę nie było dla nich miejsca. Nie mamy gdzie pomieścić tak wielu ludzi, bo z innych miast nigdy nie zjawia się aż tylu gości. Co gorsza, bałem się pozwolić komuś o ich wyglądzie spać z nami pod jednym dachem. Taki strach był naganny. Wiem, że to było moje uchybienie, nie ich, ale się bałem. Byłem heroldem naszego miasta, więc poszedłem do ich obozu ze strawą i darami. Przepęłniało mnie grzeszne poczucie lęku. Byli wielcy. Niektórzy mieli długie, ciemne, tłuste, zmierzwione włosy, inni - zupełnie ogolone głowy. Wielu nosiło brudne brody z szorstkich kudłów, a żaden z nich nie miał takich złocistych włosów jak ja i moi ziomkowie. Szokowało to, że nosili skóry zwierząt, skórzane pancerze, łańcuchy, żelastwo i rzemienie nabijane ostrymi kolcami. U pasów wisiały im groźnie wyglądające narzędzia, jakich wcześniej nie widziałem. Potem dowiedziałem się, że to broń. Powiedziałem tym dziwaczny obcym, że witamy ich i dzielimy się z nimi tym, co mamy, że ich gościnnie i z uszanowaniem przyjmujemy. Poprosiłem, by zasiedli wśród nas, pogawędzili.

Wszyscy czekali w milczeniu. Łzy spływały po twarzy Owena i skapywały z niej.

- Ludzie Ładu nie zasiedli z nami. Nie pogawędzili. Chociaż przemówiłem do nich, zachowywali się tak, jakbym nie zasługiwał na uwagę, na poważne traktowanie. Tak szczyrzyli zęby w uśmiechach, jakby zamierzali mnie zjeść. Staralem się rozwiać ich obawy, bo to lęk wzbudzany przez innych rodzi w nas wrogość. Zapewniłem ich, że jesteśmy pokojowo nastawieni i nie zamierzamy wyrządzić im żadnej krzywdy. Że zrobimy co w naszej mocy, żeby godnie ich przyjąć. Wtedy przemówił do mnie ich herold, co zwał siebie „dowódcą”. Powiedział, że się nazywa Luchan. Bary miał dwa razy takie jak moje, choć wcale nie był ode mnie wyższy. Ten Luchan rzekł,

że mi nie wierzy. Byłem przerażony, usłyszawszy to. Powiedział, że jego zdaniem moi ziomkowie mają wobec niego złe zamiary. Zarzucił nam, że chcemy zabić jego ludzi. Byłem wstrząśnięty, że tak o nas myśli, zwłaszcza po tym, jak mu przekazałem, że witamy ich z otwartymi ramionami. Byłem wstrząśnięty świadomością, że zrobiłem coś, co mu nasunęło myśl, że zagrażamy i jemu, i jego ludziom. Zapewniłem go, że mamy wobec nich wyłącznie pokojowe zamiary. Wtedy Luchan się do mnie uśmiechnął. Jednak nie był to radosny uśmiech, nie taki, jakie dotąd widywałem. Powiedział, że zamierzają spalić miasto i wszystkich wybić, żebyśmy ich nie zaatakowali, kiedy zasną. Błagałem go, żeby uwierzył w nasze pokojowe nastawienie, żeby zasiadł wśród nas i podzielił się swoimi troskami, a my wtedy zrobimy co trzeba, by rozwiać jego wątpliwości i udowodnić, że miłujemy go jako naszego bliźniego. A Luchan na to, że nie spali miasta i nie zabije nas wszystkich pod jednym, jak to nazwał, warunkiem. Powiedział, że uwierzy w nasze słowa dopiero wtedy, kiedy na dowód szczerości i dobrej woli wydam mu moją kobietę. I że jeżeli mu jej nie przyślę, to wina za wszystko, co się stanie, spadnie na moją głowę, bo z nimi nie współpracowałem, bo nie wykazałem im swojej szczerości i dobrej woli. Wróciłem, żeby wysłuchać swoich ziomków. Wszyscy się z tym zgodzili i powiedzieli, że muszę to zrobić, że muszę posłać Marilee ludziom Ładu, żeby ci nie spalili naszego miasta i nie wymordowali nas. Poprosiłem, żeby tak szybko nie podejmowali decyzji, i zasugerowałem, że moglibyśmy zamknąć bramy w murach, a wtedy nie byłoby w stanie tu wejść i skrzywdzić nas. A oni na to, że tacy ludzie na pewno znajdą sposób, żeby rozbić mur, i że wtedy nas wymordują za to, żeśmy zamknęli bramy i zhańbili ich naszą zjadłością. Wszyscy głośno twierdzili, że muszę udowodnić temu Luchanowi naszą szczerość, dobrą wolę i pokojowe nastawienie, że muszę rozwiać jego lęk przed nami. Nigdy jeszcze nie czułem się taki samotny pośród moich ziomków. Nie mogłem się sprzeciwić ich jednogłośnie decyzji, bo uczą nas, że tylko głosy ludzi złączone w jeden głos mogą wskazać właściwą drogę. Jedna osoba nie może wiedzieć, co jest słuszne. Jedynie konsensus uprawomocnia orzeczenie. Stałem przed Marilee na uginających się kolanach. Usłyszałem, jak pytam ją, czy chce, bym wypełnił wolę naszego ludu i tamtych. Powiedziałem jej, że jeżeli zechce, to ucieknę razem z nią. Płakała, mówiąc, że nie chce słyszeć ode mnie takich grzesznych zdań, które

oznaczałyby śmierć pozostałych. Powiedziała, że musi iść do ludzi Ładu i uspokoić ich, aby nie doszło do przemocy. Że opowie im o naszym spokojnym życiu i ułagodzi ich. Byłem dumny z Marilee, że tak stoi na straży najważniejszych wartości naszego ludu. I chciałem umrzeć za to, że jestem dumny z czegoś, co mi ją odbierze. Pocałowałem ostatni raz Marilee i nie mogłem już powstrzymać łez. Tuliłem ją i płakaliśmy razem. Potem zaprowadziłem ją do człowieka, który był ich dowódcą, do Luchana. Miał gęstą czarną brodę, wygoloną głowę i pierścienie w uchu oraz nozdrzu. Powiedział, że dokonałem właściwego wyboru. Jego spalone słońcem ramiona były niemal tak grube jak kibić Marilee. Wielką, brudną łapą ujął ramię Marilee i pociągnął ją za sobą, a mnie kazał „zmiatać” do mojego miasta, do moich ludzi. Jego żołnierze wyśmiewali się ze mnie, patrząc, jak idę z powrotem. Ład zostawił miasto i nas w spokoju. Mieliśmy pokój, który kupiłem za Marilee. Ale ja nie miałem spokoju w sercu. Żołnierze Ładu na jakiś czas odeszli. Potem, pewnego popołudnia, wrócili i zawołali, żebym do nich wyszedł. Spytałem Luchana o Marilee, czy zdrowa, czy szczęśliwa. Luchan odwrócił głowę i splunął, a potem odparł, że nie wie, że nigdy jej nie pytał. Zatraskałem się, spytałem, czy rozmawiała z nim o naszym spokojnym życiu, i zapewniłem, że nie mamy wobec niego złych zamiarów. A on na to, że kiedy jest z kobietami, to się raczej nie interesuje ich gadaniem. Mrugnął do mnie. Chociaż jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś w ten sposób mrugał, pojąłem, co miał na myśli. Bardzo się bałem o Marilee, ale napomniałem się, że nic nie jest realne, że na podstawie tego, co słyszę, nie mogę uznać, że coś jest prawdziwe. A słyszałem jedynie, co ten człowiek mówił o rzeczach, jak je widział, i wiedziałem, że doświadczam zaledwie części świata. Same oczy i uszy nie umożliwią mi poznania rzeczywistości. Wtedy Luchan rzekł, że powinienem otworzyć bramy miasta, bo inaczej uznają, że okazujemy im wrogość. Że jeśli nie zrobimy tego, zacznie się okres przemocy. Wróciłem i powtórzyłem jego słowa zgromadzonym wokół mnie ziomkom. Wszyscy przemówili jednym głosem i oznajmili, że musimy otworzyć bramy i zaprosić ich do miasta na dowód, że nie żyjemy wobec nich wrogości i uprzedzeń. Ludzie Ładu weszli przez bramy, które szeroko przed nimi otwarliśmy, i pojмали prawie wszystkie kobiety, zarówno dziewczynki, jak i babki. Stałem z innymi mężczyznami i błagaliśmy ich, żeby zostawili nasze kobiety, żeby zostawili nas w spokoju. Mówiłem, że zgodziliśmy się na ich

żądania na dowód tego, że nie mamy wobec nich złych zamiarów, ale że to do niczego dobrego nie doprowadziło. Nie chcieli słuchać. Powiedziałem Luchanowi, że wydałem mu Marilee, jak tego żądał, za spokój. Że powinni honorować swoje zobowiązania. A Luchan i jego ludzie się śmiali. Nie wiem, czy to, co wtedy widziałem, było realne. Rzeczywistość znajduje się w sferze przeznaczenia, my zaś, tkwiąc w miejscu, które zwiemy światem, nie możemy poznać jej w całej pełni. Owego dnia spadło na nas przeznaczenie, a my nie mogliśmy nic na to poradzić. Wiedzieliśmy, że nie wolno nam walczyć z przeznaczeniem, bo zostało już wcześniej ustalone w prawdziwej rzeczywistości, której nie potrafimy dostrzec. Patrzyłem, jak wloką nasze kobiety. Patrzyłem, nie mogąc nic zrobić, jak wołają nas, wykrzykują nasze imiona, jak wyciągają ku nam ręce, jak łapy tych wielkich mężczyzn chwytają nasze kobiety i zabierają je. Takich krzyków nigdy jeszcze nie słyszałem.

Zdawało się, że chmury zasnuwające niebo lada chwila dotkną wierzchołków drzew. W przygniatającej ciszy Kahlan usłyszała, jak jakiś ptak śpiewa w sosnach ościstych. Owen był sam, samiuteńki, pogrążony w straszliwych wspomnieniach. Richard stał, krzyżując ramiona. Przyglądał się mu, lecz nic nie mówił.

- Ruszyłem do innych miast - odezwał się w końcu Owen. - Do kilku Ład dotarł przede mną. Postąpili tam podobnie jak u nas: zabrali kobiety. W niektórych zabrali również paru mężczyzn. Byłem także w miastach, do których Ład jeszcze nie dotarł. Jako herold mojego miasta opowiadałem ludziom, co nas spotkało, i namawiałem ich, żeby jakoś przeciwdziałali. Gniewali się na mnie i odpowiadali, że opór jest naganny, że stawianie oporu to wracanie do przemocy, że wtedy nie będziemy lepsi od tych dzikusów. Nakłaniali mnie, żebym się wyrzekł tych pomysłów i postępował zgodnie z mądrością złączonych głosów naszego ludu, co dało nam oświecenie i tysiące lat pokoju. Mówili mi, że spoglądam na wydarzenia moim ograniczonym wzrokiem, a nie poprzez sprawiedliwy osąd grupy. Udałem się do jednego z naszych ważnych ośrodków i oznajmiłem im, że pieczęć na przełęczy została złamana, że dotarł tutaj Imperialny Ład i że należy jakoś przeciwdziałać. Nakłaniałem ludzi, żeby mnie wysłuchali i rozważyli, co możemy zrobić, żeby bronić naszych ziomków. Ponieważ byłem nieuprzejmie uparty, zgromadzenie heroldów zaprowadziło mnie do mentora, żebym skorzystał z jego rady. To wielki zaszczyt wysłuchać słów

mentora. Mentor pouczył mnie, że powinienem wybaczyć tym, którzy uczynili to wszystko moim bliźnim, że powinienem im to wybaczyć, skoro mamy skończyć z przemocą. Głosił, że gniew i wrogość okazywane przez ludzi Ładu są przejawem ich wewnętrznej udręki, wołaniem o pomoc i że żołnierzom Ładu należy okazać współczucie i zrozumienie. Powinienem się ukorzyć przed mądrymi naukami, jakich może udzielić jedynie mentor, ale ja otwarcie mówiłem, że chcę, by Marilee i inni wrócili od ludzi Ładu, i że chcę, by heroldowie mi w tym pomogli. Mentor rzekł, że Marilee odnajdzie szczęście beze mnie i że ciąży na mnie grzech egoizmu, bo chcę ją zatrzymać tylko dla siebie. Powiedział, że pozostałych ludzi spotkało przeznaczenie i że nie mnie to przeznaczenie kwestionować. Zapewniałem heroldów i mentora, że ludzie Ładu nie dotrzymali obietnic złożonych przez Luchana w zamian za wydanie Marilee. Mentor odparł, że Marilee postąpiła właściwie, spokojnie idąc do tych ludzi, żeby mógł się zakończyć okres przemocy. Powiedział, że grzechem i egoizmem było z mojej strony stawianie moich zachcianek ponad spokojem, na rzecz którego bezinteresownie działała Marilee, i że to zapewne moja postawa wywołała gniew żołnierzy Ładu. Zapytałem więc, co miałem robić, skoro postępowałem uczciwie, tamci zaś nie. Mentor rzekł, że źle czynię, potępiając ludzi, których nie znam, którym nie wybaczyłem, których nie starałem się zaakceptować czy choćby zrozumieć. Mówił, że powinienem ich zachęcić do pokojowych czynów, padając przed nimi na twarz i błagając ich, żeby mi wybaczyli postępowanie, które rozpało w nich udrękę przypomnieniem wyrządzonego im niegdyś zła. Wówczas, w obecności innych heroldów, powiedziałem mentorowi, że nie chcę wybaczać tym ludziom, nie chcę ich akceptować, ale że chciałbym ich przepędzić z naszego życia. Zostałem potępiony.

Richard podał Owenowi kubek wody, lecz nic nie powiedział. Chłopak pił, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- Zgromadzenie heroldów nakazało, bym wrócił do mojego miasta i poszukał rady tych, pośród których żyję. Bym prosił mieszkańców o przywrócenie na naszą drogę. Wróciłem więc z zamiarem odpokutowania wszystkiego i przekonałem się, że jest gorzej niż przedtem. Ład znowu był w mieście i brał, co chciał: żywność i wszelkie dobra. Dalibyśmy im wszystko, czego by chcieli, lecz oni nigdy o nic nie prosili, tylko sobie brali. Uprawdzili też kolejnych mieszkańców: kilku chłopców oraz tych, którzy

byli młodzi i silni. Zabili tych, którzy uchybili godności żołnierzy Ładu. Ludzie, których znałem, stali, patrząc pozbawionymi wyrazu oczami na krew znaczącą miejsca, w których pomarli nasi przyjaciele. Niekiedy zbierali się, by usypać kurhan nad krwawymi śladami. Takie miejsca stały się święte i ludzie klękali tam, żeby się pomodlić. Dzieci nie przestawały płakać. Nie było komu mnie nauczać. Wszyscy w moim mieście dygotali za zamkniętymi drzwiami, lecz spuszczaali oczy i otwierali, kiedy rozległo się pukanie ludzi Ładu, bo inaczej byśmy ich obrazili. Nie mogłem już dłużej znieść pobytu w naszym mieście. Uciekłem z niego, choć bałem się samotności. Wśród wzgórz znalazłem innych, równie samolubnych jak ja, kryjących się z obawy o własne życie. Wspólnie postanowiliśmy coś zrobić, spróbować położyć kres nieszczęściu. Postanowiliśmy przywrócić spokój. Najpierw wysłaliśmy delegatów, żeby pomówili z żołnierzami Ładu, zapewnili ich, że nie chcemy ich skrzywdzić, że chcemy z nimi zgody. Mieli zapytać, jak możemy ich zadowolić. Ludzie Ładu powiesili posłańców za kostki na granicy naszego miasta i żywcem obdarli ze skóry. Znałem ich przez całe życie, nauczali mnie, doradzali mi, jedli ze mną i obejmowali z radością, kiedy im powiedziałem, że chcemy się pobrać z Marilee. A żołnierze Ładu zostawili ich tak, wiszących za kostki i wrzeszczących ze straszliwego bólu w gorącym letnim słońcu, wydali na łup czarnosternych chyżolotów, które się do nich zleciały. Napomniałem się, że to, co widzę, nie jest realne i że nie powinienem w to wierzyć. Że być może moje oczy mnie zwodzą, karząc za grzeszne myśli, i że mój umysł nie potrafi rozróżnić, czy ów widok jest prawdą, czy iluzją. Ludzie Ładu nie zabili wszystkich naszych posłańców. Kilku odesłali z wieścią. Powiadali, że jeśli nie zejdziemy ze wzgórz i nie wrócimy do miasta na znak, że nie zamierzamy na nich napadać, to zaczną obdzierać ze skóry po tuzinie ludzi dziennie i wieszać ich na palach dla chyżolotów. I że będą tak robić, póki nie wrócimy, wykazując tym nasze pokojowe zamiary, lub póki nie zostanie nikt żywy w mieście. Wielu z nas płakało, nie mogąc znieść myśli, że staną się przyczyną przemocy, no i wrócili do miasta na znak, że nie żywią złych zamiarów. Nie wszyscy wróciliśmy. Część pozostała na wzgórzach. Skoro większość wróciła, a Ład nie wiedział, ilu nas było, uznali, że wszyscy ustąpiliśmy ich żądaniom. My zaś ukrywaliśmy się na wzgórzach, żywiąc się orzechami, owocami i jagodami oraz tym, co zdołaliśmy ukraść z gospodarstw wokół miasta.

Stopniowo gromadziliśmy to, co nam było potrzebne. Powiedziałem moim towarzyszom, że powinniśmy się dowiedzieć, co Ład robi z naszymi uprowadzonymi ziomkami. Ponieważ ludzie Ładu nas nie znali, mogliśmy się czasem przyłączyć do tych, którzy pracowali na polach czy zajmowali się zwierzętami, i wśliznąć się do miasta bez wiedzy Ładu. Nie mieli pojęcia, że jesteśmy ze wzgórz. Tak przez następne miesiące śledziliśmy i obserwowaliśmy żołnierzy Ładu. Dzieci odesłano, lecz wszystkie kobiety umieszczono w, jak oni to nazywali, obozie umocnionym na wypadek ataku.

- Owen ukrył twarz w dłoniach i mówił, wstrząsany łkaniem. - Zrobili z naszych kobiet reproduktorki. Chcieli, żeby rodziły jak najwięcej dzieci żołnierzy. Niektóre już były ciężarne. Przez następne półtora roku urodziło się wiele dzieci. Jakiś czas pozostawały one przy matkach, a kiedy te znów stawały się brzemiennie, dzieci gdzieś odsyłano. Nie wiem dokąd, gdzieś poza nasze imperium. Mężczyzn uprowadzonych z miast też wysyłano poza imperium. Ci z Ładu niezbyt pilnie strzegli więźniów, bo nasi ludzie odrzucają przemoc, więc kilku mężczyzn uciekło i przyłączyło się do nas na wzgórzach. Opowiedzieli nam, że żołnierze zaprowadzili ich do kobiet i oznajmili, że jeżeli nie zrobią tego, co się im każe, to wszystkie te kobiety umrą: zostaną żywcem obdarte ze skóry. Ci, którzy uciekli, nie wiedzieli, dokąd ich miano zabrać ani co by mieli robić. Wiedzieli tylko, że jeżeli nie wykonają poleceń, to ściągną przemoc na nasze kobiety. Po półtora roku ukrywania się i spotkań z innymi dowiedzieliśmy się, że Ład rozprzestrzenił się po naszym imperium, zajął inne miasteczka i miasta. Mentor i heroldowie się ukryli. Przekonaliśmy się, że niektóre miasteczka i miasta zaprosiły do siebie Ład z zamiarem ułagodzenia jego żołnierzy i powstrzymania ich od wyrządzania zła. Lecz chociaż nasi ziomkowie robili co w ich mocy, nie udało się im wyciszyć agresji żołnierzy Ładu. Nie mogliśmy pojąć, dlaczego tak się dzieje. Za to w niektórych największych miastach było inaczej. Ich mieszkańcy wysłuchali heroldów Ładu i uwierzyli, że jego cele są naszymi celami, że Imperialny Ład, dokładnie tak jak my, chce położyć kres niesprawiedliwości i ciemieniu. Ład przekonał ich, że jego ludzie nienawidzą przemocy, że są równie oświeceni jak my, ale że musieli wrócić do przemocy, żeby pokonać tych, którzy chcieliby nas wszystkich ujarzmić. Głosili, że są orędownikami naszej idei, idei oświecenia. Mieszkańcy z tych miast radowali się, że są nareszcie w rękach wybawców,

którzy poniosą naszą ideę oświecenia dzikusom nie potrafiącym jeszcze żyć w spokoju.

Richard, ucieleśnienie nadciągającej burzy, nie zdołał już utrzymać języka za zębami.

- I po tych wszystkich aktach bestialstwa ci ludzie uwierzyli słowom Imperialnego Ładu?!

Owen rozłożył ręce.

- Omamiły ich zapewnienia Ładu, że walczy o te same zasady, według których i my żyjemy. Przekonywali mieszkańców owych miast, że uczynili to wszystko wyłącznie dlatego, że ludzie z mojego i podobnych mu miejsc zbratali się z dzikusami z północy, z tymi z imperium D'Hary. Już wcześniej słyszałem tę nazwę: imperium D'Hary. W ciągu tych osiemnastu miesięcy spędzonych z innymi na wzgórzach podróżowałem niekiedy poza nasze ziemie, żeby spróbować znaleźć tam coś, co by nam pomogło wyrzucić Imperialny Ład z Bandakaru. I w trakcie tych wypraw odwiedziłem niektóre miasta tego, jak oni to nazywali, Starego Świata. W jednym z nich, w Altur'Rang, usłyszałem wieści o wielkim człowieku z północy, z imperium D'Hary, który przyniósł wolność. Inni moi ludzie też podróżowali. Kiedy wracaliśmy, opowiadaliśmy sobie o tym, cośmy widzieli i słyszeli. Wszyscy, którzy wrócili, mówili to samo: że słyszeli o człowieku zwanym lordem Rahlem i o jego żonie Matce Spowiedniczce, którzy walczyli z Imperialnym Ładem. Potem dowiedzieliśmy się, gdzie się ukrywa mentor i większość najlepszych heroldów. Byli w jednym z naszych największych miast, do którego Ład jeszcze nie dotarł. Ład był zajęty gdzie indziej, tu mu się nie spieszyło. Moi ziomkowie i tak nie mieli dokąd im uciec. Moi towarzysze chcieli, żebym został ich heroldem, żebym porozmawiał z tamtymi heroldami, przekonał ich, że musimy jakoś powstrzymać Imperialny Ład, wyrzucić jego żołnierzy z Bandakaru. Udałem się więc do owego wielkiego miasta, w którym jeszcze nigdy nie byłem, poruszony widokiem tego, co zbudowała nasza wspaniała kultura. Kultura bliska unicestwienia, jeżeli nie nakłonię wielkich heroldów i mentora, by wymyślili coś, co powstrzyma Ład. Przemawiałem do nich z ogromną żarliwością. Opowiedziałem im o wszystkim, co zrobił Ład. O moich czekających w ukryciu ludziach, ludziach czekających na słowo zachęcające do działania. Wielcy heroldzi odparli, że na podstawie tego, co widziałem ja i kilku innych mężczyzn, nie potrafię

ocenić prawdziwej natury Ładu. Imperialny Ład to ogromna nacja, a my widzieliśmy jedynie drobny jej odprysk. Twierdzili, że ludzie nie mogą popełniać tak okrutnych czynów jak te, o których im opowiedziałem, bo cofnęliby się w przerażeniu, zanim doprowadziliby je do końca. By to udowodnić, poprosili, żebym spróbował obedrzeć ze skóry jednego z nich. Przyznałem, że nie mógłbym tego uczynić, lecz powtórzyłem, że widziałem, jak robili to ludzie Ładu. Heroldzi zlekceważyli moje zapewnienia, że tak naprawdę było. Pouczyli mnie, iż nie wolno mi zapominać, że nie nam poznawać rzeczywistość. Wmawiali mi, że członkowie Imperialnego Ładu prawdopodobnie obawiali się, że możemy być agresywni, i po prostu chcieli wypróbować naszą determinację, bałamucąc nas, iż opisane przeze mnie zdarzenia działały się naprawdę. W ten sposób pragnęli się przekonać, jak zareagujemy: czy naprawdę jesteśmy pokojowo nastawieni, czy też ich zaatakujemy. Wielcy heroldzi napomnieli mnie też, że przecież nie mogą wiedzieć, czy naprawdę widziałem to, o czym im opowiadam, i że gdybym nawet to wiedział, nie potrafiłbym ocenić, czy postępowanie to płynęło ze złej czy dobrej woli, albowiem nie mnie oceniać motywy nie znanych mi ludzi. Twierdzili, że taka ocena świadczyłaby, że się stawiam ponad nimi, a to już byłby akt z góry powziętej wrogości. Nie mogłem przestać myśleć o tym wszystkim, co widziałem, o moich towarzyszach, którzy zgodnie postanowili, że musimy przekonać wielkich heroldów, by chronili nasze imperium. Nieustannie miałem w pamięci twarz Luchana. A potem pomyślałem o Marilee w łapach tego człowieka. O jej poświęceniu, o tym, że daremnie naraziła się na te okropieństwa. Wykrzyczałem wielkim heroldom, że są źli.

Cara parsknęła krótkim śmiechem.

- No proszę, jednak potrafisz ocenić, co jest realne, jak już ruszysz głową.

Richard posłał jej miazdzące, gniewne spojrzenie. Owen podniósł wzrok, zamrugał. Był tak zatopiony w swoich wspomnieniach, że właściwie nie usłyszał Mord-Sith. Popatrzył na Richarda.

- To wtedy mnie wygnali.

- Przecież granica zniknęła - rzekł Richard. - I tak chodziłeś tam i z powrotem przez przełęcz. Jak mogli nakazać wygnanie, skoro nie było już granicy?

Owen niedbale machnął ręką.

- Oni nie potrzebują ściany śmierci. Wygnanie to swego rodzaju wyrok śmierci: skazany umiera jako obywatel Bandakaru. Moje imię zostałoby ogłoszone w całym imperium i wszyscy by ode mnie stronili. Odpędzono by mnie od każdych drzwi. Stałem się jednym z wypędzonych. Nikt nie chciałby się ze mną stykać. Zostałem wygnańcem, wyrzutkiem. Nie ma znaczenia, że nie mogli mnie wyrzucić za ochronną barierę, skoro wyrzucili mnie z mojej społeczności. Bo to było jeszcze gorsze. Wróciłem na wzgórze, do moich towarzyszy, żeby zabrać swoje rzeczy oraz wyznać moim ludziom, że zostałem wygnany. Zamierzałem opuścić rodzinne ziemie, jak mi nakazał lud ustami heroldów, naszych wielkich heroldów. Ale moi towarzysze ze wzgórz nie chcieli pozwolić mi odejść. Mówili, że wygnanie było złą decyzją. Ci ludzie widzieli to samo co ja. Uprawdzono ich żony, matki, córki i siostry. Widzieli pomordowanych przyjaciół, widzieli obdzieranych żywcem ze skóry, których porzucono na straszliwą śmierć, widzieli, jak zlatują się chyzoloty i kołują nad zawieszonymi na palach. Orzekli, że skoro oczy nas wszystkich to widziały, to musi to być prawdziwe, musi być realne. Stwierdzili, że odeszliśmy na wzgórze, bo kochamy nasz kraj i chcemy odzyskać pokój, który tu niegdyś panował. Mówili, że to wielcy heroldzi nie widzą i dlatego skazują naszych ziomków na śmierć z rąk okrutnych dzikusów, a tych, którzy przeżyją, na bytowanie pod straszliwą władzą Imperialnego Ładu, na los niewolników i reproduktorów. Wstrząsnęło mną to, że moi towarzysze mnie nie odrzucili, chociaż stałem się wygnańcem, że chcieli, bym z nimi zostałem. To właśnie wtedy zdecydowaliśmy, że to my będziemy przeciwdziałać, że ułożymy plan, którego oczekiwaliśmy od heroldów. Kiedy spytałem, co zaplanujemy, wszyscy powiedzieli to samo. Wszyscy orzekli, że musimy skłonić lorda Rahla, żeby tu przybył i dał nam wolność. Postanowili to jednogłośnie. Potem debatowaliśmy, jak to uzyskamy. Niektórzy mówili, że ktoś taki jak lord Rahl powinien przyjść i wypędzić Ład, kiedy go o to poprosimy. Inni sądzili, że możesz odmówić, bo jesteś nieoświecony, nie żyjesz według naszych zasad i nie pochodzisz z naszego ludu. Kiedyśmy rozważyli tę możliwość, uznaliśmy, iż musimy znaleźć jakiś sposób, żebyś musiał tu przybyć, żebyś nie mógł nam odmówić. Ponieważ byłem wygnańcem, powiedziałem, że ja się tym zajmę. Dopóki nie przepędzimy Ładu i nie przywrócimy naszych zasad, i tak nie mogę żyć pośród mojego ludu, a jedynie na wzgórzach. Oznajmiłem więc moim

towarzyszom, że nie wiem, gdzie znajdę lorda Rahla, lecz że nie ustane, póki go nie odszukam. Ale najpierw jeden z naszych, starszy człowiek, który całe życie zajmował się ziołami i lekami, przyrzucił mi truciznę, którą dodałem do twojego bukłaka. Przyrzucił też i antidotum. Powiedział mi, jak działa trucizna i jak ją zneutralizować, bo przecież nikt z nas nie chciał, żeby doszło do morderstwa, choćby i nieoświeconego człowieka.

Richard spojrział z ukosa na Kahlan. Zrozumiała, że chce, by trzymała język za zębami, i wie, jakie to dla niej trudne. Podwoiła wysiłki.

- Martwiłem się, jak cię odnajdę - powiedział Owen do Richarda - ale wiedziałem, że muszę. Jednak zanim wyruszyłem na poszukiwania, musiałem ukryć resztę antidotum, jak to sobie zaplanowaliśmy. Kiedy byłem w jednym z miast, które Ład przeciągnął na swoją stronę, słyszałem na targu, jaki to wielki zaszczyt spotkał to miasto, bo przybył tu najważniejszy człowiek Imperialnego Ładu w Bandakarze. Przyszło mi na myśl, że ów człowiek może coś wiedzieć o najbardziej nienawidzonej przez Ład osobie, o lordzie Rahlu. Zostałem więc w tym mieście kilka dni, obserwując miejsce, w którym miał ponoć przebywać ów wielki człowiek. Patrzyłem, jak przychodzą i odchodzą żołnierze. Jak czasami wprowadzają tam ludzi, którzy później stamtąd wychodzą. Któregoś dnia zobaczyłem, że ludzie wychodzą stamtąd i że nic złego ich nie spotkało. Zbliżyłem się więc do nich, żeby posłuchać, co mówią. Usłyszałem, że widzieli wielkiego człowieka we własnej osobie. Nie dosłyszałem, co mówili o wizycie, jednak żaden z nich nie opowiadał, że spotkało go coś złego. I wtedy zobaczyłem, że wychodzą żołnierze, i pomyślałem, że może chcą zabrać kolejną grupę, by zobaczyła tego wielkiego człowieka. Postarałem się dotrzeć przed nimi na główny plac zgromadzeń. Czekałem tam w pobliżu wolnych miejsc pomiędzy ławami. Wpadli żołnierze i zgarnęli tłumek ludzi, w tym mnie. Bardzo się bałem tego, co mi się może przytrafić, ale uznałem, że może to być jedyna sposobność dostania się do siedziby ważnego człowieka, jedyna okazja ujrzenia go, obejrzenia wnętrza i wypatrzenia kryjówki, do której mógłbym się potem zakraść i podsłuchiwać, czego nauczyłem się, żyjąc z moimi towarzyszami na wzgórzach. Postanowiłem to zrobić, żeby zdobyć jakąś informację o lordzie Rahlu. Ale i tak drżałem ze strachu, kiedy zabrali nas do owej budowli i poprowadzili korytarzami i schodami na ostatnie piętro. Bałem się, że mnie prowadzą na rzeź, i chciałem uciec, ale pomyślałem o

towarzyszach, którzy zostali na wzgórzach, o moich ludziach, którzy zdali się na mnie, że odnajdę lorda Rahla i sprowadzę go do Bandakaru, aby dał nam wolność. Przez ciężkie drzwi wprowadzono nas do ciemnego pokoju, który napełnił mnie grozą, bo pachniał krwią. Okna na dwóch ścianach puściutkiego pokoju zasłaniały okiennice. Zobaczyłem, że po przeciwnej stronie pokoju stoi stół, a na nim szeroka misa. W pobliżu stołu sterczał rząd grubych, zaostrzonych palików sięgających mi po pierś. Wszystkie były splamione krwią. Zemdlały dwie kobiety i jeden z mężczyzn. Rozgniewani żołnierze kopali ich w głowy. Kiedy się nie podnieśli, żołnierze wywlekli ich za ręce. Wleczeni zostawiali na podłodze krwawe smugi. Nie chciałem, żeby i moją czaszkę rozgniótł but któregoś z tych strasznych ludzi, więc postanowiłem nie mdleć. Nagle do pokoju, niczym powiew zimnego wiatru, wśliznął się jakiś człowiek. Jeszcze nigdy nikogo tak się nie bałem jak jego. Odziany był w wiele warstw pasów materii, które powiewały za nim, kiedy się poruszał. Włosy, czarne jak smoła i lśniące od olejków, miał zaczesane do tyłu. I przez to nos sterczał mu jeszcze bardziej. Małe, czarne oczy miały czerwone obwódki. Kiedy wlepił we mnie te paciorkowate oczy, musiałem sobie przypomnieć, że postanowiłem nie mdleć. Mijał nas powoli i przyglądał się każdemu, jakby sobie wybierał rzepę na kolację. To właśnie wtedy, kiedy spod dziwnego odzienia ukazały się guzowate palce, którymi niedbale wskazał, jedną po drugiej, pięć osób, dojrzałem, że i paznokcie ma pomalowane na ten sam kolor co włosy. Skinął dłonią, odprowadzając nas. Żołnierze znaleźli się między wybraną piątką a nami i zaczęli nas spychać ku drzwiom. I właśnie wtedy, zanim zdążyli nas stamtąd usunąć, zjawił się dowódca ze skrzywionym nosem i powiedział, że przybył posłaniec. Mężczyzna o czarnych włosach przeczesał je czarnymi paznokciami i rzekł do dowódcy, by kazał posłańcowi poczekać, bo do świtu powinien mieć najświeższe informacje. Wtedy wyprowadzono mnie stamtąd z pozostałymi ludźmi. Wyproszono nas z budynku i kazano odejść, mówiąc, że nasze usługi nie będą już potrzebne. Żołnierze śmiali się, mówiąc to. Poszedłem z innymi, żeby nie rozgniewać żołnierzy. Wszyscy szeptali, że oto widzieliśmy wielkiego człowieka we własnej osobie. A ja myślałem jedynie o tym, co by to mogły być za najświeższe informacje. Następnie, po zmroku, podkradłem się tam i na tyłach budynku, za furtką w wysokim drewnianym płocie, wypatrzyłem wąską dróżkę. Poszedłem nią i

ukryłem się w wejściu do tylnego holu. Dalej było wiele korytarzy i nawet w blasku świec rozpoznałem jeden z nich: to tam byłem wcześniej. Było już późno, nikogo nie było widać. Wszedłem głębiej. Po obu stronach korytarza było wiele pokoi i zakamarków, ale o tak późnej porze nikt stamtąd nie wyszedł. Ostrożnie wspiąłem się po schodach i zakradłem ku wielkim, grubym drzwiom sali, do której nas wtedy wprowadzono. I tam, w ciemnym korytarzu przed wielkimi drzwiami, usłyszałem najokropniejsze wrzaski. Ludzie szlochali, błagali, żebrawli o litość. Jakaś kobieta błagała o śmierć, która by skróciła jej męki. Bałem się, że zwymiotuję lub zemdleję, lecz jedna myśl sprawiła, że pozostałem w ukryciu, że nie uciekłem ile sił w nogach. Myśl, że taki będzie los wszystkich moich ziomków, jeżeli im nie pomogę, sprowadzając lorda Rahla. Zostałem tam całą noc, w ciemnym zakamarku naprzeciw wielkich drzwi, słysząc tych ludzi cierpiących niewyobrażalne męki. Nie wiedziałem, co ów człowiek im robi, ale myślałem, że umrę z rozpaczyny nad ich udręką. Jęki straszliwego bólu nie milkły przez całą noc. Dygotałem w mojej kryjówce, szlochałem i mówiłem sobie, że to nie jest realne, że nie powinienem się bać tego, co nie jest realne. Wyobraziłem sobie ból tych ludzi, lecz powiedziałem sobie, że bardziej ufam wyobraźni niż pozostałemu zmysłom, a przecież uczono mnie, że to błąd. Zwróciłem myśli ku Marilee, ku spędzonym z nią chwilom i zignorowałem dźwięki, które nie były realne. Nie mogłem przecież wiedzieć, co jest realne, czym w istocie są owe dźwięki. Wczesnym rankiem wrócił dowódca, którego już widziałem. Ostrożnie wyjrzałem z mojej kryjówki. Mężczyzna o czarnych włosach podszedł do drzwi. Wiedziałem, że to on, bo dostrzegłem czarne paznokcie, kiedy wysunął ramię i podał żołnierzowi zwój papieru. Mężczyzna o czarnych włosach powiedział dowódcy ze spłaszczonym nosem, którego nazywał Najari, że ich znalazł. Tak powiedział: „ich”. Potem dodał: „Dotarli do wschodniego skraju pustkowia i teraz kierują się ku północy”. Poleciał, żeby natychmiast wydać rozkazy posłańcowi. A Najari rzekł: „No, to już niedługo będziesz ich miał, Nicholasie, i będziemy mogli wyznaczyć swoją cenę.

ROZDZIAŁ 25

Richard okręcił się ku niemu.

- Nicholas? Słyszałeś, jak to powiedział?

Owen zamrugął ze zdumienia.

- Tak. Na pewno. Powiedział „Nicholas”.

Kahlan poczuła, jak beznadzieja ogarnia ją niczym chłodna, wilgotna mgła.

- Mów dalej - ponaglił go Richard.

- Kiedy dowódca rzekł „oni”, nie byłem pewny, czy mówią o was, o lordzie Rahlu i o Matce Spowiedniczce, lecz ich zawzięty, rozgorączkowany ton na to wskazywał. Te ich głosy przypomniały mi czas, kiedy zjawił się Ład, kiedy Luchan uśmiechnął się do mnie jak jeszcze nikt: jakby chciał mnie zjeść. Pomyślałem, że ta informacja pozwoli mi was odszukać. Więc od razu stamtąd odszedłem.

Poranna mgła zmieniła się w mżawkę niesioną słabym wiatrem. Kahlan drżała z zimna.

Richard wskazał siedzącego na ziemi mężczyznę, tego z nacięciem w uchu, którego Kahlan dotknęła swoją mocą. Chłopakowi nie udało się całkowicie ukryć szalejącego w nim gniewu.

- Oto człowiek, do którego dotarły rozkazy Nicholasa. To on sprowadził tych ludzi, których widziałeś w naszym poprzednim obozie. Gdybyśmy się nie bronili, gdybyśmy przedłożyli naszą szczerą niechęć do przemocy nad surową rzeczywistość, bylibyśmy straceni, byłoby już po nas, jak po Marilee.

Owen wpatrywał się w tego człowieka.

- Jak on się nazywa?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Walczył po stronie Imperialnego Ładu za sprawę, według której życie nie ma znaczenia, a więc można nim szafować w bezrozumnej pogoni za ideą, że życie pojedynczego człowieka jest nic nie warte. Walczył za dogmat wymuszający poświęcenie się dla innych aż do samozatrącenia. Za pragnienie, by każdy był nikim i niczym. Według zasad Ładu nie miałeś prawa kochać Marilee, bo każdy jest taki sam, więc twoim obowiązkiem było ożenić się z kimś, komu twoja pomoc byłaby najpotrzebniejsza. Dzięki takiemu bezinteresownemu poświęceniu się

najlepiej przysłużyłbyś się bliźniemu. I choć starasz się jak możesz, Owenie, żeby nie widzieć tego, co masz przed oczami, uważam, że w głębi duszy, pod tymi wszystkimi wpojonymi ci zasadami, masz świadomość, że to właśnie jest najstraszniejsze w Ładzie: nie ich bestialstwo, lecz głoszone przez nich idee. Bo to ich zasady sankcjonują bestialstwo, a wasze do niego zachęcają. Ten człowiek nie cenił własnego życia. Dlaczego miałoby mnie obchodzić, jak się nazywa? Dałem mu to, na czym mu najbardziej zależało: nicość.

Richard zauważył, że Kahlan drży w chłodnej mżawce. Odwrócił gniewny wzrok od Owena, z jej plecaka na wozie wyjął pelerynę. Delikatnie i troskliwie otulił ją tą peleryną. Jego mina świadczyła, że usłyszał od Owena wszystko, co chciał, i ma już dosyć. Kahlan ujęła jego dłoń, przytuliła na chwilę do policzka. Z całej tej historii wypływał jeden ważny wniosek.

- To by znaczyło, że to nie dar cię zabija, Richardzie. Trucizna jest tego przyczyną.

Odczuła ulgę. Tak się bała podczas tej krótkiej, lecz trwającej całą wieczność jazdy wozem, kiedy Richard był nieprzytomny, że już nikt go nie uratuje.

- Miałem migreny, zanim się natknąłem na Owena. I nadal je mam. Magia miecza też zawiodła, zanim mnie otruto.

- Ale przynajmniej mamy teraz więcej czasu, żeby rozwiązać te problemy.

Richard przeczesał palcami włosy.

- Obawiam się, że teraz mamy jeszcze gorsze kłopoty i mniej czasu, niż sądzisz.

- Gorsze kłopoty?

Skinął głową.

- Pamiętasz, z jakiego imperium pochodzi Owen? Pamiętasz tę nazwę, Bandakar? Zgadnij, co ona oznacza.

Kahlan obejrzała się na Owena - dalej siedział na skrzyni, był skulony i osamotniony. Potrząsnęła głową, znów spojrzała w szare oczy Richarda, zaniepokojona tłumionym gniewem w jego głosie.

- Nie wiem. A co?

- To rzeczownik z górnod'harańskiego. Znaczący „wypędzeni”. Pamiętasz, jak ci opowiadałem, co wyczytałem w tej książce, w *Filarach Świata*? Że postanowili odesłać wszystkich pozbawionych nawet iskierek daru do

Starego Świata, wypędzić ich? Pamiętasz, jak mówiłem, że nikt nie wie, co się z nimi stało? Właśnie się dowiedzieliśmy. I teraz światła nic już nie chroni przed mieszkańcami Imperium Bandakarskiego.

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Skąd możesz mieć pewność, że on jest potomkiem tych ludzi?

- Przyjrzyj mu się. Jest blondynem i bardziej przypomina D'Harańczyka czystej krwi niż mieszkańców Starego Świata. A przede wszystkim, magia na niego nie oddziałuje.

- Ale może on jest wyjątkiem.

Richard nachylił się ku niej.

- W takim izolowanym miejscu, z jakiego on pochodzi, w miejscu odciętym od reszty świata przez tysiące lat, nawet jeden Filar Świata zdołałby do naszych czasów przekazać tę cechę całej populacji. A przecież to nie był tylko jeden taki człowiek. Oni wszyscy byli pozbawieni choćby iskierki daru. Z tego powodu wypędzono ich do Starego Świata, a i tu, w Starym Świecie, gdzie usiłowali zacząć nowe życie, zostali odesłani na owe ziemie za górami, na ziemie, jak im powiedziano, przeznaczone dla *bandakar*, dla wypędzonych.

- Skąd się o nich dowiedzieli mieszkańcy Starego Świata? Jak zdołali zgromadzić ich wszystkich, by ani jeden nie przekazał tej skazy populacji, i jak potem zdołali ich zamknąć na tych ziemiach, znów ich wypędzić?

- Dobre pytania, lecz teraz nie to jest najważniejsze. Owenie! - zawołał Richard, kiedy wrócił do pozostałych. - Chcę, żebyś tu pozostał, a my jednogłośnie zdecydujemy, co mamy zrobić.

Owen pojaśniał, usłyszawszy o znanym sposobie rozwiązywania spraw. W przeciwieństwie do Kahlan nie wyczuł nutki sarkazmu w głosie Richarda.

- A ty - polecił Richard mężczyźnie, którego dotknęła mocą Spowiedniczki - usiądź przy nim i pilnuj, żeby tu z tobą czekał.

Człowiek pospieszył wypełnić polecenie, a chłopak skinieniem głowy przywołał pozostałych.

- Musimy porozmawiać.

Friedrich, Tom, Jansen, Cara i Kahlan poszli za nim, oddalając się od Owena i owego mężczyzny. Richard oparł się o porysowany bok wozu, skrzyżował ramiona, oni zaś stanęli tuż przy nim. Przyjrzał się każdej zwróconej ku niemu twarzy.

- Mamy poważne kłopoty - zaczął - i to nie tylko z powodu trucizny, którą podał mi Owen. Owen jest całkowicie pozbawiony daru. Jest taki jak ty, Jennsen. Magia nie ma na niego wpływu. - Patrzył Jennsen w oczy. - Reszta jego ziomków jest taka sama jak on, jak ty.

Dziewczyna aż otworzyła usta ze zdumienia. Wyglądała na zdezorientowaną, najwyraźniej nie mogło się to jej pomieścić w głowie. Friedrich i Tom byli niemal tak samo zdumieni. Cara się zachmurzyła.

- Przecież to niemożliwe, Richardzie - odezwała się w końcu Jennsen. - Jest ich zbyt wielu. Przecież wszyscy nie mogą być naszymi przyrodnimi braćmi i siostrami!

- Bo i nie są - odparł. - Wywodzą się z rodu Rahlów, tak jak ty. Nie mam teraz czasu, żeby dokładnie ci to wytłumaczyć, lecz przypomnij sobie, jak mówiłem, że twoje dzieci będą podobne do ciebie i że przekażą tę cechę, całkowity brak magii, przyszłym pokoleniom. Bardzo dawno temu tacy ludzie stawali się w D'Harze coraz liczniejsi. Zgromadzono więc wszystkich pozbawionych daru i odesłano ich do Starego Świata. A tutejsi mieszkańcy odgradzili ich od siebie, zamykając na ziemiach za tymi górami. Nazwa ich imperium, Bandakar, oznacza „wypędzeni”.

Duże błękitne oczy Jennsen wypełniły się łzami. Była jedną z nich, należała do tych tak znienawidzonych ludzi, że wypędzono ich z rodzinnych ziem. Kahlan otoczyła ją ramieniem.

- Pamiętasz, jak mówiłaś, że czujesz się taka osamotniona? - Uśmiechnęła się do niej serdecznie. - Już nie musisz. Są inni tacy jak ty.

Widziała, że jej słowa niewiele pomogły, ale za to uścisk dodał dziewczynie otuchy.

Wtem Jennsen spojrzała na Richarda.

- To nie może być prawda. Przecież więziła ich tam granica. Gdyby byli tacy jak ja, magiczna granica nie miałaby na nich wpływu. I mogliby stamtąd wychodzić, kiedy by tylko chcieli. W ciągu tak długiego czasu chociaż kilku z nich wydostałoby się na świat, bo magiczna granica by ich nie powstrzymała.

- Nie sądzę - odparł. - Pamiętasz, jak widziałaś piasek przesypujący się w leżącym na boku posążku, tym znaku ostrzegawczym, który nam przyniósł Sabar? To też była magia, a jednak to widziałaś.

- Racja - odezwała się Kahlan. - Jak to możliwe, skoro Jennsen jest

Filarem Świata?

- Otóż to - poparła ją dziewczyna. - Jak mogłabym to widzieć, gdybym naprawdę nie miała ani odrobiny daru? - Uniosła brwi. - Może to wszystko nieprawda, Richardzie. Może mam chociaż iskierkę daru, może nie jestem go całkowicie pozbawiona?

Richard się uśmiechnął.

- Jesteś równie nieskażona jak płatek śniegu, Jennsen. Widziałaś tę magię z konkretnego powodu. Nicci napisała w liście, że ten znak ostrzegawczy sprzężony jest z czarodziejem, który go stworzył, a teraz przebywa w zaświatach. Zaświaty to świat umarłych. To oznacza, że ów znak działał również za sprawą magii subtraktywnej, magii związanej z zaświatami. Możesz być niewrażliwa na magię, lecz mimo to podlegasz śmierci. Możesz nie mieć daru, lecz i tak łączy cię więź z życiem, a więc i ze śmiercią. To dlatego widziałaś cząstkę magii zawartej w posążku, tę sprzężoną ze śmiercią. Granica była takim miejscem na tym świecie, w którym istniała śmierć. Wejść w granicę znaczyło wejść do świata zmarłych. A ze świata zmarłych nie ma powrotu. Umarłby każdy pozbawiony iskierki magii mieszkaniec Bandakaru, który wszedłby w granicę. To w ten sposób zapieczętowano owo imperium.

- Ale przecież wypędzali ludzi przez granicę - upierała się Jennsen. - To by znaczyło, że granica w zasadzie na nich nie działała.

Richard pokręcił głową, jeszcze zanim skończyła mówić.

- Nie. Tak jak wszyscy inni ginęli w zetknięciu ze światem umarłych. Ale pozostawiono przejście przez granicę, tak samo jak niegdyś zostawiono przejście przez granice oddzielające trzy krainy Nowego Świata. W ten sposób przedostałem się przez granicę, nie ponosząc żadnej szkody. Bo istniało tajemne, wąskie przejście. Tu było tak samo.

Jennsen zmarszczyła nos.

- Więc to wszystko nie ma sensu. Jeżeli to prawda i jeżeli o tym wiedzieli, a przecież wiedzieli o tym przejściu przez granicę, to dlaczego stamtąd nie odeszli? Skoro mogli wysyłać przez granicę wypędzonych, dlaczego odgradzała ona od świata wszystkich pozostałych?

Richard westchnął, przesunął dłoń po twarzy. Kahlan miała wrażenie, iż chłopak żałuje, że Jennsen o to spytała.

- Pamiętasz to miejsce, które jakiś czas temu minęliśmy? To, w którym

nic nie rośło? - zapytał.

- Pamiętam - potwierdziła Jennsen.

- Sabar powiedział, że natrafił na drugie takie, troszkę dalej na północ.

- To prawda - odezwała się Kahlan. - I biegło ku centrum pustkowia, ku Filarom Świata, tak samo jak to, które my widzieliśmy. Muszą być równoległe.

Richard skinieniem głowy potwierdził to, co zaczęła podejrzewać.

- I znajdowały się po obu stronach przełęczy wiodącej do Bandakaru. Nie były zbyt oddalone. Teraz znajdujemy się w owym miejscu pomiędzy granicami.

- Ależ lordzie Rahlu - wtrącił Friedrich - to by oznaczało, że wypędzeni z Bandakaru dostawali się między te dwie tak nieznacznie od siebie oddalone granice. Taka osoba mogłaby iść wyłącznie ku... - Zasłonił usta, zwrócił się ku zachodowi i zapatrzył w mrok.

- Filarom Świata - dokończył spokojnie Richard.

- Twierdzicie - wykrztusiła Jennsen - że ktoś to tak urządził? Że tak wznosił te granice, by każdy wygnany z Imperium Bandakarskiego musiał dotrzeć do Filarów Świata? Że zrobił to rozmyślnie? Dlaczego?

Richard długo patrzył jej w oczy.

- Żeby ich zabić. Jennsen przełknęła ślinę.

- Chcesz powiedzieć, że ci, którzy przegnali tych ludzi, chcieli, żeby umarł każdy, kogo oni z kolei wypędzą?

- Tak - odparł chłopak.

Kahlan ciaśniej otuliła się peleryną. Tak długo było gorąco, że ledwie mogła uwierzyć, iż tak nagle się oziębiło.

Richard odgarnął z czoła kosmyk wilgotnych włosów i powiedział:

- Ze słów Adie wynika, że musiało istnieć przejście przez granice, żeby stworzyć po obu stronach równowagę, ujednoczyć świat istot żywych. Wydaje mi się, że ci ze Starego Świata, którzy wypędzili tych ludzi, chcieli im umożliwić pozbycie się przestępców i dlatego powiedzieli im o istnieniu tego przejścia. Nie chcieli jednak, żeby tacy ludzie przedostawali się na inne ziemie. Przestępcy czy nie i tak nie mieli daru. Nie można było pozwolić, żeby chodzili, gdzie chcieli.

Kahlan natychmiast dostrzegła słaby punkt jego teorii.

- Przecież każda z trzech granic musiałaby mieć przejście. I nawet gdyby

nie powiedziano im o przejściach przez pozostałe dwie, i tak każdy z wygnańców odesłanych za przełęcz mógł je odnaleźć i spróbować uciec, zamiast iść do Filarów Świata, gdzie czekała go śmierć. Dalej istniała więc możliwość, że przedostaną się do Starego Świata.

- Mogłoby tak być, gdyby naprawdę istniały trzy granice - odparł Richard.
- Ale nie sądzę, by były trzy. Uważam, że tak naprawdę była jedna.

- Ale namieszaleś - poskarżyła się Cara. - Najpierw mówiłeś, że jedna biegła z północy na południe i zamykała przełęcz, a te dwie równoległe biegły ku wschodowi i zachodowi, kierując każdego, kto wydostałby się z tego imperium przez pierwszą granicę, ku Filarom Świata, gdzie czekała go śmierć.

Kahlan musiała się z tym zgodzić. Wydawało się, że mimo wszystko istniała możliwość ucieczki przez jedną z tych dwóch granic.

- Nie sądzę, by były trzy granice - powtórzył Richard. - Uważam, że była tylko jedna. Nie biegła jednak po linii prostej, lecz była zagięta. - Wysunął dwa palce. - Spód wygięcia - wskazał zagłębienie między palcami - zamykał przełęcz, oba ramiona zaś biegły równoległe aż do Filarów, gdzie granica się kończyła.

- Dlaczego? - To jedno zdołała powiedzieć Jennsen.

- Ten starannie wykonany zamysł świadczy o tym, że ci, którzy zamknęli tych ludzi na owych ziemiach, chcieli im umożliwić pozbycie się niebezpiecznych ziomków. Znali zasady, którymi kierowali się ci ludzie, więc wiedzieli, że nigdy nikogo nie stracą. Już w chwili wygnania do Starego Świata musieli wyznawać podobne przekonania jak teraz. A to czyniło ich i czyni całkowicie bezbronnymi wobec złych ludzi. Żeby zachować swój sposób życia bez uciekania się do likwidacji przestępców, musieli wyrzucać ich ze swojej społeczności. Inaczej zostaliby przez nich zniszczeni. Wypędzenie z D'Hary i Nowego Świata przez granicę musiało być dla nich straszliwym przeżyciem. Żeby przetrwać, jeszcze bardziej trzymali się razem, wytworzyli jeszcze ściślejszą więź. Ci w Starym Świecie, którzy odgradzili się od wygnańców granicą, musieli wykorzystać ich strach przed prześladowaniami i wmówili im, że granica ma ich chronić, trzymać z daleka tych, którzy by ich skrzywdzili. Przekonali owych ludzi, że skoro są tacy wyjątkowi, to potrzebują takiej osłony. To zaś, w połączeniu z dobrze ugruntowaną skłonnością do trzymania się razem, jeszcze bardziej

umocniło w nich lęk przed wypędzeniem z tego chronionego miejsca. Ci ludzie przeraźliwie bali się wypędzenia. Na pewno cierpieli, że reszta świata odrzuciła ich, ponieważ byli całkowicie pozbawieni daru, ale i czuli się bezpiecznie za osłoną granicy. Teraz owa pieczęć zniknęła i mamy spore kłopoty.

Jennsen skrzyżowała ramiona.

- Boicie się śnieżycy, skoro jest nas teraz dużo, skoro jest więcej niż jeden płatek śniegu?

Richard popatrzył na nią z wyrzutem.

- A jak myślisz, dlaczego Ład się tam zjawił i część z nich uprowadził?

- Najwyraźniej po to - odparła - żeby urodziło się więcej im podobnych. Żeby magiczny dar już się nie pojawiał.

Richard pominął milczeniem te zapalczywe słowa. Po chwili rzekł:

- Chodziło mi o to, dlaczego zabrali mężczyzn.

- Z tego samego powodu - powiedziała Jennsen. - Żeby dali zwykłym kobietom całkowicie pozbawione daru dzieci.

Chłopak głęboko zaczerpnął powietrza i wypuścił je powoli, żeby się uspokoić.

- Co mówił Owen? Że tym mężczyznom pokazano uprowadzone kobiety i uprzedzono ich, że jeżeli nie wykonają rozkazów, to zostaną one żywcem obdarte ze skóry.

Jennsen straciła pewność siebie.

- Jakie rozkazy?

Richard nachylił się ku niej.

- Właśnie, jakie rozkazy. Zastanówcie się nad tym - dodał, wodząc wzrokiem po pozostałych. - Jakie rozkazy? Po co im byli pozbawieni daru mężczyźni? Co im mogli nakazać?

Kahlan aż się zachłysnęła oddechem.

- Wieża Czarodzieja!

- Otóż to. - Spojrzał każdemu z nich w oczy, poczuli niepokój. - Jak już powiedziałem, mamy spore kłopoty. Wieży broni Zedd. Dzięki swojej mocy i magii tego miejsca z łatwością dałby w pojedynkę odpór całej armii Jaganga. Ale jak sobie poradzi ten kościsty starzec, jeżeli zjawi się tam choć jeden młody, niewrażliwy na magię mężczyzna i złapie go za gardło?

Jennsen cofnęła dłoń, którą chwilę wcześniej zasłoniła usta.

- Racja, Richardzie. Jagang też ma tę książkę, *Filary Świata*. Wie, że magia nie działa na takich jak ja. Mnie też próbował przecież wykorzystać. To dlatego z takim uporem wmawiał mi, że chcesz mnie zabić. Chciał, bym uwierzyła, że jedynym dla mnie ratunkiem jest zabić ciebie. Wiedział, że jestem całkowicie pozbawiona daru i że magia mnie nie zatrzyma.

- Poza tym Jagang jest ze Starego Świata - dodał Richard. - Najprawdopodobniej słyszał pogłoski o imperium za ową granicą. Choć mieszkańcy Nowego Świata, przez trzy tysiące lat odgrodzeni wielką barierą, nigdy nie dowiedzieli się, co się stało z owymi ludźmi, to tutaj, w Starym Świecie, o Bandakarze mogły krążyć legendy. A teraz Ład zabiera stamtąd mężczyzn i grozi śmiercią bliskich im bezbronnym kobietom, jeżeli nie wykonają rozkazów. Uważam, że kazano im napaść na Wieżę Czarodzieja i zająć ją dla Imperialnego Ładu.

Kahlan wstrząsał dreszcz. Jeżeli wieża upadnie, stracą swój jedyny atut. Jeżeli wieża dostanie się w łapy Ładu, Jagang zyska dostęp do tych wszystkich starożytnych, groźnych magicznych przedmiotów. Nie wiadomo, co wtedy rozpęta. Bo część tego, co kryła w sobie wieża, mogłoby uśmiercić ich wszystkich, łącznie z Jagangiem. Już pokazał, wywołując zarazę, że jest gotów na wszystko, byle dopiąć swego, że zabije dowolną liczbę ludzi, że użyje każdej broni, choćby miała zdziesiątkować jego armię. Jeżeli nawet imperator nie wykorzysta zawartości wieży, to i tak, zajmując ją, pozbawi imperium D'Hary możliwości znalezienia tam czegoś, co pomogłoby w walce z nim. Bo Zedd nie tylko strzegł wieży, ale i starał się odszukać coś, co by im pomogło wygrać wojnę, a przynajmniej zepchnąć Imperialny Ład z powrotem do Starego Świata i odgrodzić jakąś barierą.

Bez wieży prawdopodobnie nie mieliby szans na zwycięstwo. Opór tylko odroczyłby to, co nieuniknione. Gdyby stracili wieżę, Jagang zmiażdżyłby każdy opór. Jego wojska załatyby cały Nowy Świat. Nic by ich nie powstrzymało.

Kahlan drżącymi palcami zaciskała pod szyją pelerynę. Wiedziała, co czekało jej lud, co się działo, kiedy Imperialny Ład zajmował pokonane miasta i krainy. Blisko rok walczyła z Ładem wraz z armią. Byli jak sfora dziczących psów. Nic ich nie uspokoi, kiedy już na ciebie ruszą. Będą zadowoleni dopiero wtedy, kiedy cię rozszarpią. Była w miastach, choćby w Ebinissii, zajętych przez żołnierzy Imperialnego Ładu. W dzikim,

bestialskim, trwającym wiele dni rozpasaniu torturowali, gwałcili i mordowali każdego, kto był w mieście, zostawiając za sobą wyłącznie zwłoki. Nie oszczędzali nikogo, bez względu na wiek.

To właśnie czekało mieszkańców Nowego Świata.

Kiedy wróg opanuje w końcu Nowy Świat, zamrze cały handel, który jeszcze istnieje. Upadną niemal wszystkie firmy. Wielkie rzesze ludzi stracą źródło utrzymania, żywność bardzo szybko stanie się trudna do zdobycia, a potem w ogóle jej zabraknie. Ludzie nie będą mogli utrzymać ani siebie, ani swoich rodzin. Utracą to, na co pracowali całe życie.

W miastach - jeszcze przed pojawieniem się wojsk - wybuchnie panika. A kiedy nadejdzie wróg, większość ludzi straci w pożarze domy i zostanie wypędzona z miast, z krain. Jagang ukradnie dla swojej armii wszystkie zapasy żywności i odda podbitą krainę swoim faworytom. Prawdziwi właściciele tych ziem zginą lub zmienią się w niewolników pracujących w gospodarstwach, które niegdyś do nich należały. Ci, którzy uciekną przed hordą najeźdźców, będą niczym zwierzęta wegetować w dzikich ostępach.

Większość ludzi będzie uciekać, chroniąc życie. Setki tysięcy znajdą się z dala od swoich siedzib, pozbawione schronienia. Będzie brakowało żywności, nie będzie się można przygotować na nadejście zimy. I kiedy pogoda się popsuje, zaczną masowo ginąć.

Spółeczności się rozpadną, głód stanie się normą, będą wybuchać choroby, dopadając i uciekinierów. Rozpadną się też rodziny, kiedy w bólach odejdą ci, od których zależał byt bliskich. Dzieci i słabsi, opuszczeni, staną się źródłem pożywienia dla głodujących.

Kahlan wiedziała, jak wygląda taka szerząca się zaraza. Jak to jest obserwować umierających tysiącami ludzi. Widziała to w Aydindril, kiedy zapanował mór. Widziała dziesiątki nagle zapadających na zdrowiu ludzi. Patrzyła, jak starzy i młodzi - tacy porządni ludzie - łapią coś, czego ich organizmy nie mogą zwalczyć, patrzyła, jak przez wiele dni cierpią, zanim umrą.

I Richard zaraził się morem. Jednak w przeciwieństwie do innych zrobił to świadomie. Zarażenie się morem było ceną za powrót do niej, do Kahlan. Poświęcił życie, żeby być przy niej choć przed śmiercią.

To był koszmar.

Najpierw ogarnęła ją straszliwa rozpacz. I to właśnie wtedy wykorzystwała

jedyną dostępną jej możliwość ocalenia Richarda. To wtedy uwolniła demony. To uratowało Richardowi życie. Kahlan nie wiedziała wówczas, że ten czyn zapoczątkuje cykl nieprzewidzianych zdarzeń.

Jej desperacki krok sprawił, że zniknęła granica odcinająca owo imperium. Przez nią mogła całkowicie zaniknąć magia.

A teraz - przez to, że zniknęła ta granica - w ogromnym niebezpieczeństwie znalazła się Wieża Czarodzieja, ich ostatnia nadzieja na znalezienie broni przeciwko Ładowi.

Kahlan miała poczucie, że to jej wina.

Świat znalazł się na skraju przepaści. Cywilizacji groziło zniszczenie w imię szaleńczych idei Ładu, w imię marzenia o większym dobru. Ład żądał poświęcenia się owemu większemu dobru. W imię owej idei należało poświęcić rozum, a co za tym idzie samą cywilizację. Szaleństwo kładło się cieniem na świat, zagrażało wszystkim i wszystkiemu.

Znaleźli się u progu mrocznych czasów. W przededniu kresu dziejów.

Jednak Kahlan nie mogła im tego powiedzieć. Nie mogła im wyjawić, co czuje. Nie ośmielała się okazać im swojej rozpacz.

- Nie możemy dopuścić, Richardzie, żeby Ład zajął wieżę. - Nie mogła uwierzyć, że przemawia takim zdecydowanym i spokojnym głosem. Ciekawa była, czy któreś z nich sądzi, że według niej nadal mają jakąkolwiek szansę. - Musimy ich powstrzymać.

- Zgadzam się z tobą - odparł Richard. I w jego głosie brzmiało zdecydowanie. Zastanawiała się, czy wyczytał z jej oczu, jaka rozpacz ją gnębi.

- Najpierw to, co łatwe: Nicci i Victor - powiedział chłopak. - Musimy ich zawiadomić, że się teraz nie zjawimy. Victor powinien się dowiedzieć, co mamy mu do przekazania. Powinien wiedzieć, że zgadzamy się na jego plany, że musi je realizować, nie czekając na nas. Rozmawialiśmy z nim, wie, co robić. Teraz powinien to zrealizować, a Priska musi się dowiedzieć, że ma mu pomóc. Nicci z kolei powinna wiedzieć, dokąd się udajemy. Że sądzimy, iż odkryliśmy przyczynę tego znaku ostrzegawczego. Musi wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Przemilczał to, że będzie się musiała zjawić i pomóc mu, jeżeli nie zdoła do niej dotrzeć, bo dar go zabijał.

- Powinna też wiedzieć - dodał Richard - że zdążyliśmy przeczytać tylko

część jej listu, część ostrzeżenia, że Jagang i Siostry Mroku zmieniają ludzi w oręż.

Wszyscy się zdumiali. Nie czytali listu.

- Ale przynajmniej na razie nas to nie dotyczy - odezwała się Kahlan.

- Istotnie, na razie nie - zgodził się z nią Richard. Wskazał czekającego na rozkazy człowieka, którego Kahlan dotknęła swoją mocą. - Wyślemy go do Victora i Nicci, wszystko im przekazuje.

- A co potem? - spytała Cara.

- Chcę, żeby Kahlan nakazała mu, by następnie powędrował na północ i odnalazł armię Imperialnego Ładu. Chcę, by udawał jednego z nich i by zdołał podejść do Jaganga tak blisko, żeby go zabić.

Kahlan wiedziała, że to zupełnie niewykonalne. Zdumione spojrzenia pozostałych świadczyły, że i oni to wiedzą.

- Jaganga chronią zastępy strażników - odezwała się Jennsen. - Zawsze otacza go straż przyboczna. Zwyczajni żołnierze nie mają do niego dostępu.

- Naprawdę myślisz, że zdołałby to zrobić? - spytała Kahlan.

- Nie - przyznał Richard. - Ład najprawdopodobniej go zabije, nim zdoła dotrzeć w pobliże Jaganga. Jednak będzie nim kierowało pragnienie spełnienia twoich życzeń. Będzie pełen determinacji. Spodziewam się, że zginie, ale uważam, że dołoży wszelkich starań, żeby to zrobić. Chcę, żeby Jagangowi zakłócała sen świadomość, że każdy z jego żołnierzy może się okazać asasynem. Chcę, żeby się martwił, że nigdy nie będzie wiedzieć, kto następny spróbuje go zabić. Żeby już nigdy spokojnie nie sypiał. Chcę, by nawiedzały go koszmary o tym, co się może przydarzyć, o tym, który z jego ludzi czeka tylko na sposobność.

Kahlan potwierdziła skinieniem głowy. Richard przyjrzał się zaciętym twarzom, czekającym na to, co jeszcze ma do powiedzenia.

- A teraz przejdźmy do najważniejszej części tego, co powinno zostać zrobione. Koniecznie musimy dotrzeć do wieży i ostrzec Zedda. Nie możemy zwlekać. Jagang ma nad nami przewagę: snuł plany i działał, a my nie mieliśmy pojęcia, do czego dąży. Nie wiemy, kiedy wyślą na północ tych całkowicie pozbawionych daru ludzi. Nie mamy chwili do stracenia.

- Lordzie Rahlu - przypomniała mu Cara - powinieneś na czas dostać antidotum. Nie możesz przecież iść do wieży... O, nie! Chwileczkę! Nie wyślesz mnie jeszcze raz do wieży! Nie zostawię cię w takiej chwili, kiedy

jestes niemal bezbronny. Nie chce o tym slyszec i nie pojedę tam.

Richard položyl dłoń na jej ramieniu.

- Nie wysyłam cię tam, Caro, lecz dziękuje za propozycję.

Cara skrzyżowała ramiona i zerknęła na niego groźnie.

- Nie możemy jechać wozem do Bandakaru, bo żadna droga...

- Lordzie Rahlu - przerwał mu Tom - wobec braku magii będziesz potrzebował całej dostępnej stali.

Powiedział to jedynie odrobinę mniej patetycznie niż Cara.

Richard się uśmiechnął.

- Wiem, Tomie, i przyznaję ci rację. Uważam, że to Friedrich powinien tam pojechać. - Spojrzał na niego. - Możesz wziąć wóz. Samotny starszy mężczyzna wzbudzi mniej podejrzeń niż ktorekolwiek z nas. Nie uznają cię za zagrożenie. Wozem dotrzesz tam szybciej, no i nie będziesz się musiał obawiać, że Ład wcieli cię do swojej armii. Pojedziesz, Friedrichu?

Friedrich podrapał się po kilkudniowym zaroście. Ogorzałą twarz rozjaśnił uśmiech.

- Chyba w końcu zostałem kimś w rodzaju strażnika granicy.

Richard odwzajemnił uśmiech.

- Granica zniknęła, Friedrichu. Jako lord Rahl mianuję cię strażnikiem granicy i nakazuję, byś natychmiast zaniósł ostrzeżenie o groźbie, która z za niej nadciąga.

Friedrich przestał się uśmiechać i przyłożył pięść do serca. Były to salut i uroczyste przyrzeczenie.

ROZDZIAŁ 26

Z odległego pomieszczenia, w którym czekało jego ciało, doleciał jakiś dźwięk. Nicholas był bardzo zajęty, więc zignorował ów natarczywy dźwięk. Światło gasło, lecz chociaż pomagało widzieć, ciemność nie przeszkodzi takim oczom, z jakich korzysta.

I znów usłyszał ten hałas. Powrócił do swojego ciała oburzony, że dźwięk go przywoływał, irytował, domagał się jego uwagi.

Ktoś walił pięścią w drzwi.

Nicholas wstał z podłogi, na której siedziało ze skrzyżowanymi nogami jego ciało, podniósł się wraz ze swoim ciałem. Jak zawsze, w pierwszej chwili dziwnie się było znowu znaleźć w swoim ciele, na powrót zaakceptować te wszystkie ograniczenia. Dziwacznie było wlec ze sobą to ciało, posługiwać się swoimi mięśniami, oddychać, widzieć i słyszeć dzięki własnym zmysłom.

Znowu pukanie. Nicholas, rozeźlony, że mu przerwano, ruszył nie do drzwi, lecz ku oknom. Energicznie zamknął okiennice. Uniósł rękę, zapalając tym gestem pochodnię, w końcu pomaszerował ku drzwiom. Pasy płótna okrywające jego szaty płynęły za nim niczym ciężki płaszcz z czarnych piór.

- O co chodzi? - spytał, uchylając ciężkie drzwi i wyglądając na zewnątrz.

W korytarzu, tuż za drzwiami, stał Najari. Cały ciężar jego ciała spoczywał na jednej nodze, kciuki miał zatknięte za pas. Pomiedzy muskularnymi barami a ścianami zostawało mało miejsca. Nicholas dopiero teraz zobaczył stłoczonych za tamtym ludzi. Skrzywiony nos Najariego, spłaszczony w lewą stronę w jednej z licznych bójek, w które wplątywało go gwałtowne usposobienie, rzucał dziwaczny cień na jego policzek. Nieszczęśników, którzy wdawali się w bijatykę z Najarim, zazwyczaj spotykało coś o wiele gorszego niż pospolite złamanie nosa.

Dowódca wskazał niedbale kciukiem przez ramię.

- Zaprosiłeś kilku gości, Nicholasie.

Nicholas przecesał paznokciami włosy, czując pod dłonią przyjemną śliskość olejków. Poruszył ramionami, odpędzając urazę.

Był tak zaabsorbowany tym, co robił, że całkiem zapomniał, iż zarządził, by Najari sprowadził mu kilka ciał.

- Znakomicie, Najari. Wprowadź ich. Rzućmy na nich okiem.

Nicholas obserwował, jak Najari wprowadza stadko ludzi w migotliwy blask pochodni. Stojący z tyłu żołnierze zagonili ich do obszernego pomieszczenia. Więźniowie obracali głowy, przyglądali się dziwnemu, pozbawionemu mebli pokojowi, drewnianym ścianom, tkwiącym w uchwytach pochodniom, deskom podłogi i zwyczajnemu stołowi. Ich nosy się marszczyły, czując woń krwi.

Baczenie im się przyglądał, kiedy zauważyli pod ścianą, po ich prawej stronie, rząd zaostrzonych kołków grubych jak przeguby Najariego.

Badawczo ich obserwował, wypatrując oznak strachu, kiedy się ustawiali przy ścianie obok drzwi. Oczy strzelały tu i tam, wystraszone, a równocześnie chcące jak najwięcej zobaczyć, żeby można było opowiadać znajomym, co widziało się w środku. Nicholas wiedział, że budzi ogromną ciekawość.

Wyjątkowa istota.

Slide.

Nikt nie wiedział, co oznacza jego przydomek. Niektórzy się dzisiaj dowiedzą.

Sunął przed falującym tłumkiem. Te dziwaczne, pozbawione daru istoty były ciekawskie, ciekawskie niczym przedrzeźniacze, ale znacznie mniej śmiałe. Ponieważ nie było w nich ani iskierki daru, Nicholas musiał postępować z nimi w szczególny sposób, żeby byli dlań użyteczni. Było to trochę kłopotliwe, ale dawało niezłe efekty.

Niektórzy wyciągali szyje, kiedy ich mijał, starając się jak najlepiej przyjrzeć znakomitemu człowiekowi. Znów przecesał włosy paznokciami, ot tak, żeby poczuć pod dłonią śliskość olejków. Kiedy się nachylał ku niektórym, baczenie im się przyglądając, jedna ze stojących przed nim kobiet zamknęła oczy i odwróciła twarz. Nicholas uniósł ku niej rękę, wskazał ją palcem. Spojrzał na Najariego, upewniając się, że ten zauważył, którą wybrał.

Najari przeniósł wzrok z kobiety na Nicholasa, zauważył wybór.

Jakiś mężczyzna stał nieruchomo pod ścianą, oczy miał szeroko otwarte. Nicholas i jego wskazał. Inny dziwnie wykrzywił usta. Slide przyjrzał mu się dokładniej - zauważył, że straszliwie przerażony człowiek się zmoczył. Został wybrany. Już trzy osoby. Ruszył dalej.

Z ust stojącej na przedzie, tuż przed nim kobiety wyrwał się cichy jęk. Uśmiechnął się do niej. Podniosła na niego wzrok. Drżała, nie mogła przestać patrzeć w jego czarne oczy o czerwonych obwódkach, nie potrafiła powstrzymać pisku. Jeszcze nigdy nie widziała kogoś, kto wygląda jak człowiek... a mimo to jest inny. Stuknął ją w ramię palcem o długim paznokciu. Nagrodzi jej niewypowiedzianą odrazę, pozwalając przysłużyć się większemu dobru. Jego dobru.

Jagang chciał stworzyć coś... niezwykłego, dla siebie. Bawidełko z ciała i krwi. Magiczne cacko sporządzone z czarodzieja. Salonowego pieska... z kłami.

Jego Ekscelencja dostał, co chciał, a nawet więcej. Och, dużo, dużo więcej.

Nicholasowi spodobałaby się uciecha imperatora z marionetki bez sznurków, zmyślnie wykonanej zabawki z własnym mózgiem, która potrafi spełniać zachcianki właściciela.

Jakiś człowiek z tyłu, pod ścianą, najwyraźniej nie był tym wszystkim zainteresowany. Chciał, żeby to się już skończyło i żeby mógł wrócić do własnych spraw. Chociaż wszyscy oni całkowicie podporządkowywali się zasadom regulującym życie imperium - jakby się uważali jedynie za trybik społeczności, a nie za odrębną osobę - nieliczni od czasu do czasu wykazywali ciągoty do dbania przede wszystkim o własne sprawy. Nicholas po raz piąty skinął palcem. Ten mężczyzna już wkrótce będzie miał powód, żeby się niezmiernie interesować przebiegiem wydarzeń, i przekona się, że nie jest ani trochę lepszy od pozostałych. Nigdzie nie pójdzie - a przynajmniej nie w tym ciele.

Patrzyli w milczeniu, jak Nicholas rechocze z własnego dowcipu.

Rozbawienie minęło. Slide skinął głową ku drzwiom. Żołnierze przystąpili do akcji.

- No dobra - warknął Najari - ruszać się! Rażno! Wychodzić! Wychodzić, wychodzić!

Szurając stopami, ruszyli pospiesznie ku drzwiom i za nie, jak im kazano. Niektórzy lękliwie oglądali się przez ramię na piątkę, którą Najari oddzielił od tłumku. Chcieli zostać ze wszystkimi, lecz gnano ich w tył. Paluch wbijający się w pierś pędził ich do tyłu równie skutecznie jak pałka albo miecz.

- Nie stawiajcie się - ostrzegł ich Najari - bo to się źle skończy dla reszty.
Zbili się razem, kołysząc nerwowo na boki, niczym stadko przepiórek przed psem aportującym ptactwo.

Kiedy żołnierze wyprowadzili pozostałych, Najari zamknął drzwi i stanął przed nimi, splatając ręce za plecami.

Nicholas wrócił ku oknom, otworzył okiennice na zachodniej ścianie. Słońce już zaszło, zostawiając na niebie czerwoną pręgę.

Już wkrótce wzbiją się do lotu, na łowy.

Nicholas będzie z nimi.

Wyrzucił ramię w tył - nie musiał się oglądać - i zgasił pochodnię. Jej migotliwe światło tylko przeszkadzało o tej porze dnia. Zmierzch był tak delikatny, tak ulotny. Światło będzie mu potrzebne później; teraz chciał jedynie widzieć niebo, wspaniałe, bezkresne niebo.

- Czy będziemy mogli wkrótce odejść? - spytał nieśmiało jeden z więźniów.

Nicholas odwrócił się i spojrzał na nich. Oczy Najariego wskazały, który się odezwał. Slide poszedł za wzrokiem swojego dowódcy. To jeden z mężczyzn, ten sam, rzecz jasna, który przedtem się tak niecierpliwił.

- Odejść? - spytał Nicholas, sunąc ku niemu. - Chcesz odejść?

Tamten wygiął się w tył, żeby się jak najbardziej od niego odsunąć.

- Byłem tylko ciekaw, panie, kiedy nas odeślesz.

Nicholas jeszcze bardziej nachylił się ku niemu, głęboko zajrzał mu w oczy.

- To się zastanawiaj w milczeniu - syknął.

Wrócił ku oknom, wsparł się oburącz o parapet. Głęboko wdychał zapadającą noc, wpatrując się w bezkres purpurowego nieba.

Już wkrótce się tam znajdzie, wolny.

Już wkrótce będzie szybować, jak to tylko on potrafi.

Impulsywnie ich poszukał.

Natężył się i wysłał swoje zmysły tam, gdzie wyłącznie one mogły sięgnąć.

- Tam! - wrzasnął, wskazując czarnym paznokciem coś, czego nikt inny nie mógł dostrzec. - Tam! Jeden już wzleciał!

Nicholas gwałtownie się obrócił, zawirowały pasy tkaniny. Dysząc z ekscytacji, spojrzał we wpatrzone weń oczy. Oni tego nie wiedzą. Nie

potrafiliby zrozumieć kogoś takiego jak on, pojąć, co czuje, czego pragnie. Tak bardzo chciał już być na łowach, razem z nimi - i to od kiedy wpadł na pomysł, żeby w ten sposób wykorzystywać swoje możliwości.

Poznawał swoje nowe uzdolnienia gorliwie, z upojeniem. Towarzyszył tym wspaniałym stworzeniom, ilekroć wykroił na to czas. Robił tak, odkąd się tu znalazł i je odkrył.

Jakim paradoksem wydawało mu się teraz to, że stawiał opór. Jakim dziwactwem to, że niegdyś bał się tego, co te ponure baby, te Siostry Mroku, uknuły dla niego... tego, co mu zrobiły.

Nazywały to jego obowiązkiem.

Ich straszliwa magia cięła go niczym rozpalone do czerwoności ostrze. Bał się, że oczy mu wypłyną z szalejącego w nim bólu. Rozkrzyżowany, przywiązany do wbitych w ziemię palików, tkwił pośrodku ich groźnego kręgu i bał się, co z nim zrobią.

Bał się tego.

Nicholas się uśmiechnął.

A nawet czuł do tego odrazę.

Bał się ze względu na ból wywoływany tym, co mu robiły, i ze względu na jeszcze większą udrękę płynącą z nieświadomości tego, co jeszcze mu szykują. Nazywały to jego obowiązkiem wobec wyższego dobra. Z uporem wmawiały mu, że jego dar nakłada nań powinności.

Szklistymi oczami patrzył, jak Najari wiąże każdemu z pięciorga ludzi ręce za plecami.

- Dziękuję, Najari - powiedział, kiedy tamten skończył.

Dowódca podszedł do niego.

- Żołnierze pewnie już ich mają, Nicholasie. Kazałem wysłać na tyle liczną grupę, żeby mieć pewność, że nie uciekną. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nie ma powodu do obaw. Pewnie już ku nam jadą.

Nicholas przymrużył oczy.

- Przekonamy się. Przekonamy.

Sam chciał to zobaczyć. Własnym wzrokiem - chociaż przez cudze oczy.

Najari ziewnął, idąc ku drzwiom.

- No, to do jutra, Nicholasie.

Slide szeroko otworzył usta, udając, że ziewa, chociaż wcale nie ziewał. Dobrze było szeroko rozewrzeć szczęki. Niekiedy czuł się uwięziony w sobie

i chciał się wydostać.

Zamknął drzwi za Najarim, pchnął zasuwę. Był to czyn symboliczny - nie wypływał z konieczności, miał tylko wzmóc poczucie zagrożenia. Ci ludzie, nawet mając ręce związane za plecami, mogliby wziąć nad nim górę: powalić go na podłogę, kopać w głowę. Ale żeby czegoś takiego dokonać, musieliby się zastanowić, zdecydować, co mają robić i dlaczego, zdobyć się na czyn. Łatwiej nie myśleć. Prościej nie działać. Łatwiej robić, co każą.

Łatwiej umrzeć, niż żyć.

Życie wymaga wysiłku. Walki. Cierpienia.

Nicholas czuł do tego odrazę.

- Nienawidź życia, żyj dla nienawiści - rzekł do milczących, białych jak płótno, zwróconych ku niemu twarzą.

Pasma chmur za oknem pociemniały, bo zniknął ostatni promyk słońca. Spowiła je noc. Wkrótce do nich dołączy.

Odwrócił się od okna, przyjrzał zwróconym ku niemu twarzom. Już wkrótce wszyscy tam będą, z nimi.

ROZDZIAŁ 27

Nicholas pochwycił jednego z bezimiennych mężczyzn. Dzięki mięśniom wzmocnionym mroczną magią Sióstr z łatwością go podniósł. Mężczyzna aż krzyknął ze zdumienia. Nieśmiało próbował się szarpać, choć i tak nie dałby rady tym mięśniom, nawet gdyby się ośmielił stawić prawdziwy opór. Ci ludzie byli niewrażliwi na magię, więc Nicholas nie mógł się posługiwać darem, żeby ich podnieść. Musiał korzystać z siły mięśni.

Nie przeszkadzało mu to. Nie miało znaczenia, jak się dostaną na pale. Liczyło się to, co ich wówczas spotka.

Niósł przez pokój krzyczącego z przerażenia mężczyznę. Pozostali wcisnęli się w najdalszy kąt. Zawsze tłoczyli się w najdalszym kącie, niczym kury przeznaczone na obiad.

Podniósł wysoko mężczyznę, ocenił odległość i kąt nachylenia, pomknął naprzód. Więzień szeroko otworzył oczy, rozdziawił usta. Zakrztusił się oddechem i stęknął, kiedy Nicholas nadział go na pal. Biedak spazmatycznie łapał powietrze, a zaostrowany pal zagłębiał się w jego wnętrzości. Znieruchomiał w krzepkich ramionach czarodzieja, bojąc się poruszyć, bojąc się uwierzyć w to, co go spotkało, bojąc się uwierzyć, że to prawda... starając się sobie wmówić, że to nie może być prawdziwe.

Nicholas podniósł się. Mężczyzna, sztywno wyprostowany, siedział na zaostrowanym palu. Coraz wyżej unosił brwi, marszcząc pokryte potem czoło. Cierpiał straszliwe katusze i starał się dosięgnąć stopami podłogi - była za daleko.

Czarodziej sięgnął umysłem w tę plątaninę odczuć, szarpał pazurami powietrze, wślizgiwał się w głąb tej żyjącej istoty, w otwarty umysł tego człowieka, w szczeliny między jego chaotycznymi myślami. Czuł jego mękę i strach. Przejmował kontrolę. Kiedy już wcisnął się umysłem w tego człowieka, wsączył w jego świadomość, zaczął wsysać jego jaźń.

Tamtego pamiętnego dnia połączona moc destruktywna i kreatywna Sióstr przekształciły Nicholasa w zupełnie nową istotę, będącą zarazem nim i czymś więcej. Zmienił się w coś, czym jeszcze nie był żaden człowiek - w to, w co inni zechcieli go zmienić, w co zechcieli go przekształcić. Owe Siostry zaszczepiły w nim to, co rozbudziły, sprzęgając swoje umiejętności, żeby

okiełznać moce, których w pojedynkę nie mogłyby nawet musnąć, a wspólnie nie powinny przyzywać. Rozbudziły w nim zdolności, które niewielu w ogóle przyszły na myśl: zdolność wnikania w myśli innej osoby i wsysania jej jaźni.

Przyciągał zaciśnięte pięści do swojego brzucha, wsysając jaźń owego mężczyzny zawieszona na granicy życia i śmierci. Wsysał samą kwintesencję duszy tamtego. Nicholas poczuł, jak wślizguje się weń dusza więźnia, i ogarnęła go związana z tym ekscytacja.

Zostawił tkwiące na palu ciało i skoczył ku oknom. W głowie mu się kręciło od ekscytacji właśnie rozpoczętą podróżą, tym, co nadejdzie, mocą, nad którą zyska kontrolę.

Znów szeroko otworzył usta w ziewnięciu, które nie było ziewnięciem, lecz zewem niosącym nie tylko jego niesłyszalny głos.

Przed oczami wirowały mu rozedrgane obrazy. Wciągnął w płuca pierwszą woń odległych lasów, w których pragnął się znaleźć.

Rzucił się z powrotem i pochwyił kobietę. Błagała go, łkając. Błagała, by ją oszczędził, kiedy niósł ją ku palowi.

- Przecież to drobnostka - rzekł do niej. - Drobnostka w porównaniu z tym, co ja wycierpiałem. Och, nawet sobie nie potrafisz wyobrazić, co ja przeżyłem.

Rozpięto go nagiego, pomiędzy palikami, w środku kręgu tych zadowolonych z siebie bab. Był dla nich niczym. Nie widziały w nim ani mężczyzny, ani czarodzieja. Był dla nich zaledwie tworzywem, ciałem i krwią przepojonymi darem. Tworzywem, którego potrzebowały, którym się posłużyły w jednej z kolejnych prób, które przekształciły.

Miał moc, więc obowiązek wymagał, by ją poświęcił.

Nicholas pierwszy przeżył te ich próby - nie dlatego, że się starały, że uważały, lecz dlatego, że już wiedziały, co się nie udaje, i potrafiły unikać dawnych błędów.

- Wrzeszcz sobie. Wrzeszcz, ile chcesz. To ci nic nie pomoże, tak jak mnie nie pomogło.

- Czemu?! - wrzasnęła. - Czemu?!

- Och, muszę to zrobić, skoro mam przechwycić twojego ducha i dzięki temu szybować na skrzydłach moich znajdujących się daleko przyjaciół. Razem wybierzemy się we wspaniałą podróż.

- Błagam! - skamlała. - Nie, o drogi Stwórco!

- O tak, drogi Stwórco - zadrwił. - Przyjdź i ocal ją, tak jak przyszedłeś i mnie ocaliłeś.

Jej zawodzenie na nic się zdało. Jego także. Nie miała pojęcia, o ile większa była jego męka od tej, która ją czekała. W przeciwieństwie do niej on był skazany na życie.

- Nienawidź życia, żyj dla nienawiści - szepnął na pocieszenie. - Zyskasz chwałę i nagrodę, czyli śmierć.

Nadział ją na pał. Najpierw zbyt słabo, więc pchnął ją w dół jeszcze parę cali, żeby mieć pewność, że pał dostatecznie się w nią zagłębił - na tyle, by wywołać niezbędne ból i przerażenie, nie na tyle jednak, by zabić od razu. Rzuciła się, rozpaczliwie starała się oswobodzić mimo związanych za plecami rąk. Ledwie był świadomy jej krzyków, jej bezużytecznych słów. A jej się zdawało, że coś zmieniają.

Jego celem była udręka. Ich skargi jedynie potwierdzały, że osiągał zamierzony cel.

Nicholas tkwił przed kobietą z rozczapierzonymi jak szpony palcami, sięgał umysłem w jej rwące się myśli, w głąb jej duszy. Siłą umysłu, przewyższającą siłę mięśni, zaczął ją wsysać. Wstrzymał oddech, czując, jak wnika weń jej duch.

Wysysał dusze z udręczonych ciał, umierających ciał - dusze istniejące teraz w „przestrzeni niczyjej” pomiędzy ziemską formą, już dla nich straconą, choć nadal żyjącą, a światem zmarłych, który właśnie je przyzywał. W tym przejściowym okresie należały do niego i mógł je wykorzystywać w jedynie sobie dostępny sposób.

A on tak naprawdę nie znał jeszcze pełni swych możliwości.

Takich umiejętności nikt nie mógł go nauczyć - bo nie było drugiego takiego jak on. Ciągłe poznawał zakres swojej magicznej mocy, dowiadywał się, co mógłby uczynić z duszami innych. Stale jeszcze tkwił u podstaw.

Imperator chciał stworzyć kogoś podobnego do siebie, Nawiedzającego Sny, brata. Kogoś, kto mógłby wnikać w umysł innej osoby. Dostał więcej, niż potrafił sobie wyobrazić, niż się kiedykolwiek spodziewał. Nicholas nie tylko wślizgiwał się w czyjeś myśli, jak to robił Jagang. Potrafił dotrzeć aż w głąb duszy i wessać ją.

Siostry kształtujące jego dar nie liczyły na coś takiego.

Znów rzucił się ku oknom i szeroko otworzył usta w ziewnięciu, które ziewnięciem nie było. Pokój falował. Teraz już był tutaj jedynie po części. Zaczynał widzieć inne miejsca. Wspaniałe. Widział je nowym wzrokiem, za pośrednictwem dusz nie pętanych dłużej przez marną cielesną powłokę.

Skoczył ku trzeciej osobie, nawet już nie dostrzegając, czy to mężczyzna czy kobieta. Tylko ich dusza miała znaczenie - ich duch.

Z pośpiechem nabił ją na pał, wniknął w nią i wessał jej ducha, wstrząsany wstępującą weń mocą.

I znów rzucił się ku oknu, rozwarł szeroko usta i kręcił głową, drżąc z emocji, upojony... Utrata fizycznej orientacji, egzaltacja wzniesienia się ponad cielesny byt, przewyciężenia ograniczeń zwyczajnego ciała - wzbicie się nie tylko własnym wysiłkiem, lecz także dzięki duchom innych ludzi, które wyzwolił z ciał.

Jakież to było wspaniałe.

Dawało niemal taką samą radość, jaką przypisywał śmierci.

Pochwycił czwartą łkającą osobę i z szaleńczą niecierpliwością pomknął przez pokój ku palom, ku czwartemu palowi. Nadział na niego wrzeszczącą istotę.

Potem nieco się odsunął, wniknął w rozszalałe, chaotyczne, rwące się myśli i wessał to, co było do wessania. Wessał i tego ducha.

Kiedy panował nad czymś duchem, panował nad istnieniem takiej osoby. Stawał się dla niej życiem i śmiercią. Zbawcą i niszczycielem.

Pod wieloma względami przypominał duchy, które wsysał - uwięziony w ziemskim ciele, nienawidzący życia, tego cierpienia i udręki, którymi było, a mimo to lękający się umrzeć, chociaż tak stęskniony za słodkim uściskiem śmierci.

Nicholas, mając w sobie już cztery duchy, podszedł chwiejnie do piątej, kulącej się w kącie osoby.

- Błagam! - zaskomlał mężczyzna, starając się ocalić to, co i tak było stracone. - Błagam! Nie!

Czarodziejowi przyszło na myśl, że pale to w istocie tylko zawada. Musiał nieść tych ludzi niczym owce, żeby ostrzyc ich z dusz. Taak, stale się uczył, co mógłby zrobić i jak zapanować nad tym, co zrobił, lecz konieczność używania pali irytowała. Gdy więc porządnie już to przemyślał, uznał, że to właściwie skandal, by czarodziej z jego talentami musiał się posługiwać

czymś tak prymitywnym.

Właściwie powinien się wśliznąć w czyjąś duszę i wessać ją bez ostrzeżenia - bez uprzedniego nabijania ludzi na pał.

Kiedy już będzie to potrafił - gdy ot tak podejdzie do kogoś, powie „Dzień dobry” i niczym sztylet sięgnie jądra duszy, a potem ją wessie - stanie się niezwyknięty. Kiedy już będzie do tego zdolny, nikt mu się nie przeciwstawi. Nikt mu niczego nie zabroni.

Mężczyzna kulił się przed nim, a Nicholas, zanim sobie uświadomił, co czyni, kierowany nienawiścią i wściekłym pragnieniem, wyciągnął rękę i równocześnie wdarł się umysłem w owego człowieka, w szczeliny pomiędzy jego myślami.

Mężczyzna zeszywniał, zupełnie jak ci na palach, kiedy Nicholas się w nich wdzierał.

Czarodziej cofał ku sobie zaciśniętą pięść, wsysając ducha owego więźnia. Z trudem łapał oddech, zachwycony gładkim, jedwabistym wślizgiwaniem się weń ducha tamtego.

Wpatrywali się w siebie, obaj wstrząśnięci, obaj niepewni, co to dla nich oznacza.

Mężczyzna zatoczył się na ścianę i osuwał na podłogę w straszliwym, bezgłośnym cierpieniu.

A Nicholas uświadomił sobie, że właśnie zrobił coś, czego jeszcze nigdy nie uczynił. Odebrał komuś duszę jedynie siłą własnej woli.

Zyskał możliwość brania tego, co zechce, kiedy zechce i gdzie zechce.

ROZDZIAŁ 28

Nicholas chwiejnie podszedł do okna. W oczach mu się ćmiło.

Teraz już wszystkie pięć dusz należało do niego.

Kiedy tym razem otworzył usta, wreszcie wydobył się z nich krzyk - krzyk pięciu dusz złączony z jego krzykiem, tak jak on połączył je w jedną moc kierowaną wyłącznie jego wolą. Udręka ich ziemskich powłok niewiele je obchodziła. Pięć dusz wyrzało wraz z nim przez okno, pięć dusz czekało, by poszybować w noc, tam, dokąd on je wyśle.

Siostry nie miały pojęcia, co rozpętały owej nocy. Nie wiedziały, jaką przepełniły go mocą, jakie wpoily w niego umiejętności. Dokonały tego, czego nikt nie dokonał od tysiący lat - przemieniły czarodzieja w coś więcej, uczyniły zeń oręż nakierowany na specyficzny cel. Wlały w niego moc, jakiej nie miał nikt. Dały mu władzę nad duchami innych.

Większość uszła, ale zabił pięć z nich.

Pięć wystarczyło. Kiedy tamtej nocy wśliznął się do ich dusz i wessał je, przywłaszczył sobie ich Han, ich siłę życiową, ich moc.

I słusznie zrobił, bo to nie była ich Han, lecz męska Han, którą ukradły młodemu czarodziejom. Wrodzony dar, który im odebrały, żeby zyskać talenty, z jakimi się nie urodziły, z jakimi nie mogły się urodzić. Kolejni bezimienni ludzie obdarzeni talentami, które należało poświęcić dla tych, którzy ich potrzebowali lub po prostu pragnęli.

Nicholas odebrał to wszystko, wyssał z ich rozdygotanych ciał, rozszarpując pazurami ich ziemskie powłoki. Żałowały, że spełniły żądanie Jaganga, że zmieniły Nicholasa w coś, czego Stwórca nigdy nie przewidział.

Nie tylko przekształciły go w Slide'a, ale i oddały mu swoją Han, przez co zyskał jeszcze większą moc.

Po śmierci każdej z tych kobiet świat na mgnienie oka stawał się czarniejszy od czerni - to przybywał Opiekun i zabierał je do swego królestwa.

Tamtego dnia Siostry zniszczyły go i zarazem stworzyły na nowo.

Miał całe życie na poznawanie swoich nowych umiejętności i naukę posługiwania się nimi.

A Jagang na pewno go za tamtą noc wynagrodzi. Jagang zapłaci, ochno

zapłaci, bo on da mu to, co może mu ofiarować jedynie Nicholas Slide.

Nicholas zostanie nagrodzony za to, co mu uczyniono... Jeszcze nie zdecydował, co powinno być ową nagrodą, ale na pewno musi być odpowiednia, bo sobie na nią zasłużył.

Wykorzysta swoje umiejętności do zdobycia władzy nad życiem - życiem ważnych osób. Już nie musiał nabijać ludzi na pal. Teraz już wiedział, jak odbierać to, czego chce.

Teraz już wiedział, jak się wśliznąć w ich umysł w wybranej przez siebie chwili i odebrać im duszę.

Wymieni te życia na władzę, bogactwo, splendor. To będzie musiało być coś odpowiedniego...

Zostanie imperatorem.

Ale w jakiejś godniejszej krainie, nie w tym państewku baranów. Będzie się rozkoszował władzą. Jak już dostanie władzę nad... nad czymś znacznym, zadba, by spełniano każdą jego zachciankę. Jeszcze nie zdecydował, czym chce władać. Odpowiednia nagroda to poważna sprawa, poważna decyzja. Nie ma się co spieszyć. I tak go nie minie.

Odwrócił się od okna. Pięć dusz kołowało w nim, szybowało.

Czas wykorzystać to, co złączył w jedno.

Czas się wziąć do roboty, jeżeli ma zdobyć to, czego chce.

Tym razem znajdzie się bliżej. Irytowało go, że nie znalazł się bliżej, że lepiej nie widział. Było już ciemno. Tym razem, pod osłoną ciemności, podkradnie się bliżej.

Zdjął ze stołu szeroką czarę i postawił ją na podłodze przed tymi, do których wciąż jeszcze należały tkwiące w nim dusze. Skręcali się w straszliwej męce - nawet ten, który nie był na palu - w udręce ciała i duszy.

Usiadł na podłodze, przed czarą, skrzyżował nogi. Położył dłonie na kolanach, odrzucił głowę w tył, zamknął oczy i zbierał swoją wewnętrzną moc, moc stworzoną przez te niegodziwe baby, przez te cudowne niegodziwe kobiety.

Miały go za mało wartego czarodzieja - ot, ciało, krew i dar, którymi się mogły posłużyć. Był ofiarą na rzecz większego dobra.

Jak będzie miał czas, to sobie zapoluje na pozostałe.

Nicholas miał teraz ważniejsze zajęcie, więc przepędził Siostry ze swoich myśli.

Tej nocy nie będzie patrzeć cudzymi oczami. Tej nocy znów poszybuje z duchami, które wysła.

Otworzył usta najszerzej jak zdołał, zakołysał głową z boku na bok. Złączone w nim duchy przelały część siebie do czary - powstał jedwabisty, srebrzysty wir łagodnie rozświetlony więzią z życiem, supełek mocujący do materii świata nitkę ich podróży.

I duch Nicholasa zostawił w ciele odrobinę siebie, a potem dołączył do tych w czarze.

Fragmenty owych pięciu dusz i jego duszy wirowały razem, rozświetlone łagodnie życiem, Nicholas zaś szykował się do drogi. Wypuścił własnego ducha, zostawiając siedzące na podłodze ciało, i wzleciał w mroczne niebo niesiony na skrzydłach mocy.

Wcześniej żaden czarodziej nie był w stanie dokonać tego, co on teraz robił - nie mógł opuścić ciała i szybować duchem według woli umysłu. Mknął przez noc z szybkością myśli, by odnaleźć to, na co polował.

Czuł pęd rozcinanego skrzydłami powietrza. W mgnieniu oka przeleciał przez noc i był z nimi, ciągnąc za sobą tamte pięć dusz.

Przyzwał ciemne kształty, by z nim krążyły, a kiedy już były przy nim, tchnął w nie owe pięć dusz. Z jego ust, w odległym pokoju wciąż otwartych w ziewnięciu, które ziewnięciem nie było, wydobył się krzyk dorównujący pięciu wrzaskom.

Krążyli, a on czuł powietrze opływające ich skrzydła, czuł, jak pióra wykorzystują wiatr, by niósł je równie lekko, jak jego myśl unosiła nie tylko jego ducha, ale i pięć tamtych.

Posłał piątkę tam, dokąd przedtem żołnierzy. Mknęli nad wzgórzami, przyjrzeni się otwartej przestrzeni, jałowym ziemiom. Otulał go chłodny płaszcz ciemności, kryła czarna noc, czarne skrzydła.

Piątka zniżala się ku ziemi. Doleciała go woń padliny - ostra, słodkawa, kusząca. Poprzez ich widzące w ciemności oczy Nicholas ujrzał ziemię usłaną trupami. Ich pobratymcy już się tam zebrali, uczując w zapamiętaniu.

Nie. Coś tu było nie tak jak trzeba. Nie ujrzał ich.

Musi ich odszukać.

Oderwał swoją piątkę od krwawej uczyty, kazał szukać. Slide poczuł ukłucie niepokoju - to jego przyszłość mu się wymknęła, jego skarb wymykał

mu się z rąk. Musi ich odnaleźć. Musi.

Przynaglił swoich podopiecznych.

Tu, tam i jeszcze tam. Wypatrujcie, wypatrujcie, wypatrujcie. Znajdźcie ich, znajdźcie. Wypatrujcie. Musicie ich odszukać. Wypatrujcie.

To się nie powinno zdarzyć. Żołnierzy było tylu, ilu trzeba. Nikt nie powinien się wymknąć tak doświadczonym żołnierzom. Nie wtedy, gdy zjawiali się ukradkiem i atakowali znienacka. Specjalnie ich dobrano. Byli w tym dobrzy.

Wszędzie leżały ich trupy. Szarpane przez dzioby i szpony. Podeksycytowane wrzaski. Głód.

Nie. Trzeba ich odnaleźć.

Dalej, dalej, dalej. Szukać ich. Musi ich odnaleźć.

Przecierpiał mękę ponownych narodzin - w tamtych mrocznych lasach, w straszliwych lasach, przy tych straszliwych babach. Zdobędzie swoją nagrodę. Nie odmówią mu jej. Nie teraz. Nie po tym wszystkim.

Odnaleźć ich. Wypatrujcie, wypatrujcie, wypatrujcie. Odnajdźcie ich.

Mknął przez noc na potężnych skrzydłach. Szukał oczami widzącymi w mroku. Węszył, posługując się istotami, które z wielkiej odległości potrafią wyczuć zdobycz.

Mknęli przez noc, tropiąc. Tropiąc.

Och, dostrzegł ich wóz. Rozpoznał ich wóz. Ich wielkie konie. Widział to przedtem - widział ich z nim przedtem. Jego słudzy zbliżyli się na niemal bezszelestnych skrzydłach, podlecieli, by dostrzec to, czego szukał Nicholas.

Nie tutaj. Tu ich nie było. Podstęp. To musiał być jakiś podstęp. Zmyłka. Nie tutaj. Odesłali wóz, żeby go zmylić, żeby zgubił ich ślad.

Wzbił się na skrzydłach, którym gniew dodał sił. W górę, w górę, w górę, przeszukać okolicę. Tropić, tropić. Odnaleźć ich. Razem z piątką zataczał coraz szersze koła, żeby obejrzeć okolicę pod osłoną nocy. Lecieli, szukając, szukając. Jego głód był ich głodem. Polujcie na nich. Polujcie.

Żałował im odpoczynku, więc skrzydła stawały się coraz słabsze. Musiał ich odnaleźć. Nie pozwoli na spoczynek. Nie dopuści do klęski. Tropił ich coraz szerszymi koliskami, szukał, polował, śledził.

O, tam, pośród drzew, dostrzegł jakiś ruch.

Dopiero co zapadła noc. Nie zobaczą swoich prześladowców - nie w tych ciemnościach - ale on ich dojrzy. Zmusił piątkę, by kołowała coraz niżej, nad

tamtymi. Tym razem musi dotrzeć odpowiednio blisko, musi ich ujrzeć. Kołowały, utrzymując go tam. Kołowały, obserwując. Kołowały, wypatrując, i dostrzegły ich tam.

To ona! Matka Spowiedniczka! Zobaczył pozostałych. Tę z rudymi włosami i małą czworonożną przyjaciółką. I resztę. On też tu musi być. Musi tutaj być. Będzie tutaj, z grupką wędrującą na zachód.

Na zachód. Szli na zachód. Znaleźli się bardziej na zachód od miejsca, w którym ich ostatnio widział.

Nicholas się roześmiał. Kierowali się na zachód. Wysłani po nich żołnierze leżeli martwi, lecz oni i tak nadciągali. Szli ku zachodowi.

Tam, gdzie czekał.

Dostanie ich.

Dostanie lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę.

Jagang ich dostanie.

I wtedy wiedział już, jakiej chce nagrody. Czego zażąda za cenne łupy.

D'Hara.

Za tych dwoje ludzi dostanie władzę nad D'Harą. Jeżeli Jagang chce ich mieć, to będzie musiał dać mu władzę nad D'Harą. Nie ośmieli się odmówić Nicholasowi Slide'owi należnej nagrody. Nie wtedy, kiedy Nicholas będzie miał w garści to, czego Jagang najbardziej pragnie. Za tych dwoje zapłaci każdą cenę.

Ból. Krzyk. Szok, przerażenie, dezorientacja. Nicholas poczuł, że wiatr, który dotąd niósł go bez wysiłku, uderza weń jak chwytające pióra ręce, kiedy spadał, bezradny i obolały.

Jeden z piątki ze straszliwą siłą uderzył w ziemię.

Nicholas wrzasnął. Razem z nosicielem stracił jednego z pięciu duchów. Gdzieś tam w oddali, w pokoju o drewnianych ścianach, okiennicach i okrwawionych palach, gdzieś tam, w jakimś miejscu tak odległym, że niemal o nim zapomniał, jedna z dusz wyrwała się spod jego kontroli.

Jedna z pięciu tkwiących tam osób zmarła w tej samej chwili, w której chyżolot uderzył w ziemię.

Wrzask przeraźliwego bólu. Jeszcze jeden wyrwał się spod kontroli. Kolejny duch wyrwał się Nicholasowi i trafił w czekające na niego ramiona śmierci.

Nicholas robił co mógł, żeby widzieć w tym zamęcie. Zmuszał pozostałą

trójkę, by go tam utrzymywały, żeby mógł patrzeć. Tropcie, tropcie, tropcie. Gdzie on jest? Gdzie on jest?

Gdzie? Widział tamtych. Gdzie jest lord Rahl?

Trzeci wrzask.

Gdzież on jest? Nicholas walczył, żeby widzieć mimo bólu, mimo gwałtownego spadania.

Ból przeszył czwartego.

Nim zdołał zebrać zmysły, powstrzymać je, siłą woli zmusić do wykonania rozkazu, kolejne dwa duchy zniknęły w pustce zaświatów.

Gdzież on jest?

Nicholas szukał, nastawiwszy szpony.

Tam! Tam!

Straszliwym wysiłkiem zmusił chyzolota do pikowania. Tam jest! Tam jest! Wysoko. Wyżej niż pozostali. Wysoko. Na skalnej półce ponad tamtymi. Nie było go na dole, przy nich. Był wysoko.

Pikuj na niego. Pikuj.

Tam stoi, z napiętym łukiem.

Ból targnął ostatnim chyzolotem. Ziemia zbliżała się gwałtownie. Nicholas wrzasnął. Rozpaczliwie usiłował powstrzymać korkociąg. Przez chwilę czuł, jak chyzolot z przerażającą szybkością uderza w skałę. Ale tylko przez chwilę.

Z trudem złapał oddech. W głowie mu wirowało przez ten nagły, niekontrolowany, wymuszony powrót.

Zamrugnął i szeroko rozwarł usta, próbując wrzasnąć, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Oczy wyszły mu na wierzch z wysiłku, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Wrócił. Chciał tego czy nie, wrócił.

Rozejrzał się po pokoju. Wrócił, dlatego nie rozległ się jakikolwiek krzyk. Do jego głosu nie przyłączył się wrzask żadnego chyzolota. Były martwe. Wszystkie pięć.

Nicholas odwrócił się, spojrzał na nabitą na pale czwórkę. Wszyscy się osunęli. Piąty leżał bezwładnie w kącie. Wszyscy byli bezwładni i nieruchomi. Wszyscy nie żyli. Ich duchy uleciały.

Pokój był cichy jak krypta. W stojącej przed Nicholasem czarze lśnił jedynie fragment jego ducha. Wessał go.

Długo tak trwał, czekając, żeby przestało mu się kręcić w głowie.

Wstrząsające przeżycie tkwić w zabijanej istocie - mieć w sobie ducha umierającej osoby. Pięciu umierających. Zdumiewające przeżycie.

Lord Rahl to zadziwiający człowiek. Poprzednio Nicholas nie sądził, że Rahl zdoła sobie poradzić z całą piątką. Uważał, że to był tylko szczęśliwy traf. Ale teraz to już nie był szczęśliwy przypadek. Lord Rahl to zadziwiający człowiek.

Gdyby Nicholas chciał, mógłby znów wysłać swego ducha, poszukać nowych oczu, ale głowa go bolała i nie czuł się na siłach. Poza tym to już nie miało znaczenia. Lord Rahl wędrował na zachód. Szedł do wspaniałego Imperium Bandakarskiego.

Nicholas władał Bandakarem.

Tutejsi ludzie go czcili.

Uśmiechnął się. Lord Rahl nadchodzi. Zdziwi się, kogo tu napotka. Lord Rahl pewnie sądzi, że zna wszelkie typy ludzi.

Jednak nie ma pojęcia o istnieniu Nicholasa Slide'a.

Nicholasa Slide'a, który zostanie imperatorem D'Hary, jak tylko dostarczy Jagangowi upragniony ponad wszystko łup - zwłoki lorda Rahla i żywą Matkę Spowiedniczkę.

Jagang dostanie ich oboje.

A Nicholas dostanie w zamian ich imperium.

ROZDZIAŁ 29

Ann usłyszała odgłos odległych kroków. Zbliżały się długim, pustym, ciemnym korytarzem za drugimi drzwiami do jej zapomnianego przez wszystkich lochu pod Pałacem Ludu, siedzibą władz D'Hary. Już sama nie wiedziała, czy to noc czy dzień. Siedząc w ciszy i ciemności, straciła poczucie czasu. Lampę oszczędzała na te chwile, kiedy jej przynosili posiłki i kiedy pisała do Verny w książce podróżnej. Albo na te chwile, kiedy czuła się tak osamotniona, że potrzebowała choćby towarzystwa małego płomyka.

W tym miejscu, w pałacu-zakłęciu członków rodu Rahlów, jej moc tak osłabła, że Ann mogła jedynie zapalić lampę.

Bała się zbyt często korzystać z lampy, żeby oliwa się nie skończyła; nie wiedziała, czy ją uzupełnią. Nie chciała wyczerpać całego zapasu i dopiero wtedy się przekonać, że więcej nie dostanie. Nie chciała, żeby zabrakło jej możliwości zapalenia tego małego płomyka, skorzystania ze światła.

W ciemnościach mogła jedynie rozmyślać nad własnym życiem, nad tym, do czego z takim uporem dążyła. Setki lat przewodziła Siostrze Światła, które starały się, żeby na świecie zatriumfowała chwała Stwórcy i żeby Opiekun zaświatów tkwił tam gdzie trzeba, w swoim królestwie, w świecie zmarłych.

Przez stulecia z trwogą czekała na spełnienie się przepowiedni.

Pięćset lat czekała na narodziny jedynego człowieka, który mógł im zapewnić zwycięstwo w walce o to, żeby dar Stwórcy - magia - przetrwał mimo wysiłków tych, którzy chcieli usunąć ten blask ze świata. Pięćset lat pracowała nad tym, by mógł zrobić to, co zrobić musiał, jeżeli miał powstrzymać siły, które chciały wykorzenić magię.

Proroctwo mówiło, że jedynie Richard zdoła ocalić ich sprawę, nie dopuści, by wrogom udało się spowić ludzi całunem. Że wyłącznie Richard może ocalić dar od zataracenia. Proroctwo nie zapewniało, że mu się to uda - głosiło tylko, że wyłącznie Richard może poprowadzić ich do zwycięstwa. Bez niego nie ma żadnej nadziei - to jedno było całkiem pewne. I z tego właśnie powodu Ann była mu oddana na długo przed jego narodzinami, zanim jeszcze wyrósł na ich przywódcę.

Kahlan uważała, że wszelkie starania Ann to tylko wtrącanie się i igranie

z życiem ludzi. Że wszelkie wysiłki Ann doprowadziły do tego, czego Ksieni się najbardziej obawiała. Ann niekiedy myślała z lękiem, że może Kahlan ma rację. Może Richard miał się narodzić i z własnej woli dokonać tego, co by im dało zwycięstwo w walce o zachowanie magicznego daru. Zedd z całą pewnością uważał, że Richard stanąłby na ich czele z własnej woli, na skutek świadomego wyboru.

Może istotnie była to prawda i Ann - starając się kierować wydarzeniami, którymi nie należało i które i tak nie poddawały się kontroli - tylko przywiodła ich na skraj przepaści.

Kroki się zbliżały. Może to czas posiłku i niosą kolację. Nie była głodna.

Kiedy przynosili strawę, mocowali ją do końca długiej tyki. Potem wsuwali tę tykę w niewielki otwór w zewnętrznych drzwiach, przepychali przez celę z magicznymi osłonami, a następnie przez otwór w wewnętrznych drzwiach. Tak docierała do Ann. Nathan wołał nie ryzykować, że zdołałaby stąd uciec, gdyby strażnicy otwierali drzwi celi, żeby przynieść jej posiłek.

Dostarczali jej w ten sposób rozmaite rodzaje chleba, mięsa, warzyw, a także bukłaki. Jedzenie było smaczne, lecz jej to nie cieszyło. W lochu, w samotności, nie smakowałaby nawet najbardziej wyszukana strawa.

Jako Ksieni miała niekiedy wrażenie, że jest więźniem swojego stanowiska. Rzadko - zwłaszcza w ostatnich latach - zjawiała się w komnacie, gdzie jadały Siostry Światła. Wszystkie były bardzo spięte, kiedy Ksieni towarzyszyła im przy posiłkach. A poza tym, gdyby za często się tam zjawiała, toby im to spowszedniało.

Tymczasem Ann sądziła, że do utrzymania dyscypliny konieczny jest pewien dystans, lękliwy szacunek. A z całą pewnością należało utrzymywać dyscyplinę w miejscu, w którym - dzięki zaklęciu - czas płynął wolniej. Ann wyglądała na jakieś siedemdziesiąt lat, lecz miała ich blisko tysiąc. To życie pod ochroną zaklęcia Pałacu Proroków tak drastycznie spowolniło procesy starzenia.

I dużo dobrego jej ta dyscyplina dała. To za jej kadencji zaroilo się w pałacu od Sióstr Mroku. Sióstr były całe setki i trudno było orzec, ile z nich złożyło mroczną przysięgę Opiekunowi. Jego kuszące obietnice dawały dobry efekt. Były to rzecz jasna obietnice kłamliwe, ale spróbuj to takiej wytłumaczyć. Nieśmiertelność kusiła kobiety patrzące, jak znani im ludzie

spoza pałacu starzeją się i umierają, podczas gdy one zachowują młodość.

Te Siostry, które miały dzieci, widziały, jak się je odsyła z pałacu, by wychowywały się tam, gdzie mogły prowadzić zwyczajne życie. Widziały, jak ich dzieci starzeją się i umierają. Patrzyły, jak ich wnuki starzeją się i umierają. Dla obserwującej to wszystko kobiety, kobiety patrzącej na starzenie się i śmierć tych, których znała, i przez cały ten czas zachowującej młodość i atrakcyjność, propozycja nieśmiertelności stawała się coraz bardziej kusząca, w miarę jak jej uroda zaczynała więdnąć.

Starzenie się to ostatnie stadium, kres życia. Starzenie się w Pałacu Proroków to bardzo długa męka. Ann była stara od stuleci. Zachowywanie młodości przez tak wiele lat było wspaniałe, lecz bycie starą przez tak wiele lat już wspaniałe nie było - przynajmniej dla niektórych. Dla Ann wspaniałe było samo życie - nie jej wiek - i to, czego się uczyła. Jednak nie wszystkie tak uważały.

Teraz pałac był zniszczony i będą się starzeć w takim samym tempie jak wszyscy. Ksieni jeszcze niedawno miała przed sobą kolejne sto lat, a teraz jej czas nagle skurczył się może nawet do dziesięciu.

Wątpiła jednak, czy pożyje tak długo w tej wilgotnej norze, z dala od życia i światła.

Wcale nie miała poczucia, że ona i Nathan mają niemal po tysiąc lat. Nie wiedziała, jak to jest starzeć się w normalnym tempie, poza ochroną zaklęcia, ale uważała, że odczuwa to wszystko trochę inaczej niż ci, którzy starzeli się poza pałacem. Sądziła, że zaklęcie, które spowolniło ich proces starzenia się, równocześnie zmieniło - przynajmniej do pewnego stopnia - ich postrzeganie czasu.

Kroki się zbliżały. Ann nie tęskniła za kolejnym posiłkiem w tym miejscu. Zaczynała pragnąć, żeby pozwolili jej się zagłodzić i raz na zawsze z tym skończyć. Żeby pozwolili jej umrzeć.

Bo cóż warte było jej życie? I co tak naprawdę osiągnęła, jeśli się nad tym porządnie zastanowić? Jeden Stwórca wie, jak zamierzała pokierować Richardem w tym, co powinno zostać zrobione, a w końcu i tak wyszło na to, że działał z własnego wyboru i z własnej woli - jak się okazywało, słusznie, chociaż w większości przypadków dokładnie na odwrót wobec oczekiwań Ann. Gdyby nie usiłowała wpływać na wydarzenia, nie sprowadziła go do Pałacu Proroków w Starym Świecie, być może nic by się nie zmieniło i

właśnie dzięki temu Richard by ich wszystkich ocalił. Nie zostałby zmuszony do działania, a tym samym Jagang i Imperialny Ład nadal tkwiliby w Starym Świecie, aż do sześcenięcia, nie mogąc rozprzestrzeniać swoich paskudnych i szkodliwych zasad. Może to ona - swoim wtrąceniem się - wszystko popsuła.

Usłyszała, jak ze skrzypieniem otwierają się drzwi korytarzyka wiodącego ku jej celi. Postanowiła, że nie będzie jeść. Nie będzie jeść, dopóki Nathan do niej nie przyjdzie i z nią nie porozmawia, jak o to prosiła.

Czasami ze strawą posyłali jej wino. Była przekonana, iż Nathan je przysyłał, żeby ją zirytować. Bo czasem domagał się wina, tkwiąc w zamknięciu w Pałacu Proroków. Ann zawsze przedstawiano te jego prośby, a ona zawsze je odrzucała.

Czarodzieje byli dość niebezpieczni, a Prorocy - czarodzieje z darem prorokowania - jeszcze groźniejsi od pozostałych. Najgorsi ze wszystkich zaś byli pijani Prorocy.

Proroctwa wygłaszane bez ładu i składu wręcz przyzywały katastrofę. Nawet najprostsze z nich, które wymknęły się poza kamienne mury Pałacu Proroków, bywały przyczyną wojen.

Nathan domagał się też czasami towarzystwa kobiet. Tych żądań Ann najbardziej nie znosiła, bo niekiedy je spełniała. Uważała, że powinna. Nathan, zamknięty w swoich apartamentach, niewiele miał z życia, a przecież jego jedynym występkiem były wrodzone uzdolnienia. Pałac z łatwością mógł sobie pozwolić na opłacenie kobiety, która by go od czasu do czasu odwiedziła.

Często urządzał sobie zabawę - wygłaszał proroctwo, po którym ta kobieta uciekała, zanim zdążyły z nią pomówić, zanim zdołały skłonić ją do milczenia.

Proroctwo nie było przeznaczone dla osób pozbawionych odpowiedniego przygotowania. Ci, którzy nie pojmowali złożoności przepowiedni, łatwo mogli ją opacznie zrozumieć. Wygłaszać proroctwa wobec nie wtajemniczonych to jak podpalać wysuszoną trawę.

Proroctwo nie jest przeznaczone dla nieoświeconych.

Na samą myśl o grasującym bez żadnej kontroli Proroku żołądek Ann zmienił się w twardą kulę. A przecież czasem zabierała potajemnie Nathana, żeby towarzyszył jej w ważnych wyprawach - przede wszystkim w mających wpłynąć na jakiś aspekt życia Richarda, a dokładniej mówiąc, zadbać o to,

żeby Richard się urodził i żył. Nathan był nie tylko wcielonym utrapieniem, ale i znakomitym Prorokiem, który szczerze pragnął zwycięstwa ich sprawy. W końcu to on dostrzegł w proroctwie ową drugą możliwość, a kiedy Nathan widział prorocstwo, to widział je w najdrobniejszych szczegółach.

Nathan zawsze nosił Rada'Han - obrożę, która umożliwiała Ann lub innej Siostrze kontrolowanie go - więc podczas takich wypraw nie stanowił zagrożenia dla świata. Musiał robić, co kazała, iść, dokąd chciała. W trakcie tych wspólnych podróży właściwie nigdy nie był wolny, bo miał Rada'Han i mogła go kontrolować.

Teraz nie miał Rada'Han. Był naprawdę wolny.

Ann nie chciała żadnej kolacji. Postanowiła, że ją odeśle, kiedy wetkną tutaj tykę. Niech się Nathan pomartwi, że ona przestanie jeść i umrze pod jego nosem. Skrzyżowała ramiona. Niech ją ma na sumieniu. To go powinno skłonić do przyjsca.

Usłyszała, że kroki dotarły do pomieszczenia przed zewnętrznymi drzwiami. Doleciały do niej stłumione głosy. Gdyby miała dostęp do swojej Han, mogłaby zogniskować słuch na tych głosach i dowiedzieć się, o czym rozmawiają. Westchnęła. Nawet z tej możliwości nie dane jej było skorzystać w tym pałacu-zakłęciu. Po cóż mieliby urzeczywistnić tak wymyślne sposoby tłumienia czyjejś magicznej mocy, a potem pozwolić, by takie osoby słyszały sekrety szeptane w obrębie murów.

Zewnętrzne drzwi się otwały, przeraźliwie skrzypiąc. To było coś nowego. Od kiedy się tu znalazła, nikt ich nie otwierał.

Ann pospieszyła ku drzwiom swojej celi, do rozjaśnionego słabym światłem wycięcia. Złapała się prętów i przysunęła ku nim twarz, starając się wypatrzeć, kto tam jest i co robi.

Oślepiło ją światło. Cofnęła się chwiejnie parę kroków, trąc oczy. Tak się przyzwyczaiła do ciemności, że miała teraz wrażenie, iż światło latarni wypala jej oczy.

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku i odsunęła się od drzwi. Zasuwa poruszyła się ze szczękiem. Drzwi zazgrzytały i uchyliły się. Do celi dostało się chłodne powietrze, świeższe niż to, którym Ann tutaj oddychała. Pomieszczenie rozjaśniło żółte światło latarni trzymanej w ręce obciążonej czerwonym skórzanym rękawem.

Mord-Sith.

ROZDZIAŁ 30

Ann mrużyła oczy w oślepiającym blasku, a Mord-Sith schyliła się, wchodząc do celi przez niskie drzwi. Ksieni, nie przyzwyczajona do światła latarni, początkowo widziała jedynie czerwony skórzany uniform i blond warkocz. Wolała się nie zastanawiać, po co jedna z elitarnych dręczycielek w służbie lorda Rahla zeszła do lochów, do jej celi. Znała Richarda. Nie wyobrażała sobie, że mógłby pozwolić na kontynuowanie tych praktyk. Jednak Richarda tu nie było. Władzę dzierżył Nathan.

Ann, ciągle mrużąc oczy, zorientowała się wreszcie, że to ta sama kobieta, którą już widziała: Nyda.

Nyda obdarzyła Ann chłodnym spojrzeniem i w milczeniu odsunęła się na bok. Za nią wchodził do celi jeszcze ktoś. Próg przekroczyła długa noga w brązowej nogawce, a za nią wsunęło się zgięte wpół ciało. Gość wyprostował się i zdumiona Ksieni zobaczyła, kto to jest.

- Ann! - Nathan szeroko otworzył ramiona, jakby się spodziewał, że go uściska. - Jak się masz? Nyda przekazała mi wiadomość od ciebie. Ufam, że dobrze cię traktują?

Ann się nie dała. Zerknęła gniewnie w uśmiechnięte oblicze.

- Ciągle jeszcze żyję, i to nie dzięki tobie, Nathanie.

Pamiętała, rzecz jasna, jaki był wysoki i jakie miał szerokie ramiona. Jednak teraz, kiedy niemal dotykał czubkiem głowy z bujnymi siwymi włosami śladów po obróbce na kamiennym stropie, wydawał się jeszcze wyższy. Ramiona, zajmujące tyle miejsca w małej celi, robiły wrażenie jeszcze szerszych. Brązowe spodnie miał wpuszczone w wysokie buty, na obszytą koronkami białą koszulę wdział kamizelę. Z prawego ramienia spływała elegancka pelerynka z zielonego aksamitu. U lewego biodra połyskiwał w blasku latarni miecz w zdobnej pochwie.

Widok jego przystojnej, wyrazistej, tak niepodobnej do innych twarzy sprawił Ann ogromną radość.

Nathan uśmiechnął się tak, jak tylko Rahl potrafił: wyrażając radość, pragnienie i moc złączone w jedno. Sprawiał wrażenie, jakby chciał porwać panienkę w mocarne ramiona i wyciął ją bez jej zgody.

Nie dbałe zatoczył krąg ręką.

- Przecież jesteś tu bezpieczna, moja droga. Dopóki przebywasz pod naszą ochroną, nikt nie zdoła cię skrzywdzić. Nikt nie może cię niepokoić. Dostajesz smaczną strawę i nawet od czasu do czasu wino. Czegóż więcej mogłabyś chcieć?

Ann wsparła się pięściami pod boki i ruszyła ku niemu w tempie, które skłoniło Nydę do zaciśnięcia w dłoni Agiela. Nathan patrzył, jak idzie na niego. Nawet nie drgnął, nie przestał się uśmiechać.

- Czegóż więcej mogłabym chcieć?! - wrzasnęła Ksieni. - Czegóż więcej mogłabym chcieć?! Chcę się stąd wydostać! Oto, czego jeszcze chcę!

Znaczący uśmieszek Nathana dopiekl jej do żywego.

- Ach tak - rzekł. Były to jedyne słowa oskarżenia. Znieruchomiła w grobowej ciszy lochu i mogła się jedynie wpatrywać w Nathana. Nie potrafiła wymyślić żadnej uwagi, której by nie mógł obrócić przeciwko niej. Spojrzała wściekle na Mord-Sith.

- Jaką wiadomość mu przekazałaś?

- Nyda powiedziała, że chcesz się ze mną zobaczyć - odparł Nathan zamiast tamtej i rozpostarł ramiona. - No i jestem, jak sobie życzyłaś. W jakiej to sprawie chciałaś się ze mną zobaczyć, moja droga?

- Nie traktuj mnie jak głupiej, Nathanie. Dobrze wiesz, dlaczego chciałam się z tobą spotkać. Wiesz, dlaczego jestem tutaj, w D'Harze, dlaczego przyszłam do Pałacu Ludu.

Prorok splótł dłonie za plecami. Uśmieszek przestał mu być potrzebny.

- Nydo, zechciej nas teraz zostawić samych - rzekł do Mord-Sith. - To grzeczna dziewczyna.

Nyda zmierzyła Ann krótkim spojrzeniem. Wystarczyło jej. Ksieni nie stanowiła żadnego zagrożenia dla Nathana. Był czarodziejem - na pewno powiedział jej, że największym czarodziejem wszech czasów - i znajdował się w rodowej siedzibie Rahlów. Nie musiał się obawiać tej starej czarodziejki... a przynajmniej już nie musiał.

Mord-Sith rzuciła Nathanowi spojrzenie mówiące „gdybyś-mnie-potrzebował-to-będę-tuż-obok” i z płynną gracją wyginając nieskazitelnie zgrabne ciało, wyszła z celi niczym kot bez wysiłku przeskakujący żywopłot.

Nathan tkwił pośrodku celi. Dłonie nadal miał splecione za plecami i czekał, co powie Ann.

Ann podeszła do swojego plecaka leżącego na drugim końcu kamiennej

ławy, która służyła jej za łóżko, stół i krzesło. Odrzuciła klapę, wsunęła do środka rękę i poszukała. Palce dotknęły chłodnego metalu. Wyjęła ów przedmiot i przez chwilę tak stała, zasłaniając go. Wreszcie się odwróciła.

- Mam coś dla ciebie, Nathanie.

Uniosła Rada'Han, którą zamierzała założyć mu na szyję. Właściwie to nie wiedziała, jak zdoła tego dokonać. Ale na pewno na coś by wpadła, gdyby się solidnie do tego przyłożyła. W końcu była Annaliną Aldurren, Ksienią Sióstr Światła. No, przynajmniej kiedyś była Ksienią. Zanim upozorowała śmierć swoją i Nathana, przekazała tę funkcję Vernie.

- Chcesz, żebym sobie założył na szyję tę obrozę? - zapytał spokojnie Nathan. - Tego właśnie oczekujesz?

Ann potrząsnęła głową.

- Nie, Nathanie. Chcę ci to dać. Sporo przemyślałam, siedząc tutaj. Między innymi myślałam o tym, że pewnie nigdy nie opuszczę tego odosobnienia.

- Cóż za zbieżność - odezwał się Prorok. - I ja wiele czasu poświęcałem na te same rozważania.

- Tak - Ann skinęła głową - spodziewam się, że tak było. - Podała mu Rada'Han. - Proszę. Weź to. Już nigdy nie chcę widzieć żadnej z nich. Czyniąc to, co uważałam za najwłaściwsze, Nathanie, nienawidziłam każdej minuty. A zwłaszcza nienawidziłam robić tego tobie. Doszłam do wniosku, że całe moje życie było chybione. Żałuję, że więziłam cię za tymi osłonami. Gdybym mogła zacząć życie od nowa, postąpiłabym zupełnie inaczej. Nie spodziewam się pobłażliwości i wyrozumiałości, bo ja ci ich nie okazałam.

- Nie - rzekł Nathan - nie okazałaś.

Jego lazurowe oczy patrzyły w głąb Ann. Potrafił tak patrzeć. Richard odziedziczył to przenikliwe spojrzenie Rahlów.

- A więc żałujesz, że więziłaś mnie przez całe moje życie. Czy wiesz, dlaczego było to niewłaściwe? Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę z niedorzeczności tego wszystkiego?

- Jakiej niedorzeczności? - spytała wbrew sobie.

- A o cóż walczymy? - spytał, wzruszając ramionami.

- Dobrze wiesz, Nathanie, o co walczymy.

- Tak, wiem. Ale czy ty też to wiesz? Jeżeli tak, to powiedz, o co walczymy, co staramy się ochronić, zachować, utrzymać?

- Pochodzący od Stwórcy dar magii, rzecz jasna. Walczymy o to, żeby nadal istniał na świecie. Żeby ci, którzy się z nim narodzą, nauczyli się w pełni z niego korzystać. Żeby każdy mógł się radować swoim wyjątkowym darem.

- I w tym cała rzecz, nieprawdaż? Bałaś się właśnie tego, o co twoim zdaniem warto walczyć. Imperialny Ład głosi, że jednostki mające magiczny dar wcale nie służą największemu dobru ogółu, więc należy ten magiczny dar wyplenić. Głosi, że skoro ów dar nie jest rozdzielony równo pomiędzy wszystkich, to nie jest bezpiecznie, by mieli go jedynie niektórzy. Ład głosi wszem i wobec, że człowiek powinien odrzucić pomysł, że jego życie należy do niego. Że należy usunąć ze świata tych, którzy mają dar, by ów świat stał się lepszym miejscem dla tych, którzy daru nie mają. Ty zaś opierałaś się na tych samych przesłankach, działałaś zgodnie z tymi samymi haniebnymi przesądami. Zamknęłaś mnie w odosobnieniu, bo mam dar. W tym co potrafię, a do czego inni nie są zdolni, widziałaś wrodzoną skazę, przed którą należy chronić pozostałych. A przecież pracowałaś na rzecz tego, by w innych ochronić to, czego we mnie się obawiałaś, ową jedyną w swoim rodzaju zdolność. Dążyłaś do tego, by każdy urodzony z magicznym darem miał niepodważalne prawo żyć własnym życiem, prawo do pełnego wykorzystania danych mu uzdolnień... a mnie odosobniłaś, odmawiając owego prawa.

- Nawet jeżeli chcę, żeby wilki Stwórcy polowały, skoro po to je stworzył, to wcale nie znaczy, że chętnie zostanę ich posiłkiem.

Nathan pochylił się ku niej.

- Nie jestem wilkiem. Jestem człowiekiem. Osądziłaś mnie, uznałaś za winnego i skazałaś na dożywocie w swoim więzieniu tylko dlatego, że się urodziłem z taką umiejętnością i że się bałaś, co mógłbym zrobić. Tłumiłaś potem swoje wątpliwości, starałaś się sama siebie przekonać, jaka to jesteś dobra, zapewniając mi w tym więzieniu luksusy. Równocześnie cały czas głosiłaś, że musimy walczyć o to, żeby w przyszłości ludzie mogli być tacy, jacy się urodzą. Uznałaś, że twoje więzienie jest czymś słusznym, ponieważ było urządzone z przepychem, żebyś mogła ukryć przed sobą, co właściwie popierasz. Rozejrzyj się, Ann. - Wskazał kamienne ściany. - Oto, czego chciałaś dla tych, którzy twoim zdaniem nie mają prawa do własnego życia. Zdecydowałaś tak samo jak Ład, bo nie podobały ci się moje uzdolnienia.

Postanowiłaś, że ci, którzy mają większe możliwości, powinni zostać poświęceni dla mniej uzdolnionych. Bez względu na to, jak przystrajałaś swoje więzienie, właśnie tak je widział ten, który w nim tkwił.

Ann zebrała myśli, zapanowała nad głosem i dopiero potem się odezwała:

- Sądziłam, że to zrozumiałam, siedząc tu, ale teraz widzę, że nie. Przez te wszystkie lata miałam wyrzuty sumienia, że trzymam cię w zamknięciu, ale nigdy nie przemyślałam, dlaczego właściwie to robię. Masz rację, Nathanie. Uważałam, że możesz wyrządzić wielkie szkody. Powinnam ci pomóc zrozumieć, co jest słuszne, żebyś mógł działać rozsądnie, a nie spodziewać się po tobie wszystkiego najgorszego i trzymać cię pod kluczem. Ogromnie mi przykro i bardzo cię przepraszam, Nathanie.

Wsparł się pod boki.

- Mówisz szczerze, Ann?

Skinęła głową. Nie była w stanie nań spojrzeć, łzy napłynęły jej do oczu. Zawsze od wszystkich wymagała szczerości i uczciwości, a nie była szczerą wobec siebie.

- Tak, Nathanie. Szczerze.

Spowiedź była skończona. Ann podeszła do ławy i osunęła się na nią.

- Dziękuję, Nathanie, żeś przyszedł. Już cię nie będę tu wołać. Bez skargi przyjmę należną mi karę. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to chciałabym teraz zostać sama, pomodlić się i rozważyć to, co mi ciąży na sercu.

- Tym się możesz zająć później. A teraz zwawo podnieś tyłek i zbierz swoje rzeczy. Czekają nas ważne sprawy, więc powinniśmy już się stąd wynosić.

Ann spojrzała nań, marszcząc brwi.

- Co takiego???

- Mamy do załatwienia ważne sprawy. Chodźże, kobieto. Tylko marnujemy czas. Musimy się stąd zabierać. W tej walce jesteśmy po tej samej stronie, Ann. Musimy wspólnie działać na rzecz naszej sprawy. - Nachylił się ku niej. - Chyba że się postanowiłaś wycofać i siedzieć beczynnienie przez resztę życia. Jeśli nie, to ruszajmy wreszcie. Mamy kłopot.

Ksieni zeskoczyła z kamiennej ławy.

- Kłopot? Jakiego rodzaju?

- Proroctwo.

- Proroctwo? Jakiś problem z proroctwem? Jaki kłopot? Z jakim proroctwem?

Nathan, wsparty pod boki, patrzył na nią groźnie.

- Nie mogę ci opowiadać o takich sprawach. Proroctwa nie są dla nieoświeconych.

Ann wydeła usta i już miała obsztorcować Nathana, kiedy dostrzegła uśmiech w kącikach jego ust. Aż się musiała sama uśmiechnąć.

- Co się stało? - spytała tonem, jakiego używają przyjaciele, kiedy się już przyznają do błędów i kiedy znów wszystko jest jak trzeba.

- Nie uwierzysz mi, Ann, kiedy ci powiem - pozałił się Nathan. - To znowu ten chłopak.

- Richard?

- A jaki inny znany ci chłopak potrafiłby się wpakować w takie same tarapaty jak Richard?

- Hmm, ja już nie uważam Richarda za chłopaka.

Nathan westchnął.

- I już nim nie jest. Ale w moim wieku trudno uważać takiego młodziana za mężczyznę.

- Jest mężczyzną - zapewniła go Ksieni.

- No pewnie. - Uśmiechnął się. - No i jest Rahlem.

- W jakież to tarapaty wpakował się tym razem?

Ulotnił się dobry humor Nathana.

- Wyszedł poza proroctwo.

Ann skrzywiła się.

- O czym ty mówisz? Co on zrobił???

- Mówię ci, Ann, że ten chłopak wymaszerował sobie poza proroctwo, że wszedł prosto w takie miejsce w proroctwie, w którym ono samo nie istnieje.

Ann widziała, że Nathan jest naprawdę zaniepokojony, lecz gadał od rzeczy. Między innymi dlatego niektórzy się go bali. Często sprawiał wrażenie, że bredzi, gdy mówił o sprawach, które jedynie on potrafił pojąć. Niekiedy jedynie Prorok mógł w pełni zrozumieć to, co dostrzegł. Oczami Proroka widział to, czego inni nie dostrzegali.

Jednak Ann niemal całe życie miała do czynienia z proroctwami, studiowała je, więc lepiej od innych potrafiła zrozumieć przynajmniej część tego, o czym mówił i co dojrzał.

- Jak możesz wiedzieć o takim proroctwie, Nathanie, skoro ono nie istnieje? Nie rozumiem. Wytłumacz mi to.

- W bibliotekach Pałacu Ludu są cenne księgi proroctw, których nie mogłem wcześniej zobaczyć. Miałem powody podejrzewać, że takie proroctwa mogą istnieć, ale nie byłem pewien, czy rzeczywiście istnieją ani o czym mówią. Badam je, odkąd tu jestem, i natknąłem się na odniesienia do znanych proroctw, które mieliśmy w podziemiach Pałacu Proroków. Tutejsze proroctwa uzupełniają luki w tych przepowiedniach, które już znamy. Co ważniejsze, odkryłem całą nową gałąź proroctw, o której wcześniej nie wiedziałem, a która tłumaczy, dlaczego nie dostrzegałem części tego, co się działo. Badając rozwidlenia i powtórzenia tej gałęzi proroctw, odkryłem, że Richard wybrał takie połączenia proroctwa, które prowadzą prosto w nicość. Prowadzą wprost do czegoś, co - o ile wiem - w ogóle nie istnieje. - Nathan krążył po niewielkiej celi. Jedną ręką wspierał się pod bok, drugą kreślił w powietrzu niewidoczne linie. - To nowe połączenie kieruje się ku czemuś, z czym się nigdy wcześniej nie zetknąłem, ku odgałęzieniom, których brakowało, chociaż wiedziałem, że muszą istnieć. Owe odgałęzienia to niezmiernie groźne, potajemnie tutaj przechowywane proroctwa. Rozumiem, dlaczego je ukrywano. Nawet ja bym je błędnie zinterpretował, gdybym się z nimi zetknął przed laty. Prowadzą one do swego rodzaju pustek. Skoro są „puste”, to nie można poznać ich natury. Taka sprzeczność nie może zaistnieć. Richard znalazł się w owym obszarze pustki, w którym proroctwo nie może go dostrzec, nie może mu pomóc, a co gorsza, nie może przyjść nam w sukurs. Problem nie tylko w tym, że proroctwo go nie dostrzega. Chodzi o to, że jakby nie istnieje miejsce, w którym Richard przebywa, oraz to, co w nim robi. Richard zajmuje się czymś, co może doprowadzić do zguby wszystkiego, co znamy.

Ann wiedziała, że Nathan nie koloryzowałby w tak poważnej sprawie. Chociaż prawie w ogóle nie rozumiała, o czym on właściwie mówi, ta odrobina, którą zrozumiała, wystarczyła, żeby Ksienię oblał zimny pot.

- Co możemy w tej sprawie zrobić?

Prorok wyrzucił w górę ramiona.

- Musimy się tam udać i odnaleźć go. Musimy go na powrót sprowadzić do świata, który istnieje.

- Masz na myśli świat, który istnieje według proroctwa.

Nathan znów się zachmurzył.

- Przecież właśnie to powiedziałem, czyż nie? Musimy go jakoś ściągnąć na tę nić proroctwa, na której się pojawia.

Ann odkaszlnęła.

- Bo inaczej?

Czarodziej złapał lampę i plecak Ann.

- Bo inaczej przestanie być elementem urzeczywistniających się ciągów proroctwa i nigdy już nie będzie miał do czynienia ze sprawami tego świata.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli go nie wyciągniemy z tego miejsca, w którym teraz jest, to umrze?

Nathan spojrział na nią osobliwie.

- Czyżbym cały czas gadał do ściany? Jasne, że umrze! Jeżeli ten chłopak wypadnie poza proroctwo, jeżeli zerwie wszelkie połączenia z proroctwem, w którym odgrywa tak ważną rolę, unicestwi te wszystkie ciągi proroctw, w których istnieje. Jeśli to zrobi, staną się one fałszywymi proroctwami i nigdy się nie ziszczą. W żadnych innych połączeniach nie ma o nim wzmianki, bo umiera w punkcie ich powstania.

- A co się dzieje w tych połączeniach, które o nim nie wspominają?

Nathan chwycił ją za rękę i pociągnął ku drzwiom.

- Pada na nas cień. Na wszystkich, którzy żyją. To będzie bardzo długi i ogromnie mroczny okres.

- Poczekaj - powstrzymała go Ann. Zawróciła do kamiennej ławy i położyła na niej Rada'Han. - Moja moc nie wystarczy, żeby to zniszczyć. Sądzę, że lepiej to tu zamknąć.

Czarodziej skinął głową.

- Pozamykamy drzwi i powiemy strażnikom, że to ma już na zawsze zostać tutaj, za osłonami.

Ann ostrzegawczo uniosła palec.

- Tylko sobie nie wyobrażaj, że skoro już nie masz obroży, to będę tolerować twoje wysoki.

Nathan znów się uśmiechał. Ale wszelkie uwagi wolał zachować dla siebie. Zanim wyszedł z celi, znów się odwrócił ku Ann:

- Porozumiewałaś się z Verną za pomocą tej swojej książki podróźnej?

- A tak. Jest przy wojsku i ma teraz sporo roboty. Bronią przełęczą prowadzących do D'Hary. Jagang zaczął oblężenie.

- Z tego, co mi powiedzieli pałacowi dowódcy, wynika, że to groźne przełęcze i powinny jakiś czas wytrzymać. - Nachylił się ku niej. - Musisz jej przesłać wiadomość. Napisz jej, żeby przepuściła pusty wóz, kiedy się pojawi.

Ann się skrzywiła.

- A cóż to znaczy?

- Proroctwo nie jest przeznaczone dla nieoświeconych. Po prostu jej to przekaz.

- W porządku - wydyszała z trudem Ksieni, kiedy Nathan przepychał ją przez wąskie drzwi. - Ale lepiej zataję przed nią, że ty to powiedziałaś, bo wtedy to zlekceważy. Ona uważa, że jesteś stuknięty.

- Bo nigdy nie miała okazji lepiej mnie poznać, ot co. - Zerknął na nią. - Przekonać się, że niesprawiedliwie mnie zamknięto i w ogóle.

Ann chciała powiedzieć, że Verna aż za dobrze zna Nathana, lecz zdołała ugryźć się w język. Chwyliła rękaw Proroka, który już chciał ruszyć ku zewnętrznym drzwiom.

- Co przede mną zataiłeś, Nathanie? Co jeszcze jest w tym proroctwie? Tym, w którym Richard znika w niebycie?

Znała go na tyle, by z jego wzburzenia wywnioskować, że nie wszystko jej powiedział, że postanowił być szarmancki i oszczędzić jej trosk. Spoważniał, długo popatrzył jej w oczy i wreszcie rzekł:

- W tym rozwidleniu proroctwa występuje Slide.

Ann zmarszczyła brwi, odwróciła wzrok i szukała w pamięci

- Slide. Slide - mruczała do siebie, usiłując sobie przypomnieć. Brzmiało to znajomo. - Slide... - Pstryknęła palcami. - Slide. - Oczy jej się rozszerzyły. - Drogi Stwórco.

- Nie sądzę, żeby Stwórca miał z tym coś wspólnego.

Ann energicznie machnęła ręką.

- To niemożliwe. W tym nowym proroctwie, które odnalazłeś, musi być jakiś błąd. Musi być wadliwe. Slide'ów stworzono w wielkiej wojnie. Nie pojmujesz, że w tym połączeniu proroctwa nie może być Slide'a? Musi być przesunięte w fazie i już dawno straciło ważność. - Gryzła dolną wargę, a jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

- Nie jest przesunięte w fazie. Nie sądzisz, że i ja najpierw tak pomyślałem? Uważasz mnie za dyletanta? Setki razy sprawdzałem

chronologię. Skorzystałem ze wszystkich znanych mi obliczeń, tabel i wykresów. Kilka nawet specjalnie wymyśliłem. Zawsze wychodziło to samo. Każde połączenie pojawia się we właściwej kolejności. Proroctwo jest we właściwej fazie i chronologii, wszelkie jego aspekty są prawidłowo uszeregowane.

- Więc to musi być fałszywe połączenie - upierała się Ann. - Slide'owie to magiczne istoty. Byli bezpłodni. Nie mogli mieć potomstwa.

- Mówię ci - burknął Nathan - że na tym rozwidleniu z Richardem jest Slide i że to prawidłowe połączenie.

- Przecież nie mogli dotrzeć do tych czasów. - Ann była pewna swego. Nathan na pewno lepiej od niej znał się na prorocत्वach, ale to była jej dziedzina i dokładnie wiedziała, o czym mówi. - Slide'owie nie mogli płodzić dzieci.

Patrzył na nią tak, jak tego nie znosiła.

- A ja ci mówię, że Slide znów chodzi po świecie.

Ksieni syknęła.

- Złodzieje dusz nie są zdolni do reprodukcji, Nathanie.

- Proroctwo głosi, że on się nie narodził, lecz został przemieniony w Slide'a.

Ann dostała gęziej skórki. Długo wpatrywała się w Nathana, nie mogąc wykrztusić ni słowa.

- Przez trzy tysiące lat nie narodził się żaden czarodziej z darem obu magii. Pierwszym jest Richard. Niemożliwe, żeby ktoś... - Zamilkła. Nathan przyglądał się jej, widział, jak w końcu pojęła, co się musiało stać.

- Drogie Stwórco... - wyszeptała.

- Mówiłem ci, że Stwórca nie ma z tym nic wspólnego. To Siostry Mroku powołały go do życia.

Ann, do głębi wstrząśnięta, nie mogła znaleźć słów.

Nic gorszego nie mogła usłyszeć.

Nic nie chroniło przed Slide'em.

Każda dusza była wobec niego bezbronna.

W korytarzu za zewnętrznymi drzwiami czekała Nyda. Twarz miała ponurą, jak zawsze, lecz nie tak ponurą jak Ann. Mrok korytarza rozjaśniały nieco jedynie nieruchome płomyki kilku świec. Do tych głębi pałacu nie docierał nawet najłżejszy powiew. Czerń skały pochłaniającej owo nikłe

światełko plamił tylko krwistoczerwony uniform Nydy.

Ann, ciągnięta za rękę, targana gwałtownymi emocjami, nachyliła się ku Mord-Sith i groźnie na nią spojrzała.

- Przekazałaś mu moje słowa, nieprawdaż?

- Oczywiście - odparła Nyda, ruszając za nimi.

Ann odwróciła się ku niej, na ile zdołała, i pogroziła jej palcem.

- Już ja się postaram, byś pożałowała, żeś mu to powiedziała.

- Nie sądzę. - Nyda się uśmiechnęła.

Ann przewróciła oczami i zajęła się Prorokiem.

- A tak w ogóle, po co nosisz miecz? Ty, czarodziej. Dlaczego nosisz miecz?

Nathan był wyraźnie urażony.

- Nyda uważa, że z mieczem wyglądam bardzo buńczucznie.

Ann wpatrzyła się w mrok korytarza.

- No pewnie!

ROZDZIAŁ 31

Richard stał na skraju wąskiego skalnego występu i patrzył w dół, na szare strzępiaste obłoki. Owiewające go chłodne, wilgotne powietrze przepojone było zapachem drzew balsamowych, mchu, mokrych liści i nasiąkniętej wodą ziemi. Wdychał głęboko te przypominające mu rodzinne strony aromaty. Skały, przeważnie granitowe, spękane i zerodowane w ułożone w sterty bloki, też wyglądały podobnie jak w lasach Hartlandu. Za to góry były o wiele większe. Zbocze za Richardem wznosiło się na zawrotną wysokość.

Przed sobą, daleko w dole, po zachodniej stronie, widział rozległy obszar popękanej ziemi i stale wznoszące się, urwiste, pokryte lasami wzgórza. Ponieważ wiedział, czego szuka, wypatrzył po lewej i prawej ręce pozbawiony drzew pas - tam była kiedyś granica. Dalej na zachód wznosiły się mniejsze góry, przeważnie ogołoczone, obrzeżające pustkowia. Pustkowia i miejsca zwanego Filarami Świata nie było już widać. Richard był zadowolony, że wreszcie je za sobą zostawił.

Na niebie nie było widać czarnosternych chyżolotów - przynajmniej na razie. Wielkie ptaszyska najpewniej wiedziały, że Richard, Kahlan, Cara, Jennsen, Tom i Owen kierują się ku zachodowi.

Richard zestrzelił kolejne pięć chyżolotów, kiedy się zaczęły zbierać w kolisko. Ku zaskoczeniu ptaków był bliżej nich - wysoko na stoku góry, ponad grupką towarzyszy. Potem poprowadził swą niewielką kompanię w gęstsze lasy. Sądził, że chyżoloty, które przedtem widywali, już ich od tej pory nie wypatrzyły. Teraz podróżowali przez las olbrzymich drzew i chłopak uważał, że jeżeli zachowa ostrożność, to może uda im się zgubić stróży.

Jeżeli ten człowiek, Nicholas, widział ich oczami chyżolotów, owych pięciu chyżolotów, to wiedział, że idą na zachód. Jednak teraz, kiedy przestali być widoczni, nie mógł być pewny, czy aby nie zmienili kierunku. Skoro Richard zdołał zniknąć z miejsc, w których ptaki by go szukały, i nie pojawiłby się tam, gdzie go oczekiwano, Nicholas mógłby nabrać wątpliwości. Mógłby uznać, że zmienili kierunek i poszli na północ lub na południe. Mógłby zacząć podejrzewać, że wykorzystali to zamieszanie, żeby

pójść w inną stronę, uciec mu.

Całkiem prawdopodobne, że Richard zdoła poprowadzić ich pod osłoną drzew i dzięki temu nie pozwoli, by Nicholas znów ich wyszedził. Nie chciał, żeby tamten wiedział, gdzie się podziali czy gdzie się w konkretnej chwili znajdują. Bardzo wątpliwe, by zdołał w ten sposób zwieść Nicholasa, ale postanowił przynajmniej spróbować.

Richard osłonił oczy dłonią i przyjrzał się wznoszącym się, zalesionym terenom: chciał dobrze zapamiętać ukształtowanie terenu, nim znów wejdzie w gęstwę, gdzie czekała nań reszta grupy. Widoczne poniżej pasma obłoków były jedynie strzępami kłębiącej się jednolitej warstwy ciemnych chmur nad głową. Stok góry ostro wznosił się w te przesycone wilgocią chmurska.

Badawczo przyglądał się skale, stokowi i drzewom i wreszcie znalazł to, czego szukał. Po raz ostatni przyjrzał się zboczu góry, a potem upewnił się, czy niebo pozostało „czyste”. Nie zobaczył żadnych chyżolotów - ani w ogóle jakichkolwiek ptaków - więc ruszył ku miejscu, w którym czekała reszta kompanii. Dobrze wiedział, że chociaż nie zauważył żadnych ptaków, wcale nie oznacza to, że one go nie obserwują. Wśród drzew mogło sobie siedzieć parę tuzinów chyżolotów, a on by ich tam nie zdołał wypatrzeć. Ale jeszcze był tam, gdzie się go mogły spodziewać, więc za bardzo się tym nie przejmował.

Lada moment zrobi coś, czego się nie spodziewały.

Richard wracał, wdrapując się po stoku pokrytym śliskim mchem, liśćmi i mokrymi korzeniami. Gdyby spadł, jedynym ratunkiem byłoby uczepienie się wąskiego występu, na którym niedawno stał - inaczej runąłby w przepaść i poleciał w dół kilka tysięcy stóp. Na samą myśl o takim upadku mocniej chwycił się pomagających we wspinaczce korzeni i bacznie oceniał każde zagłębienie w skale, zanim postawił tam but i stanął całym ciężarem.

Na szczycie stoku zanurkował pod zwisające gałęzie mizernych górskich klonów stanowiących dolną warstwę drzewostanu liściastego, który wyciągał się ku światłu w towarzystwie wielkich sosen. Listowie jesionów i brzoź, wznoszących się ponad górskie klony, chwyciło mżawkę, aż wreszcie liście nie mogły pomieścić więcej i grube krople skapywały w dół, rozpryskując się o niższe liście, tuż nad głową Richarda. A kiedy górnymi liśćmi zakołysał lekki wiatr, woda zlewała się z nich strumykami.

Richard, pochylając się pod zwisającymi nisko konarami jodeł, wracał po swoich śladach przez gąszcz czernic na bardziej odkryte dno lasu, pod baldachimem koron starych, wiecznie zielonych drzew. Wiatr upłócił z opadłych igieł maty tłumiące odgłos kroków. Pająki utkały sieci, w które nie złapały się omijające je drobne owady, lecz mgła - i sieci lśniły teraz kropelkami wody, były jak drogocenne klejnoty.

Kahlan, siedząca pod osłoną skały i gęstych młodych świerków, wstała, widząc nadchodzącego Richarda. Wtedy i pozostali go dostrzegli i także się podnieśli. Chłopak pochylił się i wszedł pod niskie, kosmate gałęzie.

- Widziałeś jakieś chyzoloty, lordzie Rahlu? - spytał Owen. Wyraźnie obawiał się drapieżnych ptaszysk.

- Nie - odparł Richard. Podniósł swój plecak i zarzucił go na plecy. - Ale to nie oznacza, że one mnie nie widziały. - Zawiesił na lewym ramieniu łuk i bukłak.

- Cóż - stwierdził Owen, wyłamując sobie dłonie - możemy nadal mieć nadzieję, że nie wiedzą, gdzie jesteśmy.

Richard znieruchomiał i spojrzał na niego.

- Nadzieja to żadna strategia.

Zaczęli zbierać rzeczy odłożone na krótki odpoczynek. Przytracali broń do pasa, zarzucali plecaki. Richard wyciągnął Carę z kryjówki pod niskimi drzewkami.

- Widzisz tamtą część stoku? - spytał, trzymając ją blisko siebie, żeby lepiej widziała, co wskazuje. - Z pasem odkrytego terenu biegnącym przed młodym dębem o złamanym, uschniętym konarze?

Cara skinęła głową.

- Tam gdzie zaczyna się wzniesienie, a strużka wody barwi skałę na zielono?

- Właśnie tam. Chcę, żebyś tamtędy przeszła, a potem skręciła w prawo, w tamtą wiodącą w górę szczelinę, w tę za skalną rozpadliną, i spróbowała znaleźć tam szlak do następnej półki, ponad tamtymi drzewami.

Mord-Sith ponownie skinęła głową.

- A gdzie ty będziesz?

- Zaprowadzę ich do pierwszego uskoku. Tam będziemy. Dołącz do nas i powiedz, czy znalazłaś szlak przez ten skalny występ.

Cara zarzuciła plecak i podniosła mocną laskę, którą wyciął dla niej

Richard.

- Nie wiedziałem, że Mord-Sith potrafią wyszukać szlak - odezwał się Tom.

- Mord-Sith nie potrafią. Ale ja tak. Lord Rahl mnie nauczył.

Richard patrzył, jak znika pośród drzew. Poruszała się lekko, prawie niczego nie potrącając. Nie szafowała siłami, więc na długo jej ich wystarczy. Nie zawsze tak było, ale dobrze zapamiętała to, czego ją nauczył. Był zadowolony, że nauki odniosły skutek, że jego wysiłki nie poszły na marne.

Zbliżył się Owen, podenerwowany.

- Nie możemy iść tamtędy, lordzie Rahlu. - Wskazał za swoje ramię. - Szlak biegnie tędy. To jedyna droga w górę i przez przełęcz. Tędy schodzi się w dół, a teraz można też wrócić pod górę, skoro zniknęła granica. To jedyna droga, choć może niełatwa.

- To jedyna droga, którą znasz. A ponieważ wygląda na uczęszczaną, uważam, że także jedyna, o której wie Nicholas. To tędy oddziały Ładu idą do Bandakaru i stamtąd wracają. Jeżeli i my tędy pójdziemy, to chyzoloty nas wypatrzą. Ale jeśli się na niej nie pojawimy, to Nicholas nie będzie wiedzieć, gdzie się podzialiśmy. I chcę, żeby tak od teraz było. Mam dosyć bycia przynętą dla jego ptaszków.

Richard pozwolił, żeby Kahlan prowadziła ich przez las szlakiem niezłe widocznym dzięki naturalnemu ukształtowaniu terenu. Kiedy miała jakieś wątpliwości, wzrokiem pytała go o radę. A on patrzył wówczas tam, gdzie powinna iść, lub wskazywał jej kierunek skinieniem głowy. Tylko z rzadka udzielał wskazówek.

Ukształtowanie terenu wyraźnie wskazywało, że biegł tędy pradawny szlak przez górską przełęcz. Przełęcz zaś, która z daleka wyglądała jak wąziutkie nacięcie w ścianie góry, okazała się całkiem szeroka. Richard nie sądził, by ścieżka, którą Bandakarczycy wypędzali swoich przez granicę, była jedynym przejściem przez przełęcz. Może tak i było, dopóki istniała granica, lecz granica już zniknęła.

Na podstawie tego, co do tej pory wypatrzył, chłopak przypuszczał, że biegła tędy niegdyś droga, w pradawnych czasach główny trakt w obie strony. Miejscami wyraźnie dostrzegał pozostałości owej porzuconej drogi. Całkiem możliwe, że ten dawny trakt został porzucony z konkretnego powodu - na przykład zablokowało go osuwisko - lecz Richard chciał się

przekonać, czy dałoby się jeszcze nim przejść. Gdyby się dało, ów trakt, całkowicie teraz zapomniany, pozwoliby im zniknąć ze szlaku, na którym mogły ich wypatrywać chyżoloty.

Kiedy szlak wśród olbrzymich sosen na to pozwalał, Jennsen maszerowała obok Richarda. Ciągnęła na sznurku Betty, dbając, żeby kózka nie przystawała, by skosztować roślin.

- Chyżoloty prędzej czy później nas odnajdą, prawda? - zapytała. - To znaczy, jak się nie pojawimy tam, gdzie się nas spodziewają, to będą nas szukać aż do skutku? Sam mówiłeś, że z góry mają rozległy widok i mogą nas wypatryć.

- Może i tak. Ale trudno będzie nas wypatryć w lesie, jeśli ruszymy głową i pozostaniemy w ukryciu. W lesie poszukiwania nie pójdą im tak łatwo jak na pustkowiu. Na otwartym terenie mogły nas dostrzec z odległości wielu mil. Tutaj im tak łatwo nie pójdzie, chyba że są naprawdę blisko, a my będziemy nieostrożni. Kiedy nie pojawimy się tam, gdzie znany szlak wiedzie w górę do Bandakaru, będą musiały przeszukać rozległy obszar, a przecież nie będą miały pojęcia, w jakim kierunku lecieć. To im utrudni znalezienie nas. Nie wydaje mi się, żeby Nicholas świetnie widział ich oczami, bo wtedy nie kazałby im krążyć. Jeżeli zdołamy zniknąć im z oczu, to niepostrzeżenie dotrzemy do Bandakaru i rozplniemy się wśród tamtejszych ludzi. Nicholas sporo się wtedy namęczy, żeby nas wypatryć oczami chyżolotów, o ile w ogóle mu się to uda.

Jennsen dumiała nad tym, kiedy wchodzili w brzeźniak. Betty chciała obejść drzewo nie z tej strony co trzeba i dziewczyna musiała przystanąć, by odplątać sznurek. Wiatr spuścił na nich z drzew prysznic i wszyscy skulili ramiona, chroniąc się przed wodą.

- Richardzie - odezwała się cichutko Jennsen, doganiając go - a co zamierzasz zrobić, jak już tam dotrzemy?

- Zamierzam zdobyć odtrutkę i nie umrzeć.

- To wiem. - Odgarnęła z twarzy kosmyk wilgotnych rudych włosów. - Chodzi mi o to, co zamierzasz zrobić w sprawie ziomeków Owena?

Przy każdym oddechu Richard czuł ukłucie bólu.

- Jeszcze nie wiem.

Przez chwilę maszerowała w milczeniu.

- Ale spróbujesz im pomóc, prawda?

Richard spojrzął na siostrę.

- Oni grożą mi śmiercią, Jennsen. I nie jest to czcza pogrożka.

Zażenowana poruszyła ramionami.

- Wiem, ale są zdesperowani. - Upewniła się, że Owen nie słyszy. - Nie mają pojęcia, jak się ratować. Nie wiedzieli, co robić. Nic innego nie przyszło im do głowy. Nie są tacy jak ty. Nigdy z nikim nie walczyli.

Chłopak głęboko zaczerpnął powietrza, co wywołało silny ból.

- Ty też przedtem z nikim nie walczyłaś. A co zrobiłaś, kiedy sądziłaś, że chcę cię zabić jak wcześniej nasz ojciec, i kiedy wierzyłaś, że odpowiadam za śmierć twojej mamy? Nie chodzi mi o to, czy miałaś rację co do mnie, ale jak zareagowałaś na to, co się według ciebie działo?

- Doszłam do wniosku, że jeżeli chcę żyć, to muszę cię zabić, zanim ty mnie zabijesz.

- No właśnie. Nie podałaś komuś trucizny i nie kazałaś mu mnie zabić, strasząc, że inaczej umrze. Uznałaś, że twoje życie jest cenne i że nikt nie ma prawa ci go odbierać. Jeżeli z własnej woli jesteś gotowa potulnie oddać swój najcenniejszy skarb, życie, każdemu zbirowi, który zechce ci go odebrać, to nie można ci pomóc. Raz udałoby się ciebie ocalić, lecz następnego dnia pojawiłby się kolejny zbir, a ty znowu byś się przed nim ukorzyła. Postawiłabyś życie swojego zabójcy ponad własnym. Jeżeli dajesz każdemu, kto tego zarząda, prawo decydowania o twoim życiu lub śmierci, to z własnej woli stajesz się uległą niewolnicą, która szuka swego oprawcy.

Znów szła w milczeniu, rozmyślając nad tym, co usłyszała. Zauważył, że Jennsen idzie przez las według zasad, które wpajał Carze. I ona była w lasach u siebie.

- Richardzie - Jennsen przełknęła ślinę - nie chcę, żeby tych ludzi dalej krzywdzono. Już dość się nacierpieli.

- Powiedz to Kahlan, kiedy umrę od ich trucizny.

Dotarli na miejsce spotkania, lecz Cary jeszcze tam nie było. Wszyscy dojrżeli do krótkiego wypoczynku. Owa niecka opierała się o granitową ścianę, wznoszącą się stromo ku kolejnemu wysterczeniu. Osłaniały ją rosące wysoko wielkie sosny oraz pobliskie zarośla. Tak długo byli wystawieni na żar pustyni, że jeszcze nie przywykli do wilgoci i chłodu. Zaczęli szukać głązów, żeby nie musieć siadać na wilgotnej ściółce, a Betty radośnie zajęła się smakowitym zielskiem. Owen usadowił się daleko od

kózki.

Kahlan przysiadła obok Richarda na niewielkiej skałce.

- Jak się czujesz? Wyglądasz, jakby cię głowa bolała.

- Na razie nic nie można na to poradzić.

Przysunęła się bliżej. Przyjemnie było czuć ją tuż przy sobie.

- Pamiętasz list od Nicci, Richardzie? - szepnęła.

- A co?

- Uznaliśmy, że pierwszy znak ostrzegawczy spowodowało zniknięcie granicy odcinającej Bandakar. Może się pomyliliśmy.

- Dlaczego tak myślisz?

- Brak drugiego znaku. - Skinęła głową ku północnemu zachodowi. - Tam zobaczyliśmy pierwszy znak ostrzegawczy. Jesteśmy dużo bliżej miejsca, w którym kiedyś była granica, a nie znaleźliśmy drugiego znaku.

- Na szczęście - odparł. - To tam czekały na nas chyzoloty.

Dobrze pamiętał, jak znaleźli statuetkę. Na drzewach siedziały chyzoloty. Richard nie wiedział wówczas, co to za ptaki; tak dużych ptaków jeszcze nie widział. Czarnosterne chyzoloty wzbiły się w powietrze w chwili, gdy Cara podniosła statuetkę. Były ich setki.

- Tak - stwierdziła Kahlan - ale skoro nie ma drugiego znaku, to może się pomyliliśmy co do przyczyny pierwszego.

- Zakładasz, że drugi znak będzie dla mnie i dlatego powinniśmy go zobaczyć. Nicci pisała, że drugi znak jest dla tego, kto zasklepi pękniętą pieczęć. Może to nie ja.

Spowiedniczkę to zaszokowało. Zastanowiła się nad tym.

- Sama nie wiem, czy bym się z tego cieszyła czy nie. - Przytuliła się mocniej, otoczyła ramieniem udo Richarda. - Ale nie sądzę, żeby ktokolwiek, bez względu na to, kto by to był, zdołał zasklepić pęknięcie i przywrócić granicę.

Richard przeczesał palcami mokre włosy.

- Jeżeli ten czarodziej z dawnych czasów uważał, że to ja przywrócę granicę, to się mylił. Nie mam pojęcia, jak to zrobić.

- Nie rozumiesz, Richardzie? Nie sądzę, żebyś zdołał to zrobić nawet wtedy, gdybyś wiedział jak.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Znów dajesz się ponieść wyobraźni i wyciągasz pochopne wnioski?

- Richardzie, spójrz prawdzie w oczy: granica zniknęła przez mój postępek. Pierwszy znak ostrzegawczy był dla mnie, bo to ja złamałam pieczęć. Chyba nie zamierzasz temu zaprzeczać?

- Nie. Ale musimy się jeszcze sporo dowiedzieć, zanim ustalimy, co się naprawdę dzieje.

- Uwolniłam demony. Zamykanie na to oczu nie doprowadzi do niczego dobrego.

Kahlan posłużyła się pradawną magią, żeby ocalić mu życie. Uwolniła demony, żeby go uleczyć. Nie miała czasu do stracenia - konał i nic nie ocaliłoby go od śmierci, gdyby nie zadziałała. Poza tym nie miała pojęcia, co rozpętają demony. Nie wiedziała, że stworzono je przed trzema tysiącami lat z mocy zaświatów, żeby zniszczyły magię. Powiedziano jej tylko, że musi je przywołać, aby ocalić życie Richardowi.

Richard dobrze wiedział, jak to jest, kiedy nikt ci nie wierzy, że wiesz, co się kryje za wydarzeniami. Wiedział, że Kahlan teraz czuje to samo.

- Masz rację, nie możemy na to przymykać oczu. Ale na razie nie mamy pewności, że to właśnie to. Po pierwsze, demony zostały przepędzone do zaświatów.

- A pamiętasz, co mówił Zedd? Powiedział, że jak się raz uruchomi proces niszczenia magii, to nie wiadomo, czy się go uda zatrzymać, choć demony zostały przepędzone. W tej sprawie nie ma precedensów.

Na to Richard nie znalazł odpowiedzi, a był w gorszej sytuacji niż Kahlan, bo nie miał jej biegłości w magicznych sprawach. Z opresji wybawiło go pojawienie się Cary - wynurzyła się z gęstwy młodych drzew balsamowych. Zsunęła z ramion plecak, upuściła go na ziemię i usiadła na kamieniu naprzeciwko chłopaka.

- Miałeś rację. Przedostaniemy się tamtędy. Chyba wypatrzyłam szlak wiodący w górę ze skalnej półki.

- Wspaniale - rzekł Richard, wstając. - Ruszajmy. Chmury ciemnieją. Musimy znaleźć miejsce na nocleg.

- Znalazłam takie miejsce pod półką skalną, lordzie Rahlu. Uważam, że jest wystarczająco suche.

- To świetnie. - Wziął jej plecak. - Poniosę go trochę, żebyś odpoczęła.

Skinęła głową na zgodę i zajęła miejsce w szeregu. Ruszyli przez gąszcz i natychmiast musieli się wspinać po stromiźnie. Liczne korzenie i odsłonięte

skałki dawały podparcie dłoniom i stopom. Niektóre były dość wysokie i wtedy Richard pomagał Kahlan.

Tom z kolei pomagał Jennsen i parę razy podsadzał Betty, chociaż kózka lepiej się wspinała niż oni. Richard uważał, że Tom robi to bardziej dla Jennsen niż dla Betty. A dziewczyna w końcu powiedziała Tomowi, że kózka sama sobie poradzi.

Betty dała temu dowód - bez wysiłku przebyła szczególnie trudny odcinek i triumfalnie zameczała ku Tomowi.

- Może byś mi lepiej pomogła - rzekł do niej.

Jennsen uśmiechnęła się na to, Richard i Kahlan też. Owen tylko się przyglądał, obchodząc skałkę. Bał się Betty. Cara w końcu upomniała się o swój plecak, nacieszywszy się do woli tym, że została uznana za kruche dziewczątko.

Wkrótce po tym, jak się rozpadało, znaleźli niską, wąską szczelinę pod wystającą półką skalną, o której mówiła Cara. Nie była to pieczara, ale zagłębienie pod skalnym odłamkiem, który się stoczył z wysoka. Oparł się na wielkich głazach, tworząc coś w rodzaju dachu. Kryjówka nie była duża, lecz Richard uznał, że się tam pomieszczą.

Dno zagłębienia, usiane liśćmi, kawałkami kory i mchem, pełne było owadów. Tom i Richard ścięli kilka gałęzi i wymietli je do czysta. Potem wymościли zagłębienie warstwą świeżo naciętych gałęzi iglaków, żeby ochronić się przed wilgocią.

Deszcz przybierał na sile, więc przykucnęli i wcisnęli się pod skalny dach. Nie mogli tu stanąć, ale przynajmniej było dosyć sucho.

Skoro już zeszli ze znanego szlaku, Richard wołał nie rozpalać ogniska, żeby chyzoloty nie dostrzegły dymu. Zjedli zimny posiłek: mięso, resztki bezdrożdżowego chleba, suszone owoce. Wszyscy byli wyczerpani całodzienną wspinaczką, więc niewiele mówili podczas kolacji. Jedna Betty mogła tutaj stać. Trącała i trącała Richarda, aż wreszcie ją pogłaskał.

Las powoli pogrążał się w ciemności. Obserwowali deszcz padający poza ich przytulnym schronieniem, słuchali cichego plusku i bez wątpienia każde z nich zastanawiało się, co też ich czeka w osobliwym, odcięty od świata przez trzy tysiące lat imperium. Na pewno i tam będą oddziały Imperialnego Ładu.

Richard siedział, zapatrzony w szemrzącą deszczem ciemność,

nasłuchując dobiegających z oddali odgłosów nielicznych zwierząt. Kahlan zwinęła się obok niego i położyła mu głowę na kolanach. Betty weszła w głąb kryjówki, ułożyła się razem z Jennsen.

Kahlan natychmiast zasnęła, ukojona dłonią Richarda spoczywającą czule na jej ramieniu. A Richard nie był śpiący, chociaż i jego zmęczyły trudy całodziennego wędrówki. Głowa go bolała, a działająca w nim trucizna utrudniała oddychanie. Zastanawiał się, co go uśmierci - magiczna moc zsyłająca migreny czy może trucizna Owena.

Zastanawiał się również, jak ma spełnić żądanie Owena i jego ziomków, by wyzwolić ich imperium. A tylko wtedy dadzą mu antidotum. Ich piątka - on, Kahlan, Cara, Jennsen i Tom - nie była przecież armią zdolną przepędzić Ład z Bandakaru.

Jeżeli tego nie zrobi i nie dostanie antidotum, straci życie. Równie dobrze może się okazać, że to jego ostatnia podróż.

A dopiero co znów był z Kahlan po tak długiej rozłące. Chciał być przy niej. Chciał, żeby mogli być sami.

Jeżeli czegoś nie wymyśli, przepadnie to wszystko, czym dla siebie byli, cała ich wspólna przyszłość. I to nawet pomijając wywoływane przez dar okropne migreny.

Czy Imperialny Ład zajmujący Wieżę Czarodzieja.

ROZDZIAŁ 32

Richard uchwycił się krawędzi skalnej nad wlotem, żeby się łatwiej wydostać z ciemnej dziury w granitowej stromiźnie. Wydobył się stamtąd, otrzepał dłonie ze skalnego pyłu i spojrzął na pozostałych.

- Przechodzi na wylot. Nie jest łatwa do pokonania, ale wychodzi na drugą stronę.

Spostrzegł pełną powątpiewania minę Toma, osłupienie Owena. Betty postawiła obwisłe uszy - co według Richarda odpowiadało koziej dezaprobacie - zerknęła w wąską szczelinę i zameczała.

- Chyba nie damy rady - zaczął marudzić Owen. - No bo jeżeli...

- Jeżeli się zaklinujemy? - spytał Richard.

Owen potaknął.

- Masz nade mną i Tomem przewagę - odparł Richard, podnosząc z ziemi swój plecak. - Jesteś od nas mniejszy. Skoro ja przeszedłem tam i z powrotem, to i ty dasz radę.

Owen wskazał strome zbocze po prawej.

- A w tę stronę? Nie moglibyśmy tego obejść?

- I ja nie lubię takich wąskich i ciemnych miejsc - powiedział Richard. - Ale gdybyśmy poszli tamtędy, musielibyśmy wyjść na skalne półki. A słyszałeś, co mówiła Cara: są wąskie i niebezpieczne. Gdyby można się było przedostać wyłącznie tamtędy, to co innego. Jednak jest jeszcze ta droga. Tam mogłyby nas wypatrzeć chyżoloty. Co gorsza, mogłyby nas też zaatakować i zrzucić nas ze skały albo sami byśmy spadli. Nie lubię takich ciasnych przejść, ale na pewno wolałbym nie znaleźć się na smaganej wiatrem skalnej półce szerokości podeszwy mojego buta, gdzie jedno pośliznięcie groziłoby runięciem w tysięczstopową przepaść i gdzie mógłbym zostać zniecka zaatakowany szponami i dziobem przez chyżolota. Czyżbyś wolał coś takiego?

Owen oblizwał wargi, pochylił się i zajrzał w wąskie przejście.

- Cóż, chyba masz rację.

- Richardzie - spytała szeptem Kahlan, gdy pozostali zaczęli zdejmować plecaki, żeby łatwiej pomieścić się w ciasnym przejściu - jeżeli był to, jak przypuszczasz, szlak, to dlaczego nie ma lepszej drogi na drugą stronę?

- Uważam, że w którymś momencie nastąpił kataklizm. Ten wielki kawał góry oberwał się i zsunął, zostawiając pod spodem wąziutkie przejście. Widzisz to? Cały ten skalny odłam musiał przedtem tkwić właśnie tam. A teraz znajduje się nad dawnym traktem.

- I nie ma innej drogi niż półki skalne lub ta pieczara?

- Tego nie twierdzę. Myślę, że są i inne stare szlaki, ale musielibyśmy się cofnąć do ostatniego rozwidlenia, a i wtedy nie byłoby żadnej gwarancji, że się tamtędy przedostaniemy. Poza tym zajęłoby to nam większość dnia. Ale jeżeli chcesz, możemy się cofnąć i spróbować.

Kahlan pokręciła głową.

- Nie możemy sobie pozwolić na taką stratę czasu. Musimy zdobyć antidotum.

Richard przytaknął. Nie bardzo wiedział, jak ma uwolnić cały Bandakar od Imperialnego Ładu, ale miał kilka pomysłów. Musiał dostać to antidotum; nie widział powodu, żeby grać według reguł Owena czy Ładu.

Kahlan znów spojrzała w wąski, ciemny tunel.

- Jesteś pewien, że tam nie ma węży?

- Nie widziałem ani jednego.

Tom podał Richardowi swój miecz.

- Pójdę na końcu - rzekł. - Skoro ty przeszedłeś, to i mnie się uda.

Richard skinął głową, przewiesił pendent przez ramię. Przesunął pochwę tak, żeby się nie ocierała o skałę, i ruszył do tunelu. Przyciskał plecak do brzucha, idąc na ugiętych kolanach, żeby się tam zmieścić. Skała nad głową przechylała się ukośnie, więc nie mógł się wyprostować. Posuwał się w ciemnościach, odchylając na boki lub do tyłu. Im głębiej wchodził, tym się robiło mroczniej. Pozostali ruszyli za nim wąskim przejściem, zasłaniając światło, więc było jeszcze ciemniej.

Deszcze się skończyły, lecz góra nadal ociekała wodą. Brnęli po kostki w wodzie, a odgłos ich kroków niósł się echem. Wywoływane przez nich fale rzucały na wilgotne ściany ciemnawe refleksy, co choć trochę rozjaśniało drogę.

Richard pomyślał, że gdyby był węzem, to chętnie by się tu zadomowił. Przyszło mu też do głowy, że gdyby idąca tuż za nim Kahlan natrafiła na jakiegoś węża, miałyby do niego duże pretensje o to, że ją tu zabrał.

To, co przerażało na zewnątrz, stawało się zupełnie inne, kiedy nie

można było uciec, nie było swobody ruchu. Panika zawsze czyhała w ciasnocie.

Było już tak ciemno, że Richard musiał się kierować dotykiem. Tam gdzie woda ściekała po zimnej skale, ściany tunelu były oślizłe. Miejscami szli po suchej skale, miejscami po błocie. Przeważnie jednak po błocie. W niektórych nieregularnych zagłębieniach nagromadziły się gąbczaste liście. Smród wskazywał, że w którymś z zakamarków wilgotnej pieczary padło igniło teraz jakieś zwierzę. Usłyszał, jak pojękują i się żalą, kiedy doleciał ich ten zapaszek. Betty meczała żałośnie. Jennsen szeptem nakazała jej być cicho.

Posuwali się wolno pod olbrzymim skalnym stropem, przykrywającym niegdysiejszy trakt, zapominając nawet o paskudnym zapachu. Nie była to prawdziwa pieczara, jak te podziemne, na które kiedyś Richard się natknął. Było to jedynie wąziutkie przejście pod ogromną skałą. Nie było tu komór ani bocznych odgałęzień, na które trzeba by zwracać uwagę - wyłącznie wąski tunel pod skałą. Oświetlanie drogi właściwie nie było zatem potrzebne. Richard wiedział również, że ten tunel nie jest wcale taki długi. Tak się tylko zdawało w tych ciemnościach.

Dotarł do punktu, w którym droga zaczynała się nagle wznosić pod ostrym kątem. Rozpoczął trudną wspinaczkę, wyszukując palcami miejsca, których mógłby się uchwycić. Od czasu do czasu musiał się zapierać plecami o jedną, a stopami o drugą ścianę, i dopiero wówczas wykorzystywać każdą szczelinę, żeby się wczepić palcami i podciągnąć. Musiał przy tym uważać, żeby miecz się nie zaklinował i żeby plecak utrzymał mu się na brzuchu. To była żmudna i powolna wędrówka.

W końcu dotarł do płyty, na którą najpierw obsunęła się skała. Tu trzeba się będzie posuwać naprzód w poziomie, a nie w pionie, jak dotychczas. Skała wspierała się na skraju półki, lecz było tyle miejsca, że jakoś zdołają się tędy przecisnąć. Kiedy się już znalazł na płaskiej płycie, wychylił się ile zdołał i wyciągnął rękę do Kahlan. Słyszał, jak reszta kompanii postępuje z wysiłku, pokonując ten trudny, stromy odcinek.

Ze skalnej płyty Richard wreszcie widział światło nad głową i przed sobą. Zbadał tę trasę i wiedział, że mają już blisko do wylotu tunelu - ale najpierw musieli pokonać tę skalną półkę. Było tu przeraźliwie ciasno.

Richard nie lubił takich miejsc. Wiedział jednak, że to jedyna droga na

drugą stronę. Tego odcinka najbardziej się obawiał. Było tu bardzo ciasno - lecz na szczęście blisko do wyjścia.

- Stąd musimy się czołgać na brzuchu - powiedział do Kahlan. - Złap mnie za kostkę. Powiedz reszcie, żeby też się tak jeden drugiego chwycili.

Dziewczyna spojrzała ku światłu docierającemu tu z wyjścia. Jego blask utrudniał przyjrzenie się temu, co było po bokach.

- Przejście wydaje się za wąskie, Richardzie. To zaledwie szczelina.

Chłopak popchnął do przodu swój plecak.

- Jest dość miejsca. Wkrótce się stąd wydostaniemy. Kahlan ciężko westchnęła.

- No dobrze. Im szybciej, tym lepiej.

- Słuchajcie! - zawołał w mrok. - Już prawie się wydostaliśmy!

- Dam ci popalić, jak jeszcze raz poprowadzisz nas przez jakieś padłe zwierzę! - zawołała do niego Jennsen.

Wszyscy się zaśmiali.

- Z tym już koniec - odparł Richard. - Przed nami trudny odcinek. Przechodziłem tędy, więc wiem, że sobie poradzimy. Ale musicie robić to, co powiem. Czołgajcie się, popychając przed sobą plecaki. Trzymajcie za kostkę poprzedzającą was osobę. Dzięki temu wszyscy podążycie właściwą drogą. Widzicie już z przodu światło. Nie możecie iść ku niemu. To nie jest wyjście. Strop opada tam za nisko, a skała zaczyna się ostro zniżać w lewo. Jeżeli się tam ześlizgniecie, możecie się nie wydostać, tak jest tam ciasno. Musimy okrążyć to obniżenie stropu. Musimy zboczyć w prawo, gdzie jest ciemno, ale nie tak ciasno. Zrozumieliście?

Z ciemności dobiegło potwierdzenie.

- Richardzie! - zawołała cienkim głosem Jennsen. - Nie podoba mi się tutaj! Chcę się stąd wydostać!

W jej głosie brzmiały nutki paniki.

- Mnie też się tu nie podoba - odparł. - Ale przedostałem się tędy na drugą stronę. Przeszedłem i wróciłem po was. Nic ci się nie stanie. Idź dokładnie moim śladem, a nic złego się nie wydarzy.

Z ciemności dotarł do niego jej głos:

- Chcę wracać.

Richard nie mógł jej na to pozwolić. Na półkach skalnych byłoby zbyt niebezpiecznie i chyzoloty by ich wypatrzyły.

- Pójdiesz przede mną - odezwała się do niej Kahlan. - Złap Richarda za kostkę i wydostaniesz się wcześniej niż my.

- Dopilnuję, żeby Betty widziała, jak idziesz naprzód, i poszła w twoje ślady - obiecał Tom.

To przełamało impas. Jennsen dotarła do płaszczyzny i podała swój plecak. Richard, leżąc na brzuchu w wąskiej szczelinie, chwycił ją za rękę i pomógł się tam dostać. Kiedy w docierającym tu świetle zobaczyła, jak jest ciasno, i przekonała się że Richard musi leżeć, zaczęła się trząść. A on zobaczył, że płacze, kiedy jej buzia znalazła się blisko niego. Wielkimi błękitnymi oczami wpatrywała się w niski, wąski tunel.

- Boję się, Richardzie. Nie chcę tam iść.

Kiwnął głową.

- Wiem. Ale to już niedaleko. Nie zostawię cię tutaj. Zadbam, żebyś się wydostała. - Dotknął jej policzka. - Obiecuję.

- Skąd mam wiedzieć, czy dotrzymasz obietnicy?

Richard się uśmiechnął.

- Czarodzieje zawsze dotrzymują obietnic.

- A mówiłeś, że nie znasz się za bardzo na czarowaniu.

- Ale wiem, jak dotrzymywać obietnic.

W końcu się zgodziła i pozwoliła, żeby wciągnął ją na górę. Kiedy się już znalazła na półce w stoku góry i przekonała, że skalny strop zmusza ją do leżenia i jest jedynie o parę cali nad jej plecami, zaczęła dygotać z przerażenia.

- Wiem, jak się czujesz, Jennsen. Naprawdę to wiem. I ja tego nie cierpię, ale nie mamy wyboru. Nic ci nie zagrozi, jeżeli poczłogasz się dokładnie moim śladem. Po prostu podążaj za mną, a raz-dwa będziemy na zewnątrz.

- A jeżeli to się zsunie i nas przygniecie? Albo tak nas zablokuje, że ani nie będziemy się mogli ruszyć, ani oddychać?

- Na pewno nie - uspokajał ją. - Tkwi tak od wieków. Na pewno się nie zsunie. Na pewno.

Kiwnęła głową, lecz nie był przekonany, czy go w ogóle słyszała. Kiedy się obrócił głową do przodu, zaczęła pochlipywać.

- Złap mnie za kostkę! - zawołał do niej. - Popchnij do mnie swój plecak, a ja już się nim zajmę. Ty się tylko trzymaj mojej kostki i czołgaj za mną.

- A jeżeli zrobi się tak ciasno, że nie będę mogła oddychać? Jeżeli nie będę

mogła oddychać, Richardzie?

Chłopak mówił do niej spokojnym, pełnym przekonania tonem.

- Jestem większy od ciebie, więc skoro ja się przedostałem, to i ty przejdiesz.

Bez słowa skinęła głową, ale dalej się trzęsła. Wyciągnął ku niej rękę i jeszcze raz polecił, żeby podała mu plecak. Dopiero wtedy posłuchała. Związał oba plecaki razem i popchnął je do przodu. Jennsen wczepiła się w jego kostkę, jakby tylko to ją chroniło przed wpadnięciem prosto w ramiona Opiekuna zaświatów. Ale Richard nie miał jej tego za złe; znał ten strach.

Jak najdalej popchnął plecaki i zaczął się czołgać. Starał się nie myśleć o szorstkim skalnym stropie ledwie o dłoń odległym od jego pleców. Wiedział, że zanim się wydostaną, będzie jeszcze ciasniej. Skalna półka łagodnie wznosiła się, w prawo, w mrok. Światło zostawało po lewej, w dole.

Miało się wrażenie, że najłatwiejsza droga wiedzie prosto ku otworowi. To nie było daleko. Oni zaś musieli się posuwać pod górę, w mrok, musieli ominąć przewężenie szczeliny i dotrzeć do miejsca, przez które zdołaliby się przecisnąć. Takie parcie w górę, w mrok, gdzie zdawało się ciasniej, zamiast dążenia wprost ku światłu, wyglądało na błąd - ale Richard zbadał już tę trasę i wiedział, jakie to mylące odczucia.

Coraz bardziej zagłębiał się w mrok, omijając zbyt ciasny odcinek pośrodku komory. W końcu dotarł do miejsca, gdzie kamienny strop się obniżał. W końcu skała dotknęła pleców Richarda. Wiedział, że to jeszcze najwyżej dwanaście stóp, ale nie można tu było swobodnie oddychać, co przerażało.

Popychał przed sobą plecaki, a sam wił się niczym wąż, pełznąc naprzód. Musiał się odpychać czubkami butów, podciągając, wczepiając palce w każdą ryś. Zmuszał się do zagłębiania się w ciemność, coraz dalej od światła.

Palce Jennsen krzepko trzymały go za kostkę. Bardzo mu to odpowiadało, bo mógł ją ciągnąć. Chciałby jej pomóc przecisnąć się przez najwęższy odcinek.

I wtedy nagle puściła jego kostkę.

ROZDZIAŁ 33

Richard słyszał, jak Jennsen pełźnie w tył.

- Jennsen? Co się dzieje? Co robisz?

Krzyczała z przerażenia, szlochała i kierowała się ku światłu w wylocie.

- Jennsen! Nie idź tam! Zostań ze mną!

W tej ciasnocie nie mógł się odwrócić. Czołgał się do przodu, wyginając na boki i usiłując ją dostrzec. Dziewczyna na oślep dążyła ku światłu, nie zwracając uwagi na jego nawoływania.

Doczołgała się do niego Kahlan.

- Co ona wyprawia?

- Usiłuje się wydostać. Widzi otwór, światło i nie słucha ostrzeżeń.

Richard popychał przed sobą plecaki i gorączkowo parł do przodu, za przewężenie, gdzie wreszcie będzie mógł swobodnie oddychać i niemal stanąć na czworakach.

Jennsen wrzasnęła. Widział, jak rozpaczliwie drapie skałę, ale mimo to tkwi w miejscu. Szaleńczo usiłowała się przepchnąć do przodu, lecz tylko jeszcze bardziej się zsunęła, bardziej zaklinowała. Każdy szybki, urywany oddech, każda próba wydobycia się jeszcze bardziej ją klinowały.

Richard wołał do niej, próbował nakłonić, żeby go posłuchała, zrobiła, co radzi. Jednak, zdjęta rozpaczą, nie reagowała na żadne wskazówki. Widziała otwór, chciała się wydostać i nie miała zamiaru usłuchać chłopaka.

Najszybciej jak mógł czołgał się przez mrok ku wylotowi, prowadząc Kahlan, Owena, Carę i Toma jedyną nadającą się do przebycia trasą. Kahlan mocno trzymała go za kostkę, a dobiegające zza niej zdyszane oddechy świadczyły, że pozostali posuwają się rządkiem za nią.

Jennsen krzyczała ze strachu. Szarpała się jak oszalała, ale na dobre utknęła. Zaklinowała się tak, że coraz trudniej było jej oddychać.

- Jennsen! Uspokój się! Oddychaj powoli! - wołał do niej Richard, spiesząc ku wyjściu. - Oddychaj powoli! Oddychaj spokojnie!

Wreszcie dotarł do wylotu. Wynurzył się z ciemnej szczeliny, zmrużył porażone nagłym blaskiem oczy. Ukląkł, pochylił się i pomógł się wydostać Kahlan. Ukazała się Betty, która jakoś zdołała wyprzedzić pozostałych. Potem wyszli Owen i Cara. Richard przełożył pendent nad głowę, podał

miecz Kahlan.

Tom zawołał z tunelu, że wraca po Jennsen.

Jak tylko wszyscy się bezpiecznie wydostali, Richard na powrót zanurkował do szczeliny. Na czworakach ruszył w mrok. Widział, że Tom ze swego miejsca nie zdoła do niej dotrzeć.

- Ja do niej pójde, Tomie.

- Dam sobie radę - upierał się tamten, klinując się coraz bardziej.

- Nie, nie dasz - rzekł twardo Richard. - Dobre chęci to za mało. Tylko się zaklinujesz. Rób, co mówię. Cofnij się, bo inaczej ciężar ciała pociągnie cię w dół i tak uwięzniesz, że nie damy rady cię wyciągnąć. Cofnij się, póki jeszcze możesz. Wyjdź z tunelu. Przepuść mnie do niej.

Tom patrzył, jak Richard go wymija. Następnie - z miną, która wyraźnie świadczyła, jak niechętnie to robi - zaczął się wycofywać pod górę, w mrok, gdzie było o kilka cennych cali wyżej i skąd mógł się już wydostać na zewnątrz.

Richard precyzyjnie przesunął się przez najwęższe miejsce, a potem poczołgał pochyłością, żeby w dogodnym miejscu zawrócić. Gdyby przy próbach wyciągnięcia Jennsen był zwrócony głową w dół, sam mógłby uwięznąć. Jeżeli nie będzie ostrożny, zrobi to, czego bliski był Tom. W ciemności Jennsen krzyczała ze strachu.

Rozpłaszczony na brzuchu czołgał się w głąb, kierując się w lewo, w dół skalnej półki.

- Oddychaj, Jennsen. Już idę. Wszystko w porządku.

- Richardzie! Nie zostawiaj mnie tu! Błagam! Richardzie!

Chłopak mówił spokojnym, cichym głosem, przesuwał się poza nią w węższą część tunelu.

- Nie zostawię cię. Nic ci nie będzie. Spokojnie na mnie czekaj.

- Richardzie! Nie mogę się poruszyć! - Stęknęła z wysiłku. - Nie mogę oddychać! Strop opada! Przesuwa się! Czuję, jak się osuwa! Zgniata mnie! Pomóż mi, błagam! Nie zostawiaj mnie, Richardzie!

- Nic ci nie grozi, Jennsen. Strop się nie osuwa. Po prostu uwięzłaś. Za chwilę cię wyciągnę.

Wsuwał się w najciaśniejszy odcinek, starając się dotrzeć za nią, a ona dalej się szarpała, usiłowała przepchnąć do przodu i tylko pogarszała sprawę - wtedy nie mogła się wydostać. Za to coraz bardziej zsuwała się po pochyłości,

a każdy spazmatyczny oddech sprawiał, że jeszcze mocniej się klinowała. Słyszał, z jakim rozpaczliwym wysiłkiem stara się oddychać, wciągając w płuca choć odrobinę powietrza.

Wreszcie udało mu się przedostać za nią i zaczął się czołgać do przesmyku, w który się wcisnęła. Znalazła się w wąskim, kończącym się ślepo przed nią kanale, więc nie można jej było przeciągnąć bokiem w górę stoku. Richard musiał ją skłonić, żeby się wycofała tą samą drogą, którą tam wpełzła. Musiał odciągnąć ją od światła, w ciemność, której się tak bała.

Skalny strop ocierał mu się o plecy, utrudniając głębokie oddychanie. Musiał oddychać bardzo płytko - wczłogiwał się coraz dalej. I prawie w ogóle nie mógł już oddychać.

Przemożna potrzeba głębokiego zaczerpnięcia oddechu sprawiała, że ból wywoływany przez truciznę był ostry niczym pchnięcia nożem. Richard wyciągnął przed siebie ręce i odpychał się stopami, usiłując stłumić narastającą w nim panikę. Tłumaczył sobie, że przecież pozostali wiedzą, gdzie jest, że nie jest sam. Trudno było sobie przemawiać do rozsądku, mając wrażenie, że skalny strop zaraz zgniecie człowieka, zwłaszcza że już się znalazł w takiej ciasnocie, że ledwo oddychał, a jeszcze się starał dotrzeć głębiej, by móc dosięgnąć Jennsen. Wiedział, że musi ją wyciągnąć ze szczeliny, w której ugrzęzła, bo inaczej umrze.

- To boli, Richardzie! - wołała. - Nie mogę oddychać! Ugrzęzłam! O drogie duchy, nie mogę oddychać. Boję się, Richardzie!

Chłopak wyciągnął się, usiłując dosięgnąć jej kostki. Za daleko. Musiał odwrócić głowę w bok, żeby się przysunąć. Jednym i drugim uchem szorował po skale. Wcisnął się głębiej, chociaż rozsądek mówił mu, że się już wpędził w tarapaty.

- Musisz mi pomóc, Jennsen. Chcę, żebyś się odepchnęła do tyłu. Odepchnij się rękami w tył. Odepchnij się ku mnie.

- Nie! Muszę się wydostać! Już jestem blisko!

- Wcale nie. Tędy się nie wydostaniesz. Musisz mi zaufać. Musisz się odepchnąć w tył, Jennsen, żebym cię mógł dosięgnąć.

- Nie! Błagam! Chcę wyjść! Wyjść!

- Wyciągnę cię, obiecuję. Tylko się odepchnij do tyłu, żebym cię mógł dosięgnąć.

Całkiem zasłaniała światło, więc nie widział, czy wypełnia jego polecenie.

Przesunął się o cal, potem o jeszcze jeden. Głowa niemal mu się zaklinowała. Nie miał pojęcia, jak Jennsen udało się dostać tam, gdzie utkwiała.

- Odepchnij się w tył, Jennsen. - Mówił z wielkim trudem, miał za mało powietrza, żeby i mówić, i oddychać.

Wyciągał przed siebie rękę, starając się jej dosięgnąć. Płuca paliły z braku powietrza. Tak chciał głęboko odetchnąć. Desperacko potrzebował powietrza. Nie móc oddychać - to nie tylko sprawiało ból, ale i przerażało. Ogłuszał go łomot własnego serca.

Na tej wysokości w górach powietrze i tak było już rozrzedzone, co jeszcze utrudniało oddychanie. Tutaj oddechy były z konieczności bardzo płytkie, więc Richardowi zaczynało się kręcić w głowie. Jeżeli zaraz nie będzie się mógł wycofać tam, gdzie zdoła głęboko oddychać, to obydwójce na zawsze zostaną w tym okropnym miejscu.

Czubki palców Richarda dotknęły podeszwy buta Jennsen. Jednak nie mógł mocno złapać jej stopy.

- Odepchnij się w tył - szepnął w mrok. Ledwo panował nad własnym przerażeniem. - Rób, co mówię, Jennsen. Odepchnij się do tyłu. Ale już.

But dziewczyny przesunął się w jego dłoń. Złapał go mocno i natychmiast cofnął się o parę cali. Natężył wszystkie siły i starał się pociągnąć ją za sobą. Nawet nie drgnęła. Albo tak się zaklinowała, albo mimo wszystko starała się przesunąć do przodu.

- Odepchnij się w tył - wyszeptał jeszcze raz. - Wykorzystaj siłę rąk, Jennsen. Odepchnij się ku mnie. Odepchnij.

Szlochała i wołała coś, czego nie mógł zrozumieć. Zaparł się butami i szarpnął z całej siły. Ramiona dygotały mu z wysiłku. Udało mu się przyciągnąć ją o parę cali.

Przesunął się w tył i znów pociągnął. Ze straszliwym wysiłkiem, powolutku, zaczynał wyciągać ją ze ślepego kanału, do którego uciekła w szaleńczej próbie wydostania się na zewnątrz.

Niekiedy usiłowała się wyrwać ku światłu. Jednak Richard, przytłoczony przez skałę, krzepko trzymał but siostry i ciągnął ją za sobą, nie pozwalając się cofnąć ani o milimetr.

Nie mógł wyprostować głowy. To dodatkowo utrudniało wydobywanie się stąd. Z głową opartą na prawym policzku, sięgnął w tył lewą ręką i chwycił niewielkie wybrzuszenie w stropie. Podciągnął ich. Trzymając but

Jennsen w wyciągniętej prawej ręce, wlokł ją za sobą cal za całem.

Kiedy próbował wyszukać kolejny punkt zaczepienia dla dłoni, zobaczył coś po swojej lewej stronie - niedaleko, trochę niżej, zaklinowane w zwężeniu. Początkowo myślał, że to kamień. Z wysiłkiem wlokł Jennsen i wpatrywał się w ten zaklinowany przedmiot. Sięgnął w bok i dotknął go. Był zupełnie gładki i wcale nie przypominał w dotknięciu granitu.

Kiedy zaczęło mu dobrze iść wyczołgiwanie się, znów sięgnął w bok i zdołał zacisnąć palce na tej rzeczy. Przyciągnął to do siebie i dalej się wycofywał.

Ku swojej olbrzymiej uldze dotarł wreszcie tam, gdzie mógł swobodniej oddychać. Przez chwilę leżał nieruchomo i tylko chwycił powietrze. I bardzo chciał się wreszcie stąd wydostać.

Mówił do Jennsen, zaprzatając jej uwagę poleceniami, które zaledwie po części wypełniała, i ciągnął ją w tył i w prawo, gdzie było luźniej. Wreszcie udało mu się znaleźć obok niej i chwycić ją za nadgarstek. Teraz zaczął przesuwając ją w górę stoku, w mrok, w ciasnotę, która była jedyną drogą na zewnątrz.

Odrobinę lepiej współdziałała, kiedy się znalazła u jego boku. Cały czas dodawał jej otuchy.

- To właściwa droga, Jennsen. Na pewno. Nie zostawię cię. Wyprowadzę cię stąd. To właściwa droga. Czołgaj się obok mnie, a za parę minut się wydostaniemy.

Kiedy dotarli do ciasnego, ciemnego odcinka, znów zaczęła się wrywać, starała się odczołgać ku światłu, ale już blokował jej tę drogę. Trzymał się blisko niej i nie pozwalał się zatrzymać. Jego słowa otuchy wyraźnie dodawały Jennsen sił, trzymając ją za nadgarstek dłoń także. Tym razem na pewno nie pozwoli jej odpełznąć gdzieś w bok.

Gdy wreszcie znaleźli się tam, gdzie strop się odrobinę podniósł, Jennsen zaczęła chlipać, tym razem z radości. Rozumiał to. Kiedy strop się podniósł o stopę lub dwie, Richard starał się najszybciej jak mógł doprowadzić ją do wyjścia, do światła.

Pozostali czekali u wylotu, żeby pomóc im się wydostać. Richard trzymał pod lewą pachą znaleziony przedmiot i pomagał Jennsen wydobyć się z tunelu. Schroniła się w ramionach Toma, ale tylko do chwili, kiedy Richard wyszedł i stanął na nogi. Wtedy, łkając z ulgi, przylgnęła do niego z całej siły.

- Przepraszam - powtarzała przez łzy. - Przepraszam, Richardzie. Ale tak się bałam.

- Wiem - pocieszał ją, tuląc do siebie.

I on przeżył okropne chwile, myśląc, że już się nie wydostanie z podobnego straszliwego miejsca, więc dobrze ją rozumiał. W tak okropnych okolicznościach, wywołujących strach, że się zaraz umrze, bardzo łatwo jest się poddać instynktowi ucieczki, ratowania życia.

- Tak mi głupio.

- I ja nie lubię takich miejsc - pocieszał ją. - Rozumiem.

- Ale ja tego nie rozumiem. Nigdy się takich miejsc nie bałam. Od małości kryłam się w rozmaitych zakamarkach. Zawsze się w nich czułam bezpieczna, bo nikt mnie tam nie mógł znaleźć ani się do mnie dostać. Kiedy całe życie uciekasz i kryjesz się przed kimś takim jak Rahl Poępny, zaczynasz doceniać małe, ciemne, trudno dostępne miejsca. Sama nie wiem, co mnie napadło. To strasznie dziwne. Nagle zaczęły mi się wciskać do głowy myśli, że się nie wydostanę, że nie będę mogła oddychać, że umrę. Zaczęły mnie ogarniać uczucia, których wcześniej nie znałam. Brały nade mną górę. Nigdy przedtem tak nie było.

- Dalej masz te osobliwe uczucia?

- Tak - odparła z płaczem - ale zaczęły znikać, jak się wydostałam, jak to wszystko się skończyło.

Odsunęli się od nich, dając Jennsen czas, żeby doszła do siebie, żeby nad sobą zapanowała. Siedzieli w pobliżu na starej kłodzie wysrebrzonej przez zmiany pogody.

Richard jej nie przynaglał. Tulił ją, pozwalał czuć się bezpiecznie.

- Przepraszam, Richardzie. Czuję się jak idiotka.

- Nie musisz. Już po wszystkim.

- Dotrzymałeś obietnicy - powiedziała przez łzy.

Chłopak się uśmiechnął, szczęśliwy, że mu się to udało. Owen, z zatroskaną miną, nie zdołał się powstrzymać.

- Ale czemu nie pomogłaś sobie magią, Jennsen?

- Tak samo jak ty nie mogę czarować.

Potarł dłońmi o biodra.

- Mogłabyś, gdybyś sobie na to pozwoliła. Jesteś kimś, kto może dotknąć magii.

- Inni ludzie mogą czarować, lecz ja nie. Nie mam takich możliwości.

- Inni uważają coś za magię i tylko oszukują sami siebie, zamykają oczy na prawdziwe czary. Nasze oczy nie pozwalają nam widzieć, nasze zmysły nas zwodzą. Już to tłumaczyłem. Magię pojąć i naprawdę praktykować mogą jedynie ci, którzy nigdy nie widzieli czarów, nigdy się nimi nie posługiwali, nigdy nie wyczuwali i nie postrzegali magii, nie mają ani takich umiejętności, ani zdolności. Magia musi się wspierać wyłącznie na wierze, jeżeli ma być prawdziwa. Musisz uwierzyć i dopiero wtedy naprawdę zobaczysz. Jesteś kimś, kto może czarować.

Richard i Jennsen wpatrywali się w niego.

- Richardzie - odezwała się dziwnym głosem Kahlan, nim zdążył odpowiedzieć Owenowi - co to jest?

Chłopak spojrzał na nią półprzytomnie.

- To znaczy co?

- To, co masz pod pachą. Co to jest?

- Ach, to coś, co znalazłem zaklinowane w skale w pobliżu Jennsen, tam gdzie ugrzęzła. W mroku widziałem jedynie, że to nie kamień.

Sięgnął po ów przedmiot, żeby mu się przyjrzeć.

Był to posążek.

To był on sam, w stroju czarodzieja wojny. Peleryna wydymała się w bok, przez co podstawa była szersza niż pas statuetki.

Dolna część była przejrzysta, bursztynowa - widać było strużkę piasku, który niemal wypełnił dolną połowę.

Jednak ten posążek nie był cały bursztynowy jak statuetka Kahlan. W pobliżu środka, zasnuwając zwężenie, przez które przesypywał się piasek, barwa zaczynała ciemnieć. Im wyżej, tym rzeźba stawała się ciemniejsza.

Góra - głowa i ramiona - były tak czarne jak nocny kamień.

Nocny kamień pochodził z zaświatów, a Richard aż za dobrze pamiętał, jak wyglądało to paskudztwo. Góra statuetki wyglądała na zrobioną z tego samego tworzywa - lśniąca, gładka i tak czarna, że zdawała się wchłaniać światło dnia.

Richardowi ścisnęło się serce, kiedy zobaczył tę swoją podobiznę - talizman dotknięty przez śmierć.

- To ona to zrobiła - odezwał się Owen, oskarżycielsko wskazując Jennsen, otoczoną prawym ramieniem Richarda. - To ona to wyczarowała.

Mówiłem, że potrafi. Uplotła to ze złej magii, tam, w pieczarze, kiedy przestała myśleć. Magia wzięła nad nią górę, wypłynęła z niej, kiedy przestała myśleć, że nie potrafi czarować.

Owen nie miał pojęcia, o czym mówi. To nie Jennsen zrobiła tę statuetkę.

To był drugi znak ostrzegawczy mający zaalarmować tego, kto potrafi zapieczętować rozdarcie.

- Lordzie Rahlu...

Richard podniósł wzrok. To był głos Cary.

Stała trochę dalej, tyłem do nich, patrząc na widoczny przez drzewa skrawek nieba. Jennsen okręciła się w objęciach Richarda, żeby zobaczyć, co spowodowało dziwny ton Cary. Chłopak, nie wypuszczając siostry, podszedł do Mord-Sith i spojrzał tam gdzie ona.

Przez lukę w koronie sosny zobaczył w górze krawędź przełęczy. Na tle płynących stalowoszarych chmur wyraźnie odcinało się dzieło ludzkich rąk.

Na krawędzi górskiej przełęczy tkwił olbrzymi posąg.

ROZDZIAŁ 34

Lodowaty wicher szarpał odzieniem Richarda i Kahlan tulących się do siebie na skraju gęstego świerkowego lasu. Poniżej mknęły strzępy obłoków, jakby umykając przed gromadzącymi się ponad nimi olbrzymimi, mrocznymi, skłębionymi chmurami. Wielkie płatki śniegu tańczyły w porywach zimnego wiatru. Richarda piekły odrętwiałe z zimna uszy.

- I co o tym myślisz? - spytała Kahlan.

Potrząsnął głową.

- Sam nie wiem. - Obejrzał się ku pozostałym, stojącym pod osłoną drzew. - Na pewno nie wiesz, co to takiego, Owenie? W ogóle nie masz o tym pojęcia?

Kłębiące się chmury tworzyły złowieszcze tło dla tkwiącego na grani monumentalnego posągu.

- Nie, lordzie Rahlu. Nigdy tu nie byłem i nikt z nas nie podróżował tą drogą. Nie mam pojęcia, co by to mogło być. Chyba że... - Słowa zagłuszył jęk wichury.

- Chyba że co?

Owen się cofnął, kręcił w palcach guzik okrycia i zerkał to na stojącą przy jednym jego boku Mord-Sith, to na Jennsen i Toma tkwiących po jego drugiej ręce.

- Ci, którzy nadali nam nazwę i ochronili nas, pieczętując przełęcz, zostawili przepowiednię. Z pokolenia na pokolenie przekazuje się, że kiedy nadawali nazwę naszemu imperium, zapowiedzieli, iż pewnego dnia zjawi się u nas wybawca.

Richard miał ochotę zapytać go, od czego to według niego potrzebowali wybawienia - przecież żyli w tak oświeconej kulturze, nie zagrożeni przez nieoświeconych dzikusów z reszty świata. Ale zadał prostsze pytanie, na które, jak sądził, Owen powinien udzielić odpowiedzi.

- Czyli sądzisz, że to może być posąg waszego wybawcy?

Owen zatańczył nerwowo w miejscu i wreszcie wzruszył ramionami.

- On jest nie tylko wybawcą. Przepowiednia mówi również, że on nas zniszczy.

Richard spojrział na niego chmurnie, mając nadzieję, że to się nie okaże

kolejnym z pokrętnych wierzeń Owena.

- Ten wasz wybawca ma was zniszczyć. To bez sensu.

Bandakarczyk natychmiast przyznał mu rację.

- Wiem. Nikt tego nie pojmuje.

- Może to oznacza, że ktoś nadejdzie, żeby ocalić twoich ziomków - odezwała się Jennsen - ale mu się to nie uda i tylko doprowadzi do ich wygubienia.

- Może. - Owen się skrzywił, z niechęcią biorąc pod uwagę taką możliwość.

- A może - wtrąciła się ponuro Cara - to oznacza, że ów człowiek się pojawi, ale jak się przyjrzy twoim ziomkom, to uzna, że nie warto ich ratować - pochyliła się ku Owenowi - i postanowi ich zniszczyć.

Młodzieniec, wpatrzony w Mord-Sith, najwyraźniej uważał jej sugestię za realną, w ogóle nie dostrzegając czytelnego według Richarda sarkazmu.

- Nie sądzę, żeby takie miało być znaczenie - odpowiedział w końcu po gruntownym przemyśleniu sprawy. Znów spojrzął na Richarda. - Bo widzisz, przepowiednia, jak nas uczą, zapowiada po pierwsze, że nadejdzie człowiek, który nas zniszczy. A zaraz potem stwierdza, że to on nas wybawi. „Oto pojawi się wasz niszczyciel, co was wybawi” - zacytował. - Uczą nas dokładnie tych słów, przekazanych naszym przodkom, kiedy się znaleźli za przełęczą.

- Oto pojawi się wasz niszczyciel, co was wybawi - powtórzył Richard. Głęboko odetchnął, żeby się opanować. - Prawdopodobnie pomyłono i zniekształcono pierwotne przesłanie, przekazując je z pokolenia na pokolenie. Zapewne w ogóle już nie przypomina właściwej przepowiedni.

Spodziewał się, że Owen zaprzeczy, lecz ten skinął głową.

- Niektórzy myślą tak samo jak ty. Uważają, że od czasu, kiedy nadano nam nazwę i położono ochronną pieczęć, prawdziwe słowa zagubiono lub przekręcono. Ale inni uważają, że dotarły do nas nie zmienione i muszą mieć wielką wagę. Jeszcze inni są zdania, że przepowiednia miała jedynie oznajmić nadejście wybawcy. A są i tacy, którzy sądzą, że zapowiada jedynie nadejście niszczyciela.

- A jakie jest twoje zdanie? - spytał Richard.

Owen tak szarpał guzik, że chłopak pomyślał, iż lada chwila go urwie.

- Ja uważam, że miała zapowiedzieć pojawienie się niszczyciela, którym

według mnie jest ten Nicholas z Ładu, a potem zbawcy, który nas od niego uwolni. Myślę, że tym zbawcą jesteś ty, lordzie Rahlu. Nicholas jest naszym niszczycielem. Ty jesteś naszym wybawcą.

Richard dowiedział się z książki, że proroctwo nie działa w odniesieniu do tych ludzi, do Filarów Świata.

- To, co uważacie za przepowiednię - stwierdził - jest prawdopodobnie jedynie starym porzekadłem, które się przez ten czas całkiem poplątało.

Owen trwał przy swoim, choć niezdecydowanie.

- Uczą nas, że tak brzmi przepowiednia. Że przekazali nam ją ci, którzy nadali nam nazwę, i że chcieli, żeby przekazywano ją z ust do ust, by wszyscy mogli ją poznać.

Richard westchnął, a wiatr poniósł w dal długi obłok jego oddechu.

- Czyli uważasz, że to mój posąg, ustawiony tam przed tysiącami lat przez tych, którzy was odgradzili ochronną granicą? Skąd niby wiedzieli, na długo zanim się urodziłem, jak będę wyglądać, żeby wyrzeźbić posąg?

- W prawdziwej rzeczywistości zawiera się wszystko, co nastąpi - wyrecytował z pamięci Owen. Uśmiechnął się półgębkiem i znów wzruszył ramionami. - W końcu znalazłeś ten mały posązek i sam powiedziałeś, że to ty.

Richard, zasmucony, że mu o tym przypomniano, odwrócił się od Bandakarczyka. To magia sprzężona z granicą, a może i ze zmarłym czarodziejem w zaświatach, nadała statuetce jego wygląd. Przyjrzał się bacznie niebu, skalistym zboczom, linii drzew. Żadnej oznaki życia. Posąg - wciąż nie wiedzieli, co to takiego - tkwił w oddali na nagiej grani. Przed nimi jeszcze nieźła wspinaczka, zanim tam dotrą. I wcale by nie był zadowolony, gdyby się okazało, że ten sterczący w gęstniejącym mroku posąg to rzeczywiście on. Już ani trochę nie podobało mu się to, że drugi znak ostrzegawczy był przeznaczony dla niego. Nakładało to na niego odpowiedzialność, obowiązek, których ani chciał, ani mógł dopełnić.

Nie miał pojęcia, jak ponownie odgradzić Bandakar. Zedd utworzył niegdyś granice - zapewne tego samego rodzaju jak ta tutaj - w Starym Świecie. Jednak nawet Zedd wykorzystał do tego strukturalną magię, którą odnalazł w wieży. Takie strukturalne zaklęcia były dziełem pradawnych czarodziejów obdarzonych potężną mocą i mających rozległą wiedzę w takich sprawach. Zedd mówił mu, że takich zaklęć już nie ma.

Richard z całą pewnością nie wiedział, jak sformułować zaklęcie, które by utworzyło taką granicę. Co więcej, nie sądził, że coś by to dało, gdyby je znał. Bo zaniknięcie granicy uwolniło z Bandakaru skazę narodzin bez najdrobniejszej iskierki magii - skazę, przez którą wypędzono jego mieszkańców z pierwszej ojczyzny. A Imperialny Ład już czynił brzemieniami Bandakarki, chcąc w ten sposób doprowadzić do zaniku daru. Nie wiadomo, jak bardzo się ta skaza rozprzestrzeniła. Takie masowe zapładnianie kobiet - o czym mówił Owen - da im wiele całkowicie pozbawionych daru dzieci, dzieci, którym wpoją swoje nauki. A gdyby zaczęli wykorzystywać w tym celu i mężczyzn, to liczba takich dzieci niepomiarnie by wzrosła. Kobieta może rodzić co rok. Mężczyzna w tym samym czasie spłodzi sporo jak on całkiem pozbawionych daru dzieci.

Pomimo tej całej gadaniny Ładu o poświęceniu, najwyraźniej nie byli jeszcze gotowi poświęcać w tym celu własnych kobiet. Żołnierzom Ładu bardzo odpowiadało gwałcenie Bandakarek i opowiadanie, że to dla dobra ludzkości. Jednak przewodzącym Ładem wcale nie uśmiechało się kierowanie własnych kobiet do takiej „hodowli”. Richard nie wątpił, że zaczną do tego wykorzystywać również własne kobiety, lecz dopiero później. A na razie Ład zapewne zacznie wkrótce wykorzystywać do tego wszystkie branki, zmuszając Bandakarczyków, by je zapładniali. Podbicie Nowego Świata da Imperialnemu Ładowi całe mnóstwo reproduktorek.

W pradawnych czasach mieszkańcy Nowego Świata starali się zapobiec rozprzestrzenianiu się tej skazy wśród ludzi, natomiast Imperialny Ład zrobi wszystko, żeby to rozprzestrzenianie się przyspieszyć.

- Richardzie - spytała cicho Kahlan, żeby stojący wśród drzew tego nie usłyszeli - jak myślisz, dlaczego drugi znak ostrzegawczy robi się czarny niczym nocny kamień? Sądzisz, że to dlatego, żeby pokazać ci, ile masz czasu do zdobycia antidotum?

Dopiero co znalazł ów posążek, więc się jeszcze nad tym wszystkim nie zastanawiał. Ale i tak mógł w tym zobaczyć wyłącznie złowieszcze ostrzeżenie. Nocny kamień był sprzężony z duchami zmarłych, z zaświatami.

Bardzo możliwe, iż - jak to sugerowała Kahlan - owo ciemnienie miało mu unaocznić, że bierze nad nim górę trucizna, że kończy mu się czas. Jednak z wielu powodów nie sądził, aby tak było.

- Nie jestem tego całkiem pewny - odparł w końcu - ale nie sędzę, żeby to ostrzeżenie dotyczyło trucizny. Uważam, że ciemnienie posążka ma ukazywać, jak stopniowo zanika we mnie dar, jak zaczyna mnie z wolna zabijać, jak powoli spowijają mnie zaświaty, świat umarłych.

Dłoń Kahlan dotknęła jego ramienia. - Był to gest pocieszenia i zarazem zatroskania.

- I ja tak pomyślałam. Miałam nadzieję, że temu zaprzeczysz. Skoro ten zmarły czarodziej posłużył się owym znakiem, żeby cię przed tym ostrzec, dar może stanowić większy problem niż trucizna.

Richard zastanawiał się, czy tkwiący na grani posąg dostarczy jakichś odpowiedzi. Bo sam żadnych nie znał. Żeby tam dotrzeć i się przekonać, musieliby opuścić chroniący ich las i maszerować po odkrytym terenie.

Odwrócił się i dał znak pozostałym.

- Nie sędzę, żeby chyzoloty się nas tu spodziewały - powiedział, kiedy się wokół niego zebrali. - Jeżeli naprawdę udało się nam je zgubić, to nie wiedzą, dokąd poszliśmy, i nie będą się nas tu spodziewać. Uważam, że dostaniemy się tam bez wiedzy chyzolotów, a więc i Nicholasa.

- Poza tym - odezwał się Tom - te nisko wiszące chmury kryją większość gór, więc może ptaszyska nie mogą teraz szukać.

- Może - rzekł Richard.

Robiło się coraz później. Gdzieś daleko w górach zawył wilk. Odpowiedział mu drugi, ze stoku za szeroką rozpadliną. Mogło ich być więcej.

Betty nadstawiła uszu ku tym wyciom, przytuliła się do nóg Jennsen.

- A jeżeli Nicholas posłuży się innymi oczami? - zapytała Jennsen.

Cara zacisnęła w dłoni swój długi blond warkocz, bacznie przyjrzała się okolicznym lasom.

- Innymi?

Jennsen mocniej otuliła się peleryną, którą usiłował rozwiać wiatr.

- Nnno, skoro potrafi patrzeć oczami chyzolotów, to może potrafi patrzeć i innymi.

- Masz na myśli wilka? - spytała Mord-Sith. - Myślisz, że ten wilk, którego słyszeliśmy, mógłby być nim?

- Nnno - przyznała dziewczyna.

- Jeśli już o to chodzi - odezwał się Richard - skoro może patrzeć

czarnymi oczami chyzolotów, to może równie łatwo mógłby patrzeć oczami myszy.

Tom odgarnął z czoła rozwiane blond włosy i niespokojnie spojrzął na niebo.

- Więc dlaczego twoim zdaniem zawsze wykorzystuje chyzoloty?

- Prawdopodobnie dlatego, że dzięki nim łatwiej pokonuje znaczne odległości - odparł Richard. - W końcu ogromnie by się natrudził, szukając nas jako mysz. Co więcej, uważam, że lubi symbolikę związaną z towarzyszeniem takim stworzeniom, że lubi myśleć o sobie jako o kimś wcielonym w potężnego drapieżcę. W końcu na nas poluje.

- Czyli uważasz, że mamy się lękać wyłącznie chyzolotów? - zapytała Jennsen.

- Uważam, że woli nas obserwować dzięki chyzolotom, ale że to tylko środek, z którego korzysta, a nie cel - powiedział Richard. - Chce pojmać mnie i Kahlan. Skoro taki jest jego cel, to uważam, że w razie potrzeby sięgnie po wszystkie dostępne środki. Równie dobrze mógłby patrzeć i oczami myszy, gdyby mu to ułatwiło złapanie nas.

- Skoro jego celem jest pojmanie cię - odezwała się Cara - to Owen pomaga mu w osiągnięciu go, prowadząc cię wprost ku niemu.

Richard nie mógł temu zaprzeczyć. Na razie musiał spełniać życzenia Owena. Jednak już wkrótce zamierzał zacząć działać po swojemu.

- Ciągle jeszcze stara się nas odnaleźć - stwierdził - więc spodziewam się, że pozostanie przy chyzolotach, bo pokonują spore odległości. Ale skoro ustrzeliłem chyzoloty z łuku, musiał sobie zdać sprawę, iż zaczęliśmy podejrzewać, że ktoś obserwuje nas ich oczami. Jesteśmy coraz bliżej niego, więc nie wykluczam, że w przyszłości posłuży się innymi oczami, żebyśmy nie wiedzieli, że nas obserwuje.

Kahlan ta myśl wyraźnie zaniepokoiła.

- To znaczy, na przykład wilka lub... bo ja wiem... sowy?

- Sowy, gołębia, wróbla. Zakładam, że dopóki nas nie odnajdzie, będzie korzystał z oczu ptaka.

Kahlan przytuliła się mocniej, osłaniając się nim od wiatru. Byli już tak wysoko w górach, że zaczęli natrafiać na śnieg. Z dotychczasowych obserwacji Richarda wynikało, że w Starym Świecie jest na ogół za gorąco na śnieg. O tej porze roku śnieg można byłoby napotkać jedynie w najwyższych

górach. Wskazał na wirujące w powietrzu płatki.

- Czy zimą panuje w Bandakarze chłód, Owenie? Macie tam śnieg?

- Nadciągają wichry z północy. Wieją, jak myślę, naszą stroną gór. W zimie jest chłodniej. Co parę lat spada trochę śniegu, ale nie leży on długo. Zazwyczaj w zimie częściej leje. Nie rozumiem, dlaczego leży tu śnieg, skoro jest lato.

- Ze względu na wysokość - odparł machinalnie Richard, przyglądając się otaczającym ich stokom.

W jeszcze wyższych partiach warstwa śniegu była gruba, a tam, gdzie wiatr utworzył nawisy, mogła być zdradziecka. Próba przebycia takich urwistych, ośnieżonych stoków byłaby ogromnie ryzykowna. Na szczęście zbliżali się już do najwyższego punktu swojej trasy, do szczytu przełęczy, więc nie będą musieli iść w głębokim śniegu. Przejmująco zimny wiatr i tak bardzo im doskwierał.

- Chcę się dowiedzieć, co to takiego - rzekł w końcu Richard, wskazując posąg. Popatrzył po nich, sprawdzając, czy ktoś się sprzeciwi: nikt tego nie zrobił. - I chcę wiedzieć, dlaczego tam tkwi.

- Nie uważasz, że powinniśmy poczekać, aż będzie ciemno? - spytała Cara. - Mrok nas ukryje.

Richard pokręcił głową.

- Chyżoloty muszą równie dobrze widzieć w ciemności, ostatecznie to wtedy polują. Wolałbym się znaleźć na odkrytym terenie za dnia, kiedy mógłbym zobaczyć, jak nadlatują.

Zaczepił łuk o nogę i zgiął go tak, żeby móc przywiązać cięciwę. Wyciągnął strzałę z przewieszzonego przez ramię skórzanego kołczana, nasadził ją na cięciwę i przytrzymał lewą ręką. Przyjrzał się bacznie niebu i chmurom, wypatrując jakiegoś śladu chyżolotów. Na niebie z pewnością ich nie było, chociaż nie mógł zagwarantować, że nie czają się w mrokach pośród drzew.

- Lepiej już ruszajmy. - Przesunął wzrokiem po ich twarzach, upewniając się, że uważnie słuchają. - Jeżeli to tylko możliwe, stąpajcie po kamieniach. Nie chcę, żeby został na śniegu ślad, który Nicholas mógłby wypatrzeć oczami chyżolotów.

Skinęli głowami na zgodę i ruszyli za nim gęsiego na kamienie. Owen, idąc przed niezmiennie czujną Mord-Sith, lękliwie popatrywał ku niebu.

Jennsen i Betty obserwowały lasy. Wszyscy się garbili, chroniąc w ten sposób przed silnymi porywami wichru i piekącym chłodem uderzających ich w twarze lodowych kryształków. W rozrzedzonym powietrzu ciężko się było wspinać po stromiźnie. Richarda bolały z wysiłku nogi. A płuca paliły od trucizny.

Po obu stronach strzelały w poszarpane chmury niemal pionowe ściany skalne i Richard nie widział innej drogi na drugą stronę olbrzymich gór, chyba że ktoś zdecydowałby się na niezmiernie trudną i zagrażającą życiu przeprawę. A wcale nie był przekonany, że taka przeprawa by się powiodła.

Kiedy tak szli skrajem stromizny, tu i ówdzie rozwierały się szczeliny w ścianie gór, a w nich, pod ciemną warstwą chmur, Richard dostrzegał słoneczny blask zza przełęczy.

Maszerowali w milczeniu. Od czasu do czasu zatrzymywali się, żeby złapać oddech. Wszyscy spoglądali na zakryte kłębiącymi się chmurami niebo. Richard wypatrzył w oddali kilka niewielkich ptaków, ale żadnych większych nie było widać.

Zbliżali się do szczytu zakosami, żeby się nie musieć wspinać na skalne ściany czy sterczące kamienne półki. Richard wyraźniej widział posąg siedzący na masywnej granitowej podstawie.

Z tak wysoko położonego miejsca na przełęczy zobaczył, że skały po obu stronach wznoszącego się szlaku opadają stromo w dół. A oba wąwozy zamykały pionowe, wysokie na tysiące stóp ściany. Jeżeli gdzieś tam, w dole, odgałęziały się jeszcze inne szlaki, to wszystkie musiały się znów łączyć w jeden, prowadzący właśnie tędy. Ukształtowanie terenu nie pozostawiało wątpliwości, że to jedyny szlak wiodący przez tę część przełęczy.

Richard zdał sobie sprawę, że każdy, kto by się zbliżał do Bandakaru od tej strony, musiałby iść tą granią i z całą pewnością doszedłby do tego posągu.

Przebył końcowy odcinek pomiędzy dwa razy wyższymi od niego głazami i wreszcie ujrzał cały strzegący przełęczy posąg.

Bo istotnie strzegł on przełęczy. Był to strażnik.

Majestatyczna postać, usadowiona na obszernej kamiennej podstawie, czujnie pilnowała przełęczy. Strażnik w jednej ręce dzierzył obnażony miecz wsparty czubkiem o ziemię. Odziany był w skórzaną zbroję, peleryna spoczywała na jego kolanach. Czujna postawa nadawała mu stanowczy

wygląd. Nie było wątpliwości, że ta postać miała strzec tego, co się znajdowało dalej.

Stulecia zmiennej pogody naznaczyły kamienny posąg, lecz to nie umniejszyło siły jego wyrazu. Ową postać wyrzeźbiono i umieszczono tutaj z doniosłego powodu. Fakt, że tkwiła na zupełnym pustkowiu, na szczycie przełęczy, którą już nikt nie wędrował, przy szlaku najprawdopodobniej porzuconym zaraz po jej ustawieniu, czynił ją jeszcze bardziej frapującą w oczach Richarda.

Chłopak rzeźbił w kamieniu, więc dobrze wiedział, co w niej zawarto. Nie nazwałby tego mistrzowską robotą, lecz była wykonana z rozmachem i wyrazista. Nie mógł na nią patrzeć obojętnie.

- Na szczęście nie jest do ciebie podobny - odezwała się Kahlan.

Na szczęście tak było.

Ale niepokoiło to, że owa postać tkwiła tu samotnie chyba od tysięcy lat.

- Chciałbym wiedzieć - rzekł Richard - dlaczego ten drugi znak ostrzegawczy był tam na dole, w pieczarze, a nie tutaj.

Wymienili znaczące spojrzenie.

- Gdyby Jennsen nie zrobiła tego, co zrobiła, tobyś go nigdy nie znalazł - powiedziała Kahlan.

Richard okrążył podstawę rzeźby, choć sam nie wiedział, czego szuka. I niemal natychmiast zobaczył - na samym froncie podstawy, na szczycie jednego z ozdobnych wygięć - osobliwe puste miejsce w śniegu. Jakby kiedyś coś tam stało i zostało zabrane. To był jakiś trop.

Richardowi to puste miejsce wydało się znajome. Wyciągnął z plecaka znak ostrzegawczy i przyjrzał się dolnej części posąжка. Potwierdziły się jego przypuszczenia. Umieścił statuetkę na śniegu, nawianym na puste miejsce w podstawie posągu. Pasowała jak ulał.

Statuetka była tutaj, przy posągu.

- Jak, twoim zdaniem, dostała się do tamtej pieczary? - zapytała podejrzliwie Cara.

- Może spadła - wtrąciła się Jennsen. - Tu solidnie wieje. Może wiatr ją zwiął i stoczyła się w dół.

- I poturlała się przez las, nie uderzając o żadne drzewo - rzekł Richard - trafiła prosto w mały wlot tej wąskiej pieczary, a potem zaklinowała się bardzo blisko miejsca, w które ty się przez przypadek wcisnęłaś. Dodam, że

utknęłaś w okropnym miejscu, które zwykle nie budziło w tobie strachu.

Jennsen zamrugła ze zdumieniem.

- Rzeczywiście...

Richard stał na szczycie przełęczy, przed posągiem, dokładnie w miejscu, w którym niegdyś i teraz na powrót tkwiła statuetka będąca znakiem ostrzegawczym. Roztaczał się stąd widok na cały szlak do Bandakaru. Jeszcze nigdy nie widział tak olbrzymich gór jak te, które zasłaniały wszystko po obu stronach. Punkt, w którym usadowiono strażnika, górował nad podejściem do przełęczy znajdującym się między owymi niebotycznymi, ośnieżonymi szczytami. Weszli już tak wysoko, a ciągle jeszcze byli u podnóża tych gór.

Postać nie patrzyła wprost przed siebie, jak można by oczekiwać od strażnika, lecz nieco w prawo. Richard pomyślał, że to trochę dziwne. Zastanawiał się, czy miało to oznaczać, że strażnik ma baczenie na wszystko, na każde ewentualne zagrożenie.

Stojąc dokładnie przed posągiem, przed statuetką będącą znakiem ostrzegawczym, spojrział w prawo - tam gdzie patrzył strażnik.

Widział biegnącą pośród gór przełęcz. Dalej ciągnące się ku zachodowi niezmierzone lasy, a za nimi - niskie, jałowe góry, które pokonali.

I wyrwę w tych górach.

Wyrzeźbiony strażnik bacznie patrzył tam, gdzie teraz patrzył i Richard.

- Drogie duchy - wyszeptał chłopak.

- Co się stało? - spytała Kahlan. - Co zobaczyłeś?

- Filary Świata.

ROZDZIAŁ 35

Stojąca obok Richarda Kahlan spojrzała w dal, mrużąc oczy. Z tego miejsca u podstawy posągu mieli widok na wszystkie trasy od zachodu. Miała wrażenie, że widzi ogromną połąć ziemi. Jednak nie potrafiła wypatrzeć tego, co widział Richard.

- Nie mogę dostrzec Filarów Świata.

Nachylił się ku niej, wskazał punkt, w który patrzył.

- O, tam. To ciemniejsze obniżenie na rozległym płaskim terenie.

Richard miał bystrzejszy wzrok i lepiej niż ona widział to, co było w oddali. Dla Kahlan to wszystko było zamglone.

- Punkty orientacyjne wskażą ci, gdzie to jest. O, ten - wskazał w prawo, a potem nieco w lewo - i ten. Te odległe, ciemniejsze góry, trochę wyższe od innych, mają charakterystyczny kształt. To dobre punkty orientacyjne. Dzięki nim znajdziesz to, czego szukasz.

- Jak już mi je pokazałeś, to widzę okolice, z których tu przybyliśmy. Rozpoznaję te góry.

Zadziwiająca, jak wysoko się teraz znajdowali. Dopiero z tego punktu dawało się to ocenić. Kahlan widziała rozpościerające się daleko w dole, za łańcuchem nagich gór, jałowe pustkowia i chociaż nie dostrzegała szczegółów, udało się jej zauważyć ciemniejsze zagłębienie w dolinie będące owym straszliwym miejscem. Wiedziała, że ta ciemniejsza plama to Filary Świata.

- Owenie - zapytał Richard - jak daleko jest z tej przełęczy do twoich ludzi, tych, z którymi ukrywałeś się na wzgórzach?

Owen był wyraźnie zbity z tropu.

- Ależ, lordzie Rahlu, nigdy nie byłem w tej części przełęczy. Nigdy nie widziałem tego posągu. Nawet nie byłem w pobliżu. Nie umiałbym tego określić, to zupełnie niemożliwe.

- Wcale nie - stwierdził Richard. - Jeżeli znasz swoje rodzinne strony, powinieneś rozpoznać wskazujące ich położenie punkty orientacyjne. Dokładnie tak jak ja, patrząc ku zachodowi, rozpoznałem trasę, którą się tutaj dostaliśmy. Przyjrzyj się górom po drugiej stronie przełęczy i zastanów, czy coś poznajesz.

Owen, z niedowierzającą miną, obszedł posąg i spojrzął ku wschodowi. Przez jakiś czas stał na wietrze i wpatrywał się w dal. Wskazał odległą górę za przełęczą.

- Chyba znam to miejsce. - W jego głosie zabrzmiało zdziwienie. - Rozpoznaję kształt tej góry. Stąd wygląda trochę inaczej, ale uważam, że to znana mi okolica. - Osłonił oczy od wiatru, patrzył ku wschodowi. Znów na coś wskazał. - I to! To miejsce też znam! - Pospieszył ku Richardowi. - Miałeś rację, lordzie Rahlu. Rozpoznaję znajome miejsca. - Znów zapatrzył się w dal i wyszeptał do siebie: - Mogę rozpoznać rodzinne strony, chociaż nigdy tu nie byłem. Wystarczy, że widzę znajome miejsca.

Kahlan jeszcze nigdy nie widziała, żeby tak zwyczajna rzecz kogoś aż tak zdumiała.

- No to - ponaglił go w końcu Richard - jak daleko jest stąd do twoich ludzi?

Owen obejrzał się przez ramię.

- Tamtą kotliną, potem obok stoku wcinającego się z prawej... - Ponownie spojrzął na Richarda. - Kryliśmy się na terenach w pobliżu niegdysiejszej granicy chroniącej nasze imperium. Tam gdzie nikt się nie zapuszcza, bo grasuje tam śmierć: w pobliżu przełęcz. Chyba o jakiś dzień marszu stąd. - Nagle się zawahał. - Ale może źle robię, ufając temu, co widzą moje oczy. Może po prostu widzę to, co mi podsuwa umysł. Może to nie jest realne.

Richard skrzyżował ramiona, oparł się o granitową podstawę posągu i zapatrzył ku Filarom Śmierci, ignorując powątpiewania Owena. Kahlan wiedziała, że rozważa wszelkie możliwości.

Stała obok niego i właśnie też miała się oprzeć o kamienną podstawę posągu, ale najpierw postanowiła omieść śnieg w pobliżu znaku ostrzegawczego. Zgarnęła trochę śniegu i zobaczyła, że na ozdobnej listwie wyryte są jakieś słowa.

- Richardzie... spójrz na to.

Odwrócił się ku niej i zaczął pospiesznie zgarniać resztę śniegu. Pozostali stłoczyli się wokół, usiłując dojrzeć, jaki napis wyryto w kamieniu. Cara, stojąca po drugiej stronie Richarda, przesunęła dłonią po listwie, oczyszczając ją ze śniegu.

Kahlan nie potrafiła tego odczytać. Nie знаła tego języka, lecz zdawało się jej, że widziała już napisy w nim.

- Górnod'harański? - spytała Mord-Sith.

Richard przytaknął, wpatrując się w napis.

- To musi być bardzo stary dialekt - rzekł na poły do siebie, wpatrując się w słowa i próbując je zrozumieć. - I to nie tylko jakiś dawny dialekt, ale taki, którego nie znam. Może dlatego, że posługiwano się nim w tak odległej krainie.

- A co tu jest napisane? - dopytywała się Jennsen, wyglądając spomiędzy niego i Kahlan. - Potrafisz to przetłumaczyć?

- Trudno sobie z tym poradzić - mruknął Richard. Jedną dłonią odgarnął w tył włosy, drugą lekko dotykał liter.

W końcu się wyprostował i spojrzał na Owena. Bandakarczyk stał z boku i się przypatrywał. Potem jeszcze raz popatrzył na napis. Wszyscy czekali.

- Nie jestem do końca pewny - rzekł wreszcie. - Styl jest osobliwy... - Spojrzał na Kahlan. - Nie mogę mieć pewności. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z podobnymi tekstami w górnod'harańskim. Wydaje mi się, że powinienem to rozumieć, a nie bardzo mogę się w tym połapać.

Kahlan nie wiedziała, czy on naprawdę nie jest do końca pewien, co znaczy ów napis, czy tylko nie chce o tym mówić przy wszystkich.

- Może wszystko się wyjaśni, jeśli się przez chwilę nad tym spokojnie zastanowisz - zaproponowała, umożliwiając mu odsunięcie na jakiś czas tłumaczenia, gdyby tego sobie życzył.

Richard nie skorzystał z tej możliwości. Postukał palcem w słowa umieszczone po lewej stronie znaku ostrzegawczego.

- Ten fragment tekstu jest dość jasny. Brzmi mniej więcej tak: „Lękaj się naruszyć pieczęć na imperium, albowiem za...” - Przesunął dłonią po wargach, zastanawiając się nad resztą tekstu. - Nie jestem pewien, czy dalej dobrze rozumiem - rzekł wreszcie. - Tam chyba napisano: „albowiem za nią jest zło: ci, którzy nie są zdolni widzieć”.

- No jasne - mruknęła gniewnie Jennsen.

Richard przeczesał palcami włosy.

- Wcale nie jestem pewien, czy dobrze to zrozumiałem. Wciąż czegoś mi w tym brakuje. Nie wiem, czy dobrze to przetłumaczyłem.

- Doskonale to przetłumaczyłeś - odezwała się Jennsen. - Ci, którzy nie są w stanie zobaczyć magii. Ten napis zostawili mający magiczny dar, którzy odgradzili tych ludzi od reszty świata, bo się urodzili ze skazą. - Płonące oczy

wypełniły się łzami. - „Lękaj się naruszyć pieczęć na imperium, albowiem za nią jest zło: ci, którzy nie są zdolni widzieć magii”. To właśnie chcieli powiedzieć: ci, którzy nie są zdolni widzieć magii.

Nikt nie zaprzeczył. Słysząc było jedynie szum wiatru.

- Wcale nie jestem tego pewien, Jenn - powiedział cicho Richard.

Skrzyżowała ramiona i odwróciła się, patrząc gniewnie ku Filarom Świata.

Kahlan rozumiała, co dziewczyna teraz czuje. Dobrze wiedziała, jak to jest, kiedy unikają cię wszyscy poza podobnymi tobie. Wielu ludzi uważało Spowiedniczki za monstra. Była przekonana, że większość - gdyby to tylko było możliwe - z radością odizolowałyby ją za to tylko, że jest Spowiedniczką. Ale chociaż rozumiała odczucia Jennsen, wcale nie znaczyło to, że jej zdaniem młoda kobieta ma rację. Gniew Jennsen na tych, którzy wypędzili owych ludzi, był usprawiedliwiony. Nie był jednak słuszny gniew na Richarda i resztę kompanii za to, że - podobnie jak tamci - mają w sobie iskierkę daru.

Richard zajął się Owenem.

- Ilu ludzi czeka na wzgórzach na twój powrót?

- Mniej niż setka.

Chłopak westchnął rozczarowany.

- No cóż, masz, ilu masz. Potem musimy skrzyknąć więcej. Chcę, żebyś po nich poszedł. Przyprowadź ich tutaj, do mnie. Poczekamy tu na was. To będzie nasza baza, tu będziemy pracować nad wypędzeniem Ładu z Bandakaru. Wśród tamtych drzew rozbijemy obóz, dobrze nas ochronią.

Owen spojrzał na pochyłość wskazywaną przez Richarda, a potem ku rodzinnym stronom. I znów - zachmurzony i zdezorientowany - popatrzył na chłopaka.

- Ależ, lordzie Rahlu, to ty musisz nam dać wolność. Dlaczego nie pójdziesz ze mną, skoro chcesz ich zobaczyć?

- Bo uważam, że tutaj jest bezpieczniej niż tam, gdzie się ukrywają. Ład prawdopodobnie zna ich kryjówkę.

- Ład nie wie ani o tym, że jacyś ludzie się ukrywają, ani tym bardziej o tym, gdzie się kryją.

- Łudźcie się. Żołnierze Ładu są okrutni, ale nie są głupcami.

- Jeżeli naprawdę wiedzą, gdzie się ukrywają, to czemu się po nich nie

zjawili?

- Zrobią to - rzekł Richard. - Zrobią, kiedy im to będzie odpowiadać. Twoi ludzie nie stanowią żadnego zagrożenia, więc Ład nie musi się spieszyć z ich wyłapaniem. Ale wcześniej czy później to zrobią, bo sobie nie życzą, by ktokolwiek myślał, że może uciec spod władzy Ładu. Chcę, żeby ludzie opuścili tamte strony i przybyli tutaj, gdzie jeszcze nie byli. Chcę, żeby Ład sądził, że odeszli, uciekli. Wtedy nie wyślą pościgu.

Owen to sobie przemyślał.

- Chyba tak będzie dobrze - orzekł.

Tom stał u końca podstawy pomnika; pozwolił Jennsen pobyć samej. Była zła, a on najwyraźniej uważał, że należy dać jej spokój. I czuł się winny, że urodził się z iskierką daru pozwalającą mu postrzegać magię. Tą samą iskierką, którą mieli odpowiedzialni za wygnanie ludzi podobnych do Jennsen.

- Tomie - odezwał się Richard - chcę, żebyś poszedł z Owenem.

Jennsen pozwoliła opaść rękoma, spojrzała na Richarda.

- Dlaczego chcesz, żeby on też poszedł? - Nagle sprawiała wrażenie o wiele mniej rozzłoszczonej.

- Właśnie - wtrącił się Owen. - Czemu też ma iść?

- Bo chcę mieć pewność - odparł chłopak - że ty i twoi ludzie wróćcie tutaj. Potrzebna mi odtrutka, pamiętasz? Im więcej będę miał przy sobie ludzi, którzy wiedzą, gdzie ona jest, tym lepiej. Chcę, żeby Ład im nie zagrażał. Tom, jasnowłosa i niebieskooki, nie będzie się wyróżniał wśród twoich ziomków. Jeżeli natkniecie się na jakichś żołnierzy Ładu, pomyślą, że to jeden z was. Tom dopilnuje, żebyście tu wrócili.

- Ale to może być niebezpieczne - sprzeciwiła się Jennsen.

Richard spojrzał na nią twardo. Nic nie mówił. Czekał, chcąc się przekonać, czy ona ośmieli się na dalsze protesty.

W końcu odwróciła wzrok.

- Chyba rzeczywiście tak trzeba - przyznała.

Richard znów przeniósł wzrok na Toma.

- Chcę, żebyś się zorientował, czy dasz radę zdobyć jakieś zaopatrzenie. I chciałbym, jeśli można, korzystać z twojego toporka, kiedy cię nie będzie.

Tom skinął głową i wyjął toporek z plecaka. Richard podszedł, żeby go wziąć, i zaczął wyliczać wszystko, za czym Tom się miał rozejrzeć: konkretne

narzędzia, drewno cisowe, klej do skóry, szpagat, skórę i jeszcze wiele rzeczy, ale tego Kahlan już nie dosłyszała. Tom wsunął kciuki za skórzany pas.

- W porządku. Wątpię, czy wszystko od razu znajdę. Chcesz, żebym się za tym rozejrzył, nim wrócę?

- Nie. Potrzebne mi to wszystko, ale bardziej potrzebuję tu tych ludzi. Weź to, co będzie pod ręką, i wracaj tu z Owenem i jego ludźmi najszybciej jak to możliwe.

- Zdobę, co się da. Kiedy mamy wyruszyć?

- Od razu. Nie ma chwili do stracenia.

- Teraz? - zdumiał się Bandakarczyk. - Przecież za godzinę lub dwie będzie ciemno.

- I właśnie tych paru godzin mogę potrzebować - rzekł Richard. - Nie marnuj ich.

Kahlan pomyślała, że może chodziło mu o truciznę, ale równie dobrze mógł mieć na myśli dar. Wiedziała, jak cierpi przez bóle głowy wywoływane przez dar. Tak chciała go przytulić, pocieszyć, uzdrowić, ale nie mogła, niestety, go od tego wybawić. Musieli znaleźć jakieś rozwiązanie. Spojrzała na małą rzeźbę Richarda stojącą na podstawie posągu. Połowa figurki była tak mroczna jak nocny kamień, tak czarna i martwa jak najgłębsza część zaświatów.

Tom zarzucił plecak na ramię.

- Opiekuj się nimi, Caro, dobrze? - Mrugnął do Mord-Sith, a ona uśmiechnęła się na znak zgody. - No, to do zobaczenia za parę dni. - Pomachał im jeszcze, nie odrywając oczu od Jennsen, a potem poprowadził Owena obok posągu ku jego rodzinnym stronom.

Cara skrzyżowała ramiona i spojrzała z góry na Jennsen.

- Będziesz kompletnym głuptasem, jeżeli go nie pocałujesz na pożegnanie.

Dziewczyna się wahała. Spojrzała na Richarda.

- Nauczyłem się już, że z Carą nie ma co się sprzeczać.

Jennsen się uśmiechnęła i pobiegła za grzbiet przełęczy, żeby dogonić Toma, zanim odejdzie za daleko. Betty, uwiązana na długim sznurku, Potruchtała za nią.

Richard schował do plecaka wyobrażającą go rzeźbę i podniósł łuk, który

wcześniej oparł o wielki posąg.

- Zejdźmy pomiędzy drzewa i rozbijmy obóz - powiedział.

Richard, Kahlan i Cara ruszyli w dół stokiem ku bezpiecznemu schronieniu pośród wielkich sosen. Kahlan uważała, że i tak za długo byli na otwartej przestrzeni. Lada chwila mogły się pojawić szukające ich chyzoloty - szukający ich Nicholas.

Choć na tej wysokości było bardzo zimno, Kahlan zdawała sobie sprawę, że lepiej nie rozpalać ogniska; chyzoloty mogłyby dostrzec dym i odszukać ich. Musieli zbudować ciepłe i przytulne schronienie. Bardzo by chciała, żeby się im udało znaleźć sosnę-strażniczkę i schronić się na noc pod jej konarami, ale w Starym Świecie nie widziała ani jednej takiej, a życzenia nie sprawią, że wyrosnie. Stąpała ostrożnie po odsłoniętych kawałkach skały, omijając śnieg, żeby nie zostawiać śladów, i popatrywała na ciemne chmury. Zawsze było możliwe, że się choć trochę ociepli i że śnieg zamieni się w deszcz. Ale i tak będzie to przeraźliwie zimna noc.

Pojawiła się Jennsen z Betty i dołączyła do nich, kiedy schodzili zakosami stromą pochyłością. Wiatr stawał się coraz zimniejszy, śnieg gęstniał.

Gdy wreszcie dotarli do w miarę płaskiego miejsca, Jennsen chwyciła Richarda za ramię.

- Przepraszam, Richardzie. Nie chciałam się na ciebie złościć. Wiem, że to nie ty wypędziłeś tych ludzi. Wiem, że to nie twoja wina. - Zwinęła luźny sznurek, zostawiając Betty mniej swobody. - Po prostu jestem zła, że ich tak potraktowano. Jestem taka jak oni i dlatego tak mnie to złości.

- Możesz być zła o to, jak ich potraktowano - rzekł Richard, ruszając z miejsca - ale nie o to, że masz tę samą cechę co oni.

Jennsen zamarła, zdumiona i nawet trochę dotknięta jego słowami.

- Co masz na myśli?

Richard przystanął i obrócił się ku niej.

- Tak rozumuje Imperialny Ład. I ziomkowie Owena. W ten sposób przypisuje się prestiż lub obarcza winą wszystkich mających jakąś wybraną cechę lub atrybut. Imperialny Ład życzyłby sobie, byś wierzyła, że o twoich zaletach, twoich największych walorach oraz o twojej niegodziwości decyduje wyłącznie to, że z urodzenia należysz do takiej, a nie innej grupy. Że wolna wola nie istnieje lub nie ma na to wpływu. Chcą, byś wierzyła, że poszczególni ludzie to nic więcej jak wymienne elementy grup, mające stałe,

z góry określone cechy. Że ich przeznaczeniem jest utożsamiać się ze zbiorowością, poddawać jej woli. Że nie są w stanie nic osiągnąć dzięki własnym zasługom, albowiem nie ma czegoś takiego jak indywidualne zasługi: istnieją jedynie walory zbiorowości. Uważają, że ludzie jedynie wtedy mogą się wznieść ponad przypisaną im pozycję, kiedy zostaną wyznaczeni do przyjęcia nagrody, bo ich grupa zasłużyła sobie na łaskawość i należało wybrać reprezentanta, któremu się przyzna atrybuty wyższej wartości. Według nich tylko odblask takiej nagrody może dać reszcie grupy poczucie wyższej wartości. Ale obdarzeni takimi atrybutami żyją z niemiłą świadomością, że to jedynie pozorne osiągnięcie. Nie można oszukiwać samego siebie, więc nigdy tak naprawdę nie czują się więcej warci. I w końcu całe to oszustwo, ta fikcyjna, nadana odgórnie estyma łączona z przynależnością do grupy, musi być narzucane siłą. Ład niezłomnie wierzy w niedoskonałość człowieka i stąd to deprecjonowanie ludzkości, potępienie wszystkiego, co ludzkie. Kiedy czynisz mnie obiektem swojego gniewu, bo mam tę samą cechę co inni, uznajesz mnie za winnego ich zbrodni. Tak właśnie się dzieje, kiedy ludzie mówią, że jestem potworem, bo nasz ojciec był potworem. Jeżeli kogoś podziwiasz tylko dlatego, że twoim zdaniem jego grupa na to zasługuje, kierujesz się tymi samymi fałszywymi zasadami. Imperialny Ład głosi, że żaden człowiek nie ma prawa dochodzić do czegoś własnymi siłami, nie ma prawa robić tego, czego inni zrobić nie mogą. I że właśnie dlatego należy wypłenić magię. Twierdzą, że wszelkie osiągnięcia są niemoralne, ponieważ biorą się z grzesznego dążenia do własnej korzyści, i że dlatego ich owoce są skażone tym złem. Opierając się na takich założeniach, uczą, że każdy zysk należy poświęcić na rzecz tych, którzy go nie osiągnęli. Że tylko taka ofiara zmaże zło. My natomiast uważamy, że twoje życie jest wartością samą w sobie, że to, co osiągniesz, jest twoje. Jedynie od ciebie zależy, czy do czegoś dojdiesz, czy będziesz szanować siebie. Jeżeli ktokolwiek ci to zaoferuje lub zażąda, byś to na niego scedowała, będzie to oznaczało, że chce cię zmienić w niewolnicę.

Jennsen długo się w niego wpatrywała. A potem wreszcie się uśmiechnęła.

- Więc to dlatego zawsze chciałam, żeby mnie akceptowano taką, jaka jestem? I dlatego zawsze uważałam, że to niesprawiedliwe, że się mnie prześladowało za to, jaka się urodziłam?

- Właśnie - odparł Richard. - Jeżeli chcesz być dumna ze swoich osiągnięć, nie pozwól, żeby cię przypisano do jakiejś grupy, i sama też nie rób tego innym. Oceniaj ich według osobistych zasług. A to oznacza, że ani nie powinno się mnie nienawidzić dlatego, że mój ojciec był złym człowiekiem, ani nie powinno się mnie podziwiać dlatego, że mój dziadek jest dobry. Mam prawo żyć po swojemu, na własny rachunek. Ty zaś jesteś Jennsen Rahl i twoje życie będzie takie, jakim je uczynisz.

Resztę trasy w dół stoku pokonali w milczeniu. Jennsen wciąż miała nieobecny minę, bo rozmyślała nad tym, co usłyszała od Richarda.

Wreszcie dotarli do drzew i Kahlan z ulgą weszła pod konary wiekowych sosen, a jeszcze bardziej się ucieszyła, kiedy zaczęły ich chronić niższe i gęściej rosnące drzewa balsamowe. Przecisnęli się przez gąszcz, w zaciszną samotnię pośród olbrzymich pni, i dalej w dół stoku, tam gdzie skalny występ oferował osłonę przed niepogodą. W takim miejscu łatwiej będzie zbudować schronienie, opierając gałęzie o skalną półkę. Będzie im też cieplej.

Richard wyciął siekierką Toma trochę mocnych palików z młodych sosen i wsparł je o skalną ścianę. Potem wiązał je razem sosnowymi korzeniami wyrwanymi z porośniętej mchem ziemi, Kahlan, Jennsen i Cara zaś zbierały gałęzie na postanie i pokrycie schronienia.

- Richardzie - spytała Jennsen, wlokąc naręczę gałęzi balsamowca w pobliże schronienia - jak zamierzasz przepędzić Imperialny Ład z Bandakaru?

Chłopak położył ciężką gałąź wysoko na palikach i przywiązał ją sosnowym korzeniem.

- Nie mam pojęcia. Przede wszystkim chcę dostać antidotum.

Jennsen się trochę zdziwiła.

- Nie zamierzasz pomóc tym ludziom?

Obejrzał się na nią przez ramię.

- Podali mi truciznę. Bez względu na to, jak to upiększysz, postanowili mnie zamordować, jeżeli nie spełnię ich żądań, jeżeli nie wykonam za nich brudnej roboty. Uważają, że stoją wyżej od nas, że jesteśmy dzikusami. Nie należymy do ich społeczności, więc uważają, że nasze życie nie jest zbyt wiele warte. Przede wszystkim muszę ratować własne życie, muszę zdobyć antidotum.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Jennsen podała mu kolejną gałąź drzewa balsamowego. - Ale dalej uważam, że jeżeli zlikwidujemy tutaj Ład i tego Nicholasa, to pomożemy też sobie.

Richard się uśmiechnął.

- Z tym się zgadzam i na pewno zrobimy, co się da. Ale żeby naprawdę im pomóc, muszę przekonać Owena i jego ludzi, że muszą pomóc sami sobie.

Cara parsknęła szyderczym śmieszkiem.

- To będzie znakomite: przemienić owieczki w wilki!

Kahlan się z nią zgadzała. Uważała, iż trudniej będzie przekonać Owena i jego ludzi, że się mają bronić sami, niż przepędzić Ład z Bandakaru siłami ich pięciorga. Ciekawa była, co zamyśla Richard.

- Skoro już wszyscy w tym siedzimy - odezwała się Jennsen - skoro wszyscy mamy się zmierzyć z Ładem w Bandakarze, to czy nie sądzisz, że mam prawo wszystkiego się dowiedzieć? Że mam prawo wiedzieć, czemu wy dwoje tak się na siebie gapicie i o czym tak szepczecie?

Richard chwilę się w nią wpatrywał, a potem spojrzał na Kahlan.

Kahlan położyła obok schronienia swoje naręcze gałęzi.

- Uważam, że ona ma rację.

Richardowi wcale się to nie spodobało, ale w końcu skinął głową i odłożył gałąź balsamowca.

- Prawie dwa lata temu Jagangowi udało się wykorzystać magię do wywołania zarazy. Sama zaraza była po prostu chorobą, nie miała w sobie nic magicznego. Rozprzestrzeniała się w miastach, zabijając dziesiątki tysięcy ludzi. Kataklizm zapoczątkowała magia, więc i ja znalazłem magiczny sposób powstrzymania go.

Kahlan nie wierzyła, że taki koszmar można zawrzeć w tak zwyczajnych zdaniach i choć po części oddać nimi okropności, jakie przeżyli. Jednak po minie Jennsen poznała, że ta przynajmniej trochę rozumie, co się wówczas działo.

- Żeby Richard mógł wrócić z miejsca, do którego się udał, by położyć kres zarazie, musiał sam zachorować. Gdyby się nie zaraził, do końca swoich dni żyłby samotnie i umarł w samotności, nie zobaczywszy ani mnie, ani nikogo innego. Więc wchłonął w siebie zarazę, żeby móc wrócić i powiedzieć mi, że mnie kocha.

Jennsen patrzyła na nią wielkimi oczami.

- To nie wiedziałaś, że cię kocha?

Kahlan uśmiechnęła się z goryczą.

- Myślisz, że twoja matka nie wróciłaby ze świata umarłych, by ci powiedzieć, że cię kocha, chociaż wiesz o tym?

- Tak, pewnie by wróciła. Ale czemu musiałeś się zarazić, żeby wrócić? I skąd wrócić?

- Z miejsca zwanego Świątynią Wichrów, po części mieszczącego się w zaświatach. - Richard wskazał ku przełęczu. - Tak jak granica była częścią świata zmarłych, chociaż była też tu, w naszym świecie. Można by rzec, że ze Świątynią Wichrów było podobnie. Skrywała się w zaświatach. Ponieważ musiałem przekroczyć swego rodzaju granicę, duchy zażądały ode mnie czegoś za powrót do świata istot żywych.

- Duchy? Widziałeś tam duchy? - spytała Jennsen, a kiedy Richard przytaknął, zapytała: - Czemu miałyby żądać takiej ceny?

- Takiej zapłaty za mój powrót zażądał duch Rahla Posępnego.

Jennsen aż rozdziawiła usta.

- Kiedy znalazłyśmy lorda Rahla - wtrąciła Cara - ledwo żył. Matka Spowiedniczka udała się w niebezpieczną podróż przez sylfę, sama jedna, żeby się dowiedzieć, jak go wyleczyć. Wróciła z remedium, ale lordowi Rahlowi zostały już ostatnie chwile życia.

- Wykorzystałam magię, którą znalazłam - powiedziała Kahlan. - To, co miało moc odwrócenia od niego wywołanej magią zarazy. Wezwałam do tego trzy demony.

- Trzy demony? - spytała Jennsen. - Co to takiego?

- Demony to magia zaświatów. Wezwanie ich na pomoc chroni osobę przed odejściem w zaświaty. Na nieszczęście, a może na szczęście, nie wiedziałam wtedy o tych demonach nic więcej. Okazało się, że stworzono je podczas wielkiej wojny, żeby położyć kres magii. Te trzy demony to swego rodzaju istoty, lecz pozbawione duszy. Pochodzą z zaświatów. Na tym świecie niszczą magię.

Jennsen była trochę dezorientowana.

- Ale jak mogą robić coś takiego?

- Nie wiem, na czym dokładnie polega ich działanie. Jednak ich obecność na naszym świecie, skoro należą do świata umarłych, zapoczątkowuje niszczenie magii.

- Nie możesz się ich pozbyć? Nie możesz znaleźć sposobu, żeby je przepędzić?

- Już to zrobiłem - odparł Richard. - Ale dopóki były na naszym świecie, magia słabła.

- Wszystko wskazuje na to - odezwała się Kahlan - że przywołując demony, zapoczątkowałam ciąg wydarzeń, który będzie nadal, choć demony zostały wypędzone do zaświatów.

- Tego nie wiemy - rzekł Richard bardziej do Kahlan niż do Jennsen.

- Richard ma rację - powiedziała Kahlan. - Nie mamy co do tego pewności, ale mamy powody podejrzewać, że tak właśnie jest. Zniknęła granica odcinająca Bandakar. Wszystko wskazuje na to, że stało się to wkrótce po tym, jak uwolniłam demony. To jedna z tych pomyłek, o których ci wcześniej opowiadałam. Pamiętasz?

Wpatrzona w nią Jennsen w końcu skinęła głową.

- Ale nie zrobiłaś tego, żeby skrzywdzić ludzi. Nie wiedziałaś, co się stanie. Nie wiedziałaś, że ta granica zniknie, że zjawi się tu Ład i będzie ich gnębił.

- To w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, nieprawdaż? Ja to zrobiłam. Ja to spowodowałam. To przeze mnie zanika magia. Dokonałam tego, nad czym tak się trzyma Ład. Przez to, co zrobiłam, zginęli ci wszyscy mieszkańcy Bandakaru, a inni rozproszyli się po świecie, by znów robić to co w pradawnych czasach. Będą się mnożyć, wypierając magię. Przeze mnie, przez mój czyn, znaleźliśmy się u kresu czasów magii.

Jennsen zastygła w bezruchu.

- Więc żałujesz, że to zrobiłaś? Że zrobiłaś coś, co może doprowadzić do zniknięcia magii?

Kahlan poczuła, jak ramię Richarda otacza jej kibić.

- Znam jedynie świat, w którym magia istnieje - powiedziała w końcu. - Zostałam Matką Spowiedniczką także po to, by chronić ludzi z magicznym darem, którzy sami nie potrafią się ochronić. Sama jestem magiczną istotą: mój dar jest nierozdzielnie ze mną związany. Znam wspaniałe przejawy magii, które kocham, które są częścią świata żywych.

- Czyli obawiasz się, że być może spowodowałaś kres tego, co najbardziej kochasz.

- Nie najbardziej kocham. - Kahlan się uśmiechnęła. - Zostałam Matką

Spowiedniczką, bo wierzę w prawa chroniące wszystkich ludzi, pozwalające każdemu decydować o własnym życiu. Nie chciałabym, żeby artysta utracił talent rzeźbienia, żeby zamilkł głos śpiewaka, żeby komuś odebrano umiejętność myślenia. Nie chciałabym również, żeby odebrano ludziom możliwość dokonania tego, na co im pozwalają ich magiczne uzdolnienia. Magia sama w sobie nie jest najważniejsza, nie o nią tu chodzi. Chcę, żeby miały szansę rozkwitnąć wszystkie kwiaty, w całej swojej różnorodności. I ty jesteś wspaniała, Jennsen. I ciebie nie chciałabym stracić. Każdy ma prawo do życia. Obca jest nam myśl, że należy wybierać, przedkładać jednych ponad drugich.

Jennsen się uśmiechnęła. Dłoń Kahlan dotknęła jej policzka.

- W świecie pozbawionym magii pewnie mogłabym zostać królową.

- I królowe muszą się kłaniać Matce Spowiednicze - odezwała się Cara, nadchodząc z gałęziami drzew balsamowych. - Nie zapominaj o tym.

ROZDZIAŁ 36

Wiekko skrzyni nagle się uniosło i blask zalał wnętrze. Zardzewiałe zawiasy skrzypiały przeraźliwie. Zedd zmrużył oczy w oślepiającym świetle dnia. Muskularne łapy odrzuciły pokrywę. Gdyby łańcuch okalający jego szyję miał choć trochę luzu, Zedd podskoczyłby, kiedy ciężkie wieko z łoskotem runęło do tyłu, obsypując go kurzeni i drobinami rdzy. Mało co widział, oślepiiony jaskrawym światłem i wirującym w powietrzu pyłem. Rozglądania się nie ułatwiała mu też to, że krótki łańcuch przymocowany był do środka dna skrzyni i ledwie pozwalał unieść głowę. Ramiona miał czarodziej skute za plecami, więc mógł jedynie leżeć.

I chociaż musiał tak leżeć na boku, z szyją tuż przy żelaznym bolcu, teraz przynajmniej mógł odetchnąć strumieniem chłodniejszego powietrza. W skrzyni panowała przeraźliwa duchota. Czasami, kiedy zatrzymywano się na noc, dostawał kubek wody. O wiele za mało. Oboje z Adie dostawali bardzo mało strawy, ale Zeddowi bardziej brakowało wody niż jedzenia. Miał wrażenie, że zaraz umrze z pragnienia. Mógł myśleć jedynie o wodzie.

Już sam nie wiedział, ile dni przykuty był łańcuchem do dna skrzyni, i dziwiło go, że wciąż jeszcze żyje. Skrzynią miotało po wozie w trakcie tej długiej, wyboistej, ale szybkiej podróży. Mógł się jedynie domyślać, że wiozą go do imperatora Jaganga. Był też pewny, że pożałuje, jeżeli dożyje końca tej wyprawy.

Zdarzały się i takie chwile, kiedy oczekiwał, że straci przytomność w tej dusznej skrzyni i umrze. Chwile, kiedy tęsknił za śmiercią. Był przekonany, że zapadnięcie w ostateczny sen byłoby lepsze od tego, co go czekało. Jednak nie miał wyboru: Siostra kontrolowała go za pośrednictwem Rada'Han, więc nie mógł się zadusić łańcuchem, a poza tym przekonał się, że wcale nie tak łatwo wymusić na sobie śmierć.

Zedd - z głową utrzymywaną przez łańcuch przy dnie skrzyni - spróbował zerknąć w górę, lecz dostrzegł jedynie niebo. Usłyszał, jak z hukiem otwierają drugie wieko. Zakaszłał, bo napłynęła ku niemu druga chmura pyłu. Gdy usłyszał kaszel Adie, sam nie wiedział, czy poczuł ulgę, że i ona nadal żyje, czy pożałował tego, wiedząc, co ich czeka.

Zedd był przygotowany do tortur, którym go tu bez wątpienia poddadzą.

Był czarodziejem i przeszedł próby bólu. Bał się takich mąk, ale wytrzyma je, dopóki mu nie odbiorą życia. Uważał, że to za długo nie potrwa, skoro jest taki osłabiony. Można by rzec, że wróciła stara znajoma, tortura, żeby go dręczyć.

Za to mąk Adie obawiał się bardziej niż własnych. Torturowanie innych budziło w nim odrazę. Z przykrością myślał o tym, że będą ją torturować.

Wóz się zatrząsł, kiedy opadła przednia ścianka drugiej skrzyni. Adie krzyknęła, gdy żołdak ją uderzył.

- Rusz się, głupia, stara babo, żebym się dostał do zamka.

Zedd słyszał, jak buty Adie skrobą po drewnie, kiedy - z rękami związanymi na plecach - usiłowała wykonać polecenie. Ale odgłosy uderzeń pięścią świadczyły, że typ nie był zadowolony z jej wysiłków. Czarodziej zamknął oczy, żałując, że nie może zamknąć też uszu.

Z łomotem odskoczyła przednia ścianka skrzyni Zedda, wpuszczając więcej światła i kurzu. Padł na niego cień zbliżającego się żołnierza. Nie widział go, bo łańcuch nie pozwalał mu oderwać twarzy od dna. Wsunęła się wielka łapa, wpasowując klucz w zamek. Zedd odchylił głowę w tył ile tylko zdołał, żeby mężczyzna mógł swobodnie wykonać swoją robotę. Został za to nagrodzony potężnym ciosem w bok głowy. Aż mu zadzwoniło w uszach.

Zamek wreszcie puścił. Wielka ręka chwyciła Zedda za włosy i - niczym worek zboża - wyciągnęła ze skrzyni, a następnie powlokła ku tyłowi wozu. Czarodziej zaciskał usta, żeby nie krzyczeć, kiedy podskakiwał, uderzając o sterczące z dna wozu drewniane prowadnice. W końcu znalazł się w tyle platformy i zrzucano go na ziemię.

Dzwoniło mu w uszach, kręciło się w głowie. Usiłował usiąść, kiedy dostał kopniaka i pojął, że to rozkaz. Wypluł ziemię. Ręce miał związane na plecach, więc nie bardzo mógł wypełnić polecenie. Po kolejnych trzech kopniakach wielki żołnierz złapał go za włosy i posadził.

Czarodziejowi zamarło serce, kiedy się przekonał, że siedzi pośród zdumiewająco licznej armii. Ciemne ludzkie mrowie rozlewało się, jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem. A więc wreszcie dotarli.

Kątem oka dostrzegł Adie - siedziała obok niego ze zwieszoną głową. Na policzku miała siniaka. Padł na nią czyjś cień, ale nie podniosła wzroku.

Przed nimi zjawiała się kobieta w długiej burej spódnicy, przerywając Zeddowi szacowanie sił wroga. Rozpoznał ten brązowy wełniany strój. To

była ta sama Siostra Mroku, która założyła im obroże. Nie znał jej imienia, bo nigdy go nie wymieniła. Prawdę mówiąc, nie odezwała się do nich od chwili, kiedy zostali przykuci łańcuchami w skrzyniach. Stała teraz nad nimi niczym surowa guwernantka niepoprawnych dzieci.

Pierścień w dolnej wardze - symbol niewolnictwa - nieodwołalnie podważał jej autorytet w oczach czarodzieja.

Ziemia była pokryta końskim łajnem, przeważnie starym już i wyschniętym. Za Siostrą, wśród żołnierzy, stały bez ładu i składu uwiązane konie. Te, które wyglądały na konie jazdy, były dobrze utrzymane. Te robocze - wprost przeciwnie. Pośród ludzi i koni stały wozy i leżały sterty najrozmaitszych zapasów.

Nad wszystkim unosił się smród płytkich latryn, koni, łajna i stłoczonych ludzi będących na bakier z higieną. Zedd zamrugał, kiedy owiał go i podrażnił mu oczy gryzący dym jednego z tysięcy ognisk.

Roilo się od moskitów, komarów i much. Muchy były najgorsze. Ukłucia moskitów będą swędzieć później, lecz ślady po ukłuciu much piekły natychmiast. Zedd miał ręce związane na plecach, więc mógł jedynie potrząsać głową, starając się odpędzić dokuczliwe owady od oczu i nosa.

Dwaj żołdacy, którzy wyciągnęli Zedda i Adie ze skrzyń, stali cierpliwie po bokach. Za Siostrą, jak okiem sięgnąć, rozciągał się obóz. Wszędzie było pełno żołnierzy - pracowali, odpoczywali, zabawiali się. Odzież mieli najrozmaitszą: skórzane zbroje, kolczugi, nabijane ćwiekami pasy, brudne bluzy, spodnie zmieniające się w łachmany. Większość z nich była nie ogolona, wszyscy zaś równie brudni jak zdziczali samotnicy żyjący w obłądnym osamotnieniu. Nad obozowiskiem nieustannie niosły się wrzaski, gwizdy, przekleństwa, śmiechy, szcęk i brzękanie metalu, uderzenia młotków, odgłosy piłowania. Niekiedy ponad ów hałas wzbijał się krzyk straszliwego bólu.

Faliste podgórze niebotycznych wschodnich gór pokrywały, niczym liście po przejściu wichury, tysiące najrozmaitszych namiotów. Wiele z nich udekorowano łupami: kraciaste bawełniane zasłonki zawieszono w wejściach, przed namiotem ustawiono stół lub krzeselko, tu i ówdzie, jak flaga zdobywcy, powiewał kobiecy fatałaszek. Wozy, konie, ekwipunek rozmieszczono zupełnie chaotycznie. Ciągły ruch panujący w tym pozbawionym jakiegokolwiek ładu pseudomieście zmienił górną warstwę

gleby w drobniutki pył.

Był to koszmarny obraz zbiorowości zdegradowanej do prymitywnego, grasującego na swobodzie motłochu, który kieruje się wyłącznie chwilowymi zachciankami. Ich wodzowie mieli jakieś cele, lecz ci żołnierze - nie.

- Jego Ekscelencja chce was widzieć - oznajmiła Siostra.

Zedd i Adie nie powiedzieli ni słowa. Żołnierze postawili ich na nogi. Gwałtowne szarpnięcie kazało im iść za Siostrą. Czarodziej dopiero teraz zauważył, że eskortuje ich około tuzina żołnierzy.

Wóz dostarczył ich do początku swego rodzaju drogi wijącej się przez rozległy obóz. Ten kraniec drogi, gdzie stały rzędem wozy, wyglądał na wejście do wewnętrznego obozu, prawdopodobnie terenów dowództwa. Żołnierze na zewnątrz pierścienia ciężkozbrojnych strażników jedli, grali w kości i w karty, wymieniali się łupami, żartowali, rozmawiali i popijali, obserwując eskortowanych więźniów.

Zeddowi przyszło na myśl, że gdyby zawołał do nich, że to on jest odpowiedzialny za sieć światła, która zabiła lub okaleczyła tylu ich kompanów, to może by się na nich rzucili i zabili ich, nim Jagang zdąży zrobić swoje.

Otworzył usta, chcąc zrealizować swój plan, ale spostrzegł, że Siostra zerka przez ramię. Przekonał się, że pozbawiła go głosu, korzystając z obroży. Nie odezwie się, dopóki ona mu na to nie pozwoli.

Szli za Siostrą, mijając rząd wozów stojących za tym, który ich tu dostarczył. Przed opasany kordonem terenem z największymi namiotami czekało dobrze ponad tuzin towarowych wozów. Wszystkie były załadowane skrzyniami.

Zedd ze zgrozą pojął, że są to wozy z łupami z Wieży Czarodzieja. Wszystkie jechały wraz z nimi wypełnione przedmiotami, które ci pozbawieni daru ludzie, na rozkaz Siostry, wynieśli z wieży. Aż się bał pomyśleć, jakie bezcenne i niebezpieczne przedmioty kryją się w owych skrzyniach. W wieży znajdowały się i takie rzeczy, które stawały się niebezpieczne dla każdego, kto wyjął je zza strzegących je osłon. Przechowywano tam również niezwykle rzadkie przedmioty, które traciły moc, jeżeli się je zabierało z ochronnego otoczenia, na przykład z ciemności.

Po zamkniętej części obozu krążyli strażnicy odziani w skóry, kolczugi i skórzane pancerze, zbrojni w piki o długich stalowych grotach z ostrymi

zadziorami, wielkie topory o sierpowatych ostrzach, miecze i nabijane kolcami maczugi. Ci ponurzy żołnierze byli więksi i wyglądali groźniej niż zwykli wojownicy w tamtej części obozu, a przecież i tamci budzili lęk. Doborowi gwardziści czujnie patrolowali teren, a zwyczajni żołnierze zajmowali się swoimi sprawami.

Strażnicy przepuścili Siostrę, Zedda i Adie przez przejście w najeżonych kolcami zaporach. Za nimi stały mniejsze ze specjalnych namiotów. Większość z nich była okrągła i tych samych rozmiarów. Czarodziej pomyślał, że są to zapewne namioty osób, które imperator chciał mieć w pobliżu: służących i przybocznych niewolników. Ciekaw był, czy wszystkie Siostry też są trzymane w tej części obozu.

Przed nimi wznosiły się w blasku późnego popołudnia wspaniałe niczym pałace namioty imperatora i jego świty. Na pewno niektóre z tych wygodnych namiotów - znajdujące się w centralnej części, wewnątrz pierścienia namiotów dla służących i pomocników - należały do wysokich rangą oficerów, urzędników i najbardziej zaufanych doradców Jaganga.

Zedd żałował, że nie ma ze sobą sieci światła - bardzo by chciał mieć okazję posłużyć się nią. W jednej chwili rozprawiłby się z „głową” Imperialnego Ładu.

Dobrze jednak wiedział, że to by tylko przejściowo zastopowało Imperialny Ład. Znaleźliby innego łotra, by siłą narzucił wszystkim ich zasady. Aby zupełnie skończyć z Ładem, trzeba było czegoś więcej niż zgładzenie Jaganga. A czarodziej sam już nie był pewien, czego trzeba, żeby uwolnić świat od ucisku i tyranii Imperialnego Ładu.

Imperator Jagang wcale nie był siłą napędową tej inwazji, choć tak właśnie z uroczą prostotą uważała większość ludzi. Siłą napędową była obłądana, destrukcyjna ideologia. Jeżeli chciała przetrwać, nie mogła dopuścić, żeby uciśnione, cierpiące masy, w jakie zmieniły się ludy po narzuceniu im zasad i nakazów Imperialnego Ładu, widziały, że inni żyją zupełnie inaczej. Wolność i uzyskiwana dzięki niej pomyślność ludzi Nowego Świata zadawały kłam naukom Ładu. To bluźnierstwo osiągać pomyślność własnym wysiłkiem. Skoro Ład głosił, że nie jest to możliwe, musiało być grzeszne. A grzech należało wyplenić dla większego dobra. Czyli należało zdusić wolność Nowego Świata.

- To oni? - zapytał strażnik z obciętymi krótko włosami.

Kółka w jego nosie i uszach sprawiły, że przypominał Zeddowi wieprzka przystrojonego na letni jarmark, z tym że takie wieprzki byłyby wymyte i przyjemniej by pachniały.

- Tak - odparła Siostra. - Oboje, zgodnie z nakazem.

Ciemne oczy z przesadną uwagą przyjrzały się Adie, a potem Zeddowi. Naburmuszona mina świadczyła, że uważa się za sprawiedliwego, prawego człowieka, którego zde gustowało to, co ujrzał: zło. Dostrzegł obroże na ich szyjach, zaświadczające, że nie są groźni dla imperatora. Odsunął się na bok i kciukiem dał im znać, że mają iść za drugą zaporę, poza namiotami pomocników, służby i brańców. Gniewny wzrok strażnika towarzyszył grzesznikom zdążającym na spotkanie z losem.

W wewnętrznej części otoczyli ich żołnierze. Zedd przekonał się, że są bardziej jednolicie odziani. Nosili podobne skórzane pancerze i kolczugi, na ich torsach krzyżowały się nabijane ćwiekami rzemienie. Broń przytroczona do szerokich skórzanych pasów była staranniej wykonana i liczniejsza. Ich ruchy świadczyły, że nie są to zwyczajni ludzie zwerbowani do armii, lecz świetnie wyszkoleni żołnierze.

Była to doborowa gwardia przyboczna imperatora. Zedd spojrział tęsknie na prawie pełne wiadro wody wystawione dla pełniących wartę w upale. Lepiej, żeby doborowa gwardia nie mdlała z pragnienia. Domyślał się odpowiedzi, więc nie zapytał, czy mógłby się napić. Zerknął z ukosa - Adie oblizwała spękane wargi, ale i ona zmilczała.

Na niewielkim wzniesieniu stał największy i najwspanialszy z rozbitych tu namiotów. Namiot imperatora bardziej przypominał właściwie przewoźny pałac. Chlubił się trój szczytowym dachem. Z owych trzech wierzchołków sterczały wysokie maszty z barwnymi sztandarami i flagami. Jaskrawo haftowane wstawki zdobiły zewnętrzne ściany. Czerwone i żółte chorągwie łopotały leniwie w gorącym powietrzu chylącego się ku wieczorowi dnia. Wiszące wszędzie frędzle i wstęgi sprawiały, że wyglądał jak główny namiot na świątecznym odpuszcie.

Stojący przy wejściu strażnik spojrział Zeddowi w oczy, a potem - wpuszczając ich do środka - odchylił jagnięcą skórę pokrytą złotymi płytkami i srebrnymi medalionami. Jeden z pozostałych strażników tak pchnął czarodzieja ramieniem, że niemal zwałił go z nóg. Zedd chwiejnie wszedł do słabo oświetlonego wnętrza, a Adie za nim.

Bogate dywany tłumiły gwar obozowiska. Na bocznej linii podłogi ułożono setki jedwabnych i brokatowych poduszek. Barwnie ozdobione kotary dzieliły ciemnawe wnętrza i pokrywały zewnętrzne ściany. Prześwity w dachu, przesłonięte zwiewną tkaniną, wpuszczały niewiele światła, lecz umożliwiały ruch powietrza w zacisznym półmroku olbrzymiego namiotu. Właściwie było tak ciemno, że potrzebne były lampy i świece.

Pośrodku pomieszczenia, trochę ku tyłowi, stał ozdobny fotel spowity wspaniałym czerwonym jedwabiem. Był to pusty w tej chwili tron imperatora Jaganga.

Gwardziści otaczali Zedda i Adie, nie pozwalając im ruszyć się z miejsca. Jeden z nich zniknął za ścianami z tkanin, zza których sączyło się światło. Żołnierze stojący tuż przy czarodzieju cuchnęli potem. Ich buty były umazane łajnem. I chociaż urządzone z przepychem wnętrza sugerowało wzniosłą atmosferę i dostojność, trwale przesiąkło smrodem zapuszczonego obejścia. A końskie łajno i pot żołnierzy, którzy weszli tu z Zeddem i Adie, tylko jeszcze wszystko pogarszały.

Żołnierz, który zniknął za zasłonami, wychylił zza nich głowę i gestem przywołał Siostrę. Szepnął coś do niej, a potem i ona zniknęła za przegrodą.

Zedd spojrzał ukradkiem na Adie. Jej całkowicie białe oczy patrzyły nieruchomo w przód. Przeniósł ciężar ciała na jedną nogę i korzystając z tego, przechylił się ku niej, a następnie dotknął ramieniem jej ramienia. Był to gest pocieszenia w sytuacji bez wyjścia. Odpowiedziała tym samym - przesłanie zostało zrozumiane i docenione. Tak pragnął ją przytulić, lecz wiedział, że prawdopodobnie już nigdy tego nie zrobi.

Dobiegały ich stłumione słowa, lecz ciężkie zasłony tak je wyciszały, że Zedd nie był w stanie nic zrozumieć. Gdyby mógł korzystać z daru, wszystko by usłyszał, lecz obroza pozbawiała go tej możliwości. Jednak i tak raport Siostry był krótki i rzeczowy.

Niewolnicy zajmujący się czyszczeniem dywanów, polerowaniem wspaniałych waz czy woskowaniem serwantek nie zwracali najmniejszej uwagi na ludzi, których wprowadzili gwardziści. Dobiegający zza zasłon groźny głos sprawił wszakże, że jeszcze bardziej przyłożyli się do roboty. Zapewne dość często przyprowadzano więźniów przed oblicze imperatora. Poza tym Zedd był przekonany, że dla pracujących w namiocie było lepiej, gdy nie zwracali uwagi na sprawy władcy.

Zza ścian zdobionych rozmaitymi scenami sączyła się również woń potraw. Zedd rozróżnił zadziwiająco dużo najrozmaitszych zapachów. Jednak panujący tu smród sprawiał, że aromatyczne wonie mięs, oliwy z oliwek, czosnku i cebuli oraz korzennych przypraw stawały się nieco odrażające.

Siostra wyszła z za barwnych zasłon. Pierścień w dolnej wardze rażąco kontrastował z poszarzałą twarzą. Lekko skinęła głową gwardzistom stojącym po bokach więźniów.

Krzepkie palce wpiły się im w ramiona. Zedda i Adie poprowadzono ku wejściu i widocznemu za nim światłu.

ROZDZIAŁ 37

Więźniów mało delikatnie zatrzymano i Zedd znalazł się wreszcie pod bacznym, gniewnym okiem samego Nawiedzającego Sny - imperatora Jaganga.

Jagang siedział na bogato zdobionym krześle z wysokim oparciem za okazałym stołem. Podpierał się na łokciach, trzymał w obu dłoniach gęsie udko i jadt. Płomyczki świec, odbijające się po bokach jego wygolonej czaszki, tańczyły w rytm poruszających się ściągien i mięśni zajętego żuciem imperatora. Cienkie wąsy, biegnące w dół od kącików ust i od połowy dolnej wargi, poruszały się razem z żuchwą - podobnie jak delikatny złoty łańcuszek przyczepiony do złotych kólek, które tkwiły w uchu i nozdrzu. Gęsty gęsi tłuszcz pokrywający mięsiste, ozdobione pierścieniami paluchy błyszczał w blasku świec i ściekał po obnażonych ramionach.

Rozparty za stołem Jagang spokojnie przyglądał się swoim najnowszym jeńcom.

Pomimo świec ustawionych na stole i po obu jego bokach panowała tu mroczna atmosfera lochu.

Na szerokim blacie rozmieszczono przed imperatorem półmiski z potrawami, kielichy, butle, świece i misy. Wśród tego wszystkiego leżały tu i ówdzie księgi i zwoje. Nie było tu miejsca na wszystkie srebrne półmiski, więc niektóre tkwiły na niewielkich zdobnych postumentach. Pożywienia wystarczyłoby dla małej armii.

Zedd wiedział, że skoro Ład naucza o konieczności poświęcania się dla dobra ogółu, to taka obfitość na stole władcy miała być sygnałem czegoś wręcz przeciwnego, chociażby był on czytelny wyłącznie dla samego imperatora.

Za Jagangiem, pod ścianą, stali w szeregu niewolnicy. Jedni trzymali półmiski, inni tkwili nieruchomo, ale wszyscy czekali na rozkazy. Byli wśród nich młodzi mężczyźni - młodzi czarodzieje, jak słyszał Zedd - odziani wyłącznie w luźne białe spodnie. Tak skończyli czarodzieje szkoleni w Pałacu Proroków oraz pojmane Siostry, ich nauczycielki. Teraz byli jeńcami Nawiedzającego Sny. Ludzie najbardziej utalentowani, o największych możliwościach stali się posługaczami wykonującymi najprostsze prace. I to

był sygnał wysyłany przez władcę Imperialnego Ładu. Miało to pokazać wszystkim, że najlepsi i najmądrzejsi będą czyścić nocniki na rozkaz rządzących nimi prostaków.

Młodsze Siostry - czarodziej uznał, że musiały to być tak Siostry Światła, jak i Mroku - miały ubiory sięgające od szyi po nadgarstki i kostki, lecz tak przejrzyste, że kobiety te równie dobrze mogłyby być nagie. To także miało pokazać, że imperator niewiele sobie robi z uzdolnień owych kobiet, że mają mu jedynie dostarczać rozkoszy. Starsze i mniej pociągające, które stały po bokach, odziane były w brązowawe wełniane stroje. Zapewne były to Siostry oddające imperatorowi inne usługi.

Jagang upajał się władzą nad posiadaczami największego na świecie daru magicznego, których zmienił w swoich niewolników. W naturze Ładu leżało deprecjonowanie - a nie sławienie - najmądrzejszych i najbardziej utalentowanych.

Imperator patrzył, jak Zedd przygląda się pałacowym niewolnikom, ale niczego po sobie nie pokazał. Byczy kark Nawiedzającego Sny nadawał mu niemal nieludzki wygląd. Rozpięta kamizela z miękkiej owczej wełny ukazywała silnie umięśnione tors i ramiona. Był potężnym i krzepkim mężczyzną. Budził grozę nawet wtedy, kiedy spokojnie siedział.

Zedd i Adie stali, milcząc, Jagang zaś oderwał zębami kolejny kęs gęsiego udka. Żuł i obserwował ich w pełnej napięcia ciszy, jakby się zastanawiał, co zrobić z najnowszym łupem.

To atramentowoczarne oczy imperatora, pozbawione źrenic, tęczówek i białek, mroziły w Zeddzie krew. Kiedy ostatnio widział te oczy, nie był spętany, lecz ta pozbawiona daru dziewczyna uniemożliwiła mu uśmiercenie typu. I pewnie tej straconej okazji będzie najbardziej żałował. Tamtego dnia przepadła okazja zabicia Jaganga - i to nie przez potężną, sprzężoną moc wszystkich Sióstr i armię, lecz przez tę jedną pozbawioną daru dziewczynę.

Czarne oczy, oczy w pełni dojrzałego Nawiedzającego Sny, połyskiwały w blasku świec. W ich mrocznej pustce poruszały się niewyraźne kształty, niczym obłoki w bezksiężycową noc.

Zedd nie miał wątpliwości, że Nawiedzający Sny patrzy niemal wprost na niego, podobnie jak nie miał wątpliwości, że białe oczy Adie nań spoglądają. Pod gniewnym wzrokiem imperatora musiał się napominać, by

oddychać i rozluźnić mięśnie.

Najbardziej przerażało czarodzieja to, że widział w tych oczach bystry, wyrachowany umysł. Wystarczająco długo walczył z Jagangiem, by wiedzieć, jak niebezpieczne byłoby niedocenianie go.

- Jagang Sprawiedliwy - odezwała się Siostra, wskazując siedzącą przed nimi postać z koszmarne go snu. - Ekscelencjo, oto Zeddicus Zu'l Zorander, Pierwszy Czarodziej, i czarodziejka imieniem Adie.

- Wiem, kto to - rzekł imperator głębokim głosem, w którym dźwięczały groźba i niesmak.

Odchylił się w tył, spuścił jedno ramię przez oparcie krzesła, nogę przewiesił przez rzeźbioną poręcz. Machnął trzymanym w garści gęsim udkiem.

- Dziadek Richarda Rahla, jak mi mówiono.

Zedd milczał.

Jagang odłożył nadgryzione udko na talerz, wziął nóż. Odciął kawałek krwistej pieczeni, nadział na czubek. Wsparty łokciem o stół mówił, machając nożem. Po ostrzu ściekał czerwony sok.

- Zapewne nie tak się chciałeś ze mną spotkać - powiedział i zaśmiał się z własnego żartu; rozległ się donośny, dudniący, pełen groźby dźwięk. Zsunął zębami z noża kawałek pieczystego. Gryzł i przyglądał się im, jakby się nie mógł zdecydować na jedną z rozkosznych okropności podsuwanych mu przez umysł. Podniósł wysadzany klejnotami srebrny kielich i popił mięso, ani na chwilę nie spuszczać ich z oka.

- Nie potrafię wyrazić, jakim rad, żeś przybył z wizytą. - Wyszczerył się w uśmiechu jak sama śmierć. - Żywy. - Poruszył nadgarstkiem, a przy okazji i nożem. - Mamy mnóstwo do obgadania. - Śmiech ucichł, lecz uśmiech pozostał. - Cóż, przynajmniej ty masz sporo do powiedzenia. Ja posłucham, jak przystoi dobremu gospodarzowi.

Zedd i Adie milczeli. Czarne oczy Jaganga patrzyły to na jedno, to na drugie.

- Coście tacy mało rozmowni? Nie szkodzi. Wkrótce zaczniecie gadać.

Czarodziej nie próbował wyjaśnić, że tortury na nic się zdadzą. Imperator nie uwierzyłby w takie przechwałki, a nawet gdyby, nie zrezygnowałby ze swego kaprysu.

Jagang wziął z czary trochę winogron.

- Jesteś pomysłowym i zaradnym człowiekiem, czarodzieju Zoranderze. - Wrzucił do ust kilka kulek i mówił, gryząc je: - Sam jeden w Aydindril, otoczony armią, zdołałeś tak mnie omamić, iż uwierzyłem, że schwytałem w pułapkę Richarda Rahla i Matkę Spowiedniczkę. Wspaniała sztuczka. Zasługuje na pochwałę. A ta sieć światła, którą odpaliłeś pośród moich żołnierzy! To dopiero coś. - Wrzucił do ust kolejne kulki winogron. - Masz pojęcie, ile setek tysięcy zmasakrowałeś swoimi czarami?

Zedd widział, jak napięły się mięśnie owłosionego ramienia Jaganga, kiedy imperator zacisnął pięść. Potem rozluźnił dłoń, pochylił się w przód i podważył kciukiem długi plaster szynki. Machnął owym plastrem i powiedział:

- Właśnie takie czary musisz dla mnie wykonać, mój dobry czarodzieju. Z tego, co mi nagadały te głupie suki - zwące się Siostrami Światła lub Siostrami Mroku zależnie od tego, kto ich zdaniem zaoferował im większe łaski na tamtym świecie - zrozumiałem, że raczej sam nie wyczarowałeś tego zaklęcia. Wykorzystałeś jedynie strukturalne zaklęcie, które znalazłeś w Wieży Czarodzieja. Potem jakimś sposobem uczynniłeś je pośród moich wojsk, pewnie za pomocą drobiażdżku, który jeden z żołnierzy sobie zabrał, a jak chciał mu się bliżej przyjrzeć, to uruchomił zaklęcie.

Zedda trochę zaniepokoiło, że Jagang zdołał się aż tyle dowiedzieć. Imperator, nie spuszczać z nich oka, odgryzł solidny kęs szynki. Jego pobłażliwość zaczynała się wyczerpywać.

- A skoro sam nie potrafisz tak wspaniale czarować, kazałem zabrać z wieży parę rzeczy, ty zaś mi powiesz, jak działają, co powodują. Jestem przekonany, że musi być wśród nich wiele ciekawostek. Bardzo by mi się przydało parę takich zaklęć, które by nam wyłupały kilka przejść do D'Hary. Oszczędziłoby mi to czasu i trudu. Jestem pewien, że pojmujesz moją szczerą ochotę znalezienia się w D'Harze i rozprawienia się z tym bezcelowym oporem.

Zedd odetchnął głęboko i wreszcie przemówił:

- Jeżeli chodzi o większość tych rzeczy z wieży, to możesz mnie torturować po kres czasów, a ja i tak nic ci nie powiem, bo nic o nich nie wiem. W przeciwieństwie do ciebie jestem świadom swych możliwości. Po prostu nie wiem, jak mogłoby wyglądać takie zaklęcie. A gdybym nawet wiedział, to jeszcze nie znaczy, że potrafiłbym je uczynnić. W tamtym

przypadku po prostu miałem szczęście.

- Może i tak, może i tak, ale o niektórych z tych rzeczy coś wiesz. Jesteś w końcu, jak mi mówiono, Pierwszym Czarodziejem. To twoja wieża. Trudno dać wiarę, że o niczym nie masz pojęcia. Gadasz o szczęściu, a tyle ci się udało dowiedzieć o tej strukturalnej sieci światła, że zdołałeś ją odpalić pośród mojej armii. Bez wątpienia wiesz sporo o najgroźniejszych z tych rzeczy.

- Nie masz zielonego pojęcia o magii - warknął Zedd. - Nabiłeś sobie głowę wspaniałymi pomysłami i uważasz, że wystarczy twój rozkaz, żeby się spełniły. Otóż nie. Jesteś szaleńcem nie mającym pojęcia o prawdziwej magii i jej ograniczeniach.

Uniosła się brew nad atramentowym okiem.

- Och, chyba wiem więcej, niż ci się wydaje, czarodzieju. Bo widzisz, uwielbiam czytać i, że tak powiem, mogę kartkować niektóre z najznamienitszych mózgów osób mających dar. Zapewne wiem o magii znacznie więcej, niż się spodziewasz.

- Doceniam twoją zdolność łudzenia się.

- Łudzenia się? - Imperator szeroko rozłożył ramiona. - Potrafisz stworzyć Slide'a, czarodzieju Zoranderze?

Zedd zamarł. Jagang tylko słyszał tę nazwę. Lubił przecież czytać. I gdzieś to wyczytał.

- Jasne, że nie, i nikt w tych czasach tego nie potrafi.

- Nie potrafisz stworzyć takiej istoty, czarodzieju Zoranderze. Nie masz pojęcia, jak wiele wiem o magii. Nauczyłem się wskrzeszać zapomniane umiejętności, które od dawna uważa się za zaginione i utracone.

- Doceniam majestatyczną wspaniałość twoich marzeń, Jagangu, ale łatwo jest śnić i marzyć. Twoje sny nie urzeczywistnią się tylko dlatego, że je śnisz i chcesz, żeby się stały rzeczywistością.

- Ta oto Siostra Tahirah zna całą prawdę. - Imperator wskazał ją nożem. - Powiedz mu, kochanieńka. Powiedz mu, co potrafię wyśnić i co potrafię zrealizować.

Kobieta niezdecydowanie postąpiła parę kroków w przód.

- Jest tak, jak mówi Jego Ekscelencja. - Odwróciła wzrok od chmurnej twarzy Zedda, poprawiła szorstkie siwe włosy. - Pod światłym kierownictwem Jego Ekscelencji udało się nam odzyskać nieco dawnej

wiedzy. Dzięki fachowym wskazówkom naszego imperatora zdołaliśmy tchnąć w czarodzieja o imieniu Nicholas zdolność nie spotykaną na świecie od trzech tysięcy lat. To jedno z największych osiągnięć Jego Ekscelencji. Mogę cię zapewnić, że jest tak, jako rzecze Jego Ekscelencja: Slide znów chodzi po świecie. To nie urojenie, czarodzieju Zoranderze, lecz prawda. Wspomóżcie mnie, dobre duchy - dorzuciła cicho. - Byłam przy tym, jak Slide przychodził na świat.

- Stworzyliście Slide'a?! - Zedd, z ciągle jeszcze związanymi rękami, ruszył gniewnie ku Siostrze. - Rozum wam odjęło, kobieto?! - Wycofała się ku ścianie, a on skierował swój gniew na Jaganga. - Slide'owie to była kompletna katastrofa! Nie można ich kontrolować! Trzeba być idiotą, żeby takiego powołać do życia!!!

Jagang się uśmiechnął.

- Zazdrosny, czarodzieju? Zazdrosny, bo nie potrafisz tego dokonać, nie potrafisz stworzyć przeciwko mnie takiej broni? Bo ja to potrafię i mogę ci dzięki temu odebrać Richarda Rahla i jego żonę?

- Slide ma umiejętności, nad którymi nie zdołasz zapanować.

- Slide nie jest groźny dla Nawiedzającego Sny. Jestem szybszy od niego. Jestem lepszy i potężniejszy od niego.

- Nie ma znaczenia, jaki jesteś szybki! Tu nie o to chodzi. Slide'a nie można kontrolować! Nie zrobi tego, czego od niego chcesz!

- Jak dotąd świetnie go kontroluję. - Jagang wsparł się na łokciu. - Uważasz, że magia jest konieczna, by kontrolować tych, nad którymi chcesz zapanować, ale ja nie potrzebuję magii. Ani na Nicholasa, ani na ludzi. Masz obsesję na punkcie kontroli, ja nie. Udało mi się odnaleźć ludzi, którym tobie podobni nie pozwolili swobodnie żyć pośród ich ziomeków, ludzi przepędzonych przez mających dar, ludzi napiętnowanych za to, że nie mają choćby iskierki waszego bezcennego daru magii, ludzi znienawidzonych i wypędzonych, bo tacy jak ty nie potrafili ich kontrolować. Oto, czym zawinili: znaleźli się poza kontrolą waszej magii.

Jagang uderzył pięścią w stół. Podskoczyli i niewolnicy, i półmiski.

- Oto, jak tobie podobni widzą przyszłość ludzi. To wolność wyłącznie dla tych, którzy mają iskierkę daru. Żebyście ich mogli kontrolować! Masz na szyi obrożę, a sam pragniesz założyć ją innym i ich kontrolować! Odnalazłem tych odtrąconych, wypędzonych ludzi i przywróciłem im ich

miejsce pośród bliźnich. Twoja grzeszna magia, ku twojej zgrozie i niezadowoleniu, nic im nie robi.

Zedd nie miał pojęcia, gdzie Jagang mógł znaleźć takich ludzi.

- I masz teraz tego Slide'a, żeby ich dla ciebie kontrolował.

- Tobie podobni potępili ich i wypędzili, my powitaliśmy ich pośród nas. Prawdę mówiąc, chcemy zmienić ludzi na ich podobieństwo. Nasza i ich sprawa są tożsame: oczyścić ludzi z magicznej zwały. Wówczas świat będzie jednakowy i nareszcie zapanuje pokój. Mam nad tobą przewagę, czarodzieju. Racja jest po mojej stronie. Nie potrzebuję magii, żeby zwyciężyć, ty tak. Mam na uwadze lepszą przyszłość ludzkości i zapoczątkowałem nieodwracalny bieg spraw. Przy pomocy owych ludzi opanowałem twoją wieżę. Dzięki ich pomocy odzyskałem stamtąd bezcenne skarby. Nijak nie możesz im przeszkodzić, nieprawdaż? Klątwa magii nie będzie już ciążyć nad ludzkim losem. I mam teraz Slide'a, który pomoże nam osiągnąć ów szczytny cel. Współdziała z tymi ludźmi dla dobra naszej sprawy. Nicholas już się okazał w tym nieoceniony. Co więcej, ten Slide, którego tobie podobni nigdy nie potrafili kontrolować, obiecał mi wydać tych dwoje, na których mi najbardziej zależy: twojego wnuka i jego żonę. Mam co do nich wielkie plany... no, przynajmniej co do niej. - Wściekłość przeszła w uśmiech. - Co do niego nie mam żadnych wielkich planów.

Zedd ledwie panował nad gniewem. Gdyby nie obroza tłumiąca jego dar, natychmiast zamieniłby ów pałac w pył i proch.

- Kiedy ten Nicholas nauczy się korzystać z własnych uzdolnień, przekonasz się, że zechce się zemścić i zażąda ceny, którą uznasz za zbyt wysoką.

Jagang rozłożył ramiona.

- I tu się mylisz, czarodzieju. Za lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę dam Nicholasowi, co tylko zechce. Nie istnieje coś takiego jak zbyt wysoka cena. Możesz mnie uznać za chciwca i egoistę, ale będziesz w błędzie. Lubię łupy, lecz najbardziej mnie raduje rola, jaką odgrywam w przywoływaniu pogan do posłuszeństwa. To właśnie na tym mi najbardziej zależy i w końcu zmuszę ludzi, by jak to się godzi, schylili czoło przed naszą słuszną sprawą i wolą Stwórcy.

Imperatorowi najwyraźniej minął przyływ natchnienia. Odchylił się na oparcie i nabrał orzechów ze srebrnej czary.

- Zedd jest w błędzie - odezwała się wreszcie Adie. - Wykazałeś nam, że wiesz, co robisz. Wspaniale sobie poradzisz z kontrolowaniem tego Slide'a. Ośmielam się zaproponować, żebyś go trzymał przy sobie, by cię mógł wspomagać.

Jagang uśmiechnął się do niej.

- I ty również, moja zasuszona, stara czarownico, powiesz mi wszystko, co wiesz o zawartości tych skrzyń.

- Fe! Głupiec jesteś z bezwartościowymi skarbami - zadrwiła Adie. - Ufam, że się solidnie namęczysz, wszędzie je ze sobą włócząc.

- Adie ma rację - dołożył swoje Zedd. - Jesteś niedouczonym prostakiem, który tylko...

- No, no. Sądzicie, że tak mnie rozwścieczycie, że was na miejscu zabiję?

- Znow się paskudnie uśmiechał. - Oszczędzę wam tego, co was sprawiedliwie czeka?

Zedd i Adie umilkli.

- Kiedy byłem chłopcem - rzekł już spokojniej Jagang zapatrzony w dal - nic nie znałem. Byłem zwykłym ulicznikiem w Altur'Rang. Łobuzem. Złodziejaszkiem. Moje życie było puste. Przyszłość to kolejny posiłek. Pewnego dnia zobaczyłem nadchodzącego ulicą człowieka. Wyglądał na kogoś przy pieniądzach, a ja potrzebowałem grosza. Już się ściemniało. Podkradłem się do niego, chcąc walnąć go w głowę, ale akurat wtedy się odwrócił i spojrzał mi w oczy. Jego uśmiech unieruchomił mnie tam, gdzie stałem. To nie był uprzejmy uśmiech ni uśmiech słabeusza, lecz uśmiech kogoś, kto wie, że może cię natychmiast zabić, jeżeli przyjdzie mu na to ochota. Wyciągnął z kieszeni monetę i rzucił mi ją, a potem bez słowa odwrócił się i odszedł. Parę tygodni później zbudziłem się w środku nocy w zaułku, w którym spałem pod starymi kocami i pakami i dostrzegłem na ulicy jakiś cień. Wiedziałem, że to on, jeszcze zanim rzucił mi monetę i zniknął w ciemnościach. Kiedy go kolejny raz zobaczyłem, siedział na kamiennej ławie na skraju starego placu, na którym się zbierali ci mieszkańcy Altur'Rang, którym się gorzej powodziło. Nikt by im nie dał szansy, tak jak i mnie. Ludzka zachłanność wyssała z nich życie. Zachodziłem tam, żeby na nich popatrzeć, żeby sobie mówić, że nie chcę się do nich upodobnić, ale wiedziałem, że tak się stanie. Byłem nikim, ludzkim śmieciem czekającym na odejście w niebyt, na tamten świat. Nic nie warta

duszą. Usiadłem obok niego na ławie i zapytałem, dlaczego dawał mi pieniądze. Zamiast odpowiedzieć tak, jak większość ludzi odpowiedziałaby chłopcu, opowiedział mi o wzniosłym celu rodzaju ludzkiego, o sensie życia. Mówił, że pobyt na tym świecie to jedynie krótki przystanek na drodze ku temu, co chowa dla nas Stwórca, jeśli okazemy się silni i podołamy próbom. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Powiedziałem mu, że nie uważam, żeby takie sprawy się liczyły w moim życiu, bo jestem tylko złodziejaszkiem. A on na to, że jedynie się odgrywam za niesprawiedliwą dolę. Że rodzaj ludzki grzeszy, czyniąc mnie takim, jaki jestem, i że człowiek może się spodziewać nagrody i odkupienia na tamtym świecie wyłącznie wtedy, kiedy się poświęci dla takich jak ja i ich wspomóż. Otworzył mi oczy na grzeszność rodzaju ludzkiego. Zanim odszedł, jeszcze się ku mnie odwrócił i zapytał, czy wiem, jak długo trwa wieczność. Odparłem, że nie. On na to, że czas spędzony na tym świecie to zaledwie mgnienie wobec wieczności. To skłoniło mnie do rozmyślań o naszym wzniosłym celu. Przez następne miesiące Brat Narev znajdował czas, żeby ze mną porozmawiać, opowiedzieć mi o Stwórcy i o wieczności. Ukazał mi wizję lepszej przyszłości, chociaż jeszcze niedawno nie miałem żadnej. Uczył mnie o poświęceniu się i o odkupieniu. Dopóki nie ukazał mi światła, sądziłem, że jestem skazany na wieczny mrok. Przyjął mnie pod swój dach w zamian za pomoc w codziennych obowiązkach. Dla mnie Brat Narev był nauczycielem, kapłanem, doradcą, drogą ku zbawieniu - Jagang spojrział na Zedda - i dziadkiem w jednej osobie. Natchnął mnie entuzjazmem do tego, jaki może i powinien być rodzaj ludzki. Ukazał mi grzech samolubnej chciwości i czarną pustkę, w którą ów grzech może wtrącić ludzi. Z czasem uczynił mnie żołnierzem tej wizji. On był duchem, a ja fizyczną siłą. Brat Narev przyznał mi zaszczyt rozpoczęcia rewolucji. Postawił mnie na czele rewolty przeciwko tyranii grzechu. Jesteśmy nową nadzieją przyszłości człowieka i sam Brat Narev pozwolił mi szerzyć tę swoją wizję w oczyszczających płomieniach odkupienia rodzaju ludzkiego. - Jagang odchylił się w tył, patrząc na Zedda z tak ponurą miną, jakiej czarodziej jeszcze nigdy nie widział. - Szerzyłem szlachetną wizję Brata Narewa, niosąc jego nauki tym, którzy nigdy nie mieli okazji pojąć, czym się może stać człowiek. Niosłem posłanie o przyszłości wolnej od zmagii, ucisku, zachłanności i płaszczenia się, by się wynieść ponad innych. Jednak kiedy tej wiosny przybyłem do Aydindril... to

cóż ujrzałem? Zatkniętą na pikę głowę Brata Nareva, z karteczką „Pozdrowienia od Richarda Rahla”. Człowiek, którego najbardziej na świecie podziwiałem, który ukazał nam zesłaną mu przez samego Stwórcę uświęconą wizję prawdziwego celu ludzkiego życia, był teraz martwy, a twój wnuk zatknął jego głowę na pikę. Nie znam większego bluźnierstwa, większej zbrodni przeciwko rodzajowi ludzkiemu.

Przez oczy Jaganga przesuwają się jakieś posępne cienie.

- Richarda Rahla dosięgnie sprawiedliwość. Dostanie za swoje, zanim go wyślę do Opiekuna. Chciałem, byś poznał swój los, starcze. Twój wnuk doświadczy tego bólu i dodatkowej męki płynącej ze świadomości, że mam w swojej mocy jego żonkę i każę jej drogo zapłacić za jej zbrodnię. - Znów się leciutko uśmiechał. - Zabiję go dopiero wtedy, kiedy zapłaci tę cenę.

Zedd ziewnął.

- Ciekawa historyjka. Pomiąłeś fragmenty o tym, jak wymordowałeś dziesiątki tysięcy niewinnych ludzi, bo nie chcieli żyć pod twoją plugawą władzą, zgodnie z chorobliwymi, wynaturzonymi naukami Nareva. Ale nie martw się przeprosinami. Zetnij mi głowę, nabij ją na pikę i miej to za sobą.

Uśmiech Jaganga powrócił w całej krasie.

- Nie tak szybko, stary. Najpierw musisz puścić farbę.

ROZDZIAŁ 38

- A tak - odezwał się Zedd. - Tortury. O mało co zapomniałbym.

- Tortury?

Jagang dał znak jednej z kobiet. Starsza Siostra stała, wykręcając sobie palce. Drgnęła, kiedy na nią spojrzał, i natychmiast pospiesznie zniknęła za zasłoną. Zedd słyszał, jak wydaje polecenia jakimś ludziom, i zaraz potem dobiegł go tupot stóp po dywanach, cichnący za namiotem.

Imperator znów się niespiesznie pożywiał, a Zedd i Adie stali przed nim wygłodzeni i umierający z pragnienia. Nawiedzający Sny odłożył wreszcie nóż na talerz. Niewolnicy, widząc to, skoczyli uprzętać liczne półmiski. Większości dań pokosztował, ale ledwie to można było zauważyć. Ze stołu w okamgnieniu zniknęły strawa i napitki, zostały jedynie księgi, zwoje, świece i srebrna czara z orzechami.

Siostra Tahirah, która pojmała w wieży Zedda i Adie, stała z boku. Splotła przed sobą dłonie i przyglądała się jeńcom. Wyraźnie bała się Jaganga i okazywała mu służalczą przymilność, paskudny uśmiezek skierowany do Zedda i Adie zdradzał zaś, jak ją cieszy to, co ma nastąpić.

Gdy do komnaty weszło pół tuzina przerażających mężczyzn i ustawiło się z boku, Zedd zaczął pojmować, co tak cieszyło Siostrę Tahirah. Byli krzepcy i niechlujni, a tak bezlitosnych gąb czarodziej jeszcze nie widział. Włosy mieli skołtunione i tłuste. Dłonie i przedramiona umazane sadzą, paznokcie połamane i brudne. Odzież znaczyły ciemne plamy zaschniętej krwi - ślady po trudach ich profesji.

Ci ludzie zajmowali się torturami.

Zedd odwrócił wzrok od wlepionych weń oczu Siostry. Chciałaby ujrzeć strach, panikę, a może i łzy.

Potem do ciemnawej komnaty imperatorskiego namiotu wpędzono gromadkę mężczyzn i kobiet. Wyglądali na rolników i skromnych wyrobników sprowadzonych przez patrole. Mężczyźni obejmowali swoje żony, dzieciaki wtulały się w spódnice matek niczym kurczaki pod skrzydła kwok. Zagoniono ich pod boczną ścianę, naprzeciwko oprawców.

Czarodziej spojrzał nagle na Jaganga. Nawiedzający Sny wpatrywał się w niego czarnymi oczami, pogryzając orzechy.

- Imperatorze - odezwała się Siostra, która wprowadziła rodziny - oto miejscowi wieśniacy, jak sobie tego życzyłeś. - Wskazała władcę: - Dobrzy ludzie, oto nasz czcigodny imperator, Jagang Sprawiedliwy. Kierując się mądrością Stwórcy, niesie światu nauki Imperialnego Ładu, byśmy wszyscy mogli wieść lepsze życie i znaleźć po śmierci zbawienie u Stwórcy.

Jagang przyglądał się grupce niezdarnie się kłaniających i dygających Midlandczyków.

Zedda bolało serce, kiedy patrzył na ich nieśmiałe, wystraszone twarze. Na pewno musieli przejść przez obozowisko Ładu. Zobaczyli ogrom armii, która zajęła ich krainę.

- Być może znacie tego tu człowieka? - Jagang wskazał Zedda. - To Pierwszy Czarodziej Zorander. To on wami władał, posługując się swoją magią. Jak widzicie, stoi teraz spętany przed naszym obliczem. Wyzwoliliśmy was spod występnej władzy tego człowieka i jemu podobnych.

Ludzie popatrywali to na Zedda, to na Jaganga, nie bardzo wiedząc, po co się znaleźli w namiocie imperatora i czego się po nich oczekuje. W końcu skłonili głowy, mamrocząc podziękowania za wyzwolenie.

- Mający dar, jak tych dwoje tutaj, mogli go wykorzystać dla dobra rodzaju ludzkiego. Ale oni obracali go wyłącznie na swoją korzyść. Powinni się poświęcać dla dobra potrzebujących, a byli samolubni. To zbrodnia postępować tak jak oni, żyć tak jak oni, kiedy się ma ich możliwości. Sama myśl o tym, co mogli zrobić dla potrzebujących, dla takich biedaków jak wy, gdyby nie ich egoizm, wzbudza we mnie gniew. Ludzie cierpieli i umierali, pozbawieni pomocy, której tamci mogliby udzielić, gdyby nie ich egocentryzm. Ten oto czarodziej i jego czarodziejka są tutaj, bo odmówili nam pomocy w uwolnieniu reszty Nowego Świata. Nie chcą nam wyjawić, jak działają plugawe magiczne przedmioty, które przechwyciliśmy wraz z nimi. Magiczne przedmioty, które zamierzali wykorzystać do wymordowania olbrzymich rzesz ludzi. Ten samolubny czarodziej i jego czarodziejka mszczą się w ten sposób za to, że nie może już być po ich woli.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Zeddowi i Adie.

- Mógłbym wam, ludzie, powiedzieć, za jak wiele śmierci odpowiada ów człowiek, lecz obawiam się, że ta liczba przekroczyłaby wasze wyobrażenie. Powiem tylko, że nie mogę pozwolić, żeby uśmiercił kolejne dziesiątki tysięcy osób.

Jagang uśmiechnął się do dzieci i przyzywał je gestami obu rąk. Dzieciaki - jakiś tuzin w wieku od sześciu, siedmiu lat do około dwunastu - przywarły do rodziców. Imperator spojrzał na owych rodziców i ponownie przywoływał dzieci. Dorośli zrozumieli i niechętnie skłonili pociechy, by spełniły życzenie władcy.

Niewinne jagniątko niezdecydowanie zbliżyły się ku wyciągniętym ramionom i szerokiemu uśmiechowi. Kiedy znalazły się już dostatecznie blisko, imperator sztywno je uściskał. Zmierzył blond czuprynę chłopaczka, potem proste, rudawozłote włosy dziewczynki. Kilkoro młodszych oglądało się prosząco na rodziców, a potem kuliły się pod mięsistą łapą Jaganga na swoich pleckach, pod jowialnym klepnięciem w policzek.

Przerażenie było niemal namacalne.

Zedd jeszcze nigdy nie widział czegoś tak zatrważającego.

- A teraz - rzekł uśmiechnięty Jagang - pozwólcie, że przejdę do przyczyn, dla których was tu zwołałem, dobrzy ludzie.

Muskularnymi ramionami zgarnął w zbitą gromadkę stojące przed nim dzieci. Jedna z Sióstr zatrzymała chłopczyka, który chciał wrócić do rodziców, a Jagang złapał wielkimi dłońmi talię jednej z młodszych dziewczynek i posadził sobie małą na kolanie. Szeroko otwarte oczy dziewczuszki wpatrywały się w uśmiechniętą twarz, łysą głowę, ale przede wszystkim w koszmarną pustkę atramentowoczarnych oczu Nawiedzającego Sny. Jagang przeniósł wzrok z dziecka na rodziców.

- Jak już stwierdziłem, czarodziej i czarodziejka odmówili pomocy. Muszę ich skłonić do współpracy, bo chcę ocalić życie wielu ludziom. Muszą szczerze i wyczerpująco odpowiedzieć na wszystkie moje pytania. Odmawiają tego. Mam nadzieję, dobrzy ludzie, że nakłonicie ich, by nam powiedzieli to, co wiedzieć musimy, żeby ocalić życie bardzo wielu ludzi i uwolnić jeszcze liczniejsze rzesze spod tyranii ich magii.

Jagang popatrzył na milczących żołnierzy, którzy stali w szeregu pod przeciwległą ścianą. Przywołał ich krótkim skinieniem głową.

- Co robisz? - zapytała jedna z kobiet, choć jej mąż usiłował ją uciszyć. - Co zamierzasz?

- Chcę, dobrzy ludzie - wyłuszczył Jagang tłumkowi rodziców - byście nakłonicie czarodzieja i czarodziejkę do mówienia. Mam zamiar zostawić ich z wami w namiocie, byście ich przekonali, że powinni wypełnić swój

obowiązek wobec rodzaju ludzkiego, że muszą z nami współpracować.

Żołnierze zaczęli chwycić dzieci, które wybuchnęły pełnym przerażenia płaczem i krzykami. Rodzice, widząc swoje poczerwieniałe na buziach pociechy wrzeszczące z przerażenia, krzyknęli głośno i pospieszyli im na pomoc. Rośli żołnierze, z których każdy trzymał w garści jedno lub dwa ramionka, odepchnęli ich.

Rodzice zaczęli histerycznie krzyczeć, żeby uwolniono ich dzieci.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. - Głos Jaganga wzbił się ponad zawodzenia dzieciaków. Znów skinął głową i żołnierze zaczęli wynosić z namiotu wrzeszczących i wrywających się malców.

Rodzice też zawodzili. Starali się sięgnąć poza wielkie, brudne łapska, żeby dotknąć swoich najdroższych skarbów. Byli oszołomieni i przerażeni. Bali się, że przesadzą i ściągną gniew na własne potomstwo, a równocześnie nie chcieli, żeby je zabrano. Ale - pomimo ich usilnych błagań - dzieci pospiesznie wyprowadzano.

Kiedy ta operacja dobiegła końca, Siostry natychmiast zablokowały wyjście, żeby rodzice nie mogli podążyć za maluchami. W namiocie zapanowało pandemonium.

Wystarczyło jedno „cisza!” Jaganga i uderzenie pięścią w stół, żeby wszyscy zamilkli.

- Tych dwoje więźniów zostaje w namiocie - oznajmił imperator. - Wy wszyscy razem z nimi. Nie będzie żadnych strażników, żadnego dozoru.

- Ale co z dziećmi? - odezwała się jakaś zapłakana kobieta, której nic nie obchodzili Zedd i Adie.

Jagang przyciągnął ku sobie stojącą na stole grubą świecę.

- To namiot z tą dwójką i wami, dobrzy ludzie. - Palcem zatoczył krąg wokół świecy. - A dokoła, w pobliżu namiotu z wami i tymi zbrodniarzami, będą inne namioty.

Wszyscy wlepiali oczy w ozdobiony pierścieniem paluch nieustannie zataczający kółka wokół świecy.

- A w tych namiotach, w pobliżu, będą wasze dzieci. - Jagang nabrał ze srebrnej czary całą garść orzechów. Część rozsypał na stole dokoła świecy, a pozostałe wpakował sobie do ust.

Wszyscy wpatrywali się w niego w milczeniu. Przyglądali się, jak gryzie orzechy, i bali się o cokolwiek zapytać, bali się usłyszeć, co jeszcze ma do

powiedzenia. Któraś z kobiet w końcu nie wytrzymała:

- A czemu one będą w tych namiotach?

Jagang przyjrzał się im swoimi czarnymi oczami, upewniając się, że nie przegapią tego, co chce powiedzieć.

- Bo żołnierze, którzy zabrali wasze dzieci do tych namiotów, będą je tam torturować.

Rodzice wytrzeszczyli oczy. Twarze im zbieleły. Jedna z kobiet zemdląła. Kilka innych nachyliło się ku niej. Siostra Tahirah przykucnęła obok niej i położyła dłoń na jej czole. Kobieta otworzyła oczy. Siostra nakazała matkom, żeby postawiły tamtą na nogi.

Kiedy uwaga wszystkich znów skupiła się na Jagangu, ten ponownie zatoczył palcem krąg wokół świecy i okalających ją orzechów.

- Namioty będą blisko, żebyście wyraźnie słyszeli, jak torturują wasze dzieci, żebyście mieli pewność, że oprawcy niczego im nie oszczędzą.

Rodzice stali zupełnie nieruchomo, wpatrzeni w niego. Najwyraźniej nie mogli uwierzyć w to, co słyszeli.

- Co parę godzin zajdę tu, dobrzy ludzie, żeby się przekonać, czy nakłoniliście już czarodzieja i czarodziejkę, by nam powiedzieli to, co wiedzieć musimy. Jeżeli stwierdzą, że się wam nie powiodło, to zajmę się innymi sprawami, a kiedy znajdę czas, znów tu zajrzę sprawdzić, czy tych dwoje zdecydowało się mówić. Ale postarajcie się, żeby czarodziej i czarodziejka nie umarli, gdy będziecie ich nakłaniać do rozsądku. Bo jeżeli zemrą, nie będą mogli odpowiedzieć na nasze pytania. Dzieci zostaną uwolnione dopiero wtedy, kiedy oni zdradzą, co wiedzą. - Oczy Jaganga, okropne jak z koszmaru, spojrzały na Zedda. - Moi ludzie są bardzo biegli w torturowaniu. Kiedy usłyszysz wrzaski dobiegające z pobliskich namiotów, nie będziesz miał najmniejszych wątpliwości ani co do ich przygotowania, ani co do ich determinacji. Powinieneś wiedzieć, że całymi dniami utrzymują torturowanych przy życiu, lecz nie potrafią czynić cudów. Ludzie, a zwłaszcza tak młode i delikatne duszyczki, nie mogą tego wytrzymać bez końca. Ale gdyby te dzieciaki umarły, zanim się zgodzicie współdziałać, to wokół jest mnóstwo rodzin z dziećmi, które zajmą ich miejsce.

Zedd nie zdołał powstrzymać łez - spływały mu po policzkach i kapały z brody. Siostra Tahirah ujęła go za ramię i pociągnęła ku wyjściu. Rodzice rzucili się na niego, szarpali za odzienie, płakali i krzyczeli, żeby zrobił to,

czego chce imperator.

Czarodziej się zaparł i zdołał się zatrzymać przed stołem. Zdesperowani ludzie wczepili się w jego szaty. Popatrzył na ich zapłakane twarze, spojrział każdemu z nich w oczy i wszyscy zamilkli.

- Mam nadzieję, że wreszcie zrozumiecie, o co walczymy. Bardzo mi przykro, lecz nie mogę złagodzić bólu tych najczarniejszych godzin w waszym życiu. Gdybym zrobił to, czego żąda ów człowiek, nieporównywalnie większa liczba dzieci doświadczyłaby jego okrucieństwa. Wiem, że nie potraficie tego ocenić, bo dla was liczą się przede wszystkim wasze dzieci, ale ja muszę się na to zdobyć. Módlcie się do dobrych duchów, żeby je szybko zabrały tam, gdzie panuje wiekuisty spokój.

Czarodziej nie był w stanie powiedzieć im nic więcej. Nie mógł przecież spełnić prośb tych zdesperowanych ludzi. Spojrział zażawionymi oczami na Jaganga.

- To nic nie da, Jagangu. Wiem, że i tak to zrobisz, ale to nic nie da.

Imperator powoli wstał z za ciężkiego stołu.

- W tym waszym kraju nie brakuje dzieci. Ile z nich jesteś gotów poświęcić, zanim pozwolisz dać ludziom wolność? Jak długo będziesz z uporem odmawiał im przyszłości wolnej od cierpienia, niedostatku i swoich żalosnych zasad?

W blasku świec migotały i lśniły ciężkie złote i srebrne łańcuchy na szyi imperatora, zrabowane medaliony i inne ozdoby na jego muskularnej piersi oraz pierścienie królów na jego paluchach.

Zedd poczuł przytłaczający ciężar pozbawionej nadziei przyszłości, w której obowiązywałyby spotworniałe idee tego człowieka i jemu podobnych.

- Nie wygrasz, czarodzieju. Podobnie jak ci wszyscy, którzy walczą po twojej stronie o zachowanie możności ciemnienia rodzaju ludzkiego, o zostawienie prostych ludzi ich okrutnemu losowi, i ty nie zamierzasz się poświęcić dla ratowania życia dzieci. Jesteś mocny i odważny w słowach, ale masz zimną duszę i nieczułe, tchórzliwe serce. Nie ma w tobie woli, by zrobić to, co niezbędne dla zwycięstwa. Ja taką wolę mam.

Jagang lekko skinął głową i Siostra powlokła Zedda ku wyjściu. Wrzeszczący, płaczący i błagający tłumek otoczył czarodzieja i Adie. Szarpały ich ręce zdesperowanych ludzi.

Zedd słyszał z oddali mrozące krew w żyłach wrzaski przerażonych

dzieci.

ROZDZIAŁ 39

- Są już dość blisko - odezwał się Richard, wracając pomiędzy drzewa.

Przyglądał się w milczeniu, jak Kahlan wygładza suknię na ramionach.

Długotrwałe przechowywanie w plecaku nie zostawiło na sukni żadnych śladów. Niemal biały, gładki jak atlas materiał połyskiwał w niesamowitej poświacie przenikającej przez kłębiące się, przesłaniające niebo chmury. Powłóczystej szaty nie zdobiły żadne koronki ani falbanki, nic nie mąciło jej wykwintnej prostoty. A widok Kahlan w owej sukni, jak zawsze, zapierał mu dech w piersi.

Cara zagwizdała i Kahlan wyjrzała spomiędzy drzew. Richard nauczył Mord-Sith ostrzegawczego sygnału brzmiącego jak cienki, czysty, tęskny śpiew pospolitej leśnej muchołówki. Kiedy jej powiedział, że chciałby ją nauczyć sygnału ostrzegawczego brzmiącego jak zew muchołówki, odburknęła, że nie zamierza się uczyć wołania byle jakiego ptaszyska. Chłopak ustąpił i odparł, że w takim razie nauczy ją wołania niewielkiego, lecz bojowego krótkoogoniastego sokoła sośniaka, ale że to trudniejsze, więc musi się bardziej przyłożyć do nauki. Cara - zadowolona, że postawiła na swoim - zgodziła się i chętnie się nauczyła prostego poświstywania. Była w tym dobra i często posługiwała się owym sygnałem. Richard nigdy jej nie powiedział, że nie istnieje nic takiego jak krótkoogoniasty sokół sośniak oraz że sokoły mają zupełnie inny zew.

Za osłoną gałęzi posąg trzymał straż nad fragmentem przełęczy nie uczęszczanym przez tysiące lat. Richard znów się zastanawiał, dlaczego ówczesni ludzie postawili taki posąg na przełęczy, którą przecież już nikt nie miał chodzić. Rozmyślał o pradawnej społeczności, która to zrobiła, i o tym, co sobie musieli myśleć, odcinając się tak od świata za to, że nie mieli ani isierki daru.

Strzepnął sosnowe igły z rękawa Kahlan.

- Niech ci się przyjrzę.

Odwróciła się ku niemu i opuściła luźno ręce, a on wygładził materiał na ramionach. Nieustraszone zielone oczy pod brwiami wygiętymi wdzięcznie jak skrzydła lecącego ptaka spojrzały w jego oczy. Jej rysy stały się jeszcze piękniejsze, od kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Jej uroda, postawa, spojrzenie

sięgające wprost do jego duszy nieodmiennie go poruszały. W jej oczach błyszczała inteligencja, która go tak od samego początku urzekła.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Kiedy tak stoisz w tej sukni, z pięknymi, długimi włosami, na tle zielonych drzew... nagle przypomniała mi się chwila, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem.

Jej oczy rozpromienił ów specjalny, przeznaczony wyłącznie dla niego uśmiech. Uniosła ramiona, splótła dłonie na szyi Richarda i pocałowała go.

Jej pocałunek - jak zawsze - sprawił, że wszystko inne przestało się liczyć, że zapomniał o całym świecie. Wtuliła się w jego ramiona. W owej chwili nie było Imperialnego Ładu, Bandakaru, imperium D'Hary, Miecza Prawdy, demonów, daru obracającego przeciwko niemu jego moc, żadnej trucizny, znaków ostrzegawczych, czarnosternych chyżolotów, żadnego Jaganga, Nicholasa, Sióstr Mroku. Istniała wyłącznie ona. W owej chwili istnieli tylko oni oboje. Kahlan była jego szczęściem i życiem. Jej pocałunek potwierdzał łączącą ich więź.

Cofnęła się i znów spojrzała mu w oczy.

- Od dnia, kiedy mnie spotkałeś, masz same kłopoty.

Richard się uśmiechnął.

- Moje życie jest tym, co się wydarzyło od dnia, w którym cię spotkałem. Kiedy cię znalazłem, znalazłem i swoje życie.

Ujął jej twarz w dłonie i znów ją pocałował. Betty trąciła łebkiem jego nogę i zameczała.

- Gotowicie już?! - zawołała ze wzniesienia Jennsen. - Zaraz tu będą. Nie słyszeliście świstania Cary?

- Słyszeliśmy! - krzyknęła jej Kahlan. - Zaraz tam będziemy. - Obróciła się ku niemu, uśmiechnęła i przyjrzała mu się od stóp do głów. - Za to ty, lordzie Rahlu, na pewno nie wyglądasz tak jak przy pierwszym naszym spotkaniu. - Poprawiła wytłaczany skórzany pendent przecinający czarną, obramowaną złotem tunikę. - A zarazem wyglądasz dokładnie tak samo. Twoje oczy są takie same jak tamtego pierwszego dnia. - Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się do niego. - I nie czytam w nich zesłanego przez dar bólu głowy.

- Zniknął na chwilę, zresztą po takim całusie głowa nie ma prawa boleć.

- No, to jeśli znów zaboli - odparła zachęcająco - od razu mi powiedz, a ja

już się postaram temu zaradzić.

Richard musnął dłonią jej włosy, po raz ostatni zajął jej w oczy, a potem otoczył ramieniem jej kibić. Poszli pod majestatycznym sklepieniem drzew ku szczytowi grani, wydostali się na odsłoniętą przestrzeń. Richard widział między pniami sosen zbiegającą ze wzniesienia Jennsen - przeskakiwała z kamienia na kamień, unikając płatów śniegu. Znalazła się przy nich jeszcze pod drzewami.

- Zauważyłam ich - powiedziała bez tchu. - W wąwozie po tamtej stronie. Wkrótce tu dotrą. - Pojaśniała uśmiechem. - Widziałam Toma, prowadzi ich.

Potem się im przyjrzała - Kahlan w białej sukni Matki Spowiedniczki i Richardowi w stroju czarodzieja wojny znalezionym w wieży. Miała tak zaskoczoną minę, że chłopak pomyślał, iż zaraz dygnie.

- O rety - oznajmiła - to ci dopiero suknia! - Ponownie obejrzała brata od stóp do głów. - Wyglądacie, jakbyście mieli władać światem.

- Miejmy nadzieję, że i ludzie Owena tak pomyślą - odparł Richard.

Cara odsunęła gałąź świerka, zanurkowała pod konary. Ubrana w opinający ją niczym druga skóra czerwony uniform wyglądała równie onieśmielająco jak wtedy, kiedy Richard pierwszy raz zobaczył ją we wspaniałych pomieszczeniach Pałacu Ludu w D'Harze.

- Lord Rahl kiedyś mi się zwierzył, że zamierza władać światem - powiedziała, dosłyszawszy słowa Jennsen.

- Naprawdę??? - spytała dziewczyna.

Richard westchnął, widząc jej minę.

- Rządzenie światem okazało się trudniejsze, niż się spodziewałem.

- Gdybyś bardziej słuchał Matki Spowiedniczki i mnie - poinformowała go Cara - byłoby ci łatwiej.

Richard zignorował jej tupet.

- Pozbierasz wszystko? Chciałbym znaleźć się z Kahlan na górze, zanim Tom dotrze tam z Owenem i jego ludźmi.

Mord-Sith skinęła głową i zaczęła zbierać rzeczy, nad których wykonaniem tak się natrudzili. Jedne układała w stosy, inne liczyła. Richard położył dłoń na ramieniu Jennsen.

- Uwiąż Betty, niech tu na razie zostanie, dobrze? Nie powinna się koło nas kręcić.

- Zadbam o to - odparła, poprawiając rude loki. - Postaram się, żeby nie

uciekła i żeby nam nie przeszkadzała.

Wyraźnie było widać, jak bardzo chce znów zobaczyć Toma.

- Ślicznie wyglądasz - zapewnił ją.

Uśmiech wziął górę nad niepokojem.

Betty zawzięcie machała ogonkiem i patrzyła na nich, gotowa iść tam gdzie oni.

- Chodź - powiedziała do niej Jennsen - na razie tu zostaniesz.

Chwyciła sznur i przytrzymała kózkę, a Richard z Kahlan u boku wyszedł z linii drzew i ruszył w górę skalnego występu. Ciemne, nisko wiszące chmury kryły wyższe partie okolicznych gór. Richard pomyślał, że kiedy nie widać niebotycznych ośnieżonych szczytów, wygląda to tak, jakby byli blisko dachu świata.

Wiatr na dole ucichł i drzewa stały nieruchomo, przez co kłębiące się masy chmur sprawiały wrażenie żywych. Wczorajsza śnieżycą minęła i nawet na krótko pojawiło się słońce, zmniejszając łąty śniegu na przełęczy. Ale nie sądził, by zobaczyli dziś słońce.

Olbrzymi kamienny strażnik czekał na szczycie szlaku, nieustannie patrząc na przełęcz i ku Filarom Świata. Kiedy do niego podeszli, Richard przyjrzał się niebu, lecz dostrzegł jedynie trochę niewielkich ptaków - muchołówek i białopierśnych kowalików - śmigających wśród pobliskich świerków. Ulżyło mu, że chyżoloty się nie pokazały, odkąd poszli tym pradawnym szlakiem przez przełęcz.

Pierwszej nocy, niżej na stoku, w gęstszych lasach, natrudzili się, budując przytulne schronienie. - Udało im się skończyć tuż przed zapadnięciem nocy. Rankiem następnego dnia Richard oczyścił ze śniegu posąg i jego podstawę.

Znalazł kolejne napisy.

Teraz wiedział więcej o człowieku, którego posąg ustawiono na przełęczy. Potem kolejny przelotny śnieg przykrył napisy, zasłonił dawno zapomniane słowa.

Kahlan pocieszająco dotknęła jego pleców.

- Posłuchają, Richardzie. Posłuchają cię.

Każdy oddech sprawiał mu ból. To się coraz bardziej nasilało.

- Lepiej, by tak się stało, bo inaczej nie zdobędę antidotum na tę truciznę. Wiedział, że sam tego nie dokona. Nawet gdyby potrafił przywołać swój

dar i władać magiczną mocą, i tak nie byłby w stanie czarami przepędzić Imperialnego Ładu z Bandakaru. Wiedział, że takie czyny są poza zasięgiem nawet najpotężniejszej magii. Magia - prawidłowo wykorzystywana - była jedynie narzędziem, podobnie jak jego miecz, stosowanym do osiągnięcia właściwego celu.

To nie magia przyniesie mu wybawienie. Magia to nie panaceum. Jeżeli ma mu się udać, powinien się posłużyć rozumem, by wymyślić, jak zatriumfować.

Nawet już nie wiedział, czy może nadal polegać na magii Miecza Prawdy. Ani kiedy zabije go własny dar. Czasami wyglądało to tak, jakby dar i trucizna szły w zawody, które go pierwsze wykończy.

Richard poprowadził Kahlan za posąg, na niewielkie wybrzuszenie skały na samym szczycie przełęczy - to tutaj chciał czekać na nadchodzących. Z tego miejsca mogli zaglądać przez luki między górami w głąb Bandakaru. W dole, na skraju płaskiego terenu, Richard wypatrzył Toma wiodącego tamtych pomiędzy drzewami, a potem szlakiem biegnącym zakosami w górę.

Tom, idąc już szlakiem, spojrzał ku górze i zobaczył Richarda i Kahlan. Spostrzegł, jak są ubrani i gdzie stoją, i nie pomachał do nich, bo uświadomił sobie, że byłoby to niestosowne. Richard widział między drzewami ludzi idących za Tomem - i oni ku nim patrzyli.

Chłopak nieznacznie uniósł miecz, sprawdzając, czy luźno siedzi w pochwie. Ponad nimi tłoczyły się olbrzymie ciemne chmury, jakby się zbierały ponad przełęczą, żeby wszystko obserwować.

Richard - dumnie wyprostowany, patrząc na leżący przed nim nieznany kraj - ujął dłoń Kahlan.

Trzymając się za ręce, czekali w milczeniu na to, co mogło się okazać początkiem walki, która albo na zawsze odmieni naturę świata, albo zakończy życie Richarda.

ROZDZIAŁ 40

Kiedy ludzie podążający za Tomem wyszli spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń, Richard z rozczarowaniem stwierdził, że jest ich mniej, niż zapowiadał Owen. Rozmasowując palcami zmarszczone czoło, wrócił na niewielki płaskowyż, gdzie czekała na niego Kahlan.

- Co się stało? - zatroskała się.

- Wątpię, czy prowadzą choć pięćdziesięciu.

Znow ujęła jego dłoń, starała się go pocieszyć.

- To przecież prawie pięćdziesięciu więcej, niż mamy.

Za nimi pojawiła się Cara i złożyła nieopodal to, co przyniosła. Stała przy lewym boku Richarda, po przeciwnej stronie niż Kahlan. Chłopak napotkał ponure spojrzenie Mord-Sith. Zastanawiał się, jak to jest, że ta kobieta zawsze wygląda tak, jakby była przekonana, iż wszystko pójdzie tak, jak ona sobie tego życzy, i już.

Tom wszedł na grań, tamci za nim. Był spocony z wysiłku po wspinaczce, a mimo to zdołał się radośnie uśmiechnąć, ujrawszy pojawiającą się z drugiej strony wzniesienia Jennsen. Odwzajemniła uśmiech i stanęła w cieniu, z boku, przy podstawie posągu.

Kiedy gromadka zaniedbanych mężczyzn dostrzegła Richarda - jego czarne spodnie i buty, czarną obramowaną złotem tunikę, szeroki skórzany pas, podbite skórą srebrne bransolety ze starożytnymi symbolami, błyszczącą srebrno-złotą pochwę miecza - stracili odwagę. A kiedy spojrzeli na stojącą obok niego Kahlan, cofnęli się i niepewnie kłaniali, nie wiedząc, czego się od nich oczekuje.

- Chodźcie tutaj - nakazał im Tom, zaganiając ich na płaski kawałek skały przed Richardem i Kahlan.

Owen szeptał do mężczyzn, idąc pomiędzy nimi, nakłaniał wszystkich, żeby podeszli do przyzywającego ich gestami Toma. Nieśmiało spełnili nakazy i przycłapali trochę bliżej, ale i tak stanęli w sporej - bezpiecznej - odległości od Richarda.

Kiedy się rozglądali, niepewni, co mają teraz robić, Cara postąpiła naprzód i wskazała Richarda.

- Oto lord Rahl - oznajmiła dźwięcznym głosem, który poniósł się nad

głowami zebranych na szczycie przełęczy - Poszukiwacz Prawdy dzierżący Miecz Prawdy, siewca śmierci, pan imperium D'Hary oraz mąż Matki Spowiedniczki.

Owi ludzie już wcześniej byli onieśmieleni i niepewni, przemowa Cary zaś jeszcze wzmogła ich odczucia. Odwrócili wzrok od Richarda i Kahlan, spojrzeli w przenikliwe oczy Mord-Sith i widząc w nich oczekiwanie, jak jeden mąż przyklękli na kolano i skłonili się przed chłopakiem.

Cara stanęła przed nimi i też uklękła. Tom w lot pojął przesłanie i zrobił to samo. Oboje pochylili się, dotykając czołem ziemi.

Ludzie Owena czekali w ciszy późnego poranka, dalej nie wiedząc, co mają robić.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu - powiedziała donośnie Cara, żeby wszyscy to usłyszeli. Czekala.

Tom obejrzał się przez ramię na jasnowłosych, obserwujących ich mężczyzn. Kiedy się zmarszczył z niezadowoleniem, pojęli, że mają ich naśladować. Opadli na oba kolana i pochylili się - za przykładem jego i Cary - aż dotknęli czołami chłodnego granitu.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu - zaczęła znowu Cara, ani na chwilę nie odrywając czoła od ziemi.

Tym razem, idąc za przykładem Toma, powtórzyli owe słowa.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu - rzekli, choć z całą pewnością nie był to zgrany chór głosów.

- Nauczaj nas, mistrzu Rahlu - ciągnęła Cara, kiedy już wszyscy wypowiedzieli początek przysięgi.

Powtórzyli to za nią, ale z wahaniem i dość nieskoordynowanie.

- Chroń nas, mistrzu Rahlu - powiedziała Cara.

Powtórzyli i te słowa, tym razem już bardziej unisono.

- Rozkwitamy w twojej chwale.

Wymamrotali to za nią.

- Osłania nas twoje miłosierdzie.

Powtórzyli.

- Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie.

I znów powtórzyli jej słowa.

- Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć.

Gdy skończyli, dźwięcznym głosem wypowiedziała ostatni wers:

- Nasze życie należy do ciebie.

Kiedy i to powtórzyli, wstała z klęczek i obrzuciła pałającym spojrzeniem ludzi Owena, nadal pochylonych w ukłonie, ale zerkających na nią.

- To słowa hołdu dla lorda Rahla. Teraz powtórzycie je za mną, trzykrotnie, jak należy to robić w polu.

I Cara dotknęła czołem ziemi u stóp Richarda.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Richard i Kahlan stali ponad tymi, którzy trzykrotnie wypowiadali słowa hołdu. Nie było to czcze przedstawienie, zaaranżowane przez Carę na użytek ludzi Owena. Słowa owego hołdu wypowiadano w ten sposób od tysięcy lat i Mord-Sith traktowała to bardzo poważnie.

- Możecie już powstać - rzekła do ludzi Owena.

Ostrożnie się podnieśli i - skuleni z niepokoju - czekali w milczeniu. Richard spojrział każdemu z nich w oczy, a potem zaczął:

- Jestem Richard Rahl. Ten, którego postanowiliście otruć i w ten sposób ujarzmić, zmusić do wypełnienia waszej woli. Popełniliście zbrodniczy czyn. Być może jest to waszym zdaniem działanie właściwe, usprawiedliwione lub też po prostu sposób perswazji, lecz nic nie daje wam prawa narażać na szwank lub odbierać życia komuś, kto ani was nie skrzywdził, ani skrzywdzić nie zamierzał. Taki postępek oraz tortury, gwałt i morderstwa to metody władania Imperialnego Ładu.

- My przecież nie chcieliśmy cię skrzywdzić - zawołał jeden z mężczyzn, przerażony, że Richard oskarża ich o tak potworną zbrodnię. Inni go poparli, tłumacząc, że Richard wszystko źle pojął.

- Uważacie, że jestem dzikusiem - rzekł tonem, który sprawił, że zamilkli i cofnęli się o krok. - Myślicie, że jesteście lepsi ode mnie i że to usprawiedliwia wasz czyn wobec mnie oraz próbę zrobienia tego samego Matce Spowiedniczce. Bo czegoś chcecie i, niczym nieznośne dzieci, oczekujecie, że wam to damy. Lub umrę. Żądacie ode mnie rzeczy trudnej ponad wasze wyobrażenie, przez co śmierć od trucizny staje się bardzo prawdopodobna. Taka jest prawda. Już byłem bliski śmierci od tej waszej trucizny. W ostatniej chwili odroczonej moją egzekucję, bo jeden z was podał

mi trochę antidotum. Moi najbliżsi i przyjaciele sądzili tamtej nocy, że już po mnie. Za waszą przyczyną. Z całą świadomością postanowiliście podać mi truciznę, tym samym akceptując fakt, że możecie się stać przyczyną mojej śmierci.

- Nie - upierał się ów człowiek, składając błagalnie dłonie. - Nigdy nie zamierzaliśmy cię skrzywdzić.

- Gdyby istotnie nic nie zagrażało mojemu życiu, to niby dlaczego miałbym spełnić wasze życzenie? Jeżeli naprawdę nie chcecie mojej krzywdy i nie zamierzacie mnie zabić, jeżeli odmówię waszej prośbie, udowodnijcie to i dajcie mi antidotum, żebym odzyskał życie. Bo to moje życie, nie wasze.

Tym razem nikt się nie odezwał.

- Nie? Sami więc widzicie, że jest tak, jak powiedziałem. Zdecydowaliście się albo na morderstwo, albo na pojmanie mnie. Mogę wybrać tylko jedno lub drugie. Nie mam ochoty dłużej słuchać o waszych intencjach. Intencje nie rozgrzeszają was z dokonanych uczynków. I uczynki, nie intencje, mówią prawdę o waszych zamiarach. - Splótł dłonie za plecami i przechadzał się z wolna przed ludźmi Owena. - Mógłbym zrobić to samo, co z taką lubością czynicie, i powiedzieć sobie, że nie wiem, czy cokolwiek z tego wszystkiego jest realne. Mógłbym postąpić tak, jak wy byście postąpili, i oświadczyć, że rozpoznanie, co jest realne, przerasta moje umiejętności, a w związku z tym odmówić stawienia czoła rzeczywistości. Jednak nie staram się umykać przed rzeczywistością i dlatego jestem Poszukiwaczem Prawdy. Jeżeli wybiera się życie, należy spojrzeć prawdzie w oczy. Zamierzam to zrobić. Zamierzam żyć. Wy zaś musicie dzisiaj zdecydować, co uczynicie, jaka będzie przyszłość wasza i waszych najbliższych. Jeżeli chcecie mieć w życiu szansę, musicie się zmierzyć z rzeczywistością, tak jak ja to robię. Jeżeli chcecie uzyskać to, czego pragniecie, to musicie dzisiaj spojrzeć w oczy prawdzie. - Wskazał na Owena. - Wydaje mi się, że mówiłeś, że jest tam liczniejsza grupa. Gdzie pozostali?

Owen wysunął się przed tamtych.

- Oddali się w ręce żołnierzy Ładu, lordzie Rahlu, żeby zapobiec przemocy.

Richard wbił w niego wzrok.

- Jak mogli uwierzyć, że to coś da, Owenie? Po tym wszystkim, o czym mi opowiedziałeś, po tym wszystkim, co i oni widzieli?

- Ale skąd niby mamy wiedzieć, że i tym razem nie położą to kresu przemocy? Nie nam poznawać prawdziwość rzeczywistości...

- Już ci mówiłem, że kiedy mówisz do mnie, masz się ograniczyć do podawania faktów, a nie klepać pozbawione znaczenia formułki, które wykułeś na pamięć. Jeżeli znasz konkretne fakty, to chcę o nich usłyszeć. Nie ciekawią mnie bzdurne frazesy.

Owen zsunął z ramion swój niewielki plecak. Poszperał w nim i wyjął mały płócienny woreczek. Wpatrzył się w niego i łzy napłynęły mu do oczu.

- Żołnierze Ładu dowiedzieli się, że niektórzy mężczyźni ukrywają się na wzgórzach. Jeden z nas miał trzy córki. Ktoś z miasta, żeby położyć kres nowej fali przemocy, wskazał je żołnierzom Ładu. A oni codziennie okręcali drutem inny palec jednej z nich. Przytrzymywali dziewczynę, a potem ciągnęli za drut, dopóki nie wyrwał jej palca. Powiedzieli jednemu z mieszkańców, żeby poszedł na wzgórze i dał te trzy palce naszym. Zjawiał się każdego dnia. - Owen wyciągnął woreczek ku Richardowi. - To palce każdej z jego córek. Człowiek, który przyniósł je naszym, był kompletnie otumaniony. Mówili, że już nie przypominał istoty ludzkiej. Mówił głuchym głosem. Powtarzał, co mu kazano powiedzieć. Postanowił, że skoro nic nie jest realne, to on niczego nie będzie widział i zrobi, co mu kazano. Oznajmił, że żołnierze Ładu mówili mu, że pewni mieszkańcy naszego miasta podali im imiona mężczyzn kryjących się na wzgórzach i że wtedy oni pojмали również ich dzieci. Zapowiedzieli, że jeżeli mężczyźni ci nie powrócą i nie oddadzą się w ich ręce, to zrobią to samo także ich dzieciom. Trochę ponad połowa naszych nie mogła znieść myśli, że staną się przyczyną takiej przemocy. Wrócili do miasta i poddali się żołnierzom Ładu.

- Dlaczego mi to dajesz? - spytał Richard.

- Bo chcę - odparł Owen nabrzmiałym łzami głosem - żebyś wiedział, dlaczego nasi ludzie nie mieli wyboru i musieli się poddać. Nie mogli znieść myśli, że przez nich ich najbliżsi musieliby cierpieć tak straszliwe męki.

Richard spojrział na przyglądających mu się smutnych i ponurych mężczyzn. Czuł, jak wzbiera w nim gniew, lecz nie okazał tego, kiedy się odezwał.

- Pojmuję, co chcieli osiągnąć ci ludzie, poddając się. Nie mogą ich za to winić. To nic nie da, ale nie potrafię ich winić za to, że desperacko chcieli ocalić od męki swoich najbliższych. - Pomimo gniewu mówił łagodnym

tonem. - Przykro mi, że ty i twoi ludzie doświadczacie takich krzywd z rąk Imperialnego Ładu. Ale jedno musicie zrozumieć: to jest realne, a Ład jest tego przyczyną. Twoi ludzie, bez względu na to, czy wypełniliby rozkaz Ładu czy nie, nie byliby przyczyną owej przemocy. Odpowiedzialność za przemoc spada wyłącznie na Ład. To nie wy na nich napadliście. Oni zjawili się u was, zaatakowali was, to oni zmieniają was w niewolników, torturują i mordują.

Większość ludzi Owena stała przygarbiona, skulona, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Czy ktoś z was też ma dzieci?

Kilku z nich skinęło głowami lub wydukało, że tak.

Richard przeczesał palcami włosy.

- To dlaczego i wy się nie oddaliście w ręce Ładu? Dlaczego jesteście tutaj, zamiast sposobem tamtych starać się powstrzymać przemoc i udrękę?

Popatrzyli po sobie, jedni zaambarasowani pytaniem, inni nie potrafiąc wyrazić słowami powodów. Ich twarze zdradzały żal, cierpienie, a nawet chwiejną determinację, lecz nie umieli znaleźć słów, żeby wyjaśnić, dlaczego nie oddali się w ręce Ładu.

Richard uniósł woreczek ze straszliwym skarbem, nie pozwalając im pominąć tej sprawy.

- Wszyscy o tym wiedzieliście. Dlaczego więc i wy nie wróciliście?

Wreszcie odezwał się jeden z nich:

- Podkradłem się o zachodzie na pola i pogadałem z pracującymi tam ludźmi. Popytałem, co się stało z tymi, którzy wrócili, a ten człowiek odrzekł, że wiele ich dzieci i tak już wywieziono. Inne poumierają. Wywieziono wszystkich, którzy wrócili ze wzgórz. Żadnemu z nich nie pozwolono wrócić do domu, do rodziny. Co dobrego by nam dał powrót?

- Istotnie, co dobrego? - mruknął Richard.

To był pierwszy znak, że dotarła do nich istota całej tej sytuacji.

- Musisz powstrzymać Ład - odezwał się Owen. - Musisz dać nam wolność. Po co kazałeś nam tu przyjść?

Richard podupadł na duchu. Może i częściowo pojęli prawdę o swoich tarapatkach, lecz z całą pewnością nie brali pod uwagę żadnego konkretnego rozwiązania. Chcieli jedynie, żeby ich ocalono. Nadal oczekiwali, że ktoś to za nich zrobi. Ktoś, czyli Richard.

Całej grupie najwyraźniej ulżyło, że Owen wreszcie o to zapytał; sami nie

mieli śmiałości. Czekali, a niektórzy nie mogli się powstrzymać od zerkania na stojącą z tyłu Jennsen. Większość z nich niepokoiła również tkwiąca za Richardem olbrzymia statua. Widzieli jedynie tył posągu i nie mieli pojęcia, co to takiego.

- Bo jeżeli mam spełnić wasze żądanie - odparł w końcu Richard - to powinniście zrozumieć wszystko, co tu wchodzi w grę. Spodziewacie się, że zwyczajnie to dla was zrobię. Ale sam nie dam rady. Będziecie mi musieli w tym pomóc lub nic nie ocali ani was, ani waszych najbliższych. Jeżeli ma się nam udać, będziecie się musieli postarać, by reszta waszych ziomków pojęła to, co mam wam do powiedzenia. Przebyliście całą tę drogę, aż tyle wycierpieliście, przyjęliście pewną odpowiedzialność. Uświadomiliście sobie, że jeżeli zrobicie to samo, co próbowali zrobić wasi przyjaciele, jeżeli wykorzystacie te same bezużyteczne sposoby, to i was zamienią w niewolników lub uśmiercą. Kończą się wam możliwości wyboru. Postanowiliście przynajmniej spróbować odnieść sukces, spróbować uwolnić się od zwyrodniałców mordujących i uciskających waszych ziomków. Jesteście ich ostatnią szansą... ich jedyną szansą. Musicie teraz wysłuchać reszty tego, co mam wam do powiedzenia, a potem zdecydować, jaka ma być wasza przyszłość.

Wynędziali, zarośnięci, odziani w brudne i podniszczone ubrania mężczyźni, po których widać było, jak ciężko się im żyło na wzgórzach, skinęli głowami na zgodę lub powiedzieli, że go wysłuchają. Miny niektórych z nich świadczyły, jaką ulgą jest dla nich to, że przemawiał do nich tak bezpośrednio i uczciwie. Kilku wręcz niecierpliwie czekało na jego słowa.

ROZDZIAŁ 41

- Trzy lata temu, licząc od nadchodzącej jesieni - zaczął Richard - mieszkałem w Hartlandzie. Byłem leśnym przewodnikiem. Wiodłem spokojne życie w miejscu, które najbardziej kochałem. Niewiele wiedziałem o świecie otaczającym moje rodzinne strony. Właściwie byłem jak wy przed nadejściem Ładu, pojmuję więc, jakie uczucia wywołały w was te wszelkie zmiany. Jak wy żyłem za granicą, która ochroniła nas przed tymi, którzy nam źle życzyli.

Ludzie Owena, podekscytowani, zaczęli szeptać między sobą. Byli wyraźnie zdumieni i zadowoleni, że są w tym do niego podobni, że łączą ich z nim tak zasadnicze sprawy.

- A co stało się potem? - zapytał jeden z nich.

Richard nie zdołał powściągnąć uśmiechu.

- Pewnego razu w moich lasach pojawiła się Kahlan. - Wskazał ją. - Jej ziomkowie, podobnie jak wy, wpadli w poważne tarapaty. Potrzebowała pomocy. Ale zamiast mnie struć, opowiedziała mi wszystko, ostrzegła, że kłopoty nadciągają również ku nam. Tak jak w waszym przypadku, zniknęła granica chroniąca jej ziomków i jej rodzinne ziemie najechał tyran. Przyniosła ostrzeżenie, że ten człowiek wkrótce dotrze i do naszych ziem i ujarzmi moich ziomków, przyjaciół, najbliższych.

Twarze wszystkich zwróciły się ku Kahlan. Przyglądali się jej otwarcie, jakby ją pierwszy raz zobaczyli. Zdumiało ich, że ta posągowa kobieta mogła być dzikuską, jak myśleli o obcych, i mieć takie same kłopoty jak oni. Richard pomijał całe fragmenty opowieści. Chciał, żeby była na tyle prosta, by ją zrozumieli.

- Obwołano mnie Poszukiwaczem Prawdy i dano ten oto miecz, by wspomagał mnie w tych doniosłych zmaganiach. - Wysunął do połowy klingę z pochwy, żeby ujrzeli lśniąca stal. Wielu skrzywiło się na widok takiego oręża. - Razem z Kahlan walczyliśmy, żeby powstrzymać człowieka, który chciał nas zmienić w niewolników lub zniszczyć. Była moją przewodniczką w obcym dla mnie kraju i pomagała mi nie tylko w walce z tymi, którzy chcieli nas zabić, ale i w zrozumieniu świata, o którym do tej pory nie miałem pojęcia. Otworzyła mi oczy na to wszystko, co się

znajdowało poza granicą chroniącą mnie i moich ziomków. Pomogła mi dostrzec nadciągające mroki tyranii i poznać prawdziwą stawkę walki: samo życie. Dzięki niej sprostąłem wyzwaniu. Gdyby nie ona, byłbym już martwy, wielkie rzesze ludzi zaś też by nie żyły lub wegetowały w niewoli.

Richard musiał się od nich odwrócić. Ogarnęły go bolesne wspomnienia, myśli o poległych w walce. O tak ciężko okupionych zwycięstwach.

Wsparł się o posąg, rozpamiętując straszliwą śmierć George'a Cyphera, człowieka, który go wychował i którego - aż do owych czasów walki - uważał za swojego ojca. Znow poczuł tamten przeraźliwy ból. Grozę chwili, w której zdał sobie sprawę, że już nigdy nie ujrzy tego, kogo całym sercem kochał. Aż do dziś nie pamiętał, jak bardzo mu go brakowało.

Odzyskał panowanie nad sobą i ponownie spojrzął na ludzi Owena.

- W końcu, wyłącznie dzięki pomocy Kahlan, wygrałem walkę z owym tyranem, o którego istnieniu w ogóle nie wiedziałem, dopóki nie zjawiała się w moich lasach i nie ostrzegła mnie. Tym człowiekiem był Rahl Posępny, mój ojciec, którego nie znałem.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem.

- Nie wiedziałeś o nim? - zapytał ze zdumieniem jeden z nich.

Richard pokręcił głową.

- To bardzo długa historia. Może innym razem wam to wszystko opowiem. Teraz mówię tylko o tym, co się łączy z wami i waszymi najbliższymi, których zostawiliście w domach.

Przechadzał się przed nimi, patrząc w ziemię i namyślając się.

- Zabiłem Rahla Posępnego, żeby on nie zabił mnie i moich najbliższych. Torturował i zamordował niezliczone rzesze ludzi i już za to tylko zasłużył na śmierć, ale musiałem go zabić, bo inaczej on zabiłby mnie. Nie wiedziałem wtedy, że jest moim ojcem i że zabijając go, jako jego dziedzic, zostanę nowym lordem Rahlem. Gdyby wiedział, kim jestem, to może by mnie nie próbował zgładzić. Ale nie wiedział. Miałem informacje, których pragnął. Zamierzał wydobyć je ze mnie mękami, a potem mnie zabić. Jednak to ja zabiłem jego. Od tamtej pory bardzo wiele się nauczyłem. A to, czego się dowiedziałem, łączy nas - wskazał na nich, a potem położył dłoń na sercu i spojrzął im w oczy - w sposób, który musicie pojąć, jeżeli macie zwyciężyć w tej nowej walce. Kraj, w którym dorastałem, kraj Kahlan oraz ziemie D'Hary tworzą Nowy Świat. Jak się dowiedzieliście, rozległe tereny poza miejscem,

w którym dorastaliście, są zwane Starym Światem. Kiedy zostałem lordem Rahlem, bariera chroniąca nas przed Starym Światem zniknęła, tak jak zniknęła i wasza granica. Imperator Jagang, wódz Imperialnego Ładu ze Starego Świata, wykorzystał tę okazję i najechał Nowy Świat, moją ojczyznę oraz wasze ziemie. Ponad dwa lata już walczyliśmy z nim i jego wojskami. Staraliśmy się ich pokonać lub przynajmniej odepchnąć do Starego Świata. Owa nie istniejąca już bariera chroniła nas przed Ładem i podobnymi mu ludźmi przez blisko trzy tysiące lat, czyli dłużej, niż wy byliście chronieni. Zanim powstała u kresu wielkiej wojny, ówczesny wróg ze Starego Świata posłużył się magią i stworzył istoty zwane Nawiedzającymi Sny.

Znowu zaczęli szeptać. Słyszeli tę nazwę, lecz nie całkiem ją rozumieli i zastanawiali się, co też może oznaczać.

- Nawiedzający Sny - wyjaśnił Richard, kiedy ucichli - mogli wnikać w czyjś umysł i kontrolować taką osobę. Nie było przed nimi obrony. Kiedy Nawiedzający Sny wniknął w twój umysł, stawałeś się jego niewolnikiem i nie mogłeś nie wykonać jego rozkazów. Ówczesni ludzie byli zrozpaczeni. Jeden z moich przodków, Alric Rahl, wynalazł sposób na to, żeby chronić umysły przed Nawiedzającymi Sny. Był nie tylko lordem Rahlem, który władał wtedy D'Hara, ale i wielkim czarodziejem. Dzięki swojemu magicznemu kunsztowi stworzył formułę hołdu, która wypowiedziana formalnie lub w prostszej formie, ale szczerze i z serca, chroniła umysły ludzi przed Nawiedzającymi Sny. Magiczna więź Alrica Rahla z jego poddanymi, powstająca dzięki owej formule, chroniła umysły D'Harańczyków. Słowa, któreście wszyscy wypowiedzieli, są formalną deklaracją owej więzi, owego hołdu. Lud D'Hary od trzech tysięcy lat składa go swojemu lordowi Rahlowi.

Kilku mężczyzn wysunęło się naprzód, miny mieli niespokojne.

- I jesteśmy chronieni przed Nawiedzającymi Sny, lordzie Rahlu, skoro złożyliśmy tę przysięgę? Nawiedzający Sny nie mogą już wnikać w nasze umysły i opętać nas?

Chłopak potrząsnął głową.

- Wy i wasi ziomkowie nie potrzebujecie ochrony. Już jesteście w pewien sposób zabezpieczeni.

Ludzie Owena poczuli ulgę. Niektórzy zacisnęli dłoń na ramieniu sąsiada lub dotknęli pleców przyjaciela. Sprawiali wrażenie, iż obawiali się,

że Nawiedzający Sny na nich dybią i że w ostatniej chwili zostali przed nimi ocaleni.

- Ale jak możemy być chronieni? - zapytał Owen.

Richard głęboko wciągnął powietrze i powoli je wypuścił.

- To właśnie w pewien sposób nas łączy. Według mojego rozumienia magia, żeby działać, potrzebuje przeciwwagi.

Pokiwali znacząco głowami, jakby ci pozbawieni nawet iskierki magii mężczyźni dogłębnie ją rozumieli.

- Odkąd Alric Rahl posłużył się magią, żeby stworzyć więź chroniącą jego lud - podjął Richard - już zawsze musiał istnieć lord Rahl spajający ów łańcuch, utrzymujący jego moc. Nie wszyscy czarodzieje płodzą dzieci, które dziedziczą po nich magiczny dar. Alric Rahl, tworząc ową więź, musiał więc w nią wbudować czar zapewniający, że lord Rahl zawsze spłodzi obdarzonego magiczną mocą dziedzica, który podtrzyma więź z ludem D'Hary. Dzięki temu ludzie zawsze będą chronieni. - Richard uniósł palec, podkreślając wagę swych słów, i powiódł wzrokiem po grupce mężczyzn. - Nie wiadano jednak wówczas, że owa magia automatycznie stworzyła własną przeciwwagę. Lord Rahl zawsze miał obdarzonego magiczną mocą dziedzica, takiego jak on czarodzieja, ale dopiero później stwierdzono, że od czasu do czasu płodził też potomków całkowicie pozbawionych daru.

Ich miny świadczyły, że ni w ząb nie pojmują tego, co do nich mówi. Pomyślał, że ludziom żyjącym w takiej izolacji jego opowieść musiała się wydawać bardzo zagmatwana, a może i naciągana. Pamiętał swoje zadziwienie magią, kiedy spotkał Kahlan, nim zniknęła granica. Wychowywał się bez magii i nadal niewiele z niej rozumiał. Urodził się z darem obu magii, a przecież nie wiedział, jak ów dar kontrolować.

- Tylko niektórzy ludzie mają magiczną moc - powiedział - czyli dar, jak to się nazywa. Ale wszyscy rodzą się chociaż z małą iskierką magii, nawet jeżeli nie mogą czarować. Aż do niedawna uważano owych ludzi za pozbawionych daru. Pojmujecie? Mający dar, czarodzieje i czarodziejki, potrafią się posługiwać magią, czarować, pozostali zaś nie, więc sądzono, że są pozbawieni daru. Okazało się jednak, że wcale tak nie jest, bo w każdym człowieku tkwi malusieńka iskierka magicznego daru. I to właśnie dzięki owej malusieńkiej iskierce mogą oni wchodzić w relacje z magią otaczającego ich świata, to znaczy z przedmiotami i istotami mającymi

magiczne właściwości oraz z ludźmi mającymi dar w szerszym znaczeniu, to znaczy potrafiącymi posługiwać się magią.

- Niektórzy w Bandakarze też potrafią czarować - odezwał się jeden z mężczyzn. - Jest w nich prawdziwa magia. Tylko ci, którzy nigdy nie widzieli...

- Nie - przerwał mu Richard. Nie chciał, żeby stracili wątek jego opowieści. - Owen opowiedział mi, co wy uważacie za magię. To nie magia, to mistycyzm. Nie o tym mówię. Mówię o prawdziwej magii dającej rzeczywiste efekty w rzeczywistym świecie. Zapomnijcie o tym, czego was uczono o magii, o tym, że wiara ponoć tworzy to, w co wierzycie i co uważacie za prawdziwą magię. To nie jest prawdziwe. To jedynie dziwaczna ułudą magii w ludzkiej wyobraźni.

- Ależ to jest realne - odezwał się ktoś z respektem, lecz zdecydowanie. - Bardziej realne niż to, co widzisz i odczuwasz.

Richard spojrzał na nich surowo.

- Skoro to takie realne, dlaczego musieliście mi podać truciznę sporządzoną przez człowieka, który całe życie zajmował się ziołami? Bo wiecie, co jest realne, ot co. Kiedy coś ma zasadnicze znaczenie dla was, dla waszego życia, uciekacie się do rzeczywistych działań, do tego, co na pewno odniesie zamierzony skutek. - Wskazał im Kahlan. - Matka Spowiedniczka ma prawdziwy magiczny dar. To nie jakaś tam klątwa, którą się na kogoś rzuca, i kiedy ten ktoś umiera dziesięć lat później, to ludzie uważają, że właśnie owa klątwa go zabiła. Moc Matki Spowiedniczki jest prawdziwa, w elementarny sposób sprzężona ze śmiercią, więc podziela nawet na was. Matka Spowiedniczka może dotknąć kogoś swoją mocą, swoją prawdziwą magiczną mocą, i taka osoba natychmiast umrze. Nie za dziesięć lat, lecz na miejscu, w jednej chwili. - Zdeterminowany, stał przed nimi i kolejno patrzył im w oczy. - Jeżeli ktoś nie wierzy, że to prawdziwa magia, to zrobmy próbę. Niech się posłuży taką opartą na wierze magią i rzuci na mnie urok mający mnie natychmiast uśmiercić. A potem niech ta osoba wystawi się na dotknięcie prawdziwą, śmiercionośną mocą Matki Spowiedniczki. Wszyscy ujrzą efekty i sami będziecie mogli to ocenić. - Powiódł wzrokiem po ich twarzach. - Kto chętny do takiej próby? Który czarownik spomiędzy was, pozbawionych daru, chce spróbować?

Milczeli i nikt się nie zgłosił, więc Richard podjął:

- Wygląda jednak na to, że macie pewne pojęcie o tym, co jest realne, a co nie. Miejcie to na uwadze. Uczcie się na tym. Jak już wam mówiłem, lord Rahl zawsze płodzi mającego dar syna i temu to dziedzicowi przekazuje władzę nad D'Harą oraz zdolność podtrzymywania magicznej więzi. Ale, jak również mówiłem, owa więź stworzona przez Alrica Rahla wywołuje niezamierzone skutki. Przekonano się bowiem po jakimś czasie, że - zapewne dla przeciwwagi - rodzi się potomstwo całkowicie pozbawione daru. Nie w tym sensie jak zwykli ludzie, lecz naprawdę pozbawione najdrobniejszej choćby iskierki magii. Ci nieskażeni magią ludzie w ogóle nie mają daru. I z tego to powodu nie mogli i nie mogą wchodzić w relacje z prawdziwą magią w otaczającym ich świecie. Magia nie wywiera na nich najmniejszego wpływu. Dla nich magia mogłaby w ogóle nie istnieć, bo od urodzenia pozbawieni są zdolności dostrzegania jej czy reagowania na nią. Można by rzec, że są jak ptak, który nie potrafi latać. Wyglądają jak ptaki, są upierzeni, jedzą owady, lecz fruwać nie potrafią. W owych to czasach, trzy tysiące lat temu, już po stworzeniu więzi chroniącej ludzi przed Nawiedzającymi Sny, czarodziejom udało się wreszcie ustanowić barierę pomiędzy Starym a Nowym Światem. I wielka wojna się skończyła, bo ci ze Starego Świata nie mogli już atakować tych z Nowego Świata. Nareszcie zapanował pokój. Jednak mieszkańcy Nowego Świata przekonali się, że mają pewien problem. Owi nieskażeni magią potomkowie lorda Rahla przekazywali tę cechę swoim dzieciom. Jeżeli choć jedno z rodziców pozbawione było magii, to wszystkie ich dzieci zawsze dziedziczyły tę cechę. A ponieważ te dzieci również miały dzieci, a potem wnuki i prawnuki, ludzi nieskażonych magią było coraz więcej. Żyjący w tamtych czasach przerazili się, bo byli zależni od magii. Stanowiła część ich świata. Ratowała ich przed Nawiedzającymi Sny. Stworzyła barierę chroniącą ich przed hordami ze Starego Świata. Dzięki niej skończyła się wojna. Magia uzdrawiała ludzi, odnajdywała zgubione dzieci, tworzyła wspaniałe dzieła sztuki, które dawały radość i inspirowały. Mogła ułatwiać orientację w przebiegu przyszłych wydarzeń. Niektóre miasta powstały więc wokół osoby mającej magiczny dar, który mógł służyć ludziom. Wielu mających dar zarabiało na życie, świadcząc takie usługi. W pewnych przypadkach magia pozwalała zapanować nad przyrodą i tym samym ułatwiała bytowanie. Dzięki magii poprawiały się warunki życia niemal wszystkich ludzi. Magia stanowiła siłę

napędową indywidualnej kreatywności, a tym samym i osiągnięć. Niemal każdy czerpał z niej korzyści. To nie znaczy, że była lub jest niezbędną i niezastąpioną, lecz że była użytecznym narzędziem. Magia była niczym ich prawa ręka. Jednak to umysł człowieka, a nie magia, jest niezastąpiony: możecie przeżyć bez prawej ręki, ale nie bez umysłu. Lecz magia tak się wplotła w życie wszystkich, że wielu uważało, iż jest absolutnie niezastąpiona i niezbędna. Ówczesnych ludzi ogarnęło poczucie, że to nowe zagrożenie, ów coraz powszechniej występujący całkowity brak daru, może położyć kres wszystkiemu, co znali, co uważali za ważne. Że zniszczy ich najważniejszą osłonę: magię.

Richard powiódł wzrokiem po ich twarzach, upewniając się, że pojęli sedno opowieści, że zrozumieli, jak bardzo tamci ludzie musieli być zdesperowani i dlaczego.

- I co zrobili w sprawie tych nieskażonych magią? - zapytał ktoś z tyłu.

Chłopak spokojnie odpowiedział:

- Coś okropnego.

Ze skórzanej sakwy u pasa wyciągnął książkę i podniósł ją wysoko, żeby wszyscy zobaczyli. Znowu chodził tam i z powrotem przed grupką mężczyzn. Chmury, ociążałe zapowiedzią śnieżyc, płynęły cicho przez lodowatą przełęcz, zdążając ku okolicznym szczytom.

- Ta książka nosi tytuł *Filary Świata*. Bo właśnie tak czarodzieje z tamtych czasów nazywali owych nieskażonych magią ludzi. Nazywali ich Filarami Świata, albowiem przekazując tę cechę swojemu potomstwu, mogli odmienić naturę rodzaju ludzkiego. Stanowili zaczątek zupełnie nowych ludzi, ludzi nie mających żadnego powiązania z magią. Dopiero niedawno natrafiłem na tę książkę. Przeznaczona jest dla lorda Rahla oraz innych, żeby się dowiedzieli o istnieniu tych nieskażonych magią ludzi, na których magia nie wywiera żadnego wpływu. Książka opowiada o tym, skąd się ci ludzie wzięli, oraz o tym, czego się na ich temat dowiedziano. Ujawnia również, jak żyjący przed tysiącami lat poradzili sobie z problemem Filarów Świata.

Richard z wolna przechadzał się przed grupką mężczyzn, a oni rozcierali zmarznięte ręce. Opowieść wyraźnie ich wciągnęła.

- I co zrobili? - spytał Owen.

Chłopak zatrzymał się i długo patrzył im w oczy, zanim odparł:

- Wypędzili ich.

Dały się słyszeć pełne zdziwienia szepty. Zaszokowało ich tak bezwzględne rozwiązanie. Pojmowali, co to wygnanie, pojmowali to aż za dobrze i potrafili współczuć tym wygnańcom sprzed tysięcy lat.

- To okropne - odezwał się stojący z przodu mężczyzna, potrząsając głową.

Inny się zachmurzył i uniósł rękę.

- Czy ci zwani Filarami Świata nie byli spokrewnieni z niektórymi z ówczesnych ludzi? Nie byli mieszkańcami miast? Czy inni nie smucili się, wypędzając ich?

Richard skinął głową.

- Tak. Byli przyjaciółmi i należeli do tych samych rodzin. Owi wypędzeni byli kimś ważnym dla bardzo wielu swoich ziomków. Książka opowiada, z jak ciężkim sercem przyjęto decyzję o losie nieskażonych magią ludzi. To musiały być okropne chwile, straszliwy wybór, który nikomu nie przypadł do gustu. Jednak ci, którzy wówczas rządzili, byli zdania, że muszą wygnać tych ludzi, jeżeli chcą zachować dotychczasowy tryb życia, ocalić magię i to, co dla nich oznaczała, oraz zachować tę cechę, zamiast cenić życie każdego człowieka bez względu na to, czy ją ma czy nie. Co więcej, nakazali również uśmiercać każdego przyszłego potomka lorda Rahla, z wyjątkiem obdarzonego magiczną mocą dziedzica, żeby mieć pewność, że już nigdy nie pojawi się pomiędzy nimi żaden Filar Świata.

Tym razem nikt nie szeptał. Zasmuciła ich historia owych tajemniczych ludzi i okrutna decyzja co do ich losów. Wszyscy zwiesili głowy i rozmyślali o tym, co się musiało dziać w tak ponurych chwilach.

W końcu jeden z nich uniósł głowę. Zmarszczył czoło. I wreszcie zadał pytanie, którego Richard się spodziewał, na które czekał:

- Ale gdzie wypędzono te Filary Świata? Gdzie ich odesłano?

Richard patrzył, jak pozostali podnosili wzrok, zaciekawieni ową tajemnicą historii, czekając, żeby podjął opowieść.

- Magia nie działała na tych ludzi - przypomniał im. - Abariera odgradzająca Stary Świat była magiczna.

- Wysłali ich przez tę barierę? - zgadł któryś z nich.

Richard przytaknął.

- Wielu czarodziejów zmarło, oddając swoją moc barierze mającej

chronić ich ziomków przed mieszkańcami Starego Świata, którzy chcieli nimi rządzić i wypłenić magię. To była główna przyczyna wojny: ci ze Starego Świata chcieli pozbawić ludzi magii. No i mieszkańcy Nowego Świata wysłali tych nieskażonych magią przez barierę do Starego Świata. Nigdy się nie dowiedzieli, co się stało z wypędzonymi, z ich przyjaciółmi, ukochanymi i bliskimi, bo ci odeszli za barierę, której nikt z pozostałych nie mógł przekroczyć. Uważano, że zaczną nowe życie, rozpoczną wszystko od nowa. Jednak przez tę barierę odgradzającą od wrogiego terytorium ludzie z Nowego Świata nigdy się nie dowiedzieli, co spotkało wypędzonych. Owa bariera w końcu zanikła przed paroma laty. Jeżeli wypędzeni ułożyli sobie jakoś życie w Starym Świecie, to powinni mieć potomstwo i przekazać dalej swoją cechę, całkowity brak magii. - Richard wzruszył ramionami. - Tymczasem nie ma tu po nich śladu. Tutejsi ludzie są tacy sami jak w Nowym Świecie: niektórzy rodzą się z magiczną mocą, a wszyscy mają choćby małą iskierkę daru, dzięki której reagują na magię. Ci ludzie z pradawnych czasów zniknęli.

- Czyli teraz już wiemy - odezwał się zapatrzony przed siebie, zadumany Owen - że wszyscy ci dawno temu wygnani do Starego Świata tragicznie zmarli... lub może zostali zabici.

- Też tak sądziłem - odezwał się Richard. Wpatrzył się w stojącą przed nim grupkę, czekając, aż wszyscy na niego spojrzą, i dopiero wtedy dodał: - Ale potem ich odnalazłem. Odnalazłem tych dawno zaginionych ludzi.

Znów szeptali podekscytowani. Wyraźnie ich ucieszyło, że tamci przetrwali mimo wszelkich przeciwności.

- Gdzież więc oni są, lordzie Rahlu? - spytał jeden z nich. - Gdzież są ci, z którymi masz wspólnych przodków? Ci, którzy musieli znieść wygnanie i późniejszy ciężki los?

Richard spojrzał na nich przenikliwie.

- Chodźcie ze mną, a opowiem wam, co się stało z owymi ludźmi.

Poprowadził ich przed posąg - po raz pierwszy mogli się dokładnie przyjrzeć kamiennemu strażnikowi. Oniemieli z wrażenia. A potem zaczęli żywo rozprawiać, jak to prawdziwie wygląda, jak znakomicie oddano wyraziste i zdecydowane rysy owego człowieka.

Ton ich głosów oraz to, co mówili, zdradziły Richardowi, iż nigdy przedtem nie widzieli żadnego posągu, a przynajmniej żadnego tak

monumentalnego jak ten. Zdawało się im, że owa statua musi być dziełem magii, a nie - o czym wiedział Richard - świadectwem talentu człowieka.

Chłopak położył dłoń na chłodnej kamiennej podstawie rzeźby.

- To starożytny posąg Kaja-Rang czarodzieja ze Starego Świata. Wyrzeźbiono go między innymi po to, żeby uczcić owego człowieka, który był wielkim i potężnym czarodziejem.

Owen uniósł rękę na znak, że chce coś wtrącić.

- A ja myślałem, że mieszkańcy Starego Świata chcieli się pozbyć magii. Po co im był wielki czarodziej i niby czemu chcieli mu złożyć taki hołd?

Richard uśmiechnął się, zadowolony, że Owen wychwycił tę sprzeczność.

- Ludzie nie zawsze postępują konsekwentnie. Co więcej, im bardziej irracjonalne są wierzenia, tym bardziej rzucają się w oczy owe sprzeczności. Wy na przykład staracie się zatuszować nielogiczność swojego postępowania, wybiórczo stosując wpojone wam zasady. Głosicie, że nic nie jest realne, że nie możemy poznać prawdziwej natury rzeczywistości, a mimo to boicie się tego, co Ład wam robi. Na tyle wierzycie w realność ich uczynków, że chcecie im położyć kres. Gdyby nic nie było realne, nie mielibyście powodu pragnąć powstrzymania Imperialnego Ładu. Prawdę mówiąc, próby powstrzymania Ładu są sprzeczne z głoszonymi przez was zasadami. Sprzeczne z waszymi zasadami jest także uznanie obecności Ładu nie tylko za realną, ale i szkodliwą, bo głosicie, że poznanie rzeczywistości przerasta człowieka. A przecież uznajecie realność tego, co spotyka was z rąk Ładu, i doskonale wiecie, że jest to straszliwe i odrażające, więc wybiórczo zawiesiliście zasady wynikające z waszych wierzeń i wysłaliście Owena, żeby mnie otruli, aby zmusić mnie do załatwienia za was całkiem realnego problemu.

Słowa Richarda jednych zdezorientowały, innych speszyły. A jeszcze innych zdumiały. Nikt nie miał ochoty podjąć dyskusji, więc mu nie przerwali.

- Mieszkańcy Starego Świata byli i nadal są tacy sami. Głosili, że nie chcą magii, lecz kiedy mogli się jej pozbyć, okazało się, że nie chcą bez niej żyć. Imperialny Ład też taki jest. Wdarli się do Nowego Świata, głosząc, że chcą uwolnić rodzaj ludzki od magii i że są szlachetni, ponieważ do tego dążą, a przecież dążąc do owego celu, posługują się magią. Utrzymują, że magia to zło, a mimo to skwapliwie z niej korzystają. Ich wódz, imperator Jagang,

zmusza mających dar, by mu pomagali w osiągnięciu celów, wśród których jest też wykorzenienie magii. Jagang jest Nawiedzającym Sny, wywodzi się z owych pradawnych Nawiedzających Sny. To magiczna umiejętność, a przecież w jego pojęciu nie dyskwalifikuje go jako wodza imperium. Chociaż sam jest obdarzony magiczną umiejętnością, która, jak głosi wszem i wobec, odbiera ludziom prawo do przyszłości, zwie siebie Jagangiem Sprawiedliwym. Wbrew temu, co głoszą, chodzi im wyłącznie o władzę nad ludźmi. Dążą do władzy, lecz ubierają to w szlachetnie brzmiące słowa. Każdy tyran uważa, że jest inny. A wszyscy są tacy sami. To przemoc wynosi ich do władzy i przy niej utrzymuje.

Owen zmarszczył brwi, starając się to wszystko pojąć.

- Czyli ci w Starym Świecie wcale nie żyli zgodnie z tym, co głosili, z tym, w co wierzyli. Żyli w rozdarciu. Przekonywali, że człowiek będzie lepszy bez magii, ale stale chcieli się magią posługiwać.

- Otóż to.

Owen wskazał posąg.

- No to co w takim razie z tym człowiekiem? Dlaczego jest tutaj, skoro był przeciwny temu, co głosili?

Nad ogromnym posągiem przepływały czarne chmury. Powietrze było nieruchome, zimne, ciężkie, wilgotne. Miało się wrażenie, że burza ociąga się, bo chce usłyszeć resztę.

- Ten człowiek jest tutaj dlatego, że starał się ocalić mieszkańców Starego Świata od czegoś, czego się bali bardziej niż magii - rzekł Richard. Spojrzał na wyrażającą zdecydowanie i nieugiętość twarz po wsze czasy zwróconą ku miejscu zwanemu Filarami Świata. - Ten człowiek - podjął spokojnym tonem - czarodziej Kaja-Rang, zebrał wszystkich nieskażonych magią, których wypędzono z Nowego Świata, oraz tych, którzy się do nich przyłączyli już w Starym Świecie, i odesłał ich tutaj. - Wskazał w przestrzeń, za posąg. - Umieścił tych wszystkich ludzi tutaj, na ziemiach otoczonych górami, a potem postawił przed nimi granicę śmierci przegradzającą tę przełęcz, żeby już nigdy nie mogli stąd wyjść i żyć wśród innych mieszkańców świata. Kaja-Rang nazwał owych ludzi Bandakarczykami. Słowo *bandakar* pochodzi z pradawnego języka zwanego górnod'harańskim. Znaczą „wypędzeni”. To ów człowiek, Kaja-Rang, zamknął ich na tych ziemiach i ocalił swój lud przed nieskażonymi magią, przed tymi, którzy nie mieli najmniejszej iskiereki

daru. Wy zaś jesteście potomkami owych wypędzonych. Jesteście potomkami Alrica Rahla oraz wypędzonych do Starego Świata. Wszyscy jesteście potomkami rodu Rahlów. Wy i ja mamy tych samych przodków. Jesteście wypędzonymi.

Na szczycie przełęczy, przed posągiem Kaja-Ranga, zaległa martwa cisza. Ludzie Owena byli zszokowani.

A potem rozpętało się pandemonium. Richard nie próbował ich powstrzymać, uciszyć. Stał tuż obok Kahlan i pozwolił im się z tym oswoić. Chciał, żeby mieli dość czasu na pojęcie całej okropności tego, co im powiedział.

Jedni wyrzucili w górę ramiona i głośno wyrażali oburzenie tym, co usłyszeli; inni zawodzili przerażeni ową opowieścią; niektórzy szlochali z rozżalenia; wielu dyskutowało; kilku podawało w wątpliwość pewne punkty, a inni je im wyjaśniali; jeszcze inni zaś powtarzali sobie kluczowe fragmenty, jakby chcieli raz jeszcze usłyszeć te słowa i sprawdzić je, zgadzając się w końcu, że istotnie mogło tak być.

Wszyscy z wolna zaczęli pojmować, co właściwie usłyszeli. Zaczynała do nich docierać prawda zawarta w tej opowieści. Paplając niczym sroki, mówiąc równocześnie, wyrażali niewiarę, oburzenie, zdziwienie i nawet strach, kiedy doszli wreszcie do ekscytującej konkluzji, kim tak naprawdę są.

Otrząsnęli się ostatecznie z pierwszego szoku. Kilku z nich uciszyło pozostałych i wszyscy znów spojrzeli na Richarda, paląc się do usłyszenia reszty.

- Ty jesteś tym mającym dar człowiekiem, uprzywilejowanym dziedzicem, lordem Rahlem, a my jesteśmy wypędzonymi przez ciebie podobnych - powiedział jeden z nich, wyrażając na głos ich wspólne obawy, pytanie, co to dla nich będzie oznaczało.

- To prawda - rzekł Richard. - Jestem lordem Rahlem, władcą imperium D'Hary, wy zaś jesteście potomkami wypędzonych Filarów Świata. Mam dar, jak moi przodkowie, jak każdy lord Rahl przede mną. Wy jesteście nieskażeni magią, jak wasi przodkowie.

Stojąc przed posągiem Kaja-Ranga, człowieka, który ich wypędził, spojrzął na pełne napięcia twarze tych mężczyzn.

- Owo wypędzenie było godnym pożałowania błędem. Było niemoralne. Jako lord Rahl potępiam je i ogłaszam jego kres. Nie jesteście już Imperium

Bandakarskim, wypędzonymi. Jesteście na powrót, tak jak niegdyś byliście, D'Harańczykami, jeśli tylko tego zechcecie.

Wstrzymali oddech, czekając na znak, czy mówi to poważnie, czy powie coś jeszcze lub może to wszystko odwoła.

Richard objął ramieniem kibić Kahlan i spokojnie patrzył na uniesione ku niemu, pełne nadziei twarze. Uśmiechnął się.

- Witajcie z powrotem w domu!

I wtedy wszyscy padli mu do stóp, całując buty, spodnie, dłonie, a nawet - ci, którzy się nie mogli do niego dopchać - ziemię przed nim. Zabrali się też do całowania rąbka sukni Kahlan.

Odnaleźli krewniaka i serdecznie witali go w swoim gronie.

ROZDZIAŁ 42

Kiedy tak się tłoczyli u ich stóp, otwarcie wyrażając wdzięczność za kasację wyroku wygnania, Richard i Kahlan wymienili spojrzenie. Carze zdecydowanie się ten cały cyrk nie podobał, ale się nie wtrącała.

Richard postanowił zakończyć ów łzawy hołd. Dał im znak, żeby wstali.

- Jest jeszcze dalsza część do opowiedzenia. Wysłuchajcie mnie.

Cofnęli się, uśmiechnięci i zapłakani. Wpatrywali się w niego ze złożonymi dłońmi, jakby był dawno utraconym bratem. W grupie było paru starszych mężczyzn i kilku w średnim wieku, lecz większość była tak młoda jak Owen lub odrobinę starsza niż Richard. Wszyscy przeżyli ciężkie chwile.

Najtrudniejsze było jeszcze przed nim. Richard musiał ich skłonić, by stawili czoło temu, co miało nadejść.

Spojrzał na stojącą z boku Jennsen i przywołał ją gestem.

Dziewczyna wyszła z cienia w pobliżu posągu. Szła ku Richardowi, a wszyscy na nią patrzyli. Nie odrywali od niej oczu. Wyglądała tak ślicznie, idąc po kamieniach, że chłopak nie mógł się nie uśmiechnąć. Skubnęła rudy pukiel i nieśmiało spojrzała na ludzi Owena. Kiedy Richard wyciągnął ku niej rękę, schroniła się pod jego ramieniem i niespokojnie popatrywała na mężczyzn mających tę samą cechę co ona.

- Oto moja siostra, Jennsen Rahl - odezwał się Richard. - Urodziła się nieskażona magią, tak jak wy wszyscy. Nasz ojciec próbował ją zabić, jak to od tysięcy lat czyniono z pozbawionym magii potomstwem.

- A ty? - spytał jeden z nich, wciąż nieufny. - Nie wyrzekniesz się jej?

Richard przytulił mocniej Jennsen.

- A za co? Za jaką zbrodnię powinienem się jej wyrzec? Bo się urodziła kobietą, a nie mężczyzną, jak ja? Bo nie jest taka wysoka jak ja? Bo ma rude włosy, a nie takie jak moje? Bo ma błękitne, a nie szare oczy? Bo jest nieskażona magią?

Przestąpili z nogi na nogę, niektórzy skrzyżowali ramiona. Inni po jego ostatnich słowach odwrócili wzrok zakłopotani, że w ogóle padło tamto pytanie.

- Jest śliczna, bystra i umie myśleć. Ona też walczy o prawo do życia, i robi to z głową. Jest jak wy, nieskażona magią. W pełni ją akceptuję, bo tak

jak ja rozumie wartość życia.

Richard usłyszał meczenie i odwrócił się. Betty dreptała w górę stokiem, wlokąc za sobą postronek. Jennsen wywróciła oczami, gdy kózka podeszła bliżej, łypiąc ku nim i energicznie machając ogonkiem. Następnie podniosła postronek i obejrzała końcówkę. Richard zobaczył, że postronek został przegryziony.

- Betty - strofowała Jennsen wcale nie skruszoną kózkę, kiwając jej przed oczami ogryzionym końcem postronka - coś ty zrobiła?

Betty zameczała bardzo z siebie dumna. Dziewczyna ciężko westchnęła, gestem przeprosiła Richarda. Wszyscy mężczyźni cofnęli się o kilka kroków, szepcząc do siebie ze strachem.

- Nie jestem wiedźmą - powiedziała gniewnie Jennsen. - To, że mam rude włosy, wcale nie znaczy, że jestem wiedźmą!

Absolutnie ich nie przekonała.

- Miałem do czynienia z prawdziwą wiedźmą - odezwał się Richard. - Mogę was zapewnić, że rude włosy nie są jej atrybutem. To po prostu nieprawda.

- A właśnie, że prawda - upierał się jeden z nich. Wskazał na Betty. - To jej duch opiekuńczy.

Richard zmarszczył brwi.

- Duch opiekuńczy???

- A pewnie - przytaknął drugi. - Wiedźma zawsze ma przy sobie zausznika. Przywołała swojego ducha opiekuńczego i on do niej przyszedł.

- Zawołałam ją?! - Jennsen pokazała im postrzępiony koniec postronka. - Przywiązałam ją do drzewa, a ona przegryzła postronek!

Następny z mężczyzn pogroził jej palcem.

- Przywołałaś ją magią, to i przyszła!

Dziewczyna wsparła się pod boki i postąpiła ku nim o krok. Jak jeden mąż cofnęli się.

- Wy macie przyjaciół i rodziny, całą społeczność. Ja nie mam przyjaciół i nie mogłam ich mieć, bo razem z mamą całe moje życie musiałyśmy uciekać przed ojcem, żeby nas nie złapał. Torturowałby mnie i zabił, gdyby mnie pojmał. I tak samo postąpiłby z wami. Nie mogłam się zaprzyjaźnić z żadnymi dziećmi, więc mama dała mi Betty. Betty była wtedy zupełnie mała, razem dorastałyśmy. Przegryzła postronek, bo jestem jedyną rodziną, jaką

kiedykolwiek miała, i chciała być przy mnie. Tak jak waszych przodków, wypędzono mnie, bo się urodziłam inna niż wszyscy. Rozumiecie, jakie to niesprawiedliwe i jakie bolesne. A teraz, głupcy, chcecie mnie przepędzić, bo jestem ruda i mam kozę?! Jesteście nędznymi tchórzami i hipokrytami! Najpierw trujecie jedyną osobę mającą dość odwagi, żeby odwołać wasze wygnanie, izolację od reszty ludzi, a potem boicie się mnie i chcecie się mnie wyrzec przez jakieś głupie przesady! Gdybym miała magiczny dar, tobym was spaliła na popiół za takie okrucieństwo!!!

Richard chwycił ją za ramię i odciągnął w tył.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął. - Tylko pozwól mi z nimi pogadać.

- Powiedziałeś nam, że jesteś czarodziejem - zawołał jakiś chowający się z tyłu starszy mężczyzna - i oczekujesz, że uwierzymy ci na słowo, chociaż twierdzisz, że nie powinniśmy się trzymać naszych wierzeń, na przykład wyrzec się strachu, że ona może być wiedźmą, bo nie mają podstaw.

- Właśnie - zawtórował mu drugi. - Głosisz, że wierzysz w prawdziwą magię, ale odrzucasz nasze przekonania. Wiele z tego, co powiedziałeś, brzmi sensownie, ale nie ze wszystkim się zgadzam.

Częściowa zgoda była niedopuszczalna. Odrzucić część prawdy to odrzucić ją w całości. Richard rozważył, co może zrobić, jak ma przekonać ludzi pozbawionych magii i nie potrafiących jej dostrzec, że prawdziwa magia istnieje. Z ich punktu widzenia popełniał ten sam błąd, który im zarzucał. Jak pokazać niewidomemu tęczę?

- Macie rację - rzekł. - Dajcie mi chwilę, a udowodnię wam realność magii, o której mówię. - Przywołał Carę i nakazał jej cicho: - Przynieś mi znak ostrzegawczy.

Mord-Sith natychmiast ruszyła w dół stoku. Richard spostrzegł, że gniewne błękitne oczy Jennsen są pełne łez, lecz nie płakała. Kahlan odciągnęła ją w tył, kiedy przemówił do grupki mężczyzn:

- Muszę wam jeszcze coś powiedzieć, są jeszcze sprawy, które powinniście zrozumieć. Odwołałem karę wygnania, ale to nie znaczy, że bezwarunkowo przyjmę na powrót każdego z was do naszego ludu.

- Przecież powiedziałeś, że witasz nas w domu - odezwał się Owen.

- Stwierdzam oczywisty fakt, że macie prawo do własnego życia. Z dobrej woli chętnie uznam was, jeżeli sobie tego zażycycie, za obywateli D'Hary, takiej jaka jest teraz. Ale to, że z radością witam wasz powrót, nie oznacza,

że nie stawiam żadnych warunków. Wszyscy ludzie powinni mieć prawo żyć według własnej woli, lecz nie zrozumcie tego błędnie, albowiem pomiędzy wolnością a anarchią istnieje spora różnica. Jeżeli zwyciężymy w naszej walce, zostaniecie wolnymi mieszkańcami imperium D'Hary, które wysoko ceni pewne wartości. I tak na przykład możecie myśleć, co wam się podoba, i starać się przekonać innych o doniosłości waszych zasad, ale nie wolno wam działać zgodnie z poglądem, że ci, którzy walczą o wolność, są dzikusami i złoćczyńcami, chociaż zamierzacie korzystać z owoców ich zmagania. Zasłużyli sobie co najmniej na wasz szacunek i wdzięczność. Ich życie nie jest mniej cenne niż wasze i nie można go poświęcać dla waszej korzyści. Bo to oznacza niewolnictwo.

- Ale ty masz godne dzikusów metody i stosujesz przemoc dla dobra kraju, którego nigdy nie widzieliśmy - odezwał się jeden z młodszych, a potem wskazał ku Bandakarowi. - Jedyne znany nam kraj jest tam i bezwarunkowo odrzucamy twoje umiowanie przemocy.

- Kraj? - Richard szeroko rozłożył ramiona. - My nie walczymy o kraj. Jesteśmy wierni ideałowi wolności dla wszystkich ludzi, bez względu na to, gdzie mieszkają. Nie strzeżemy terytorium, nie wykrwawiamy się dla bryłki ziemi. Nie walczymy dlatego, że kochamy przemoc. Walczymy o naszą wolność, bo chcemy żyć po swojemu, osiągać własne cele i własne szczęście. A wy bezwarunkowo odrzucacie przemoc i chętnie uważacie się za szlachetnych i oświeconych, w rzeczywistości zaś kapitulujecie przed złem, co jest moralnie odpychające. Bezwarunkowe odrzucenie samoobrony, którą uważacie za popadanie w przemoc, nie pozostawia wam innego wyjścia jak zebranie o litość lub godzenie się na ustępstwa. Zło nie zna litości, a każde ustępstwo to częściowa kapitulacja. Kapitulacja wobec zła to w najlepszym razie niewola, a w najgorszym śmierć. Czyli wasze bezwarunkowe wyrzeczenie się przemocy to w rzeczywistości nic innego jak przełożenie śmierci ponad życie. Osiągniecie to, za czym się opowiadacie. Prawo i absolutna konieczność pomsty na każdym, kto stosuje wobec was przemoc, są niezbędnymi warunkami przeżycia. Moralna wartość samoobrony zasadza się na obronie prawa do życia poszczególnych osób. To brak tolerancji wobec przemocy, mający za podstawę niezłomną wolę pokonania każdego, kto będzie chciał użyć wobec ciebie przemocy. Bezwarunkowe postanowienie zniszczenia każdego, kto zechce użyć wobec was siły, to

dowód umiłowania życia. Jeżeli odmawiasz kapitulacji przed każdym zbirami i tyranem, który rości sobie prawo do twojego życia, to znak, że owo życie wysoko cenisz i kochasz. Jeżeli nie macie ochoty bronić prawa do własnego życia, to przypominacie myszy próbujące dyskutować z sową. Myszy uważają, że sowa źle postępuje. A sowa uważa je za pyszne danie. Imperialny Ład głosi, że rodzaj ludzki jest zły i występny i że dlatego życie nie ma wielkiej wartości. I wszelkie ich działania to poświadczają. Uczą, że odkupienie i szczęście można zyskać dopiero na tamtym świecie, jeżeli najpierw poświęci się życie na tym. Wielkoduszność jest wspaniała, jeśli świadomie ją wybieracie, lecz wiara w prymat poświęcania się, czynienie z niego naczelnej moralnej zasady, to nic innego jak sankcjonowanie niewolnictwa. Ci, którzy mówią wam, że macie obowiązek poświęcać się dla innych, po prostu starają się uczynić was ślepych na łańcuchy, w które was zakuwają. Jako D'Harańczycy nie będziecie zmuszani do poświęcania życia dla innych i tym samym nie będziecie mogli wymagać, by inni się dla was poświęcali. Możecie wierzyć, w co chcecie. Możecie nawet uważać, że nie jesteście w stanie chwycić za broń i walczyć o nasze przetrwanie, ale musicie popierać naszą sprawę i nie wolno wam ani materialnie, ani duchowo przyczyniać się do niszczenia cenionych przez nas wartości, a przez to i naszego życia. To oznaczałoby zdradę i tak byłoby traktowane. Imperialny Ład przemocą opanował takie niczemu nie winne kraje jak wasz. Żeby przejąć władzę, zmieniali ludzi w niewolników, torturowali ich, gwałcili i mordowali. W Nowym Świecie robili to samo. Stracili prawo przedstawiania swoich racji. Nie istnieje już żaden moralny dylemat, nie ma nad czym dyskutować. Należy zetrzeć ich na pył.

Jeden z mężczyzn wysunął się przed grupę.

- Ale zwykła przyzwoitość w postępowaniu z bliźnim wymaga okazania miłosierdzia za złe uczynki.

- Nie ma nic cenniejszego od życia i częściowo to pojmujecie, o czym świadczy ta uwaga o okazywaniu miłosierdzia. Ich świadome, popełniane z premedytacją czyny, w tym morderstwa, odbierają innym to, co najcenniejsze: życie. Morderca, decydując się na zabójstwo, sam pozbawia się prawa do życia. Miłosierdzie okazane za takie zło to nic innego jak usprawiedliwienie go i tym samym danie bandycie przewagi. Darowanie grzesznego życia mordercy uprawomocnia odbieranie życia niewinnym

ludziom. Miłosierdzie nadaje wartość życiu zabójcy, a równocześnie odbiera ją życiu niewinnej ofiary. Powoduje, że życie zabójcy jest ważniejsze od życia niewinnego człowieka. Tym samym przyczynia się do zamiany dobra w zło. To zwycięstwo śmierci nad życiem.

- To dlatego, że Imperialny Ład zaatakował twoje ziemie - odezwał się Owen - i morduje ich mieszkańców, zamierzasz wybić do nogi wszystkich w Starym Świecie?

- Nie. Ład to zło i wywodzi się ze Starego Świata. Ale to nie oznacza, że mieszkańcy Starego Świata są źli, bo się urodzili na ziemiach rządzonych przez złych władców. Niektórzy z nich czynnie ową władzę popierają i tym samym opowiadają się za złem, lecz nie wszyscy tak robią. Wielu mieszkańców Starego Świata to również ofiary rządów Imperialnego Ładu cierpiące z powodu jego okrucieństw. Wielu walczy przeciwko tym rządóm zła. Wielu ryzykuje życie, aby uwolnić się spod władzy tych złych ludzi. My walczymy o to samo: o wolność. Nie ma znaczenia, gdzie się urodzili ci, którzy pragną wolności. Wierzimy, że życie każdego człowieka jest wartością samą w sobie. A to oznacza, że miejsce zamieszkania nie czyni nikogo złym. Liczą się zasady i czyny. Ale nie zapominajcie, że wielu ludzi popiera Imperialny Ład i jego okrutne metody. Czyny muszą pociągać za sobą konsekwencje, nie mogą pozostać bezkarne. Ład należy zniszczyć.

- Na pewno dopuścisz jakiś kompromis - odezwał się jeden ze starszych mężczyzn.

- Jeżeli dobrowolnie idziecie na ugodę z zatwardziałym złem, łudząc się, że je ugłaskacie, to jedynie pozwalacie mu mocniej zatopić w was kły. Od tej chwili jego jad będzie krążyć w waszych żyłach, aż wreszcie was zabije.

- Ależ to bardzo surowe i okrutne podejście - rzekł ów człowiek. - To wynikające z uporu blokowanie konstruktywnych rozwiązań. Zawsze jest miejsce na kompromis.

Richard postukał się palcem w pierś.

- Postanowiliście podać mi truciznę. I ta trucizna mnie zabije, więc to występne i złe. Jak według was mam zawrzeć kompromis z trucizną?

Nikt się nie odezwał.

- Dopuszczalny jest kompromis co do ceny pomiędzy dwiema stronami, które wyznają te same wartości moralne i postępują wobec siebie uczciwie. W sprawach moralności i prawdy na kompromis nie ma miejsca. Pójdziecie na

kompromis z mordercami, co w gruncie rzeczy proponujecie, zapewnia im moralną równowagę tam, gdzie jej w żadnym razie być nie powinno. Moralna równowaga oznacza, że nie jesteście lepsi od nich, a więc że ich poglądy, jakoby powinni mieć prawo torturowania, gwałcenia i mordowania was, są równie słuszne jak wasz pogląd, że macie prawo żyć wolni od ich przemocy. Moralny kompromis odrzuca koncepcję dobra i zła. Głosi, że wszyscy są tacy sami, wszystkie pragnienia mają tę samą wartość, wszelkie czyny również, i że dlatego wszyscy powinni się temu podporządkować. Co do czego moglibyście się układać z tymi, którzy torturują, gwałcą i mordują? Co do tego, ile dni w tygodniu będziecie torturowani? Ilu żołdaków będzie mogło zgwałcić wasze ukochane? Ile osób z waszej rodziny zostanie zamordowanych? W takiej sytuacji nie istnieje i nie może istnieć żadna moralna równowaga, więc nie byłby to kompromis, lecz samobójstwo. Nawet sugestia, że z takimi ludźmi można iść na kompromis, sankcjonuje morderstwo.

Większość była wyraźnie wstrząśnięta i zdumiona tym, że przemawia do nich tak bez ogródek. Już nie mieli ochoty sięgać do wbitych im do głów pustych frazesów. Niektórych słowa Richarda poruszyły. Kilku otworzyły one oczy - po ich minach poznawał, że po raz pierwszy wszystko wyraźnie ujrzeli.

Podeszła do niego Cara i podała mu znak ostrzegawczy. Richard miał wrażenie, że atramentowa czerń pokrywa większą niż ostatnio powierzchnię statuetki. Piasek nadal się sącył na sporą kupkę na dnie.

- Kaja-Rang przegrodził tę przełęcz granicą, żeby was za nią zamknąć. To on nadał wam nazwę. Wiedział, że odrzucacie przemoc, i obawiał się, że możecie paść łupem złoczyńców. Umożliwił wam wypędzanie ich z waszych ziem, żebyście mogli prowadzić takie życie, jakie wam odpowiada. Powiedział wam o przejściu przez granicę, żebyście mogli, jeżeli tego zechcecie, pozbyć się złoczyńców.

Owen był zatroskany.

- Skoro ten wielki czarodziej, Kaja-Rang, nie chciał, abyśmy żyli wśród ludzi Starego Świata, bo moglibyśmy zawierać z nimi małżeństwa i przekazywać dalej nasz całkowity brak magii, to co w takim razie z wypędzanymi przez nas złoczyńcami? Wysłanie ich w świat doprowadziłoby do tego, czego się obawiał. Zostawienie tego przejścia i oznajmienie o tym

naszym przodkom stawia pod znakiem zapytania sens istnienia granicy.

Richard się uśmiechnął.

- Znakomicie, Owenie. Zaczynasz samodzielnie myśleć.

Owen też się uśmiechnął. Richard wskazał posąg Kaja-Ranga.

- Widzicie, gdzie patrzy? Patrzy na miejsce zwane Filarami Świata. To przeraźliwie rozpalona okolica, w której nic nie rośnie, w której grasuje śmierć. Granica ustanowiona przez Kaja-Ranga sięgała aż tam. Kiedy wypędzaliście ludzi przez granicę, wznoszące się wzdłuż drogi ściany śmierci nie pozwalały im z niej zbroczyć, uciec w świat. Mogli iść wyłącznie w jednym kierunku: ku Filarom Świata. Nawet jeżeli ma się zapasy wody i żywności i zna szlak, to i tak próba pokonania doliny zwanej Filarami Świata oznacza niemal pewną śmierć. Ci, których wypędzaliście, nie mieli wody i strawy, nie znali tych terenów, nie wiedzieli, jak przez nie przejść i którądy ominąć tak okropne miejsce. Czekala ich pewna śmierć.

Wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Więc kiedy wypędzaliśmy złoczyńców, to tak naprawdę wykonywaliśmy na nich wyrok - odezwał się jeden z nich.

- Właśnie.

- Czyli ten Kaja-Rang nas oszukał - dodał ten sam człowiek. - Zmusił nas podstępem do zabijania tych ludzi.

- Uważacie, że to okropny podstęp? - zapytał Richard. - A przecież sami świadomie wysyłaliście w świat złoczyńców, żeby grasowali tam pośród niczego nie podejrzewających ludzi. Z rozmysłem odsyłaliście skłonnych do przemocy, narażając na ich wyczyny niczego nie podejrzewających ludzi z innych krain. Zamiast skazać morderców na śmierć, świadomie ułatwialiście im zabijanie innych. Gdybyście się nad tym zastanowili, sami byście doszli do takich wniosków. Chcąc za wszelką cenę uniknąć przemocy, tak naprawdę opowiadaliście się za nią. Mówiliście sobie, że ci inni ludzie się nie liczą, bo nie są tak oświeceni jak wy, że jesteście od nich lepsi, bo wznieśliście się ponad przemoc, bo ją bezwarunkowo odrzucacie. Jeżeli nawet się nad tym zastanawialiście, to uznawaliście wszystkich innych za dzikusów, a ich życie za nic niewarte. Praktycznie poświęcaliście życie owych ludzi na rzecz tych spośród was, którzy byli źli. Kaja-Rang zaś nie tylko zapobiegał rozproszeniu się po świecie tych, którzy zupełnie nie mają magii, ale i wykonywał wyrok na wypędzonych przez was złoczyńcach, nim

zdążyli kogoś skrzywdzić. Uważacie się za szlachetnych, bo odrzucacie przemoc, ale wasze czyny by jej sprzyjały. Wyłącznie Kaja-Rang jej zapobiegł.

- Drogi Stwórco, jest jeszcze gorzej. - Owen ciężko osunął się na ziemię. - Gorzej, niż sądzisz.

Innych też ogarnęło przerażenie. Niektórzy za przykładem Owena opadli na kolana. Inni ukryli twarze w dłoniach, odwrócili się lub odeszli parę kroków.

- Co masz na myśli? - zapytał Richard.

Owen zwrócił ku niemu poszarzałą twarz.

- Pamiętasz, co opowiadałem o naszych ziemiach... o naszym miasteczku i wielkich miastach? Że w naszym miasteczku żyjemy blisko i jesteśmy szczęśliwi?

Richard przytaknął.

- Ale nie wszystkim to odpowiadało.

Kahlan skrzyżowała ramiona i nachyliła się ku Owenowi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Bandakarczyk bezradnie uniósł ręce.

- Niektórzy chcieli czegoś więcej niż nasze proste, radosne życie. Niektórzy... chcieli coś zmienić. Mówili, że chcą ulepszyć to i tamto. Chcieli poprawić nasze życie, zbudować dla siebie oddzielne domy, chociaż to wbrew naszym obyczajom.

- Owen ma rację - odezwał się ponuro jeden ze starszych mężczyzn. - Za moich czasów widziałem bardzo wielu takich, którzy nie mogli już znieść tych, jak to niektórzy mówili, irytujących i przytłaczających praw naszego imperium.

- I co się stało z owymi ludźmi, którzy chcieli zmian, którzy nie mogli już dłużej znosić praw waszego imperium? - zapytał Richard.

Owen powiódł wzrokiem po przygnębionych twarzach towarzyszy.

- Wielcy heroldowie odrzucili ich pomysły. Mentor orzekł, że tylko doprowadziliby do rozdźwięków między nami. Ich nadzieje na nowe zasady przepadły, a ich samych potępiono. - Przełknął ślinę. - Postanowili więc opuścić Bandakar. Odeszli z naszych ziem przejściem w granicy, żeby szukać dla siebie nowego życia. Żaden z nich do nas nie wrócił.

Richard otarł twarz dłonią.

- Więc zginęli, szukając nowego życia, lepszego niż to, które im oferowaliście.

- Nic nie rozumiesz. - Owen wstał z ziemi. - Jesteśmy jak owi ludzie. - Szerokim gestem wskazał towarzyszy. - Nie zgodziliśmy się wrócić i oddać w ręce żołnierzy Ładu, chociaż wiemy, że innych torturowano za to, że się ukrywamy. Wiemy, że nasze poddanie nie powstrzymałoby Ładu, więc nie wracamy. Postąpiliśmy wbrew życzeniom naszych wielkich heroldów i mentora, żeby próbować ratować ziomków. Potępiono nas za to. Wyszliśmy za przełęcz w poszukiwaniu informacji, chcąc znaleźć sposób pozbycia się Imperialnego Ładu. Pojmujesz? Jesteśmy podobni do tamtych ludzi z naszych dziejów. Jak oni, woleliśmy odejść i spróbować coś zmienić, niż pogodzić się z tym, co jest.

- Być może więc zaczynacie rozumieć - odezwał się Richard - że wszystko, czego was uczono, skłaniało was do opowiadania się za śmiercią, a nie za życiem. Może zaczynacie pojmować, że te oświecające nauki były w istocie nakładaniem wam kłapek na oczy. - Położył dłoń na ramieniu Owena. Spojrzał na trzymany w drugiej ręce posążek, a potem powiódł wzrokiem po pełnych napięcia twarzach. - Wy jedni pozostaliście, kiedy reszta nie sprostała próbie. Przebyliście tak długą drogę. Jedyne wy zaczęliście się posługiwać rozumem, usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie dla siebie i dla waszych najbliższych. Musicie się jeszcze wiele nauczyć, ale przynajmniej zaczęliście dokonywać właściwych wyborów. Nie możecie się teraz zatrzymać. Musicie odważnie stawić czoło temu, czego od was zażądam, jeśli naprawdę chcecie mieć szansę ocalić najbliższych.

Po raz pierwszy wyglądali na choć trochę dumnych z siebie. Doceniono ich nie dlatego, że wspaniale opowiadali pozbawione znaczenia frazesy, lecz za samodzielnie podjęte decyzje.

Jennsen marszczyła czoło w zadumie.

- Czemu ludzie nie wracali przejściem w granicy, Richardzie? Jeżeli chcieli odejść i zacząć nowe życie, ale potem się przekonali, że będą musieli pokonać Filary Świata, to czemu nie wrócili? Przynajmniej po zapasy, po to, co by im umożliwiło przedostanie się tamtędy?

- Właśnie - wtrąciła Kahlan. - George Cypher przeszedł przez granicę w Królewskiej Bramie, a potem wrócił. Adie mówiła, że granica musi mieć przejście, przepust, jak ten, którym ci ludzie wypędzali złoczyńców.

Dlaczego więc nikt nie wracał? Było przejście, więc dlaczego nikt nigdy nie wrócił?

Kiwali głowami, pragnąc usłyszeć, czemu żaden z ich ziomków nie wrócił.

- Od początku się nad tym zastanawiałem. - Richard potarł palcem lśniąca czarna powierzchnię wyobrażającego go posążka. - Uważam, że granice w Midlandach musiały mieć taki przepust, bo były bardzo długie. Tutejsza granica nie może się z nimi równać i wątpię, czy taki sam przepust był potrzebny. Ponieważ była to jedynie dość krótka, wygięta nitka granicy, sądzę, że Kaja-Rang mógł stworzyć w niej takie przejście, które umożliwiałoby wypędzenie złoczyńców, lecz nie pozwalało na powrót. W końcu taki wypędzony przestępca na pewno powróciłby, gdyby się przekonał, że nie ma ucieczki. Kaja-Rang nie chciał, żeby się tak stało.

- Na jakiej zasadzie to działało? - zapytała Jennsen.

Richard położył lewą dłoń na rękojeści miecza.

- Niektóre węże potrafią połknąć większą od siebie zdobycz. Ich zęby są wygięte ku tyłowi, tak że pożerane zwierzę nie może się cofnąć, nie może uciec. Pewnie to przejście działało na podobnej zasadzie i można je było przebyć wyłącznie w jednym kierunku.

- Uważasz, że to możliwe? - spytała Jennsen.

- Istniały też inne takie zabezpieczenia - wtrąciła Kahlan.

Richard potwierdził to skinieniem głowy.

- Wielka bariera między Nowym a Starym Światem miała zabezpieczenia pozwalające pewnym ludziom w konkretnych okolicznościach na jedno przejście i powrót, lecz już nie dwa. - Wskazał znakiem ostrzegawczym na statuę. - Czarodziej o mocy Kaja-Ranga na pewno potrafiłby stworzyć w granicy przejście nie pozwalające na powrót. W końcu sam przywołał granicę z zaświatów i przetrwała ona niemal trzy tysiące lat.

- A więc umierał każdy, kto wyszedł za tę granicę - odezwał się Owen.

Richard skinął głową.

- Obawiam się, że tak. Kaja-Rang starannie to zaplanował i wszystko działało, jak chciał. Przygotował się nawet na ewentualne zaniknięcie granicy.

- Tego to już nie rozumiem - odezwał się jakiś młodzieniec. - Skoro to był

taki wielki czarodziej, a jego magia tak potężna, że odgrodził nas od świata ścianą śmierci na trzy tysiące lat, to dlaczego to wszystko zawiodło? Po prostu zniknęło w ciągu dwóch ostatnich lat. Dlaczego?

- Wydaje mi się, że przeze mnie - powiedziała Kahlan.

Zrobiła krok ku grupce mężczyzn. Richard nie próbował jej powstrzymać. W owej chwili nie mogło wyglądać na to, że stara się przed nimi ukryć jakieś informacje.

- Parę lat temu, rozpaczliwie próbując ocalić Richardowi życie, bezwiednie przywołałam z zaświatów moc, która, jak sądzę, powoli niszczy magię w naszym świecie. Richard przepędził tę złą magię, ale przez pewien czas znajdowała się w świecie żywych, więc efekty jej działania mogą być nieodwracalne.

Towarzysze Owena popatrzyli po sobie z zafascynowaniem. Ta stojąca przed nimi kobieta wyznała właśnie, że przez jej czyn zniknęła ich osłona. Przez nią spadły na nich okrutna przemoc i bestialstwa. Przez nią skończyło się życie, jakie znali.

ROZDZIAŁ 43

- Wciąż jeszcze nam nie pokazałeś swojej magii - powiedział w końcu któryś z nich.

Richard cofnął dłoń z pleców Kahlan, podszedł ku mężczyznom.

- Kaja-Rang obmyślił ten wytwór swojej magii, sprzężony z ustanowioną przez siebie granicą, który miał pomóc w chronieniu jej. - Uniósł przedstawiający go posążek, żeby wszyscy mogli mu się przyjrzeć. - To zesłano, żeby mnie ostrzec, że zniknęła granica odcinająca waszą krainę.

- Dlaczego górna część jest tak dziwnie czarna? - zapytał stojący z przodu mężczyzna.

- Uważam, że to pokazuje, jak kończy mi się czas, jak z wolna umieram. Szeptali z niepokojem. Richard uniósł rękę, domagając się uwagi.

- Czy wszyscy widzicie ten piasek w środku?

Wyciągali szyje, starając się zobaczyć, ale nie wszyscy byli wystarczająco blisko, więc chodził pośród nich, unosząc posążek, żeby wszyscy mogli się przekonać, że jest do niego podobny, i ujrzeć przesypujący się piasek.

- To nie jest prawdziwy piasek - mówił im. - To magia.

Owen skrzywił się nieufnie.

- Przecież mówiłeś, że nie możemy dostrzec magii.

- Jesteście całkowicie pozbawieni daru, magia nie ma na was wpływu, więc zwyczajnej magii nie możecie zobaczyć. Ale granica nie pozwalała wam wyjść w szeroki świat, nieprawdaż? Jak myślicie, dlaczego?

- To była ściana śmierci - odezwał się jeden ze starszych mężczyzn, najwyraźniej uważając, że to się rozumie samo przez się.

- Ale jak mogła robić coś złego ludziom, na których magia nie działa? Wejście w granicę oznaczało śmierć tak dla was, jak i dla wszystkich innych. Dlaczego? Ponieważ granica to takie miejsce na tym świecie, w którym istnieją zaświaty. A zaświaty to kraina zmarłych. Możecie być pozbawieni daru, lecz jesteście śmiertelni. Skoro jesteście sprzężeni z życiem, to jesteście też sprzężeni ze śmiercią. - Richard znów uniósł posążek. - I ta magia jest sprzężona z zaświatami. A skoro wszyscy jesteście śmiertelni, to macie styczność z zaświatami, z mocą Opiekuna, ze śmiercią. To dlatego widzicie ten piasek, który pokazuje, jak ucieka mi czas.

- Nie widzę nic magicznego w sączącym się piasku - burknął któryś. - Mówisz, że to magiczne, że to ucieka twoje życie, ale niczego to nie dowodzi.

Richard położył posązek na boku. Piasek dalej się przesypywał, tak jak przedtem.

Wstrzymali oddech, a potem zaczęli szeptać ze zdumieniem, obserwując przesypujący się równolegle piasek. Tłoczyli się niczym ciekawskie dzieciaki, żeby się przyjrzeć leżącemu posązkowi, który Richard trzymał w górze. Żeby zobaczyć magię. Niektórzy wyciągali ręce i ostrożnie dotykali atramentowoczarnej powierzchni statuetki. Inni nachylali się nad nią, żeby wyraźnie widzieć piasek przesypujący się poziomo do ciągle jeszcze przezroczystej części.

Mówili, jakie to zadziwiające, lecz nie całkiem uwierzyli w wyjaśnienia Richarda, że to magia zaświatów.

- Wszyscy to widzimy - rzekł jeden z nich. - Więc to wcale nie dowodzi, że naprawdę się różnimy od ciebie lub innych, jak twierdzisz. To nam wykazuje jedynie, że wszyscy, tak jak i ty, możemy ujrzeć tę magię. Może wcale nie jesteśmy tymi całkiem pozbawionymi daru ludźmi, za jakich nas uważasz.

Richard dumiał nad tym przez chwilę, zastanawiając się, jak zademonstrować im prawdziwą magię. Miał dar, lecz nie bardzo wiedział, jak go kontrolować. Wiedział jedynie, że gniew i pałaca potrzeba powodowały jego ujawnienie. Nie potrafił, w przeciwieństwie do Zedda, zademonstrować na oczekaniu jakiegoś zaklęcia, a gdyby nawet potrafił, to i tak by tego nie zobaczyli. Kątem oka dostrzegł Carę stojącą ze skrzyżowanymi ramionami. Wpadł na pewien pomysł.

- Więź między lordem Rahlem a jego ludem jest więzią magiczną - rzekł. - Ta sama magia, która chroni przed Nawiedzającymi Sny, działa i w inny sposób. - Skinął na Carę. - Cara jest nie tylko moją przyjaciółką, ale i Mord-Sith. Mord-Sith od tysięcy lat czujnie strzegą lorda Rahla. - Uniósł ramię Cary, żeby zobaczyli czerwony pręt zawieszony na złotym łańcuszku okalającym przegub. - To jest Agiel, oręż Mord-Sith. Więź Mord-Sith z lordem Rahlem, ze mną, nadaje Agielowi magiczną moc.

- Ale on nie ma ostrza - odezwał się jeden z mężczyzn, obejrzawszy dokładniej Agiel kołyszący się na złotym łańcuszku. - Co z niego za broń?

- Dobrze się przyjrzyjcie - zachęcał Richard, ujmując Carę za łokieć i

prowadząc ją między nich. - Przyjrzyjcie się dokładnie, żeby się przekonać, że jest tak, jak on przed chwilą powiedział: że nie ma ostrza, że to jedynie cienki pręt.

Cara chodziła pomiędzy nimi z uniesioną ręką, pozwalając im przyglądać się Agielowi i dotykać go. Kiedy już wszyscy dokładnie się przyjrzel, sprawdzili, jaki jest długi, że naprawdę nie ma ostrza, zważyli go w dłoni, przekonując się, że jest lekki i nie mógłby posłużyć jako pałka, Richard powiedział Carze, żeby dotknęła ich Agielem. Agiel natychmiast znalazł się w zaciśniętej pięści Mord-Sith. Cofnęli się, widząc jej zawziętą minę, kiedy ruszyła na nich z tym, co Richard nazwał bronią.

Cara dotknęła Agielem ramienia Owena.

- Już mnie szturchała tym czerwonym prętem - wyjaśnił swoim ludziom.
- I nic mi nie zrobił.

Mord-Sith dotknęła Agielem każdego, kto stał na tyle blisko, że mogła go dosięgnąć. Paru się cofnęło, obawiając się zranienia, choć ich kompanom nic się przecież nie stało. Bardzo wielu pozwoliło się dotknąć i z zadowoleniem stwierdzili, że nic złego się im nie stało.

Richard podwinął rękaw.

- A teraz udowodnię wam, że to naprawdę potężna magiczna broń. - Wyciągnął rękę ku Carze. - Spraw, żebym krwawił - powiedział spokojnie, nie zdradzając, co naprawdę myśli o wystawieniu się na dotknięcie Agielem.

Mord-Sith wpatrzyła się w niego.

- Ależ, lordzie Rahlu, ja nie...

- Zrób to - nakazał, nie cofając ręki.

- Lepiej zrób to mnie. - Tom podsunął Carze obnażone ramię.

Natychmiast uznała, że będzie to dobra próba.

- Nie! - sprzeciwiła się Jennsen, ale już było za późno.

Tom krzyknął, kiedy Mord-Sith dotknęła jego ramienia czubkiem Agiela. Chwiejnie się cofnął, po jego ręce spływała strużka krwi. Wpatrywali się w niego, nie bardzo wiedząc, co widzą.

- To musi być jakaś sztuczka - orzekł jeden z nich.

Jennsen pocieszała Toma, a Richard ponownie wyciągnął rękę.

- Pokaż im - polecił Carze. - Pokaż im, co Agiel Mord-Sith potrafi działać dzięki magii.

Cara spojrzała mu w oczy.

- Lordzie Rahlu...

- Zrób to. Pokaż im, żeby pojęli. - Obrócił się ku ludziom Owena. - Stańcie blisko, żebyście dobrze widzieli, jak spełnia swoje okrutne dzieło samym gładkim prętem. Patrzcie uważnie, a zobaczycie, że to działa magia. - Zacisnął pięść, podsunął Carze wewnętrzną część ramienia. - Zrób to tak, żeby wyraźnie ujrzeli, co Agiel potrafi, bo inaczej nic to nie da. Nie chciałbym się na próżno na to wystawiać.

Mord-Sith mocno zacisnęła wargi, niezadowolona z tego rozkazu. Jeszcze raz spojrzała w pełne determinacji oczy Richarda. A wtedy ujrzał w jej błękitnych oczach ból wywołany dotykaniem Agiela. Zacisnął zęby i dał znak, że jest gotowy. Z zaciętą twarzą dotknęła prętem wewnętrznej strony jego przedramienia.

Jakby go trafiła błyskawica.

Dotknięcie Agielem przekraczało wszelkie wyobrażenia o tym, czym na pozór powinno być. Straszliwy ból pomknął w górę ramienia. Uderzył w bark. Richard miał wrażenie, że roztrzaskał mu kości. Zaciskając zęby, wyciągał przed siebie drżącą rękę, a Cara wolniutko przesuwała Agiel ku nadgarstkowi. Pręt zostawiał za sobą podbiegnięte krwią bąble. Pękały i tryskała krew.

Chłopak wstrzymał oddech, z całej siły napiął mięśnie brzucha i osunął się na kolano - nie dlatego, że zamierzał to zrobić, lecz dlatego, że nie mógł się już dłużej utrzymać na nogach przygniatany straszliwym bólem, cały czas trzymając w górze ramię, po którym Cara przesuwała Agiel. Przyglądający mu się ludzie Owena spazmatycznie wciągali powietrze, zszokowani krwią i cierpieniem. Szeptali zadziwieni.

Mord-Sith cofnęła Agiel. Richard rozluźnił napięte do ostateczności mięśnie, zgiął się wpół i ciężko oddychał. Starał się zapanować nad oddechem, utrzymać się na nogach. Krew skapywała mu z palców.

Kahlan znalazła się przy nim z małą chustką, którą Jennsen wyjęła z kieszeni.

- Rozum ci odebrało? - syknęła gniewnie, opatrując krwawiące ramię.

- Dziękuję - rzekł, doceniając pomoc, lecz pytanie pozostawił bez odpowiedzi.

Nie mógł uspokoić drżenia palców. Cara stała trochę z tyłu. Był przekonany, że nie złamała mu żadnej kości, ale bolało tak, jakby to zrobiła.

Czuł, jak po twarzy spływają mu łzy bólu. Gdy Kahlan skończyła, Cara ujęła go pod ramię i pomogła stanąć prosto.

- Matka Spowiedniczka ma rację - warknęła cicho. - Zupełnie zbzikowałeś.

Richard nie tłumaczył, dlaczego musiał się do tego uciec. Obrócił się ku ludziom Owena. Uniósł ramię. Na prowizorycznym opatrunku powoli rozrastała się szkarłatna plama.

- Oto potężna magia. Samej magii nie możecie zobaczyć, ale efekty jej działania tak. Ta magia mogłaby zabić, gdyby Cara tego chciała. - Zerknęli ku niej z lękiem; teraz wzbudzała w nich jeszcze większy respekt. - Ale wam nie uczyni nic złego, bo na taką magię jesteście zupełnie niewrażliwi. Dotknięcie Agielem czują wyłącznie ci, którzy urodzili się z iskierką daru.

Nastrój się zmienił. Widok krwi ich otrzeźwił.

Richard przechadzał się z wolna przed nimi.

- Wszystko, co wam powiedziałem, jest prawdą. Niczego ważnego czy istotnego przed wami nie zataiłem i nie zataję. Powiedziałem wam, kim jestem, kim wy jesteście i jak to się stało, że się tu znaleźliśmy. Jeżeli chcecie się jeszcze czegoś dowiedzieć, to szczerze odpowiem na pytania.

Kiedy zamilkł, popatrzyli po sobie, sprawdzając, czy ktoś chce o coś zapytać. Nikt nie chciał.

- Nadszedł czas - podjął Richard - żebyście zdecydowali o przyszłości waszej i waszych najbliższych. Od tego wszystko zależy. - Wskazał na Owena. - Wiem, że Owen miał ukochaną, Marilee, którą odebrał mu Ład. Wiem, że każdy z was dużo wycierpiał i utracił przez żołnierzy Imperialnego Ładu. Nie znam waszych imion ani imion waszych utraconych najbliższych, ale uwierzcie mi, proszę, że i ja znam takie cierpienie. Rozumiem, dlaczego w pewnej chwili uznaliście, że nie macie wyjścia i musicie mnie otruć, lecz nie był to słuszny postępek. - Wielu odwróciło oczy, wbiło wzrok w ziemię. - Zamierzam dać wam szansę skierowania na właściwy kurs waszych spraw i spraw waszych bliskich. - Dał im trochę czasu na przemyślenie tego, a potem kontynuował: - Pomyślnie przeszliście wiele prób, żeby dotrzeć aż tutaj, żeby przeżyć to wszystko, czemu musieliście stawić czoło, ale teraz musicie dokonać wyboru. - Oparł dłoń na rękojeści miecza. - Chcę wiedzieć, gdzie ukryliście antidotum na podaną mi truciznę.

Popatrzyli po sobie zatroskani. Starali się odgadnąć odczucia

towarzyszy, zrozumieć, co powinni zrobić.

Owen też chciał ocenić reakcję przyjaciół, lecz byli równie niezdecydowani jak on, więc nie wyczytał żadnych konkretnych wskazówek. W końcu oblizał wargi i zapytał nieśmiało:

- A jeżeli obiecamy, że powiemy, gdzie jest antidotum, to dasz najpierw słowo, że nam pomożesz?

Richard znów zaczął się z wolna przechadzać. Ludzie Owena nerwowo czekali na jego odpowiedź i patrzyli, jak krew kapie mu z palców, znacząc na kamieniach szkarłatny trop.

- Nie - oznajmił chłopak. - Nie pozwolę wam połączyć dwóch odrębnych spraw. Otrucie mnie było złym czynem. Macie okazję to naprawić. Łączenie tego z ustępstwami tylko podtrzymuje błędne przekonanie, że można ten czyn jakoś usprawiedliwić. Zdradzenie, gdzie jest odtrutka, to jedyne właściwe wyjście z sytuacji i nie może się z tym łączyć żaden warunek. Oto dzień, w którym musicie podjąć decyzję, jak chcecie żyć w przyszłości. Dopóki nie przekażecie mi waszej decyzji, nie dodam ani słowa.

Jedni byli bliscy paniki, inni bliscy płaczu. Owen odprowadził ich dalej, żeby mogli to między sobą omówić.

- Nie - rzekł Richard, zatrzymując się.

Umilkli i spojrzeli na niego.

- Nie chcę, żebyście podejmowali decyzję, biorąc pod uwagę słowa towarzyszy. Chcę, żeby każdy z was przekazał mi własną decyzję.

Zagapili się na niego. Odzywali się jeden przez drugiego, chcąc wiedzieć, o co mu chodzi.

- Chcę się dowiedzieć, bez żadnych wstępnych warunków, co każdy z was postanowi: uwolnić mnie od trucizny czy też wykorzystać ją, by zmusić mnie do współpracy. Chcę znać osobistą decyzję każdego z was.

- Ale przecież musimy osiągnąć konsensus - odezwał się jeden z nich.

- A niby w jakim celu? - spytał Richard.

- Żeby nasza decyzja była właściwa - wyjaśnił tamten. - Bez konsensusu nie można podjąć prawidłowej decyzji co do działania w ważnej sprawie.

- Usiłujesz przydać moralnego autorytetu prawu tłumu - stwierdził Richard.

- Przecież konsensus wiedzie ku właściwemu moralnemu osądowi - upierał się inny - bo oznacza wolę ludu.

- Rozumiem - rzekł chłopak. - Chcecie przez to powiedzieć, że jeżeli jednogłośnie postanowicie zgwałcić moją siostrę, to będzie to czyn moralny, albowiem osiągnęliście w tej sprawie konsensus. A jeżeli się wam sprzeciwię, to będę niemoralny, bo zadziałam sam, bez konsensusu. Tak to wszystko rozumiecie?

Cofnęli się, zszokowani, pełni odrazy. Wreszcie któryś powiedział:

- Nnnnooo... niezupełnie...

- Dobro i zło to nie efekt konsensusu - przerwał mu Richard. - Próbujecie usankcjonować prawo tłumu, czerpać z niego korzyści. Racjonalnych moralnych wyborów dokonuje się, biorąc pod uwagę wartość życia, a nie konsensus. Konsensus nie sprawi, że słońce wzejdzie o północy, ani nie zmieni zła w dobro czy też na odwrót. Jeżeli coś jest złe, to nie ma znaczenia, że opowiada się za tym choćby tysiąc osób. I tak należy się temu przeciwstawiać. A jeśli coś jest godziwe, to nawet najliczniejsze głosy protestu nie powinny was od tego odwieść. Nie mam zamiaru dalej słuchać frazesów o konsensusie. Nie jesteście stadkiem gęsi, jesteście ludźmi. Zamierzam poznać decyzję każdego z was. - Wskazał ziemię, na której stali. - Niech każdy weźmie dwa kamyki. - Przyglądał się, jak zdumieni i oszołomieni mężczyźni z wahaniem pochylali się i spełniali jego polecenie. - A teraz zaciśnijcie w pięści jeden lub oba kamyki. Podejdziecie pojedynczo do mnie, do człowieka, któregoście otruli, i otworzycie pięść, żebym wyłącznie ja mógł poznać waszą decyzję. Jeden kamyk będzie oznaczać „nie”, że nie powiecie mi, gdzie jest antidotum, dopóki nie obiecacie, że spróbuję uwolnić waszych ziomków. Dwa kamyki będą oznaczać „tak”, czyli że bez żadnych wstępnych warunków powiecie mi, gdzie znajdę antidotum na waszą truciznę.

- A co się stanie, jeżeli się zgodzimy ci to powiedzieć? - spytał jeden z mężczyzn. - Czy i tak ofiarujesz nam wolność?

Richard wzruszył ramionami.

- Gdy każdy z was przekaze mi swoją decyzję, poznacie i moją. Jeżeli powiecie mi, gdzie jest antidotum, mogę wam pomóc lub też, uwolniony od trucizny, zostawić was i zająć się własnymi naglącymi sprawami. Dowiecie się dopiero wtedy, gdy poznam waszą decyzję. A teraz odsuńcie się od przyjaciół i zamknijcie w pięści jeden kamyk na „nie” lub dwa na „tak”. Kiedy już to zrobicie, podejdźcie kolejno i otwierając pięść, dajcie mi poznać swoją

decyzję.

Zakłębili się bezładnie, zerkając na siebie spod oka, lecz - zgodnie z nakazem Richarda - nie omawiali całej sprawy. Wreszcie każdy z nich wybrał kamyki.

Korzystając z tego, że ludzie Owena są zajęci, Kahlan i Cara podeszły do Richarda. Wyglądało na to, że wyciągnęły własne wnioski.

Mord-Sith chwyciła go za ramię.

- Czyś ty zwariował? - wyszeptała gniewnie.

- Już mnie dziś o to pytałyście.

- Czyż muszę ci przypominać, lordzie Rahlu, że już raz odwołałeś się do głosowania i tylko się tym wpędziłeś w kłopoty? Mówiłeś wtedy, że już nigdy nie zrobisz czegoś tak głupiego.

- Cara ma rację - dodała Kahlan szeptem, żeby tamci nie usłyszeli.

- Tym razem jest inaczej.

- Wcale nie - prychnęła Cara. - To oznacza kłopoty.

- To co innego - upierał się. - Powiedziałem im, co jest słuszne i dlaczego. Teraz muszą zdecydować, czy wybiorą słuszny postępek czy nie.

- Pozwalasz, żeby inni decydowali o twojej przyszłości - stwierdziła Kahlan. - Złożyłeś swój los w ich ręce.

Richard głęboko westchnął, patrząc w zielone oczy żony, a potem w lodowatobłękitne oczy Mord-Sith.

- Musiałem tak postąpić. A teraz pozwólcie im podejść i przekazać mi decyzje.

Cara gniewnie odmaszerowała ku posągowi Kaja-Ranga. Kahlan ścisnęła ramię Richarda, ofiarując mu milcząco wsparcie, akceptację decyzji, której przyczyn nie rozumiała. Nim odeszła, zdołał się do niej z wdzięcznością uśmiechnąć. Stała obok Cary, Jennsen i Toma.

Richard odwrócił się od nich, nie chciał bowiem, żeby Kahlan zobaczyła, jak bardzo cierpi. Bóle wywoływane przez truciznę powoli pełzły w górę torsu. Każdy oddech sprawiał ból. Ramię wciąż drżało i bolało po dotknięciu Agielem. Ale i tak najgorsza była migrena. Zastanawiał się, czy Cara wyczytała to w jego oczach. W końcu cierpienie było fachem Mord-Sith.

Wiedział, że nie może czekać na odtrutkę, aż pomoże tym ludziom przepędzić Ład. Nie miał pojęcia, jak uwolnić to imperium od Ładu. Nawet z własnych ziem nie mógł przepędzić najeźdźców.

A co najgorsze, czuł, że czas mu się kończy. Jego dar sprowadzał na niego migreny i jeżeli nikt mu nie udzieli pomocy, umrze. Poza tym te migreny go osłabiały i trucizna szybciej działała. Z każdym dniem trudniej mu było przewycięzać jej efekty.

Jeżeli zdołał przekonać tych ludzi, żeby mu powiedzieli, gdzie ukryli antidotum, to może zdąży na czas tam dotrzeć.

Jeżeli nie, jest już po nim.

ROZDZIAŁ 44

Ludzie Owena kłębili się na szczycie przełęczy. Jedni zatopieni byli w zadumie, inni spoglądali na posąg Kaja-Ranga, człowieka, który wypędził ich ziomków. Niektórzy zerkali na swoich towarzyszy. Richard widział, że bardzo chcieli zapytać przyjaciół, co mają robić, ale zastosowali się do jego nakazu i milczeli.

Kiedy wreszcie stanął przed nimi, zbliżył się do niego jeden z młodszych. Ten sam, który tak żarliwie słuchał jego opowieści. Sprawiał wrażenie, że bacznie wszystkiego wysłuchał, a potem również przemyślał to, co usłyszeli od Richarda. Richard wiedział, że jeżeli ten człowiek powie „nie”, to nie ma szans, żeby inni się zgodzili.

Młody, jasnowłosy mężczyzna otworzył zaciśniętą pięść - leżały w niej dwa kamyki. Richard bezgłośnie westchnął z ulgą, że choć jeden z nich wybrał właściwie.

Podszedł następny - i na jego dłoni leżały dwa kamyki. Richard podziękował mu skinieniem głowy, lecz nie okazał żadnych uczuć. Mężczyzna odszedł na bok. Pozostali ustawili się rzędkiem. Podchodzili kolejno i w milczeniu otwierali dłonie. Każdy z nich pokazywał dwa kamyki, na znak, że nie skorzysta z szantażowania śmiercią, i odchodził, ustępując miejsca następnemu.

Owen stał na samym końcu. Popatrzył na Richarda, mocno zacisnął wargi i wyciągnął ku niemu dłoń.

- Nie zrobiłeś nam nic złego - rzekł, otwierając dłoń; leżały na niej dwa kamyki. - Nie wiem, co się teraz z nami stanie, lecz rozumiem, że nie możemy cię krzywdzić tylko dlatego, że rozpaczliwie potrzebujemy twojej pomocy.

Richard skinął głową.

- Dziękuję wam - rzekł. Szczerość w jego głosie przywołała uśmiechy na wiele zwróconych ku niemu twarzy. - Wszyscy pokazaliście dwa kamyki. Dodało mi otuchy to, że wszyscy wybraliście słuszny czyn. Teraz mamy podstawy do wybierania przyszłych działań.

Ludzie Owena patrzyli na siebie zadziwieni. Potem radośnie się stłoczyli i w podnieceniu rozprawiali o tym, że wszyscy podjęli taką samą decyzję.

Sprawiali wrażenie, że ta jednomyślność bardzo ich cieszy. Richard podszedł do Kahlan, Cary, Jennsen i Toma.

- Zadowolone? - spytał Kahlan i Carę.

Cara skrzyżowała ramiona.

- A co byś zrobił, gdyby wszyscy postanowili zataić miejsce ukrycia antidotum do czasu, aż im pomożesz?

Richard wzruszył ramionami.

- Ani bym na tym lepiej nie wyszedł, ani gorzej. Musiałbym im pomóc, ale przynajmniej wiedziałbym, że nie mogę ufać żadnemu z nich.

Kahlan nadal nie wyglądała na zadowoloną.

- A gdyby większość z nich powiedziała „tak”, lecz niektórzy trwaliby przy swoim i powiedzieli „nie”?

Richard spojrzał w jej stanowcze zielone oczy.

- Wtedy, gdybym już usłyszał od tych, którzy się zgodzili, gdzie jest antidotum, musiałbym tamtych zabić.

Kahlan skinęła głową, wiedząc, że mówi poważnie. Cara uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jennsen była wstrząśnięta.

- Gdyby któryś powiedział „nie” - wyjaśnił siostrze - to by znaczyło, że nadal chce traktować mnie jak niewolnika, wykorzystywać zagrożenie śmiercią do manipulowania mną, by uzyskać ode mnie to, czego chce. Nigdy bym nie mógł zaufać takiemu w tym, o co muszę poprosić pozostałych. Nie mógłbym narażać naszego życia na takie ryzyko. Ale teraz mamy z głowy przynajmniej ten jeden kłopot. - Obrócił się ku czekającym ludziom Owena. - Każdy z was postanowił zwrócić mi życie.

Ich twarze spoważniały. Czekali, co dalej zamierza. Richard spojrzał na przedstawiający go posążek, na sypiący się w dół piasek, na osobliwie czarną powierzchnię, która się powoli powiększała, jakby same zaświaty coraz bardziej rościły sobie prawo do jego życia. Jego palce zostawiły na posążku krwawe ślady.

Chmury wisiały jeszcze niżej, tak gęste, że światło popołudnia bardziej przypominało mrok zmierzchu.

Richard opuścił posążek i znów na nich spojrzał.

- Zrobimy co w naszej mocy, żeby wam pomóc pozbyć się Ładu.

W rozrzedzone, chłodne powietrze wzbily się radosne okrzyki. Ludzie Owena dawali wyraz swojej ekscytacji i uldze. Jeszcze nie widział, żeby się

tak szeroko uśmiechali. Ich uśmiechy najpełniej wyrażały, jak zdecydowanie chcą się uwolnić od żołnierzy Ładu. Richard był ciekaw, jak zareagują, kiedy im powie o ich roli.

Wiedział, że dopóki Nicholas Slide będzie mógł ich śledzić oczami chyzolotów, on sam pozostanie zagrożeniem narażającym na szwank ich starania, by Stary Świat powstał i obalił Imperialny Ład. Co więcej, Nicholas będzie mógł nasać na nich zabójców. Sama myśl o tym, że ten człowiek wypatrzy Kahlan i będzie wiedzieć, gdzie ją znaleźć, przyprawiała Richarda o lodowaty dreszcz. Musiał wyeliminować Nicholasa. Całkiem możliwe, że eliminując go, eliminując przywódcę, pomoże tym ludziom wypędzić Ład z ich ziem.

Gestem przywołał bliżej ludzi Owena.

- Zanim przejdziemy do spraw związanych z oswobodzeniem was, musicie mi powiedzieć, gdzie ukryliście antidotum.

Owen przykucnął, wybrał kamyk. Narysował nim owal na płaskim kawałku skały.

- Powiedzmy, że to góry otaczające Bandakar. - Położył kamyk na najbliższej Richarda części owalu. - To przełęcz do naszej krainy, miejsce, w którym teraz jesteśmy. - Podniósł z ziemi trzy kamyki. - To miasteczko Witherton, tam mieszkamy - powiedział, kładąc pierwszy kamyk w pobliżu tego, który symbolizował przełęcz. - Część odtrutki jest tutaj.

- I to tam się ukrywaliście? - zapytał Richard, zataczając palcem krąg wokół owego kamyka. - Na wzgórzach otaczających Witherton?

- Głównie w ich południowej części. - Owen wskazał te okolice, a potem umieścił drugi kamyk blisko środka owalu. - Tu jest druga fiolka antidotum, w mieście zwanym Hawton. - Trzeci kamyk położył blisko krańca owalu. - A w tym mieście, w Northwick, jest trzecia fiolka.

- Czyli - stwierdził Richard - muszę pójść do jednego z tych miejsc i wziąć antidotum. Wasze miasteczko jest najmniejsze, więc tu będzie najprościej.

Niektórzy pokręcili głowami, inni odwrócili wzrok.

Owen, wyraźnie zakłopotany, dotknął każdego z trzech kamyków.

- Przykro mi, lordzie Rahlu, ale jedna fiolka nie wystarczy. Upłynęło zbyt wiele czasu. Teraz nawet dwie by nie wystarczyły. Człowiek, który przyrzędził truciznę, powiedział, że jeżeli upłynie zbyt dużo czasu, potrzebne będą wszystkie cztery. Mówił, że jeśli nie dostaniesz natychmiast

tej dawki antidotum, którą miałem przy sobie, to ono tylko na jakiś czas powstrzyma truciznę. I że potem będą potrzebne wszystkie pozostałe. Powiedział też, że w takim przypadku trucizna zadziała trójfazowo. Jeżeli masz się uwolnić od niej, musisz wypić wszystkie pozostałe dawki antidotum. Jeżeli tego nie zrobisz, umrzesz.

- Trzy fazy? Co to znaczy?

- Pierwsza faza to ból w piersiach. Druga faza to zawroty głowy, które utrudniają utrzymanie się na nogach. - Owen odwrócił wzrok od oczu Richarda. - W trzeciej fazie trucizna cię oślepi. - Znów na niego spojrzał i dotknął jego ręki, jakby go chciał pocieszyć. - Ale trzy dawki antidotum cię uzdrowią.

Richard otarł dłonią czoło. Ból w piersiach powiedział mu, że jest w pierwszej fazie działania trucizny.

- Ile mam czasu?

Owen opuścił wzrok, wygładził rękaw.

- Nie wiem, lordzie Rahlu. Wiele czasu zabrało nam dotarcie tutaj po tym, jak przyjąłeś pierwszą dawkę. Myślę, że nie mamy chwili do stracenia.

- Ile? - zapytał Richard z takim spokojem, do jakiego zdołał się zmusić.

Owen przełknął ślinę.

- Prawdę powiedziawszy, lordzie Rahlu, jestem zdumiony, że znosisz ból pierwszej fazy działania trucizny. Mówiono mi, że będzie się nasilał w miarę upływu czasu.

Richard jedynie skinął głową. Nie popatrzył na Kahlan. Ponieważ w Bandakarze byli żołnierze Imperialnego Ładu, wydobywanie antidotum nawet z jednego schowka zapowiadało się wystarczająco ciężko. Wydostanie odtrutki ze wszystkich trzech schowków wydawało się wręcz niemożliwe.

- Cóż, skoro zostało tak mało czasu, mam lepszy pomysł - stwierdził Richard. - Sporządźcie więcej antidotum. Wtedy nie będziemy się musieli martwić dotarciem do schowków i zajmiemy się obmyśleniem jak najlepszych metod pozbycia się wojsk Ładu.

Owen poruszył ramieniem.

- Nie możemy.

- Dlaczego? - Richard nachylił się ku niemu. - Zrobiliście to już wcześniej. Przygotowaliście antidotum, które schowaliście. Sporządźcie je raz jeszcze.

Owen się cofnął.

- Nie możemy.

Richard głęboko odetchnął dla uspokojenia.

- Dlaczego?

Owen wskazał leżącą z boku sakiewkę, którą z sobą przyniósł - tę z palcami trzech dziewcząt.

- To ojciec owych dziewcząt sporządził i truciznę, i antidotum. Tylko on wiedział, jak sporządzać z ziół takie wieloskładnikowe mieszanki. My tego nie wiemy, nie znamy nawet wielu z tych składników, których użył. Może w miastach są i inni, którzy potrafiliby sporządzić antidotum, ale my ich nie znamy i nawet nie wiemy, czy nadal żyją. A ponieważ są tam żołnierze Ładu, nie zdołalibyśmy odszukać tych ludzi. Gdyby nawet nam się to udało, i tak nie wiemy, z czego powstała trucizna, więc nie mogliby sporządzić antidotum. Jeżeli chcesz ocalić życie, musisz odszukać te trzy dawki. Nic innego ci nie pozostaje.

Richarda tak bolała głowa, że nie wiedział, jak długo jeszcze to wytrzyma. Istniały jedynie trzy dawki antidotum i potrzebował wszystkich trzech, żeby przeżyć. Musiał do nich dotrzeć, zanim coś się z którąś stanie. Ktoś mógł znaleźć jedną z nich i wyrzucić. Mogły zostać gdzieś przeniesione. Może potłuczono fiołki i wylano antidotum. Każdy oddech wywoływał kłujący ból w piersiach. Na obrzeżu świadomości czaiła się panika. Gdy Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu, Richard z wdzięcznością przykrył ją swoją dłonią.

- Pomożemy ci zdobyć odtrutkę, lordzie Rahlu - odezwał się jeden z mężczyzn.

- Otóż to - potwierdził następny. - Pomożemy ci.

Wtedy wszyscy oznajmili, że pomogą odzyskać antidotum, żeby Richard mógł się uwolnić od trucizny.

- Większość z nas była przynajmniej w dwóch z tych miast - powiedział Owen. - A niektórzy we wszystkich trzech. To ja ukryłem antidotum, ale powiedziałem im gdzie, zatem wszyscy to wiemy. Wiemy, dokąd iść, żeby je odzyskać. Tobie też powiemy.

- Więc właśnie tak zrobimy. - Richard kucnął, przypatrywał się mapie. - Gdzie jest Nicholas?

Owen się pochylił, postukał w leżący w centrum kamyk.

- Ten Nicholas jest tutaj, w Hawton.

Richard spojrział na niego.

- Nie musisz mi nic mówić. Ukryłeś antidotum w budynku, w którym widziałeś Nicholasa.

Bandakarczyk z zażenowaniem wzruszył ramionami.

- Wtedy to wyglądało na dobry pomysł. Teraz żałuję, że to zrobiłem.

Stojąca za Richardem Cara z niesmakiem przewróciła oczami.

- Dziwię się, że nie dałeś tego Nicholasowi i nie poprosiłeś go, żeby ci tego popilnował.

Owen, skory do zmiany tematu, wskazał kamyk symbolizujący Northwick.

- W tym mieście ukrywa się mentor. Może uzyskamy pomoc od wielkich heroldów. Może mentor da nam swoje błogosławieństwo, a wtedy ludzie wspomogą nasze wysiłki w przepędzeniu Imperialnego Ładu.

Richard - po tym wszystkim, czego się dowiedział o Bandakarczykach - nie miał złudzeń. Wiedział, że nie może liczyć na jakąś znaczącą pomoc z ich strony. Chcieli się uwolnić od grasujących żołdaków, lecz wyrzekali się jedynych metod, które mogły im tę wolność zapewnić. Ludzie Owena przynajmniej wykazali pewien stopień determinacji. Będą pracować nad zmianą nastawienia swoich ziomków, ale Richard wątpił, czy od razu uda się im uzyskać pomoc.

- Żeby zrealizować to, czego sobie życzycie, to znaczy wykorzenić Ład lub przynajmniej wypędzić go z waszych ziem, będziecie musieli nam pomóc. Bo Kahlan, Cara, Jennsen, Tom i ja sami nie damy rady. Jeżeli to ma się udać, musicie nam pomóc.

- Co mamy zrobić? - zapytał Owen. - Już powiedzieliśmy, że zaprowadzimy cię tam, gdzie jest schowane antidotum. Cóż więcej możemy zrobić?

- Musicie nam pomóc zabijać żołnierzy Ładu.

Natychmiast wybuchł gorący sprzeciw. Wszyscy mówili równocześnie, potrząsali głowami, gestami odrzucali jego słowa. Richard prawie nie rozumiał, co mówią, lecz nie miał wątpliwości co do ich odczuć. Wychwytywał zaledwie pojedyncze słowa - zarzekali się, że nie będą zabijać.

Richard wstał.

- Wszyscy wiecie, co zrobili - odezwał się donośnym głosem, który ich uciszył. - Uciekliście, żeby i was nie zabili. Wiecie, jak postępowali z waszymi

ziomkami. Wiecie, co spotkało waszych uprowadzonych najbliższych.

- Ale my nie możemy krzywdzić innych - jęknął Owen. - Nie możemy.

- To nie po naszymu - dorzucił inny.

- Wypędzaliście złoczyńców przez granicę - rzekł Richard. - Jak skłanialiście ich do przejścia, kiedy odmawiali?

- W razie potrzeby - odezwał się jeden ze starszych - kilku z nas go trzymało, żeby nie mógł nikogo skrzywdzić. Wiązaliśmy mu ręce i doprowadzaliśmy do granicy. Mówiliśmy przepędzanemu, że musi opuścić naszą krainę. Jeżeli nadal odmawiał, prowadziliśmy go do długiego, stromego kawałka skały, tam go kładliśmy, stopami do przodu, i spychaliśmy, tak że się zsuwał i znikał poniżej. Potem już nie mógł wrócić.

Richard zadumał się nad tym, ile trudu zadawali sobie ci ludzie, żeby nie wyrządzić krzywdy najgorszym spośród nich bestiom. Zastanawiał się, ilu musiało cierpieć lub zginąć z rąk owych zbrodniarzy, zanim Bandakarczycy byli gotowi uciec się do takich - według nich ostatecznych - środków.

- Pojmujemy wiele z tego, coś nam powiedział - rzekł Owen - ale nie możemy zrobić tego, o co prosisz. To byłby zły uczynek. Wychowano nas tak, że nie potrafimy krzywdzić innych.

Richard chwycił sakiewkę z palcami dziewcząt i potrząsnął nią przed ich oczami.

- Wszyscy wasi najbliżsi myślą wyłącznie o ocaleniu. Czy któryś z was choć próbował sobie wyobrazić ich przerażenie? Wiem, jak to jest być torturowanym, czuć się bezsilnym i osamotnionym, mieć wrażenie, że nie zdoła się uciec. Wtedy chce się tylko jednego: żeby to się wreszcie skończyło. Zrobiliby się wszystko, żeby położyć temu kres.

- Właśnie dlatego cię potrzebujemy - powiedział starszy mężczyzna. - Musisz to zrobić. Musisz nas uwolnić od Ładu.

- Mówiłem wam, że sam nie dam rady. - Richard z emfazą machnął ramieniem, na którym był zakrwawiony opatrunek. - Podporządkowanie się żołnierzom Ładu, którzy zdolni są do takich jak ten czynów, niczego nie rozwiąże. Jedynie spowoduje kolejne ofiary. Żołnierze Ładu są źli i występni, a wy musicie stawić im opór.

- Ale gdybyś tylko przemówił do nich tak, jak przemówiłeś do nas, uznaliby swój błąd. I odmieniliby się.

- Nie, nie zmieniliby się. Życie nic dla nich nie znaczy. Wybrali

torturowanie, gwałcenie, zabijanie. Jeżeli chcemy przeżyć, jeżeli chcemy mieć przyszłość, musimy ich zniszczyć.

- Nie możemy krzywdzić innych - powtórzył jeden z nich.

- Wyrządzanie innym krzywdy to zły uczynek - przyznał Owen.

- Skrzywdzenie, a zwłaszcza zabicie kogoś jest zawsze niemoralne - rzekł jeden z mężczyzn w średnim wieku przy pomrukach aprobaty pozostałych. - Ci, którzy czynią zło, najwyraźniej cierpią i potrzebują naszego zrozumienia, nie zaś nienawiści. Nienawiść jedynie wzbudza nienawiść. Przemoc tylko zapoczątkowuje cykl przemocy, który nigdy niczego nie rozwiąże.

Richard miał wrażenie, że traci to, co mu się udało z nimi uzyskać. Już miał przeczesać włosy palcami, kiedy zauważył, że palce są okrwawione. Opuścił rękę i ujął to inaczej:

- Otruliście mnie, żeby w ten sposób skłonić do zabicia tych żołnierzy. Tym samym dowiedliście, że akceptujecie fakt, że niekiedy trzeba zabić w obronie niewinnych. Po to mnie potrzebowaliście. Nie możecie utrzymywać, że krzywdzenie innych jest złem, i równocześnie zmuszać mnie, żebym to za was zrobił. To nic innego jak zabijanie cudzymi rękami.

- Potrzebna nam wolność - odezwał się jeden z nich. - Myśleliśmy, że może jako władca rozkażesz im i się wycofają ze strachu przed tobą.

- I właśnie dlatego musicie mi pomóc. Dopiero co powiedziałeś o strachu przede mną. Musicie pomóc mi sprawić, żeby ów strach, owo zagrożenie stały się autentyczne. Jeżeli nie uwierzą, że naprawdę coś im zagraża, to niby dlaczego mieliby stąd odejść?

Któryś z mężczyzn skrzyżował ramiona i rzekł:

- Myśleliśmy, że uwolnisz nas od Ładu bez przemocy, bez zabijania, ale skoro takie są twoje metody, to twoja rzecz zabijać. My zabić nie możemy. Nasi przodkowie od samego zarania nauczali, że zabijanie to zło. To ty musisz to zrobić.

Kolejny potwierdził skinieniem głowy i dodał:

- Twoim obowiązkiem jest pomóc tym, którzy sami nie potrafią się zdobyć na zrobienie tego, co ty zrobić możesz.

Obowiązek. Uprzejme określenie przymusu i niewoli.

Richard odwrócił się od nich, zamknął oczy i ucisnął skronie palcami. A już myślał, że zaczyna docierać do tych ludzi. Że zdoła ich skłonić, by myśleli

samodzielnie - we własnym, najlepiej pojętym interesie - a nie działali jak automaty, powodowani opanowanymi na pamięć zasadami. Ledwie mógł uwierzyć, że po tym wszystkim, co im powiedział, oni i tak wolą pozwolić, by ich najbliżsi cierpieli i umierali, niż stawić opór żołdakom popełniającym te zbrodnie. Odmawiając stawienia czoła rzeczywistości, z własnej woli poświęcali dobro na rzecz zła, życie na rzecz śmierci.

Uświadomił sobie, że to ma o wiele głębsze podłoże. Cały problem w tym, że oni z uporem, rozmyślnie woleli odrzucić istnienie zła.

Każdy oddech wywoływał ból. Musiał zdobyć antidotum. Czas mu się kończył.

Jednak samo antidotum nie rozwiąże jego problemów - dar zabijał go równie niechybnie jak trucizna. Pulsujący ból głowy wywoływał takie mdłości, że Richard się bał, że zwymiotuje. I nawet magia miecza go zawodziła.

Obawiał się trucizny, ale jeszcze bardziej bał się śmierci nadciągającej z jego wnętrza, od daru. Trucizna, choć niebezpieczna, miała ściśle określone przyczyny i było na nią lekarstwo. Za to o darze nie wiedział nic.

Popatrzył w pełne troski oczy Kahlan. Nie mogła mu podsunąć żadnego rozwiązania. Stała przygnębiona, w opuszczonej ręce trzymając posążek, który jedynie przypominał Richardowi, że umiera, ale niczego nie podpowiadał. Istniał wyłącznie po to, żeby wezwać chłopaka do wypełnienia obowiązku, czyli do odbudowania granicy, jakby jego życie nie należało już do niego, lecz do każdego, kto go zakuje w dyby obowiązku.

Ten obowiązek był w nie mniejszym stopniu trucizną niż mikstura, którą ci ludzie mu podali... Wzywał do poświęcenia samego siebie.

Richard wyjął statuetkę z dłoni Kahlan i przyjrzał się jej. Atramentowa czerń zajęła już połowę posążka. Wypalało się jego życie. Piasek nadal się przesypywał. Czas uciekał.

Górowała nad nim kamienna postać Kaja-Ranga, dawno zmarłego czarodzieja, który przyzwał go owym znakiem ostrzegawczym i obarczył niewykonalnym zadaniem - a teraz jakby udzielał mu milczącej nagany.

Za chłopakiem tłoczyli się ludzie Owena, utwierdzając się nawzajem w swoich wierzeniach, metodach, obowiązkach wobec pradawnych ideałów. Mówili sobie, że żołnierze Ładu postępują tak dlatego, iż są w błędzie, i że przecież można ich nawrócić na właściwą drogę. Mówili o mentorze i

wszystkich wielkich heroldach, którzy wprowadzili ich na drogę pokoju i wyrzeczenia się przemocy. Utwierdzali się w tym, że muszą podążać drogą wytyczoną u zarania przez ojców krainy, którzy ofiarowali im obyczaje, wierzenia, wartości i sposób życia.

Próby przekonania owych ludzi, co jest słuszne i konieczne, wydawały się równie beznadziejne jak próby podniesienia ich na cienkiej niteczce. Nitka pękła.

Richard czuł się zamknięty w pułapce przez ich bałamutne przekonania, przez ich truciznę, przez migreny, przez tropiącego ich Nicholasa i dawno nieżyjącego czarodzieja, który z zaświatów usiłował uczynić go niewolnikiem wygasłego obowiązku.

Zawrzał w nim gniew. Cisnął posążkiem w statuę Kaja-Ranga.

Ludzie Owena schylili się, kiedy figurka śmignęła nad ich głowami i roztrzaskała się o kamienną podstawę posągu. We wszystkie strony poleciały czarne i bursztynowe odłamki. Piasek przylgnął do granitowego piedestału.

Skuleni ze strachu ludzie umilkli.

Nad nimi płynęły posępne chmury, z których zwieszały się pierzaste strzępy, zdawało się tak bliskie, że wystarczyło sięgnąć, by ich dotknąć. W nieruchomym powietrzu unosiły się nieliczne płatki śniegu. Piętrzące się dokoła góry otuliła lodowata mgła - szczyt przełęczy z kamiennym strażnikiem wydawał się osamotniony i nie z tego świata, jakby nic poza nim nie istniało. Richard skupiał na sobie uwagę wszystkich.

W jego myślach płynęły słowa w górnod'harańskim wyrzeźbione na podstawie posągu: „Lękaj się naruszyć pieczęć na imperium, albowiem za nią jest zło: ci, którzy nie są zdolni widzieć”.

Wciąż na nowo powtarzał w myślach te słowa. Ich przekład nie brzmiał jak należy.

- Drogie duchy - wyszeptał Richard, bo nagle pojawił. - Źle to przełożyłem. To nie tak miało brzmieć.

ROZDZIAŁ 45

Kahlan miała wrażenie, że serce jej pęknie przez udrękę, jakiej za sprawą tamtych doświadczał Richard. Już myślała, że zdołał otworzyć im oczy i pojęli, co trzeba zrobić - a tu wszystko przepadło, bo wrócili do swojego rozmyślnego zaślepienia.

Za to Richard wyglądał, jakby o nich zapomniał. Stał wpatrzony w miejsce, w którym znak ostrzegawczy roztrzaskał się o posąg. Kahlan podeszła do niego i szepnęła:

- Co to znaczy, że źle to przełożyłeś i że to brzmi inaczej? O czym ty mówisz?

- O tłumaczeniu tego napisu - odparł wstrząśnięty nagłym zrozumieniem. Stał nieruchomo, zwrócony ku olbrzymiemu posągowi Kaja-Ranga. - Pamiętasz, jak mówiłem, że to jakoś dziwacznie ujęto?

Kahlan spojrzała na rzeźbę, a potem znów na Richarda.

- Tak.

- To wcale nie było dziwaczne, tylko ja to źle pojąłem. Usiłowałem nadać temu taki sens, jaki mi się wydawał właściwy: że ci poza granicą nie mogą dostrzec magii. Nie widziałem tego, co miałem przed oczami. Podałem ci błędne tłumaczenie...

Zamilkł, a Kahlan chwyciła go za ramię.

- Dlaczego błędne? A jak powinno brzmieć?

Richard wskazał posąg.

- Teraz rozumiem, co poplątałem, dlaczego sprawiało mi to tyle kłopotu. Mówiłem, że nie jestem pewny tłumaczenia. I słusznie miałem wątpliwości. To wcale nie brzmi: „Lękaj się naruszyć pieczęć na imperium, albowiem za nią jest zło: ci, którzy nie są zdolni widzieć”.

Jennsen znalazła się obok Kahlan.

- Jesteś pewien?

Chłopak obejrzał się na posąg i rzekł głucho:

- Teraz już tak.

Kahlan pociągnęła go za rękę, żeby na nią popatrzył.

- Więc co to właściwie znaczy?

Przelotnie spojrzał jej w oczy i znów skierował wzrok na Kaja-Ranga patrzącego ku Filarom Świata, ku ostatecznemu zabezpieczeniu świata przed tymi ludźmi. Zamiast jej odpowiedzieć ruszył ku rzeźbie.

Ludzie Owena rozstępowali się przed nim. Kahlan trzymała się go, a Cara szła za nią. Jennsen chwyciła postronek Betty i prowadziła kózkę. Mężczyźni, już i tak cofający się przed Richardem, lękliwie popatrywali na mijające ich kozę i jej panią. Tom został tam, gdzie był. Nie spuszczał z nich oka.

Richard dotarł do posągu, odgarnął śnieg i znów odsłonił górnod'harańskie słowa. Kahlan patrzyła, jak jego oczy przesuwają się po linijsce tekstu. Widoczna w jego ruchach ekscytacja powiedziała jej, że znalazł się na tropie czegoś ważnego. Spostrzegła również, że przestała boleć go głowa. Nie pojmowała, dlaczego migrena od czasu do czasu znika, lecz cieszyło ją, że nabierał wtedy sił. Wsparty na dłoniach, pochylał się ku napisowi. Odwrócił głowę ku Kahlan. Gdy znikła migrena, szare oczy były jasne i pełne życia.

- Część tego wszystkiego była niezrozumiała - powiedział. - Ale teraz już to pojmuję. Ten napis wcale nie głosi: „Lękaj się naruszyć pieczęć na imperium, albowiem za nią jest zło: ci, którzy nie są zdolni widzieć”.

- Nie? - Jennsen zmarszczyła nos. - Chcesz powiedzieć, że nie miał dotyczyć tych nieskażonych magią?

- Owszem, to o nich, ale w innym sensie. - Richard postukał palcem w wyrzeźbione słowa. - To wcale nie znaczy: „albowiem za nią jest zło: ci, którzy nie są zdolni widzieć”, lecz coś zupełnie innego. Napis głosi: „Lękaj się naruszyć pieczęć na imperium, albowiem za nią są ci, którzy nie potrafią dostrzec zła”.

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Ci, którzy nie potrafią dostrzec zła.

Richard uniósł obandażowaną rękę ku wznoszącemu się nad nimi posągowi.

- To właśnie tego najbardziej się obawiał Kaja-Rang: nie tych, którzy nie mogą dostrzec magii, lecz tych, którzy nie potrafią dostrzec zła. - Wskazał kciukiem przez ramię na stojących za nimi mężczyzn. - To sedno całej sprawy.

Kahlan była bardzo zaskoczona i nieco skonsternowana.

- Uważasz, że może być tak, że skoro ci ludzie nie potrafią dostrzec magii, to nie potrafią dostrzec i zła - spytała - lub że ze względu na swoją odmienność nie potrafią zrozumieć zła, podobnie jak nie potrafią wyobrazić sobie prawdziwej magii, która nie ma nic wspólnego z ich mistycyzmem?

- Kaja-Rang mógł tak po części myśleć - odparł Richard. - Ale ja nie.

- Na pewno? - zapytała Jennsen.

- Tak.

Zanim Kahlan skłoniła go, żeby im to wyjaśnił, Richard zwrócił się do

ludzi Owena:

- W tym oto kamieniu Kaja-Rang zostawił światu ostrzeżenie. Ostrzegwał przed tymi, którzy nie potrafią zobaczyć zła. Waszych przodków wygnano z Nowego Świata, ponieważ byli nieskażeni magią. Jednak ów człowiek, ów potężny czarodziej Kaja-Rang, obawiał się ich z innego powodu. Chodziło mu o ich poglądy. Lękał się ich, bo nie chcieli widzieć zła. To dlatego wasi przodkowie byli tak niebezpieczni dla mieszkańców Starego Świata.

- Jak to możliwe? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Wypędzeni do obcego im Starego Świata wasi przodkowie musieli kurczowo trzymać się razem. Do tego stopnia obawiali się odrzucenia i wypędzenia, że unikali wyrzekania się swoich. Z czasem stało się głęboko zakorzenioną zasadą, że bez względu na wszystko nie wolno nikogo potępiać. Toteż odrzucili pojęcie zła, bojąc się, że będą musieli kogoś osądzić. A uznanie kogoś za złego człowieka oznaczałoby, że będą się musieli zmierzyć z problemem usunięcia tego człowieka ze swojej wspólnoty. Uciekając od rzeczywistości, usprawiedliwili swoje postępowanie zasadą, że nic nie jest realne i że przez wzgląd na to nikt nie może poznać prawdziwej natury rzeczywistości. Dzięki temu nie musieli uznawać, że ktoś jest zły. Lepiej zaprzeczyć istnieniu zła, niż musieć się pozbyć złoczyńcy ze swego grona. Lepiej zamknąć oczy na jakąś sprawę, zignorować ją i mieć nadzieję, że sama zniknie. Gdyby uznali realność zła, jedynym słusznym czynem byłoby wyeliminowanie złoczyńcy. Co za tym idzie, skoro zostali wypędzeni, musieliby uznać, że stało się tak, ponieważ byli źli. Więc zwyczajnie odrzucili całą koncepcję zła. I opletli to siecią wierzeń i zasad. Kaja-Rang mógł sądzić, że skoro byli nieskażeni magią i nie potrafili jej dostrzec, to tym samym nie mogli dostrzec i zła, ale obawiał się szerzenia się ich doktryny. Myślenie wymaga wysiłku, ci ludzie zaś proponowali zasady nie wymagające przemyśleń, a jedynie uznania paru szlachetnie brzmiących zaleceń. W gruncie rzeczy było to aroganckie lekceważenie potęgi ludzkiego umysłu, ułuda mądrości czyniąca zbędnym nie tylko każdy wysiłek zrozumienia otaczającego ich świata, ale i uciążliwość uzasadnień. Takie nazbyt uproszczone rozwiązania, jak bezwarunkowe wyrzeczenie się przemocy, są szczególnie pociągające dla niewyrobionych młodych umysłów i wielu młodych z zapałem uznałoby to pokrętne rozumowanie za oznakę oświecenia. Kaja-Rang zaniepokoił się pewnie wtedy, kiedy zaczęli

fanatycznie głosić swoje puste frazesy, wpajać je innym. Gdy owe idee zaczęły się rozprzestrzeniać i wywierać na niektórych przemożny wpływ, czarodziej i jego ludzie zorientowali się, że jeżeli nie położy się temu kresu, może dojść do anarchii i ruiny, bo zło bez przeszkód zacznie grasować wśród ich ziomków. Te idee i was uczyniły bezbronnymi wobec zła sianego przez Imperialny Ład. Kaja-Rang właściwie ocenił owe zasady: opowiadały się za śmiercią, nie za życiem. Odwrócenie się od prawdziwego oświecenia ku ułudzie dogłębnego zrozumienia rodziło zamęt i stawało się niebezpieczne dla wszystkich mieszkańców Starego Świata. Groziło cofnięciem się w mroki. - Postukał palcem w wierzch kamiennego gzymsu. - Wokół podstawy jest kolejny napis, który o tym mówi oraz wyjaśnia, jak sobie z tym poradzono. Kaja-Rang zgromadził wszystkich, którzy wierzyli w owe nauki, a więc nie tylko tych nieskażonych magią z Nowego Świata, ale i zagorzałych neofitów, którzy przyjęli za swoje ich błędne nauki, i wygnał ich. Pierwsze wygnanie, to z Nowego Świata do Starego, było niesprawiedliwe. Ale na to drugie, ze Starego Świata na te ziemie, w pełni sobie zasłużyli.

Jennsen, mnąc w palcach wystrzępiony koniec postronka, sprawiała wrażenie pełnej wątpliwości.

- Naprawdę uważasz, że z tymi nieskażonymi magią wygnano i innych? To by znaczyło, że było ich bardzo wielu. Jak Kaja-Rang sprawił, że na to przystali? Że nie stawiali oporu? Jak skłonił ich do odejścia? Czy to było krwawe wypędzenie?

Bandakarczycy kiwali głowami. Najwyraźniej też się nad tym zastanawiali.

- Nie sądzę, by górnod'harański był szeroko rozpowszechnionym językiem, a przynajmniej nie tutaj. Podejrzewam, że był to zanikający język używany wyłącznie przez niektórych uczonych, na przykład czarodziejów. - Richard wskazał leżące dalej ziemie. - Kaja-Rang nazwał tych ludzi *bandakar*, co znaczy „wypędzeni”. Nie sądzę, by ludzie ci wiedzieli, co to oznacza. Ich imperium nie nazwano Filarami Świata, nie nadano mu też żadnej innej nazwy odnoszącej się wyłącznie do nieskażonych darem. Te napisy wskazują, że stało się tak, ponieważ wypędzono nie tylko nieskażonych magią, ale wszystkich, którzy wierzyli w to samo co oni. Wszyscy byli *bandakar*, wypędzonymi. Uważali swoje wierzenia i siebie za oświeconych. Kaja-Rang to wykorzystał. Pochlebiał im, mówiąc, że to miejsce znalazło się

na uboczu, żeby chronić ich przed światem, który nie jest jeszcze gotowy ich zaakceptować. Dał im odczuć, że znaleźli się tutaj, bo byli lepsi od innych. Owi ludzie, nie potrafiąc racjonalnie rozumować, z łatwością dali się omamić i współdziałali we własnym wygnaniu. Napis wokół podstawy posągu napomyka, że radośnie podążyli do swojej ziemi obiecanej. A kiedy już ich tam odosobniono, za sprawą zawieranych małżeństw owa cecha, nieskażenie magią, rozprzestrzeniła się na całą populację Bandakaru.

- I Kaja-Rang naprawdę wierzył, że są tak okropnym zagrożeniem dla pozostałych mieszkańców Starego Świata? - odezwała się Jennsen.

Ludzie Owena znów kiwali głowami wyraźnie zadowoleni. Kahlan podejrzewała, że Jennsen pytała w ich imieniu.

Richard wskazał posąg czarodzieja.

- Przyjrzyjcie mu się. Co robi? Symbolicznie pełni straż nad granicą, którą sam tutaj ustanowił. Strzeże owej przełęczy, czuwa nad pieczęcią zamykającą to, co znajduje się dalej. Nieustannie czujny, dzierży w dłoni obnażony miecz, sygnalizując tym ogrom zagrożenia. Mieszkańcy Starego Świata byli tak wdzięczni owemu wielkiemu człowiekowi, że wzniesli ten pomnik, by uhonorować to, co dla nich zrobił, chroniąc ich przed zasadami, które naraziłyby na niebezpieczeństwo ich społeczność. A nie było to wydumane, błahe zagrożenie. Kaja-Rang nawet po śmierci czuwa nad tą granicą. Ze świata zmarłych wysłał mi ostrzeżenie, że pieczęć została złamana. - W pełnej napięcia ciszy Richard odczekał, aż wszyscy na niego znów spojrzeli, i spokojnie rzekł: - Kaja-Rang wypędził waszych przodków nie tylko dlatego, że nie potrafili dostrzec magii, ale przede wszystkim dlatego, że co gorsza, nie potrafili dostrzec zła.

Ludzie Owena, zdenerwowani i zaniepokojeni, spoglądali jeden na drugiego.

- Ale to, co ty nazywasz złem, jest jedynie sposobem wyrażania cierpienia - odezwał się któryś. Zabrzmiało to bardziej jak usprawiedliwienie niż argument w sporze.

- Właśnie - poparł go kolejny. - Nazywanie kogoś złym to oznaka stronnictwa i uprzedzeń. To lekceważenie i umniejszanie kogoś, kto z jakiegoś powodu cierpi. Takich ludzi należy przygarnąć i nauczyć ich, by dzielili się z innymi swoimi obawami, a wtedy wyrzekną się przemocy.

Richard powiódł gniewnym spojrzeniem po zwróconym ku nim

twarzom. Znow wskazał posąg.

- Kaja-Rang się was obawiał, bo jesteście dla wszystkich zagrożeniem. I to nie dlatego, że jesteście nieskażeni magią, lecz dlatego, że wasze nauki usprawiedliwiają zło. Stosując się do nich, starając się wyzbyć egoizmu, być łagodnymi i zawsze zachowywać neutralność, pozwalacie, by zło stawało się potężniejsze, niż byłoby w innym przypadku. Odmawiacie ujrzenia zła i tym samym zapraszacie je. Pozwalacie, żeby istniało. Dajecie mu nad sobą władzę. Jesteście ludźmi, którzy mile powitali śmierć i z uporem odmawiają potępienia jej.

Jesteście imperium bezbronnym wobec zła.

Przez chwilę panowała przytłaczająca cisza. W końcu odezwał się jeden ze starszych mężczyzn:

- Ta ocena jest zła, jak ty to nazywasz. To podejście nietolerancyjne i bardzo uproszczone. To niesprawiedliwe potępienie bliźniego. Żaden z nas, nawet ty, nie powinien osądzać innych.

Kahlan wiedziała, że Richard jest bardzo cierpliwy, lecz nie ma za grosz wyrozumiałości. Był niezmiernie cierpliwy wobec tych ludzi, ale wyraźnie widziała, że dotarł już do kresu wyrozumiałości. Miała wrażenie, że lada chwila dobiedzie miecza.

Szedł pośród mężczyzn, a oni cofali się przed jego gniewnym, drapieżnym spojrzeniem.

- Uważacie się za oświeconych, za tych, którzy się wznieśli ponad przemoc. Wcale nie jesteście oświeceni, jesteście niczym więcej jak niewolnikami czekającymi na swojego pana, ofiarami czekającymi na swoich zabójców. I wreszcie do was przyszli. - Pochwycił małą sakiewkę i stanął przed tym, który ostatni się odezwał. - Wyciągnij dłoń.

Mężczyzna rozejrzał się na boki. Ostatecznie wyciągnął otwartą dłoń.

Richard sięgnął do sakiewki i położył mu na dłoni mały palec, zmaltretowany i poplamiony zakrzepłą krwią.

Owemu człowiekowi się to najwyraźniej nie spodobało, lecz spojrzał w gniewne oczy Richarda i powstrzymał się od wszelkich uwag. Nie próbował się też pozbyć krwawego trofeum.

Richard znow szedł między nimi i niektórym kazał wyciągać dłoń. Kahlan zauważyła, że wybierał tych, którzy sprzeciwiali się jego namowom. Kładł na dłoniach palce, dopóki nie opróżnił sakiewki.

- To, co trzymacie w dłoniach, jest efektem działania zła - oznajmił im. - Wszyscy dobrze o tym wiecie. Wszyscy wiecie, że w waszej krainie rozpanoszyło się zło. Wszyscy chcieliście to zmienić. Wszyscy chcieliście się pozbyć zła. Wszyscy chcieliście żyć. I chcieliście, by żyli wasi najbliżsi. Wszyscy mieliście nadzieję, że uda się to osiągnąć bez spojrzenia prawdzie w oczy. Staralem się wam te sprawy wyjaśnić, żebyście zdołali pojąć prawdziwe przyczyny walki, która nas czeka. - Poprawił pendent. - Więcej tłumaczyć nie będę. Chcieliście, żebym się znalazł w waszej krainie. Osiągnęliście swój cel. Teraz macie zdecydować, czy postąpić tak, jak - o czym dobrze wiecie - postąpić należy.

Znów stał przed nimi dumnie wyprostowany. Pochwa miecza połyskiwała w mdłym świetle, czarna, obramowana złotem tunika ostro odcinała się na tle widocznych za nim, otulonych mgłami gór. Wyglądał, jak przystało na lorda Rahla. Kahlan nigdy jeszcze nie widziała tak władczej i majestatycznej osoby jak on.

Odkąd się spotkali i wyszli z jego położonych na uboczu lasów, Richard przewrócił świat do góry nogami. Od początku znajdował się w samym środku walki, a teraz był władcą imperium - chociaż to zagrożone obecnie imperium stanowiło dla niego taką samą zagadkę jak jego magiczny dar.

Za to jasne jak słońce było, o co walczył.

Richard i Kahlan znajdowali się w samym centrum wojennej burzy, która ogarnęła ich świat. A teraz również tych ludzi i ich krainę.

Wielu widziało w Richardzie swoje jedyne wybawienie. A on starał się im wykazać, że się mylą. Za to dla innych był najbardziej znienawidzonym człowiekiem na świecie. Tym z kolei dawał po temu powody: powiedział ludziom, że ich życie należy do nich, tylko i wyłącznie do nich. I za to właśnie, a nie za inne zadane im ciosy, Imperialny Ład pragnął jego śmierci.

- Tak ma się stać - rzekł w końcu Richard spokojnie, chociaż władczo. - Przyłączycie swoją krainę do imperium D'Hary i przyrzekniecie lojalność lub zostanieie poddanymi Imperialnego Ładu. To wasze jedyne możliwości. Innego wyboru nie macie. Czy wam się to podoba czy nie, musicie wybrać. Jeżeli odmówicie dokonania wyboru, wydarzenia zadecydują za was i najprawdopodobniej skończycie w rękach Imperialnego Ładu. I nie miejcie złudzeń, bo to złe ręce. O ile nie zostanieie zamordowani, staniecie się niewolnikami i tak też będziecie traktowani. Sądzę, że dobrze wiecie, co się

z tym wiąże. Wasze życie będzie dla nich niczym. Będziecie mieć wartość wyłącznie jako niewolnicy pomagający im siać zło. Jeżeli zaś przyłączycie się do imperium D'Hary, wasze życie będzie należeć wyłącznie do was. I będę oczekiwał, że podniesiecie się z klęczek i przeżyjecie je jak na wolnych ludzi przystało, a nie jak robactwo w śmietniku, w którym się zagrzebaliście. Przestała istnieć pieczęć ochronna waszej kryjówki, Bandakaru. Nie wiem, jak ją naprawić. Zresztą i tak bym tego nie zrobił, nawet gdybym mógł. Nie ma już Imperium Bandakarskiego. Już nie można wam pozwolić być tymi, którymi byliście, i chronić was. Może dałoby się wypędzić Ład z waszych ziem, ale nie dałoby się łatwo utrzymać ich poza waszą krainą, bo to ich zasady tu przeniknęły, żeby was zniszczyć. Wybierajcie więc. Niewolnicy lub wolni ludzie. I w jednym, i w drugim przypadku życie nie będzie łatwe. Uważam, że wiecie, jak będzie wyglądać życie niewolników. Jako wolni ludzie będziecie musieli walczyć, pracować i myśleć, lecz dzięki temu coś zyskacie i będzie to należeć wyłącznie do was. Wolność należy zdobyć, a potem ją chronić, bo inaczej znów się pojawią tacy jak Ład, aby ponownie zniewolić tych, którzy chcą, żeby ktoś inny za nich myślał. Jestem lordem Rahlem. Zamierzam zdobyć antidotum na truciznę, którą mi podaliście. Jeżeli postanowicie przyłączyć się do tej walki, uwolnić siebie i swoich najbliższych od zła, to wam pomogę. A jeżeli nie zechcecie, to możecie wracać i pozwolić Ładowi zrobić z wami, co pragnie, albo uciec. Jeśli uciekniecie, może uda się wam przeżyć jakiś czas, jak na wzgórzach. Ale ponieważ nie tak chcielibyście żyć, pomrzecie jak wystraszone zwierzęta, nigdy nie zaznawszy tego, co życie ma do zaoferowania. Wybierajcie więc. Jeżeli jednak postanowicie stanąć u mego boku przeciwko złu, będziecie się musieli wyrzec narzuconego sobie zaślepienia i otworzyć oczy na życie. Będziecie musieli ujrzeć realność otaczającego was świata. Na świecie istnieje i dobro, i zło. Będziecie się musieli posługiwać rozumem, żeby osądzić, co jest czym, byście mogli szukać dobra i odrzucać zło. Jeżeli postanowicie stanąć u mego boku, dołożę wszelkich starań, żeby odpowiedzieć na każde rzetelne pytanie, i spróbuję was nauczyć, jak pokonywać żołnierzy Ładu i im podobnych. Ale nie będę tolerować waszych bezrozumnych nauk, które są w gruncie rzeczy rozmyślnym odrzucaniem życia. Spójrzcie na te okrwawione palce. Spójrzcie, co źli ludzie uczynili dzieciom. Powinniście nienawidzić tych, którzy coś takiego uczynili lub

uczynić mogą. Jeżeli tego nie robicie lub nie potraficie, to nic po was w naszym gronie, wśród wybierających życie. Chcę, żeby każdy z was pomyślał o tych dzieciach, o ich przerażeniu, cierpieniu, pragnieniu, by ich nie krzywdzono. Zastanówcie się, jak się czuły osamotnione, wydane na łaskę i niełaskę złych ludzi. Macie prawo nienawidzić ludzi zdolnych do takich uczynków. Trwajcie przy tej słusznej nienawiści, albowiem jest to nienawiść do zła. Zamierzam odzyskać antidotum, żebym mógł żyć. A przy okazji mam zamiar zabić tylu tych złych ludzi, ilu tylko zdołam. Jeżeli będę sam, może uda mi się dotrzeć do antidotum, ale na pewno nie zdołam was uwolnić od Imperialnego Ładu. Jeżeli pójdziecie ze mną, pomożecie mi w tej walce, może nam się udać. Nie wiem, z czym się tam spotkam, więc nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć wam, że mamy dużą szansę na zwycięstwo. Mogę jedynie powiedzieć, że jeżeli mi nie pomożecie, to najprawdopodobniej takiej szansy nie będzie. - Uniesieniem palca podkreślił wagę swych słów. - Wiedźcie jedno. Jeżeli postanowicie się do nas przyłączyć i podejmiemy tę walkę, niektórzy z nas prawdopodobnie umrą. Ale jeśli jej nie podejmiemy, wszyscy będziemy martwi: niekoniecznie ciałem, lecz na pewno duchem. Pod taką władzą, jaką wam zademonstrował Ład, nikt nie może wytrwać przy życiu, chociaż jego ciało może jakiś czas wytrzymać ciężar niewoli. Pod władzą Ładu dusze marnieją i umierają.

Milczeli. Richard zamilkł i spojrzał im w oczy. Większość nie odwróciła wzroku, chociaż niektórzy wydawali się zawstydzeni i oni patrzyli w ziemię.

- Jeżeli postanowicie się do mnie przyłączyć, zostaniecie wezwani do zabijania żołnierzy Ładu, złych ludzi. Jeśli kiedyś uważaliście, że zabijanie sprawia mi przyjemność, to zapewniam was, że ogromnie się myliliście. Nienawidzę tego. I nie oczekuję, że polubicie zabijać. Nie można tego uniknąć, ale nie należy się w tym lubować. Chcę, byście pokochali życie i robili co trzeba, żeby je chronić.

Richard podniósł jeden z leżących z boku przedmiotów, które zrobili, czekając, aż Tom i Owen sprowadzą Bandakarczyków na przełęcz. Ów przedmiot wyglądał jak gruby kij. Zrobiono go z dębowej gałęzi. Miał zaokrąglony koniec, żeby dobrze siedział w dłoni, pośrodku był wąski, a na drugim końcu zaostroszony.

- Nie macie broni. Trochę jej dla was zrobiliśmy, czekając, aż tu przyjdziecie. - Gestem przywołał Toma. - Tego ludzie Ładu nie uznają za

broń, przynajmniej na początku. Jeżeli was zapytają, odpowiecie, że robi się tym dołki przy sadzeniu roślin.

Lewą ręką złapał Toma za ramię i zademonstrował, jak się posługiwać tą bronią: pchnąć w górę, tuż pod żebrami. Twarze niektórych wykrzywił grymas obrzydzenia.

- To najłatwiej wbić w miękką część ciała, a potem pod żebra - wyjaśnił im. - Kiedy już to wbijecie, gwałtownie skręćcie, żeby się złamało w przewężeniu. Zraniony nie będzie mógł tego wyjąć. A mając coś takiego w sobie, choćby się nawet utrzymał na nogach, nie zdoła was gonić lub się z wami siłować. Łatwiej wam będzie umknąć.

Jeden z mężczyzn podniósł rękę.

- Ale taki kawałek drewna może być wilgotny i nie chce się złamać. Wiele włókien tylko się ugnie i trzonek nie odpadnie.

Richard rzucił mu oręż. A kiedy tamten go złapał, rzekł:

- Spójrz na środek, tam gdzie jest takie wąskie. Przekonasz się, że drewno wysuszono nad ogniem, żeby się łatwo złamało. Przyjrzyj się też zaostrzonemu krańcowi. Zobaczysz, że został nacięty na czworo, a potem rozchylony jak pąk kwiatu. Jak się to wbije we wroga, może pęknąć i cztery końcówki pójdą każda w swoją stronę, czyniąc więcej szkody. Za jednym zamachem dźgniesz cztery razy. A gdy odłamiesz trzonek, wróg nie będzie mógł z tobą walczyć, bo przy każdym ruchu będzie sobie głębiej wbijał w trzewia te dębowe drzazgi. Jeżeli nie trafisz w ważny narząd i nie zabijesz go na miejscu, pożyje może dzień. A umierając, będzie wrzeszczał z bólu i przerażenia. Chcę, żeby tacy źli ludzie wiedzieli, że czekają ich te same cierpienie i śmierć, które zadają innym. Ten strach rozbudzi w nich myśli o ucieczce. Odbierze im sen, zetnie ich z nóg, tak że w razie potrzeby łatwiej nam będzie ich zabić. - Chwycił kolejny przedmiot. - A to niewielka kusza. - Uniósł ją wysoko, żeby wszyscy widzieli. - Cięciwę blokuje ta nasadka. Bełt leży w nacięciu. O tutaj. Kiedy się naciśnie tę dźwignię, nasadka zwalnia cięciwę i bełt zostaje wystrzelony. To wcale nie jest łatwe, a wy nie potraficie się czymś takim posługiwać, ale na razie nie musicie dobrze strzelać. Przygotowałem części do następnych kusz. To, co przynieśliście, pozwoli nam je skończyć. Są dość prymitywne i nie mają dalekiego zasięgu, ale są małe i będziecie mogli schować je pod okryciem. Choćby wróg był nie wiem jak wielki i silny, nawet najmniejszy z was zdoła go zabić. Nawet kolczuga

nie ochroni przed wystrzelonym z bliska bełtem. To będzie śmiercionośna broń.

Richard pokazał im też pałki z twardego drewna, które nabiją gwoździami. I tę broń można było ukryć. Zaprezentował im zwyczajny sznurek z małymi drewnianymi uchwytami na obu końcach, używany do zarzucania od tyłu na szyję i duszenia przeciwnika, kiedy należało zachować szczególną ostrożność i ciszę.

- A gdy powalimy przeciwników, zdobędziemy i inną broń: noże, topory, maczugi, miecze.

- Ale, lordzie Rahlu - odezwał się Owen, rozglądając się z niepokojem - nawet jeżeli zgodzimy się do ciebie przyłączyć, to i tak nie jesteśmy wojownikami. Ci żołnierze Ładu to doświadczony w takich sprawach zbiry. Przeciwno nim nie będziemy mieć żadnej szansy.

Inne zatroskane głosy go poparły. Richard pokręcił głową i uniósł ręce, uciszając ich.

- Popatrzcie na te palce, które macie w dłoniach. Zapytajcie sami siebie, jaką szansę miały te dziewczynki. Jaką mają wasze matki, siostry, żony, córki. Jesteście ich jedyną nadzieją. I swoją też. Zapewne i wy nie mielibyście najmniejszej szansy przeciwko żołnierzom Ładu. Ale nie mam zamiaru walczyć z nimi tak, jak to sobie wyobrażacie. To prosta droga do tego, żeby się dać zabić. - Pokazał jednego z młodszych mężczyzn. - Czego pragniemy? Po co wam byłem potrzebny?

Tamten wydawał się skonfundowany.

- Żeby się pozbyć Ładu?

- Tak - rzekł Richard. - Właśnie. Chcecie się pozbyć morderców. Ale nie chcecie z nimi walczyć.

Młodzian wskazał na oręż zaprezentowany im przez Richarda.

- Ale to wszystko...

- Ci ludzie to zabójcy. Musimy ich zgładzić. Chcemy uniknąć walk. W walce moglibyśmy zostać ranni lub zginąć. Nie twierdzę, że nie będziemy musieli z nimi walczyć, lecz że nie walka jest naszym celem. Tu i ówdzie może ich być niewielu, a wtedy możemy być pewni, że dzięki zaskoczeniu zdołamy ich wszystkich zlikwidować, zanim wybuchnie walka. Pamiętajcie, że tym żołnierzom wpojono, że nikt z was nie stawi im nigdy oporu. Liczymy na to, że zdołamy ich wybić, zanim przyjdzie im do głowy dobyć broni. Jeżeli

zaś nie będziemy musieli stawić im czoła, tym lepiej. Naszym celem jest zabicie ich. Zabicie tylu, ilu zdołamy. Uśmiercenie ich, kiedy śpią, patrzą w przeciwnym kierunku, jedzą, rozmawiają, piją, przechadzają się. Są źli. Musimy ich zabić, a nie walczyć z nimi.

Owen wyrzucił w górę ramiona.

- Ależ, lordzie Rahlu, jeżeli zaczniemy ich zabijać, to się zemszczą na naszych ziomkach.

Richard obserwował ich, dopóki się nie upewnił, że bacznie słuchają.

- Dopiero co uznaliście oczywistość faktu, że są źli. Masz rację, prawdopodobnie zaczną zabijać jeńców, żeby skłonić was do poddania się. Ale teraz też ich zabijają. Z czasem, jeżeli nie napotkają sprzeciwu, zaczną mordować masowo. Im szybciej ich wybijemy, tym szybciej się to skończy i tym szybciej ustaną mordy. Niektórzy stracą życie przez to, co robimy, lecz czyniąc to, wyzwolimy wszystkich pozostałych. Jeżeli będziemy bezczynni, wydamy owych niewinnych ludzi na łaskę zła, a zło nie zna miłosierdzia. Jak już powiedziałem, ze złem nie można pertraktować. Należy je zniszczyć.

Jakiś mężczyzna odchrząknął.

- Lordzie Rahlu, niektórzy z naszych przyłączyli się do Ładu, uwierzyli w ich słowa. Nie będą chcieli, byśmy ranili żołnierzy Ładu.

Richard ciężko westchnął. Przez chwilę patrzył w mrok, a potem znów na nich spojrział.

- Musiałem zabić ludzi, których znałem całe życie, bo się przyłączyli do Ładu jak ci, o których wspomniałeś. Zaczęli wierzyć żołnierzom Ładu, a ponieważ byłem przeciwny Imperialnemu Ładowi, usiłowali mnie zgładzić. To straszna rzecz musieć zabić kogoś, kogo się zna. Ale alternatywa jest jeszcze gorsza.

- Alternatywa? - spytał ów człowiek.

- Tak. Pozwolić, żeby to oni zabili mnie. To właśnie ta druga możliwość: stracić życie i to, o co się walczy, czyli życie najbliższych. - Richard spowaźniał. - Skoro niektórzy z waszych ziomków przyłączyli się do Ładu i chronią ich, to zapewne będziecie musieli się z nimi zmierzyć. I albo oni stracą wówczas życie, albo wy. A może też stawką będzie życie reszty z nas. Skoro stanęli po stronie zła, nie możemy dopuścić, żeby nam przeszkodzili to zło eliminować. Tę sprawę musicie wziąć pod uwagę, decydując, czy się do nas przyłączycie czy nie. Jeżeli podejmiecie walkę, musicie się pogodzić z

tym, że może wam przyjść zabić tych, których znacie. Musicie to rozważyć, dokonując wyboru.

Jego słowa już nie szokowały Bandakarczyków. Słuchali go z powagą.

Kahlan widziała małe ptaki szukające sobie miejsca na noc. Niebo i lodowata mgła ciemniały. Przyglądała się niebu, wypatrując, czy aby nie pokażą się czarnosterne chyzoloty. Ale pogoda na przełęczy była tak okropna, że wątpiła, by ptaszyska kręciły się w pobliżu. Mgła miała choć tę zaletę.

Richard wyglądał na wyczerpanego. Wiedziała, jak jej samej trudno oddychać w rozrzedzonym powietrzu, więc jemu musiało to sprawiać jeszcze większą trudność. Lękała się, że rozrzedzone powietrze w połączeniu z działaniem trucizny jeszcze bardziej go osłabi. Powinni zejść niżej z tej przełęczy.

- Wyjawilem wam prawdę i powiedziałem, co na razie mogę zrobić - rzekł Richard do Bandakarczyków. - Teraz każdy z was musi podjąć decyzję co do przyszłości.

Spokojnie poprosił Carę, Jennsen i Toma, żeby pozbierali rzeczy. Delikatnie położył dłoń na plecach Kahlan, obejrzał się ku Bandakarczykom i wskazał w dół stoku.

- Wracamy do naszego obozu w tych lasach. A wy decydujcie, co zrobicie. Jeżeli staniecie po naszej stronie, przyjdźcie tam, pod osłonę drzew, gdzie chyzoloty nie będą mogły nas dostrzec, kiedy pogoda się poprawi. Musimy ukończyć broń dla was. Jeśli zaś którykolwiek z was nie będzie się chciał do nas przyłączyć, jesteście zdani na własne siły. Nie zamierzam długo zostać w tym obozie. Jeżeli Ład was pojma, zapewne będą was torturować, a nie chcę być w okolicy, kiedy, zrywając sobie płuca z wrzasku, wyjawicie im, gdzie jest nasze obozowisko.

Zrozpaczeni ludzie Owena zbili się w ciasną gromadkę.

- Lordzie Rahlu - zapytał Owen - chcesz, żebyśmy teraz wybrali?

- Powiedziałem wam wszystko, co mogłem. Jak długo jeszcze mają na was czekać ci torturowani, gwałceni i mordowani? Jeżeli chcecie się do nas przyłączyć i stanąć po stronie życia, to przyjdźcie do obozu. Jeżeli nie, to życzę wam szczęścia. Ale nie próbujcie iść za nami, bo będę musiał was zabić. Byłem niegdyś leśnym przewodnikiem. Będę wiedzieć, czy któryś z was idzie naszym tropem.

Jeden z nich - ten, który pierwszy pokazał Richardowi dwa kamyki na znak, że wyjawi, gdzie jest antidotum - wysunął się z grupy.

- Mam na imię Anson, lordzie Rahlu. - Niebieskie oczy wypełniły się łzami. - Chciałem, żebyś wiedział, jak mnie zwa. Anson.

Richard skinął głową.

- W porządku, Ansonie.

- Dziękuję za otwarcie mi oczu. Zawsze chodziło mi po głowie trochę z tego, co wyjaśniłeś. Teraz rozumiem dlaczego i rozumiem mrok, który nie pozwalał mi widzieć. Już dłużej nie chcę tak żyć. Nie chcę żyć według norm, które nic nie znaczą, i nie chcę, żeby ludzie Ładu decydowali o moim życiu. Zabito moich rodziców. Widziałem wiszące na palu ciało ojca. Nigdy nikogo nie skrzywdził. Niczym sobie nie zasłużył na taką śmierć. Zabrali moją siostrę. Wiem, co z nią robią. Nie mogę spać, bo o tym myślę, bo myślę, jak się boi. Chcę pomsty. Chcę zabijać tych złych ludzi. Zasłużyli sobie na śmierć. Chcę ich zetrzeć na proch, jak mówiłeś. Wybieram was i walkę o wolność. Chcę żyć wolny. Chcę, żeby byli wolni ci, których kocham.

Kahlan była zdumiona, że jeden z nich opowiada takie rzeczy, zwłaszcza że nie porozumiał się wcześniej z resztą. Obserwowała wyraz ich oczu, kiedy Anson mówił. W skupieniu słuchali każdego słowa.

Richard się uśmiechnął, położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Witaj w D'Harze, Ansonie. Witaj w domu. Przyda się nam twoja pomoc.
- Wskazał Carę i Toma zbierających broń, którą przynieśli, żeby pokazać Bandakarczykom. - Pomożesz im to zanieść do obozu?

Anson uśmiechem wyraził zgodę. Ten młodzian o łagodnym głosie miał szerokie barki i umięśnioną szyję. Był dobrotliwy, ale wyglądał na zdeterminowanego. Kahlan pomyślała, że gdyby była w Imperialnym Ładzie, nie chciałaby, żeby taki krzepki mężczyzna na nią ruszył.

Anson usiłował odebrać Carze naręczce broni. Nie pozwoliła na to, więc pozbiierał resztę z ziemi i poszedł za Tomem w dół wzgórza. Jennsen ruszyła za nimi, ciągnąc Betty, bo kózka początkowo chciała zostać z Richardem i Kahlan.

Reszta Bandakarczyków patrzyła, jak Anson odchodzi z Carą, Tomem i Jennsen. Przesunęli się w bok, byle dalej od posągu, i naradzali się szeptem, co zrobić.

Richard, zanim ruszył w dół stoku, obejrzał się na posąg Kaja-Ranga. Coś

przyciągnęło jego wzrok.

- Co się stało? - spytała Kahlan.

- Ten napis. - Wskazał. - Pod jego stopą, na fasadzie cokołu.

Kahlan wiedziała, że przedtem w tym miejscu nie było żadnego napisu, a stała zbyt daleko, by ocenić, czy dostrzega jakiś napis na cętkowanym granicie. Obejrzała się na tych, którzy schodzili stokiem, lecz poszła za Richardem, gdy ruszył ku posągowi. Bandakarczycy dalej zawzięcie dyskutowali.

Dostrzegła na cokole ślad w miejscu, w którym rozbił się znak ostrzegawczy. Wciąż trzymał się tam piasek z wnętrza posążka przedstawiającego Richarda.

Kiedy podeszli bliżej, ledwie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Jakby piasek wytrawił kamień i odsłonił litery. Była przekonana, że tych słów tu wcześniej nie było.

Kahlan znała sporo języków, lecz tego nie. Ale go rozpoznała. To był górnod'harański.

Objęła się ramionami, bo zaczął wiać chłodny wiatr. Ciemne chmury kłębiły się nieustannie. Spojrzała na majestatyczne góry - wiele z nich spowijał ciemny całun mgły. Odległe stoki innych przesłaniały wirujące tumany śniegu. Małe okienko we mgle obiecywało w leżącej za przełęczą dolinie ciepło i zielen.

I Imperialny Ład.

Kahlan, stojąc tuż obok Richarda, marzyła, żeby ją objął i ogrzał. Przyglądała się, jak wpatruje się w ledwo widoczne w granicie litery. Był zbyt spokojny, żeby się nie niepokoiła.

- Richardzie - szepnęła, nachylając się jeszcze bardziej ku niemu - co to znaczy?

Wstrząśnięty, powoli sunął palcami po literach i bezgłośnie wymawiał górnod'harańskie słowa.

- Ósme prawo magii - wyszeptał. - Talga Vassternich.

ROZDZIAŁ 46

Idąca za posłańcem Verna odsunęła się, kiedy mijała ich galopem grupa koni. Brzuchy miały upačkane błotem, nozdrza rozdęte z podekscytowania. W oczach kawalerzystów pochylonych nad kłębami zwierząt widniała zawzięta determinacja. W ostatnich tygodniach w obozie panował wzmożony ruch, więc Verna musiała bardzo uważać, żeby uniknąć stratowania czy rozjechania. Jeżeli konie nie rwały przez obóz, to ile sił w nogach biegli żołnierze.

- To tam, przed nami - powiedział przez ramię posłaniec.

Skinęła głową, kiedy obrócił ku niej swoją młodą twarz. Był uprzejmym człowiekiem. Kręcone jasne włosy i dobre maniery przypominały jej Warrena. Świadomość, że Warren odszedł, i nieznośna pustka każdego dnia wywoływały falę bólu, przed którym nie było obrony.

Nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa posłaniec. Tylu tu było młodych mężczyzn; nie sposób spamiętać imiona wszystkich. Choć bardzo się starała, nie potrafiła tego. Ale przynajmniej na razie nie ginęli w tak strasznym tempie. Zimy w tej części D'Hary były bardzo ciężkie, lecz dzięki temu mogli teraz odetchnąć po bitwach minionego lata od nieustannych walk i umierania. Jednak lato wracało i nie sądziła, żeby ten względny spokój zbyt długo się utrzymał.

Przełęcz dotychczas opierały się Imperialnemu Ładowi. W tak wąskich miejscach liczebność wroga nie na wiele się zdawała. Jeżeli przez ciasny otwór w skalnej ścianie mógł się przecisnąć tylko jeden człowiek, to nie miało znaczenia, czy za nim na przeciśnięcie się czeka jeszcze setka czy tysiąc. A obrona przed jednym żołnierzem nie była jak ta przekraczająca ich siły walka z całą armią Jaganga.

Verna usłyszała daleki grzmot, poczuła, jak zadrżała od niego ziemia, i spojrzała w niebo. Słońce nie pokazywało się od dwóch dni. Nie podobały jej się te chmury piętrzące się przy stokach gór. Jakby nadciągała jakaś groźna burza.

A ten dźwięk wcale nie musiał być grzmotem. Może to magia, którą wróg uderzał w osłony przegradzające przełęcz. To im i tak nic nie da, lecz nie rezygnowali, bo zakłócało to obrońcom sen.

Niektórzy z idących w przeciwną stronę żołnierzy i oficerów skłaniali głowę na powitanie, uśmiechali się lub machali ręką. Verna nie widziała żadnej Siostry Światła. Wiele z nich powinno być na przełęczach, czuwać nad osłonami, dbać, by nie przedostał się ani jeden żołnierz Imperialnego Ładu. Zedd nauczył ich, by brały pod uwagę każdą, nawet najbardziej dziwną możliwość i zabezpieczały się przed nią. Verna dniami i nocami przeglądała w pamięci te wszystkie miejsca, starając się domyślić, czy aby nie przeoczyły, nie pominęły czegoś, co umożliwiłoby przedarcie się siłom wroga.

Gdyby im się to udało, gdyby się przedarli przez zabezpieczenia, na ich drodze w głąb D'Hary stałaby jedynie armia obrońców - armia nie mogąca równać się liczebnością z siłami wroga, które stały po tamtej stronie gór. Verna nigdy nie dopatrzyła się słabego punktu w d'harańskiej osłonie, ale stale się niepokoiła, że taki może jednak istnieć.

W każdej chwili mogła wybuchnąć rozstrzygająca bitwa. A gdzież jest Richard?

Proroctwo głosiło, że to jego udział w bitwie zadecyduje o przyszłości rodzaju ludzkiego. A skoro wyglądało na to, że od końca wszystkiego, od ostatniego błysku wolności może ich dzielić ta jedna bitwa, groziło im, że lord Rahl może się tu nie zjawić w największej potrzebie. Verna ledwie mogła uwierzyć, że człowiek od stuleci zapowiadany przez proroctwa jako ich wódz jest zupełnie gdzie indziej, kiedy wreszcie nadszedł czas. I tyle im te proroctwa dały.

Verna знаła prawość Richarda. Znała prawość Kahlan. Nie mogła w nich wątpić, lecz to ona stała naprzeciwko hord Jaganga, Richard zaś był nie wiadomo gdzie.

Z wieści przesyłanych przez Ann za pośrednictwem książki podróżnej wynikało, że zanoszą się na nowe kłopoty. Verna domyślała się, że Ann jest czymś głęboko zaniepokojona. Wraz z Nathanem gnali na południe, przez Stary Świat. Ann unikała wszelkich wyjaśnień - pewnie nie chciała ich jeszcze bardziej obarczać problemami - więc Verna nie nalegała. I tak nie mogła pojąć, dlaczego Ksieni przyłączyła się do Proroka, zamiast mu założyć obrożę. Ann napisała tylko, że książka podróżna nie nadaje się do wyjaśniania takich spraw.

Pomimo dobrej roboty, jaką niekiedy wykonywał Nathan, Verna i tak

uwazała, że jest w najwyższym stopniu niebezpieczny. Burza przynosi życiodajny deszcz, ale ten, kogo trafi piorun, nie czerpie z tego korzyści. Skoro Ann połączyła siły z Nathanem, oznaczało to, że wszyscy są w wielkich tarapatach.

Verna musiała się napomnieć, że nie wszystko się przeciwko nim sprzysięgło, że nie wszystko jest ponure i beznadziejne. W końcu armia Jaganga solidnie ucierpiała z rąk Zedda i Adie - w mgnieniu oka stracili mnóstwo żołnierzy i ponieśli wielkie straty. Potem Imperialny Ład odstąpił od Aydindril i nietkniętej Wieży Czarodzieja. Wieża pozostała poza zasięgiem chciwych łap Nawiedzającego Sny.

Zedd i Adie doskonale chronili wieżę, więc nie było aż tak źle - imperium D'Hary miało po swojej stronie wiele cennych atutów. Wieża może jeszcze odegrać zasadniczą rolę w powstrzymaniu Imperialnego Ładu. Verna tęskniła za starym czarodziejem, brakowało jej jego rad i mądrości... choć nigdy by tego głośno nie przyznała. Patrząc na Zedda, wiedziała, skąd Richard wziął wiele swych najlepszych cech.

Zobaczyła przechodzącą Rikkę i zatrzymała się. Chwyliła ją za ramię.

- O co chodzi, Ksieni? - zapytała Mord-Sith.

- Słyszałaś może, co się właściwie dzieje?

Rikka spojrzała na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- A co niby ma się dziać?

Posłaniec przystanął za skrzyżowaniem prowizorycznych dróg. W obie strony szły stępa konie, jeden z nich ciągnął wózek z beczkami wody. Boczna dróżkę przecinali żołnierze w pełnym uzbrojeniu. Obóz - jeden z wielu - otoczony ochronnymi nasypami, zmienił się w swego rodzaju miasteczko poprzecinane uliczkami dla ludzi, koni i wozów.

- Coś się wydarzyło - wyjaśniła Verna.

- Żałuję, ale o niczym nie słyszałam.

- Jesteś zajęta?

- To nic pilnego.

Siostra krzepko ujęła ramię Rikki i pociągnęła ją za sobą.

- Generał Meiffert po mnie przysłał. Może lepiej chodź ze mną. Jeżeli się okaże, że i ty jesteś mu potrzebna, to nie będzie cię musiał szukać.

Mord-Sith wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedziała i spytała z zatroskaniem: -

Domyślasz się, co się mogło stać?

Verna spojrzała na idącego przodem posłańca, który kluczył między żołnierzami, namiotami, końmi i punktami naprawczymi, a potem znów popatrzyła na Rikkę.

- Nie mam pojęcia. - Trochę się skrzywiła, próbując wyrazić słowami swój niepokój. - Czy obudziłaś się kiedyś z poczuciem, że coś się stało, ale nie potrafiłaś wytłumaczyć, dlaczego się zapowiada zły dzień?

- Jeżeli to ma być zły dzień, to zadbam o to, żeby był taki dla kogoś innego, i to z mojego powodu.

Verna uśmiechnęła się do siebie.

- Szkoda, że nie masz daru. Byłaby z ciebie doskonała Siostra Światła.

- Wolałabym być Mord-Sith i chronić lorda Rahla.

Posłaniec zatrzymał się na uboczu obozowej drogi.

- To tam, Ksieni. Generał Meiffert powiedział, żeby przyprowadzić cię do tego namiotu pod drzewami.

Verna podziękowała młodemu człowiekowi i - z Rikką u boku - ruszyła po miękkiej ziemi. Namiot stał w spokojniejszej części obozu, oficerowie spotykali się tutaj z powracającymi z patroli zwiadowcami. Verna gorączkowo zastanawiała się, jakie też wieści przynieśli zwiadowcy. Nie było alarmu, więc przełęcz dalej się trzymały. Gdyby były jakieś kłopoty, w obozie wrzałyby gorączkowa działalność, tymczasem było jak każdego dnia.

Wartownik zobaczył nadchodzącą Verne i zniknął w namiocie, żeby o tym donieść. Niemal natychmiast z namiotu wyszedł generał i pospieszył ku niej. Błękitne oczy patrzyły twardo i zdecydowanie. Jednak twarz miał zszarzałą.

- Spotkałam Rikkę - wyjaśniła Verna, kiedy Meiffert skłonił głowę na powitanie - i uznałam, że powinnam ją przyprowadzić, na wypadek gdybyś i jej potrzebował.

Wysoki jasnowłosy D'Harańczyk spojrzał przelotnie na Mord-Sith.

- Tak, znakomicie. Wejdźcie obie, proszę.

Verna chwyciła go za rękaw.

- O co chodzi? Co się dzieje? Czy to coś złego?

Generał popatrzył na Rikkę, a potem znów na Verne.

- Dostaliśmy wiadomość od Jaganga.

- Jak to się stało, że goniec od Jaganga się przedostał i nikt go nie zabił? -

W głosie Mord-Sith zabrzmiały ostre nutki.

Dbano, żeby nikt pod żadnym pozorem nie zdołał się przedrzeć. Nie chcieli, żeby nawet mysz się przecisnęła. Bo nie wiadomo, jaka mogła się w tym kryć sztuczka.

- To był mały wóz ciągnięty przez jednego konia. - Generał przechylił głowę ku Vernie. - Żołnierze sądzili, że jest pusty. Przypomnieli sobie twoje instrukcje i przepuścili go.

Vernę trochę zdziwiło, że polecenie Ann, by przepuścili pusty wóz, okazało się tak słuszne.

- Wóz nadjechał sam? Pusty wóz sam wjechał?

- Niezupełnie. Żołnierze, którzy go zobaczyli, myśleli, że jest pusty. Koń wygląda na takiego, który wykorzystywany był do ciągnięcia wozu po drogach, więc truchtał, jak go nauczono. - Generał Meiffert zacisnął wargi, widząc zdezorientowaną minę Verny, po czym rzekł: - Chodź, a sama zobaczysz.

Poprowadził je do trzeciego namiotu, odsunął klapę. Verna schyliła się i weszła, a za nią weszli Rikka i generał. W środku siedziała na ławie młoda nowicjuszka Holly, obejmując bardzo wystraszoną, może dziesięcioletnią dziewczynkę.

- Poprosiłem Holly, żeby z nią została - szepnął generał Meiffert. - Uznałem, że to ją mniej wystraszy niż sterczący obok żołnierz.

- Oczywiście - odparła Verna. - Bardzo słusznie postąpiłeś. Więc to ona przywiozła wiadomość?

Młody generał potwierdził skinieniem głowy.

- Siedziała w głębi wozu, więc żołnierze początkowo myśleli, że jest pusty.

Verna zrozumiała, dlaczego taki posłaniec się przedostał. Żołnierze na pewno nie byli skorzy do zabicia dziecka, a Siostry mogły ją wysondować i w ten sposób sprawdzić, czy stanowi jakieś zagrożenie. Ciekawa była, co Zedd by na to powiedział - niebezpieczeństwo przybierało czasami najdziwniejsze postaci. Verna zbliżyła się do ławy, uśmiechnęła i pochyliła.

- Jestem Verna. Wszystko w porządku, młoda damo?

Dziewczynka kiwnęła głową.

- Zjadłabyś coś?

Znowu skinęła głową. Trochę drżała, patrząc wielkimi piwnymi oczami

na przyglądających jej się ludzi.

- Ksieni - odezwała się Holly - Valery poszła już po coś dla niej.

- Ach tak - rzekła Verna, dalej się uśmiechając. Uklękła i łagodnie poklepała złożone na podolku rączki małej, żeby jej dodać otuchy. - Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

Wielkie piwne oczy zamrugwały, starając się ocenić, jak groźna jest ta dorosła osoba. Uśmiech Verny i delikatne dotknięcie jej dłoni trochę dziewczynkę uspokoiły.

- Kawalek drogi na północ, pani.

- I ktoś cię do nas wysłał?

Wielkie piwne oczy wypełniły się łzami, ale się nie rozplakała.

- Moi rodzice są tam, za przełęczą. Żołnierze ich trzymają. Mówią, że jako gości. Przyszli i zabrali nas do tej swojej armii. Musieliśmy tam być przez ostatnie parę tygodni. Dziś mi powiedzieli, żebym przewiozła list przez przełęcz. Mówili, że jak zrobię, co każą, to pozwolą mamie, tacie i mi wrócić do domu.

Verna znów poklepała dłonie dziewczynki.

- Rozumiem. To ładnie z twojej strony, że pomagasz rodzicom.

- Ja tylko chcę do domu.

- I wrócisz tam, dziecko. - Siostra wstała. - Damy ci coś do jedzenia, żebyś wróciła do rodziców z pełnym brzuszkiem.

Dziewczynka wstała i dygnęła.

- Dziękuję za życzliwość. Więc mogę wracać, jak zjem?

- Oczywiście - odparła Verna. - Jak będziesz jadła, przeczytam list, który przywiozłaś, a potem możesz wracać do rodziców.

Mała usiadła na ławie, przysuwając się do Holly. Nie mogła się powstrzymać, żeby z obawą nie popatrywać na Mord-Sith.

Verna - dokładając starań, żeby się nie zdradzić z żadnymi obawami - uśmiechnęła się na pożegnanie do dziecka i wraz z innymi wyszła z namiotu. Nie miała pojęcia, co knuje Jagang.

- Co jest w liście? - spytała, kiedy spieszyli do namiotu dowództwa.

Generał Meiffert przystanął przed namiotem i pocierając kciukiem mosiężny guzik kurtki, spojrział Vernie w oczy.

- Wolalbym, żebyś to sama przeczytała, Ksieni. Część nie pozostawia żadnych wątpliwości. Część zaś... cóż, mam nadzieję, że mi to wyjaśnisz.

Wchodząc do namiotu, Verna zauważyła stojącego z boku kapitana Zimmera. Ów mężczyzna o kwadratowej szczęce już się tak zaraźliwie nie uśmiechał. Kapitan dowodził specjalnymi siłami d'harańskimi. Jego ludzie mieli za zadanie wkraść się dniem i nocą na terytorium wroga i zabijać tylu nieprzyjaciół, ilu tylko było można. Zdawało się, że wroga nigdy nie zabraknie. Kapitan był zdecydowany wybić ich do nogi. Ludzie Zimmera byli świetni w swojej robocie. Uszy zabitych nieprzyjaciół nawlekali na sznury. Zawsze kiedy wracali, Kahlan prosiła, żeby pokazali jej te swoje zbiory. I kapitanowi, i jego ludziom ogromnie jej brakowało.

Błysnęło i wszyscy spojrzeli w górę. Burza się zbliżała. Po chwili ziemią wstrząsnął huk gromu.

Generał Meiffert wziął ze stolika złożoną kartkę i podał ją Vernie.

- Właśnie to przywiozła dziewczynka.

Siostra przelotnie spojrzała na ponure miny obu mężczyzn, rozłożyła kartkę i przeczytała:

Mam czarodzieja Zorandera i czarodziejkę zwaną Adie. Zdobyłem Wieżę Czarodzieja w Aydindril wraz z całą jej zawartością. Mój Slide zaś lada chwila dostarczy mi lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę.

Przegraliście. Jeżeli się teraz poddacie i otworzycie przełęcz, oszczędzę waszych ludzi. Jeżeli nie, wybiję wszystkich do nogi.

Podpisano

Jagang Sprawiedliwy

Opadła ręka trzymająca list w drżących palcach.

- O drogi Stwórco - wyszeptała Verna. Zakreśliło jej się w głowie.

Rikka wyrwała jej list, odwróciła się i przeczytała. Zaklęła pod nosem.

- Musimy go uwolnić - oznajmiła Mord-Sith. - Musimy odebrać Zedda i Adie imperatorowi.

Kapitan Zimmer pokręcił głową.

- To zupełnie niemożliwe.

Rikka spłoszyła z wściekłości.

- Uratował mi życie! Wam też!!! Musimy go stamtąd wydostać!!!

- Wszyscy żyjemy do Zedda takie same uczucia - powiedziała łagodnie Verna. - Niejeden raz uratował nam życie. Niestety, Jagang drogo mu za to każe zapłacić.

Mord-Sith potrząsała przed nimi listem.

- Więc macie zamiar pozwolić, żeby tam umarł? Żeby Jagang go zabił? Zakradnijmy się tam albo co!

Kapitan Zimmer położył dłoń na rękojeści długiego noża wiszącego mu u pasa.

- Pani Rikko, gdybym ci powiedział, że w tamtym obozie, w jednym z setek tysięcy namiotów kogoś ukryłem, i gdybyś przez nikogo nie niepokojoła mogła go szukać, to jak myślisz, ile by ci to zajęło?

- Przecież oni nie mogą być w pierwszym lepszym namiocie - stwierdziła Mord-Sith. - Spójrz tylko na nas. Zjawił się ten posłaniec. Czy znalazł się w jakimś pierwszym lepszym namiocie? Nie, znalazł się w miejscu, w którym się zajmujemy takimi sprawami.

- Tak wiele razy byłem w obozie Imperialnego Ładu, że już przestałem liczyć te wizyty - rzekł kapitan, wyciągając ramię ku leżącemu za zachodnimi górami obozowisku wroga. - Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jaki to rozległy obóz. Mają tam miliony żołnierzy. To królestwo rzezimieszków. Dziedzina chaosu. Ten rozgardiasz pozwala nam się tam zakraść, zabić kilku i szybko uciec. Lepiej tam za długo nie przebywać. Rozpoznają obcych, a zwłaszcza blondynów. Poza tym są tam sektory zamieszkałe przez rozmaitych ludzi. Większość żołnierzy to po prostu zbieranina oprychów, których Jagang od czasu do czasu spuszcza ze smyczy. Żaden z nich nie może przekroczyć pewnej linii we własnym obozie. Ci, którzy strzegą sektorów o wyższym stopniu zabezpieczenia, nie są ani tak głupi, ani tak leniwi jak prości żołnierze. W tych sektorach nie ma już tylu żołnierzy i są to dobrze wyszkoleni zawodowcy. Są bystrzy, czujni i groźni. Gdyby udało ci się jakoś przedostać przez morze oprychów i dotrzeć do leżącej w środku wyspy z namiotami dowództwa i namiotami tortur, ci zawodowcy w mgnieniu oka mierzyliby w ciebie pikami. Ale nawet oni są różni. W zewnętrznym pierścieniu tego centralnego sektora strzeżonego przez zawodowców mieszkają Siostry, tak Światła, jak i Mroku. Za pomocą swojej magii strzegą obozu przed intruzami. Dalej są kolejne pierścienie, począwszy od doborowych gwardzistów, a skończywszy na przybocznej straży imperatora. Ci ostatni od lat walczą u boku Jaganga. Zabijają każdego, nawet oficerów doborowej gwardii, jeżeli powezmą co do nich jakiegokolwiek podejrzenia. Nawet jeżeli usłyszą, że ktoś lekceważąco wyraża się o imperatorze, łapią takiego kogoś i torturują. A jeżeli taka osoba przeżyje tortury, i tak jest

zabijana. Nie mówię, że ja czy moi ludzie nie chcemy ryzykować życia, żeby wydobyć stamtąd Zedda. Po prostu wyjaśniam, że na próżno byśmy ginęli.

W namiocie zapanował jeszcze gorszy nastrój.

Generał skinął listem, który oddała mu Rikka.

- Wiesz coś o tym Slidzie, Ksieni?

Verna spojrzała w jego błękitne oczy.

- To złodziej dusz.

Zmarszczył brwi.

- Słucham???

- Podczas wielkiej wojny, przed trzema tysiącami lat, czarodzieje tworzyli z ludzi oręż. Na przykład Nawiedzających Sny, takich jak Jagang. Najprościej mogę ci to wyjaśnić, mówiąc, że Slide to coś w rodzaju Nawiedzającego Sny. Nawiedzający Sny wnika w czyjś umysł i zyskuje kontrolę nad taką osobą. Slide, o ile wiem, też tak robi, lecz opanowuje ducha, duszę.

Rikka się skrzywiła.

- A po co?

Siostra wykonała pełen frustracji gest.

- Nie wiem. Może, żeby kontrolować swoje ofiary. Przekształcanie mających dar to częsta w pradawnych czasach praktyka. Niekiedy dzięki magii tak zmieniali ludzi mających dar, by można ich było potem wykorzystywać do konkretnych działań. Korzystając z magii subtraktywnej, usuwali zbędne według nich cechy, a potem za pomocą magii addytywnej dodawali lub wzmacniali pożądaną cechę. Tworzyli w ten sposób monstra. Prawdę mówiąc, nie bardzo się w tym orientuję. Kiedy zostałam Ksienią, uzyskałam dostęp do ksiąg, których nigdy przedtem nie widziałam. To w nich znalazłam wzmianki o Slide'ach. Wykorzystywano ich do tego, żeby wślizgiwali się w ludzi i kradli samą esencję ich bytu: ich ducha, duszę. Sztuka przemieniania ludzi w Slide'ów już dawno zaginęła. Niestety, niewiele wiem na ten temat. Pamiętam, że czytałam, że istoty zwane Slide'ami były niezwykle niebezpieczne.

- Dawno temu zaginiona sztuka - mruknął do siebie generał. Sprawiał wrażenie, jakby z wielkim trudem nad sobą panował. - Czarodzieje tamtych czasów tworzyli taki oręż jak ci Slide'owie, ale jak to się udało Jagangowi? Przecież nie jest czarodziejem. Czy to możliwe, że kłamie?

Verna rozmyślała nad tym przez chwilę.

- Ma pod kontrolą ludzi z darem. Niektórzy z nich potrafią się posługiwać magią zaświatów. Jak mówiłam, niezbyt się na tym znam, ale uważam, że mogli to zrobić.

- Jak? - zapytał generał. - Jak Jagang mógł coś takiego zrobić? Przecież nawet nie jest czarodziejem.

Verna splotła przed sobą dłonie.

- Ma Siostry Światła i Mroku. Przypuszczam też, że ma potrzebną do tego wiedzę. To człowiek, który bardzo wiele czyta, studiuje dawne dzieje. Z własnego doświadczenia wiem, jak wysoko ceni książki. Ma ich bogaty i cenny zbiór. Nathana, Proroka, ogromnie to niepokoiło i zniszczył sporo ważkich woluminów, zanim zdążyły wpaść w ręce Jaganga. Ale imperator, niestety, ma wiele innych ksiąg i zasobną bibliotekę. A teraz, kiedy zajął wieżę, uzyskał dostęp do jeszcze zasobniejszych zbiorów. To bardzo niebezpieczne książki, bo inaczej nie byłyby przechowywane w Wieży Czarodzieja.

- Teraz zaś Jagang ma do nich dostęp. - Generał Meiffert przeczesał włosy palcami, zacisnął dłonie na oparciu stojącego przed stolikiem krzesła i wsparł się na nich całym ciężarem. - Myślisz, że naprawdę ma Zedda i Adie?

Było to błaganie o isierkę nadziei. Verna przełknęła ślinę, dokładnie rozważyła tę sprawę. Odpowiedziała szczerze, nie chcąc budzić fałszywej nadziei. Sama od przeczytania listu Jaganga szukała takiej isierki.

- Według mnie nie sprawiłoby mu satysfakcji chętnie się czymś, czego nie dokonał. Uważam, że napisał prawdę i że chce się przechwalać tym, co osiągnął.

Generał puścił krzesło, odwrócił się i rozmyślał nad słowami Siostry. W końcu zadał jeszcze gorsze pytanie:

- A czy równie prawdziwe jest to, że ten Slide ma lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę? Myślisz, że ten straszliwy stwór wkrótce przekaże ich Jagangowi?

Verna była ciekawa, czy to aby nie z tego powodu Ann i Nathan tak pędzili na południe, przez Stary Świat. Wiedziała, że Richard i Kahlan są gdzieś tam. Nie mógł istnieć inny powód takiego pośpiechu Ksieni i Proroka. Byłoby możliwe, że ten Slide naprawdę ich pojmał, że zniewolił ich dusze? Upadła na duchu. Zastanawiała się, czy Ann już wie, że Slide ma Richarda, i

czy to dlatego tak niewiele pisze o tej wyprawie.

- Nie wiem - odparła wreszcie.

- A ja uważam, że Jagang właśnie popełnił błąd - odezwał się kapitan Zimmer.

Verna uniosła brwi.

- A jakież?

- Zdradził nam, ile kłopotu przysparzają mu przełęcze. Dał nam do zrozumienia, jak znakomicie sprawdza się nasza obrona i jaki jest zdesperowany. Jeżeli nie pokona przełęczy o tej porze roku, cała jego armia będzie musiała przezimować. Spędzić tu kolejną zimę. Chce, żebyśmy go przepuścili. D'harańskie zimy są ciężkie, zwłaszcza dla takich jak jego żołnierzy, nie przyzwyczajonych do naszego klimatu. Na własne oczy widziałem, ilu ich stracił minionej zimy. Setki tysięcy zmarło z chorób.

- Ma mnóstwo ludzi - rzekł generał Meiffert. - Może sobie pozwolić na takie straty. Stale napływają nowe oddziały zastępujące żołnierzy zmarłych ostatniej zimy na gorączkę i inne choroby.

- Uważasz więc, że kapitan się myli? - spytała Verna.

- Nie. Przyznaję, że Jagang bardzo chętnie by już z tym skończył, ale jestem zdania, że nie dba o to, ilu jego żołnierzy zginie. Sądzę, że pali się do władzy nad światem. Zwykle jest cierpliwy, ale teraz widzi już cel w zasięgu ręki. Jedynie my stoimy mu na drodze. Jego ludzie też niecierpliwie wyglądają płądowania. Decyzja, żeby rozszczepić Nowy Świat marszem wprost ku Aydindril, doprowadziła go blisko celu, ale w pewnym sensie i od tego celu oddaliła. Jeżeli nie zdoła pokonać przełęczy, może zabrać armię i pomaszerować ku południowi, w dolinę Kernu, i stamtąd przedostać się do D'Hary. Kiedy jego wojska znajdą się na otwartych terenach na południu, to już ich nie zdołamy powstrzymać. Jeżeli nie sforsuje przełęczy, czeka go długi marsz i zwłoka, ale i tak w końcu nas dopadnie. Wolałby nas dopaść już teraz i gotów jest oferować życie naszych żołnierzy w zamian za dobiecie targu.

Verna zapatrzyła się przed siebie.

- Próba ugłaskania zła to wielki błąd.

- Zgadza się z tym - odparł generał. - Jak tylko otworzymy przełęcze, wymorduje nas wszystkich.

Nastrój w namiocie był równie mroczny jak niebo na zewnątrz.

- Myślę, że powinniśmy mu odpisać - odezwała się Rikka. - Napisać mu, że nie wierzymy, że ma Zedda i Adie. I że jeżeli chce, byśmy mu uwierzyli, to powinien przysłać ich głowy.

Kapitan Zimmer aż się uśmiechnął na te słowa.

Generał dumał nad tym wszystkim, bębniąc palcem w stół.

- Jeżeli jest, jak mówisz, Ksieni, i Jagang naprawdę ich ma, to nic nie możemy w tej sprawie zrobić. Zabije ich. Po tym, co Zedd zrobił armii Jaganga w Aydindril, że nie wspomnę już o spustoszeniu, jakie siał w Imperialnym Ładzie minionego lata, kiedy była z nami Matka Spowiedniczka, wiem, że nie będzie to łatwa śmierć. Jednak po wszystkim Jagang i tak ich zabije.

- Czyli przyznajesz, że nic nie można zrobić - rzekła Verna.

Meiffert potarł twarz dłonią.

- Przykro mi to mówić, ale uważam, że są straceni. Myślę też, że nie powinniśmy sprawiać Jagangowi satysfakcji, zdradzając, jak głęboko to odczuliśmy.

Vernę aż mdliło na myśl, że Zedda i Adie poddadzą torturom, że są w łapach Jaganga i jego Sióstr Mroku. Cierpiała, myśląc, że armia d'harańska utraci czarodzieja. Nie było nikogo równego mu wiedzą i doświadczeniem. Nikt go nie zastąpi.

- No to napiszemy do Jaganga - zdecydowała Siostra - i powiadomimy go, że nie wierzymy, by miał Zedda i Adie.

- Jedyne, co możemy zrobić - odezwała się Rikka - to odmówić imperatorowi tego, czego najbardziej pragnie. A chce, żebyśmy się poddali.

Generał Meiffert odsunął krzesło, zaprosił Vernę, żeby usiadła i napisała list.

- Jeżeli ten list rozgniewa Jaganga, to może nam przysłać ich głowy. Jeśli to uczyni, przynajmniej zaoszczędzi im straszliwych cierpień. To jedno, co możemy dla nich zrobić. To najlepsze, co możemy dla nich zrobić.

Verna przyjrzała się posępnym twarzom i zobaczyła jedynie determinację. Wiedzieli, co powinno zostać zrobione. Usiadła na krześle, które podsunął jej generał, odkorkowała kałamarz, wzięła kartkę ze stosiku w stojącym z boku pudełku. Zanurzyła pióro w atramencie i przez chwilę wpatrywała się w papier, układając w myślach list. Starła się sobie wyobrazić, jak Kahlan by to napisała. Wreszcie nachyliła się nad stolikiem i

zaczęła pisać.

Nie sądzę, abyś był zdolny pojmać czarodzieja Zorandera. Jeśli to zrobiłeś, przyślij nam na dowód jego głowę. I nie zarzucaj mnie więcej prośbami, byśmy otworzyli przed tobą przełęcze, bo jesteś zbyt nieudolny, by samodzielnie to zrobić.

- Podoba mi się - orzekła Rikka, czytając list przez ramię Verny.

Siostra spojrzała na pozostałych.

- Jak powinnam to podpisać?

- A co by Jaganga najbardziej rozwścieczyło lub zmartwiło? - spytał kapitan Zimmer.

Verna stuknęła obsadką w brodę, namyślając się. I już wiedziała. Przytknęła pióro do listu.

Podpisano

Matka Spowiedniczka

ROZDZIAŁ 47

Richard obserwował miejscowość w szerokiej, zielonej dolinie, wypatrując wojska. Obejrzał się na Owena.

- To Witherton?

Owen, opierając dłonie w bujnej leśnej roślinności na szczycie niewielkiego wzniesienia, podciągnął się bliżej skraju. Wysunął szyję, wyjrzał zza wzniesienia i wreszcie przytaknął, a potem się cofnął.

Richard spodziewał się, że będzie większe.

- Nie widzę żadnych żołnierzy.

Owen odczołgał się od szczytu. Wstał w miejscu osłoniętym przez paprocie i niskie krzaki, otrzepał koszulę i spodnie z resztek wilgotnych liści.

- Ludzie Ładu zazwyczaj przebywają w miasteczku. Przecież nie pomagają w robocie. Jedzą naszą żywność i grają o to, co nam odebrali. W takich sytuacjach nic innego ich nie obchodzi. - Zaczerwienił się z gniewu. - Wieczorami mają zwyczaj wybierać sobie parę naszych kobiet. - Powód był całkiem jasny, więc Bandakarczyk poprzestał na tym stwierdzeniu. - Za dnia czasami wychodzą z miasteczka, żeby skontrolować pracujących na polach lub zadbać, by na noc wszyscy wracali.

Jeśli przedtem żołnierze obozowali za murami miasteczka, to teraz już nie. Najwyraźniej woleli wygodniejsze pomieszczenia. Przekonali się, że ci ludzie nie stawiają żadnego oporu, że wystarczą słowa, by ich ugiąć i zapanować nad nimi. Żołdacy Imperialnego Ładu nie mieli się czego obawiać, śpiąc wśród nich.

Mur otaczający Witherton przesłaniał Richardowi miejscowość. Widział tylko to, co było za otwartymi bramami. Zbudowano go z pionowo ustawionych słupów niewiele wyższych niż ludzie. Owe słupy, o różnej, lecz nie przekraczającej dłoni szerokości, ciasno związane liną, górą i dołem. Nierówne ogrodzenie okalało miasteczko, tu i ówdzie przechylając się ku środkowi lub na zewnątrz. Nie było przed nim wału obronnego ani nawet rowu. Pewnie mogło powstrzymać pasące się jelenie i sarny lub włóczącego się niedźwiedzia, ale na pewno nie oparłoby się atakowi żołnierzy Imperialnego Ładu.

Żołnierze bez wątpienia wykorzystali bramę z innych powodów niż

wytrzymałość muru. Otwarcie bram przed Imperialnym Ładem symbolizowało uległość i posłuszeństwo.

Szerokie połacie doliny wykarczowano pod łany zbóż i równiutkie rzędy upraw w miejskich ogrodach. Krowy trzymano w zagrodach z gałęzi. Porządnie wygryzły tam trawę. W pobliżu klatek dreptały kury. Pasły się nieliczne owce.

Lekki wiatr niósł zapach urodzajnej ziemi, kwiatów i traw, docierał aż do lasów, z których Richard obserwował dolinę. Jaka to ulga, że wreszcie zeszli z przełęczy. Rozrzedzonym powietrzem wysokich stoków coraz trudniej mu się oddychało. Tu, w dole, było również znacznie cieplej, chociaż on nadal marzył.

Richard po raz ostatni przyjrzał się rozległej dolinie, a potem wraz z Owenem wrócili w głąb lasu, do pozostałych. Rosły tu przeważnie drzewa o twardym drewnie, klony i dęby, tu i ówdzie również brzozy, ale trafiały się też skupiska olbrzymich drzew zimozielonych. W gęstwinie liści odzywały się ptaki. Wiewiórka siedząca na gałęzi sosny zaskrzeczała coś do nich, kiedy ją mijali. Głęboki cień pod koronami drzew jedynie od czasu do czasu rozjaśniały słoneczne cętki.

Kilku z nich, tłukąc dłońmi owady, wstało pospiesznie, gdy Richard z Owenem weszli na ustronny prześwit.

Richard z przyjemnością stanął w ciepłe padających ukośnie promieni słonecznych.

Ten prześwit w gęstym lesie powstał, kiedy piorun uderzył w wielki, stary klon. Drzewo rozszczepiło się i upadło na dwie strony, przewracając przy tym inne. Kahlan zeskoczyła z pnia powalonego monarchy. Betty, żwawo machając ogonkiem, radośnie powitała Richarda i domagała się poczęstunku lub przyjaznego gestu. Podrapał kózkę za uszami, co najbardziej lubiła.

Zza sterczących w górę korzeni, srebrzystych po latach wystawienia na działalność żywiołów, wyszli kolejni mężczyźni. W słonecznej plamie, powstałej tam, gdzie stary klon zginął nagłą i gwałtowną śmiercią, wyrosły wysokie po pierś świerki. Pomiędzy Kahlan, Carą, Jennsen i Tomem znajdowali się pozostali - jego armia.

Kiedy tam, na przełęczy, Anson oznajmił, że chce pomóc uwolnić swoich ziomków od żołnierzy Ładu, jego słowa zelektryzowały pozostałych i szala

się wreszcie przechyliła. A wtedy lata ciemnoty i zwątpienia ustąpiły pragnieniu życia w blasku prawdy. Wszyscy z zapierającą dech w piersiach determinacją oznajmili, że chcą się przyłączyć do Richarda, chcą należeć do imperium D'Hary i chcą walczyć z żołnierzami Imperialnego Ładu, żeby zdobyć wolność.

Wszyscy uznali, że ludzie Ładu są źli i zasługują na śmierć - nawet jeżeli będą musieli zabijać ich własnymi rękami.

Kiedy Tom schylił głowę, żeby spojrzeć na Betty wracającą do skubania zielska, Richard zauważył na jego czole krople potu. Cara wachlowała się pękiem dużych liści górskiego klonu. Richard już miał ich spytać, dlaczego pocą się w tak chłodny dzień, kiedy uświadomił sobie, że marznie przez truciznę. Z zimnym dreszczem lęku przypomniał sobie, że kiedy owej okropnej nocy tak marzył, trucizna omal go nie zabiła.

Anson i John, inny z mężczyzn, zdjęli plecaki. To oni mieli się wmieszać między wracających o zmierzchu z pól do miasteczka. A jak się już znajdują za ogrodzeniem - zabrać antidotum.

- Lepiej ja z tobą pójdę - powiedział Richard Ansonowi. - Ty, Johnie, zaczekasz z innymi.

John się zdziwił.

- Jeżeli taka twoja wola, lordzie Rahlu, ale nie ma potrzeby, żebyś też szedł.

To nie miał być bojowy wypad, tylko zwyczajna wyprawa po antidotum. Atak na żołnierzy Imperialnego Ładu planowali potem, kiedy już zabiorą antidotum, ocenią sytuację, liczbę nieprzyjaciół i topografię.

- John ma rację - odezwała się Cara. - Sami sobie poradzą.

Richardowi trudno było oddychać. Z wielkim wysiłkiem powstrzymał się od kaszlu.

- Wiem. Ale uznałem, że lepiej będzie, jak sam rzucę okiem.

Kahlan i Cara spojrzały na siebie.

- Ale jeśli chcesz tam iść z Ansonem - stwierdziła Jennsen - nie możesz zabrać swojego miecza.

- Nie zamierzam rozpoczynać wojny. Chcę się tylko tam rozejrzeć.

Kahlan podeszła do niego.

- Obaj mogą się rozejrzeć w miasteczku i zdać ci raport. A ty sobie odpoczniesz. Nie będzie ich ledwie parę godzin.

- Wiem, ale nie chcę tak długo czekać.

Po sposobie, w jaki oceniła wyraz jego oczu, Richard zorientował się, że poznała, jak ogromnie cierpi. Już nie protestowała, lecz kiwnęła głową na zgodę.

Zdjął przez głowę pendent i rapcie. Przełożył to wszystko przez głowę Kahlan, przewiesił jej pendent przez ramię.

- Ogłaszam cię Poszukiwaczem Prawdy.

Przyjęła miecz i zaszczyt, wspierając się pięściami pod boki.

- Tylko się w nic nie wmieszaj, jak tam będziesz. Bo nie takie mamy zamiary. Będziecie sami z Ansonem. Zaczekaj, aż będziemy wszyscy razem.

- Dobrze. Tylko wezmę antidotum i zaraz wracamy.

Richard nie tylko chciał zdobyć odtrutkę, ale i zobaczyć, jak są rozmieszczone siły wroga, poznać układ miasteczka. Przyjrzenie się planowi narysowanemu na ziemi to jedno, a zobaczenie wszystkiego na własne oczy to zupełnie co innego. Ci ludzie nie mieli pojęcia, jak oceniać słabe punkty przeciwnika. Jeden z mężczyzn zdjął kurtkę i podał ją Richardowi.

- Włóż to, lordzie Rahlu. Trochę się do nas upodobnisz.

Chłopak podziękował skinieniem głowy i włożył okrycie.

Zmienił strój czarodzieja wojny na zwykłe podróżne ubranie, więc uważał, że nie powinien się zbyt odróżniać od mieszkańców Witherton. Ów człowiek był podobnej postury co Richard, więc kurtka całkiem nieźle pasowała. I zakryła wiszący u jego pasa nóż.

Jennsen pokręciła głową.

- No wiesz, Richardzie... Wcale nie wyglądasz na jednego z nich. Nadal wyglądasz na lorda Rahla.

- O co ci chodzi? - Wyciągnął przed siebie ręce i przyjrzał się sobie. - Co ci się nie podoba w moim wyglądzie?

- Nie trzymaj się tak prosto - odparła.

- Przygarb ramiona i pochyl trochę głowę - odpowiedziała Kahlan.

Richard poważnie potraktował ich rady. Wcześniej o tym nie pomyślał, ale oni rzeczywiście się garbili. Nie zamierzał się wyróżniać. Musiał się do nich upodobnić, jeżeli nie chciał obudzić podejrzeń żołnierzy. Zgarbił się trochę.

- A teraz jak?

Jennsen wyduła wargi.

- Prawie tak samo jak przedtem.

- Przecież się pochylam.

- Lordzie Rahlu - odezwała się cicho Cara, patrząc na niego znacząco - przypomnij sobie, jak szedłeś za Denną trzymającą łańcuch przyczepiony do obroży na twojej szyi. Postaraj się tak wyglądać.

Richard zamrugał, spoglądając na nią. Obraz więźnia Mord-Sith zapiekl jak policzek. Mocno zacisnął wargi, nie powiedział ni słowa, tylko krótko skinął głową. Wspomnienie tych okropnych chwil było tak deprymujące, że nie powinien mieć trudności z wczuciem się w obecną rolę.

- Lepiej chodźmy - odezwał się Anson. - Słońce już chowa się za góry i prędko zrobi się ciemno. - Zamilkł na chwilę, a potem dodał: - Lordzie Rahlu, żołnierze Ładu cię nie rozpoznają. Chciałem rzec, że pewnie się nie zorientują, że nie jesteś z naszego miasteczka. Ale nasi ludzie nie noszą broni, więc jak zauważą nóż, to będą wiedzieć, że nie jesteś stąd, i podniosą alarm.

Richard rozpiął kurtkę, spojrział na nóż.

- Masz rację.

Rozpiął pas i zsunął pochwę z nożem. Oddał ją Carze.

Na pożegnanie dotknął policzka Kahlan. Oburącz chwyciła jego dłoń i ucałowała. Jej dłonie były takie małe i delikatne. Czasami żartował sobie, mówiąc, że nie rozumie, jak ona w ogóle może coś zrobić takimi małymi rączkami. Odpowiadała na to, że ma dłonie normalnej wielkości i zdatne do pracy, a za to on ma wyjątkowo duże ręce.

Wszyscy Bandakarczycy zauważyli czuły gest Kahlan. Richardowi to nie przeszkadzało. Chciał, żeby wiedzieli, że inni ludzie są tacy sami jak oni. Przecież właśnie o to walczyli - żeby każdy zachował swoje człowieczeństwo, mógł kochać i troszczyć się o swoich bliskich, decydować o własnym życiu.

W szybko zapadającym mroku Richard i Anson szli lasami graniczącymi z połaciami traw. Richard chciał dotrzeć tam, gdzie las podchodził jak najbliżej ludzi pracujących w ogrodach i zajmujących się zwierzętami. Pobliskie góry na zachodzie były tak wysokie, że słońce skryło się za nimi na długo przed zmierzchem. Niebo stało się błękitnawozielone, a w dolinie zapanował dziwny złocisty półmrok.

Kiedy Richard i Anson dotarli do miejsca, w którym mieli wyjść z lasu, było jeszcze zbyt jasno, więc odczekali chwilę, aż Richard uznał, iż mrok na

tyle zgęstniał, że ich ukryje. Miasteczko było trochę dalej od nich, a ponieważ Richard nie dostrzegł żadnych żołnierzy przed bramą, stwierdził, że nawet jeżeli pilnują, to i oni go nie spostrzegą.

Szli szybko przez łąkę, pochyleni, starając się, żeby ich nie zauważono. W pewnej chwili Anson powiedział:

- Możemy iść za tymi wracającymi do miasteczka.

Richard odparł cicho, nie odwracając się:

- Dobrze, ale pamiętaj, że nie wolno nam się z nimi zrównać, bo mogliby cię rozpoznać i narobić szumu. Niech nas spory kawałek wyprzedzają.

Kiedy dotarli do murów, Richard przekonał się, że brama to nic więcej jak dwa fragmenty ogrodzenia. Kilka pali, nie grubszych niż nadgarstek chłopaka, przymocowano poprzecznie, żeby usztywniły owe odcinki ogrodzenia tak, by mogły służyć jako brama. Powrozy były zarazem zawiasami. Owe fragmenty ogrodzenia po prostu unoszono i odciągano, żeby bramę otworzyć lub zamknąć. Z całą pewnością nie było to porządne umocnienie.

Dwaj żołnierze kręcili się w zapadającym zmierzchu tuż za bramą, obserwując wracających robotników. Raczej nie powinni zwrócić szczególnej uwagi na Richarda i Ansona. Dla strażników będą po prostu dwoma robotnikami. Ład rozumiał, że robotnicy mają swoją wartość; potrzebowali niewolników, żeby żołnierze mieli co jeść.

Richard przygarbił ramiona, zwiesił głowę. Przypomniawszy sobie te okropne czasy, kiedy nosił obrożę i chodził za Denną, nie mając żadnej nadziei na odzyskanie wolności. Rozmyślając o tych okropnych chwilach, przeczłapał przez bramę. Strażnicy nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi.

Kiedy już mieli ich minąć, bliżej stojący złapał Ansona za rękaw i okręcił go ku sobie.

- Chcę parę jajek - powiedział młody żołnierz. - Daj mi kilka z tych, które zebrałeś.

Anson stał wpatrzony w niego, nie mając pojęcia, co robić. Wydawało się niedorzeczne, że obu tym młodym ludziom kazano służyć sprawie przez terroryzowanie innych. Richard podszedł do Ansona i - pamiętając, by pochylać głowę i nie górować nad nim - rzekł pospiesznie:

- Nie mamy jajek, panie. Plewiliśmy fasolę. Przepraszam. Jeżeli chcesz, to

jutro przyniesiemy ci jajek.

Richard podniósł wzrok w tym samym momencie, w którym żołnierz uderzył go na odlew, zbijając z nóg. Natychmiast zapanował nad gniewem. Otarł krew z ust i uznał, że lepiej nie wstawać.

- Dobrze mówi - odezwał się Anson, ściągając na siebie uwagę strażnika.
- Plewiliśmy fasolę. Jeśli sobie życzysz, to jutro przyniesiemy ci jajek, ile tylko chcesz.

Żołnierz zaklął i odszedł chwiejnie, zabierając ze sobą kompana. Ruszyli ku niedalekiej długiej, niskiej budowli; przed niskim wejściem płonęła przywiązana do pala pochodnia. W jej migoczącym świetle Richard nie mógł się zorientować, co to właściwie jest. Wyglądało to na budynek częściowo wkopany w ziemię, tak że okap był na wysokości oczu. Kiedy obaj żołnierze oddalili się na bezpieczną odległość, Anson pomógł Richardowi wstać. Chłopak nie sądził, by zbyt mocno oberwał, ale kręciło mu się w głowie.

Gdy ruszyli w dalszą drogę, z drzwi i ciemnych zakamarków wychyliły się obserwujące ich twarze. Richard spojrzał na nie i ludzie raz-dwa się schowali.

- Wiedzą, że nie jesteś stąd - szepnął Anson.

Richard podejrzewał, że ktoś może zawołać żołnierzy.

- Lepiej się pospieszmy i weźmy to, po cośmy przyszli.

Anson skinął głową i prędko poprowadził go wąską uliczką między dwoma rzędami przytulonych do siebie szop. Jedyne źródło światła stanowiła pochodnia przed wejściem do niskiego budynku, w którym zniknęli żołnierze. Z tego, co Richard mógł dojrzeć w ciemnościach, było to nędzne miasteczko. Właściwie nie nazwałby tego miasteczkiem, lecz wioską. Wiele budowli wyglądało na przeznaczone dla żywego inwentarza, nie zaś dla ludzi. Jedyne z rzadka z przysadzistych budynków padało jakieś światło, a i to był blask świec, nie lamp.

Przy końcu ulicy Richard wszedł za Ansonem niewielkimi bocznymi drzwiami do większego budynku. Krowy we wnętrzu zamuczały na intruzów. Owce poruszyły się w zagrodach. Z paru innych zagród doleciało meczenie kóz. Richard i Anson znieruchomieli, dając zwierzętom czas na uspokojenie się, a potem ruszyli przez oborę ku drabinie. Wspięli się szybko na niewielki strych.

Na krańcu stryszku Anson sięgnął do schowka za niską krokwią, w

miejsce, gdzie była umocowana wspornikiem do ściany. Krzywił się z wysiłku, wpychając tam rękę.

- To tutaj.

Wreszcie wyjął małą, czterościenną buteleczkę i podał ją Richardowi.

- To antidotum. Wypij raz-dwa i chodźmy stąd.

Duże wrota otworzyły się z rozmachem. Na zewnątrz było ciemno, lecz światło płonącej w głębi uliczki pochodni wystarczyło, żeby ukazać sylwetkę stojącego w nich człowieka. Jego zachowanie świadczyło, że to żołnierz.

Richard odkorkował buteleczkę. Antidotum leciutko pachniało cynamonem. Łyknął je pospiesznie, ledwie zwracając uwagę na słodki, korzenny smak. Nie spuszczał oka z człowieka w drzwiach.

- Kto tu jest?! - ryknął ów mężczyzna.

- Zrzucam trochę siana dla zwierząt, panie - odkrzyknął Richard.

- Po ciemku?! Co tam knujesz?! Złaż natychmiast!

Chłopak położył dłoń na piersi Ansona i pchnął go w mrok.

- Tak, panie. Już schodzę - zawołał do żołnierza, spiesznie opuszczając się po drabinie.

Na dole odwrócił się i ujrzał, że żołnierz ku niemu idzie. Sięgnął pod kurtkę po nóż i wtedy sobie przypomniał, że go nie ma. Sylwetka mężczyzny dalej odznaczała się na tle otwartych drzwi obory. Richard stał w ciemności i tamten pewnie go nie widział. Cichutko odsunął się od drabiny.

Kiedy żołnierz go mijał, chłopak znalazł się za nim i chwycił nóż wiszący u jego pasa obok toporka. Ostrożnie wysunął nóż z pochwy, gdy tamten stanął i spojrzał ku stryszkowi. Richard złapał żołdaka za włosy, odchylił mu głowę i podciął gardło, zanim wróg miał czas się zorientować, co się dzieje. Potem krzepko trzymał szarpiącego się mężczyznę, który charczał. Żołnierz sięgnął w tył i na chwilę wczepił się w Richarda, ale wkrótce zwiotczał.

- Zejdź, Ansonie - szepnął Richard ku górze, ostrożnie opuszczając żołnierza na ziemię. - Znikajmy stąd.

Anson szybko zszedł z drabiny, odwrócił się i ujrzał rozciągniętego na ziemi martwego wojownika.

- Co się stało?

Richard, zajęty zdejmowaniem z zabitego pasa z bronią, podniósł wzrok.

- Zabiłem go.

- Och.

Podał Bandakarczykowi pochwę z nożem.

- Weź to. Teraz masz prawdziwą broń: długi nóż.

Przetoczył martwego żołnierza, żeby wydobyć spod niego pas. Wyszarpnął go i usłyszał jakiś hałas - odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak pędzi ku nim drugi żołnierz.

Anson aż po rękojeść wbił nóż w pierś nadbiegającego. Tamten zatoczył się w tył. Richard gwałtownie się poderwał, unosząc zarazem pas z bronią. Żołnierz spazmatycznie chwycił powietrze, zaciskał dłoń na rękojeści noża. Ciężko osunął się na kolana. Chwiał się, szarpiąc dłonią powietrze. Wydał ostatnie tchnienie i upadł na bok.

Anson tkwił nieruchomo, wpatrując się w leżące bezwładnie ciało ze sterczącym z piersi nożem. Potem pochylił się i wyciągnął nóż z zabitego.

- Nic ci nie jest? - wyszeptał Richard, kiedy Bandakarczyk się wyprostował.

Anson skinął głową na znak, że wszystko w porządku.

- Poznaję go. Nazywaliśmy go Gnida. Zasłużył na śmierć.

Richard zyczliwie klepnął Ansona w łopatkę.

- Dobrze się spisalesz. A teraz znikajmy stąd.

Kiedy wracali, poprosił Ansona, żeby zaczekał, a sam zajrzał w boczne uliczki i pomiędzy niskie budynki, wypatrując żołnierzy. Gdy był przewodnikiem, często chodził nocą na zwiady. W ciemności był w swoim żywiole.

Miasteczko było znacznie mniejsze, niż się spodziewał. Było również znacznie bardziej chaotycznie zbudowane, niż oczekiwał. Ulice - o ile w ogóle można było je tak nazwać - były przeważnie ścieżkami między skupiskami małych, jednoizbowych domków. Zauważył parę wózków ręcznych, lecz nic bardziej wymyślnego. Przez miasteczkę biegła jedna jedyna droga - wiodąca do obory, w której znaleźli antidotum i natknęli się na żołnierzy - na tyle szeroka, by mógł nią przejechać wóz. Richard nie napotkał żadnych patroli.

- Czy wszyscy żołnierze Ładu trzymają się razem? - zapytał czekającego nań w mroku Ansona.

- Na noc idą do budynku. Sypiają tam gdzie my przedtem, w pobliżu bramy, którą weszliśmy.

- Masz na myśli ten niski budynek, do którego poszli dwaj pierwsi

żołnierze?

- Tak. Przedtem zbierała się tam na noc większość mieszkańców, a teraz żołnierze Ładu z niego korzystają.

Richard spojrział na niego, marszcząc brwi.

- Chcesz powiedzieć, że śpicie wszyscy razem?

Ansona trochę to pytanie zdziwiło.

- Tak. Zawsze jesteśmy razem, kiedy to możliwe. Wielu miało dom, w którym pracowali, jedli i trzymali swoje rzeczy, ale rzadko tam sypiali. Zazwyczaj wszyscy spędzamy noc w domach sypialnych, w których zbieramy się, żeby pogadać o minionym dniu. Wszyscy chcą być razem. Czasem ktoś sypia gdzie indziej, ale przeważnie sypiamy razem, żebyśmy się mogli czuć bezpieczni. Podobnie jak spaliśmy razem, kiedyśmy schodzili w dół od posągu.

- I każdy tak... kładzie się przy innych?

Bandakarczyk odwrócił wzrok.

- Pary często sypiają pod jednym kocem, odgradzając się tym od innych, ale dalej śpią tam gdzie wszyscy. W ciemności nikt ich nie zobaczy... pod jednym kocem.

Richard z trudem mógł sobie wyobrazić takie życie.

- Całe miasteczko mieściło się w tym budynku sypialnym? Wystarczało miejsca?

- Nie, było nas zbyt wielu, żebyśmy się pomieścili w jednym domu. Są dwa. Drugi jest naprzeciw tego, który widziałeś.

- No to rzućmy na nie okiem.

Pospiesznie ruszyli ku bramie miasteczka i ku domom sypialnym. Ciemna ulica była zupełnie pusta. Richard nie dostrzegł nikogo na ścieżkach między budynkami. Ci Bandakarczycy, którzy zostali w mieście, pewnie już spali albo zbyt się bali, żeby chodzić po nocy.

Drzwi w jednym z małych domów odrobinę się uchylily, jakby ktoś wyglądał na zewnątrz. Potem otworzyły się szerzej, wyskoczyła z nich jakaś drobna postać i pognęła ku nim.

- Anson! - szepnął czyjś głosik.

Chłopczyk miał niewiele ponad dziesięć lat. Upadł na kolana, wczepił się w rękę Ansona i całował ją z radości, że znów go widzi.

- Tak się cieszę, Ansonie, żeś wrócił do domu! Strasznie nam ciebie

brakowało. Baliśmy się o ciebie, baliśmy się, że cię zamordują.

Anson złapał chłopca za koszulę i postawił na nogi.

- Nic mi nie jest, Bernie, i rad widzę, że i ty jesteś cały i zdrowy, ale teraz musisz już wracać. Żołnierze mogą cię zauważyć. A jak cię przyłapią na zewnątrz...

- Och, Ansonie, proszę, chodź spać do naszego domu. Tacy jesteśmy samotni i wystraszeni.

- To znaczy kto?

- Tylko ja i dziadek. Pobądź z nami, proszę.

- Teraz nie mogę. Może innym razem.

Wtedy mały zerknął na Richarda i cofnął się, kiedy go nie rozpoznał.

- To mój przyjaciel, Bernie. Z innego miasta. - Anson kucnął obok chłopca. - Obiecuję, że wrócę, ale teraz znikaj w domu i już dziś nie wychodź. Nie wychodź. Boimy się, że mogą być jakieś tarapaty. Zostań w środku. Powtórz dziadkowi, co mówiłem, dobrze?

Bernie w końcu na to przystał i zniknął w mroku za drzwiami. Richard chciał wyjść z miasteczka, zanim jeszcze ktoś nadbiegnie się przywitać. Jeżeli nie będą ostrożni, to wreszcie ściągną na siebie uwagę żołnierzy.

Raźno szli ulicą, kryjąc się przy budynkach. Richard przywarł do ściany jednego z nich, stojącego w górze ulicy, i wyjrzał zza narożnika. Popatrzył na przysadzisty dom sypialny z plecionki narzuconej gliną, w którym zniknęli żołnierze. Drzwi były otwarte, padało z nich łagodne światło.

- Tam? - wyszeptał. - Wszyscy tam spaliście?

- Tak. To jeden z domów sypialnych. Drugi jest za nim.

Richard chwilę dumał nad tym.

- A na czym spaliście?

- Na sianie. Zwykle rzucaliśmy na nie koce. Często zmienialiśmy siano, żeby było świeże, ale oni się tym nie martwią. Niczym zwierzęta śpią na starym, zakurzonym sianie.

Richard popatrzył na pola przez otwartą bramę. I z powrotem na dom sypialny.

- A teraz śpią tam wszyscy żołnierze?

- Tak. Odebrali je nam. Powiedzieli, że to będą ich koszary. Anasi, którzy przeżyli, muszą spać gdzie popadnie.

Nakazał Ansonowi nie ruszać się z miejsca, a sam wśliznął się w cienie, z

dalej od blasku pochodni, i przyjrzał się temu, co było za pierwszym budynkiem. I w drugim domu sypialnym śmiali się i rozmawiali żołnierze. Stacjonowało tu więcej żołnierzy, niż trzeba do strzeżenia tak małego miasteczka, lecz Witherton było bramą do Bandakaru - i bramą wyjściową.

- Wracajmy do reszty - rzekł, stając obok Ansona. - Mam pomysł.

Kiedy szli ku bramie, Richard, jak to często robił, spojrzał w górę, sprawdzając, czy na rozgwieżdżonym niebie nie widać czarnosternych chryzolitów. Zamiast nich zobaczył - na palach po obu stronach bramy - uwieszane za kostki ciała. Gdy i Anson je zobaczył, zamarł na ten straszliwy widok. Richard położył mu dłoń na ramieniu, pochylił się ku niemu.

- Dobrze się czujesz?

- Nie. - Anson potrząsnął głową. - Ale na pewno mi się polepszy, jak pomrą ci, którzy do nas przyszli i robią takie rzeczy.

ROZDZIAŁ 48

Richard nie wiedział, czy po antidotum miał się poczuć lepiej, ale jeżeli tak, to jeszcze nie zaczęło działać. Kiedy się skradali przez pogrążone w czerni nocy pola, cierpiał przy każdym oddechu. Przystanął i na moment zamknął oczy, tak dręczyła go zesłana przez dar migrena. Bardzo chętnie by się położył, ale nie było na to czasu. Gdy znów ruszył, zrobili to samo - ostrożnie szli przez pola wokół Witherton.

Dobrze było znów nosić u boku miecz, chociaż bał się, że kiedy go dobędzie, magia oręza może nie odpowiedzieć na wezwanie. Gdy już odzyskają dwie pozostałe buteleczki antidotum i pozbędzie się trucizny, to może zdążą wrócić do Nicci, żeby mu pomogła poradzić sobie z darem. Starał się nie martwić o to, czy czarodziejka potrafi pomóc czarodziejowi, którego dar - tak jak jego - wymknął się spod kontroli. Nicci miała wielkie doświadczenie. Na pewno mu pomoże, jak tylko do niej dotrze. A gdyby nawet nie była w stanie mu pomóc, to przynajmniej z pewnością będzie wiedziała, co Richard ma zrobić, żeby uzyskać pomoc. W końcu była kiedyś Siostrą Światła, a ich celem było uczyć tych, którzy mają dar, jak go kontrolować.

- Chyba widzę zewnętrzny mur - odezwała się cicho Kahlan.

- Tak, to tutaj. O, tam jest brama. Widzisz?

- Chyba tak - szepnęła.

To była ciemna, bezksiężycowa noc. Richard był z tego zadowolony, chociaż inni mało co widzieli w takich ciemnościach. Poświata gwiazd wystarczała mu w zupełności, ale wątpił, czy żołnierze ich w niej dostrzegą.

Podkradli się bliżej i przez otwartą bramę zobaczyli dom sypialny. Pochodnia nadal paliła się przed drzwiami budynku, w którym spali żołnierze. Richard dał znak, żeby się przy nim zebrałi. Kucnęli obok niego. Chwycił Ansona za ramię i przyciągnął go jeszcze bliżej, tak samo Owena.

Obaj mieli teraz bojowe topory. Anson miał też nóż, na który sobie zasłużył. Pozostali mieli oręż, który pomogli zrobić.

Kiedy Richard z Ansonem wrócili na prześwit w lesie, Anson opowiedział czekającym tam Bandakarczykom o wszystkim, co się wydarzyło. Gdy oznajmił, że zgładził żołnierza zwanego Gnidą, Richard wstrzymał oddech,

nie wiedząc, jak zareagują na to, że jeden z nich już zabił. Nastąpiła krótka, pełna zdumienia cisza, a potem spontaniczna radość. Każdy z nich chciał uścisnąć Ansonowi dłoń i pogratulować mu, powiedzieć, jaki jest zeń dumny. W owej chwili Richarda opuściły wszelkie wątpliwości. Pozwolił im świętować zwycięstwo, a sam czekał, aż się porządnie ściemni. Potem ruszyli przez pola.

Tej nocy Witherton odzyska wolność.

Richard popatrzył na ciemne sylwetki.

- Pamiętajcie o wszystkim, co wam mówiliśmy. Musicie być cicho i mocno trzymać bramę, kiedy Anson z Owenem będą przecinać sznurowe zawiasy. Nie pozwólcie bramie upaść, jak już je przetną.

Dostrzegł w nikłej poświacie gwiazd, jak kiwają głowami. Dokładnie przyjrzał się niebu, wypatrując czarnosternych chyżolotów. Nie było po nich śladu. Od dawna nie widzieli ani jednego chyżolota. Wyglądało na to, że zdołali je zgubić, niknąc w lesie tuż przed zmianą kierunku marszu i starając się, by nie można ich było zobaczyć z góry. Całkiem możliwe, że udało im się zniknąć z oczu Nicholasowi Slide'owi. Jeżeli tak, to nie będzie wiedzieć, gdzie ich wypatrywać.

Kiedy ruszyli ku otworowi w ogrodzeniu miasteczka, Richard przelotnie uścisnął dłoń Kahlan. Cara była u jego drugiego boku. Tom i Jennsen zabezpieczali tyły, czuwając, by nic ich od tej strony nie zaskoczyło.

Betty zostawili nie tylko związaną, ale i zamkniętą w prowizorycznej zagrodzie - chcieli mieć pewność, że nie pójdzie ich śladem i nie zdradzi ich obecności w najmniej odpowiednim momencie. Kózce wcale się nie podobało, że ją tak zostawiają, lecz w grę wchodziło ich życie i nie mogli ryzykować, że przyjaciółka Jennsen narobi im kłopotów. Nacieszy się, gdy wróci.

Kiedy dotarli w pobliże miasteczka, Richard dał im znak, żeby padli na ziemię i się nie ruszali. Razem z Tomem, kryjąc się w cieniu ogrodzenia, podeszli do bramy. Tuż za nią był żołnierz - chodził z wolna tam i z powrotem, pełniąc samotnie nocną wartę. Nie zachowywał ostrożności, chodząc tak sobie w świetle pochodni. Gdy zawrócił i zaczął się od nich oddalać, Tom znalazł się tuż za nim i błyskawicznie go uciszył. Potem wyciągnął strażnika przez bramę, żeby ukryć ciało w mroku za ogrodzeniem, a Richard poszedł dalej, chowając się w cieniu, żeby nie padło

nań światło pochodni płonącej przed domem sypialnym. Drzwi owego domu stały otworem, ale nie padało z nich światło ani nie dochodził żaden dźwięk. O tak późnej porze żołnierze na pewno spali. Szybko minął pierwszy budynek i przed drugim natknął się na następnego wartownika. Dopadł go po cichu i podciął mu gardło, a potem mocno trzymał szarpiącego się żołnierza. Kiedy ten wreszcie zwiotczał, Richard ułożył go w mroku u szczytu drugiego domu sypialnego, tak żeby nie padało na niego światło pochodni.

Reszta grupy dopadła już bramy i przytrzymała jej skrzydła, a Anson z Owenem pospiesznie przecinali sznurowe zawiasy. Uwinęli się z tym w mgnieniu oka. Richard słyszał, jak postękiwali z wysiłku, niosąc ciężkie wierzaje.

Jennsen podała Richardowi jego łuk - już z naciągniętą cięciwą. Potem wręczyła mu jedną ze specjalnych strzał, trzymając pozostałe w pogotowiu. Kahlan podkradła się do płonącej pochodni, tej przy pierwszym domu sypialnym, zapaliła od niej kilka małych pochodni i przekazała je Bandakarczykom. Jedną zatrzymała dla siebie.

Richard nasadził strzałę i popatrzył po twarzach widocznych przed nim w chwiejnym blasku pochodni. Odpowiadając na nieme pytanie, jak jeden mąż skinęli głowami na znak, że są gotowi. Spojrzał na mężczyzn niosących oba skrzydła bramy - i oni skinęli głowami. Trzymając w jednej ręce łuk z nasadzoną strzałą, dał drugą znak, żeby ruszali.

Powolne, ostrożne skradanie się z lasów do miasteczka w jednej chwili przerodziło się w szaleńczy pośpiech.

Richard zapalił czubek nasadzonej na łuk strzały od pochodni, którą podsunęła mu Kahlan. Jak tylko strzała się zajęła, podbiegł do otwartych drzwi domu sypialnego, nachylił się w mrok i wypuścił ją ku tyłowi pomieszczenia.

Płonąca strzała oświetlała w locie rzędy śpiących na słomie żołnierzy. Upadła pod przeciwległą do drzwi ścianą, podpaliła słomę. Uniosło się kilka głów zaskoczonych tym widokiem. Jennsen podała Richardowi kolejną strzałę. Natychmiast naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę ku środkowi pomieszczenia. Potem cofnął się od drzwi, a dwóch mężczyzn wrzuciło tuż za nie pochodnie, z których kapąca płonąca smoła. Z sykiem przecięty powietrze, upadły między śpiącymi żołnierzami i potoczyły się po słomie,

wzniecając ścianę ognia.

Wystarczyło parę chwil od rozpoczęcia ataku, a już płonął cały pierwszy dom sypialny. Największy ogień - zgodnie z planem - wznieciły w pobliżu drzwi ociekające smołą pochodnie. Ze środka doleciały krzyki tłumione przez grube ściany. Rozespani żołnierze chwiejnie podnosili się z legowisk.

Richard sprawdził, czy nadbiegają mężczyźni z połową ciężkich wrót, a potem pobiegł ku drugiemu domowi sypialnemu. Jennsen, pędząc tuż za nim, podała mu zapaloną już strzałę - płomienie liżące nasączone olejem płótno syczały, kiedy biegł.

Jeden z jego ludzi wyjął pochodnię z uchwytu przed domem, przed którym wcześniej chodził zabity przez Richarda wartownik. Richard zajrzał w otwarte drzwi - gnał ku niemu z ciemnego wnętrza jakiś wielkolud. Chłopak oparł się plecami o ościeże i kopnął tamtego w tors, odpychając z powrotem. Następnie naciągnął cięciwę i posłał do wnętrza płonąca strzałę. Kiedy oświetliła pomieszczenie, ujrzał, że niektórzy żołnierze nie spali i zaczynają wstawać. Obrócił się ku Jennsen po drugą strzałę i zobaczył dym wydobywający się z pierwszego budynku. Jak tylko posłał drugą strzałę, odsunął się, a jego ludzie wrzucili do środka pochodnie.

Jedna z tych pochodni wyleciała na zewnątrz. Odbiła się od piersi żołnierza, który biegł ku drzwiom sprawdzić, co się dzieje. Kapiąca z pochodni smoła podpaliła mu zatłuszczoną brodę. Wydał mrozący krew w żyłach wrzask. Richard kopniakiem posłał go do wnętrza. W jednej chwili całe mnóstwo żołnierzy pędziło ku drzwiom - nie tylko po to, żeby uciec z palącego się budynku, ale i żeby odpowiedzieć atakiem na atak. Richard zobaczył, jak błysnęła dobywana broń.

Odskoczył od drzwi, bo nadbiegli mężczyźni z połową ciężkiej bramy. Odwrócili ją i wbili pod okap, ale nim zdążyli opuścić i zamocować u dołu drugi koniec, wrzeszczący żołnierze runęli na nią i odepchnęli. Trzymający ją ludzie polecili na ziemię, a brama ich przygniotła.

I nagle z drzwi zaczęli się wylewać żołnierze. Ludzie Richarda rzucili się na nich, wbijając im w brzuchy drewniany oręż i odłamując rękojeści. Inni stali po obu stronach wejścia i walili maczugami w głowy wynurzających się żołdaków. Kiedy jeden z żołnierzy wyskoczył z uniesionym mieczem, stojący z boku człowiek Richarda zdzielił go w ramię, a drugi przyskoczył i wbił mu pod żebra drewniany kołek. Im więcej ich padało przy drzwiach, tym

trudniej się było innym wydostawać, ludzie Richarda zaś mieli łatwiejsze zadanie.

Żołnierze byli tak zdumieni tym, że ci ludzie przypuścili atak, iż niekiedy bronili się zupełnie bez przekonania. Któryś z nich skoczył nad stosem ciał, unosząc miecz, ale jeden z Bandakarczyków wylądował mu na plecach i unieruchomił ramię, a drugi dźgnął go kołkiem. Inny, wyrzaskując rozkazy, runął ku Jennsen i dostał bełtem prosto w twarz. Kilku udało się uciec z płonącego budynku i prześliznąć obok Richarda, lecz spotkali się z Agielem Cary. Ich wrzaski, o wiele gorsze niż krzyki palących się, na krótko przyciągnęły uwagę obu walczących stron.

Ludzie Richarda chwyтали miecze i noże poległych i atakowali nimi żołnierzy Imperialnego Ładu. Richard posłał strzałę w pierś żołnierza wynurzającego się wraz z dymem z otwartych drzwi. Kiedy ten padał, druga strzała trafiła idącego za nim. Następni próbowali się wydostać, lecz przewracali się o leżących w drzwiach i ginęli pod zarekwirowanymi toporami lub zdobycznymi mieczami. Ponieważ żołnierze mogli wychodzić tylko pojedynczo, nie byli w stanie przypuścić skoordynowanego ataku. Tymczasem ci, którzy na nich czekali, byli.

Gdy część ludzi Richarda stawiała opór tym, którzy usiłowali opuścić płonący dom sypialny, inni podbiegli pomóc podnieść bramę, żeby ci przygnieceni mogli zrobić swoje. Wreszcie unieśli bramę i z krzykiem zbiorowego wysiłku pognali ku budynkowi. Najpierw wbili pod okap górną część, lecz sterta ciał nie pozwalała opuścić skrzydła bramy.

Richard wykrzyczał polecenia. Nadbiegli niektórzy Bandakarczycy i odciągnęli na bok część zwłok, żeby można było opuścić bramę i zablokować drzwi. Jeden z żołnierzy zdołał się precyzyjnie przycisnąć, zanim brama znalazła się na miejscu. Jej ciężar przygniótł go do ściany. Owen bez wahania przebił go zdobycznym mieczem.

Ci w środku walili w skrzydło bramy i rzucali się na nie, ci na zewnątrz zaś krzepko je trzymali. Kilku z nich padło na kolana i wbiło w ziemię kołki, blokując skrzydło i zamykając żołnierzy w pułapce.

Za ich plecami spod okapu pierwszego domu sypialnego buchały jęzory płomieni i tańczyły na tle nocnego nieba. Dach zapłonął w jednej chwili, a potem zapadł się, pogrążając cały budynek w skrach i płomieniach. Wrzaski płonących żywcem rozdarły noc.

Fale żaru bijące od pierwszego płonącego budynku zaczęły nieść ciężką woń smażącego się mięsa. Przypomniało to Richardowi, że jego dar wymagał, by dla zrównoważenia zadawanej śmierci powstrzymywał się od jedzenia mięsa. Po tej jatce, skoro dar i tak już wymykał mu się spod kontroli, będzie musiał jeszcze bardziej tego pilnować. Głowa tak go bolała, że z trudem skupiał wzrok; nie mógł sobie pozwolić na nic, co jeszcze bardziej naruszyłoby równowagę jego daru. Jeśli nie będzie uważać, trucizna nie zdoła uśmiercić go pierwsza.

Ciężki czarny dym buchał wokół krawędzi bramy blokującej drzwi drugiego domu sypialnego. Ze środka dochodziły wrzaski i błagania. Ludzie Richarda cofnęli się i patrzyli, jak dym zaczyna się wydobywać i spod okapu. Walka skończyła się równie szybko, jak się zaczęła.

Nikt się nie odzywał, kiedy tak stali oblani łuną bijącą od rozszalałych płomieni. Ogień trawił drugi budynek. Pochłonęły go syczące płomienie.

Żar zmusił ich do cofnięcia się od obu płonących domów. Wtedy napotkali pozostałych mieszkańców miasteczka, stojących w mroku i obserwujących to wszystko w pełnym zdumienia milczeniu.

Jeden ze starszych mężczyzn wysunął się przed wszystkich.

- A cóż to jest, heroldzie Owenie? Dopuszcieś się przemocy?

Owen zostawił swoich towarzyszy, stanął przed mieszkańcami. Wyciągnął rękę w tył, wskazując Richarda.

- Oto lord Rahl, władca imperium D'Hary. Poszedłem go szukać, żeby się nam pomógł uwolnić. Dużo mamy wam do opowiedzenia, ale na razie wiedzcie jedno: tej nocy, po raz pierwszy od dawna, nasze miasteczko jest wolne. Tak, pomogliśmy lordowi Rahlowi zabić tych złych ludzi, którzy nas terroryzowali. Pomściliśmy śmierć naszych najbliższych. Nie będziemy już dłużej niczyją bezwonną zdobyczą. Będziemy wolni!

Ludzie stali bez słowa i tylko się w niego wpatrywali.

Wielu było zdezorientowanych. Niektórzy radowali się w duchu, lecz większość po prostu osłupiała ze zdumienia.

Bernie podbiegł do Ansona i patrzył nań zdziwiony.

- Ty i ci ludzie żeście nas wyzwolili? Naprawdę?

- Tak. - Anson położył dłoń na ramieniu Berniego. - Nasze miasteczko jest teraz wolne.

- Dzięki. - Chłopiec uśmiechnął się szeroko i obrócił ku mieszkańcom. -

Uwolnili nas od morderców!!!

Noc rozbrzmiała nagłymi, spontanicznymi okrzykami radości, które zagłuszały ryk płomieni. Ludzie podbiegli do nie widzianych od miesiący ziomków, dotykali ich, obejmowali, zadawali im pytania.

Richard ujął dłoń Kahlan, usunął się na bok i dołączył do Cary, Jennsen i Toma. Ci ludzie, tak przeciwni przemocy, całe życie ślepi na to, co powodowały ich zasady, teraz ze łzami w oczach upajali się radością, jaką przyniosło im uwolnienie od terroru i gwałtu.

Wreszcie zaczęli podchodzić, żeby spojrzeć na Richarda i tych, którzy przy nim stali. On i Kahlan uśmiechali się, ciesząc się ich radością. Mieszkańcy stłoczyli się przed nim, uśmiechali się do niego i przyglądali mu się, jakby Richard i jego towarzysze byli dziwnymi istotami z bardzo daleka.

Bernie uczeplił się ręki Ansona. Inni mocno obejmowali ludzi Owena. Oni zaś - jeden po drugim - zaczęli się uwalniać z objęć mieszkańców i stawać za Richardem i Kahlan.

- Tak się cieszymy, że znów jesteście w domu - mówili im ludzie. - Że nareszcie do nas wróciliście.

- Teraz znów wszyscy jesteśmy razem - odezwał się Bernie.

- Nie możemy zostać - powiedział mu Anson.

Mieszkańcy miasteczka ucichli.

Bernie, podobnie jak wielu innych, był zrozpaczony.

- Co takiego?!

Tłumek zaszemrał, szeptał z niepokojem. Wszyscy byli wstrząśnięci wiadomością, że ci mężczyźni nie zostają w domu.

Owen uniósł rękę na znak, że chce, by go wysłuchali. Kiedy umilkli, wyjaśnił:

- Pozostali mieszkańcy Bandakaru nadal są pod okrutnym jarzmem żołnierzy Ładu. Ich też należy uwolnić, tak jak was uwolniliśmy tej nocy. Lord Rahl, jego małżonka Matka Spowiedniczka, jego przyjaciółka i strażniczka Cara, jego siostra Jennsen oraz Tom, również przyjaciel i strażnik, zgodzili się nam pomóc. Sami nie dadzą rady tego zrobić. Musimy wziąć w tym udział, bo to nasza kraina i, co jeszcze ważniejsze, to nasi ziomkowie, nasi bliscy.

- Owenie, nie wolno ci się oddawać przemocy - odezwał się jakiś starszy człowiek. W obliczu tak nagle odzyskanej wolności nie było to żadne

emfatyczne stwierdzenie: sprzeciw wynikał raczej z powinności niż z przekonania. - Rozpocząłeś cykl przemocy. To zły czyn.

- Porozmawiamy z wami przed odejściem, żebyście tak jak i my zrozumieli, co należy uczynić, byśmy się naprawdę uwolnili od przemocy i brutalności. Lord Rahl wykazał nam, że cykl przemocy nie wynika z walki o własne życie, ale jest rezultatem uchylania się od zrobienia tego, co konieczne, by zgnieść tych, którzy chcą nam życie odebrać. Jeżeli wypełnicie swój obowiązek wobec siebie i swoich bliskich, wytrzebiecie wroga tak dokładnie, że już nigdy was nie skrzywdzi. I nie będzie to żaden cykl przemocy, ale jej kres. Wtedy, i tylko wtedy, zapanują prawdziwe pokój i wolność.

- Takie postępowanie może jedynie zapoczątkować przemoc - sprzeciwił się drugi starzec.

- Rozejrzyj się dokoła - rzekł do niego Anson. - Przemoc się tej nocy nie zaczęła, lecz skończyła. Położono jej kres, jak należy to zrobić, miażdżąc złych ludzi, którzy ją na nas ściągnęli.

Mieszkańcy kiwali do siebie głowami - najwyraźniej nad wszystkim wzięła górę radość z nagłego wyzwolenia od gwałtu i przemocy Imperialnego Ładu. Radość zwyciężyła strach. Odzyskanie życia otworzyło im oczy.

- Musicie jednak zrozumieć, tak jak my to pojęliśmy - dodał Owen - że nic już nie będzie takie jak kiedyś. Tamto odeszło w przeszłość.

Richard zauważył, że ludzie Owena już się nie garbią. Stali z dumnie uniesionymi głowami.

- Wybraliśmy życie - powiedział Owen swoim ziomkom. - I dzięki temu odnaleźliśmy prawdziwą wolność.

- Myślę, że wszyscy ją odnaleźliśmy - powiedział starzec stojący w tłumie.

ROZDZIAŁ 49

Zedd zmarszczył czoło, z trudem koncentrując się na tym, co Siostra Tahirah położyła przed nim na stole. Spojrzał na nią, na bruzdy gniewu wokół jej haczykowatego nosa.

- No i? - spytała.

Czarodziej znów opuścił wzrok na leżącą przed nim rzecz. Pokryta skórą kula, pomalowana w wypłowiałe już niebieskie i różowe zygzaki.

Dlaczego wydawała się tak znajoma i równocześnie tak daleka?

Zamrugał, by widzieć wyraźniej. Przerażliwie bolała go szyja. Jeden z ojców, słysząc z pobliskiego namiotu straszliwe wrzaski torturowanego synka, złapał Zedda za włosy i odciągnął od pozostałych rodziców, którzy szarpali go i desperacko błagali o własne dzieci. Zmaltretowane po tym szarpnięciu mięśnie szyi tak bolały czarodzieja, że z trudem trzymał w miarę prosto głowę. Jednak była to błahostka w porównaniu z mękami, których odgłosy do niego docierały.

Wydawało mu się, że mroczne wnętrze namiotu, rozjaśniane kilkoma zawieszonymi na palach lampami, oderwało się od ziemi i wiruje wokół niego. Cuchnęło tutaj. Gorąc i wilgoć jeszcze pogarszały i odór, i kołowanie. Zedd miał wrażenie, że zaraz zemdleje.

Od tak dawna nie spał, że nie pamiętał już, kiedy się ostatni raz kładł. Czasami zasypiał na siedząco, gdy Siostra Tahirah pilnowała wyładunku kolejnego przedmiotu z wieży lub gdy szła spać, a jej następczyni jeszcze się nie zjawiła, żeby podjąć trud katalogowania rzeczy ukradzionych z Aydindril. Te drzemki trwały zaledwie po parę minut. Strażnikom przykazano, żeby nie pozwalali się kłaść ani jemu, ani Adie.

Ale przynajmniej ustały wrzaski dzieci. Przynajmniej, dopóki współpracował, nie było słychać tych pełnych bólu krzyków. Przynajmniej rodzice mieli nadzieję.

Silny ból w tyle głowy. Szarpnął się gwałtownie. Krzesło się przewróciło i poleciał na ziemię. Ręce miał związane za plecami, więc nie mógł zamortyzować upadku - mocno się uderzył. Dzwoniło mu w uszach nie tylko od upadku, ale i od uderzenia mocy Siostry uwolnionej z obroży na jego szyi. Nie cierpiał tego obrzydliwego narzędzia kontroli. A Siostry nie miały

oporów w korzystaniu z obroży. Obroża uniemożliwiła mu posługiwanie się własnym darem, więc nie mógł się bronić. One zaś wykorzystywały jego moc przeciwko niemu.

Nie trzeba było wiele, żeby taka Siostra uciekła się do przemocy. Sporo z tych kobiet było niegdyś miłymi osobami, poświęcającymi życie wspomaganie bliźnich. Jagang zrobił z nich niewolnice innej sprawy. Teraz spełniały jego polecenia. Chociaż kiedyś były łagodne, obecnie - o czym Zedd wiedział - starały się za wszelką cenę unikać kary, jaką Jagang im wymierzał. Owa kara mogła przekraczać wszelką wytrzymałość. Siostry miały osiągnąć konkretne rezultaty - imperatora nie zadowolą ich tłumaczenia, że Zedd sprawiał kłopoty.

Czarodziej spostrzegł, że i Adie poleciała na ziemię. Spotykała ją ta sama kara. Bardziej doskwierało mu jej cierpienie niż własne.

Stojący z boku żołnierze podeszli, żeby podnieść krzesło i usadowić na nim Zedda. Nie wstałby sam z tymi związanymi na plecach rękami. Posadzili go tak energicznie, że aż stęknął.

- No i? - spytała Siostra Tahirah. - Co to jest?

Znów się pochylił i wpatrzył w okrągły przedmiot leżący pośrodku stołu. Słowniałe niebieskie i różowe zygzaki poruszyły w nim jakąś strunę. Pomyślał, że powinien to rozpoznać.

- To jest... to jest...

- Co to jest?! - Siostra Tahirah łupnęła książką o skraj stolika, a okrągły przedmiot podskoczył, przeturlał się kawałeczek i zatrzymał bliżej Zedda. Wpakowała książkę pod pachę, wsparła się drugą ręką o stolik i nachyliła ku czarodziejowi. - Co to jest? Do czego to służy?

- Ja... ja sobie nie mogę przypomnieć.

- Może mam sprowadzić trochę dzieciaków? - wyszeptała ze słodyczą podszytą groźbą. - Żebyś sobie popatrzył na ich buzie, zanim je oddam do sąsiedniego namiotu na tortury?

- Jestem taki zmęczony. Staram się sobie przypomnieć, ale jestem taki zmęczony.

- Może kiedy dzieci będą wrzeszczeć, spróbujesz wytłumaczyć ich rodzicom, że nic nie pamiętasz, bo jesteś taki zmęczony.

Dzieci. Rodzice.

Zedd nagle sobie przypomniał, czym jest ten przedmiot. Napłynęły

bolesne wspomnienia. Poczul, jak łza spływa mu po policzku.

- Drogie duchy - wyszeptał. - Gdzie to znaleźliście?

- Co to jest?

- Gdzie to znaleźliście? - powtórzył czarodziej.

Siostra sapnęła ze zniecierpliwieniem, wyprostowała się. Otworzyła książkę i z szelestem ją kartkowała. Wreszcie postukała palcem w stronicę.

- Tu jest zapisane, że to leżało we wnęce za stojącą w korytarzu czarną komodą o sześciu szufladach. Nad komodą wisiał gobelin przedstawiający trzy rozbrykane białe konie. - Opuściła książkę. - No i co to jest?

Zedd przełknął ślinę.

- Piłka.

Siostra się wściekła.

- Wiem, że to piłka, ty stary głupcze. Ale do czego? Do czego służy? W jakim celu ją wykonano?

Czarodziej wpatrywał się w piłkę nie większą od jego pięści i wspominał.

- To piłka dla dzieci. Ma im dawać radość.

Pamiętał tę piłkę, bardzo wówczas kolorową, skaczącą po korytarzach Wieży Czarodzieja i pamiętał biegnącą za nią roześmianą córeczkę. Dał jej tę piłkę w nagrodę za postępy w nauce. Czasami toczyła ją kijkiem po korytarzach, jakby wyprowadzała na spacer zwierzątko. Ale najbardziej lubiła uderzać nią o podłogę tak, żeby się odbiła od ściany i poleciała ku następnej ścianie na skrzyżowaniu korytarzy. W ten sposób odbijała ją za róg. Patrzyła, czy poleci w prawy czy w lewy korytarz, a potem za nią biegła. Któregoś dnia przyszła do niego z płaczem. Poprosił, żeby mu powiedziała, co ją tak zmartwiło. Usiadła mu na kolanach, przytuliła się i wyrzuciła z siebie, że piłka się gdzieś zgubiła. Chciała, żeby ją „odgubił”. Odparł, że jeżeli dobrze poszuka, to pewnie ją znajdzie. Całymi dniami, przygnębiona, chodziła po korytarzach wieży i szukała piłki. Ale nie mogła jej znaleźć. Wreszcie Zedd wyruszył o wschodzie słońca w długą drogę do Aydindril, na targ przy Stentor Street. To tam natrafił kiedyś na stragan, na którym sprzedawano takie zabawki, i kupił piłkę w zygzaki. Tym razem kupił inną - w różowe i zielone gwiazdki. Rozmyślnie wybrał piłkę zupełnie inną niż ta zgubiona, bo nie chciał, żeby córeczka pomyślała, że życzenia mogą się cudownie ziszczać. Chciał, by wiedziała, że problemy można i należy rozwiązywać. Pamiętał, jak się przytuliła do jego nóg, dziękując za nową

piłkę, mówiąc, że jest najlepszym na świecie tatusiem i że będzie bardzo uważać na tę nową piłkę i nie zgubi jej. Uśmiechał się, patrząc, jak przyciska rączkę do serca i recytuje wymyśloną na poczekaniu przysięgę. Hołubiła tę piłkę w zielone i różowe gwiazdki. Była mała, więc mogła ją zabrać ze sobą wraz z paroma innymi rzeczami, kiedy uciekali do Westlandu po tym, jak Rahl Posepny ją zgwałcił. Gdy Richard był malutki, bawił się tą piłką. Zedd pamiętał, z jakim uśmiechem patrzyła, jak jej dziecko bawi się tą drogocenną piłką. Dostrzegwał w jej pięknych oczach wspomnienia z dzieciństwa, kiedy tak patrzyła, jak Richard się bawi. Miała tę piłkę całe życie, aż do swojej śmierci.

A piłka przed nim była tą, którą jego córeczka zgubiła. Musiała się odbić od ściany lub podłogi i wpaść za komodę, gdzie leżała przez te wszystkie długie lata.

Zedd nachylił się, oparł czoło o zakurzoną piłkę, której niegdyś dotykały jej małe paluszki, i zapłakał.

Siostra Tahirah złapała go za włosy i wyprostowała.

- Nie wierzę, że mówisz prawdę. To magiczny przedmiot. Chcę wiedzieć, co to jest i do czego służy. - Odchyliła mu głowę w tył i wściekle spojrzała w oczy. - Wiesz, że nie cofnę się przed niczym, żeby cię zmusić do współpracy. Jego Ekscelencja nie przyjmuje usprawiedliwień.

Zedd patrzył na nią i mrugał, strząsając łzy.

- To piłka, zabawka. Nic poza tym.

Puściła go, uśmiechając się szyderczo.

- Wielki i potężny czarodziej Zorander. - Pokręciła głową. - I pomyśleć, że kiedyś się ciebie baliśmy. Jesteś żalonym starcem i dość płaczu dziecka, żeby złamać twoją odwagę. - Westchnęła. - Muszę powiedzieć, że twoja reputacja o wiele przerasta rzeczywistość.

Złapała piłkę i obracała ją w palcach, przyglądając jej się bacznie. Potem parsknęła z niesmakiem i odrzuciła ją na bok, jakby nic nie była warta. Zedd patrzył, jak piłka podskakuje i toczy się po ziemi, a potem zatrzymuje przy ścianie namiotu, obok ławki, na której siedziała Adie. Popatrzył w jej zupełnie białe oczy - obserwowała go. Odwrócił wzrok. Czekał, a Siostra pisała coś w swojej książce.

- W porządku - oznajmiła wreszcie. - Rzućmy okiem na to, co umieścili w sąsiednim namiocie.

Żołnierze podnieśli go z krzesła, zanim sam spróbował wstać. Barki go bolały, bo nadgarstki miał stale związane za plecami, a wciąż podnosili go za ramiona. Adie też postawiono. Książka zamknęła się z trzaskiem. Sztywne siwe włosy Siostry Tahirah zawirowały, kiedy energicznie się odwróciła i pierwsza wyszła z namiotu.

Siostry doskonale wiedziały, jak niebezpieczne mogą być magiczne przedmioty z Wieży Czarodzieja - zwłaszcza jeżeli przypadkiem zaszłaby niepożądana kombinacja magii lub dotyku - więc bardzo uważały, żeby wyjmować je pojedynczo z osobnych, chronionych osłonami skrzyń. Zedd zaś wiedział, że w wieży były rzeczy same w sobie zupełnie niegroźne, które stawały się niebezpieczne w obecności innych, również samych w sobie niegroźnych przedmiotów. Czasami jedynie kombinacja konkretnych przedmiotów przynosiła żądany skutek.

Siostry miały rozległe doświadczenie w najbardziej ezoterycznych sprawach magii, więc przynajmniej rozumiały obowiązujące tu zasady. Ładunek traktowały z pieczołowitością należną przedmiotom kryjącym w sobie takie potencjalne niebezpieczeństwo. Każdą z tych rzeczy, po wyjęciu ze skrzyni, umieszczano w osobnym namiocie, gdzie oczekiwała na ocenę. Prowadziły Zedda i Adie od namiotu do namiotu, żeby czarodziej mógł zidentyfikować każdy skarb, powiedzieć im, co to takiego, i wyjaśnić, jak działa.

Trudziło się tym od wielu dni - Zedd już nie pamiętał od ilu. Chociaż dokładał wszelkich starań, by tak się nie stało, owe nie kończące się dni i noce zaczynały mu się zlewać.

Czarodziej robił co mógł, żeby przeciągać całą sprawę, bo tylko to jedno mógł czynić. Te kobiety znały magię. Nie dałyby się łatwo zwieść jakimś kłamliwym objaśnieniem. Nie kryły zresztą, jakie byłyby następstwa takiego oszustwa.

A poza tym Zedd nie miał pojęcia, ile one wiedzą. Niekiedy udawały, że w ogóle nic nie wiedzą o czymś, co w rzeczywistości całkiem nieźle pojmowały - żeby sprawdzić, czy mówi im prawdę.

Na szczęście wśród tego, co mu do tej pory pokazano, nie było nic nadmiernie niebezpiecznego. Większość przywiezionych w skrzyniach rzeczy była zupełnie nieskomplikowana i miała konkretne, bardzo wąskie zastosowanie: palik, który na odległość mierzył głębokość wody w studni;

żelazna ozdoba w kształcie wachlarza z liści, która - umieszczona w otwartych drzwiach - nie pozwalała, by się poza nie wydostały wypowiedziane w pokoju słowa; duże lustro, które zdradzało, gdy ktoś wchodził do sąsiedniego pomieszczenia. Takie przedmioty, choć ewentualnie mogły się przydać Jagangowi, nie były ani szczególnie cenne, ani niebezpieczne. A już na pewno nie pomogą mu podbić świata i władać nim.

Natomiast takie niebezpieczne przedmioty, jakie wydobyto ze skrzyń i pokazano Zeddowi, Siostry mogłyby stworzyć samodzielnie. Najgroźniejsze z tego wszystkiego było umieszczone w ozdobnej wazie strukturalne zaklęcie, które w specjalnych warunkach - na przykład gdy do wazy nalano wody - powodowało inwersję temperatury i wybuch płomieni. Zedd nie zdradził swojej sprawy ani nie naraził na szwank życia niewinnych ludzi, wyjawiając, jak owo zaklęcie działa; każda z Sióstr biegłych w swoim fachu mogła zrobić to samo. To zaklęcie miało pełnić funkcję ochronną. Gdyby dotknęło innych ukradzionych przedmiotów, to - ponieważ kradzież była przeciwieństwem prawowitej własności, co zaklęcie rozpoznawało - uczyniłoby się i zniszczyło te przywłaszczone dobra, żeby nie wpadły w chciwe ręce.

Żadna z obejrzanych do tej pory rzeczy nie przyniosłaby Jagangowi korzyści, jakich pragnął. Za to były w wieży przedmioty, które by mu wyrządziły szkody. Były tam zaklęcia - takie jak to strukturalne zaklęcie w wazie - które rozpoznawały osobę chcącą z nich skorzystać. Gdyby taką rzecz otworzyła właściwa osoba, jak Zedd, nic by się nie stało. Ale gdyby to zrobił złodziej, doszłoby do katastrofy.

W wieży były tysiące pomieszczeń. Zrabowane przez Imperialny Ład dobra zajęły całą karawanę wozów, a i tak rabusie ledwie uszczknęli zawartość wieży.

Zedd jak dotąd nie znalazł nic cennego.

I nie wiedział, czy dożyje takiego znaleziska. Podróż w skrzyni, po porwaniu, była ogromnie wyczerpująca. I jeszcze nie przyszedł do siebie po urazach odniesionych po spotkaniu z Jagangiem. Strażnicy pozwolili rodzicom robić, co chcieli, żeby skłonić Zedda i Adie do ustąpienia, lecz mieli nie dopuścić, by zrozpaczeni rodzice zabili tak cennych więźniów. Rodzice wiedzieli, że nie wolno im ich uśmiercić, ale Zedd rozumiał, że w rozpacz i

zacierzewieniu łatwo zapomnieć o takich zakazach. Bardzo chciał, żeby go zabili i w ten sposób położyli kres temu wszystkiemu. Jednak imperatorowi byli potrzebni żywi, więc strażnicy bacznie ich pilnowali.

Po pierwszych kilku godzinach słuchania przeraźliwych wrzasków torturowanych dzieci, spędzonych w towarzystwie rodziców, którzy dość brutalnie domagali się, żeby powiedział imperatorowi to, co ten chciał wiedzieć, Zedd ustąpił - nie tyle dla dobra rodziców, ile po to, żeby ci okrutnicy zostawili dzieci w spokoju. Doszedł do wniosku, że właściwie nie ma nic do stracenia, idąc na taką współpracę. Dzięki temu na razie przestali torturować dzieci. Wieża była ogromna, a oni przywieźli zaledwie maleńką część zgromadzonych w niej rzeczy. Czarodziej uznał, że na tych wozach prawdopodobnie nie ma nic takiego, co by się naprawdę Jagangowi przydało. A skatalogowanie wszystkiego pochłonie sporo czasu - mogą upłynąć tygodnie, zanim dotrą do ostatniego ukradzionego przedmiotu. Nie było po co skazywać dzieciaków na takie męki, skoro we wszystkich tych skrzyniach mogło nie być żadnej cennej dla imperatora rzeczy.

Pewnego razu, kiedy na chwilę zostali sami, bo Siostra poszła sprawdzić, jak przebiegają przygotowania w kolejnym namiocie, Adie spytała go, co zrobi, jeżeli pokażą mu coś, co mogłoby pomóc Jagangowi zwyciężyć. Zedd nie zdążył odpowiedzieć - zjawili się żołnierze i zaprowadzili ich do czekającej w sąsiednim namiocie Siostry.

Miał nadzieję, że zdoła to jak najdłużej ciągnąć. Nie brał pod uwagę tego, że będą ich dręczyć dniami i nocami.

Wypakowanie i przygotowanie kolejnego skarbu zabierało niekiedy Siostróm trochę czasu. Co całkiem zrozumiałe, były bardzo ostrożne i unikały ryzyka. Tym dziwnym ludzióm bez iskiejki daru, którzy im pomagali, na pewno nic by się nie stało, gdyby przypadkiem uruchomiono jakieś zaklęcie, ale wszyscy inni z całą pewnością by ucierpieli. I chociaż pracowano szczególnie uważnie, trudziło się przy tym tylu ludzi, że Zedd i Adie od bardzo dawna nie spali.

Czarodziej z trudem trzymał się na nogach, kiedy wraz z Adie wleczono go przez obóz do następnego namiotu. Widok dawno zagubionej piłki córeczki odebrał mu resztki sił. Jeszcze nigdy nie czuł się taki stary i słaby. Bał się, że słabnie w nim woła wytrwania.

Nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła pozostać przy zdrowych zmysłach.

A tak naprawdę, wcale nie był pewien, czy nadal jest zdrowy na umyśle. Świat zwariował. Czasami wszystko zdawało się takie nierealne. To, co Zedd wiedział i czego nie wiedział, niekiedy splatało się w jedno.

Kiedy go tak wleczono przez ciemny obóz, w parną noc, zaczął sobie wyobrazać, że widzi obrazy - przeważnie ludzi - z przeszłości. Zaczął wątpić, czy naprawdę widział tę piłkę. Zastanawiał się, czy i ją sobie wyobraził, tak jak to, co właśnie dostrzegał. Może to była zwyczajna piłka, a on tylko sobie pomyślał, że to ta sama, którą zgubiła jego córeczka? Wyobraził sobie te pokrywające ją zygzaki? Zaczął we wszystko wątpić.

Patrząc na ludzi w zatłoczonym obozie, myślał, że widzi swą od dawna nieżyjącą żonę Erilyn - jej twarz miały kobiety trzymane w pobliżu pod strażą. Były matkami, a ich najgorsze koszmary staną się rzeczywistością, jeżeli Zedd nie będzie współpracował. Powiódł wzrokiem po dzieciach kurczowo trzymających się spódnic matki lub nóg ojca. Patrzyły na niego, na jego rozwichrzone siwe włosy i pewnie myślały, że to jakiś wariat. Może i był szalony.

Pochodnie oświetlały rozległy obóz chwiejnym blaskiem, w którym wszystko stawało się nierzeczywiste. Ogniska, płonące jak daleko sięgał wzrokiem, wyglądały niczym opadłe na ziemię gwiazdy, jakby świat stanął na głowie.

- Zaczekajcie - powiedziała Siostra strażnikom.

Zniknęła w namiocie, a Zedda energicznie zatrzymano. Adie krzyknęła, bo strażnik wykręcił jej ramię, zatrzymując w miejscu i ją.

Zedd chwiał się na nogach i ciekaw był, czy zemdleje. Cały obóz rozmazywał mu się przed oczami.

Spojrzał na jedną z dziewczynek trzymanych po drugiej stronie przejścia i zapatrzył się na nią ze zdumieniem, bo wydało mu się, że ją rozpoznaje. Popatrzył na trzymającego ją doborowego gwardzistę imperatora. Zamrugał ledwie widzącymi oczami. Żołnierz - w skórze i kolczudze, z pasem obwieszonym bronią - wyglądał jak ktoś, kogo Zedd znał. Czarodziej odwrócił głowę i zobaczył idącą wśród pobliskich namiotów Siostrę, która również wyglądała znajomo. Rozejrzał się po żołnierzach spieszących w swoich sprawach. Doborowi gwardziści strzegący imperatorskiego sektora wyglądali jak ludzie, których znał.

I wtedy naprawdę się przestraszył. Był przekonany, że traci rozum.

Przecież nie mógł widzieć tych ludzi, których - jak mu się zdawało - zobaczył.

Jedynie rozum był dla niego cenny, tylko to mu pozostało. Nie chciał być bełkocącym starcem, który zebrze na poboczu dróg.

Wiedział, że ludzie niekiedy tracili rozum, gdy się starzeli lub cierpieli ponad miarę. Znał ludzi, którzy nie wytrzymali, stracili zmysły i widzieli to, czego w ich pobliżu wcale nie było. A teraz spotykało to i jego. Widział ludzi ze swojej przeszłości, których tu wcale nie było. To pewny znak choroby umysłu - widzieć, jak ożywa przeszłość, myśleć, że znów jest się z utraconymi bliskimi.

Umysł był najcenniejszy z tego, co do Zedda należało.

A teraz i to tracił.

Tracił rozum.

ROZDZIAŁ 50

Nicholas usłyszał jakiś irytujący hałas w tamtym miejscu.

Coś się zmieniło tam, gdzie czekało jego ciało.

Zignorował to, obserwując, jak uciekają w tył ulice, budynki. Słońce dopiero co zaszło. Mijali go ludzie, nieufni ludzie. Barwa. Dźwięk. Ruch.

To było jakieś obskurne miejsce, ciasno stłoczone budynki. Obserwuj, obserwuj. Uliczki były wąskie i ciemne. Obcy się gapili. Ulica cuchnęła. Żaden z budynków nie miał więcej niż jedno piętro, tego był pewien. A większość była jeszcze niższa.

Znów jakiś hałas z pomieszczenia, w którym czekało jego ciało. Głośny, domagający się uwagi.

Zignorował to odległe łup, łup, łup i obserwował, starając się wypatrzeć, dokąd idą. Co to? Obserwuj, obserwuj, obserwuj. Pomyślał, że wie, ale nie był pewien. Patrz, patrz. Chciał mieć pewność. Chciał obserwować.

Tak go radowało przyglądanie się.

Znowu hałas. Wstrętny, natarczywy łomot.

Nicholas poczuł wokół siebie ciało, kiedy gwałtownie wrócił tam, gdzie czekało, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na drewnianej podłodze. Otworzył oczy i zamrugął, starając się dostrzec coś w mrocznym pomieszczeniu. Gasnące światło, przesączające się obrzeżami zamkniętych okiennic, słabiutko rozjaśniało panujący tu mrok.

Wstał i przez chwilę jeszcze chwiał się na nogach - nie przywykł do osobliwego odczucia wywołanego powrotem do własnego ciała. Ruszył przez pomieszczenie, patrząc w dół. Obserwował, jak unosi najpierw jedną, a potem drugą stopę, kolejno przenosząc na nie ciężar ciała. Ostatnio zniknął na tak długo, nocami i dniami, że nie był przyzwyczajony do samodzielnego wykonywania takich ruchów. Tak często bywał w innym miejscu, w innym ciele, że miał trudności z dostrojeniem się do własnego.

Ktoś walił w drzwi i z wrzaskiem domagał się, żeby Nicholas je otworzył. Slide wściekł się na nieproszonego gościa, na tak grubiańskie najście.

Niezdarnie podrygując, szedł ku drzwiom. We własnym ciele czuł się jak w klatce. Tak dziwnie się poruszało. Poruszył ramionami, powściągając chęć pochylenia się do przodu. Naciągnął szyję, skręcił ją w jedną, a potem w

drugą stronę.

Uciążliwie było poruszać własnym ciałem, korzystać z własnych mięśni, samemu oddychać, własnymi zmysłami widzieć, słyszeć, wąchać i czuć.

Ciężki rygiel nie pozwalał wejść tu żadnym intruzom, kiedy Nicholas był gdzie indziej. Lepiej, żeby się nikt nie dobrał do jego ciała, kiedy on sam akurat z niego nie korzystał. Z całą pewnością lepiej.

Ktoś walił w drzwi, ryczał jego imię i domagał się, żeby Nicholas go wpuścił. Slide odsunął ciężki rygiel. Otworzył masywne drzwi.

Tuż za nimi stał w korytarzu młody żołnierz. Zwyczajny, niechlujny żołnierz. Nikt.

Nicholas z wściekłością i zdumieniem wpatrywał się w tego nic nie znaczącego mężczyznę, który ot tak sobie wszedł po schodach wiodących do zakazanej komnaty i zaczął uderzać w jej drzwi, choć wszyscy wiedzieli, że jest zakazana. Gdzież się podziewał ten złamany nos Najariego akurat wtedy, gdy był potrzebny? Dlaczego nikt nie pilnował drzwi?

Z grzbietu okrwawionej dłoni, którą żołnierz bił w drzwi, sterczała złamana kość.

Nicholas wyciągnął szyję, zerknął za żołnierza w słabo oświetlony korytarz i zobaczył ciała strażników leżące w kałużach krwi.

Przesunął paznokciami po włosach i zadrżał z rozkoszy, czując pod dłonią jedwabistą gładź olejków. Zakołysał ramionami upojony tym doznaniem.

Potem wbił wzrok w patrzącego nań wielkimi oczami zwyczajnego żołnierza, którego miał zamiar zabić. Żołnierza ubranego - jak wielu innych żołnierzy Imperialnego Ładu, a przynajmniej tych lepiej wyekwipowanych - w skórzany napierśnik, ochronny kolczy rękaw na prawym ramieniu, liczne rzemienie i pasy, przy których wisiał najrozmaitszy oręż: krótki miecz, maczuga z nabijaną ostrymi ćwiekami głową, noże. Wszystko wyglądało bardzo groźnie, lecz twarz mężczyzny zdradzała przerażenie.

Nicholas przez chwilę głowił się, co też taki nic nie znaczący żołnierz mógł mieć do powiedzenia, by z tego powodu narażać życie.

- O co chodzi, ty nędzny głupku?

Tamten uniósł ramię, potem dłoń, a wreszcie jeden palec, co przypominało Nicholasowi marionetkę wprawianą w ruch pociąganiem za kolejne sznurki. Palec przechylił się w jedną stronę, potem w drugą, potem

znów w przeciwną, jakby ktoś kiwał nim z przyganą.

- No, no, no. - Palec znów przechylił się w obie strony. - Bądź uprzejmy. Bądź nad wyraz uprzejmy.

Żołnierz, wytrzeszczając oczy, wydawał się zdumiony tymi wyniosłymi słowami. Głos był zbyt niski, zbyt dojrzały jak na takiego młodego człowieka.

I pobrzmiwała w nim niezawołowana groźba.

- Co to ma znaczyć? - Nicholas popatrzył z dezaprobatą na żołnierza. - O co chodzi?

Tamten ruszył w głąb komnaty, bardzo dziwnie, sztywno przesuwając nogi. Czarodziej pomyślał, że sam musi tak wyglądać, kiedy porusza nogami po długiej nieobecności we własnym ciele. Odsunął się na bok, kiedy żołdak szedł sztywno na środek komnaty. Zatrzymał się tam i odwrócił. Z dłoni, którą walił w drzwi, kapłała krew, lecz on - z oczami nadal szeroko rozwartymi ze strachu - zdawał się nie zauważać bolesnych ran.

Za to w jego głosie na pewno nie było strachu.

- Gdzie oni są, Nicholasie?

Slide podszedł do niego, przekrzywił głowę.

- Oni?

- Obiecałeś mi ich, Nicholasie. Nie lubię, kiedy ludzie nie dotrzymują słowa. Gdzie oni są?

Czarodziej jeszcze bardziej zmarszczył brwi, nachylił się ku niemu.

- Kto?

- Richard Rahl i Matka Spowiedniczka! - zagrział wściekle żołnierz.

Nicholas cofnął się o parę kroków. Teraz rozumiał. Słyszał te opowieści, słyszał, że on potrafi coś takiego. Teraz widział to na własne oczy.

To był imperator Jagang, Nawiedzający Sny, we własnej osobie, a raczej w żołnierzu.

- Niezwykłe - rzekł przeciągle Nicholas. Podszedł do wojownika będącego kimś innym i postukał palcem w bok jego głowy. - Jesteś tam, Ekscelencjo? - Znów postukał w skroń żołnierza. - Czy to ty, Ekscelencjo? To ty, nieprawdaż?

- Gdzie oni są, Nicholasie? - Pytania zadanego tak groźnym głosem Slide jeszcze nie słyszał.

- Obiecałem, że ich dostaniesz, i dostaniesz.

- Sądzę, że mnie okłamujesz, Nicholasie - warknął głos. - Że wcale ich nie

masz, choć to obiecywałeś.

Czarodziej niedbale poruszył dłonią, odszedł parę kroków.

- A fe. Wodzę ich na pasku.

- Jestem innego zdania. Mam powody wierzyć, że wcale ich tu nie ma. Mam podstawy przypuszczać, że Matka Spowiedniczka jest daleko na północy, przy swojej armii.

Nicholas zmarszczył brwi, podszedł do mężczyzny, nachylił się ku niemu i zajrzał mu w oczy.

- Całkiem ci odbija, kiedy tak jak teraz pakujesz się do cudzego umysłu?

- Czy to znaczy, że temu zaprzeczasz?

Nicholas zaczynał tracić cierpliwość.

- Właśnie ich obserwowałem, kiedyś się tu napatoczył i przeszkodził mi. Oboje tam byli, lord Rahl i Matka Spowiedniczka.

- Na pewno? - spytał dobiegający z ust młodego żołnierza niski, chropawy głos.

Czarodziej wsparł się pięściami pod boki.

- Przepytyujesz mnie?! Jak śmiesz! Jestem Nicholas Slide. I nikt nie będzie mnie wypytywał!

Żołnierz groźnie postąpił krok do przodu.

Nicholas nie cofnął się, za to ostrzegawczo uniósł palec.

- Jeżeli chcesz ich dostać, to lepiej bądź bardzo ostrożny.

Żołnierz patrzył wielkimi oczami, lecz złodziej dusz dostrzegał w nich coś poza strachem: groźbę.

- Mów więc, zanim stracę cierpliwość.

Nicholas z irytacją wykrzywił usta.

- Ktokolwiek powiedział ci, że są na północy, że Matka Spowiedniczka jest przy armii, albo nie wiedział, co mówi, albo cię okłamał. Nie spuszczam z nich oka.

- I ostatnio ich widziałeś?

W komnacie było coraz ciemniej. Slide wyciągnął rękę ku stołowi, wysłał iskierkę daru ku stojącym tam trzem świecom i zapalił je.

- Przecież już mówiłem, że właśnie ich obserwowałem. Są w pobliskiej miejscinie. Wkrótce przyjdą tutaj, do mnie, a wtedy ich dopadnę. Nie będziesz na to długo czekać.

- Dlaczego sądzisz, że idą do ciebie?

- Wiem o wszystkim, co robią. - Nicholas uniósł ręce, rękawy czarnej szaty zsunęły się aż do łokci. Gestykulował energicznie, chodząc wokół tamtego i mówiąc o tym, o czym on jeden wiedział. - Obserwuję ich. Widziałem, jak leżą razem nocą, a Matka Spowiedniczka czule obejmuje męża, tuli do ramienia jego głowę, pociesza go w straszliwym cierpieniu. Prawdę mówiąc, to ogromnie wzruszające.

- Jego cierpienie?

- Tak, jego cierpienie. Teraz są w Northwick, mieścinie leżącej trochę na północ od nas. Kiedy tam skończą, a przeżyją, ruszą do tego miasta, do mnie.

Tkwiący w żołnierzu Jagang popatrzył wokół, przyjrzał się leżącym pod ścianą świeżym jeszcze nieboszczykom. Znow popatrzył na Nicholasa.

- Pytałem, dlaczego tak sądzisz.

Slide obejrzał się przez ramię i spojrzął znacząco na imperatora.

- Bo te tutejsze głupki, te Filary Świata, które tak cię fascynują, otruły biednego lorda Rahla. Zrobili to, żeby sobie zapewnić jego pomoc w przepędzeniu nas.

- Otruli go? Jesteś tego pewien?

Nicholas uśmiechnął się, usłyszawszy w głosie Jaganga nutkę zaciekawienia.

- O tak, zupełnie pewien. Biedaczysko okropnie cierpi. Potrzebna mu odtrutka.

- No to zrobi co trzeba, żeby ją zdobyć. Richard Rahl to nadzwyczaj zaradny człowiek.

Nicholas oparł się pośladkami o stół, skrzyżował ramiona.

- Może być pomysłowy i zaradny, ale teraz jest w poważnych opałach. Potrzebne mu dwie kolejne dawki odtrutki. Druga jest w Northwick. To dlatego się tam znalazł.

- Zdziwiłoby cię, czego potrafi dokonać ten człowiek. - Nie można było nie zauważyć nutek gniewu w głosie imperatora. - Okazałbyś się głupcem, Nicholasiu, nie doceniając go.

- Ależ ja zawsze wszystkich doceniam, Ekscelencjo. - Nicholas uśmiechnął się znacząco do Jaganga patrzącego nań oczami innego człowieka. - Jestem raczej pewien, że Richard Rahl zdobędzie w Northwick odtrutkę. Prawdę mówiąc, liczę na to. Przekonamy się. Obserwowałem go, kiedy się zjawiłeś, przyglądałem się, co się wydarzy. Spaprałeś to. Ale jeżeli

nawet zdobędzie w Northwick odtrutkę, to i tak będzie potrzebować ostatniej dawki. Sama odtrutka z Northwick nie uratuje mu życia.

- A gdzie jest ta ostatnia dawka?

Slide sięgnął do kieszeni i pokazał imperatorowi niewielką kanciastą buteleczkę, uśmiechając się przy tym z zadowoleniem.

- Ja ją mam.

Żołnierz, w którym tkwił Jagang, też się uśmiechnął.

- Może się zjawić, żeby ci ją odebrać, Nicholasie. Ale prędzej skłoni kogoś, żeby mu sporządził więcej odtrutki, by nie musiał się kłopotać przychodzeniem tutaj.

- Oooo, nie sądzę. Bo widzisz, Ekscelencjo, ja bardzo starannie wykonuję swoją robotę. Trucizna, którą lord Rahl połknął, jest bardzo złożoną mieszaniną, ale to i tak nic w porównaniu z odtrutką. Wiem o tym, ponieważ kazałem torturować ostatniego człowieka, który potrafił ją sporządzić, dopóki mi nie powiedział o niej wszystkiego, nie ujawnił wszystkich sekretów. Składa się na nią całe mnóstwo ingrediencji, których nawet sobie nie przypominam. Rzecz jasna, kazałem zabić tego człowieka. A potem uśmiercić też tego, który torturami wydobył z niego wyznanie, tę całą listę składników. Bo i po co pomysłowy, zaradny Richard Rahl miałby któregoś odnaleźć i wydobyć zeń, z czego się składa odtrutka? Sam widzisz, Ekscelencjo, że nie został już nikt, kto by mógł sporządzić lordowi Rahlowi większą porcję odtrutki. - Trzymał buteleczkę za szyjkę i kołysał nią przed żołnierzem. - To ostatnia dawka. Ostatnia szansa lorda Rahla na uratowanie życia.

Jagang, poprzez oczy młodego żołnierza, obserwował buteleczkę, którą kołysał przed nim Nicholas. Już nie okazywał złego humoru.

- Więc Richard Rahl się zjawi i ją zabierze.

Slide wyjął korek. Powąchał. Zawartość leciutko pachniała cynamonem.

- Tak myślisz, Ekscelencjo?

Z teatralną przesadą wylał płyn na podłogę. Imperator Jagang przyglądał się, a Nicholas potrząsnął buteleczką, upewniając się, że nie pozostała w niej ani kropelka.

- Jak sam widzisz, Ekscelencjo, wszystko mocno trzymam w garści. Richard Rahl już nie będzie sprawiał kłopotów. Wkrótce umrze od trucizny, o ile moim ludziom nie uda się wcześniej go dopaść. Tak czy owak, Richard

Rahl jest już trupem, jak sobie tego życzyłeś. - Skłonił się niczym po zakończeniu udanego występu przed pełną podziwu publicznością.

Żołnierz znów się uśmiechnął, tym razem z wymuszoną wyrozumiałością.

- A co z Matką Spowiedniczką? - spytał imperator.

Nicholasowi nie umknęła powściągnięta wściekłość w głosie Jaganga. Nie spodobało mu się, że tamten nie podziwiał jego wspaniałych dokonań. W końcu imperator nie zdołał pojmać swojej upragnionej zdobyczy. Czarodziej uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Po mojemu, Ekscelencjo, to teraz, kiedy jak mówiłem, lord Rahl wkrótce dołączy w zaświatach do trzódki Opiekuna, nie mam żadnej gwarancji, że dotrzymasz swojej części umowy. Chciałbym z twojej strony jakiegoś zobowiązania, zanim oddam ci Matkę Spowiedniczkę.

- Skąd wiesz, że zdołasz ją pojmać?

- Mam to pod kontrolą. Jej charakter wyda ją w moje ręce.

- Jej charakter?

- Pozwól, że ja się o to zatroszczę, Ekscelencjo. Tobie niech wystarczy, że oddam ci Matkę Spowiedniczkę żywą, tak jak obiecałem. Lord Rahl miał być za darmo, taki podarek ode mnie, ale będziesz musiał zapłacić, jeżeli chcesz dostać swój upragniony łup: Matkę Spowiedniczkę.

- Co za nią chcesz?

Nicholas obszedł stojącego na środku komnaty żołnierza. Pustą buteleczką po antidotum wskazał to, co ich otaczało.

- Według mnie nie tak należy żyć, skoro już żyć trzeba.

- Więc chciałbyś bogactw w zamian za spełnienie obowiązku wobec Stwórcy, wobec Imperialnego Ładu i wobec twojego imperatora.

Zdaniem czarodzieja, tej nocy w lasach, z Siostrami, znacznie wykroczył poza swój obowiązek. Ale nie powiedział tego, a tylko wzruszył ramionami.

- Zostawię ci resztę świata, o który tak zażarcie walczyłeś. Chcę tylko D'Hary.

- Chcesz władać D'Harą?

Nicholas skłonił się z przesadną uniżonością.

- Rzecz jasna pod twoim zwierzchnictwem, Ekscelencjo. - Wyprostował się. - Będę rządził jak ty, strachem i przemocą, wymagając poświęcania się dla większego dobra rodzaju ludzkiego.

Nawiedzający Sny patrzył nań oczami przerażonego żołnierza. Znowu pojawiły się w nich groźne błyski.

- Ryzykownie zagrywasz, Slide, stawiając takie żądania. Pewnie niewiele cenisz własne życie.

Uśmiech Nicholasa sygnalizował, że znudziły mu się zarty.

- Nienawidź życia, żyj dla nienawiści.

Uśmiech imperatora powrócił wreszcie na usta żołnierza.

- Chcesz więc D'Hary? Zgoda. Kiedy lord Rahl umrze, a ja dostanę żywą Matkę Spowiedniczkę, D'Hara będzie twoja i będziesz nią rządził, jak ci się spodoba... dopóki pozostaniesz wierny Imperialnemu Ładowi.

Nicholas obdarzył Jaganga uprzejmiejszym uśmiechem i skłonił głowę.

- Ależ oczywiście.

- Więc gdy Richard Rahl umrze i dostanę Matkę Spowiedniczkę, zostaniesz ogłoszony imperatorem Nicholasem D'Hary.

- Jesteś mądrym imperatorem.

To ten człowiek zdecydował o losie Nicholasa. To on wysłał Siostry, żeby użyły swoich straszliwych umiejętności i poddając go przeraźliwej męce, zniszczyły Nicholasa, jakim był wcześniej, a stworzyły nowego. Nakazali, że ma się poświęcić dla ich sprawy. Nicholas nie miał tu nic do gadania. Teraz w końcu otrzyma nagrodę za łatwe rozprawienie się z pomniejszych wrogami Ładu. Dostanie bogactwa i władzę, których nawet nie śmiał sobie wyobrazić przed swoimi powtórnymi narodzinami. Zniszczyli go, lecz zarazem stworzyli na nowo, i to potężniejszego niż kiedykolwiek.

Już niewiele dzieliło go od zostania imperatorem Nicholasem.

Przebył ciężką drogę.

Nicholas, kierowany gniewnym pragnieniem i nienawiścią, wyrzucił przed siebie rękę i sięgnął własnym umysłem, niczym rozpalonym sztyletem, w umysł stojącego przed nim żołnierza - w szczeliny pomiędzy myślami, w samo jądro jego duszy.

Chciał poczuć lepki żar tamtego ducha wślizgujący się w jego ducha, porwanie go, kiedy Jagang nadal był w umyśle mężczyzny.

Ale tam już nic nie było.

W tym samym ułamku czasu Jagang zdążył się wymknąć.

Żołnierz runął na podłogę martwy.

Nicholas - imperator Nicholas - uśmiechnął się, rad z właśnie

rozpoczętej gry. Zaczynał się zastanawiać, czy aby nie wyznaczył zbyt niskiej ceny.

ROZDZIAŁ 51

Gdy szli ulicą, Kahlan popatrywała na małe okienka w domach, które mijali. Zapadał zmierzch, więc wątpiła, czy wyglądające z okienek twarze wyraźnie widzą przechodniów, ale na wszelki wypadek bardziej nasunęła kaptur na czoło.

Z opowieści ludzi Owena wynikało, że niezbyt bezpiecznie było być kobietą w Bandakarze, więc Kahlan, Jennsen i Cara chodziły w kapturach, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Kahlan wiedziała, że ludzie w obawie o swoje życie próbowali czasami odwrócić od siebie uwagę, wystawiając wilkom kogoś innego. Wiedziała również, że żyli tutaj zgorzknialcy oddani chorobliwym ideałom nieustannych ustępstw, żeby utrzymać stan zwany przez nich pokojem.

Richard zwolnił i sprawdził zaułek. Jedną dłoń zaciskał na przedzie swojej zwykłej czarnej peleryny, żeby w razie potrzeby błyskawicznie ją rozchylić i dobyć miecza.

Ich ludzie szli w rozsypce, żeby nie tworzyć kroczącego przez Northwick tłumu. Każdy tłum - z wyjątkiem tych na rynkach - natychmiast przyciągnąłby uwagę i doniesiono by o nim żołnierzom Imperialnego Ładu. Postarali się wejść do miasteczka, kiedy mrok był już na tyle gęsty, żeby ich lepiej skryć, ale nie tak późno, żeby ich obecność na ulicach wzbudziła podejrzenia.

- Tam - odezwał się Owen, kiedy dotarli do rogu, i lekko przechylił głowę w prawo. - Tą uliczką.

Richard obejrzał się przez ramię, by się upewnić, czy nikogo nie brakuje, a potem skręcił w wąską uliczkę. Domy w miasteczku były przeważnie parterowe, ale teraz wchodzili w dzielnicę, w której część miała i piętro, zazwyczaj o parę stóp wystające nad uliczkę. Kahlan nie zauważyła nic wyższego od tych przysadzistych piętrowych budynków.

Miejsce, w którym się właśnie znaleźli, cuchnęło ściekami z płytkiego rynsztoka. Brudne ulice Northwick bez przerwy przyprawiały Kahlan o kaszel. Pomyślała, że w czasie deszczu to wszystko zmienia się w bagno i cuchnie jeszcze gorzej. Widziała, z jakim trudem Richard powstrzymuje się od kasłania. Nie zawsze mu się udawało. Ale przynajmniej nie kaszłał wtedy

krwią.

Trzymali się cienia pod wysterczami i okapami. Kahlan znalazła się bliżej niego. Jennsen szła tuż za nią. Anson badał drogę przed nimi, sprawiając wrażenie, jakby szedł zupełnie sam.

Richard znów spojrzał na niebo. Było puste. Od kiedy zaczęli wchodzić przełęczą ku Bandakarowi, nie widzieli żadnych czarnosternych chyżolotów. Kahlan i Cara cieszyły się, że nie widać tych wielkich ptaszysk. Za to Richarda tak niepokoił ich brak jak przedtem obecność.

Mord-Sith trzymała się trochę z tyłu, z sześcioma mężczyznami. Tom i kilku innych szli równoległą ulicą. Pozostali, wiedząc, dokąd idą, kroczyli przez miasto inną drogą. Było ich niespełna pięćdziesięcioro, lecz i taka grupa mogłaby przyciągnąć uwagę, no i kłopoty.

Kłopoty nie były im teraz potrzebne. Chcieli antidotum.

- Gdzie jest centrum? - spytała Kahlan Owena, kiedy znalazła się na tyle blisko, żeby usłyszał szept.

Owen wskazał ulicę, na której byli.

- Właśnie tutaj. W tych sklepach odbywa się poważniejszy handel, tu przychodzą ludzie. A na odkrytych placach ludzie czasem urządzą targ.

Spowiedniczka zauważyła sklep z wyrobami skórzanymi, piekarnię, sklep z materiałami, ale żadnych bardziej skomplikowanych wyrobów.

- To centrum waszego wielkiego miasta? Te belkowane budynki z mieszkaniem nad sklepami? To wasze główne centrum handlowe?

- Tak - odparł Owen, na poły dumny, na poły zaintrygowany.

Kahlan westchnęła, lecz powstrzymała się od komentarzy. Za to Richard nie.

- To są efekty waszej wysoko rozwiniętej kultury? - Szerokim gestem wskazał nędzne domki z plecionki i gliny. - Przez blisko trzy tysiące lat wasza wielka kultura tyle tylko osiągnęła? Tyle się wam udało zbudować?

Owen się uśmiechnął.

- Tak. Wspaniałe, nieprawdaż?

Zamiast odpowiedzieć, Richard rzekł:

- Myślałem, że byłeś w Altur'Rang.

- Byłem.

- Nawet tamto obskurne miasto jest bardziej okazałe niż Northwick.

- Naprawdę? Żałuję, lordzie Rahlu, ale nie widziałem zbyt wiele w

Altur'Rang. Bałem się zapuszczać głębiej w takie miasto, a i nie zostałem tam długo. - Owen obejrzał się na Kahlan. - Chcesz powiedzieć, że miasto, z którego pochodzisz, jest jeszcze wspanialsze niż to?

Kahlan aż zamrugła. Jak mogłaby wyjaśnić człowiekowi, który domki z plecionki i gliny uważał za przykłady wysublimowanej kultury, jak wyglądają Aydindril, Wieża Czarodzieja, Pałac Spowiedniczek, pałace przy Kings Row, Pałac Ludu, wytwory z marmuru i granitu, olbrzymie kolumny, wspaniałe dzieła sztuki oraz setki innych miejsc i widoków? Uznała, że teraz nie ma czasu na takie próby.

- Mam nadzieję, Owene, że kiedy uwolnimy się od Imperialnego Ładu, wspólnie z Richardem pokazemy tobie i twoim ziomkom świat poza Bandakarem, inne centra handlu i sztuki, to, czego ludzie gdzie indziej dokonali.

Owen się uśmiechnął.

- Chętnie, Matko Spowiedniczko. Bardzo bym tego chciał. - Zatrzymał się nagle. - O, to tutaj.

Sięgająca głowy drewniana brama, brązowawo-srebrna od lat niepogody, przegradzała boczną uliczkę. Richard spojrział w obie strony, sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje. Poza ich ludźmi nikogo tu nie było. Nie spuszczać oka z ulicy, popchnął bramę i uchylił ją na tyle, żeby Owen mógł się za nią wśliznąć.

Po chwili Bandakarczyk wystawił głowę.

- Chodźcie, pusto.

Richard dał znak ludziom za rogiem. Otoczył ramieniem talię Kahlan i przecisnęli się razem w zaułek.

Budynki po obu stronach wąskiego, zakurzonego zaułka nie miały okien. Niektóre z tych ciasno pobudowanych domów nie sięgały aż do uliczki, więc miały na tyłach małe podwórka. Kiedy ostrożnie szli zaułkiem, przez bramę wcisnęli się ich ludzie. Na jednym z podwórek siedzieli w klatce kury - zatrzepotały skrzydłami wystraszone tak blisko idącymi ludźmi.

Jennsen ciągnęła Betty na postronku, dbając, żeby kózka była tuż przy niej i nie narobiła zamieszania. Betty zachowywała się cichutko, wyraźnie zaniepokojona obcym miastem. Nawet nie machała ogonkiem, szukając wzrokiem pociechy u Richarda, Kahlan i Jennsen, kiedy coraz głębiej wchodziła w gmatwaninę budynków.

U krańca zaułka pojawił się Tom, prowadząc kolejną grupę ich ludzi. Richard dał im znak, żeby się rozproszyli i tam na nich zaczekali.

Podeszła do nich Cara, tak samo zakapturzona jak Kahlan i Jennsen.

- Nie podoba mi się to.

- To dobrze - szepnął Richard.

- Dobrze? - spytała Mord-Sith. - Uważasz, że to dobrze, że to miejsce mi się nie podoba?

- Tak - odparł chłopak. - Gdybyś zawsze była szczęśliwa i zadowolona, tobym się martwił.

Cara wykrzywiła wargi, zachowując odpowiedź dla siebie.

- Tutaj - odezwał się Owen, łapiąc Richarda za ramię, żeby go zatrzymać.

Richard spojrział tam, gdzie Bandakarczyk wskazywał, a potem zagapił się na niego.

- To jest pałac???

Owen przytaknął.

- Jeden z nich. Mamy kilka pałaców. Mówiłem ci, że nasza kultura jest bardzo zaawansowana.

Richard spojrział z ukosa na Kahlan, ale nic nie powiedział. W słabym świetle Kahlan dostrzegła, że podwórzec jest z wysuszonej na pył ziemi, na której tu i ówdzie rosną kępki trawy. Drewniane schody przy tylnej ścianie budynku wiodły na niewielki balkon z drzwiami na drugie piętro. Kiedy przeszli przez furtkę, zobaczyła, że druga część schodów prowadzi w dół. Owen się rozejrzał i nachylił ku nim.

- Są na dole. To tam ukrywają mentora.

Richard obejrzał zaułek i okoliczne budynki. Potarł palcami czoło.

- I tam jest antidotum?

Owen potaknął.

- Chcesz, żebym tam poszedł, a ty zaczekasz?

Richard pokręcił głową.

- Pójdziemy z tobą.

Kahlan trzymała go pod ramię, załując, że nie może nic więcej zrobić, aby przynieść mu ulgę w cierpieniu. Najlepiej było dotrzeć wreszcie do antidotum. Im szybciej uwolnią go od trucizny, tym szybciej rozwiąże sprawę migren zsyłanych przez dar.

Część ich ludzi czekała w pobliżu. Widziała w ich oczach lęk wywołany

tym, że znów znaleźli się w mieście kontrolowanym przez Imperialny Ład. Nie wiedziała, jak mają z Richardem pomóc im uwolnić się od tych oddziałów, ale zamierzała coś wymyślić. Gdyby nie jej desperacki czyn, chociaż przecież absolutnie mimowolny, ci ludzie nie cierpieliby i nie ginęli z rąk żołnierzy Ładu.

Ostatni szarawy blask zmierzchu sprawiał, że oczy Richarda wyglądały jak ze stali. Przyciągnął do siebie Jennsen.

- Ty i Tom zostańcie tutaj z Betty i czuwajcie. Skryjcie się pod schodami i balkonem. Daj nam znać, jeżeli dostrzeżecie jakichś żołnierzy.

Jennsen skinęła głową na zgodę.

- Pozwolę Betty skubać trawę. To będzie zwyczajniej wyglądało, gdyby się pojawił jakiś patrol.

- Ale nie trzymaj się na widoku. Jeżeli żołnierze zobaczą taką młodą kobietę, to cię porwą.

- Zadbam o to, żeby nikt jej nie zauważył - odezwał się Tom, wchodząc na podwórzec. Wskazał kciukiem za ramię. - Kazałem im się tak rozproszyć, żeby się nie rzucali w oczy.

Kahlan z Carą poszły za Richardem i Owenem ku tyłowi budynku. Owen przystanął przy schodach wiodących w dół, a Richard podszedł ku drzwiom prowadzącym do wnętrza.

- Tędy, lordzie Rahlu.

- Wiem. Poczekaj, aż sprawdzę, czy tam nikogo nie ma.

- Tam są tylko puste pokoje, w których się czasami spotykają ludzie.

- I tak wolę sprawdzić. Caro, zaczekaj tu z Kahlan.

Kahlan poszła za Richardem ku drzwiom pod balkonem.

- Idę z tobą.

Mord-Sith była tuż za nią.

- Jeżeli chcesz sprawdzić korytarz - oznajmiła - możesz to zrobić z nami.

Spojrzał Kahlan w oczy i nie spierał się z nią. Popatrzył na Carę i powiedział:

- Czasami...

Uśmiechnęła się do niego wyzywająco.

- Nie wiedziałbyś, co beze mnie robić - dokończyła.

Kiedy się odwracał ku drzwiom, Kahlan dostrzegła, że nie zdołał powściągnąć uśmiechu. Uśmiech Richarda dodał jej otuchy, a potem nagle

zrobiło jej się żal Cary, bo wiedziała, jak Mord-Sith musi tęsknić za generałem Meiffertem, będącym z armią daleko na północy D'Hary. Nieczęsto się zdarzało, żeby Mord-Sith pokochała kogoś tak jak Cara Benjamina. Cara jednak zachowała to dla siebie, na pierwszym miejscu stawiając ochronę Richarda i Kahlan. Gdy były z armią, Kahlan awansowała ówczesnego kapitana na generała - stało się to po bitwie, w której stracili wielu oficerów. Kapitan Meiffert stanął na wysokości zadania. Od tamtej pory trzymał wojsko razem. Miała do niego pełne zaufanie, no i oczywiście - podobnie jak musiała to robić Cara - lękała się o niego. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś zobaczą młodego generała.

Richard odrobinę uchylił drzwi i zerknął w ciemny korytarz. Był pusty. Cara, z Agielem w dłoni, odepchnęła go i weszła pierwsza, chcąc się upewnić, że jest bezpiecznie. Kahlan wkroczyła za Richardem. Po obu stronach korytarza były dwie pary drzwi. W jego przeciwległym końcu - drzwi z małym okienkiem.

- Co jest za nimi? - szepnęła, kiedy Richard wyjrzał przez okno.

- Ulica. Widzę paru naszych ludzi.

Gdy wracali, Richard sprawdził pokoje po jednej stronie korytarza, a Cara po drugiej. Były zupełnie puste, tak jak powiedział Owen.

- To mogłaby być dobra kryjówka dla naszych ludzi - stwierdziła Cara.

Chłopak przytaknął.

- I ja tak myślę. Robilibyśmy stąd wypady, ukrywając się wśród nich, zamiast ryzykować, że nas wypatrzą, jak będziemy podchodzić z zewnątrz.

Zanim dotarli do tylnych drzwi, Richard nagle się potknął, uderzył barkiem o ścianę i osunął na kolano. Kahlan i Cara pochwyciły go, dzięki czemu nie poleciał na twarz.

- Co się stało? - szepnęła Mord-Sith.

Przez chwilę milczał, czekając, aż minie nagły atak bólu. Tak mocno zaciskał palce na ramieniu Kahlan, że aż łzy napłynęły jej z bólu do oczu, lecz milczała.

- Tylko... tylko mi się zakręciło w głowie. - Ciężko oddychał. - To pewnie przez tę ciemność.

Jego palce przestały miażdżyć ramię Kahlan.

- Drugie stadium - powiedziała. - Tak Owen to nazwał. Mówił, że w drugim stadium działania trucizny pojawiają się zawroty głowy.

Richard spojrzął na nią w mroku.

- Nic mi nie jest. Chodźmy po antidotum.

Owen - czekający w cieniu na schodach - ruszył w dół, kiedy do niego dotarli. U stóp schodów otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- Wciąż tutaj są - powiedział z ulgą. - Heroldowie dalej tu są, poznaję niektóre głosy. Mentor też nadal musi z nimi być. Nie przenieśli się do następnej kryjówki, czego się obawiałem.

Owen miał nadzieję, że wielcy heroldowie zgodzą się pomóc im wyzwolić ziomków spod jarzma Imperialnego Ładu. W przeszłości odmówili, więc Kahlan nie liczyła na to, że tym razem się zgodzą, ale Owen i jego ludzie też najpierw nie zgadzali się walczyć. Owen wierzył, że na skutek zaangażowania się jego ludzi oraz tego, co się wydarzyło w jego miasteczku, zgromadzenie heroldów dostrzeże, iż istnieje szansa odzyskania wolności, i będzie bardziej skłonne wysłuchać, co należy w tym celu zrobić. Wielu z towarzyszących im ludzi podzielało wiarę Owena, że pomoc jest w zasięgu ręki.

Dla Kahlan ważniejsze niż rozmowa z heroldami było to, że właśnie tutaj ukryto drugą buteleczkę antidotum. Przede wszystkim to się liczyło. Musieli zdobyć antidotum. Ilekroć pomyślała, że Richard może umrzeć, ugięła się pod nią kolana.

Znaleźli się w małym przedsionku i Owen poskrobał w drzwi.

Drzwi odrobinę się uchyliły, do przedsionka przedostało się światło świecy. Wyjrzał jakiś człowiek i wytrzeszczył oczy.

- Owen???

Kahlan nie sądziła, by zamierzał otworzyć drzwi. Zanim miał czas się nad tym zastanowić, Richard pchnął drzwi i wszedł do pokoju. Tamten pospiesznie usunął mu się z drogi.

- Pilnuj wejścia - polecił, przyciągając do siebie Carę. - Żeby nikt z nich nie wyszedł bez mojej zgody.

Mord-Sith skinęła głową i stanęła przed drzwiami.

- A cóż to ma znaczyć? - zapytał ów człowiek Owena, ze strachem zerkając na Richarda i Kahlan.

- To ogromnie ważne, wielki heroldzie, byśmy mogli pomówić z wami wszystkimi.

Całe pomieszczenie rzęsiście oświetlały świece. Na chodnikach siedziało

z tuzin lub więcej mężczyzn, popijając herbatę lub wspierając się o ułożone przy ścianach poduchy. Wszyscy nagle umilkli.

Kamienne ściany należały do fundamentów budynku. Przez środek obszernego pomieszczenia biegły dwa rzędy kamiennych filarów podpierających potężne belki wysoko nad głową Richarda. Nie było tu żadnych ozdób. Przypominało to piwnicę; ułożone na jednym jej krańcu chodniki i poduchy zapewniały trochę wygód zebranim tam mężczyznom. Na zwyczajnych drewnianych stołach stały świece.

Niektórzy z mężczyzn wstali.

- Owene - rzekł jeden z nich z solenną przyganą - zostałeś wygnany. Co ty tutaj robisz?

- Czcigodny heroldzie, dawno mamy za sobą nieistotną kwestię wygnania. - Owen wskazał swoich towarzyszy. - Oto moi przyjaciele spoza naszej krainy.

Kahlan złapała go za ramię, przyciągnęła ku sobie i szepnęła przez zaciśnięte zęby:

- Odtrutka!

Owen przepaszająco skinął głową. Mężczyźni, wszyscy w starszym wieku, przyglądali się z oburzeniem, jak podszedł do prawego narożnika w końcu piwnicy. Złapał kamień mniej więcej na wysokości piersi i poruszył nim w obie strony. Richard pomógł mu go obluźować. Kiedy wreszcie na tyle odciągnęli ciężki kamień, żeby móc go odchylić, Bandakarczyk sięgnął w szparę i wyjął buteleczkę. Nie tracąc czasu, podał ją Richardowi.

Gdy chłopak wyjął korek, Kahlan poczuła leciutki zapach cynamonu. Richard łyknął płyn.

- Musicie odejść - burknął jeden z mężczyzn. - Nie jesteście tu mile widziani.

Owen nie dał za wygraną.

- Musimy się zobaczyć z mentorem.

- Co takiego?!

- Żołnierze Ładu wtargnęli na nasze ziemie. Torturują i mordują naszych ziomków. Niektórych dokądś wywożą.

- Nic na to nie można poradzić - rzekł poczerwieniały na twarzy herold - Robimy, co musimy, żeby nasi ludzie ocalili życie. Robimy, co musimy, żeby uniknąć przemocy.

- My położyliśmy kres przemocy - powiedział Owen. - Przynajmniej w naszym miasteczku. Zabiliśmy wszystkich żołnierzy Ładu, którzy nas zastraszaali, którzy gwałcili i torturowali mieszkańców i którzy ich zabijali. Mieszkańcy naszego miasteczka są wolni, uwolnili się od żołnierzy Ładu. Musimy stawić opór i uwolnić resztę naszych ziomków. Jako heroldowie mamy obowiązek działać dla dobra naszych ziomków, a nie pozwalać robić z nich niewolników.

Wielcy heroldowie byli bliscy apopleksji.

- Nie chcemy tego słuchać!

- Pomówimy z mentorem i przekonamy się, co on ma do powiedzenia - nie ustępował Owen.

- Nie! Mentor się z wami nie spotka! Wasza prośba została odrzucona! Musicie odejść!

ROZDZIAŁ 52

Jeden z nich wysforował się do przodu, gniewnie złapał Richarda za koszulę i usiłował go wypchnąć.

- To wszystko przez ciebie! Jesteś obcym! Dzikusem! Jednym z tych nieoświeconych! Przyniosłeś naszemu ludowi bluźniercze pomysły! - Robił co mógł, żeby potrząsnąć Richardem. - Popchnąłeś ich do przemocy!

Richard chwycił herolda za przegub, wykręcił mu rękę i powalił na kolana. Tamten krzyknął z bólu. Nie puszczając ręki, Richard nachylił się ku niemu.

- Rzykowieliśmy życie, pomagając twoim ziomkom. A ci twoi ziomkowie wcale nie są oświeceni, lecz tacy sami jak wszyscy inni. Macie nas wysłuchać. Tej nocy zdecyduje się przyszłość wasza i waszego ludu. - Puścił herolda, podszedł do drzwi i wytknął głowę na zewnątrz. - Caro, poproś Toma, żeby ci pomógł sprowadzić tutaj resztę naszych ludzi. Uważam, że powinni wziąć w tym udział.

Mord-Sith pobiegła z wieścią, że Richard życzy sobie, by wszyscy zeszli do piwnicy, on zaś nakazał heroldom, żeby się cofnęli pod ścianę.

- Nie masz prawa tak postępować - zaprotestował któryś z nich.

- Jesteście przedstawicielami mieszkańców Bandakaru. Ich przywódcami - rzekł Richard. - Nadszedł czas, byście ich poprowadzili.

Do oświetlonego blaskiem świec pomieszczenia zaczęli wchodzić ludzie Owena. Wkrótce znaleźli się tam wszyscy. Piwnica była na tyle duża, że zajęli ledwie jej część. Kahlan zauważyła, że za nimi wciskali się też zupełnie obcy ludzie. Ponieważ znała naturę Bandakarczyków i ponieważ Cara pozwalała im wejść, Kahlan nie sądziła, żeby stanowili jakiegokolwiek zagrożenie.

Richard wskazał milczący tłumek, który przyglądał się heroldom.

- Ci ludzie z Witherton przestali przymykać oczy na to, co się dzieje z ich ziomkami. Nie będą dłużej tolerować takiego bestialstwa. Nie będą już dłużej bezwolnymi ofiarami. Chcą być wolni.

Jeden z heroldów - z wąską, spiczastą brodą - prychnął z lekceważeniem:

- Wolność to nic dobrego. Jedynie sankcjonuje ludzki egocentryzm. Osoba rozważna, mająca na względzie dobro i oświecenie rodzaju ludzkiego, powinna odrzucić nieetyczną koncepcję „wolności”, jako że to w

istocie samolubstwo.

- Racja - przyznał inny - takie nazbyt uproszczone zasady mogą tylko zapoczątkować okres przemocy. Owa niemądra idea „wolności” sprawia, że postrzega się wszystko albo jako czarne, albo jako białe. Jednostki nie mają prawa osądzać innych, a już zwłaszcza tak kategorycznie. Jeżeli ma panować pokój, niezbędny jest kompromis pomiędzy wszystkimi zainteresowanymi stronami.

- Kompromis? - zapytał Richard. - Okres przemocy może zaistnieć wtedy i tylko wtedy, jeżeli uznacie moralną równowagę wszystkich ludzi, w tym i złych. Jeżeli ogłosicie, że każdy, w tym i ci, którzy postanawiają krzywdzić innych, ma takie samo prawo do istnienia. I to właśnie robicie, odmawiając zniszczenia zła: dajecie moralne wsparcie i władzę tym, którzy zabijają. Zamiłowanie do kompromisu w takich sprawach to chorobliwa idea, według której musicie odciąć palec, potem nogę, a w końcu i ramię, żeby nakarmić żyjącego pośród was potwora. Zło karmi się dobrem. Jeżeli zabijecie potwora, przemoc ustanie. Macie dwie możliwości. Żyć w upokarzającym strachu, na kolanach, bez końca przeprasząc, że chcecie, by wam pozwolono żyć, i starając się ugłaskać nieustannie rosnące w siłę zło. Albo wyeliminować tych, którzy by was krzywdzili, i zyskać wolność, możliwość decydowania o własnym życiu, co z kolei oznacza, że zawsze musielibyście być czujni i gotowi bronić siebie.

Jeden z heroldów, wytrzeszczając oczy, uniósł rękę i wskazał Richarda.

- Już wiem, kim jesteś. To ciebie zapowiedziało proroctwo. To ty masz nas zniszczyć.

Szepty poniosły to oskarżenie w zgromadzony tłum. Richard obejrzał się na swoich ludzi, a potem skierował gniewny wzrok na heroldów.

- Jestem Richard Rahl. Masz rację. To o mnie mówi proroctwo tak dawno temu objawione twojemu ludowi: „Oto pojawi się wasz niszczyciel, co was wybawi”. Masz rację, te słowa mówią o mnie. Ale gdybym się tu nie zjawił, to pewnie by się pojawił ktoś inny, kto spełniłby tę zapowiedź: może za rok, a może za tysiąc lat, albowiem proroctwo to dotyczy w istocie chwalebnej powinności wobec życia. Waszych ziomeków wypędzono, ponieważ nie chcieli widzieć otaczającej ich rzeczywistości. Woleli nie dopuścić jej do swoich umysłów. Położyłem kres temu zaślepieniu. - Wskazał stojących za nim ludzi, - Kiedy objawiono im prawdę, postanowili wreszcie przejrzeć na

oczy i dostrzec ją. Teraz pozostali wasi ziomkowie muszą się zmierzyć z tym wyzwaniem i wybrać swoją przyszłość. „Oto pojawi się wasz niszczyciel, co was wybawi” to słowa zapowiadające możliwość lepszej przyszłości. Głoszą one, że wasz sposób życia - to znaczy utrudnianie ludziom osiągnięcia tego, do czego są zdolni, uniemożliwianie im rozwijania wszystkich swoich talentów, ogłupiające destrukcyjne zasady, które niszczą ducha każdej jednostki i z czasem skłaniają najlepszych spośród was do odejścia w nieznane - dobiegł kresu. Żołnierze Ładu zagarnęli wasze ziemie, ale od strony duchowej niczego to dla was nie zmieniło. Ich przemoc po prostu bardziej rzuca się w oczy niż wasze powolne tłumienie ludzkiego potencjału. Pod ich władzą wiedziacie to samo bezkrytyczne życie co przedtem, jedynie brutalność jest bardziej widoczna. Niektórym z waszych ziomków objawiłem światło prawdy i rozproszyłem tym mroki, w których żyli. Pozostali muszą teraz zdecydować, czy nadal będą się kulić ze strachu w mrokach, czy wyjdą w blask, który wam przyniosłem. Przynosząc owo światło waszym ziomkom, wybawiłem ich. Wykazałem im, że mogą wzlecieć na własnych skrzydłach, dążyć do zdobycia tego, czego dla siebie pragną. Pomogłem im odzyskać życie. Tak, zniszczyłem pozór, który ich poskramiał, zakuwał w okowy, lecz czyniąc to, uwolniłem ich ducha. Właśnie to zapowiadało prorocstwo. Teraz każdy z was musi zdecydować, czy stanie na wysokości zadania i będzie dążyć do zwycięstwa, czy poniecha wszelkich prób i skryje się w narzucanych sobie niewiedzy i mrokach. Nie ma żadnej gwarancji, że się wam powiedzie, jeżeli spróbujecie. Ale rezygnując z prób, wybieracie upadek i życie w strachu dla siebie i dla swoich dzieci. Jedyna różnica będzie polegać na tym, że jeśli postanowicie teraz żyć tak jak dotychczas i ugłaskiwać zło, będziecie wiedzieć, że robicie to kosztem własnych dusz.

Richard odwrócił się od heroldów. Zanim zamknął oczy, żeby je rozmasować palcami, Kahlan wyczytała w nich straszliwe cierpienie. Pragnęła, by odzyskali już ostatnią dawkę antidotum, a potem zrobili co trzeba, żeby go uwolnić od cierpień zsyłanych przez dar. Zdawała sobie sprawę, że z wolna go traci. Miała wrażenie, że Richard jest gdzie indziej, zupełnie sam, zawieszony czubkami palców na krawędzi urwiska - i że jego palce powoli się z tej krawędzi ześlizgują.

Owen wysunął się naprzód.

- Czcigodni heroldowie, nadszedł czas, aby wysłuchać mentora. Jeżeli uważacie, że nie uzasadnia tego krytyczna dla naszego ludu chwila, to już nic nie będzie po temu powodem. Tu chodzi o naszą przyszłość i nasze życie. Przywieźcie mentora. Wysłuchamy jego słów i przekonamy się, czy naprawdę jest mądry i wart naszej lojalności.

Heroldowie - słysząc popierające Owena pomruki - nachylili się ku sobie i naradzali szeptem, uzgadniając, co powinni teraz zrobić. W końcu połowa z nich poszła do tylnego pomieszczenia.

Jeden z pozostałych uśmiechnął się i skłonił łysą głowę.

- Przekonamy się, co mentor ma do powiedzenia. - Kahlan dość często widywała takie wzgardliwe uśmiechy; herold zadarł spiczastą brodę i spokojnie splótł przed sobą dłonie. - W obliczu tych wszystkich ludzi powtórzmy mu twoje bluźniercze słowa i wysłuchamy jego mądrej oceny, która zakończy całą sprawę.

Z tylnego pomieszczenia wyszli heroldowie, niosąc paliki owinięte czerwoną materią, deski z wczepami i gładkie. Zaczęli z nich składać podwyższenie; miało palik w każdym narożniku i ciężkie czerwone kotary, które miały je przesłonić. Kiedy skończyli montaż, położyli na podium dużą poduchę i zaciągnęli kotary. Inni przynieśli dwa stoliki zastawione świecami i umieścili je po bokach paradnego tronu mądrości. W jednej chwili heroldowie potrafili stworzyć skromną, lecz godną scenerię.

Kahlan znała w Midlandach wielu ludzi mających dar i pełniących tę samą funkcję co - według niej - mentor. I tamci zwykle mieli pomocników podobnych do tych heroldów. Wiedziała również, że nie należy lekceważyć takich zwyczajnych szamanów i ich łączności ze światem duchów. Byli wśród nich i tacy, którzy naprawdę mieli taką więź i najprawdziwszą władzę nad swoim ludem. Nie mogła jedynie pojąć, jak tacy całkowicie pozbawieni magii ludzie mogą mieć takiego duchowego przewodnika. Jeżeli naprawdę go mieli i jeżeli on sprzeciwi się działaniom przybyszy, cała ich robota będzie na nic.

Heroldowie ustawili się szeregiem po obu stronach i na tyle rozsунęli na przedzie kotary, żeby można było zajrzeć do mrocznego wnętrza.

A tam, składając modlitewnie dłonie, siedział na poduszce ze skrzyżowanymi nogami chłopczyk w białym stroju. Wyglądał na jakieś osiem, co najwyżej dziesięć lat. Oczy zakrywała mu czarna szarfa.

- To zaledwie chłopiec - wyrwało się Richardowi.

Jeden z heroldów posłał mu mordercze spojrzenie.

- Jedyne dziecko jest na tyle wolne od skażenia życiem, by móc się przybliżyć do prawdziwej mądrości. W miarę jak przybywa nam lat, nasze doświadczenie zaciemnia tak doskonałą niegdyś wnikliwość, ale pamiętamy owe nieskażone dawniej pojmowanie i wiemy, że tylko mądrość dziecka może być tak niepokalana.

Wiele osób ze zrozumieniem pokiwało głowami.

Richard spojrział spod oka na Kahlan.

Jeden z heroldów ukląkł przed podwyższeniem i skłonił łysą głowę.

- Jesteśmy zmuszeni prosić o twe światło wskazówki, mentorze. Niektórzy z naszych chcą rozpocząć wojnę.

- Wojna niczego nie rozwiąże - odezwał się nabożnie mentor.

- Może zechcesz wysłuchać, jakie nimi kierują powody.

- Nie istnieją uzasadnione powody do walki. Wojna nigdy nie jest rozwiązaniem. Wojna to przyznanie się do niepowodzenia.

Tłumek w pomieszczeniu cofnął się. Byli zakłopotani, że przedłożyli mentorowi tak prostackie sprawy, sprawy, które on bez trudu rozwikłał dzięki swojej mądrości, obnażając ich ewidentną amoralność.

- Bardzo rozsądnie. Ukazałeś nam mądrość w jej prawdziwej doskonałości. Wszyscy postąpią słusznie, idąc za tak mądrą wskazówką. - Herold znów skłonił głowę. - Próbowaliśmy powiedzieć...

- Dlaczego masz zasłonięte oczy? - spytał Richard, przerywając klęczącemu przed podwyższeniem heroldowi.

- Słyszę gniew w twoim głosie - rzekł mentor. - Niczego nie osiągniesz, dopóki nie pozbędziesz się nienawiści. Jeżeli będziesz patrzył sercem, to w każdym znajdziesz dobro.

Richard położył dłoń na plecach Owena i wypchnął go do przodu. Sięgnął w tłum, złapał Ansona za koszulę i przyciągnął go ku sobie. Wszyscy trzej podeszli ku podwyższeniu, na którym siedział mentor. Jedyne Richard dumnie trzymał głowę. Stopą odepchnął na bok klęczącego herolda.

- Pytałem, dlaczego masz zasłonięte oczy.

- Należy odrzucić wiedzę, by zrobić miejsce wierze. Jedyne przez wiarę można osiągnąć rzeczywistą prawdę - rzekł mentor. - Musisz uwierzyć, zanim zobaczysz.

- Jeżeli wierzysz, nie widząc, jak jest naprawdę - odparł Richard - to nie jesteś mędrce, lecz ślepcem, i to z własnej woli. Najpierw musisz zobaczyć, żeby się nauczyć i pojąć.

Ludzie wokół Kahlan byli skrępowani tym, że lord Rahl w taki sposób przemawia do ich mentora.

- Odrzuć nienawiść, bo inaczej jedynie zbierzesz nienawiść.

- Rozmawiamy o wiedzy. Nie pytałem cię o nienawiść.

Mentor modlitewnie złożył dłonie, lekko pochylił głowę.

- Mądrość otacza nas, ale nasze oczy nas oślepiają, nasz słuch czyni nas głuchymi, a nasze umysły myślą, robiąc z nas ignorantów. Nasze zmysły tylko nas zwodzą. Świat nie może nam niczego powiedzieć o naturze rzeczywistości. Aby być w harmonii z samą esencją prawdziwego życia, musisz najpierw wejrzeć na oślepa w siebie, by odnaleźć prawdę.

Richard skrzyżował ramiona na piersi.

- Mam oczy, więc nie mogę widzieć. Mam uszy, więc nie mogę słyszeć. Mam umysł, więc niczego nie mogę się dowiedzieć.

- Pierwszy krok do mądrości to zaakceptowanie tego, że nie potrafimy poznać natury rzeczywistości i że z tego powodu nie jest realne nic, o czym pozornie wiemy.

- Musimy jeść, żeby żyć. Jak ktoś ma wytropić w lasach jelenia, żebyś miał co jeść? Ma sobie zawiązać oczy? Zapchać uszy woskiem? Robić to, kiedy śpi, żeby umysł nie brał udziału w tym zadaniu?

- Nie jemy mięsa. Nie godzi się krzywdzić zwierząt, żeby mieć co jeść. I my, i one mamy jednakie prawo do życia.

- Więc jecie tylko rośliny, jajka, sery i tym podobne.

- Oczywiście.

- Jak się robi ser?

W kłopotliwej ciszy dał się słyszeć kaszel; dobiegł z tyłów pomieszczenia.

- Jestem mentorem. Nie wyznaczono mnie do takiej pracy. Inni robią dla nas ser.

- Rozumiem. Nie umiesz sobie zrobić sera na kolację, bo nikt nigdy cię tego nie nauczył. Znakomicie. Siedzisz więc sobie tutaj, z zawiązanymi oczami i umysłem nie skażonym wiedzą na ten temat. Jak więc robisz ser? Zjawia się u ciebie? Czy sposób robienia sera został ci objawiony w trakcie duchowej introspekcji?

- Rzeczywistości nie można...

- Skoro masz zawiązane oczy, by nie widzieć, zatkane woskiem uszy, by nie słyszeć, i grube rękawice, by niczego nie wyczuć dotykiem, jak zdołasz zrobić najprostszą rzecz, choćby jak wyrwiesz rzodkiewkę? Wiesz co, możesz wyjąć wosk z uszu i pozbyć się rękawic. Zostaw sobie tylko tę przepaskę na oczach i zademonstruj mi, jak wyrwiesz choć rzodkiewkę, żebyś miał co jeść. Nawet pomogę ci najpierw trafić do drzwi, a potem już będziesz zdany na siebie. No chodź.

Mentor oblizał wargi.

- Nnno cóż, ja...

- Skoro odrzucasz wzrok, słuch, dotyk... jak zasadzisz rośliny, żeby móc przeżyć, jak będziesz szukał jagód i orzechów? Skoro nic nie jest realne, jak długo potrwa, zanim się zagłodzisz na śmierć, czekając, by cię nakarmił wewnętrzny głos „prawdy”?

Podbiegł jeden z heroldów i starał się odepchnąć Richarda. Chłopak jednak tak go pchnął, że tamten aż usiadł na podłodze. Heroldowie lękliwie cofnęli się o parę kroków. Richard postawił stopę na podwyższeniu, wsparł się o kolano i nachylił ku mentorowi.

- Odpowiedz na moje pytania, mentorze. Powiedz, co takie ślepe wpatrzenie się w siebie ujawniło ci o robieniu sera. Mów, chętnie posłucham.

- Ale... to nie jest uczciwe pytanie.

- Ach tak? Pytanie dotyczące pogoni za wartością nie jest uczciwe? Życie wymaga, by wszystkie istoty pomyślnie poszukiwały wartości, jeżeli chcą przetrwać. Ptak umiera, jeżeli nie zdoła złapać robaka. To elementarna sprawa. Ludzi też dotyczy.

- Odrzuć nienawiść.

- Już masz na oczach przepaskę. Dlaczego sobie nie zatkasz uszu i nie zanucisz czegoś, by o niczym nie myśleć? - Richard pochylił się jeszcze bardziej, groźnie ściszył głos. - I spróbuj w swej nieskończonej mądrości odgadnąć, mentorze, co ci zaraz zrobię.

Chłopiec pisnął z przerażeniem i odsunął się w tył. Kahlan przecisnęła się między Richardem a Ansonem i usiadła na podwyższeniu. Objęła przerażonego mentora i przytuliła, żeby go pocieszyć. Mocno do niej przyłgął, szukając obrony.

- Straszysz biednego malca, Richardzie. Spójrz na niego. Drży jak listek. Richard zdjął mu z oczu przepaskę. Oszołomiony chłopiec zerknął na niego ze strachem.

- Dlaczego się do niej przytuliłeś? - zapytał łagodnie Richard.

- Bo już miałeś mi zrobić coś złego.

- Chcesz powiedzieć, że liczyłeś na to, że ona cię obroni?

- No pewnie, jesteś większy ode mnie.

Richard się uśmiechnął.

- Słyszysz, co mówisz? Byłeś przestraszony i miałeś nadzieję, że obroni cię przed zagrożeniem. To nie było nieczne pragnienie, nieprawdaż? Chcieć bezpieczeństwa? Bać się napaści? Szukać pomocy u kogoś, kto według ciebie jest na tyle duży, że poradzi sobie z zagrożeniem?

Chłopiec był wyraźnie zażenowany.

- No nie, nie było.

- A gdybym się na ciebie zamierzył nożem? Nie chciałbyś, żeby ktoś mnie powstrzymał przed zranieniem cię? Nie chciałbyś żyć?

Chłopiec skinął głową.

- Chciałbym.

- To właśnie wartość, o której tu rozmawiamy.

Mały zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz?

- O życiu - rzekł Richard. - Chcesz żyć. To szlachetne. Nie chcesz, żeby ktoś odebrał ci życie. To słuszne i sprawiedliwe. Wszystkie stworzenia chcą żyć. Przestraszony królik ucieknie, po to ma mocne łapy. Do szukania i zajadania młodych roślinek nie potrzebuje wielkich uszu i mocnych łap. Wielkie uszy ma po to, żeby nasłuchiwać zagrożenia, a mocne łapy po to, żeby uciec. Zagrożony kozioł będzie ostrzegawczo parskać. Wąż potrząśnie grzechotką, żeby odstraszyć napastnika. Wilk ostrzegawczo warknie. Ale jeżeli zagrożenie nie mija, a one nie mogą uciec, to kozioł może stratować, wąż ukąsić, a wilk zaatakować. Żadne z nich nie szuka zwady, ale będą się bronić. Człowiek to jedyna istota, która dobrowolnie wchodzi w kły drapieżcy. Tylko człowiek, zaślepiony stałą indoktrynacją, którą i wobec ciebie stosowano, może odrzucić wartości wspierające życie. A mimo to instynktownie postąpiłeś jak należy, chroniąc się pod opiekę mojej żony.

- Taaak?

- Tak. Twoje zasady by cię nie ochroniły, więc wykorzystałeś szansę, że ona mogłaby to zrobić. Gdybym naprawdę był kimś, kto zamierza cię skrzywdzić, walczyłaby w twojej obronie.

Mentor spojrział na uśmiechniętą Kahlan.

- Naprawdę byś to zrobiła?

- Tak. I ja wierzę w szlachetność życia.

Wpatrywał się w nią z podziwem. Kahlan z wolna potrząsnęła głową.

- Ale twoje instynktowne szukanie pomocy nic by ci nie dało, gdybyś jej szukał u ludzi kierujących się błędnymi zasadami, które stale recytujesz. Owe zasady potępiają samoobronę, widząc w niej odmianę nienawiści. Twój ziomkowie są mordowani, bo kierują się takimi właśnie zasadami.

Wyraźnie nim to wstrząsnęło.

- Nie chcę, żeby tak było.

Spowiedniczka się uśmiechnęła.

- I my nie chcemy. To dlatego się zjawiliśmy i dlatego Richard musiał pokazać ci, że potrafisz poznać naturę rzeczywistości i że to pomoże ci przetrwać.

- Dziękuję - rzekł do lorda Rahla.

Richard się uśmiechnął i łagodnie pogłaskał blond włosy chłopca.

- Przepraszam, że cię musiałem wystraszyć, by wykazać ci, że to, co mówisz, nie ma sensu. Musiałem ci udowodnić, że słowa, których cię wyuczono, na nic ci się nie przydadzą: nie możesz się nimi kierować, bo są pozbawione sensu i nieprawdziwe. Wyglądasz mi na chłopca, który ceni życie. I ja taki byłem w twoim wieku, i dalej taki jestem. Życie jest cudowne, więc rozkoszuj się nim, przyjrzyj mu się oczami, które przecież masz, i zobacz całą jego wspaniałość.

- Jeszcze nikt tak do mnie nie mówił o życiu. Niewiele widzę. Stale muszę tu siedzieć.

- Wiesz co, może, zanim odejdę, zabiorę cię na przechadzkę po lesie i pokażę ci trochę cudów tego świata: drzewa i inne rośliny, ptaki, a może uda się nam zobaczyć i lisa. I pogadamy sobie o cudach i radościach życia. Chciałbyś?

Twarz chłopca rozpromienił uśmiech.

- Naprawdę? Zrobiłbyś to dla mnie?

Richard obdarzył go jednym z tych uśmiechów, od których topniało serce

Kahlan. Żartobliwie uszczypnął chłopca w nos.

- Jasne.

Zbliżył się Owen i czule pogładził włosy chłopczyka.

- I ja byłem kiedyś, jak ty teraz, mentorem, dopóki mi trochę lat nie przybyło.

Mały spojrzał nań chmurnie.

- Naprawdę?

Owen potaknął.

- Myślałem, że zostałem wybrany, bo jestem kimś wyjątkowym, i że dlatego tylko ja mogę obcować z jakąś wspaniałą istotą nie z tego świata. Wierzyłem, że tryska ze mnie wielka mądrość. A teraz się wstydzę, rozumiejąc, jakie to wszystko było głupiutkie. Nakłaniano mnie do wysłuchiwania nauk. Nigdy nie pozwolono mi być małym chłopcem. Wielcy heroldowie prosili mnie, żebym powtarzał to, co usłyszałem, a kiedy przemawiałem lekceważąco do ludzi, mówili mi, jaki to jestem mądry.

- I mnie też - powiedział chłopiec.

Richard popatrzył na zebranych.

- Oto wasza wymuszona krynica mądrości. Kazano wam wysłuchiwać dzieci powtarzających bezsensowne zdania. Po to macie umysły, żeby myśleć i pojmować otaczający was świat. Tą narzuconą sobie ślepotą zdradziliście samych siebie.

Stojący na przedzie, których Kahlan widziała ze swojego miejsca na podwyższeniu, zawstydzeni pochylili głowy.

- Lord Rahl ma rację - rzekł im Anson. - Aż do dziś nigdy właściwie tego nie kwestionowałem ani się nie zastanawiałem, jakie to w gruncie rzeczy niemądre.

Jeden z heroldów potrząsnął pięścią.

- To nie jest niemądre!

Inny - ten ze spiczastą brodą - pochylił się i wyrwał nóż z pochwy u pasa Ansona.

Kahlan ledwie potrafiła uwierzyć w to, co widzi. Jakby miała przed oczami rozgrywający się koszmar, którego ani nie mogła zatrzymać, ani nawet spowolnić. Jakby wiedziała, co się wydarzy, jeszcze zanim to zobaczyła.

Herold krzyknął z wściekłości i z nienacka pchnął Ansona nożem, nim

ten zdołał zareagować. Kahlan usłyszała, jak ostrze uderza w kość. Zaślepiiony wściekłością mężczyzna wyciągnął okrwawiony nóż i znów chciał pchnąć Ansona. Anson zaś, z twarzą wykrzywioną grymasem zdumienia i szoku, zaczął się osuwać. Przed Kahlan śmignął miecz Richarda - płomyki świec odbiły się w ostrej stali. Miecz zakreślał łuk, kierując się ku zagrożeniu, i jak zwykle towarzyszył temu charakterystyczny dźwięk stali. Czubek klingi kierowanej mocnym ramieniem Richarda ze świstem przecinał powietrze. Ramię herolda dotarło do szczytu zakreślanego łuku i zaczęło opadać - w tej samej chwili jednak klinga dotknęła szyi owego człowieka i z tą samą prędkością cięła mięśnie i kość, odrąbując głowę i ramię z nożem. Szybkie jak błyskawica cięcie zbryzgało krwią kamienną ścianę podziemi pałacu.

Głowa i bark z ramieniem tworzyły w powietrzu osobliwą spiralę, ciało herolda zaś runęło na podłogę. Głowa spadła z mdlącym stukiem i potoczyła się po chodnikach, zostawiając za sobą krwawy ślad.

Richard skierował zakrwawione ostrze ku pozostałym heroldom - potencjalnemu zagrożeniu. Kahlan przycisnęła do ramienia buzię chłopca, żeby nie patrzył.

Kilka osób przyklęknęło wokół Ansona. Kahlan nie wiedziała, jak poważnie jest ranny, czy w ogóle jeszcze żyje.

W pobliżu, przy stoliku ze świecami, leżały okrwawiona głowa i ramię martwego herolda. W zaciśniętej pięści nadal tkwił nóż. Ta nagła masakra i krew plamiąca podłogę przerażały. Wszyscy wpatrywali się w to zdumieni.

- Pierwszą krew przelaliście, o wielcy heroldowie - odezwał się Richard do kulących się ze strachu heroldów - nie w walce z tymi, którzy się zjawili, żeby zabijać waszych ziomków, ale atakując człowieka, który nie zastosował wobec was przemocy. Zaatakowaliście jednego z waszych, który wstał i powiedział wam, że chce się uwolnić od terroru, że chce samodzielnie myśleć.

Kahlan podniosła się i dopiero teraz zobaczyła, że w pomieszczeniu jest znacznie więcej ludzi niż przedtem. Większość była obca. Gdy Cara przycisnęła się ku niej przez milczący tłum, Spowiedniczka dotknęła jej ramienia i nachyliła się.

- Co to za ludzie?

- To mieszkańcy miasta. Gońcy przynieśli im wieści, że Witherton

uwolniono. Usłyszeli, że nasi ludzie są tutaj, żeby się spotkać z mentorem, i chcieli być świadkami tego, co się stanie. Zajęli też schody i korytarze na górze. Wypowiedziane tu słowa zostały przekazane całemu tłumowi.

Mord-Sith najwyraźniej chciała być w pobliżu, żeby chronić i ją, i Richarda. Kahlan wiedziała, że wieloma ludźmi słowa Richarda wstrząsnęły, i nie miała pojęcia, co oni teraz zrobią.

Heroldowie nie byli już tacy pewni siebie. Nie chcieli, żeby łączono ich z tym spośród nich, który dokonał tak ohydneho czynu. Jeden w końcu oddzielił się od ich grupki i samotnie ruszył ku chłopcu, który otoczony ramieniem Kahlan, stał przy przybranym kotarami podwyższeniu.

- Przepraszam - rzekł poważnie do mentora i obrócił się ku obserwującym wszystko ludziom. - Przepraszam. Już dłużej nie chcę być heroldem. Proroctwo się dokonało, nasze wybawienie jest w zasięgu ręki. Najlepiej zrobimy, wysłuchując tego, co ci ludzie mają nam do powiedzenia. Chciałbym żyć, nie lękając się, że żołnierze Ładu wymordują nas wszystkich.

Nie było radosnych krzyków ani szaleńczych owacji, a jedynie milcząca aprobata. Wszyscy, których Kahlan widziała, skinęli głowami uradowani, że ich skrywane pragnienie uwolnienia się od bestialstw Imperialnego Ładu wcale nie było grzeszne, lecz słuszne i sprawiedliwe.

Richard ukląkł obok Owena. Kilka osób bandażowało ramię Ansona. Siedział. Całą rękę miał we krwi, lecz opatrunek najwyraźniej tamował krwawienie. Kahlan westchnęła z ulgą, widząc, że Anson żyje i nie jest poważnie ranny.

- Wygląda na to, że przydałoby się to zeszyć - odezwał się Richard.

Kilkoro ludzi przyznało mu rację. Jakiś starszy mężczyzna przepchnął się do nich przez tłum.

- Ja się tym zajmuję. Mam też zioła, z których można zrobić kataplazm.

- Dziękuję - powiedział Anson, któremu przyjaciele pomagali się podnieść; kręciło mu się w głowie i musieli go podtrzymywać. Kiedy wreszcie pewnie stanął na nogach, spojrzął na Richarda i rzekł: - Dziękuję, lordzie Rahlu, że odpowiedziałeś na prośbę z wypowiedzanego przeze mnie hołdu „Chronić nas, mistrzu Rahlu”. Nigdy nie podejrzewałem, że to ja pierwszy przeleję krew za to, co rozpoczęliśmy, ani że zrani mnie jeden z naszych.

Richard ostrożnie klepnął Ansona w zdrowe ramię na znak, że ceni sobie

jego słowa.

Owen rozejrzał się po zebranych.

- Uważam, że wszyscy zdecydowaliśmy, że chcemy znów być wolni. -
Kiedy zgromadzeni potwierdzili skinieniem głów, zwrócił się do Richarda: -
Jak się pozbędziemy żołnierzy z Northwick?

Richard otarł krew z klingi o nogawkę martwego herolda. Spojrzał na tłum.

- Orientujecie się, ilu ich może być w Northwick?

W jego głosie nie było gniewu. Kiedy dobywał oręża, Kahlan zauważyła, że w jego oczach nie pojawił się blask magii związanej z Mieczem Prawdy. W oczach Poszukiwacza nie błysnął gniew miecza, nie zatańczyła w nich groźnie magia, w jego ruchach nie było furii. Po prostu zrobił co trzeba, żeby pokonać zagrożenie. Wspaniale, że tak dobrze sobie z tym poradził, lecz wielce niepokojące, że magia miecza nie pojawiła się razem z mieczem. Najwyraźniej Richarda w końcu zawiodło to, co do tej pory zawsze mu pomagało. Nieobecność magii miecza wzbudziła w Kahlan lodowate przerażenie.

Ludzie w tłumie popatrzyli po sobie, a potem zaczęli mówić, że widzieli setki żołnierzy Ładu. Ktoś nawet wspomniał o kilku tysiącach.

Jakaś starsza kobieta uniosła rękę.

- Nie aż tylu, ale coś koło tego.

Owen popatrzył na Richarda.

- Dużo ich jak na nas.

Nigdy nie brał udziału w prawdziwej walce, więc nie miał o tym zielonego pojęcia. Richard sprawiał wrażenie, że w ogóle nie usłyszał jego słów. Wsunął miecz do pochwy ukrytej pod czarną peleryną.

- Skąd to wiesz? - zapytał ową kobietę.

- Jestem w grupie przygotowującej im posiłki.

- Chcesz powiedzieć, że to wy gotujecie dla żołnierzy?

- Tak - odparła staruszka. - Nie mają ochoty tego robić.

- Kiedy będziecie znów gotować?

- Mamy duże kotły i akurat żeśmy je zaczęli szykować na jutrzejszy posiłek. Całą noc zabiera nam przygotowanie mięsa tak, żeby potem je ugotować na wieczór. Poza tym całą noc musimy szykować bułeczki, jajka i owsiankę na rano.

Kahlan pomyślała, że żołnierze musieli być zadowoleni z zastępów tak uległych niewolników. Richard chodził tam i z powrotem między nią a Owenem. Skubał dolną wargę i zastanawiał się. Blisko dwa tysiące żołnierzy to za wiele, by mogła z nimi walczyć tak niewielka grupa, zwłaszcza że ci ludzie w ogóle nie mieli w tym doświadczenia. Kahlan zorientowała się, że Richard coś obmyśla.

Dotknął ramienia starszego mężczyzny mocującego opatrunek na ranie Ansona.

- Mówiłeś, że masz zioła. Znasz się na tym?

Tamten wzruszył ramionami.

- Nie za bardzo, tylko na tyle, żeby robić proste leki.

Kahlan podupadła na duchu. Miała nadzieję, że może ten człowiek będzie wiedział, jak zrobić większą dawkę antidotum.

- Można tu znaleźć konwalie, oleandry, cisy, tojad i cykutę?

Bandakarczyk zamrugał ze zdumieniem.

- Są dość pospolite, zwłaszcza w lasach na północ od nas.

Richard popatrzył na swoich ludzi stojących na czele tłumu.

- Musimy wyeliminować żołnierzy Ładu. Im mniej przyjdzie nam z nimi walczyć, tym lepiej. Wymkniemy się z miasta, póki jest jeszcze ciemno, i nazbieramy potrzebnych nam roślin. - Dał znak kobiecie, która mówiła o gotowaniu dla żołnierzy. - Pokaż nam, gdzie szykujecie ten jutrzejszy wieczorny posiłek. Przyniesiemy ci trochę dodatkowych składników. Kiedy dodamy je do gulaszu, nie minie parę godzin, a zaczną chorować. Do poszczególnych kotłów dodamy różne ziółka, żeby objawy były rozmaite, co jeszcze zwiększy zamieszanie i panikę. Jeżeli uda się nam porządnie zatruć strawę, to większość z nich raz-dwa zemrze, cierpiąc na osłabienie, paraliż i konwulsje. Zjawimy się późną nocą i wykończymy tych, którzy jeszcze będą przy życiu, oraz tych, którzy nie jedli. Jeżeli dobrze się spisujemy, uwolnimy Northwick bez walki. Szybko się z tym uporamy i nikt z nas nie zostanie draśnięty.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Kahlan zobaczyła, że zaczynają się uśmiechać. Ich życie rozjaśnił promyk światła.

Oszołomieni bliską wolnością zaczęli szlochać i czynili zadość potrzebie opowiedzenia o swoich bliskich, których zgwałcono, torturowano, wywieziono lub zamordowano.

Kiedy dano im szansę życia, żaden nie chciał się wycofać. Ujrzeni możliwość wybawienia i byli gotowi zrobić co tylko trzeba, żeby je osiągnąć.

- To zniszczy nasze dotychczasowe życie - powiedział ktoś, lecz nie z goryczą, a z zadziwieniem.

- Zbawienie jest tuż-tuż - dodał ktoś inny w tłumie.

ROZDZIAŁ 53

Zedd chwiał się na nogach w snopach promieni chylącego się ku zachodowi słońca i czekał w pobliżu namiotu, do którego Siostra Tahirah właśnie zabrała niewielką skrzynkę. Siostra ostrożnie rozpakowywała i przygotowywała do obejrzenia magiczny przedmiot, żołnierze zaś tkwili w pobliżu i zastanawiali się, czy dostaną tego wieczoru piwo. Niezbyt się przejmowali kościstym starcem z Rada'Han na szyi i rękami skrępowanymi na plecach - na pewno nie sprawi im żadnego kłopotu, a tym bardziej nie ucieknie.

Zedd skorzystał ze sposobności i oparł się o tylne koło wozu. Tak by się chciał położyć i zasnąć. Skrycie zerknął przez ramię na Adie. Posłała mu krótki, dzielny uśmiech. Wóz, o który się opierał, wyładowany był dobrami ukradzionymi z wieży, a czekającymi na opisanie. Równie dobrze mogła to być zwyczajna magia przeznaczona do zabawiania i uczenia dzieci, jak coś tak potężnego, że natychmiast przyniosłoby Jagangowi zwycięstwo.

Niektóre przywiezione z wieży przedmioty były mu zupełnie nie znane. Znajdowały się za osłonami, których nawet on nie potrafił przełamać. W jego dzieciństwie nawet starzy czarodzieje z wieży nie byli w stanie sięgnąć za wiele z tych osłon.

Ale ludzie, którzy napadli i zajęli Wieżę Czarodzieja, byli nieskażeni magią i najwyraźniej bez trudu dostali się za liczące tysiące lat osłony. Dla Zedda wszystko stanęło na głowie. Pod wieloma względami wyglądało to tak, jakby to był nie tylko koniec Wieży Czarodzieja, ale i kres dotychczasowego sposobu życia oraz koniec pewnej ery.

Zabrane z wieży przedmioty, które Zedd do tej pory zidentyfikował, nie mogły się zbyt przyczynić do zwycięstwa Jaganga. Nieliczne z nich - teraz znów starannie zapakowane - stanowiły dla niego całkowitą tajemnicę i mogły być ogromnie niebezpieczne. Pragnął, by wszystkie zostały zniszczone, nim któraś z Sióstr Mroku odkryje, jak je wykorzystać do siania spustoszenia.

Zedd spojrział z ciekawością, bo jeden z doborowych żołnierzy w skórzanym pancerzu i kolczudze przystanął w pobliżu, ogromnie czymś przejęty. Na prawym uchu miał duże nacięcie w kształcie V, odcinające

górną część małżowiny - tak niektórzy farmerzy znakowali swoje wieprze. Był ubrany jak pozostali doborowi żołnierze, lecz miał inne niż oni buty. Kiedy się rozglądał, czarodziej zauważył, że lewe oko tamtego nie otwiera się tak szeroko jak prawe. A potem żołnierz zniknął pośród patrolujących obóz grupki.

Zedd przyglądał się kłębiącej się nieustannie ciżbie żołnierzy, Sióstr i innych ludzi i wciąż mu się wydawało, że widzi osoby ze swojej przeszłości oraz znajomych. Przygnębiające były takie przywidzenia - omamy wytwarzane przez umysł, który zawodził go z braku snu i ciągłego napięcia. Twarze niektórych doborowych gwardzistów były niesamowicie znajome. Pomyślał, że pewnie dlatego, że ich już od tyłu dni widywał.

Kawałek dalej wypatrzył przechodzącą Siostrę, która wyglądała jak ktoś, kogo znał. Zapewne niedawno ją tu spotkał. Stale widywał jakieś Siostry i wcale nie było to miłe. Napomniał się, że nie wolno mu popuszczać wodzy fantazji.

Jedna z trzymanyh w pobliżu dziewczynek, bacznie pilnowana przez stojącego przy niej wielkiego żołnierza, przyglądała się Zeddowi i uśmiechnęła się doń, kiedy na nią spojrział.

Pomyślał, że to najosobliwsza rzecz, jaką mogło zrobić przestraszone dziecko tkwiące wśród żołnierzy, więźniów i całego tego militarnego rozgardiaszu. Przypuszczał, że takie dziecko mogło nie zdawać sobie sprawy, iż grożą mu tortury - męki mające dać oprawcom pewność, że Zedd powiedział wszystko, co wie. Odwrócił wzrok od jej długich, jasnych włosów i ślicznej, dziwnie znajomej buzi. To było szaleństwo - i to pod wieloma względami.

Z namiotu wynurzyła się Siostra o haczykowatym nosie.

- Wprowadźcie ich - warknęła.

Czterej żołnierze rażno zabrali się do dzieła: dwóch złapało Adie, dwóch Zedda. Dla tych krzepkich ludzi czarodziej był niczym piórko. Trzymali go tak, że nie zawsze dotykał stopami ziemi. Zawlekli go do namiotu, obnieśli dokoła stołu, okręcili i z taką siłą pchnęli na krzesło, że aż stęknął. Zedd zamknął oczy i skrzywił się z bólu. Oby go natychmiast zabili, żeby już nigdy nie musiał otwierać oczu! Ale jeżeli go zabiją, to pošlą jego głowę Richardowi. Nawet bał się myśleć, jak to Richarda zasmuci.

- No i? - spytała Siostra Tahirah.

Zedd otworzył oczy i spojrzał na przedmiot umieszczony przed nim pośrodku stolika.

Aż wstrzymał oddech.

Zamrugął zdumiony tym, co widzi. Prawie zapomniał o oddychaniu.

To była strukturalna magia zwana czarem zachodzącego słońca.

Zedd przełknął ślinę. Żadna z Sióstr najwyraźniej tego nie otwierała. Nie, na pewno tego nie otwierały. Inaczej by tu nie siedział.

Na stole przed czarodziejem stało pudełeczko wielkości połowy jego dłoni. Miało kształt stylizowanego słońca - połowa dysku z sześcioma sterczącymi z niego promieniami symbolizowała obraz zapadającego za horyzont słońca. Pudełeczko było jaskrawożółte. Promienie też były żółte, lecz ich krawędzie pomarańczowe, zielone i niebieskie.

- No i? - powtórzyła Siostra Tahirah.

- Aaaach...

Patrzyła w swoją księgę, nie na żółte pudełeczko.

- Co to jest?

- Nie... nie jestem pewien, czy pamiętam - czarodziej zagrał na zwłokę.

Siostrze najwyraźniej brakowało cierpliwości.

- Chcesz, żebym...

- A tak - rzekł, starając się, żeby to zabrzmiało nonszalancko - teraz sobie przypominam. To szkatułka z zaklęciem tworzącym melodyjkę.

Była to część prawdy. Siostra dalej czytała coś w swojej księdze. Zedd obejrzał się przez ramię na Adie siedzącą na ławce. Wyczytał w jej oczach, iż po jego zachowaniu zorientowała się, że coś się szykuje. Miał nadzieję, że Siostra nie będzie tak spostrzegawcza.

- Czyli to pozytywka - mruknęła Siostra Tahirah zaabsorbowana swoim katalogiem magii.

- Właśnie. Szkatułka z muzycznym czarem. Kiedy zdejmiesz pokrywkę, zagra melodyjkę. - Pot ściekał Zeddowi po karku i spływał aż między łopatki. Czarodziej przełknął ślinę i bardzo uważał, żeby nie zdradziło go drzenie głosu. - Zdejmij wieczko, to się przekonasz.

Zerknęła nań podejrzliwie znad księgi.

- Ty zdejmij wieczko.

- Przecież nie mogę. Ręce mam związane za plecami.

- Zrób to zębami.

- Zębami?

Siostra końcem obsadki pchnęła ku niemu żółte pudełeczko w kształcie połowy słońca.

- Tak, zębami.

Liczył na jej podejrzliwość, ale nie chciał przeszarżować. Energicznie poruszał językiem, starając się wytworzyć trochę śliny. Krew byłaby lepsza, lecz wiedział, że jeśli rozgryzie wargę, Siostra zacznie coś podejrzewać. Krew była zbyt znanym katalizatorem.

Zanim Siostra Tahirah zrobiła się nieufna, Zedd pochylił się i spróbował zamknąć szkatułkę w wargach. Starał się zaczepić dolnymi zębami o spód słońca, a górnymi o spiczasty promień. Pudełeczko było odrobinę za duże. Siostra położyła mu dłoń na potylicy i pchnęła. Tego właśnie potrzebował - chwycił zębami wieczko.

Uniósł je, ale razem z wieczkiem uniosła się cała szkatułka. Zaczął potrząsać głową i wreszcie wieczko się zsunęło. Położył je z boku.

Jeżeli szkatułki nie otworzył ten, kto ukradł przechowywane w wieży przedmioty, to czar zachodzącego słońca powinien zostać aktywowany przez czarodzieja, którego rozpozna. Zanim Tahirah zorientowała się, co on robi, Zedd pospiesznie wpuścił do szkatułki trochę śliny. To powinno aktywować czar.

Kiedy rozległa się melodyjka, czarodziejowi zakręciło się w głowie. Udało się. Czar działał. Wyrzwał przez wąską szparę w wejściu do namiotu. Słońce wkrótce zajdzie.

Miał ochotę poderwać się i zatańczyć w rytm melodyjki. Miał ochotę krzyczeć z radości. Nie zostało mu już dużo życia, a mimo to się cieszył. Męka niebawem się skończy. Wkrótce zniszczone zostaną wszystkie skradzione magiczne przedmioty, a on umrze. Nigdy niczego zeń nie wydobędą. Nie zdradzi swojej sprawy.

Żałował, że umrą także rodziny wykorzystywane do zmuszania go do współpracy, ale przynajmniej nie będą już musieli cierpieć. Zrobiło mu się przykro, że i Adie zginie. Prawie tak samo go to dręczyło jak myśl o jej udreće.

Siostra zamknęła szkatułkę.

- Milutkie.

Muzyka umilkła. Ale to już nie miało znaczenia. Czar został aktywowany.

Muzyka jedynie to potwierdzała - i ostrzegała, żeby umknąć na bezpieczną odległość. Cóż, nic z tego.

To nie miało znaczenia.

Siostra Tahirah wzięła ze stołu żółte pudełeczko.

- Odniosę to na miejsce. - Pochyliła się ku Zeddowi. - A na czas mojej nieobecności każę żołnierzom przyprowadzić kolejne dziecko, żebyś mógł dobrze mu się przyjrzeć i pomyśleć, co bez najmniejszego wahania zrobią z nim oprawcy w sąsiednim namiocie, jeżeli znów się będziesz wykręcał i marnował nasz czas.

- Ale ja...

Gwałtownie zamilkł, bo wykorzystwała Rada'Han, żeby przeszyć go rozdzierającym bólem od podstawy czaszki aż po krzyże. Wygiął plecy w łuk i krzyknął, niemal tracąc przytomność. Osunął się na krzesło, przez chwilę nie mógł unieść zwieszanej bezwładnie głowy.

- Idziecie ze mną - poleciła Tahirah żołnierzom. - Potrzebna mi pomoc. Ten, który przyprowadzi dziecko, może ich przez te parę minut popilnować.

Zedd, z trudem oddychając z bólu, wpatrywał się załzawionymi oczami w sufit namiotu. Dostrzegł światło, kiedy odchyłono klapę wejścia. Po płótnie przesunęły się cienie, gdy Siostra wychodziła z czterema żołnierzami, a wchodził ten z dzieckiem. Czarodziej wpatrywał się w sufit, nie chcąc widzieć twarzyczki kolejnego dziecka.

Ból w końcu minął i Zedd się wyprostował.

Z boku stał - trzymając przed sobą jasnowłosą dziewczynkę - jeden z tych wielkich doborowych gwardzistów odziany w skórzany pancerz i kolczugę. Z jego szerokiego pasa zwieszał się cały asortyment broni. To była ta dziewczynka, która się przedtem uśmiechnęła. Zedd na moment zamknął oczy porażony bólem na myśl o tym, co zrobią temu biednemu dziecku tak podobnemu do tego, które znał.

Kiedy otworzył oczy, znów się uśmiechnęła. A potem puściła do niego oko.

Zedd zamrugał. Podniosła sukienkę w kwiatki, żeby mógł zobaczyć przypięte do ud noże. Ponownie zamrugał. Spojrzał na jej uśmiechniętą buzię.

- Rachel...? - wyszeptał.

Aż się rozpromieniła.

Popatrzyła na twarz stojącego za nią żołnierza.

- Drogie duchy... - wyszeptał czarodziej.

To był strażnik granicy.

- Doszło do mnie, żeś się wpakował w porządne kłopoty - odezwał się Chase.

Zedd przez chwilę myślał, że na pewno majaczy. Potem zrozumiał, dlaczego Rachel wygląda tak znajomo, a zarazem odmiennie - była jakies dwa i pół roku starsza niż wtedy, kiedy ją ostatnio widział. Blond włoski, niegdyś krótko ostrzyżone, były teraz długie. No i prawie o stopę urosła.

Chase zatknął kciuki za szeroki skórzany pas.

- Ty, Adie, jesteś taka rozsądna, że to Zedd musiał cię wpakować w ten bigos.

Zedd obejrzał się przez ramię. Adie uśmiechała się ślicznie przez łzy. Już nie pamiętał, kiedy widział, jak się uśmiecha.

- On to wcielone kłopoty - odparła strażnikowi granicy.

Czarodziej ostatnio widział Chase'a jakieś dwa i pół roku temu. Strażnik granicy był ich starym przyjacielem. To on kiedyś zaprowadził ich do Adie, żeby mogła wskazać Richardowi drogę przez granicę, zanim jeszcze Rahl Poępny doprowadził do zniknięcia granic. Chase, mimo że starszy od Richarda, był jego najbliższym i najbardziej zaufanym przyjacielem.

- Odnalazł mnie starszy strażnik granicy Friedrich - wyjaśnił Chase. - Powiedział, że lord Rahl wysłał go do wieży, żeby cię ostrzegł o jakichś kłopotach. Mówił, że Richard opowiadał mu o mnie, więc skoro ciebie tam nie było i skoro tamci opanowali wieżę, pojechał do Westlandu, żeby mnie odszukać. Strażnicy granicy zawsze mogą na siebie liczyć. Razem z Rachel postanowiliśmy, że uratujemy twoją starą skórę.

Zedd popatrzył na blask słońca wpadający przez wąskie wejście do namiotu.

- Musicie się stąd wydostać. Musicie stąd zniknąć przed zachodem słońca, bo inaczej zginiecie. Szybko, uciekajcie, póki jeszcze macie szansę.

Chase znacząco uniósł brew.

- Przebyłem długą drogę i nie mam zamiaru odejść bez was.

- Nic nie rozumiesz...

Przez ścianę namiotu przebił się nóż i rozciął płótno. W rozcięciu ukazała się głowa jednego z doborowych gwardzistów. Zedd wpatrzył się w

niego ze zdumieniem. Mężczyzna wyglądał znajomo, ale jakoś dziwnie.

- Nie! - krzyknął czarodziej do Chase'a sięgającego po wiszący u pasa toporek.

- Nie ruszaj się z miejsca - polecił Chase'owi żołnierz, przedostając się przez rozcięcie w ścianie namiotu. - Na zewnątrz tkwi człowiek, który pchnie cię mieczem, jeśli się poruszysz.

Zeddowi opadła szczęka.

- Kapitan Zimmer???

- No pewnie. Przyszedłem, żeby cię stąd zabrać.

- Ale masz czarne włosy.

Kapitan błysnął jednym ze swoich zaraźliwych uśmiechów.

- Sadza. Raczej nie należy spacerować z jasnymi włosami w samym środku obozu Jaganga. Przyszedłem cię uwolnić.

Zedd nie wierzył własnym uszom i oczom.

- Wszyscy musicie stąd zniknąć. Szybko! Zanim słońce zajdzie! Uciekajcie!

- Masz ze sobą ludzi? - spytał Chase kapitana.

- Garstkę. Ktoś ty?

- Stary przyjaciel - wyjaśnił mu Zedd. - A teraz...

W tym momencie na zewnątrz rozległy się krzyki i wrzaski. Kapitan Zimmer pospieszył ku wejściu do namiotu. Ukazała się w nim głowa żołnierza.

- To nie my - odparł na nie wypowiedziane pytanie dowódcy.

Zedd dosłyszał, jak gdzieś w oddali wołano: „Asasyn!”

Kapitan Zimmer szybko znalazł się za Zeddem, rozpiął mu okowy. Puściły. Czarodziej miał wreszcie wolne ręce. Kapitan pospieszył ku Adie, żeby i jej zdjąć okowy, ona zaś wstała i odwróciła się doń tyłem.

- To dla nas dobra okazja - odezwała się Rachel. - Wykorzystajmy to zamieszanie i znikajmy.

- Mózg grupy - rzekł z uśmiechem Chase.

Zedd - skoro tylko znów miał swobodne ręce - padł na kolana i uściskał dziewczynkę. Nie mógł wykrztusić ni słowa, lecz nie były potrzebne. Chudziutkie ramionka obejmujące jego szyję wystarczały za wszelkie słowa.

- Tęskniłam za tobą, Zeddzie - szepnęła mu na ucho.

Na zewnątrz zapanował chaos. Wykrzykiwano rozkazy, przebiegali żołnierze, a gdzieś daleko zabrzęczała stal.

Do namiotu wpadła Siostra. Zobaczyła, że Zedd ma wolne ręce, i natychmiast uderzyła weń mocą poprzez Rada'Han. Wstrząs posłał go na ziemię.

W tej samej chwili za Siostrą Tahirah pojawiła się znieczulona młoda, jasnowłosa Siostra w brązowej wełnianej szacie. Tahirah okręciła się wokół własnej osi. Druga Siostra uderzyła ją tak mocno, że o mało nie zbiła jej z nóg. Siostra Mroku bez zwłoki posłała ku blondynce błyskawicę swojej mocy, która oślepijąco zapłonęła w ciemnym namiocie. Ale błyskawica nie wyrzuciła tej drugiej na zewnątrz, jak się tego spodziewał Zedd. To Siostra Tahirah wrzasnęła i padła na ziemię.

- Mam cię - warknęła druga Siostra, stawiając stopę na szyi Tahirah i przytrzymując ją na ziemi.

Zedd zamrugał ze zdumieniem.

- Rikka???

A Mord-Sith już się odwracała, zaciskając w pięści Agiel. Skierowała go ku Chase'owi.

- Rikka? - spytał z przeciwległego końca namiotu kapitan Zimmer, ogromnie zdumiony nie tylko tym, że i ona tu jest, ale i widokiem Mord-Sith z rozpuszczonymi, a nie splecionymi w warkocz włosami.

- Zimmer? - Chmurnie spojrzała na jego czarne włosy. - Co ty tu robisz?

- Co ja tutaj robię? A co ty tutaj robisz? - Wskazał na jej strój. - W coś ty się ubrała?

Rikka zaprezentowała swój złośliwy uśmiezek.

- Szatę Siostry.

- Siostry? - zapytał Zedd. - Jakiej Siostry?

Mord-Sith wzruszyła ramionami.

- A tej, która mi nie chciała oddać swojego stroju. Biedaczka straciła głowę przez tę całą sprawę. - Dwoma palcami naciągnęła sobie dolną wargę.

- Widzicie? Pożyczyłam sobie też jej kółko. Trochę je rozszczepiłam i przymocowałam do wargi, żeby wyglądała jak prawdziwa Siostra. - Złapała Siostrę Tahirah za włosy, postawiła na nogi i pchnęła ku Adie. - Zdejmij jej to z szyi.

- Nie zrobię ta...

Rikka wpakowała jej Agiel pod brodę. Krew pociekła z ust Siostry. Zaczęła się krztusić krwią i dławić z męki.

- Powiedziałam, żebyś zdjęła to Adie z szyi. I już nigdy nie waż mi się sprzeciwiać.

Tahirah poczłapała ku czarodziejce wypełnić rozkaz Mord-Sith. Chase wsparł się pięściami pod boki i gniewnie patrzył na Zedda, który wciąż jeszcze siedział na podłodze.

- No to co mamy teraz zrobić? Ciągnąć słomki, żeby się przekonać, kto ma cię ocalić?

- Kurna! Czy nikt nie słucha?! Ludzie, musicie stąd uciekać!!!

Rachel pogroziła mu palcem.

- Przecież wiesz, Zeddzie, że nie wolno ci tak mówić przy dzieciach!

Czarodziej, dławiąc się z irytacji, zagapił się na Chase'a.

- Wiem, wiem - rzekł z westchnieniem strażnik granicy. - Ona i mnie czasem załazi za skórę.

- Słońce zaraz zajdzie!!! - ryknął Zedd.

- I dobrze byłoby na to poczekać - stwierdził kapitan Zimmer. - W ciemności łatwiej się będzie wydostać z obozu.

Wypełniające namiot powietrze zawibrowało, rozległo się brzęczenie, potem nagle dało się słyszeć metaliczne szczęknięcia. Adie krzyknęła z ulgą, gdy obroza spadła jej z szyi.

- Czy nikt mnie nie słucha?! - Zedd podniósł się chwiejnie i potrząsał pięściami. - Aktywowałem czar zachodzącego słońca!!!

- Coś aktywował? - zainteresował się Chase.

- Czar zachodzącego słońca. To taka sztuczka z wieży. Rodzaj tarczy ochronnej. Gdy rozpozna, że naruszono inne osłony i zabrano chronione nimi przedmioty, „wkrada” się pomiędzy skradzione dobra. Kiedy złodziej to otworzy, żeby się przekonać, co jest w środku, przy okazji aktywuje czar. O pierwszym zachodzie słońca czar doprowadza do wybuchu, niszcząc wszystko, co ukradziono.

Siostra Tahirah pogroziła mu pięścią.

- Ty głupcze.

Rikka chwyciła go za ramię.

- No to lepiej już chodźmy.

Chase złapał Zedda za drugie ramię i przytrzymał.

- Chwileczkę.

Czarodziej wyszarpnął im ręce i przez rozcięcie w ścianie namiotu

wskazał na zachodzące słońce.

- Jeszcze parę chwil i to wszystko zamieni się w kulę ognia.

- Dużą kulę ognia? - zaciekawiał się kapitan Zimmer.

Zedd wyrzucił w górę ramiona.

- Zabije tysiące. Całego obozu nie zniszczy, ale ten tu obszar zostanie spustoszony.

Wszyscy zaczęli równocześnie mówić, lecz Chase uciszył ich gniewnym nakazem.

- Wysłuchajcie mnie. Złapią nas, jeżeli będziemy wyglądać na uciekinierów. Kapitanie, ty i twoi ludzie pójdziecie ze mną. Będziemy udawać, że Zedd i Adie są naszymi więźniami. Rachel też zostanie branką. Tak się tu zresztą dostałem, kiedy dowiedziałem się, że przetrzymują tu dzieci. - Machnął dłonią ku Rikce i Siostrze Tahirah. - One będą Siostrami, które oprócz nas mają strzec więźniów.

- Chcesz, żeby ci najpierw zdjęła tę rzecz z szyi? - spytała Mord-Sith Zedda.

- Teraz nie ma na to czasu. Idziemy.

Adie chwyciła go za ramię.

- Nie.

- Co takiego?!

- Posłuchaj mnie, stary. W tych namiotach dokoła są tamte rodziny z dziećmi. Zginą. Ty idź. Dotrzyj do wieży. Ja wydostanę stąd tych niewinnych ludzi.

Zeddowi wcale się ten pomysł nie podobał, ale sprzeczenie się z Adie nie miało sensu - a poza tym nie było na to czasu.

- No to się rozdzielimy - orzekł kapitan Zimmer. - Moi ludzie i ja zagramy strażników i wydostaniemy stąd tych mężczyzn, kobiety i dzieci. Razem z Adie przeprowadzimy ich za nasze linie.

Rikka przytaknęła.

- Powiedz Vernie, że idę z Zeddem, żeby pomóc odbić wieżę. Przyda mu się Mord-Sith, która nie da mu wpadać w tarapaty.

Popatrzyli po sobie, sprawdzając, czy będą jakieś sprzeciwy. Nikt się nie odezwał. Zatem wszystko zostało ustalone.

- Zgoda - rzekł Zedd. Objął Adie i pocałował ją w policzek. - Uważaj na siebie. Powiedz Vernie, że zamierzam odebrać im wieżę. Pomóż jej bronić

przełęczą.

Adie skinęła głową.

- Bądź ostrożny. Słuchaj Chase'a, to porządny człowiek, skoro aż tu po ciebie przyszedł.

Zedd się uśmiechnął, a potem zakrztusił oddechem, bo Chase złapał go za szatę i wywłókł z namiotu.

- Słońce się chowa, lepiej się stąd wynośmy. Pamiętaj, że jesteś więźniem.

- Znam swoją rolę - burknął czarodziej, wyciągany z namiotu niczym worek zboża.

Uśmiechnął się, bo spiesząca w przeciwnym kierunku Adie po raz ostatni spojrzała na niego przez ramię. Odwzajemniła uśmiech i już jej nie było.

- Zaczekajcie! - krzyknął Zedd. Pospiesznie sięgnął do jednego z wozów, zabrał coś, co chciał ocalić, i schował to do kieszeni. - W porządku, teraz możemy iść.

W obozie panowało pandemonium. Obok nich przemknęli doborowi gwardziści - z dobytą bronią pędzili ku namiotom dowództwa. Inni żołnierze biegli ku pierścieniowi umocnień. Trąbki grały na alarm i słały kodowane wieści kierujące żołnierzy do poszczególnych zadań. Zedd bał się, że ich grupkę zatrzymają i zechcą przesłuchać. Chase, nie czekając, aż to się stanie, złapał jakiegoś przebiegającego żołnierza.

- Co ty sobie myślisz?! Znajdź mi jakąś ochronę dla tych więźniów, żebym ich mógł odstawić w bezpieczne miejsce! Jeżeli uciekną, imperator każe nam ściąć głowy!

Żołnierz raz-dwa zebrał dwunastu kolegów i kazał im otoczyć Rikkę, Siostrę Tahirah, Chase'a, Rachel i Zedda. Rachel bardzo przekonująco darła się ze strachu. A Chase - dla lepszego efektu - od czasu do czasu nią potrząsał i wrzeszczał, żeby się zamknęła.

Czarodziej obejrzał się przez ramię - słońce dotykało nieboskłonu. Warknął do idącej sporo w przód Rikki, żeby jeszcze przyspieszyła kroku.

Ponurzy strażnicy przy umocnieniach dokładnie ich obejrzel, a potem się rozstąpili. Dbali o to, żeby nikt nie wszedł, i trochę ich dezorientowało, że ich koledzy wyprowadzają właśnie stąd więźniów. Jeden ośmielił się wysunąć z szeregu, żeby ich zatrzymać i przepytac.

Chase go osadził:

- Z drogi, głupcze! Rozkazy imperatora!

Tamten ze zmarszczonym czołem przyglądał się mijającej go grupce. Zanim się namyślił, co robić, już przeszli i zniknęli w dalszej części obozu. Jeszcze chwila i byli poza centralną częścią obozowiska. Tu szeregowi żołnierze, widząc idącą przodem Rikkę, zablokowali im przejście. Piękna kobieta, krocząc przez ich tereny, sama się prosiła o kłopoty. Poza tym dobrze widzieli zamieszanie, jakie zapanowało w sektorze dowództwa, i sądzili, że nadarza się im wspaniała okazja, skoro władze są tak zajęte. Rikka i Chase prowadzili grupkę szybkim tempem. Uśmiechnięci od ucha do ucha żołnierze zastąpili im drogę. Jeden z nich - brakowało mu dwóch przednich zębów - wysunął się o krok przed kamratów. Kciuk jednej dłoni zatknął za pas, drugą rękę uniósł w górę.

- Stać. Coś mi się widzi, że damulki rade tu zabawiają.

Rachel, ani na chwilę nie przystając, sięgnęła pod sukienkę i wyciągnęła nóż. Nawet nie spojrzawszy w tył, rzuciła nim przez ramię. Chase, nie zwalniając, płynnym ruchem złapał nóż za czubek i cisnął nim w tego bez dwóch zębów. Nóż wbił mu się w czoło aż po rękojeść. Żołdak jeszcze nie zdążył paść na ziemię, a Rachel już posłała Chase'owi przez ramię drugi nóż. Pochwycił go i zrobił z niego właściwy użytek. Drugi żołnierz zwałił się martwy, a pozostali odstąpili i przepuścili prądem naprzód grupkę. Takie śmiercionośne porachunki nie były w obozie Imperialnego Ładu niczym nadzwyczajnym.

Doborowi gwardziści nie doborowi gwardziści, żołnierze ufali w swoją liczebną przewagę, no i nie mieli wątpliwości, czego chcą, widząc wśród tej ciżby piękną kobietę. Otoczyli ich ciasnym kręgiem.

Zedd spojrzął za siebie.

- Teraz! Padnij!!!

Rikka, Chase, Rachel i Zedd rozpląszczyli się na ziemi.

Otoczający ich żołnierze na moment zamarli i patrzyli na nich ze zdumieniem. Towarzyszący grupce gwardziści też zamarli zaskoczeni, choć zdołali już dobyć broni, spodziewając się walki. Siostra Tahirah postanowiła wykorzystać okazję i wrzasnęła:

- Pomocy! Ci ludzie to...

Świat zapłonął oślepiającym białym blaskiem.

Chwilę później ziemię wstrząsnął straszliwy grzmot. Rycząca fala

wybuchu niosła przed sobą ścianę rozmaitych szczątków.

Żołnierzy wyrzuciło w górę. Niektórych zabiły latające w powietrzu szczątki. Eskortujący grupkę doborowi gwardziści przefrunęli nad Zeddem.

Siostra Tahirah obróciła się ku błyskowi. Dostała w pierś lecącym z nieprawdopodobną szybkością kołem wozu, które przecięło ją na dwoje. Okrwawione koło poleciało dalej, nawet nie zwalniając. Strzępy Siostry zasłały ziemię wraz ze zwłokami niezliczonych żołnierzy.

Grzmot wybuchu jeszcze nie ucichł, a w mrok wciąż jeszcze rozjaśniane resztkami słonecznych promieni niosły się już wrzaski straszliwie poranionych ludzi.

Zedd z całego serca żywił nadzieję, że Adie nie ociągała się z ucieczką.

Chase złapał go za ramię i postawił na nogi, drugą ręką podniósł Rachel. Rikka chwyciła drugie ramię czarodzieja i razem z Chase'em powlekli go naprzód. Wszyscy czworo pędzili przez jatkę. Rachel przytuliła buzię do ramienia Chase'a.

Zedd już miał zapytać strażnika, dlaczego, u licha, nauczył małą dziewczynkę takich sztuczek z nożem, kiedy przypomniał sobie, że to on nakazał Chase'owi, by nauczył ją wszystkiego, co powinien potrafić strażnik granicy.

Rachel była szczególną osobką i Zedd chciał, żeby była dobrze przygotowana na to, co życie mogło dla niej chować.

- Powinieneś mi pozwolić skłonić Siostrę, żeby ci zdjęła obrożę, kiedy jeszcze był na to czas - odezwała się Rikka, gdy biegli.

- Gdybyśmy choć trochę dłużej zwlekali - odparł Zedd - nie ucieklibyśmy przed ogniową kulą.

- Też tak sądzę - rzekła.

Zwolnili odrobinę, żeby złapać oddech. Żołnierze biegali we wszystkie strony. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwracał uwagi na to, że tych czworo ucieka. Kiedy spieszyli przez rozległe obozowisko Imperialnego Ładu, Zedd otoczył ramieniem barki Rikki i przyciągnął ją ku sobie.

- Dziękuję, żeś się zjawiała, żeby ocalić mi życie.

Błysnęła ku niemu przebiegłym uśmiechem.

- Nie zostawiłabym cię tym wieprzom, nie po tym wszystkim, coś dla nas zrobił. Poza tym lord Rahl ma przy sobie Carę do ochrony. Na pewno by chciał, żeby Mord-Sith chroniła i jego dziadka.

Zedd miał rację, świat stanął na głowie.

- Mamy ukryte konie i zapasy - odezwał się Chase. - Musimy tylko zabrać po drodze jakiegoś konia dla Rikki.

Rachel, obejmując strażnika granicy za szyję, wyrzała zza jego barku. Popatrzyła z powagą na Zedda i szepnęła:

- Chase jest niezadowolony, bo musiał zostawić prawie cały swój oręż i jest słabo uzbrojony.

Czarodziej spojrział na toporek u jednego biodra, miecz u drugiego i dwa noże na wysokości pasa.

- Taak, rozumiem, że mężczyzna aż tak pozbawiony możliwości obrony może mieć zły humor.

- Nie podoba mi się tutaj - szepnęła Rachel Chase'owi na ucho.

Poklepał ją po plecach, a ona położyła głowę na jego ramieniu.

- Raz-dwa będziemy znowu w lasach, mała.

Zedd nie mógł sobie wyobrazić bardziej rozczulającego obrazka, zwłaszcza wśród tych krzyków i śmierci.

ROZDZIAŁ 54

Verna się zatrzymała, kiedy z ciemności pospiesznie wyłonił się wartownik. Ujęła cugle bliżej wędzidła, żeby koń się nie wystraszył.

- Ksieni, obawiam się, że to może być jakiś atak - rzekł zdyszany i zaniepokojony żołnierz.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Jaki atak? Co się dzieje?

- Coś nadciąga drogą. - Wskazał ku Przełęczy Dobbina. - Chyba wóz.

Wróg stale na nich coś nasylał: żołnierzy skradających się w mroku, konie otulone zakłębieniem mającym zrobić wyrwę w ich osłonach, niewinnie wyglądające wozy z ukrytymi w środku łucznikami, wzbudzone zakłębieniem wichry niosące najrozmaitsze uroki.

- Jest ciemno, więc dowódca uważa, że nie powinniśmy ryzykować, bo to podejrzenie wygląda.

- Roztropna uwaga - zgodziła się Verna.

Musiała wrócić do obozu. Sama pojechała na codzienną inspekcję, chcąc się dobrze przyjrzeć liniom obronnym, spotkać z żołnierzami na placówkach. Potem, jak co wieczór, czekało ich w obozie omówienie raportów.

- Dowódca chce zniszczyć wóz, zanim ten podjedzie za blisko. Sprawdziłem, Ksieni w pobliżu nie ma innych Sióstr. Jeżeli nie zechcesz sama się tym zająć, żołnierze spuszczą kamienną lawinę, która zmiażdży wóz.

Verna musiała wracać na spotkanie z oficerami.

- Lepiej powiedz dowódcy, żeby załatwił tę sprawę, jak uważa za stosowne.

Żołnierz zasalutował, przykładając pięść do serca. Verna przyciągnęła konia, wsunęła stopę w strzemień. Dlaczego Imperialny Ład uznał, że wóz przejedzie, i to w nocy? Na pewno mieli dość rozsądku, by się nie łudzić, że w nocy nikt wozu nie zauważy. Znieruchomiała i obejrzała się na pospiesznie odchodzącego żołnierza.

- Zaczekaj.

Zatrzymał się i obrócił ku niej.

- Zmieniłam zdanie. Idę z tobą.

Niemądrze byłoby marnować zgromadzone na górze kamienie; mogły im się przydać, gdyby wróg nagle zaatakował tę przełęcz. Głupio byłoby zmarnować takie środki obronne.

Szła za wartownikiem do punktu obserwacyjnego, w którym czekała jego kompania. Żołnierze obserwowali teren zza drzew. Widoczna w dole droga srebrzyła się w poświacie wschodzącego księżyca.

Verna przyglądała się jadącemu srebrzystą drogą wozowi ciągniętemu przez stąpającego ciężko konia. Wdychała aromat balsamicznych jodeł. Łucznicy czekali w pogotowiu. Mieli przy sobie osłoniętą latarnię, żeby zająć od niej strzały mające podpalić wóz.

Nikogo w wozie nie widziała. Pusty wóz to na pewno podejrzana sprawa. Przypomniała sobie osobliwą wiadomość od Ann, nakazującą, żeby przepuściła pusty wóz. Ale przecież już to zrobili. W ten sam sposób, tą samą drogą, zjawiała się dziewczuszka z listem od Jaganga. Vernie ścisnęło się serce na myśl o tym, jaką wieść mógł tym razem słać imperator.

Może to były głowy Zedda i Adie.

- Nie strzelać - zawołała do łuczników. - Przepuście wóz, ale bądźcie w pogotowiu, na wypadek gdyby to był podstęp.

Zeszła wąską ścieżką pomiędzy drzewami. Stała pod osłoną świerków i patrzyła. Kiedy wóz był już wystarczająco blisko, otworzyła niewielką szczelinę w osłonie, którą wraz z Siostrami utkały w poprzek przełęcz. Wykorzystały przy tym najpaskudniejsze uroki, jakie znały. Ta przełęcz była na tyle wąska, że mogła jej bronić sama taka osłona, a gdyby wróg nadszedł, żadne jego gromady by się tędy nie przedostały. Względnie łatwo można byłoby utrzymać to przejście i bez magicznej osłony.

Kiedy wóz przejechał przez osłonę, Verna zasklepiła szczelinę. Gdy znalazł się jeszcze bliżej, spomiędzy drzew wybiegł żołnierz i zatrzymał konia. Wóz stanął, a tuziny łuczników stojących i za nim, i za Verną uniosły broń. Sama Siostra utkała magiczną sieć i była gotowa jej użyć przy najmniejszym niebezpieczeństwie.

Odchyliło się smołowane płótno. Usiadła mała dziewczynka. To ona ostatnim razem przywiozła wieści. Uśmiechnęła się na widok Verny, znajomej jej osoby.

A w Vernie na moment zamarło serce na myśl o tym, jaka to teraz będzie

wieść.

- Sprowadziłam kilku przyjaciół - oznajmiła dziewczynka.

Leżący na wozie ludzie odrzucili płótno i zaczęli siadać. Wyglądali jak rodzice w towarzystwie wystraszonych dzieciaków.

Ksieni zamrugła ze zdumieniem, kiedy ujrzała, jak pomagają się podnieść Adie. Czarodziejka wyglądała na wyczerpaną. Jej przetykanych siwizną włosów już nie rozdzielał równiutki przedziałek; były tak samo rozwichrzzone, jak zwykle bywały włosy Zedda. Verna pospieszyła ku niej i pomogła jej.

- Adie! Och, Adie, tak się cieszę, że znów cię widzę!

- I ja się ogromnie cieszę na twój widok, Verno. - Stara czarodziejka się uśmiechnęła.

Verna przyjrzała się ludziom na wozie. Jeszcze się nie wyzbyła lęku.

- A gdzie Zedd?

- Też uciekł.

Siostra zamknęła oczy i odmówiła w duchu dziękczynną modlitwę. Potem gwałtownie otworzyła powieki.

- Skoro uciekł, to gdzie jest?

- W drodze do wieży, do Aydindril - odparła Adie swoim zachrypniętym głosem. - Wróg ją zajął.

- Słyszeliśmy o tym.

- Ten stary chce odbić wieżę.

- Znając Zedda, współczuję każdemu, kto mu stanie na drodze.

- Rikka jest z nim.

- Rikka?! A co ona tam robi? Przecież jej tego zabroniłam! - Ksieni uświadomiła sobie, jak to musiało zabrzmieć. - Myśleliśmy, że to na nic, że jej się nie uda i że na próżno ją stracimy.

- Rikka to Mord-Sith. Ma własny rozum.

Verna potrząsnęła głową.

- No cóż, choć nie powinna tego robić, to kiedy znów cię widzę i wiem, że Zedd też uciekł, cieszę się, że ta uparta kobieta mnie nie posłuchała.

- Kapitan Zimmer też już wraca.

- Kapitan Zimmer!

- Tak, on i paru jego ludzi także postanowili nas odbić. Wracają swoją zwykłą drogą, gdzie nikt ich w nocy nie zobaczy. - Adie wskazała okoliczne

drzewa. - Byli wokół nas i strzegli wozu. Kapitan bał się, że jacyś żołnierze nieprzyjaciela mogliby zatrzymać wóz i znowu nas pojmać. Chciał mieć pewność, że nic się nam nie stanie.

Kapitan i jego ludzie mieli specjalne sygnały, dzięki którym mogli przekraczać przełęcz nie atakowani przez własne wojsko albo Siostry, co inaczej mogło się przez pomyłkę zdarzyć. Zimmer i jego podwładni przeważnie działali na własną rękę. Kahlan o to zadbała. Chociaż czasami było to irytujące, ci żołnierze mieli na swoim koncie więcej sukcesów, niż się ktokolwiek spodziewał.

- Zedd chciał, żebym pomogła uciec tym ludziom. - Adie spojrzała znacząco na Vernę. - Ale byli i tacy, którym nie mogliśmy pomóc.

Siostra popatrzyła na ludzi skulonych w tyle wozu.

- Mogę sobie wyobrazić, co Jagang robił takim jak oni.

- Nie - odparła Adie. - Wątpię, czy możesz.

Verna przeszła do jeszcze bardziej zatrważającego tematu.

- Czy Jagang znalazł już wśród ukradzionych z wieży rzeczy coś, co mógłby wykorzystać przeciwko nam?

- Na szczęście nie. Zedd aktywował czar, który zniszczył przedmioty ukradzione z wieży. Pośrodku ich obozu był wielki wybuch.

- Jak ten w Aydindril, który tyłu ich zabił?

- Nie, ale i tak sporo zniszczył i zabił niektórych ważnych ludzi, nawet kilka Sióstr Jaganga, o ile wiem.

Verna nigdy nie sądziła, że się ucieszy, gdy usłyszy, że umarły Siostry Świata. Te kobiety były kontrolowane przez Nawiedzającego Sny i nawet kiedy ofiarowano im wolność, nie skorzystały z niej, zbyt wystraszone, żeby zaufać tym, którzy chcieli je ocalić. Wolały pozostać niewolnicami Jaganga.

Siostra, tknięta nagłą myślą, zacisnęła dłoń na sukni Adie.

- Czy ten aktywowany przez Zedda czar mógł zabić i Jaganga?

Adie spojrzała swoimi białymi oczami za Przełęcz Dobbina, ku obozowi Imperialnego Ładu.

- Chciałabym mieć dla ciebie lepsze wieści, Ksieni, ale w drodze powrotnej kapitan Zimmer powiedział mi, że tuż przed naszym ocaleniem do wewnętrznego sektora obozu dostał się asasyn.

- Asasyn? Kto? Skąd?

- Tego nikt z nas nie wie. Wyglądał jak ci ze Starego Świata. Kierowała

nim nieugięta determinacja, żeby dotrzeć do Jaganga i go zabić. Udało mu się przedostać za wewnętrzne umocnienia i zgładzić paru ludzi. Zdobył mundur doborowego gwardzisty, żeby się łatwiej dostać do Jaganga. Ale gwardziści jakoś poznali, że to nie jeden z nich. Roznieśli go na strzępy, zanim się zdołał zbliżyć do imperatora. Jagang zniknął stamtąd, żeby jego ludzie mogli sprawdzić linie obronne i upewnić się, że nie ma już innych asasynów. Razem z nim odeszło sporo Sióstr, pomagając go chronić. Akurat wtedy Zedd aktywował czar zachodzącego słońca. Nie wiedzieliśmy, że Jaganga już tam nie ma, ale to i tak nic by nie zmieniło. Zedd musiał wykorzystać ten czar, kiedy go przed nim postawiono. Zachodzące słońce doprowadziło do wybuchu.

Verna skinęła głową. Przez chwilę miała nadzieję...

- Tobie i Zeddowi udało się uciec, i to się najbardziej liczy. Dzięki ci, Stwórco.

- Zdumiewająco wielu ludzi się tam pojawiło, żeby nas ratować - rzekła Adie, unosząc brew. - Ale nie przypominam sobie, żeby pomiędzy nimi był Stwórca.

Ciepły wiatr zwichrzył wijące się włosy Ksieni.

- Przypuszczam, że nie, ale wiesz, co mam na myśli.

W lasach nie milkły świerszcze. Życie wydawało się odrobinę miłsze, a ich sytuacja nieco mniej beznadziejna. Verna westchnęła.

- Mam nadzieję, że Stwórca pomoże Zeddowi i Rikce odbić wieżę.

- Zedd nie będzie potrzebował pomocy Stwórcy - odezwała się Adie. - Jeszcze ktoś się pojawił, żeby nas ratować. Chase, stary przyjaciel Zedda, mój i Richarda. Chase sprawi, że ci z wieży będą błagać Stwórcę o opiekę.

- Więc możemy z niecierpliwością wyglądać dnia, kiedy wieża znów będzie w naszych rękach, a Jagang nie znajdzie nic, co by mu pomogło sforsować przełęczę i dostać się do D'Hary. - Verna pomachała ręką, dając znaki, i cztery stojące w tyle wozu pary poczłapały do przodu razem z dziećmi. - Witajcie w D'Harze - powiedziała do nich. - Tutaj będziecie bezpieczni.

- Dziękujemy, że pomogłaś nas stamtąd wydostać - rzekł jeden z mężczyzn, skłaniając głowę przed Adie. - Teraz się wstydzę, że myślałem o tobie takie okropne rzeczy.

Adie uśmiechnęła się do siebie i zacisnęła szczupłe palce na jego

ramieniu.

- Prawda. Ale nie mogę cię za to winić.

Dziewuszka, która przywiozła im wieści, pociągnęła Vernę za spódnicę.

- To moi mama i tata. Mówiłam im, jaka byłaś dla mnie dobra.

Siostra kucnęła i przytuliła ją.

- Witaj z powrotem, dziecko. Witaj.

ROZDZIAŁ 55

Ilekcroć wiatr poruszył górnymi gałęziami, przez leśne sklepienie przedostawały się srebrzyste snopy księżycowej poświaty i migwały w ciemności niczym grasujące duchy. Kahlan rozglądała się, starając się wypatrzeć jakieś obce elementy, chociaż ledwie dostrzegła ciemniejsze kształty olbrzymich drzew. Nie słyszała grania owadów ani szelestu łapek małych zwierząt na liściastej ściółce, nie śpiewały też żadne przedrzeźniacze. Ostrożnie szła po porośniętej mchem ziemi, wysilając w mroku oczy, żeby nie wpaść w jakąś dziurę, nie stąpnąć w rozpadlinę w skalistym podłożu lub w wodę stojącą w zagłębieniach.

Przed nią Richard przemykał się przez las niczym cień. Czasami znikał i bała się, że już go z nimi nie ma. Nakazał, żeby szli jego śladem, nic nie mówiąc i starając się robić jak najmniej hałasu - ale nikt z nich nie potrafił poruszać się w lesie tak cicho jak on.

Richard z jakiegoś powodu był ogromnie spięty. Czuł, że coś jest nie tak, lecz nie wiedział co. Wyglądało to co prawda jak przepiękna leśna księżycowa noc, ale zachowanie chłopaka i niesamowita cisza napawały wszystkich złym przeczuciem.

Kahlan była zadowolona, że się przynajmniej rozchmurzyło. Ostatnie deszcze sprawiały, że podróż była nie tylko trudna, ale i przygnębiająca. Właściwie nie było zimno, lecz wilgoć powodowała, że tak się zdawało. Ukrycie się gdzieś nie wchodziło w rachubę. Nie mogli się zatrzymać, dopóki nie zdobyli ostatniej dawki antidotum.

Antidotum z Northwick trochę poprawiło stan Richarda, zahamowało nasilanie się objawów zatrucia, jednak ta chwilowa poprawa już się kończyła. Kahlan tak się martwiła o męża, że nie mogła jeść.

Było teraz z nimi ponad dwa razy więcej ludzi niż na początku, a jeszcze liczniejsi różnymi drogami zdążali ku Hawton. Te inne grupy zamierzały wyeliminować mniejsze oddziały Imperialnego Ładu, stacjonujące w miastach leżących przy ich trasie. Richard, Kahlan i ich towarzysze szli ku Hawton najszybciej jak się dało, rozmyślnie unikając kontaktu z przeciwnikiem, żeby dotrzeć do miasta, zanim Nicholas i jego żołnierze zorientują się, że tu idą. Ostrożność powinna umożliwić im zdobycie

ostatniej dawki antidotum.

Kiedy już zdobędą odtrutkę, przyłączą się do pozostałych i zaatakują. Kahlan wiedziała, że gdyby udało im się najpierw wyeliminować Nicholasa, wszystko byłoby łatwiejsze i mniej ryzykowne - łatwiej by sobie dali radę z pozostałymi siłami Imperialnego Ładu. Gdyby zdołała się zbliżyć do Nicholasa, mogłaby go dotknąć swoją mocą. Wołała nie wspominać o tym pomysle Richardowi - nigdy by się na to nie zgodził.

Kahlan do pewnego stopnia czuła się odpowiedzialna za to, co ci ludzie wycierpieli pod władzą Imperialnego Ładu. W końcu gdyby nie uwolniła demonów, nie zniknęłaby granica chroniąca Bandakar. Z drugiej strony, gdyby ci ludzie własnymi siłami uwolnili się od Imperialnego Ładu, te wszystkie zmiany oznaczałyby dla nich wolność, którą się tak naprawdę nigdy nie cieszyli, oraz możliwość lepszego życia.

Dobrze było obserwować zmianę zachodzącą w mieszkańcach Northwick. Ci, którzy przyszli z Richardem i Kahlan, większość owej nocy spędzili na rozmowach z miejscowymi, na wyjaśnianiu im tego, co im wyjaśnili Richard z Kahlan. Rankiem, po wybiciu żołnierzy, którzy zajęli miasto i paraliżowali wszystkich strachem, mieszkańcy świętowali, śpiewając i tańcząc na ulicach. Ci ludzie dowiedzieli się nie tylko tego, jak cenna jest wolność, ale również tego, że ich dawne zasady nie pozwalały im poprawiać jakości życia.

Kiedy Richard rozwiął złudzenia co do mądrości mentora, bezsensownych frazesów przedstawianych przez heroldów jako „wiedza” oraz po zabiciu żołnierzy wroga, ludzie z Northwick bez wahania ofiarowali pomoc w uwolnieniu swoich ziem od Imperialnego Ładu. Wolni od narzuconych im ograniczeń w myśleniu, głośno rozprawiali o przyszłości, na którą by mieli wpływ.

Kahlan niespodziewanie natknęła się na wyciągnięte ramię Richarda. Przycisnęła dłoń do szaleńczo bijącego serca i natychmiast się odwróciła, żeby przekazać tym z tyłu znak, że się mają zatrzymać. W mrocznym lesie nadal było zupełnie cicho - nawet moskit nie zabrzączał.

Richard zsunął z ramion plecak, postawił go na niskiej skałce i zaczął czegoś w nim szukać.

- Co robisz? - wyszeptała Kahlan, pochylając się ku niemu.

- Ogień. Potrzebne nam światło. Przekaż im, żeby część ludzi wyjęła

pochodnie.

Richard wyjmował krzemień i krzesiwo, a Kahlan wyszeptała Carze jego polecenia. Mord-Sith przekazała je dalej. Wkrótce cicho podeszli ludzie z pochodniami. Przycupnęli za niskimi skałkami przed Richardem. Ten podniósł z ziemi patyk i zanurzył go w małym pojemniczku wyjętym z plecaka, a potem przejechał patykiem po najwyższym miejscu skałki.

- Naniósłem tu trochę sosnowej żywicy - wyjaśnił. - Pochylcie nad nią pochodnie, żeby się od niej zajęły, kiedy skrzeseć iskrę i ją podpaleć.

Sosnowa żywica, mozolnie zbierana z butwiejących drzew, była ceniona, bo ułatwiała rozpalanie ognia w deszczu. Nawet wilgotna zapalała się od iskry. Dawała taki żar, że często można było rozpaścić i mokre drewno.

W mroku Richard zawsze był w swoim żywiole. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała, żeby tak dążył do rozpalenia jakiegoś światła. Patrzyła bacznie w mrok, zastanawiając się, co też się tam kryje takiego, zdaniem Richarda, czego nie mogą zobaczyć.

- Caro - szepnął chłopak - nakaż, żeby wszyscy dobyli broni. Natychmiast.

Cara bez zwłoki przekazała rozkaz. Po pozornie nieskończeniu długiej ciszy, zakłócanej jedynie ledwie słyszalnymi odgłosami stali wysuwającej się ze skórzanych pochw, nadeszła odpowiedź i Mord-Sith nachyliła się ku Richardowi.

- Zrobione.

Richard popatrzył na Kahlan i Jennsen.

- Wy też.

Kahlan dobyła swego miecza, Jennsen wyciągnęła nóż o srebrnej rękojeści z ozdobnym „R”, godłem rodu Rahlów.

Richard skrzesał iskrę. Sosnowa żywica zapłonęła z gniewnym sykiem, pochodnie zajęły się od niej. W sercu mrocznego lasu zapłonęło światło.

Wszyscy się odwrócili, żeby w nagłym jaskrawym blasku zobaczyć, cóż to się skrywa w otaczających ich mrokach.

Zachłyśnęli się oddechem.

Na pobliskich drzewach - na każdej gałęzi - siedziały czarnosterne chyżoloty. Setki chyżolotów. Paciorkowate czarne oczy obserwowały ludzi. Ciszę oświetlonego jaskrawym blaskiem miejsca zakłócał jedynie syk płomieni.

A potem chyżoloty z wrzaskiem runęły do ataku.

Rzuciły się na nich wszystkie równocześnie, z każdej strony. Powietrze nocy wypełniły nagle połyskliwe czarne pióra, łopot wielkich skrzydeł, zakrzywione dzioby, nastawione pazury. Po tak długiej ciszy hałas wywołany łopotem wielkich skrzydeł i przeszywającymi ptasimi wrzaskami wręcz ogłuszał.

Ludzie z determinacją odpowiedzieli na ten atak. Niektórych ptaszyska przewróciły albo się potknęli i upadli. Inni krzyczeli, osłaniając się jedną ręką, a drugą parując napaść. Wszyscy rąbali chyżoloty szarpiące ich przyjaciół i obracali się, by odpędzić inne, lecące ku nim ze skrzekiem.

Kahlan zobaczyła nagle tuż przed sobą okrwawioną pierś chyżolota. Zamachnęła się mieczem, odcinając mu skrzydło, i okręciła się, żeby pchnąć ptaszysko nadlatujące z przeciwnej strony. Dźgnęła też leżącego u jej stóp chyżolota, bo sięgał dziobem, niby sęp, żeby poszarpać jej tydkę.

Miecz Richarda migotał srebrzyście, tnąc skrzydlatych napastników. Stał w chmurze czarnych piór. Ptaki atakowały wszystkich, lecz zmasowany atak przypuściły na chłopaka. Wyglądało to tak, jakby się starały odciągnąć od niego innych, żeby móc go zaatakować z jeszcze większą siłą.

Jennsen energicznie dźgała nożem lecące ku niemu ptaki. Kahlan cięła mieczem inne, strącając je na ziemię poranione lub martwe. Cara płynnie chwyciła je w powietrzu i skręcała im szyje.

Wszyscy pchali, siekli i rąbali atakujące ich zajadłe drapieżne ptaszyska. Niektórzy jako oręż wykorzystywali pochodnie. Noc rozdzierały wrzaski ptaków, łopot skrzydeł, głuche odgłosy trafiającej w cel broni. Trafione ptaki spadały na ziemię. Ich miejsce zajmowały inne. Z okolicznych drzew spływały coraz to nowe zastępy potwornych bestii. Miotające się na ziemi ranne i umierające chyżoloty zamieniały dno lasu w skłębione morze czarnych piór.

Przerażała zajadłość ataku.

A potem nagle się skończył.

Nieliczne chyżoloty, szeroko rozpościerając skrzydła, nadal usiłowały poderwać się z ziemi. Ich pióra jedwabście szeleściły, ocierając się o pióra martwych ptaków, po których deptały. Ludzie tu i ówdzie dobijali jeszcze żywe chyżoloty szamoczące się na ściółce. Wkrótce wszystkie ptaszyska znieruchomiały. A z góry nie nadlatywały już kolejne.

Martwe chyżoloty otaczały Richarda jak nawiana przez wichę zaspą.

Ludzie ciężko oddychali, unosili wysoko pochodnie. Spoglądali w mrok poza kręgiem światła, patrząc, czy jeszcze coś im z góry nie zagraża. Ale ciszę nocy zakłócało jedynie syczenie pochodni. Gałęzie okolicznych drzew były puste.

Kahlan zobaczyła, że Richard ma podrapane i poszarpane dłonie oraz ramiona. Przebrnęła przez morze zabitych ptaków ku jego plecakowi leżącemu na pobliskiej skałce. Warstwa martwych chyżolotów wokół chłopaka sięgała kolan. Kahlan musiała zrzucić ptaszysko z jego plecaka. Wsunęła rękę do środka i szukała na oślep, aż natrafiła na pakuneczek z nawoskowanego papieru, w którym była maść.

Cara spostrzegła, jak Richard się chwieje, i pospieszyła ku niemu. Ujęła go pod ramię, podtrzymała.

- A cóż to takiego, u licha, było? - spytała zadyszana Jennsen, odgarniając ze spoconej twarzy rude loki.

- W końcu postanowiły nas dopaść - odezwał się Owen.

Jennsen poklepała łeb Betty, gdy kózka - cała i zdrowa - przyszła ku nim przez sterty martwych chyżolotów.

- Więc wreszcie nas odnalazły.

- Tym razem, co ważne, było zupełnie inaczej - odezwał się Richard. - Nie leciały naszym tropem. Tkwiły tutaj, czekając na nas.

Wszyscy się w niego wpatrzyli.

- Co masz na myśli? - spytała Kahlan, nakładając maść na jego rany. - Przedtem nas śledziły. Musiały nas wypatrzeć.

Betty przysunęła się bliżej, oparła o nogę dziewczyny i przyglądała się, jak ta rozmawia z Richardem. Kahlan nie była w nastroju do drapania kózki za uszami, więc ją odepchnęła. Richard wsparł się na ramieniu Cary. Kahlan zauważyła, jak bardzo się chwieje. Czasami trudno mu było ustać.

- Nie. Nie tropiły nas. Niebo było puste. - Wskazał otaczające go martwe ptaki. - Te chyżoloty nie leciały naszym śladem. Czekwały na nas. Wiedziały, że tu idziemy. Zaczaiły się na nas.

Przerazające - jeśli to była prawda.

Kahlan się wyprostowała; w jednej ręce trzymała nawoskowany papier, na palcu drugiej dłoni miała porcję maści.

- Skąd niby mogły wiedzieć, dokąd idziemy?

- Właśnie to chciałbym wiedzieć - odparł Richard.

Nicholas wśliznął się w swoje ciało; usta nadal były rozwarte w ziewnięciu, które ziewnięciem nie było. Poruszył szyją, rozciągając mięśnie. Uśmiechnął się zachwycony zabawą. To było cudowne. Wspaniałe. Coraz szerszy uśmiech odsłonił zęby.

Podniósł się z trudem i przez moment chwiał na nogach. To mu przypomniało, jak chwiał się na nogach Richard Rahl, bo mu się kręciło w głowie od działania trucizny, która nieubłaganie go zabijała.

Biedaczysko Richard Rahl potrzebował ostatniej dawki antidotum.

Nicholas znów rozwarł usta w ziewnięciu, które ziewnięciem nie było, kręcił głową, miał ochotę być gdzie indziej, miał ochotę więcej się dowiedzieć. Już wkrótce tam wróci. Będzie ich obserwować. Obserwować, jak się martwią, jak na próżno starają się dowiedzieć, co się dzieje. Obserwować, jak się zbliżają. Powinni tu być za parę godzin.

Zabawa dopiero się zaczynała.

Nicholas szedł przez komnatę, omijając ciała zaścielające podłogę. Wszyscy zmarli nagłą śmiercią, kiedy zabito chyzoloty. Miejscami zwłoki leżały jedne na drugich, w stertach, jak te ptaszyska w mrocznym lesie wokół Richarda Rahla.

Taka gwałtowna śmierć. Te duchy były przerażone, kiedy mordowano ich nosicieli, ale nic nie mogły na to poradzić.

Nicholas miał pod kontrolą ich dusze, ich los. Teraz się mu wymknęli, teraz należeli do Opiekuna zmarłych.

Czarodziej przeczesał włosy paznokciami i zadrzał z rozkoszy, czując pod palcami i wnętrzem dłoni śliskie olejki.

Musiał odciągnąć ciała, zanim się dostał do drzwi. Odsunął ciężki rygiel i otworzył masywne skrzydło.

- Najari!

Zaufany dowódca stał w pobliżu - czekał, oparty o ścianę. Wyprostował muskularne ciało.

- O co chodzi?

Nicholas z gracją wskazał w tył, szeroko rozcapierzając palce o pomalowanych na czarno paznokciach.

- Trzeba uprzątnąć ten bałagan. Zwołaj paru ludzi i każ im wynieść ciała.

Najari podszedł ku drzwiom, wyciągnął szyję i zajrzał do wnętrza.

- Wszyscy, których ci sprowadziliśmy?

- Tak - burknął Nicholas. - Potrzebni mi byli wszyscy i jeszcze posłałem żołnierzy po następnych. Skończyłem z nimi. Usuń ich stąd.

Każdy z atakujących chyzolotów był kierowany przez duszę jednego z tych nieskażonych magią ludzi, Nicholas zaś kierował każdą z tych dusz. To było wspaniałe osiągnięcie - równoczesne, precyzyjne i skoordynowane dowodzenie taką liczbą. Ale kiedy zabijano chyzoloty, umierały i ciała siedzące w tej komnacie z Nicholasem.

Przypuszczał, że pewnego dnia nauczy się przywoływać duchy, kiedy zginą ich nosiciele. Wtedy nie musiałby za każdym razem starać się o nowe. No, ale ludzi nie brakowało. Poza tym gdyby się nauczył je przywoływać, miałby na karku tych, do których dusze by wróciły. Oni już by wiedzieli, po co są mu potrzebni.

Zirytował się jednak, kiedy Richard Rahl zabił tych, przez których go obserwował.

- Długo jeszcze? - spytał Najari.

Nicholas się uśmiechnął, wiedząc, o co tamten pyta.

- Wkrótce. Bardzo niedługo. Musisz usunąć stąd tych ludzi, zanim się zjawią. I trzymaj z dala żołnierzy. Pozwól im robić, co zechcą.

Najari uśmiechnął się przebiegle.

- Według życzenia, Nicholasie.

Slide znacząco uniósł brew.

- Imperatorze Nicholasie.

Najari zarechotał, odchodząc po żołnierzy.

- Imperatorze Nicholasie.

- Wiesz co, Najari, rozmyślałem trochę.

Dowódca zawrócił.

- A o czym?

- O Jagangu. Tak ciężko pracowaliśmy. Niby czemu mam mu się kłaniać? Cała rzesza mego milczącego wojska mogłaby na niego spaść i byłoby po nim. Nawet nie potrzebowałbym armii. Dosiadłby pewnego dnia konia, a ja bym tkwił w zwierzęciu, czekając, żeby Jaganga zrzucić i stratować na śmierć.

- Też prawda. - Najari potarł kilkudniowy zarost.

- No bo co za pożytek z tego Jaganga? Też mógłbym z łatwością dowodzić

Imperialnym Ładem. Po prawdzie, to i lepiej się do tego nadaję.

Dowódca przekrzywił głowę.

- To co z planami, któreśmy dopiero co ułożyli?

Czarodziej wzruszył ramionami.

- Po co je zmieniać? Ale czemu miałbym oddawać Jagangowi Matkę Spowiedniczkę? I pozwalać mu zdobyć świat? Może ją sobie zatrzymam dla własnych przyjemności... i świat też sobie wezmę.

ROZDZIAŁ 56

Richard oparł się plecami o oszalowaną deskami ścianę. Musiał na chwilę przystanąć i odczekać, aż świat przestanie wirować. Było mu tak zimno, że aż zdrętwiał. Było ciemno, z trudem widział.

Ale to nie była tylko ciemność.

Wiedział, że wzrok zaczął go zawodzić.

Nocą było gorzej. Zawsze widział nocą lepiej niż większość ludzi. A teraz widział nocą nie lepiej od Kahlan. Nie była to znaczna różnica, lecz zdawał sobie sprawę, co to oznacza.

Zaczęła się trzecia faza działania trucizny.

Na szczęście wkrótce zdobędą ostatnią dawkę antidotum.

- To w tym zaułku - szepnął Owen.

Richard spojrzał w górę i w dół ulicy. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Hawton spało. I on z chęcią by się przespał. Był tak wyczerpany i tak mu się kręciło w głowie, że z trudem szedł. Musiał bardzo płytko oddychać, żeby nie kaszleć. Kaszel powodował najgorszy ból. Ale przynajmniej nie kaszlał krwią.

Zresztą w tej chwili kaszel mógłby mieć fatalne skutki, więc przełknął ślinę, żeby go powstrzymać. Każdy hałas mógłby zaalarmować żołnierzy.

Owen wszedł w zaułek, a Richard, Kahlan, Cara, Jennsen, Tom, Anson i garść ich ludzi ruszyli za nim rżądkiem. W wychodzących na ulicę oknach nie było światła. Z kolei w zaułku, którym posuwali się tuż pod ścianami, Richard nie zauważył żadnych okien. W kilku ścianach widać było drzwi.

Owen skręcił w wąską, ceglana dróżkę między budynkami. Richard niemal się ocierał o ściany. Złapał Owena za ramię.

- To jedyna droga?

- Nie. Widzisz? Dróżka wychodzi na frontową ulicę, a tam są inne drzwi, z drugiej strony budynku.

Richard, zadowolony, że mają zapasową drogę ucieczki, skinął Bandakarczykowi głową. Zeszli ciemnymi schodami do pomieszczenia pod budynkiem. Tom kilka razy próbował skrzesać iskrę, zanim mu się udało zapalić świecę. Kiedy wreszcie zapłonęła, Richard rozejrzał się po niewielkim, pustym, pozbawionym okien miejscu.

- Co to jest?

- Piwnica pałacu - odparł Owen.

Richard spojrział nań chmurnie.

- Co my tu robimy?

Owen zawahał się i zerknął na Kahlan.

Kahlan podchwyciła to spojrzenie. Skłoniła Richarda, żeby usiadł i oparł się o ścianę. Betty, z obolałymi kopytkami, wcisnęła się między nich i położyła obok Richarda, zadowolona z odpoczynku. Jennsen przycupnęła przy drugim boku zwierzęcia. Cara stanęła przed nim, obok Kahlan.

Kahlan uklękła przed mężem, a potem przysiadła na piętach.

- Prosiłam Owena, żeby nas tutaj przyprowadził. Żeby znalazł miejsce, w którym bylibyśmy bezpieczni. Wszyscy nie możemy wejść do środka po antidotum.

- Chyba nie. Dobry pomysł. Owen i ja pójdziemy, a wy tu zaczekacie, żeby was nikt nie zauważył.

Zaczął wstawać, ale Kahlan mu nie pozwoliła.

- Musisz tu poczekać, Richardzie. Nie możesz iść. Kręci ci się w głowie. Musisz oszczędzać siły.

Chłopak zapatrzył się w jej zielone oczy, które go zawsze tak urzekały, które zawsze sprawiały, że prócz niej nic się nie liczyło. Żałował, że nie mogą być sami w jakimś spokojnym miejscu - jak ten domek, który zbudował dla niej w górach, w tych górach, do których zawiózł ją, żeby wyzdrowiała po tym wszystkim, co ją spotkało... kiedy straciła ich nienarodzone dziecko pobita niemal na śmierć przez tych bydlaków.

Była mu najdroższą ze wszystkich istot. Była dla niego wszystkim. Z całej duszy pragnął, żeby była bezpieczna.

- Mam dość sił. Nic mi nie będzie.

- Jeżeli zaczniesz kaszleć tam, gdzie są żołnierze, to cię pochwyć i się nie wydostaniesz, a tym bardziej nie znajdziesz antidotum. Złapaliby i ciebie, i Owena. Nie wiadomo, ilu tu jest żołnierzy. Co się stanie, jeżeli cię złapią? Co by się stało, gdyby... - Umilkła i odsunęła za ucho pasmo włosów. - Owen już tu był, Richardzie. Może znów tam pójść.

Richard czytał w jej oczach desperację. Bała się, że go straci. Tak mu było przykro, że przyprawiał ją o lęk.

- Słusznie, lordzie Rahlu - zapewnił go Owen. - Pójdę po antidotum i przyniosę ci je.

- A ty sobie odpoczniesz, kiedy będziemy czekać - powiedziała Kahlan. - Pośpisz sobie, dopóki nie przyniosą antidotum.

O swoim zmęczeniu Richard wolał nie debatować. Ale wcale mu się nie podobało, że nie pójdzie.

- Tom mógłby z nim pójść - podsunęła Cara.

Richard spojrzął w jej błękitne oczy. Spojrzął w oczy Kahlan. Wiedział, że w tej sprawie nie ma nic do gadania.

- Daleko to? - spytał Owena.

- Spory kawałek. Jesteśmy na skraju miasta. Chciałem nas doprowadzić do takiego miejsca, gdzie trudno spotkać żołnierzy. Antidotum jest ponad godzinę drogi stąd. Uznałem, że lepiej nie wchodzić zbyt głęboko w miasto, na wypadek gdybyśmy się mieli wycofać, ale jesteśmy wystarczająco blisko, żebyś nie musiał zbyt długo czekać na antidotum.

Richard skinął głową.

- Dobrze. Poczekamy tutaj na ciebie i Toma.

Kahlan chodziła tam i z powrotem po niewielkiej, wilgotnej piwnicy, a reszta siedziała pod ścianami, czekając w milczeniu. Dziewczyna nie mogła wytrzymać tego napięcia. Za bardzo przypominało to czuwanie przy zmarłym.

Byli tak blisko, że wydawało się to niesłychanie odległe. Tak długo czekali, że te chwile wydawały się wiecznością. Kahlan nakazała sobie spokój. Richard wkrótce dostanie antidotum. I poprawi mu się. Jego organizm pozbędzie się trucizny.

A co, jeżeli antidotum nie poskutkuje? Jeżeli czekał już tak długo, że jest za późno na wszelkie leki? Nie. Człowiek, który przyrządził truciznę i antidotum, powiedział Owenowi, że ta trzecia dawka wyleczy Richarda. Biorąc pod uwagę ich wierzenia, musieli być pewni, że efekty działania trucizny są odwracalne. Nigdy by się nią nie posłużyli, gdyby zagrażała życiu.

A co, jeżeli byli w błędzie?

Kahlan chodziła tam i z powrotem, rozmasowując ramiona i ganiąc siebie za to, że wymyśla sobie tematy do zamartwiania się. Mieli wystarczająco dużo prawdziwych kłopotów, nie powinna dać się ponieść wyobraźni. Dostaną to antidotum, a potem zajmą się problemem z darem Richarda. A jeszcze później czekały ich sprawy związane z Jagangiem i jego

armią.

Kiedy ujrzała, że Richard mocno zasnął, postanowiła wyjść na zewnątrz i tam poczekać na Owena i Toma. Cara - wsparta o ścianę w pobliżu chłopaka i strzegąca jego snu - skinęła głową, gdy Kahlan szepnęła jej, co zamierza zrobić. Jennsen, widząc, że idzie ku drzwiom, cichutko poszła za nią. Betty spała obok Richarda, więc Jennsen ją tam zostawiła.

Księżycowa noc stała się chłodniejsza. Kahlan pomyślała, że powinna spać, ale zupełnie nie miała na to ochoty. Poszła ceglaną dróżką ku zaułkowi.

- Owen wkrótce wróci - odezwała się Jennsen. - Spróbuj się tak nie zamartwiać. Raz-dwa będzie po wszystkim.

Kahlan obejrzała się na nią w mroku.

- Nawet jak dostanie antidotum, i tak będzie jeszcze sprawa daru. Zedd jest za daleko. Będziemy musieli jak najszybciej dostać się do Nicci. Tylko ona jedna jest na tyle blisko, żeby u niej szukać pomocy.

- Uważasz, że te kłopoty z darem są coraz gorsze?

Kahlan prześladował ból, który tak często widziała w jego oczach. Ale wiązało się z tym jeszcze coś.

- Kiedy ostatnie dwa razy dobył miecza, widziałam, że i magia oręza go zawiodła. Richard ma większe kłopoty z darem, niż chce przyznać.

Jennsen gryzła dolną wargę i przyglądała się spacerującej Kahlan.

- Tej nocy dostanie antidotum - rzekła wreszcie na pocieszenie. - I wkrótce będziemy w drodze do Nicci.

Kahlan wydało się, że w oddali usłyszała jakiś dźwięk - obróciła się w tę stronę. Brzmiało to jak odgłos kroków. Na drugim końcu zaułka pojawiły się dwie sylwetki. Jedna była wyraźnie wyższa, więc Kahlan była pewna, że to Tom i Owen. Chciała wybiec im naprzeciw, ale za dobrze wiedziała, jak śmiercionośne potrafią być podstępny, więc odciągnęła Jennsen za węgiel, w najciemniejsze miejsce. To nie była pora na nieostrożność.

Kiedy dwaj mężczyźni dotarli do ceglanej ścieżki i skręcili w nią, Kahlan znalazła się przed nimi, gotowa w razie potrzeby skorzystać ze swojej mocy.

- Matko Spowiedniczko, to my: Tom i Owen - szepnął Tom.

Jennsen odetchnęła.

- Cieszymy się, że wróciliście.

Owen spojrział w obie strony zaułka. Kiedy poruszył głowę, Kahlan zauważyła, jak w księżycowej poświacie zaśniły spływające po jego twarzy

łzy.

- Mam problem, Matko Spowiedniczko - powiedział Tom.

Owen rozłożył ręce.

- Matko Spowiedniczko, ja... ja...

Kahlan oburącz złapała go za koszulę.

- Co się stało? Antidotum tam było, prawda? Masz je?

- Nie. - Bandakarczyk przełknął łzy i wyciągnął złożoną kartkę papieru.

- W schowku znalazłem to zamiast buteleczki z antidotum. Kahlan wyrwała mu kartkę z rąk. Rozpostarła ją drżącymi palcami. Przysunęła do oczu i tak się ustawiła, żeby móc czytać w blasku księżyca.

Mam antidotum. Trzymam również w garści życie mieszkańców Bandakaru. Mogę ich uśmiercić równie łatwo, jak potrafię zakończyć życie Richarda Rahla.

I antidotum, i życie wszystkich mieszkańców imperium wymienię na Matkę Spowiedniczkę.

Przyprowadźcie Matkę Spowiedniczkę na most nad rzeką, o milę na wschód od miejsca, w którym jesteście. Jeżeli za godzinę nie dostanę Matki Spowiedniczki, wyleję antidotum do rzeki i postaram się, żeby umarli wszyscy mieszkańcy tego miasta.

Podpisano

Imperator Nicholas

Kahlan z szaleńczo bijącym sercem ruszyła ku wschodowi.

Tom chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Znam treść listu, Matko Spowiedniczko.

Kahlan nie mogła opanować drżenia rąk.

- Więc wiesz, dlaczego nie mam wyboru.

Jennsen stanęła przed Kahlan, żeby zagrozić jej drogę.

- Co jest w liście?

- Nicholas chce mnie w zamian za antidotum.

Jennsen oparła dłonie na barkach Kahlan, żeby utrzymać ją w miejscu.

- Co takiego?

- Tak napisał w liście. Chce mnie w zamian za życie wszystkich mieszkańców tego imperium i za antidotum, które ocali Richarda.

- Życie wszystkich... ale jak zdoła spełnić taką groźbę?

- Nicholas jest czarodziejem. A tacy mają w zanadrzu wiele

śmiercionośnych sztuczek. Może się na przykład posłużyć ogniem czarodzieja, żeby spopielić miasto.

- Przecież jego magia nic tutejszym nie zrobi. Są, jak ja, nieskażeni magią i niewrażliwi na nią.

- Jeżeli wykorzysta ogień czarodzieja, żeby podpalić budynki, jak my to zrobiliśmy w mieście Owena, to ludziom w środku będzie obojętne, jak się ogień zaczął. Kiedy budynki się zapalą, to już będzie zwyczajny ogień, który zabije każdego. Poza tym Nicholas ma tu żołnierzy. Może im kazać natychmiast zabijać mieszkańców. W mgnieniu oka tysiące stracą głowy. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co jeszcze mógłby zrobić. Włożył list do schowka po antidotum, więc wiem, że nie blefuje.

Kahlan wyminęła Jennsen i znów ruszyła ku wschodowi. Nie mogła opanować drżenia. Starła się uspokoić szalejące serce, ale też bez skutku. Richard musiał dostać antidotum. Tylko to się liczyło. Skoncentrowała się, idąc pospiesznie mroczną ulicą.

Tom i Jennsen szli po obu jej bokach.

- Zaczekaj, Matko Spowiedniczko. Musimy to przemyśleć.

- Już to zrobiłam.

- Możemy tam wziąć oddział i siłą odebrać antidotum.

Kahlan się nie zatrzymała.

- Czarodziejowi? Nie sądzę. Poza tym jak Nicholas zobaczy nadchodzących, wyleje antidotum do rzeki. I co wtedy? Musimy spełnić jego żądanie. Musimy dostać antidotum, żeby było bezpieczne.

- A dlaczego uważasz, że Nicholas nie wyleje odtrutki do rzeki, jak już mu się poddasz? - zapytał Tom.

- Musimy tak dokonać wymiany, żeby sobie zapewnić wręczenie antidotum. Nie będziemy polegać na jego dobrej woli i uczciwości. Owen i Jennsen są nieskażeni magią. Jego czary nie zrobią im nic złego. To oni będą musieli zadbać, żebyśmy dostali antidotum.

Jennsen odgarnęła włosy z twarzy i nachyliła się ku Spowiedniczce.

- Nie możesz tego zrobić, Kahlan. Nie możesz. Richard oszaleje i my wszyscy też. Miej na niego wzgląd i nie rób tego.

- Przynajmniej będzie żyć, żeby móc zwariować.

Po policzkach Jennsen spływały łzy.

- Przecież to samobójstwo!

Kahlan obserwowała ulice i budynki, upewniając się, że nie ma tam żadnych żołnierzy, którzy się na nich rzucą.

- Miejmy nadzieję, że i Nicholas tak pomyśli.

- Nie możesz tego zrobić, Matko Spowiedniczko - błagał Owen. - Przecież to to, o czym lord Rahl nam mówił, że jest złe. Nie możesz się układać z takim człowiekiem jak Nicholas. Nie powinnaś próbować ugłaskać zła.

- Nie mam zamiaru ugłaskiwać Nicholasa.

Jennsen otarła łzy z policzka.

- Co masz na myśli?

Kahlan umocniła się w swoim postanowieniu.

- Co by nam najbardziej ułatwiło pozbycie się Imperialnego Ładu z tego miasta i w ogóle z Bandakaru? Wyeliminowanie Nicholasa. A jak się lepiej do niego zbliżyć, niż dając mu złudzenie, że wygrał?

Jennsen zamruwała ze zdumieniem.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz dotknąć go swoją mocą. Prawda, że to zamierzasz? Uważasz, że będziesz mogła dotknąć go mocą Spowiedniczki.

- Kiedy się do niego zbliżę, umrze.

- Richard nigdy by się na to nie zgodził - powiedziała Jennsen.

- Nie proszę go o zgodę. To moja decyzja.

Tom stanął przed nią, blokując drogę.

- Matko Spowiedniczko, przysięgałem strzec lorda Rahla i rozumiem, że ryzykowałabyś życie w jego obronie, ale to zupełnie coś innego. Może i działasz w obronie jego życia, ale za jaką cenę? Zbyt wiele byśmy stracili. Nie możesz tego zrobić.

Owen też stanął przed nią.

- Zgadza się z tym. Lord Rahl kompletnie by oszalał, gdybyś wymieniła siebie na antidotum.

Jennsen przytaknęła.

- Pozabijałby nas wszystkich. Uciąłby nam głowy za to, żeśmy ci pozwolili to zrobić.

Kahlan uśmiechnęła się, patrząc na ich pełne napięcia twarze. Dotknęła policzka Jennsen.

- Pamiętasz, jak ci powiedziałam, kiedy się z tobą spotkaliśmy, że

czasami nie ma innego wyjścia, jak działać?

Dziewczyna kiwnęła głową, znowu płakała.

- To właśnie jeden z takich przypadków. Richard każdego dnia czuje się gorzej. Umiera. Jeżeli nie dostanie antidotum, nie będzie miał najmniejszej szansy i wkrótce umrze. Taka jest niestety prawda. Czyż więc możemy pozwolić, żeby taka okazja wymknęła się nam z rąk? Inna się już nie trafi. Na zawsze stracimy możliwość uratowania go. To będzie koniec. Bez niego nie chcę żyć. Nie chcę, by inni żyli, skoro jego nie będzie. Jeżeli pójdę, Richard będzie żyć. A jeśli on będzie żyć, to i ja nadal będę mieć szansę. Albo dotknę Nicholasa swoją mocą, albo Richard wraz z wami obmyśli, jak mnie uratować. Ale jeżeli Richard umrze, to już po nas.

- Ale jeśli to zrobisz, Matko Spowiedniczko - wychlipała Jennsen - to cię stracimy...

Kahlan patrzyła na ich twarze. Ogarniał ją gniew.

- Jeśli któreś z was ma lepszy pomysł, to czas, żeby się nim podzieliło. Bo inaczej tylko narażacie mnie na utratę ostatniej możliwości.

Nikt nie miał nic do powiedzenia. Jedynie Kahlan miała konkretny plan. Pozostali mieli tylko pragnienia. A same dobre chęci nie ocalą Richarda.

Kahlan znów ruszyła ku wschodowi, przyspieszając kroku, żeby zdążyć na czas.

ROZDZIAŁ 57

Kahlan zatrzymała się w ciszy i mroku w pobliżu mostu. Z trudem dostrzegła przysadzistą sylwetkę stojącego po drugiej stronie rzeki człowieka. Był sam. Nie widziała twarzy, nie widziała, jak wygląda. Przyjrzała się drugiemu brzegowi z rysującymi się w księżycowej poświacie drzewami i budynkami, wypatrując żołnierzy lub ewentualnych towarzyszy tego mężczyzny.

Jennsen wczepiła się w jej ramię.

- Kahlan... błagam. - Jej głos tłumili łzy.

Kahlan czuła się osobiście spokojna. Nie miała wyboru, więc nie gnębiło jej niezdecydowanie, nie wahała się. Mogła tylko tak postąpić. Podjęła decyzję i to jej dało jasność umysłu i determinację. Mogła się skoncentrować na tym, co musiała zrobić.

Płynąca przez miasto rzeka była szersza, niż się spodziewała. Oba strome brzegi, przynajmniej w tym rejonie, były wysokie na kilkadziesiąt stóp i obłożone kamiennymi blokami. Most - na tyle szeroki, że mogły się na nim minąć dwa wozy - wspierał się na dwóch przęsłach, miał też po bokach balustrady z małych kamiennych słupków. Przepływająca pod nim woda była ciemna i bystra. Kahlan wolałaby nie pływać w takiej rzece.

Podeszła aż do wejścia na most i zatrzymała się. Stojący po drugiej stronie mężczyzna obserwował ją.

- Masz antidotum? - zawołała.

Uniósł nad głowę coś, co przypominało buteleczkę. Potem opuścił rękę i wskazał most. Chciał, żeby przeszła na drugą stronę.

- Może byś to jeszcze raz rozważyła, Matko Spowiedniczko? - błagał Owen.

Spojrzała w jego załzawione oczy.

- A niby co miałabym rozważać? Czy wolę, żeby Richard żył, czy też żeby go zabiła trucizna? Czy spróbuję zabić Nicholasa, żeby łatwiej nam było pokonać Imperialny Ład i żeby twoi ziomkowie mogli się uwolnić? Jak mogłabym żyć ze świadomością, że Richard zmarł bez antidotum, chociaż byłam w stanie zrobić coś, co by go uratowało i równocześnie pozwoliło mi na tyle zbliżyć się do Nicholasa, żeby go wyeliminować? Gdybym tego

zaniechała, już nie byłoby dla mnie życia. Prowadzimy tę wojnę, żeby powstrzymać tego rodzaju ludzi, którzy sprowadzają na nas śmierć, którzy chcą, byśmy pomarli, bo nie mogą znieść, że sami decydujemy o własnym życiu, że się nam powodzi i że jesteśmy szczęśliwi. Ci ludzie nienawidzą życia, a wielbią śmierć. Chcą, żebyśmy robili tak samo i złączyli się z nimi w niedoli. Jako Matka Spowiedniczka nakazałam bezlitosną pomstę na Imperialnym Ładzie. Zmiana obranej drogi to samobójstwo. Nie zmienię zdania.

- Co mamy przekazać lordowi Rahlowi? - zapytał Tom.

Uśmiechnęła się.

- Że go kocham, ale on to wie. - Odpięła pas z mieczem i podała Jennsen.

- Chodź ze mną, Owenie.

Już chciała odejść, lecz Jennsen objęła ją i z całej siły przytuliła.

- Nie martw się - szepnęła. - Zaniesiemy antidotum Richardowi, a potem po ciebie wrócimy.

Kahlan uścisnęła ją, wyszeptała podziękowania i ruszyła przez most. Owen w milczeniu szedł u jej boku.

Człowiek po drugiej stronie obserwował ich, ale nie ruszył się z miejsca.

Kahlan zatrzymała się pośrodku mostu.

- Przynies buteleczkę! - zawołała do tamtego.

- Przyjdź tu, to ją dostaniesz.

- Jeżeli chcesz, żebym z tobą poszła, to przyjdź na środek mostu i daj buteleczkę temu człowiekowi, żeby mógł ją zabrać, jak napisał Nicholas.

Tamten jakiś czas tkwił w miejscu, jakby się namyślał. Wyglądał jak żołnierz. Nie pasował do podanego przez Owena opisu czarodzieja. Wreszcie wszedł na most. Owen szepnął, że przypomina mu dowódcę, którego widział przy Nicholasie. Kahlan czekała, patrząc, jak mężczyzna idzie w księżycowej poświacie. U jednego boku miał nóż, u drugiego - miecz.

Kiedy był już bardzo blisko niej, stanął i czekał.

Wyciągnęła rękę.

- List mówił, że mamy się zamienić. Ja za to, co ma Nicholas.

Tamten, ze złamanym, skrzywionym w jedną stronę nosem, się uśmiechnął.

- I owszem.

- Jestem Matka Spowiedniczka. Albo oddasz mi buteleczkę, albo

natychmiast umrzesz.

Wyciągnął z kieszeni kanciastą buteleczkę i postawił ją na dłoni Kahlan. Był w niej przejrzysty płyn. Wyjęła korek i powąchała. Zawartość leciutko pachniała cynamonem, jak tamte buteleczki z antidotum.

- On wraca z buteleczką - rzekła do ponurego mężczyzny, podając Owenowi odtrutkę.

- A ty idziesz ze mną - odparł, łapiąc ją za nadgarstek - albo wszyscy pomrzemy na tym moście. On może odejść, jak to jest uzgodnione, ale ty zginiesz, jeśli spróbujesz uciekać.

Kahlan obejrzała się na Owena.

- Ruszaj! - warknęła.

Owen popatrzył na czarnowłosego człowieka, a potem na nią. Zdawało się, że ma mnóstwo do powiedzenia, ale tylko skinął głową i pobiegł przez most ku Tomowi i Jennsen, którzy się temu wszystkiemu przyglądali.

Gdy do nich dotarł, mężczyzna powiedział:

- Chodźmy, chyba że wolisz tu umrzeć.

Kahlan wyszarpnęła rękę. Kiedy się odwrócił i ruszył przed siebie, poszła za nim przez most. Wpatrywała się w mrok pomiędzy drzewami na drugim brzegu, w tysiące ewentualnych kryjówek między stojącymi tam budynkami, w widoczne w oddali ulice. Nikogo nie wypatrzyła, ale nie poprawiło jej to nastroju.

Gdzieś tam, w ciemności, czaił się Nicholas, czekając, żeby ją dopaść.

Nagle noc zapłonęła za jej plecami. Kahlan się obróciła i zobaczyła most w kuli kłębiącego się ognia. Bijące w górę płomienie poczerniały. Ponad szalejące w dole piekło wystrzeliły gązdy. Kiedy uniosła się płomienista chmura, dziewczyna ujrzała, jak most się rozpada. Przęsła się złożyły i cała budowla zaczęła się powoli osuwać ku rzece. Zdjęta lodowatym prerażeniem zastanawiała się, czy są jeszcze jakieś mosty przez tę rzekę. Jak wróci do Richarda, jeżeli jej zamiar się powiedzie? A jeżeli jej się nie uda, jak dotrze do niej pomoc?

Widziała, jak Tom, Jennsen i Owen biegną ku kryjówce, w której spał Richard. Nie tracili czasu na przyglądanie się, jak niknie most. Z trudem powstrzymała szloch na myśl o Richardzie.

Żołdak niespodziewanie ją popchnął.

- Ruszaj.

Spojrzała gniewnie na niego, na jego pełen zadowolenia uśmiezek, na butny, triumfujący wzrok.

Kiedy szła przed nim, od czasu do czasu ją poszturchiwał. Z trudem nad sobą panowała. Miała ochotę użyć swojej mocy i pozbyć się tego obrzydłego bydlaka, ale musiała się skupić na ważniejszej sprawie: na Nicholasie.

Idąc prowadzącą od rzeki ulicą, widziała czających się w ciemnych bocznych uliczkach żołnierzy, którzy odcinali każdą drogę ucieczki. To nie miało znaczenia. W tej chwili nie zamierzała uciekać, chciała zrealizować swój plan. Kroczący za nią mężczyzna, choć zachowywał się arogancko, miał się na baczności i traktował ją z pełną nieufności odrazą.

Im głębiej wchodziła w miasto na tym brzegu rzeki, tym ciaśniej tkwiły jedne przy drugich niewysokie budynki. Pomędzy znajdującymi się w oplakanym stanie budowlami wiła się platanina wąskich bocznych uliczek. Drzewa rosły w pobliżu głównej ulicy. Ich gałęzie wisiały nad głową Kahlan niczym sięgające po nią ręce. Starła się nie myśleć o tym, jak głęboko wchodzi we wrogie terytorium ani ilu żołnierzy ją otacza.

Kiedy ostatnim razem otoczyły ją i pochwyciły takie zdziczałe bestie, została tak pobita, że ledwie przeżyła. Straciła nienarodzone dziecko. Jej dziecko. Dziecko Richarda.

Tamtego dnia straciła też naiwne przekonanie, że jest niezwyciężona. Pojęła, jak kruche jest życie, w tym i jej, jak łatwo można je stracić. Wiedziała, jak cierpiał Richard, bojąc się, że może go opuścić. Pamiętała tę okropną udrękę w jego oczach, ilekroć na nią patrzył. Było to zupełnie inne cierpienie niż to, które zsyłał mu dar. To były bezradność i udręka spowodowane jej stanem. Przerazała ją myśl, że znów to do niego wróci.

Zza budynku po prawej stronie, z mroku, wyszedł jakiś mężczyzna. Był w czarnych szatach pokrytych warstwami luźnych pasów tkaniny - jakby go porastały czarne pióra. Owe pasy poruszały się w rytm jego kroków, niepokojąco rozmywając zarys sylwetki. Włosy miał zaczesane w tył i namaszczone olejkami; połyskiwały w księżycowej poświacie. Z antypatycznej twarzy spojrzały na nią blisko osadzone, małe czarne oczy w czerwonych obwódkach. Ręce przyciskał do piersi, jakby chował szpony zakończone czarnymi pazurami.

Nikt nie musiał Kahlan przedstawiać Nicholas Slide'a. Przyjmowała wyznania osób, które sprawiały wrażenie uprzejmych młodych ludzi,

zapracowanych ojców lub przemiłych dziadków, lecz tak naprawdę popełniały nieopisane okrutne czyny. Kiedy się ich widziało robiących buty, sprzedających chleb lub doglądających inwentarza, trudno było uwierzyć, że są zdolni do takich zbrodni. Ale w Nicholasie Kahlan dostrzegła tak całkowitą deprawację, że nie można było mieć co do niego żadnych złudzeń. Był kompletnie skażony zepsuciem widocznym nawet w bezczelnym i obraźliwym przymrużeniu oczu.

- Najcenniejszy łup - syknął. Wyciągnął rękę, zwinął dłoń w pięść. - I należy do mnie.

Kahlan ledwie go słyszała. Już była skupiona na rażeniu go swoją mocą. To ten człowiek groził, że pozabija niewinnych ludzi. To jego śladem szły śmierć i cierpienie. To on zabiłby i ją, i Richarda, gdyby tylko miał po temu okazję.

Chwyciła go za przegub wyciągniętej ku niej ręki.

Był jedynie tkwiącym przed nią posągiem.

Rozgwieżdżona noc zdała się chłodna i odległa. Kahlan wyczuła, jak napinają się mięśnie Nicholasa pod jej dłonią, jakby chciał cofnąć ramię. Ale już było za późno.

Nie miał najmniejszej szansy. Należał do niej.

Czas należał do niej.

Żołnierze, którzy zaczęli ku nim biec, byli za daleko. Nie dobiegną na czas, żeby uratować Nicholasa. Zbyt daleko był nawet ten, który ją tu przyprowadził z mostu, a teraz stał o parę kroków.

Czas należał do niej.

Nicholas należał do niej.

Ani jednej myśli nie poświęciła temu, co może ją spotkać z rąk tych żołnierzy. Teraz liczyła się jedynie jej zdolność zrobienia tego, co konieczne. Tego człowieka należało wyeliminować.

Był to wróg.

To ten mężczyzna wtargnął do owej krainy, żeby w imieniu Imperialnego Ładu torturować, gwałcić i mordować niewinnych ludzi. To jego magicznie przemieniono w monstrum mające ich zniszczyć. Był wcieleniem zła, narzędziem podboju.

To on zagrażał życiu Richarda.

Moc Kahlan domagała się uwolnienia.

Żarliwy gniew tej mocy stłumił wszelkie odczucia. Kahlan nie czuła już strachu, nienawiści, gniewu, przerażenia. Zniknęły emocje stojące za motywami jej decyzji. W niepohamowanym pędzie czasu zatrzymanego na mgnienie oka przed gwałtownym uwolnieniem swojej mocy Kahlan trwała w niezłomnym postanowieniu. Jej moc stała się narzędziem czystego rozumu.

Zniknęły wszelkie bariery powstrzymujące tę moc. W owym nieskończenie małym odcinku czasu, kiedy patrzyła we wlepione w nią paciorkowate oczy, istniała wyłącznie jej moc.

Jak mnóstwo razy wcześniej Kahlan uwolniła tę moc i skierowała ją ku określonymu celowi.

Powinna wyczuć wyzwolenie się bezlitosnej mocy - a odczuła przerażającą pustkę. Jej moc powinna nieubłaganie wnikać w umysł tego człowieka... lecz tam nie było nic.

Kahlan zachłysnęła się oddechem, otwierając szeroko oczy.

Przeszył ją potworny ból.

Uderzyło w nią coś obcego i straszliwego ponad wszelkie wyobrażenie.

Jej świadomość ogarnął przeraźliwy ból wnikający aż do duszy.

Miała wrażenie, że coś rozdziera jej wnętrze.

Chciała krzyknąć, lecz nie mogła.

Noc coraz bardziej czerniała.

Kahlan usłyszała śmiech rozbrzmiewający echem w jej duszy.

ROZDZIAŁ 58

Richard gwałtownie otworzył oczy. Nagle zupełnie się przebudził.

Zjeżyły mu się włosy na karku. Miał wrażenie, że jeży się każdy włos na jego ciele. Serce tłukło mu się gwałtownie.

Poderwał się na nogi. Cara natychmiast chwyciła go za ramię zdumiona, że tak gwałtownie wstał. Spojrzała na niego z troską, wyraźnie się obawiając, że Richard się przewróci.

- Co się stało, lordzie Rahlu? Co ci jest?

W pomieszczeniu panowała cisza. Ku Richardowi zwróciły się zdumione i wystraszone twarze.

- Wychodzić! - zagrzmiął. - Brać rzeczy i wychodzić! Natychmiast!

Porwał swój plecak. Nie dostrzegł Kahlan, ale zauważył jej plecak, więc go wziął. Zastanawiał się, czy to aby nie sen. Ale nigdy nie pamiętał swoich snów. Zastanawiał się, czy to uczucie mogło być strachem wywołanym przez sen. Nie. Było rzeczywiste.

Bandakarczycy - początkowo niezdecydowani i zaskoczeni jego nieoczekiwanym rozkazem - zobaczyli, jak pospiesznie zbiera swoje rzeczy, więc poszli za jego przykładem. Łapali to, co było pod ręką, nie patrząc, czyje to jest.

- Wychodzić! - grzmiał Richard, popychając ku drzwiom ociągających się ludzi. - Ruszać się! Wychodzić! Wychodzić!

Miał wrażenie, że coś się o niego ociera, coś ciepłego i paskudnego. Dostał gęsiej skórki.

- Szybko!!!

Pospiesznie wspinali się po ciemnych schodach. Betty, poddając się nastrojowi panicznej ucieczki, wystrzeliła spod nóg Richarda i wbiegała po schodach. Cara była tuż za nim.

Włosy na karku chłopaka jeżyły się, jakby zaraz miała uderzyć błyskawica. Patrzył na ciemne, puste pomieszczenie.

- Gdzie Kahlan i Jennsen?

- Już wyszły - odparła Cara.

- To dobrze. Idziemy!

Ledwie dotarł do szczytu schodów, kiedy zbiła go z nóg fala wybuchu.

Mord-Sith poleciała na niego. Cała piwnica wypełniła się jęzorami płomieni, które oświetlały schody błyskami żółtego i pomarańczowego blasku. Ogień ruszył też w górę po stopniach.

Richard złapał Carę za ramię i wywlókł ją za otwarte drzwi. Kiedy wypadli w noc, budynek za ich plecami zmienił się w rozszalałe, ryczące morze płomieni. Fragmenty rozpadającej się budowli poleciały w górę. Uchylali się przed spadającymi dokoła płonącymi deskami, które odskakiwały od zalanego łuną pożogi gruntu.

Kiedy wreszcie uciekli spod płonącego budynku, Richard pospiesznie zlustrował wzrokiem zaułek, sprawdzając, czy nie czają się tu jacyś żołnierze. Nie wypatrzył nikogo obcego, więc kazał wszystkim wejść głębiej, żeby się jak najbardziej oddalić od pożaru.

- Musimy stąd zniknąć - powiedział do Ansona. - Nicholas wiedział, gdzie jesteśmy. Ogień przyciągnie uwagę żołnierzy. Nie mamy zbyt dużo czasu.

Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł Kahlan. Jeszcze bardziej się zaniepokoił, gdy zobaczył biegnących ku niemu Jennsen, Toma i Owena. Po ich minach natychmiast poznał, że stało się coś złego. Kiedy Jennsen znalazła się bliżej, złapał ją za ramię.

- Gdzie Kahlan?

Dziewczyna spazmatycznie chwytała oddech.

- Richardzie, ona... ona...

Wybuchnęła płaczem. Szlochający Owen machał kanciastą buteleczką i kartką papieru.

Richard spojrział na Toma, oczekując natychmiastowej odpowiedzi.

- Co się dzieje?

- Nicholas znalazł antidotum. Zaproponował, że wymieni je na... Matkę Spowiedniczkę. Usiłowaliśmy ją powstrzymać, lordzie Rahlu. Przysięgam, że usiłowaliśmy. Nie chciała nas słuchać. Uparła się, że pójdzie po antidotum, a potem zajmie się Nicholasem. Chce, żebyś po nią przyszedł, jak już wypijesz odtrutkę, gdyby nie udało jej się wyeliminować czarodzieja.

Buzujące płomienie oświetlały otaczające go ponure twarze.

- Kiedy się już zdecyduje, nie ma sposobu, żeby ją od tego odwieść - powiedział Tom. - Potrafi cię nakłonić, żebyś zrobił, co zechce.

Richard dobrze o tym wiedział. Słysząc było ryk płomieni, jęklliwe odgłosy płonącego budynku. Dach zaczął się zapadać, śląc ku niebu snopy

iskier.

Owen natarczywie wciskał Richardowi kanciastą buteleczkę.

- Lordzie Rahlu, zrobiła to, żeby zdobyć antidotum. Chciała, żebyś je dostał i wyzdrowiał. Powiedziała, że to najważniejsze ze wszystkiego. Zanim będzie za późno.

Richard odkorkował buteleczkę. Zawartość lekko pachniała cynamonem. Upił łyk, oczekując ciężkiego, słodkiego, korzennego smaku. Ale to wcale tak nie smakowało.

Popatrzył na Jennsen i Owena.

- To woda.

- Co takiego? - Oczy Jennsen rozszerzyły się ze zdumienia.

- Woda. Woda z odrobiną cynamonu. - Wylał to na ziemię. - To nie jest antidotum. Na próżno oddała się w łapy Nicholasa.

Jennsen, Owen i Tom stali, milcząc, wstrząśnięci. Richarda ogarnął osobliwy spokój. Już jest po wszystkim. Nadszedł kres wszystkiego. Miał niewiele czasu na to, żeby zrobić co trzeba... a potem wszystko się dla niego skończy.

- Pokaż mi ten list - rzekł do Owena.

Bandakarczyk go podał. Richard bez trudu przeczytał list w łunie bijącej od pożaru. Cara, Tom, Jennsen i Owen przyglądali się, jak trzykrotnie go czyta.

W końcu opuścił rękę. Cara porwała list i też go przeczytała.

Richard popatrzył na palący się budynek. Starał się to wszystko pojąć.

- Skąd Nicholas wiedział, że ktoś idzie po odtrutkę? Napisał, że mamy godzinę. Skąd wiedział, że jesteśmy tak blisko i że idziemy po buteleczkę, co pozwoliło mu napisać, że daje nam godzinę?

- Może nie wiedział - odezwała się Cara. - Może napisał to parę dni temu. Może napisał tak, żebyśmy działali pospiesznie, bez zastanowienia.

- Może. - Richard wskazał za siebie. - Ale skąd wiedział, że tu jesteśmy?

- Magia? - podsunęła Jennsen.

Richardowi najwyraźniej się nie podobało, że czarodziej aż tyle wiedział i zawsze wyprzedzał ich o krok.

- Skąd wiedziałeś, że Nicholas zamierza podpalić ten budynek? - zapytała go Cara.

- Gwałtownie się obudziłem - odparł. - Ból głowy zniknął i po prostu

wiedziałem, że musimy natychmiast stamtąd wyjść.

- Więc zadziałał twój dar?

- Na to wygląda. Niekiedy mnie ostrzega. - Żałował, że nie może bardziej na nim polegać. Ale przynajmniej tym razem dar go ostrzegł, inaczej byłoby już po nich.

Tom spojrzał w noc.

- Czyli uważasz, że Nicholas jest gdzieś blisko? Że wiedział, gdzie jesteśmy, i podpalił ten budynek?

- Nie. Uważam, że on chce, byśmy myśleli, że jest w pobliżu. Jest czarodziejem. Mógł posłać ogień czarodzieja z dużej odległości. Nie jestem biegłym znawcą magii. Może skorzystał z innych sposobów, żeby ze sporej odległości wzniecić pożar. - Popatrzył na Owena. - Zaprowadź mnie tam, gdzie ukryłeś antidotum, gdzie po raz pierwszy zobaczyłeś Nicholasa.

Owen bez wahania ruszył w drogę. Reszta grupy podążyła za nim.

- Myślisz, że ona tam będzie? - spytała Jennsen.

- Tylko w jeden sposób możemy się o tym przekonać.

Kiedy dotarli do rzeki, brakowało im tchu. Richard się wściekł, dostrzegłszy, że mostu już nie ma, a jego kamienne szczątki są rozrzucone na brzegach, w dole. Pozostałe fragmenty na pewno zniknęły w ciemnej wodzie. Owen i kilku Bandakarczyków stwierdzili, że drugi most jest trochę dalej ku północy, więc ruszyli w tamtym kierunku drogą wzdłuż rzeki.

Zanim dotarli do mostu, z bocznej uliczki wyskoczyła z dobytą bronią grupa żołnierzy, wznosząc bojowe okrzyki.

Noc rozbrzmiała charakterystycznym szczękiem Miecza Prawdy. Ale klindze nie towarzyszyła jej magia. Nie miało to jednak znaczenia wobec tak bezpośredniej groźby. Richard musiał wyładować swój gniew i rzucił się na wroga z bojowym okrzykiem.

Skoczył nań pierwszy żołnierz. Cios Richarda był tak potężny, że przeciął tamtego od ramienia, przez skórzany pancerz, na ukos, aż do biodra. Richard okręcił się ku nadbiegającemu z tyłu nieprzyjacielowi i zamachnął się z taką szybkością, że ściął mężczyźnie głowę, zanim ten zdążył unieść rękę trzymającą miecz. Chłopak uderzył w tył łokciem, trafiając w twarz żołnierza, który chciał go pchnąć w plecy. Szybki sztych mieczem powalił następnego, nim Richard zdążył się obrócić, żeby skończyć z tym, który się osunął na kolana, osłaniając rękami zakrwawioną twarz. Miecz Prawdy,

połyskujący w księżycowej poświacie, siał śmierć.

Tom dobijał tych, których powalał na ziemię Agiel Cary. Nocną ciszę rozdarły bolesne, pełne zdumienia wrzaski. Richard cały czas szalał pośród nieprzyjaciół niczym niesiony wichrem cień.

Nie minęło zbyt wiele czasu, a noc znów ucichła. Tom, Richard i Cara wybili wrogi oddziałek, zanim którykolwiek z ich ludzi zdążył zareagować na zagrożenie, które pojawiło się z ciemności. Jeszcze nie zdołali złapać oddechu, a Richard już spieszył ku mostowi.

Kiedy tam dotarli, ujrzeli stojących na warcie dwóch nonszalancko rozpartych żołnierzy Imperialnego Ładu. Wspierali się na pikach. Byli zdumieni, że nocą biegną ku nim jacyś ludzie. Bandakarczycy jeszcze nie przysporzyli im kłopotu, więc gapili się na Richarda, póki nie dobył miecza i nie powalił ich na ziemię - gwałtownie pchnął pierwszego, a następnie przeciął na dwoje jego kamrata razem z piką.

Cała grupka bez przeszkód przemknęła przez most i wpadła w mrok między stłoczonymi budynkami. Owen przy każdym zakręcie podawał Richardowi kierunek. Pędzili ku miejscu, w którym Owen ukrył antidotum i w którym potem zamiast buteleczki znalazł list, żądający Kahlan w zamian za życie Richarda, w zamian za życie imperium bezbronnego wobec mrocznych talentów Nicholasa Slide'a.

Znaleźli się w ciemnym centrum miasta, składającym się z niewielkich, przysadzistych, głównie jednopiętrowych budynków. Owen zatrzymał Richarda.

- O tam, lordzie Rahlu, skróćmy w prawo. Niedaleko jest plac, na którym często gromadzą się ludzie. Na drugim końcu placu będzie budynek wyższy od tych, które go otaczają. To właśnie tam. Od małej bocznej uliczki odchodzi zaułek biegnący za tym budynkiem. Tamtędy się wcześniej tam dostałem.

Richard skinął głową.

- Idziemy.

Ruszył, nie sprawdzając, czy zmęczeni ludzie idą za nim. Trzymał się blisko budynków, w cieniach, jakie rzucały w księżycowej poświacie. Skręcił za róg. Nad niewielkim frontowym oknem widniał rzeźbiony szyld: bochenki chleba. Jeszcze było zbyt wcześnie, żeby piekarz rozpoczął pracę. Podniósł wzrok i zamarł. Miał przed sobą plac z drzewami i ławkami.

Znajdujący się dalej budynek był w ruinie. Zostały z niego jedynie żarzące się belki. Wokół stał tłumek, wpatrując się w to, co jeszcze parę godzin temu stało w płomieniach.

- Drogie duchy - wyszeptała ze zgrozą Jennsen. Zasłoniła dłonią usta, bojąc się głośno wyrazić to, co wszystkim przyszło na myśl.

- Nie było jej tam - odpowiedział Richard na milczące, pełne niepokoju pytanie. - Nicholas nie przyprowadziłby jej tu tylko po to, żeby ją zabić.

- Więc po co to? - spytał Anson. - Po co spalił dom?

Richard patrzył na niespiesznie ulatujące w chłodne nocne powietrze smużki dymu, które unosiły ze sobą jego nadzieje.

- Żeby mi przesłać wieść, że ona jest w jego rękach i że jej nie odnajdę.

- Lordzie Rahlu - szepnęła Cara - lepiej stąd chodźmy.

Sam właśnie zaczął dostrzegać czające się w mroku wokół budynku setki żołnierzy. Bez wątpienia czaili się, żeby ich pojmać.

- Tego się właśnie bałem - rzekł Owen. - I dlatego poprowadziłem was taką okrężną drogą. Widzicie tę drogę, przy której są wszyscy żołnierze? Biegnie tu bezpośrednio od mostu, przez który żeśmy przeszli.

- Skąd oni zawsze wiedzą, gdzie jesteśmy lub gdzie będziemy? - szepnęła zdesperowana Jennsen. - I na dokładkę kiedy?

Cara chwyciła Richarda za koszulę i zaczęła go ciągnąć w tył.

- Jest ich zbyt wielu. Anie wiemy, ilu jeszcze może być dokoła. Musimy się stąd wydostać.

Chłopak z bólem serca musiał przyznać, że ma rację.

- Mamy przecież czekających na nas ludzi - przypomniał mu Tom. - A o wiele liczniejsi jeszcze nadciągają.

Richard gorączkowo rozmyślał. Gdzie jest? Wreszcie skinął głową. W tej samej chwili Cara ujęła go pod ramię i popędzili w mrok.

ROZDZIAŁ 59

Richard - podtrzymywany siłą woli - stał dumnie przed ludźmi zgromadzonymi pod gałęziami dębów na skraju lasu. Niebo było pełne gwiazd. Wśród Bandakarczyków płonęły nieliczne świece, żeby lepiej widzieli. Kiedy zaatakują Hawton, akurat będzie świtało.

Richard całym sercem pragnął dostać się do miasta i odnaleźć Kahlan, ale najpierw musiał uzyskać każdą dostępną pomoc, bo inaczej mogło mu się nie udać. Najpierw to.

Większość z tych mężczyzn nigdy tak naprawdę nie walczyła. Spośród mieszkańców Witherton Owen i Anson brali udział w pierwszym ataku na domy sypialne oraz w potyczkach. Pozostali byli z Northwick, gdzie Richard spotkał się z mentorem. Uczestniczyli w starciach z tymi żołnierzami, którzy nie zostali otruci. Nie uchowało się zbyt wielu nieprzyjaciół, ale - co ważne - mieszkańcy Northwick zrobili to, co zrobić należało. Te krótkie, krwawe utarczki jedynie zwiększyły ich determinację, bo przekonali się, że sami potrafią walczyć o wolność, że sami mogą kierować własnym losem.

Teraz jednak było zupełnie inaczej. To miała być bitwa, jakiej jeszcze nie oglądali. Co gorsza, większość mieszkańców tego miasta z własnej woli przyłączyła się do sprawy Ładu. Raczej nie należało więc oczekiwać z ich strony dużej pomocy.

Gdyby Richard miał więcej czasu, na pewno wymyśliłby coś, co najpierw pozwoliłoby znacznie zmniejszyć siły wroga, lecz nie mógł zwlekać. Do starcia musiało dojść już teraz.

Richard stał przed zebranymi ludźmi, mając nadzieję, że da im coś, co ułatwi im przetrwanie tego dnia. Ale mógł myśleć tylko o odszukaniu Kahlan. Musiał więc, żeby móc ją uratować, wyrzucić Kahlan ze swoich myśli i skupić się na najbliższym zadaniu.

- Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli tego tak załatwiać - powiedział. - Miałem nadzieję, że uda się nam rozwiązać tę sprawę podobnie jak poprzednie: za pomocą ognia lub trucizny, żeby żaden z was nie poniósł szwanku. Ale to niemożliwe. Nicholas wie, że tu jesteśmy. Jeżeli uciekniemy, jego żołnierze ruszą za nami. Niektórzy mogliby im umknąć... przynajmniej na jakiś czas.

- Skończyliśmy z uciekaniem - odezwał się Anson.

- Właśnie - potwierdził Owen. - Zrozumieliśmy, że uciekanie i ukrywanie się prowadzi do jeszcze większego cierpienia.

Richard skinął głową.

- Zgadza się z tym. Jednak musicie zrozumieć, że dzisiaj niektórzy z was zapewne umrą. Może nawet większość. A może i wszyscy. Jeżeli któryś woli się wycofać, musimy dowiedzieć się o tym teraz. Bo kiedy już ruszymy do walki, będziemy musieli być pewni jedni drugich.

Splótł dłonie za plecami i przechadzał się z wolna przed zgromadzonymi. W ciemnym świetle niewyraźnie widział ich twarze. Wiedział, że ma coraz mniej czasu. Wzrok jeszcze mu się pogorszy. I zawroty głowy też.

Zdawał sobie sprawę, że już nigdy mu się nie polepszy.

Jeżeli chce odebrać Kahlan ludziom Ładu, powinien to zrobić natychmiast - z zebranymi przed nim mężczyznami lub bez nich.

Kiedy nikt nie powiedział, że się wycofuje, podjął:

- Z dwóch powodów musimy dotrzeć do ich dowódców: żeby się dowiedzieć, gdzie przetrzymują Matkę Spowiedniczkę, oraz żeby ich wyeliminować, by nie mogli prowadzić atakujących nas żołnierzy. Teraz już wszyscy macie broń i zrobiliśmy co w naszej mocy, żeby w tak krótkim czasie nauczyć was się nią posługiwać. Musicie wiedzieć jeszcze coś. Będziecie się bać. Ja również. Wykorzystajcie gniew, żeby zapanować nad tym strachem.

- Gniew? - zapytał jeden z nich. - Jak możemy wzbudzić w sobie gniew, kiedy będziemy wystraszeni?

- Ci żołnierze gwałcili wasze żony, siostry, matki, córki, ciotki, kuzynki i sąsiadki - rzekł Richard, chodząc przed nimi. - Pomyślcie o tym, patrząc w oczy idących na was wrogów. Wywieźli większość kobiet. Wiecie po co. Torturowali dzieci, żebyście się poddali. Pomyślcie o przerażeniu waszych dzieci, krzyczących z bólu i strachu, umierających w samotności po tym, jak oni je okaleczyli. - Gniew odmienił brzmienie głosu Richarda. - Pomyślcie o tym, patrząc na dufne uśmiešky atakujących was wrogów. Oni dręczyli waszych najbliższych, ludzi, którzy nigdy nic złego im nie zrobili. Pomyślcie o tym, kiedy podniosą na was ręce skalane krwią tamtych. Ci żołnierze wywieźli wielu waszych ziomków, żeby tam, daleko byli niewolnikami.

Jeszcze więcej wymordowali. Wspomnijcie o tym, kiedy i was będą chcieli zabić. Tu nie ma miejsca na różnicę zdań czy niezgodę. Prawi ludzie w ogóle nie powinni nad tym debatować. Chodzi przecież o gwałty, tortury, morderstwa. - Spojrzał im w twarz. - Pomyślcie o tym, kiedy stawicie czoło tym bydlakom. - Uderzył się pięścią w pierś, zagryzł zęby. - A kiedy staniecie naprzeciwko tych żołdaków, którzy robili to wszystko wam i waszym najbliższym, stawcie im czoło z nienawiścią w sercach. Walczcie z nimi, mając w sercach nienawiść. Zabijajcie ich, mając w sercach nienawiść. Na nic lepszego nie zasługują.

W lesie panowała cisza. Zgromadzeni ludzie dumali nad jego mrozącymi krew w żyłach słowami. Richard wiedział, że jest w nim wystarczająco wiele gniewu i nienawiści, by z ochotą uderzył na żołnierzy Imperialnego Ładu.

Nie miał pojęcia, gdzie jest Kahlan, ale zamierzał się tego dowiedzieć i odbić ją. Zrobiła, co musiała, żeby dostać antidotum i uratować mu życie. Rozumiał, dlaczego to zrobiła, i nie ganił jej za to - było to w zgodzie z jej naturą. Kochała go równie mocno jak on ją. Zrobiła to, co zrobić musiała.

Nie zawiedzie jej. Liczyła, że po nią przyjdzie.

Cóż za straszliwa ironia losu, że to wszystko było na darmo. Antidotum, dla zdobycia którego się poświęciła, wcale nie było prawdziwe.

Richard patrzył na twarz. Zamienili się w słuch, czekając, co im powie tuż przed tak doniosłą bitwą, a wtedy przypomniał sobie słowa wyryte na posągu strzegącym wejścia do tej krainy, słowa ósmego prawa magii: Talga Vassternich.

- Chcę wam jeszcze tylko jedno powiedzieć. Coś najważniejszego.

Stał przed nimi jako władca imperium D'Hary - imperium walczącego o przetrwanie, o wolność - i powiedział im to prawo magii w ich języku:

- Zasłużcie na zwycięstwo.

Właśnie świtało, kiedy wpadli do miasta. Tylko jedno z nich zostało na tyłach: Jennsen. Richard nie pozwolił jej walczyć. Była bardzo młoda i o wiele słabsza od tych, z którymi przyjdzie im się zmierzyć, a poza tym stanowiłaby kuszący cel. Gwałt był ulubionym orężem nikczemników, a ci tutaj z całą bezwzględnością robili z niego użytek. Żołnierze Imperialnego Ładu tłumnie ruszyliby po taki łup. Cara to co innego - była znakomicie wyszkolonym wojownikiem, znacznie groźniejszym niż którykolwiek z ich ludzi, z wyjątkiem Richarda.

Jennsen nie była zadowolona, że musi zostać, ale rozumiała Richarda i nie chciała mu przysparzać dodatkowych trosk. Została z Betty w lesie.

Z bocznej uliczki wyłonił się ten, którego wysłali na zwiady, bo dobrze znał teren. Kiedy się przy nim znaleźli, przylgnęli do ściany, żeby się jak najmniej rzucać w oczy.

- Znalazłem ich - powiedział zwiadowca, z trudem łapiąc oddech. Wskazał w prawo od ich trasy do miasta.

- Ilu? - spytał Richard.

- To musi być ich główny oddział w mieście, lordzie Rahlu. To właśnie tam śpią. Wciąż tam są, jak się spodziewałeś, jeszcze nie wstali. W zajętych przez nich sektorze są budynki miejskich urzędów i administracji. Ale mam i smutne wieści. Chronią ich mieszkańcy miasta.

Richard przeczesał palcami włosy. Musiał opanować nagłą potrzebę kaszlu. Uchwycił się framugi okna, żeby lepiej mu było stać.

- Co to znaczy „chronią”?

- Sektor zajęty przez żołnierzy otaczają tłumy mieszkańców. Mają chronić wrogów przed nami. Mają zatrzymać nasz atak.

Richard sapnął gniewnie.

- No i dobrze. - Popatrzył na zatroskane, pełne wyczekiwania twarze. - Wysłuchajcie mnie. Złączyliśmy nasze siły, żeby wspólnie walczyć ze złem. Jeżeli ktokolwiek stanie po stronie zła, jeżeli chroni złych ludzi, służy utrwalaniu zła.

Jeden z mężczyzn miał niepewną minę.

- Czy to znaczy, że mamy użyć wobec nich siły, jeżeli spróbują nas zatrzymać?

- Do czego dążą ci ludzie? Jaki jest ich cel? Chcą nas powstrzymać przed zlikwidowaniem Imperialnego Ładu. Ponieważ nienawidzą życia, bardziej pogardzają wolnością niż zniewoleniem. - Patrzył im w oczy z ponurą determinacją. - Twierdzą, że każdy, kto chroni wroga i chce go utrzymać u władzy, przeszedł na jego stronę. To proste. Jeżeli spróbują chronić wrogów lub przeszkodzić nam w działaniu... to ich zabijcie.

- Ale nie są uzbrojeni - powiedział któryś.

Richard zapłonął gniewem.

- Są uzbrojeni! Ich broń to pokrętne, pełne zła zasady, za pomocą których chcą światu narzucić niewolę. Jeżeli im się to uda, pomrzecie. Najlepszym

sposobem ocalenia życia niewinnych ludzi i waszych najbliższych, i to przy możliwie najmniejszych stratach, jest jak najszybsze i najbezwzględniejsze zmiążdzenie nieprzyjaciela. Wtedy zapanuje pokój. Skoro ci ludzie usiłują temu zapobiec, to w istocie stają po stronie tych, którzy torturują i mordują. Ocalają im życie, by dalej mogli to robić. Takich ludzi należy traktować jak sługi zła, albowiem są nimi. Zabijcie ich, jeśli spróbują was zatrzymać.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Anson przyłożył pięść do serca.

- Z nienawiścią w sercu... Bezlitosna pomsta.

Twarze pozostałych przybrały wyraz żelaznej determinacji. Wszyscy salutowali, przykładając pięść do serca, i powtarzali słowa przysięgi:

- Bezlitosna pomsta.

Richard klepnął Ansona w ramię.

- Ruszajmy.

Wypadli z cienia rzucanego przez budynki i skręcili za róg. Ludzie na przeciwległym krańcu ulicy odwrócili się ku nim, gdy ktoś dostrzegł nadciągający oddział Richarda. Przed kompleks budynków zajętych przez Ład na koszary i sztab wysypali się kolejni mieszkańcy miasta, mężczyźni i kobiety. Byli obdarci i rozczochrani.

- Precz z wojną! Precz z wojną! Precz z wojną! - krzyczeli, gdy Richard pędził ulicą na czele swoich.

- Z drogi! - zagrzmiął, zbliżając się do nich. To nie była pora na subtelności i dyskursy, powodzenie ataku w dużej mierze zależało od szybkości. - Z drogi! Więcej ostrzeżeń nie będzie! Odsuńcie się lub gińcie!!!

- Odrzuć nienawiść! Odrzuć nienawiść! - skandowali ludzie, biorąc się pod rękę.

Nie mieli pojęcia, jaka nienawiść szaleje w Richardzie. Dobył Miecza Prawdy. Magiczny gniew nie towarzyszył ostrzu, ale chłopak własnego gniewu miał aż w nadmiarze. Zwolnił do truchtu.

- Na bok! - krzyknął, rzucając się na nich.

Pulchna kobieta z kręconymi włosami wysunęła się przed innych. Krągłą twarz miała purpurową z gniewu. Wrzasnęła:

- Odrzuć nienawiść! Precz z wojną! Odrzuć nienawiść! Precz z wojną!

- Usuń się lub giń! - zagrzmiął Richard, przyspieszając.

Spurpurowiała kobieta wygrażała pulchną pięścią jemu i jego ludziom, podjudzając innych do gniewnego skandowania:

- Mordercy! Mordercy! Mordercy!

Richard, krzycząc w furii rozpoczynającego się natarcia, potężnie zamachnął się mieczem i ściał kobiecie głowę wraz ze wzniesioną ręką. Na twarze stojących za nią trysnęła krew. Niektórzy wciąż jeszcze skandowali pozbawione sensu frazesy. Głowa i ramię potoczyły się wśród tłumu. Jakiś mężczyzna popełnił błąd, sięgając po miecz Richarda - i poznał jego smak.

Biegnący za Richardem niepowstrzymaną falą uderzyli w obrońców zła. Ludzie zbrojni jedynie w nienawiść do prostych i jasnych zasad moralnych padali okrwawieni, straszliwie poranieni lub martwi. Ich linia załamała się pod bezlitosnym atakiem. Niektórzy z nich, wrzeszcząc obelżywie, rzucili się z pięściami na ludzi Richarda, Napotkali śmiercionośną stal.

Wreszcie zaczęło do nich docierać, że obrona Imperialnego Ładu będzie miała dla nich opłakane skutki. Rozbiegli się w panice, przeklinając chłopaka i jego towarzyszy.

Oddział Richarda, nie tracąc szybkości, przedarł się przez pierścien obrońców i wbiegł w labirynt zabudowań poprzedzielanych trawnikami, na których rosły drzewa. Żołnierze, którzy byli na zewnątrz, zorientowali się, że tym razem będą musieli się bronić, że mieszkańcy miasta już ich nie osłonią. Byli przyzwyczajeni do zabijania potulnych, bezbronnych ofiar. Przez ponad rok okupacji nie musieli walczyć.

Richard dopadł ich pierwszy. Wdzierał się w ich szeregi, zabijając każdego, kto stał mu na drodze. Cara była przy jego prawym boku, Tom przy lewym - śmiercionośny grot włóczni wbijającej się w żołnierzy, którzy dopiero teraz zaczęli dobywać broni. Przywykli do pognębienia wystraszonego przeciwnika samą przewagą liczebną, a nie do walki ze zdecydowanym oporem. Teraz wreszcie musieli walczyć o życie.

Richard płynął wśród nich, jakby byli nieruchomymi posągami. Uderzali tam, gdzie był przed chwilą, on zaś ciał tam, dokąd właśnie szli - i napotykali jego śmiercionośną klingę. Zjawiał się za tymi, którzy się za nim rozglądali, bo zniknął im z oczu - i podcinał im gardła. Innych pozbawiał głów, nim się zorientowali, że zamierza uderzyć.

Nie marnował sił na bezładne sztychy. Uderzał z nieubłaganą celnością. Nie próbował walczyć z innymi, żeby im udowodnić, że jest od nich lepszy - po prostu ich zabijał. Nie dawał im najmniejszej szansy stawienia oporu. Padali, nim się zdążyli złożyć.

Teraz istniała dlań tylko walka, tylko taniec ze śmiercią, a to znaczyło jedno: zabijaj. To była jego powinność, jego cel, niepowstrzymane pragnienie powalania wroga prędko, bezwzględnie i ostatecznie.

Nie byli przygotowani na taką bezwzględność.

Kiedy jego ludzie uderzyli na żołnierzy, rozległ się głośny bojowy okrzyk. Poranek rozbrzmiał wrzaskami zabijanych.

Richard dojrzał kogoś, kto przypominał oficera. Obszedł go i przyłożył mu miecz do gardła.

- Gdzie Nicholas i Matka Spowiedniczka?!

Tamten w odpowiedzi usiłował złapać go za ramię. Ale nie był dość szybki. Richard ciął, niemal pozbawiając go głowy, i obrócił się ku temu, który nadbiegał z tyłu. Żołnierz próbował się zatrzymać, żeby uniknąć miecza - i dostał prosto w serce.

Walka wrzała, przesuwając się w głąb zabudowań, w miarę jak zabijali tych, którzy stawiali im opór. Odgłosy potyczki wywabiały z koszar kolejnych żołnierzy odzianych w skórzane pancerze, kolczugi i skóry zwierząt; u ich pasów wisiała broń. Ci wyglądali na groźnych wojaków, bardziej zaprawionych w zabijaniu niż ci wszyscy, których Richard do tej pory widywał.

Chłopak łapał każdego, kto wyglądał na oficera. Żaden z nich jednak nie potrafił mu nic powiedzieć. Żaden z nich nie wiedział, gdzie byli Nicholas i Kahlan.

Musiał walczyć nie tylko z żołnierzami, ale i z zawrotami głowy. Koncentrując się na tańcu ze śmiercią i wskazówkach, które niegdyś przekazał mu miecz, potrafił pokonać efekty działania trucizny. Wiedział, że to nie zdoła na dłuższą metę zastąpić potrzebnych tu siły i wytrzymałości, lecz przynajmniej na razie mógł czynić, to co czynić musiał.

Zadziwiające, jak dobrze się spisywali jego ludzie. Pomagali sobie nawzajem, zagłębiając się w szeregi wrogów. I w ten sposób, łącząc siły, często zachowywali życie tam, gdzie jeden człowiek by zginął.

Jednak nie wszyscy przeżyli; Richard zobaczył ciała niektórych swoich towarzyszy. Jednak zaskoczony nieprzyjaciel ginął. Żołnierze Imperialnego Ładu nie walczyli z prawdziwą, zdecydowaną determinacją. A ludzie Richarda - tak. Żołnierze Ładu byli w zasadzie bandą łotrów, którym dano wolną rękę. Teraz mieli przeciwko sobie ludzi, którzy żądali od nich

rozrachunku. Członkowie Ładu walczyli chaotycznie, starając się ratować własne życie, i ani im była w głowie skoordynowana obrona - ludzie Richarda zaś atakowali z zamiarem wybicia tamtych do nogi.

Richard usłyszał, jak Cara woła go z wąskiego prześwitu między dwoma budynkami. Najpierw myślał, że jest w tarapatach, lecz kiedy skręcił za róg, przekonał się, że powaliła na kolana jakiegoś krzepkiego żołnierza. Trzymała go za tłuste czarne włosy. Na jednym uchu miał rząd srebrnych kótek. Mord-Sith dotykała Agielem jego gardła. Po brodzie ciekła mu krew.

- Powiedz mu! - wrzasnęła na swego jeńca, kiedy nadbiegł Richard.

- Nie wiem, gdzie są!

Rozwścieczona Cara dźgnęła go Agielem w podstawę czaszki. Wzdrygnął się, ramiona dygotały mu od strasznego bólu i raczej się krztusił, niż wrzeszczał. Oczy uciekły mu w tył głowy, a Cara, trzymając go za skołtunione włosy, podparła go jeszcze kolaniem.

- Powiedz mu - warknęła.

- Opuścili miasto - wybełkotał. - Nicholas zniknął stąd nocą. Zabrali ze sobą kobietę, ale nie wiem, kim była.

Richard przyklęknął, złapał tamtego za koszulę.

- Jak wyglądała?

Tamtemu nadal było widać białka oczu.

- Długie włosy.

- Dokąd odeszli?

- Nie wiem. Odeszli. W pośpiechu.

- Co Nicholas ci powiedział, zanim odszedł?

Mężczyźnie udało się z wolna zogniskować wzrok.

- Nicholas wiedział, że zaatakujesz o świcie. Powiedział mi, którądy wejdiesz do miasta.

Richard ledwie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Jak mógł to wiedzieć?

Tamten się wahał. Ale widok Agiela rozwiązał mu język.

- Tego nie wiem. Zanim odszedł, powiedział mi, ilu masz ludzi, kiedy zaatakujecie i którądy. Kazał mi zebrać mieszkańców miasta, żeby nas osłonili przed waszą napaścią. Zebraliśmy naszych najbardziej zagorzałych popleczników i powiedzieliśmy im, że nadchodzicie, by nas wymordować, że chcecie wywołać wojnę.

- Kiedy Nicholas odszedł? Dokąd zabrał tę kobietę?
Z brody żołnierza kapłała krew.

- Nie wiem. Odjechali w pośpiechu. Więcej nie wiem.

- Dlaczego nie zorganizowaliście lepszej obrony, skoro wiedzieliście, że się zbliżamy?

- Ależ przygotowaliśmy. Nicholas kazał mi zadbać o miasto. Zapewniłem go, że taka mała grupka na pewno sobie z nami nie poradzi.
Coś tu nie grało.

- A niby czemu?

Tamten po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Bo nie wiesz, ilu tak naprawdę mamy żołnierzy. Jak już wiedziałem, że zaatakujecie, mogłem tu ściągnąć wszystkie siły. - Uśmiech stał się szerszy. - Słyszysz w oddali róg? Nadciągają. - Zarechotał. - I zdechniecie.

Richard zgrzytnął zębami.

- Ale ty pierwszy.

Przeszył mieczem serce oficera. Tamten szeroko otworzył oczy. Richard poruszył klingą, wyciągając ją z rany, by mieć pewność, że już po wszystkim.

- Lepiej wycofajmy stąd naszych - powiedział, łapiąc ramię Cary i biegnąc z nią ku narożnikowi.

- Wygląda na to, że jest już za późno - stwierdziła, kiedy wypadli z wąskiego prześwitu i zobaczyli mrowie okrążających ich żołnierzy.

Skąd Nicholas wiedział, kiedy i gdzie zaatakują? W pobliżu nie było nikogo - ani chyżolotów, ani nawet myszy - gdy układali plany, idąc ku miastu. Skąd mógł się dowiedzieć?

- Drogie duchy - odezwała się Mord-Sith. - Nie przypuszczałam, że mają w Bandakarze aż tylu żołnierzy.

Wrzaski nacierających wojowników Ładu ogłuszały. Richard był już wyczerpany. Każdy głębszy oddech sprawiał mu przeraźliwy ból. Wiedział, że nie ma wyboru.

Musiał dotrzeć do Kahlan. I wytrzymać, dopóki do niej nie dotrze.

Zagwizdał sygnał, zwołując swoich. Nadbiegli Anson i Owen. Richard rozejrzał się i zobaczył większość pozostałych.

- Musimy spróbować się stąd wyrwać. Jest ich zbyt wielu. Trzymajcie się razem. Spróbujemy się przebić. Jeżeli się nam uda, to się rozproście i postarajcie się wrócić do lasu.

Mając po bokach Carę i Toma, Richard ruszył na czele swojego oddziałku ku szeregom wroga. Z miasta wylaniały się tysiące żołnierzy Imperialnego Ładu, zajmując placyki i gazony. To był przerażający widok. Było ich tak wielu, iż miało się wrażenie, że to ziemia się porusza.

Zanim Richard dotarł do żołnierzy, poranek rozdarły oślepiające błyski ognia. Grzmiące ogniste wybuchy rozrywały szeregi wroga, zabijając setki żołnierzy. W powietrze wlatywały drzewa, darń i ludzie. Wojownicy - z palącymi się włosami, odzieniem i skórą - walili się na ziemię.

Richard usłyszał zbliżające się z tyłu wycie. Brzmiało znajomo. Odwrócił się w sam czas, żeby zobaczyć lecącą ku nim kulę płynnego, kłębiącego się ognia. Rozdymała się w locie, sycząca, groźna, śmiercionośna.

Ogień czarodzieja.

Oślepiające, rozżarzone do białości piekło z rykiem przemknęło nad ich głowami. Potem zniżyło lot i runęło na nieprzyjaciela, zalewając go płynną śmiercią. Ogień czarodzieja przywierał do tego, czego dotknął, i nieubłagane spalał. Pojedyncza kropla mogła przepalić nogę aż do kości. Był przerażająco groźny i śmiercionośny. Mówiono, że powoduje tak potworny ból, iż żyjące ofiary błagały o śmierć.

Ale czym był dziełem?

Po drugiej stronie żołnierze Ładu padali, jakby coś kosiło ich szeregi. Jakby jakieś ostrze zabijało całe setki, rozdzierając ich z krwawą zjadłością. Ale kto to robił?

Nie było czasu, żeby tak stać i się zastanawiać. Richard i jego ludzie musieli stawić czoło tym, którzy uszli śmiercionośnej magii. Ponieważ ich szeregi zostały przetrzebione, Imperialny Ład nie był w stanie skutecznie zaatakować. Ludzie Richarda roznieśli wroga.

Kiedy walczyli, nadlatywały kule śmiercionośnego ognia, rażąc tych, którzy próbowali uciekać lub przegrupować się do ataku. Tu i ówdzie żołnierze Ładu walili się bez udziału Richarda i jego ludzi. Spazmatycznie chwyтали powietrze, zaciskali dłonie na piersiach w straszliwym bólu i padali martwi.

Wkrótce ciszę poranka zakłócały tylko jęki rannych. Ludzie Richarda zgromadzili się przy nim, niepewni, co się właściwie stało, zaniepokojeni, że teraz to tajemnicze coś dopadnie i ich. Richard uświadomił sobie, że oni - w przeciwieństwie do niego - nie widzieli ognia czarodzieja. Dla nich musiał to

być zbawczy cud.

Pod stojącym z boku budynkiem dostrzegł dwoje ludzi. Jedna z tych osób była wyraźnie wyższa od drugiej. Zmrużył oczy, żeby wyraźniej widzieć, ale nic mu to nie dało. Wsparł się na ramieniu Toma i ruszyli ku tamtym.

- Richard, drogi chłopcze - odezwał się Nathan, gdy do niego dotarli. - Jak to miło cię widzieć całego i zdrowego.

Ann, niewysoka pulchna kobieta w prostej szarej szacie, obdarzyła go tym swoim uśmiechem wyrażającym radość, satysfakcję, a równocześnie wyrozumiałość.

- Nawet sobie nie wyobrażacie, jak się cieszę, że was widzę - rzekł Richard, nadal zadyszany i starający się zbyt głęboko nie oddychać. - Ale co wy tutaj robicie? Jak mnie, u licha, znaleźliście?

Nathan uśmiechnął się łobuzersko.

- Proroctwo, drogi chłopcze.

Czarodziej był w wysokich butach, kamizeli i marszczonej białej koszuli. Z prawego ramienia spływała mu elegancka zielona aksamitna pelerynka. Świetnie się prezentował.

Richard spostrzegł, że Nathan ma u boku miecz w lśniącej pochwie. Trochę go zdziwiło, że ktoś władający ogniem czarodzieja nosi miecz. A jeszcze osobliwsze było to, że znienacka owego miecza dobył.

Ann nagle zachłysnęła się oddechem, bo ktoś wyskoczył zza budynku i pochwycił ją. To była jedna z osób, które zgromadziły się, żeby chronić żołnierzy Ładu - wysoka, szczupła kobieta z wykrzywioną gniewem twarzą, dzierżąca długi nóż.

- Jesteście mordercami! - wrzasnęła, potrząsając prostymi włosami. - Przepelnia was nienawiść!

Ziemia wokół Ann i owej kobiety eksplodowała, w górę poleciały pecyny i trawa. Ann, czarodziejka, najwyraźniej usiłowała się pozbyć napastniczki. Kobiecie nic się nie stało. Magia nie działała na osoby nie mające choćby iskielki daru.

Stojący w pobliżu Nathan rażno wkroczył do akcji i bez wahania przeszył mieczem wysoką kobietę. Chwiejnie się cofnęła osłupiała ze zdumienia. Upadła, ześlizgując się z okrwawionej klingi.

Ann, już wolna, spojrzała na martwą kobietę. Groźnie zerknęła na Nathana.

- Istotnie, dziarski i zabójczy.

Prorok się uśmiechnął z tego ich żartu.

- Przecież ci mówiłem, że magia na nich nie działa.

- Nathanie - odezwał się Richard - dalej nie rozumiem...

- Podejź, moja droga. - prorok skinął za siebie. Zza budynku wybiegła Jennsen. Objęła Richarda.

- Tak się cieszę, że nic ci się nie stało - powiedziała. - Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz. Nathan zjawił się w lesie zaraz po waszym odejściu. Przypomniałam sobie, że już wcześniej go widziałam, w Pałacu Ludu w D'Harze. Wiedziałam, że jest Rahlem, więc powiedziałam mu, w jakich jesteśmy tarapatach. Razem z Ann chcieli pomóc. Zjawiliśmy się najszybciej jak się dało.

Popatrzyła wyczekująco na Richarda. Uściskiem rozwiązał jej niepokój.

- Dobrze postąpiłaś - rzekł. - Wykorzystałaś swój umysł do czegoś, czego Ład nie przewidywał.

Kiedy minął bitewny zapach, Richardowi jeszcze bardziej zakręciło się w głowie. Musiał się wesprzeć na Tomie.

Nathan podparł go z drugiej strony.

- Słyszałem, że dar przysparza ci kłopotów. Może mógłbym pomóc.

- Nie mam czasu. Kahlan jest w rękach Nicholasa Slide'a. Muszę ją odnaleźć lub...

- Nie udawaj głupszego, niż jesteś - obruszył się Nathan. - Zharmonizowanie twojego daru nie potrwa długo. Potrzebujesz pomocy innego czarodzieja, żeby zapanować nad własną mocą, bo inaczej nikomu na nic się nie przydasz. A pamiętaj, że już raz ci w tym pomogłem. Chodź, wejdźmy do jednego z tych budynków, gdzie jest cicho i spokojnie, a rozwiążę choć te twoje problemy.

Richard chciał tylko odnaleźć Kahlan, ale nie wiedział, gdzie jej szukać. Miał ochotę paść temu człowiekowi w ramiona i powierzyć mu własny los, oddać się jego doświadczeniu i rozległej wiedzy. Wiedział, że Nathan ma rację. Miał ochotę zapłakać z ulgi, że wreszcie uzyska pomoc. Któż lepiej niż czarodziej pomoże mu zapanować nad własnym darem?

Nawet nie śmiał marzyć, że będzie miał taką możliwość. Zamierzał dotrzeć do Nicci, bo ona jedna ze znajdujących się względnie blisko osób mogła wiedzieć, co zrobić. Ale to było nieskończenie lepsze od pomocy

czarodziejki.

Bo to czarodziej powinien pomagać drugiemu czarodziejowi w razie kłopotów z magicznym darem.

- Ale zrób to raz-dwa - rzekł.

Nathan odpowiedział tym swoim uśmiechem Rahla.

- No to chodźmy. W mgnieniu oka przywrócimy harmonię twojemu darowi.

- Dziękuję, Nathanie - wymamrotał Richard, pozwalając mu się wprowadzić w najbliższe drzwi.

ROZDZIAŁ 60

Richard siedział na drewnianej podłodze naprzeciwko Nathana. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli. Prorok powiedział, że nie są potrzebne, że jemu w zupełności wystarczy podłoga. Ann też siedziała na podłodze w pobliżu nich. Chłopak trochę się dziwił, że Nathan pozwolił jej przy tym asystować, ale nie protestował. Bardzo możliwe, że w pewnej chwili jej pomoc okaże się potrzebna.

Pozostali czekali na zewnątrz. Cara wcale nie była zadowolona, że musi spuścić Richarda z oka, ale ją uspokoił, mówiąc, że łatwiej mu się będzie skupić na harmonizowaniu daru, kiedy będzie wiedzieć, że ona tu nad wszystkim czuwa.

Oba okna zasłonięte okiennicami, tak by wpuszczały bardzo niewiele światła i tłumiliły zewnętrzne hałasy. Prorok wsparł dłonie o kolana, wyprostował się, głęboko oddychał i miało się wrażenie, że się otacza aurą władczości. To Nathan pierwszy wyjaśniał Richardowi jego dar. Powiedział mu wtedy, że tacy jak on czarodzieje wojny są odmienni od pozostałych czarodziejów. Nie czerpią bezpośrednio ze swojej wewnętrznej mocy, lecz kierują się uczuciami. Trudno to było pojąć. Nathan wyjaśnił Richardowi, że jego moc jest sprzężona z gniewem.

- Zatoń w moich oczach - powiedział spokojnym głosem Prorok.

Richard wiedział, że musi odsunąć na bok troski o Kahlan.

Starając się oddychać miarowo i nie kaszleć, spojrzał w przysłonięte powiekami, głębokie, lazurkowe oczy Nathana. Wzrok Proroka wciągał go, Richard miał wrażenie, że wpada w przejrzyste niebieskie niebo. Oddychał nierówno i jakby nie z własnej woli. Nie tyle słyszał nakazujące słowa Nathana, ile je wyczuwał.

- Przywołaj gniew, Richardzie. Przywołaj gniew. Przywołaj nienawiść i furję.

Chłopakowi kręciło się w głowie. Skoncentrował się na przywoływaniu gniewu. Pomyślał o Nicholasie więżącym Kahlan i bez trudu przyzwał wściekłość.

W obrębie własnej mocy czuł też inną, jakby się topił, a ktoś próbował utrzymać nad wodą jego głowę.

Unosił się samotnie w jakimś mrocznym i spokojnym miejscu. Czas nie miał znaczenia.

Czas.

Musiał na czas zdążyć do Kahlan. Tylko na niego mogła liczyć.

Richard otworzył oczy.

- Przepraszam, Nathanie, ale...

Nathan był zlany potem. Ann siedziała obok niego i trzymała lewą dłoń Richarda, podczas gdy Prorok trzymał prawą. Chłopak zastanawiał się, co się wydarzyło. Popatrzył na ich twarze.

- Co się stało?

Oboje mieli posępne miny.

- Próbowaliśmy - szepnął Nathan. - Tak mi przykro, naprawdę próbowaliśmy.

Richard zmarszczył brwi. Przecież dopiero zaczęli.

- O co ci chodzi? Dlaczego tak szybko rezygnujecie?

Prorok spojrzał z ukosa na Ann.

- To już trwa dwie godziny, Richardzie.

- Dwie godziny?

- Przykro mi, chłopcze, ale nic nie mogę zrobić. - Jego ton świadczył, że mówi to bardzo poważnie.

Richard przeczesał palcami włosy.

- O czym ty mówisz? Przecież to ty mi poprzednio powiedziałeś, że jeżeli będę miał jeszcze jakieś problemy z darem, to rozwiąże je takie zespolenie z innym czarodziejem. Mówiłeś, że takie zharmonizowanie daru to dla czarodzieja fraszka.

- Bo tak powinno być. Ale twój dar jest wplątany w duszący cię węzeł.

- Przecież jesteś Prorokiem, czarodziejem. A ty, Ann, czarodziejką. Wspólnie na pewno więcej wiecie o magii niż ktokolwiek inny, i to od tysięcy lat.

- Richardzie, w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat nie narodził się nikt podobny do ciebie. Nie wiemy zbyt dużo o tym, jak działa twój szczególny dar. - Ann zamilkła, wetknęła w koczek kosmyk prostych siwych włosów. - Próbowaliśmy, Richardzie. Przysięgam, że robiliśmy co w naszej mocy. Nathan, nawet wspomagany moją mocą, nie jest w stanie wpłynąć na twój dar. Próbowaliśmy wszystkiego, o czym wiemy, a nawet paru rzeczy, które

wymyśliliśmy. Wszystko na nic. Nie możemy ci pomóc.

- Czyli co mam robić?

Nathan odwrócił swoje lazurowe oczy.

- Twój dar cię zabija, Richardzie. Nie wiem, co to spowodowało, ale obawiam się, że przeszedł w nie poddającą się kontroli letalną fazę.

Ann miała wilgotne oczy.

- Tak mi przykro, Richardzie...

Chłopak przeniósł wzrok z jednej zrozpaczonej twarzy na drugą.

- To już właściwie nie ma znaczenia - rzekł.

Nathan zmarszczył brwi.

- Jak to, nie ma znaczenia?

Richard wstał, opierając się o ścianę.

- Otruto mnie. Antidotum zniknęło... Nie ma na to lekarstwa. Czas mi się kończy. Trucizna spleta figiel mojemu darowi i pierwsza mnie dopadnie.

Ann się podniosła, chwyciła go za ramiona.

- W tej chwili nie możemy ci pomóc, Richardzie, ale ty sobie odpocznij, a my się postaramy coś...

- Nie, nie. Nie mogę zmarnować tej odrobiny czasu, jaka mi została. Muszę dotrzeć do Kahlan.

Ann odkaszlnęła.

- Richardzie, Nathan i ja czekaliśmy w Pałacu Proroków na twoje narodziny bardzo długo. Staraliśmy się usunąć z twojej drogi te przeszkody, o których nam powiedziało proroctwo. Proroctwa głosiły, że jesteś najważniejszy dla przyszłości świata. Że właściwie tylko ty możesz wpłynąć na jej bieg. W tej walce musisz być naszym wodzem, potrzebujemy cię. Nie wiemy, co się dzieje z twoim darem, ale możemy to solidnie przemyśleć. Powinieneś być tutaj, żebyśmy go mogli zharmonizować, jak tylko znajdziemy rozwiązanie.

- Nie dożyję chwili, w której byście mnie mogli uleczyć. Nie rozumiesz? Trucizna mnie zabija. To ma trzy fazy. Właśnie wchodzę w trzecią: ślepotę. Umrę. Muszę wykorzystać ten czas, który mi jeszcze pozostał, i znaleźć Kahlan. Nie będę waszym wodzem, ale jeśli zdołam ją odebrać Nicholasowi, ona mnie zastąpi w tej walce.

- Czyli wiesz, gdzie jest? - spytał Nathan.

Richard uświadomił sobie, że gdy przebywał w owej pełnej spokoju

przestrzeni - kiedy Nathan usiłował mu pomóc - objawiło mu się, gdzie Slide najprawdopodobniej zawiózł Kahlan. Musiał tam dotrzeć, póki jeszcze tam są.

- Tak. Sądzę, że wiem.

Richard otworzył drzwi. Siedząca za nimi Cara poderwała się na nogi. Wyczekiwanie na jej twarzy szybko ustąpiło miejsca smutkowi, kiedy potrząsnęła głową, dając znak, że się nie powiodło.

- Musimy ruszać. Natychmiast. Chyba wiem, dokąd Nicholas zabrał Kahlan. Musimy się spieszyć.

- Wiesz? - zapytała Jennsen, trzymając przy sobie Betty.

- Tak. Musimy natychmiast wyruszyć.

- No to gdzie ona jest?

- Pamiętasz, Owenie, jak nam opowiadałeś o ufortyfikowanym obozie, który założono, kiedy Imperialny Ład pojawił się w Bandakarze i jego żołnierze jeszcze się obawiali o swoje bezpieczeństwo?

- W pobliżu mojego miasta - odparł Owen.

Richard skinął głową.

- Właśnie. Sądzę, że Nicholas właśnie tam zabrał Kahlan. To dobrze zabezpieczone miejsce, które zbudowano, by przetrzymywać pojmane kobiety. Pełno tam żołnierzy mających go bronić. Poza tym to warowny obóz, trudniej go tam będzie dopaść niż tutaj, w mieście.

- Więc jak się tam dostaniemy? - zapytała Jennsen.

- Zastanowimy się nad tym, kiedy tam dotrzemy i zobaczymy obóz.

Nathan wyrósł obok Richarda.

- Ann i ja idziemy z tobą. Może zdołamy pomóc uwolnić Kahlan z rąk Slide'a. A podczas podróży spróbujemy wymyślić, jak rozplątać twój dar.

Richard chwycił go za ramię.

- W tej krainie nie ma koni. Jeżeli możecie biec i dotrzymacie nam kroku, to zapraszamy, ale nie zwolnię dla was tempa. Nie mam wiele czasu, Kahlan również. Nicholas raczej nie będzie jej tu długo trzymać. Kiedy już odpocznie i zaopatrzy się na drogę, opuści te ziemie, a wtedy trudniej będzie go odnaleźć. Nie mamy czasu do stracenia. Musimy podróżować najszybciej jak się da.

Prorok, rozczarowany, wbił wzrok w ziemię.

Ann pospiesznie uściskała Richarda.

- Jesteśmy o wiele za starzy, żeby na piechotę dotrzymać kroku tym młodym ludziom. Jak ją odbijesz z rąk Slide'a, wróć, a my zrobimy co w naszej mocy, żeby ci pomóc. Będziemy szukać rozwiązania, kiedy będziesz ją wrywał z jego szponów. Wróć, bo na pewno coś wymyślimy.

Richard wiedział, że nie pożyje aż tak długo, ale nie zamierzał tego mówić.

- Dobrze. Co możecie mi powiedzieć o Slidzie?

Nathan pocierał kciukiem dół policzka i zastanawiał się.

- Slide'owie to złodzieje dusz. Nic przed nimi nie obroni. Nawet ja byłbym wobec nich bezbronny.

Chłopakowi już inne wyjaśnienia nie były potrzebne.

- Caro, Jennsen, Tomie, idziecie ze mną.

- A my? - zapytał Owen.

Anson tkwił w pobliżu, paląc się do uczestnictwa, i skinieniem głowy poparł Owena. A byli przecież jeszcze ludzie czuwający przed budynkiem, w którym Nathan usiłował pomóc Richardowi. Wszyscy dzielnie walczyli. Jeżeli ma odbić Kahlan, będzie potrzebować choć niewielkiej grupy.

- Z wdzięcznością przyjmę waszą pomoc. Uważam, że większość naszych powinna zostać tu z Ann i Nathanem. Mieszkańcom Hawton też się przydadzie. Wszystko im wyjaśnicie, pomożecie zrozumieć to, czego się sami nauczyliście. Powinni wprowadzić trochę zmian, żeby się dopasować do świata, który teraz stoi przed nimi otworem.

Richard miał już odejść, kiedy Nathan złapał go za rękaw.

- Według mojej wiedzy, nie masz żadnej obrony przed złodziejem dusz, ale przypomniałem sobie coś, co wyczytałem w starej księdze w podziemiach Pałacu Proroków.

- Słucham.

- Oni potrafią wychodzić poza własne ciało... wysłać w dal swojego ducha.

Richard tarł palcami czoło i zastanawiał się nad słowami Proroka.

- To pewnie w ten sposób mnie obserwował i śledził. Sądzę, że patrzył na mnie poprzez oczy wielkich ptaków, które tu mieszkają, czarnosternych chyzolotów. Jeżeli istotnie jest tak, jak mówisz, to pewnie w tym celu opuszcza własne ciało. - Spojrzał na Nathana. - Jak mogę to wykorzystać?

Nathan pochylił się ku niemu, przekrzywił głowę i patrzył na chłopaka

jednym lazurkowym okiem.

- Właśnie wtedy są bezbroni: kiedy są poza własnym ciałem.

Richard sprawdził, czy miecz luźno siedzi w pochwie. Uniósł go nieco.

- Jakiś pomysł, jak przyłapać go poza ciałem? - Pozwolił mieczowi opaść.

Nathan się wyprostował.

- Niestety, nie.

Richard i tak skinął głową w podzięcie i wyszedł na zewnątrz.

- Jak daleko jest do tego warownego obozu, Owenie?

- To w pobliżu dawnego przejścia przez granicę.

To dlatego Richard go nie widział; dotarli tu pradawnym szlakiem wykorzystywanym przez Kaja-Ranga. W normalnych czasach taka podróż trwałaby dobrze ponad tydzień. Stanowczo za długo.

Powiódł wzrokiem po zwróconych ku niemu twarzach.

- Nicholas ma nad nami sporą przewagę i na pewno zamierza jak najszybciej zniknąć z tak cennym łupem. Jeżeli narzucimy sobie dobre tempo i nie będziemy robić długich przerw na odpoczynek, jest nadzieja, że go dogonimy, kiedy dotrze do obozowiska. Musimy natychmiast wyruszyć.

- Tylko na ciebie jeszcze czekamy, lordzie Rahlu - powiedziała Cara.

Kahlan też na niego czekała.

ROZDZIAŁ 61

Stan Richarda pogarszał się z każdym dniem ciężkiej podróży, ale lęk o Kahlan nieubłaganie gnał go naprzód. Przez większość czasu, godzina po godzinie, w słońcu, mroku, a niekiedy i w deszczu, biegli dobrym tempem. Richard podpierał się kosturem, który sam sobie wyciął. Kiedy mu się zdawało, że już dłużej nie da rady, z rozmysłem przyspieszał - sam sobie w ten sposób przypominał, że nie może się poddawać. Nocą zatrzymywali się tylko na kilkugodzinny sen.

Bandakarczycy z trudem za nim nadążali. Cara i Jennsen nie miały z tym kłopotu, obie bowiem przyzwyczajone były do wyczerpującego wysiłku i trudnych podróży. Jednak wszyscy byli tak wyczerpani morderczym tempem, że rozmawiali tylko wtedy, kiedy to było niezbędne. Richard nie miał dla siebie litości, starał się nie myśleć o swoim beznadziejnym stanie. Bo to nie miało znaczenia. Pamiętał, że z każdym przebiegniętym metrem - jeśli nie zmniejszą tempa - są coraz bliżej Nicholasa, a więc i coraz bliżej Kahlan.

W chwilach rozpaczony mówił sobie, że Kahlan na pewno żyje, bo przecież Nicholas już dawno by ją zabił, gdyby tego chciał. Nie uciekałby, gdyby nie żyła. Żywa Kahlan jest dla niego o wiele cenniejsza.

O dziwo, czuł ulgę. Mógł się forsować, ile było trzeba. Nie musiał się martwić o swoje zdrowie. Na tę truciznę nie było antidotum. W odpowiednim czasie go uśmierci. Nie było sposobu na odzyskanie kontroli nad darem, więc i dar by go zabił. Richard nie mógł nic poradzić ani na jedno, ani na drugie. Umrze.

Zalesione wzgórza raczej ułatwiały podróż. Były tam też rozległe zielone, usiane kwiatami łąki i szachownice trawiastych połaci. Bujnie krzewiło się życie we wszelkich formach. Gdyby Richard nie był umierający, obolały i chory z lęku o Kahlan, radowałby się pięknem tej krainy. Teraz to wszystko było dlań jedynie przeszkodą.

Świejące mu w oczy słońce zsuwało się za niebosiężne góry. Wkrótce zapanuje ciemność. Trochę wcześniej Richard miał okazję ustrzelić z łuku jelenia. Tom szybko zwierzę oskórował i rozebrał mięso. Musieli jeść, bo inaczej nie utrzymają takiego tempa. Richard rozumiał, że powinni się na

chwilę zatrzymać, żeby upiec mięso i trochę się przespać.

Kiedy biegli przez kołysane wiatrem morze traw, Owen zrównał się z Richardem. Wskazał w przód.

- Tam, lordzie Rahlu. Strumień spływający ze wzgórz dociera prawie do obozowiska Ładu. Trochę dalej, za tą linią wzgórz, w stronę gór. - Wskazał w prawo. - A tam, niezbyt daleko, leży moje miasto, Witherton.

Richard skręcił nieco w lewo, kierując się ku lasom zaczynającym się u stóp łagodnego wzniesienia. Dotarli do drzew, gdy pomarańczowa tarcza słońca schowała się za ośnieżone wierzchołki gór.

- No dobrze - powiedział Richard, zatrzymując się bez tchu, kiedy dotarli na niewielką polanę. - Rozbijmy tu obóz. Jennsen, Tomie, zostańcie tu z naszymi i przyrządźcie mięso, a ja z Owenem i Carą obejrzę sobie te umocnienia i sprawdzę, czy wpadnę na to, jak się tam dostać.

Gdy Richard ruszył w drogę, podpierając się dla równowagi kosturem, Betty chciała iść za nim. Jennsen chwyciła postronek.

- Nigdzie nie idziesz. Zostajesz tutaj. Richard na pewno nie życzy sobie, żebyś mu się plątała pod nogami w takiej chwili.

- A co mamy tobie przygotować do jedzenia, lordzie Rahlu? - zapytał Tom.

Chłopaka mdliło na samą myśl o jedzeniu mięsa. Po tych krwawych walkach bardziej niż kiedykolwiek musiał zadbać o zrównoważenie swego daru. Ten dar go zabijał, ale każdy niewłaściwy czyn mógłby przyspieszyć koniec - a wtedy Richard mógłby nie żyć wystarczająco długo, żeby wyrwać Kahlan z rąk Nicholasa.

- Cokolwiek z naszych zapasów, byle nie mięso. Macie trochę czasu do naszego powrotu, więc możecie przygotować parę chlebowych placków, trochę ryżu, a także fasoli.

Tom obiecał, że tego dopilnuje, i Richard poszedł za Owenem. Cara - nie pamiętał, by kiedykolwiek miała tak nieszczęśliwą minę - położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jak się trzymasz, lordzie Rahlu?

Wolał nie mówić jej, ile bólu przysparza mu dar ani, że zaczął kaszleć krwią.

- Całkiem znośnie.

Zanim po dwóch godzinach wrócili do obozu, mięso już zostało

upieczone na rożnie i niektórzy już zjedli. Właśnie się owijali kocami, żeby się trochę przespać.

Richard przekroczył granicę zmęczenia. Był przekonany, że dotarli w pobliże Kahlan. Cierpiał, że trzeba wracać do obozu, opuścić miejsce, w którym Nicholas ją przetrzymywał - ale musiał dokładnie wszystko obmyślić. Działanie na oślep tylko sprowadziłoby na nich klęskę. Nie wydaliby stamtąd Kahlan.

Myślał jedynie o uwolnieniu żony, mógł się obejść bez snu i stawy. Ale kiedy ujrzał, jak Owen ciężko siada przy ognisku, pojął, że on i Cara są ogromnie wyczerpani i pewnie głodni. Mord-Sith nie usiadła, stała u jego boku. Nie pozwoliłaby mu się zbyt oddalić. Ani nigdy nie poskarżyłaby się na nic, nie przyznała, że jest zmęczona.

Richard kiedyś nawet sobie nie wyobrażał, że Mord-Sith mogłaby mu się stać aż tak bliska.

Jennsen zerwała się i podbiegła do niego.

- Pozwól, że ci pomogę, Richardzie. Usiądź tutaj.

Opadł na trawę w pobliżu ogniska. Przydreptała Betty, chciała być tuż przy nim. Pozwolił jej się położyć obok siebie.

- No i? - zapytał Tom. - Co myślisz o tym obozie?

- Sam nie wiem. Ma solidne drewniane ogrodzenie, przed którym wykopano rów. Wszędzie pełno jest rozmaitych pułapek. Jest tam i brama, prawdziwa brama. - Westchnął i potarł oczy; zaczynał widzieć jak za mgłą, coraz trudniej mu było coś dostrzec. - Jeszcze się nad tym nie zastanowiłem.

Myślenie przychodziło mu z trudem, bo mdliło go od zapachu piekącego się nad ogniem mięsa. Wziął kawałek chlebowego placka i miseczkę ryżu z fasolą, podane przez Jennsen.

Nie mógł jeść, patrząc, jak oni jedzą mięso.

Wstał.

- Przejdę się trochę. - Nie chciał, żeby im było przykro, że jedzą przy nim mięso, że się posilają, a on nie może. - Muszę być sam, żeby to porządnie przemyśleć. - Dał znak Carze, żeby nie wstawiała. - Zjedz coś - rzekł do niej. - Potrzebna mi twoja siła.

Wszedł między drzewa, nasłuchując cykania świerszczy i obserwując gwiazdy poprzez sklepienie z listowia. Cóż to za ulga! Nareszcie sam i nikt go o nic nie pyta. Nieustanne towarzystwo zdających się na niego ludzi

ogromnie go już męczyło.

Znalazł spokojny zakątek w miejscu, gdzie padł stary dąb. Usiadł, oparł się plecami o pień. Chciałby już nigdy nie musieć wstać. I gdyby nie Kahlan, już by się nie podniósł.

Zjawiała się Betty. Stała przed nim i bacznie mu się przyglądała, jakby pytając, co teraz zrobią. Kiedy Richard się nie odezwał, położyła się przed nim. Przyszło mu na myśl, że może kózka chciała go pocieszyć.

Poczuł, jak łza spływa mu po policzku. Wszystko się rozpadało. Już dłużej nie potrafił tego utrzymać w całości. Miał tak ściśnięte gardło, że ledwie oddychał.

Położył się, otoczył Betty ramieniem.

- Co mam robić? - Pociągnął nosem i otarł go grzbietem dłoni. - Co mam robić, Kahlan? - szepnął okropnie nieszczęśliwy. - Tak strasznie mi ciebie brak. Co mam robić?

Dotarł do kresu nadziei.

Kiedy nieoczekiwanie pojawił się Nathan, Richard myślał, że pomoc jest tuż-tuż. Ale zgasła ostatnia iskierka nadziei. Nawet tak potężny czarodziej nie był w stanie mu pomóc.

Potężny czarodziej.

Kaja-Rang.

Richard zamarł.

Z jego pamięci wypłynęły słowa przekazane mu przez Kaja-Ranga, słowa wyrzeźbione na granitowym cokole posągu.

Te słowa były przeznaczone dla Richarda.

Talga Vassternich.

Zasłuż na zwycięstwo.

- Drogie duchy... - wyszeptał.

Zrozumiał.

ROZDZIAŁ 62

Nicholas przyglądał się, jak lord Rahl - po rozpaczliwym wyszeptaniu ostatniej modlitwy - wraca do obozu, do swoich. Jakie to smutne. Ogromnie smutne, że ów człowiek umrze. Już wkrótce będzie ze swoimi drogimi duchami... w królestwie Opiekuna.

Nicholas upajał się tym wszystkim. Biedny lord Rahl był taki zagubiony i zdezorientowany. Czarodziej żałował, że ta gra nie może dłużej potrwać, bo lordowi Rahlowi zostało tak mało czasu. Jakie to smutne.

Ale jeszcze zabawniej będzie, jak lord umrze, kiedy to się wreszcie skończy. Jagang uważał, że ten godny współczucia człowiek jest bardzo przedsiębiorczy i zaradny. Nie możesz go nie doceniać, ostrzegał. Może Jagang nie był godnym przeciwnikiem dla wielkiego Richarda Rahla, za to Nicholas Slide na pewno był.

Jego duch wezbrał rozkoszą na myśl o śmierci lorda Rahla. Będzie na co popatrzeć. Nicholas zamierzał wszystko obejrzeć, być świadkiem każdej smutnej chwili tego ostatniego aktu. Wyobrażał sobie, że wokół zgromadzą się przyjaciele lorda Rahla, że będą - bezsilni - stać przy nim, płacząc, zawodząc i obserwując, jak się osuwa w czekające nań ramiona śmierci, owego wiekuistego pasterza, co przybył, żeby mu pomóc rozpocząć cudowną, nie kończącą się podróż, która oddała go od tego gorzkiego antraktu, jakim było życie.

Lada chwila kurtyna zapadnie. Nicholas uwielbiał smutne zakończenia. Ledwie się mógł tego doczekać.

Nienawidź życia, żyj dla nienawiści.

Nicholas - podobnie jak Richard - też był ciekaw, co najpierw dopadnie lorda Rahla: trucizna czy jego dar. Raz się zdawało, że to pierwsze, innym razem, że to drugie. Niekiedy niemal go powalały migreny zsyłane przez dar, a potem trucizna wzmagała bóleści i straszliwie cierpiący biedak z trudem łapał powietrze. To była fascynująca kwestia. Jedna z tych, które - jak w każdej dobrej sztuce - zostaną rozstrzygnięte dopiero na samym końcu. Wywoływała cudowne wręcz napięcie.

Nicholas trzymał kciuki, żeby to dar wygrał tę rozgrywkę. Trucizna też była niezła, lecz znacznie bardziej zaskakującym zrzędzeniem losu byłoby,

gdyby czarodziej o potędze i uzdolnieniach lorda Rahla, czarodziej, jaki się nie narodził od czasów dawno pogrzebanych w pomroce dziejów rodzaju ludzkiego, zmarł przez wrodzony dar - przez własną potężną, ale płonącą moc... Kolejna mierzająca zbyt wysoko ofiara życia. To byłby fascynujący i odpowiedni kres.

Nie trzeba na niego długo czekać.

O nie.

Nicholas przyglądał się, nie chcąc uronić ani jednego rozkosznego szczegółu. Mając u boku ducha ślicznej ukochanej Richarda Rahla, czuł się niemal członkiem rodziny obecnym przy tragicznym kresie tak wielkiego człowieka.

Uważał, że to słuszne, by Matka Spowiedniczka widziała te ostatnie chwile, była świadkiem końca swego ukochanego. Obserwowała to wraz z nim i cierpiała, widząc, jak straszliwie udręczony jest wracający do obozu Richard Rahl.

Nicholas upajał się jej rozpaczą. Jeszcze nie zaczął jej dręczyć. Już niedługo będzie miał mnóstwo czasu, żeby badać jej wytrzymałość na cierpienie.

Siedzący wokół płonącego na leśnej polanie ogniska ludzie spojrzeli na swego wracającego władcę. Wszyscy czekali, jak Nicholas, i przyglądali się, jak Nicholas, stojącemu wśród nich lordowi Rahlowi. Jego sylwetka falowała w blasku ognia, zupełnie jak w oczach Nicholasa. Jakby już był duchem gotowym ulecieć w cudowną pustkę śmierci.

- Ułożyłem plan - oznajmił im lord Rahl. - Wiem, jak zaatakować umocnienia.

Nicholas nastawił uszu. A cóż to takiego?

- Wtargniemy o brzasku - mówił lord Rahl. - Jak tylko słońce ukaże się zza gór. Wtedy przejdziemy przez ogrodzenie od wschodniej strony. Wartownicy nas nie zauważą, bo będą mieli słońce prosto w oczy. A ludzie nie patrzą tam, gdzie coś razi ich w oczy.

- Podoba mi się ten pomysł - odezwał się któryś z mężczyzn.

- Czyli nie tyle zaatakujemy, ile wślijniemy się do środka - dodał następny.

- O nie, będzie atak - rzekł lord Rahl. - Wielki atak. Taki, od którego zawiruje im w głowach.

A to co? A to co? Nicholas patrzył, patrzył, patrzył. To osobliwe. Najpierw lord Rahl chce się wkraść przez ogrodzenie, a potem kazać uderzyć? I jak zamierza namieszać im w głowach? Slide był zafascynowany.

Przysunął się bliżej z obawy, że umknie mu jakieś słowo.

- W ataku weźmiecie udział wszyscy - mówił lord Rahl. - O brzasku podejdziecie pod bramę. A kiedy zaatakujecie, ściągną na siebie ich uwagę, ja przejdę chyłkiem przez ogrodzenie. Zwiążecie ich siły, odgrywając przy tym rolę, jakiej się w ogóle nie spodziewają.

Gra się rozpoczęła. Nicholas był zachwycony, gdy tak patrzył i słuchał. Uwielbiał taką grę - zwłaszcza gdy znał wszystkie zasady i mógł je naginać według swej woli. Zapowiadał się wspaniały dzień.

- Ale lordzie Rahlu - spytał ten wielkolud, Tom - jak zdołamy zaatakować przez bramę, skoro jest tak potężna, jak mówisz?

O tym Nicholas nie pomyślał. A to dziwne. Kluczowa część planu lorda Rahla zdawała się wadliwa.

- W tym cała rzecz - odparł chłopak. - Już to wymyśliłem i będziecie zdumieni, słysząc, jak macie to zrobić.

Już na to wpadł? A to dziwne. Nicholas bardzo chciał usłyszeć, jak rozwiązał tę zagwozdkę.

Lord Rahl przeciągnął się i ziewnął.

- Jestem wyczerpany - oznajmił. - Ledwie się trzymam na nogach. Muszę się przespać, zanim wam wyjaśnię mój plan. To bardzo skomplikowane, więc lepiej zrobię to tuż przed wyruszeniem ku obozowi. Obudźcie mnie dwie godziny przed świtem, a wtedy wszystko wam wyjaśnię.

- Dwie godziny przed świtem - Tom potwierdził polecenie.

Nicholas był wściekły. Chciał to usłyszeć natychmiast.

Chciał poznać ten cudowny, rewelacyjny, skomplikowany plan. Lord Rahl dał znak tej swojej uroczej towarzyszce, tej Carze, i kilku młodym mężczyznom.

- Położmy się spać na uboczu, żeby reszta mogła się spokojnie posilić.

Już mieli odejść, ale jeszcze się odwrócił i rzekł:

- Jennsen, chcę, żebyś zatrzymała Betty przy sobie. Nie pozwól jej się oddalić. Muszę się przespać, więc nie chcę, żeby mnie budziła woń kozy.

- A rano pójdę z tobą, Richardzie? - zapytała ta cała Jennsen.

- Tak. Odgrywasz w moim planie doniosłą rolę. - Lord Rahl znów

ziewnął. - Wyjaśnię to, jak się wyśpię. Pamiętaj, Tomie. Dwie godziny przed świtem.

Tom skinął głową.

- Sam cię zbudzę, lordzie Rahlu.

Nicholas też tu będzie, żeby patrzeć, żeby usłyszeć ostatni fragment planu lorda Rahla. Jak zdoła doczekać tej chwili? Zjawi się tu bardzo wcześnie. Usłyszy każde słowo.

A potem będzie miał niespodziankę, czekając na lorda Rahla, kiedy ten nadciągnie ze swoimi ludźmi.

Może to nie trucizna i nie dar wykończą lorda Rahla.

Może Nicholas sam to zrobi.

Kahlan, której duch był bezradnym więźniem Slide'a, mogła jedynie patrzeć wraz z nim. Nie mogła odpowiedzieć na rozpaczliwe błagania Richarda, nie mogła zapłakać z żalu nad nim, nie mogła nic zrobić. Tak pragnęła znów go przytulić, pocieszyć w cierpieniu, dać ulgę jego zbolełemu sercu.

Był bliski kresu. Wiedziała to.

Serce jej pękało, kiedy patrzyła, jak ucieka zeń życie.

Kiedy patrzyła na jego łzy.

Kiedy słyszała, jak ją woła.

Kiedy słyszała, jak mówi, że straszliwie za nią tęskni.

Czuła się tak zziębnięta i samotna. Nie cierpiała takiego unoszenia się w przestrzeni. Desperacko pragnęła wrócić do swojego ciała. Czekają w opuszczonej izbie w warownym obozie. Ciało Nicholasa też tam czekało. Gdybyż mogła powrócić.

A przede wszystkim z całego serca pragnęła jakoś ostrzec Richarda, że Nicholas zna jego plan.

ROZDZIAŁ 63

Nicholas ciał się w obozie, wężąc, nasłuchując, obserwując i pragnąc, żeby gra toczyła się dalej. Pojawił się wcześniej z obawy, że coś go ominie. Był przekonany, że muszą już być dwie godziny do świtu - czas na ostatni akt sztuki. Czas, żeby ten człowiek, Tom, zbudził lorda Rahla. Czas. Patrz, patrz, patrz. Gdzie on jest? Gdzieś tu, gdzieś tu. Obserwuj, szukaj, obserwuj.

Rozstawieni wśród drzew ludzie strzegli obozu. Gdzie Tom? O, tu. Nicholas przekonał się, że Tom jest jednym z tych, którzy czuwają nad snem pozostałych. Nie chciał się spóźnić. Rozkazy lorda Rahla. Nie spał, był wybudzony, więc powinien wiedzieć, że już czas.

Na cóż on czekał? Jego pan wydał mu rozkaz. Dlaczego nie robił tego, co mu kazano?

Ta kobieta, Jennsen, obudziła się i przetarła oczy. Spojrzała w górę, na gwiazdy i księżyc. Już był czas - wiedziała to. Zrzuciła z siebie koc.

Nicholas podążał jej śladem, kiedy biegła obok żarzących się popiołów przez zagajnik młodych drzewek. Spieszyła się do opartego o pniak wielkoluda.

- Nie czas już budzić Richarda, Tomie?

Nicholas usłyszał jakiś natarczywy dźwięk z odległego pomieszczenia, w którym czekało jego ciało. Tak był zaabsorbowany tym, co się tu dzieje, grą, że zignorował ów dźwięk.

To pewnie Najari. Ten typ aż się palił, żeby dopaść Matkę Spowiedniczkę, nacieszyć się jej wdziękami. Nicholas obiecał mu, że dopnie swego, ale musi poczekać do jego powrotu. Nie życzył sobie, żeby tamten się do niej dobierał, kiedy ich obojga nie było. Najari czasami nie zdawał sobie sprawy z własnej siły. Matka Spowiedniczka była cenną zdobyczą i Nicholas nie chciał, żeby ktoś uszkodził jego własność.

Najari udowodnił swoją lojalność i zasłużył na skromną nagrodę, ale później. Nie złamie rozkazów Nicholas. Bo gorzko by tego pożałował.

A może to tylko...

Czekaj, czekaj. A to co? Patrz, patrz, patrz. Ten człowiek wstał i uspokajająco dotknął ramienia młodej kobiety. Jakież to wzruszające.

- Tak, już niemal czas. Chodźmy obudzić lorda Rahla.

I znów ten dźwięk. Ukradkowy, ostry, chociaż cichy.

Bardzo dziwne. Ale to musi poczekać.

Przez las. Szybko. Patrz, patrz, patrz. Szybko. Nie mogliby się pospieszyć? Nie rozumieją, jaka to ważna chwila? Szybko, szybko, szybko.

- Betty - burknęła ta kobieta, Jennsen - przestań mnie bóść w nogi.

I znów ten ukradkowy dźwięk tam, gdzie czekało jego ciało.

A potem inny, bardziej natarczywy. Tym razem ów dźwięk przyprawił duszę Nicholasa o dreszcz. Tak groźnego, śmiercionośnego dźwięku jeszcze nigdy nie słyszał.

Kiedy Miecz Prawdy wysunął się z pochwy, w mrocznym pomieszczeniu rozbrzmiał charakterystyczny dźwięk stali.

Wraz z mieczem pojawiła się magia - pradawna, niepohamowana, nie znająca przeszkód.

Moc oręża w jednej chwili przepełniła Richarda nie mającą granic furia, furia tylko jemu posłuszną. Potęga owej mocy przepoiła każde włókienko jego jestestwa. Tak dawno temu tego doświadczał, tak dawno temu czuł jej ogrom, że na chwilę znieruchomiał upojony dzierzeniem tak szczególnej broni.

Jego słuszny gniew również pokonał wszelkie bariery. Złączony z furia miecza szalał w Richardzie niczym dwie bliźniacze, nieokiełznane burze.

Chłopak upajał się tym doznaniem i tym, że jest jedynym władcą obu burz.

Poszukiwacz Prawdy siłą woli ukierunkował oba te żywioły, miecz zaś zaczął swą straszliwą podróż - oba nie znające litości pioruny zaraz uderzą.

Czubek klingi ze świstem ciął powietrze nocy - dwie godziny przed świtem.

Niezdecydowany, niepewny Nicholas patrzył, jak ten mężczyzna, Tom, i ta kobieta, Jennsen, idą przez las, żeby zbudzić swojego umierającego lorda Rahla.

A w odległym pomieszczeniu w obozie, gdzie czekało jego ciało, Nicholas usłyszał krzyk.

I nie był to okrzyk przerażenia, lecz krzyk niepohamowanej wściekłości. Dreszcz wstrząsnął jego duszą.

Nagle zaniepokojony, świadomy, że tego nie wolno lekceważyć, Slide wtargnął w swoje siedzące na podłodze i czekające nań ciało.

Otumaniony nagłym powrotem, otworzył oczy i zamrugał.

Przed nim stał lord Rahl we własnej osobie - rozstawił stopy i oburącz dzierżył ten swój miecz. Był ucieleśnieniem mocy i przerażającej stanowczości.

Nicholas wytrzeszczył oczy, widząc zataczające łuk lśniące ostrze.

Z gardła lorda Rahla wydobywał się krzyk przepojony wstrząsającą mocą i wściekłością. Całą swoją siłę włożył w to cięcie.

Nicholas znienacka i całkiem nieoczekiwanie pojął, że nie chce umierać. Bardzo chciał żyć. Choć tak ogromnie nienawidził życia, uświadomił sobie, że chce je zachować.

Musiał działać.

Przyzwał swą moc, zmobilizował wolę.

Musiał powstrzymać tego ducha mściciela.

Sięgnął swoją mocą, chcąc pojmać ducha tamtego.

Przerażająca klinga dotarła do jego szyi.

Richard nadal krzyczał, kiedy jego miecz - z całą mocą i szybkością, które w to włożył - zatoczył łuk i śmignął nad lewym ramieniem Nicholasa.

Widział każdy szczegół, gdy klinga przechodziła przez ciało i kość, obnażając i tnąc mięśnie, ścięgna, naczynia i w końcu tchawicę, gdy precyzyjnie wykonywała sprawiedliwy nakaz Poszukiwacza. Richard włożył wszystkie siły w potężny i szybki zamach. Teraz patrzył, jak klinga dobiega kresu swej drogi i jak przecina szyję Nicholasa Slide'a; jak głowa owego człowieka - z ustami nadal otwartymi w nie do końca zrozumiałym szoku, z paciorkowatymi oczami nadal usiłującymi zrozumieć, co właściwie widzą - zaczyna się okręcać, w miarę jak miecz zakreśla pod nią swój śmiertelny łuk; jak strumienie krwi kreślą wilgotne smugi na ścianie poza nim.

Krzyk Richarda ucichł, gdy miecz dokonał dzieła. Otaczający chłopaka świat gwałtownie wrócił na swoje miejsce.

Głowa uderzyła o podłogę z głośnym, głuchym stukiem.

Po wszystkim.

Richard odwołał gniew. Musiał nad nim natychmiast zapanować. Czekąco go najważniejsze zadanie.

Jednym płynnym ruchem wsunął do pochwy zakrwawione ostrze, obracając się ku drugiemu ciału, wspartemu o ścianę z prawej strony.

Jej widok nappełnił go szczęściem. Ogarnęła go szaleńcza radość, kiedy

ujrzał Kahlan żywą, oddychającą, bez zadnej rany. W jednej chwili ulotniły się najgorsze obawy, obawy, których nawet nie dopuszczał do świadomości.

Ale wtedy uświadomił sobie, że z nią wcale nie jest dobrze. Przecież by się obudziła w takiej chwili.

Opadł na kolana i wziął ją w ramiona. Była taka lekka, taka bezwładna. Twarz miała zszarzałą, pokrytą kropelkami potu. Powieki były przymknięte, oczy wywrócone.

Richard sięgnął w głąb siebie, szukając sił, żeby przywołać tę, którą kochał nad życie. Otworzył przed nią swoją duszę. Tulił ją i chciał tylko jednego, pragnął tylko jednego - by żyła, by była dawną sobą.

Instynktownie - w sposób, którego w pełni nie rozumiał - przystał na to, by jego moc wezbrała z najtajniejszej głębi jego umysłu. Włączył się w ten niepowstrzymany potok. Tulił ją do piersi, pozwalając, by przez łączące ich zespolenie płynęły jego miłość do Kahlan, jego pragnienia i tęsknota.

- Wracaj tam, gdzie twój dom - szeptał jej.

Pozwolił, żeby płynęła przez nią sama esencja jego mocy, żeby się stała latarnią oświetlającą jej drogę powrotną. Miał wrażenie, że szuka w mroku, wspomagając się blaskiem istniejącej w nim mocy. Choć nie wiedział, jak właściwie to robi, potrafił świadomie skoncentrować się na swoim celu, swoim pragnieniu, na tym, czego chciał dokonać.

- Wróć do mnie, Kahlan. Jestem tutaj.

Kahlan spazmatycznie wciągnęła powietrze. Choć nadal była bezwładna, czuł, jak wraca do niej życie. Znów się zachłysnęła, jakby była bliska utonięcia i potrzebowała powietrza.

Wreszcie poruszyła się w jego ramionach. Otworzyła oczy, zamrugła i spojrzała. Zdumiona, znów się do niego przytuliła.

- Richard... Słyszałam cię. Byłam taka samotna. Drogie duchy, taka samotna. Nie wiedziałam, co robić... Słyszałam wrzask Nicholasa. Byłam zagubiona i samotna. Nie wiedziałam, jak wrócić. A potem cię wyczułam. - Objęła go z całej siły, jakby już nigdy miała nie puścić. - Przyprowadziłeś mnie z powrotem poprzez ciemność.

Richard się do niej uśmiechnął.

- Przecież jestem przewodnikiem, pamiętasz?

Popatrzyła nań ze zdumieniem.

- Jak tego dokonałeś? - Jej piękne zielone oczy spojrzały na niego z

nadzieją i wyczekiwaniem. - Twój dar, Richardzie...

- Wymyśliłem, jak rozwiązać ten problem z darem. Kaja-Rang podsunął mi rozwiązanie. Znałem je od jakiegoś czasu, ale sobie tego nie uświadamiałem. Mój dar nie sprawia mi już kłopotów, a i magia miecza wróciła. Byłem taki ślepy, że aż mi wstyd ci o tym wszystkim opowiadać. - Na chwilę stracił oddech, a potem zakaszłał, nie mogąc już nad tym zapanować. Nie mógł też powstrzymać grymasu bólu.

Kahlan chwyciła go za ramiona.

- Antidotum! Co się stało z antidotum?! Odesłałam je przez Owena. Nie dostałeś go?

Chłopak potrząsnął głową i znów zakaszłał. Ból szarpał mu wnętrzności. Wreszcie odzyskał oddech.

- W tym cały problem. To nie było antidotum, ale zwykła woda z odrobiną cynamonu.

Twarz Kahlan poszarzała.

- Ale... - Obejrzała się na ciało Slide'a, na jego głowę leżącą u krańca krwawego szlaku przecinającego podłogę. - Skoro Slide nie żyje, Richardzie, jak zdobędziemy antidotum?

- Nie ma żadnego antidotum. Nicholas chciał, żebym umarł. Już dawno zniszczył odtrutkę. Dał ci podróbkę, żeby móc cię pojmać.

Twarz dziewczyny nie wyrażała już radości, lecz przerażenie.

- Ale bez antidotum...

ROZDZIAŁ 64

- Teraz nie ma czasu, żeby się zamartwiać trucizną - rzekł Richard, pomagając Kahlan wstać.

Nie ma czasu? Patrzyła, jak się chwieje, idąc przez pokój. Złapał się parapetu.

Przez małe okienko w zewnętrznych umocnieniach zagwizdał sygnał - wysoki, czysty głos pospolitej leśnej muchołówki, uważany przez Carę za głos krótkoogoniastego sokoła sośniaka, którego dla niej wymyślił.

- Dostałem się tu po drabinie - wyjaśnił. - Cara już nadchodzi.

Kahlan usiłowała dojść do niego, lecz czuła się jakoś dziwnie we własnym ciele. Przeczłapała kilka kroków, a nogi miała jak z drewna. Korciło ją, żeby opaść na kolana i dłonie i tak się poruszać. Czuła się obco we własnej skórze. Dziwnie było samodzielnie oddychać, patrzeć własnymi oczami, słuchać własnymi uszami. A już całkiem osobliwie było czuć na skórze odzienie.

Richard wyciągnął ku niej ramię, żeby się na nim wsparła. Kahlan pomyślała, że nawet teraz, kiedy się tak zatacza, i tak pewniej się trzyma na nogach niż on.

- Będziemy musieli wyciąć sobie odwrót - rzekł - ale nam pomogą. No i zdobędę dla ciebie pierwszy miecz, jaki mi się nawinie.

Zdmuchnął płomyk świeczki stojącej na małej półce przed cynowym odbłyśnikiem.

- Richardzie, jeszcze nie... nie przywykłam do mojego ciała. Chyba jeszcze nie mogę stąd wyjść. Z trudem chodzę.

- Nie mamy wielkiego wyboru. Musimy wyjść. Przyzwyczaisz się po drodze. Pomogę ci.

- Sam ledwo się trzymasz na nogach.

Cara wdrapała się na szczyt zrobionej przez Richarda drabiny, pochyliła się i wcisnęła w małe okienko.

Jeszcze tkwiąc w otworze, westchnęła z zachwytem:

- Matka Spowiedniczka... Lordowi Rahlowi jednak się udało.

- Nie musisz się aż tak dziwić - parsknął rozeźlony Richard, pomagając Mord-Sith wydostać się z okienka.

Cara zdążyła tylko rzucić okiem na rozciągniętego na podłodze

martwego człowieka, a już Kahlan ją objęła.

- Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię znowu widzę - powiedziała Mord-Sith.

- A ty nie wiesz, jaka jestem rada, znowu patrząc na ciebie moimi oczami!

- Gdyby tylko udała się ta twoja wymiana - szepnęła Cara.

- Znajdziemy inny sposób - zapewniła ją Kahlan.

Richard ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał. Zamknął je i odwrócił się ku kobietom.

- Pusto. Drzwi po lewej i wzdłuż galeryjki prowadzą do pokoi z kobietami. Schody po prawej to najbliższa droga w dół. Niektóre z pomieszczeń na dole należą do oficerów, inne to izby żołnierzy.

Mord-Sith skinęła głową.

- Jestem gotowa.

Kahlan spojrzała na jedno i drugie.

- Do czego?

Richard ujął ją za łokieć.

- Pomóż mi widzieć.

- Pomóc ci widzieć? To aż tak szybko postępuje?

- Wysłuchaj mnie. Pójdziemy galeryjką w lewo, otwierając po drodze drzwi. Postaraj się, żeby kobiety były cicho. Wydostaniemy je stąd.

Kahlan była tym wszystkim trochę zdezorientowana - zupełnie inne plany podsłuchiwała z Nicholasem. Wiedziała, że musi się podporządkować Richardowi i Carze.

Na skromnej drewnianej galeryjce nie było ani lamp, ani pochodni. Księżyc skrywał się za czarnymi sylwetkami gór. Kiedy Nicholas miał pod kontrolą ducha Kahlan, widziała jak przez zamazaną, nierówną szybę. Jeszcze nigdy gwiazdy nie wydały jej się tak piękne jak w tej chwili. W ich migotliwej poświacie dostrzegła skromne budynki stojące wzdłuż zewnętrznej ściany umocnień.

Richard i Cara szli galeryjką, otwierając drzwi. Mord-Sith za każdym razem na krótko zniknęła w środku. Niektóre z kobiet wyszły w nocnych koszulach, inne - jak sądziła Kahlan po odgłosach - pośpiesznie się ubierały. W kilku pokojach zapłakały małe dzieci.

Gdy Cara była w jednym z pokoi, Richard otworzył kolejne drzwi.

Pochylił się ku żonie i szepnął:

- Wejź i powiedz tym kobietom, że przyszliśmy im pomóc w ucieczce. Że ich mężczyźni przyszli je wyzwolić, ale że muszą być zupełnie cicho, bo inaczej nas złapią.

Kahlan tak szybko, jak jej pozwoliły ociężałe jeszcze nogi, weszła do izby i potrząsnęła młodą kobietą śpiącą w łóżku po prawej. Ta usiadła przerażona, lecz milcząca. Spowiedniczka potrząsnęła kobietą na drugim łóżku.

- Przyszliśmy pomóc wam w ucieczce. Musicie być zupełnie cicho. Wasi mężczyźni też wam pomogą. Macie okazję odzyskać wolność.

- Wolność? - zapytała pierwsza z kobiet.

- Tak. Decyzja należy do was, ale z całego serca radzę, żebyście wykorzystały okazję i się pospieszyły.

Kobiety poderwały się z łóżek, chwyciły odzienie.

Richard, Kahlan i Cara szli galeryjką, prosząc te kobiety, które powychodziły już z izb, żeby pomogły zwołać pozostałe. Wystarczyło parę minut i na galeryjce tłoczyły się setki kobiet. Nie trzeba było im powtarzać, że mają być cicho. Za dobrze wiedziały, czym grozi wywoływanie kłopotów. Nie chciały, żeby je przyłapano na ucieczce. Raz-dwa dotarli do końca galeryjki.

Wiele kobiet miało maleńkie dzieci - niektóre zbyt małe, żeby je zabierać. Większość maleństw twardo spała w ramionach matek, ale niektóre zaczęły płakać. Matki rozpaczliwie starały się je ukołysać i uciszyć, a Kahlan miała nadzieję, że taki płacz jest tu czymś zwyczajnym, więc nie powinien przyciągnąć uwagi żołnierzy.

- Zaczekajcie tutaj - szepnął do niej Richard. - Nie puszczaj stąd nikogo, dopóki nie otworzymy bramy.

Richard, a tuż za nim Cara, ostrożnie zeszli po schodach i ruszyli przez podwórzec. Kiedy jedno z maleństw zaczęło nagle krzyczeć, z budynku wyszli żołnierze, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dostrzegli Richarda i Carę. Narobili wrzasku, wszczynając alarm.

Kahlan usłyszała charakterystyczny szcęk stali, kiedy Richard dobył miecza. Z niektórych drzwi wysypywali się żołnierze, chcąc przeciąć drogę Richardowi i Carze. Przyzwyczajeni do łatwego radzenia sobie z Bandakarczykami, zupełnie nie spodziewali się oporu. I byli w błędzie - padali, jak tylko zbliżyli się do chłopaka na odległość sztychu. Część Richard

zabijał, biegnąc, innych Cara powalała Agielem, kiedy próbowali ich zająć z boku.

Wrzaski koszonych żołnierzy postawiły na nogi cały obóz. Ich kamraci wybiegali z dolnych pomieszczeń, wciągając spodnie i koszule, wlokąc za sobą pasy z bronią.

W nikłej poświacie gwiazd Kahlan wypatrzyła Richarda przy opuszczanej bramie. Z całej siły zamachnął się mieczem. Kiedy ostrze przecięło jeden z solidnych łańcuchów, trysnęły snopy iskier. Chłopak pobiegł ku łańcuchowi po drugiej stronie bramy. Tam dogonili go dwaj żołnierze. Jednym szybkim ruchem miecza zabił obu.

Cara powaliła innych, którzy pędzili ku niemu, a Richard znów się zamachnął. W powietrze poleciały zbiegające z żaru fragmenty łańcucha, szczekał pękający metal. Brama zatrzeszczała i z wolna zaczęła opadać. Richard naparł na nią i przyspieszył to opadanie. Runęła z hukiem, wzbijając tumany kurzu.

Czekający na zewnątrz Bandakarczycy z wielkim krzykiem, wznosząc miecze, topory i maczugi, runęli do środka przez wyważoną bramę. Żołnierze skoczyli ku nim - zwarli się i ludzie, i oręż.

Wtem Kahlan spostrzegła, że żołnierze pędzą w górę po schodach na przeciwległym krańcu galeryjki.

- Idziemy! - wrzasnęła do kobiet. - Musimy się wydostać!

Trzymając się poręczy, pobiegła schodami w dół, a kobiety za nią. Wiele z nich niosło krzyczące dzieci. Richard dotarł pod schody. Porwał krótki miecz z oplecioną skórą rękojeścią i rzucił go Kahlan. Chwyciła go akurat w porę, żeby się odwrócić i ciąć żołnierza wybiegającego spod galeryjki.

Pomiędzy walczącymi ku kobietom przedarł się Owen.

- Chodźcie! - zawołał do nich. - Do bramy! Biegiem!

Kobiety, poderwane do czynu jego rozkazem, ruszyły szybko przez obóz. Kiedy znalazły się w pobliżu walczących, część z nich - zamiast uciekać przez bramę - wykorzystała okazję i skoczyła na karki żołnierzom bijącym się z Bandakarczycami. Tłukły ich po plecach, po głowach, wbijały im palce w oczy. Żołnierze nie patyczkowali się z nimi i sporo kobiet zginęło. Ale to nie powstrzymało innych od przyłączania się do walki.

Gdyby po prostu biegly do bramy, wszystkie by uciekły, lecz one gołymi rękami atakowały wrogów. Bardzo długo były u nich w niewoli. Kahlan

mogła się tylko domyślać, przez co musiały przejść, i teraz nie mogła mieć do nich pretensji, że chcą pomsty. Wciąż trudno jej się było poruszać, skłaniać ciało do posłuszeństwa - inaczej też by się do nich przyłączyła.

Usłyszała jakiś odgłos i odwróciła się - to pędził na nią jakiś żołnierz. Rozpoznała ten spłaszczony nos. Najari, prawa ręka Nicholasa. Jeden z tych, którzy przynieśli ją do obozu. Biegł ku niej, uśmiechając się paskudnie. Mogłaby go razić swoją mocą, ale jeszcze wołała się do niej nie uciekać. Wyciągnęła zza pleców krótki miecz i wbiła go Najariemu w brzuch. Znieruchomiał przed nią, oczy mu się rozszerzyły. Czuła jego cuchnący oddech. Szarpnęła miecz w bok. Najari szeroko otworzył usta i dyszał, bojąc się głębiej odetchnąć, bojąc się poruszyć, żeby jeszcze bardziej nie ucierpieć. Kahlan zacisnęła zęby i pociągnęła klingę łukiem, tnąc żołdakowi wnętrzności. Patrzyła w jego zdumione i zalęknione oczy, kiedy się zsuwał z jej miecza. Stęknął z bólu, opadając na kolana i ściskając rękami rozplątany brzuch. Nigdy nie dostanie tego, czego chciał i co - jak Kahlan wiedziała - Nicholas mu obiecał.

Padł na twarz u jej stóp, wnętrzności wypłynęły mu na ziemię.

Znów spojrzała na walczących. Richard kosił tych, którzy chcieli go otoczyć; dbał o to, żeby brama była dostępna. Ludzie Richarda spadali z tyłu na wrogów, powalając ich tak, jak ich nauczył.

Zobaczyła w pobliżu Owena. Stał na otwartej przestrzeni, wśród zabitych i walczących, i wpatrywał się w mężczyznę tkwiącego obok jednych z drzwi pod galeryjką. Żołnierz ten miał gęstą czarną brodę oraz kółko w jednym uchu i jednym nozdrzu. Ramiona miał potężne jak konary drzewa, a barki dwa razy szersze niż Owen.

- Luchan - powiedział do siebie Bandakarczyk.

Ruszył przez plac warownego obozu, mijając walczących, krzyczących, zabijanych mieczami, mijając śmigające w powietrzu klingi i topory, jakby ich w ogóle nie widział. Oczywiście miał wbite w żołnierza, który obserwował, jak Owen idzie ku niemu.

W drzwiach za Luchanem pojawiła się twarz młodej kobiety. Odwrócił się i warknął, żeby wracała do środka, że on już się zajmie tym człeczyną z jej miasteczka.

Kiedy Luchan znów się odwrócił, Owen stał przed nim.

Żołdak wsparł się pięściami pod boki i roześmiał:

- Czemu nie uciekasz do dziury?

Owen nie odezwał się, nie ostrzegł, o nic nie poprosił. Uderzył na Luchana, kierowany pragnieniem pomsty - tak jak mu doradził Richard. Dźgnął tamtego nożem w pierś, zanim Luchan w ogóle zdążył zareagować. Przeciwnik zlekceważył Owena. I to go kosztowało życie.

Przez otwarte drzwi wybiegła kobieta i stanęła przy zwłokach swojego pana i władcy. Wpatrywała się w niego - w ramię odrzucone na bok, w drugie leżące na zakrwawionej piersi, w niewidzące oczy. A potem spojrzała na Owena.

Kahlan uznała, że to musi być Marilee, i wystraszyła się, że kobieta odrzuci Owena, bo zabił, że surowo go zgani za ten czyn. Jednak Marilee skoczyła ku Owenowi i mocno go objęła. Następnie uklękła obok ciała i wyjęła z dłoni Bandakarczyka okrwawiony nóż. Obróciła się ku martwemu Luchanowi i pchnęła go kilkanaście razy z taką siłą, że za każdym nóż zagłębiał się aż po rękojeść. Kahlan, patrząc na jej furję, nie musiała się zastanawiać, jak żołdak ją traktował.

Marilee wyładowała gniew, wstała i znów z płaczem objęła Owena.

Kahlan musiała się dostać do Richarda. Z ulgą stwierdziła, że coraz lepiej panuje nad własnym ciałem. Ruszyła wokół walczących, trzymając się ścian. Żołnierze spostrzegli ją i uznali, że będzie łatwym łupem. Nie mieli pojęcia, że jej ojciec, król Wyborn, od małego uczył ją posługiwania się mieczem i że później Richard doszlifował jej umiejętności, pokazując jej, jak ma wykorzystać to, że jest lżejsza. Żołnierze Ładu popełnili ostatni w swym życiu błąd.

Na przeciwległej stronie placu wyroili się z koszar żołnierze, już całkiem wybudzeni i przygotowani do walki. Wszyscy runęli na Richarda. Kahlan natychmiast się zorientowała, że są zbyt liczni. Ludzie Richarda nie dadzą rady tym wojownikom, jak jeden mąż biegnącym ku chłopakowi.

A potem usłyszała ogłuszający trzask piorunu, umocnienia załał jaskrawy blask. Musiała się odwrócić i osłonić oczy. Noc zmieniła się w dzień i równocześnie pojawiła się czerń ciemniejsza od najczarniejszej nocy.

Oślepiająco biały strumień magii addytywnej oplatał się wokół czarnej pustki magii subtraktywnej - splatały się, tworząc bliźniaczą błyskawicę przywołaną w straszliwej potrzebie.

Jakby rozbłysło wśród nich słońce w zenicie. Żar i blask wsysały

powietrze. Kahlan nie mogła oddychać.

Furia Richarda zebrała to wszystko w jeden punkt. Mgnienie oka i grzmiący błysk światła zaczął się rozszerzać, siejąc zniszczenie w całym obozie i uśmiercając żołnierzy Imperialnego Ładu.

Noc znów była cicha i ciemna.

Zdumieni mężczyźni i kobiety stali w morzu krwi i trzewi, wodząc wzrokiem po nierozpoznawalnych szczątkach wroga.

Walka się skończyła. Bandakarczycy zwyciężyli. Kobiety zaczęły szlochać i zawodzić upojone tym, że wreszcie są wolne. Znały wielu z mężczyzn, którzy przyszli je wyzwolić, więc tuliły się do nich z wdzięcznością, nie posiadając się z radości, że znowu są razem. Ścisnęły przyjaciół, krewnych i nieznajomych. Mężczyźni też płakali z ulgi i z radości.

Kahlan pospieszyła przez weselący się tłum. Ich ludzie witali ją radosnymi okrzykami, szczęśliwi, że i ona została ocalona. Niektórzy chcieli z nią porozmawiać, lecz ona zmierzała ku Richardowi.

Stał z boku, oparty o ścianę. Cara pomagała mu się utrzymać na nogach. Wciąż jeszcze zaciskał dłoń na rękojeści okrwawionego miecza, wbijając go sztychem w ziemię.

Owen też się przecisnął ku Richardowi.

- Matko Spowiedniczko! Takim szczęśliwy i wdzięczny, żeś znowu jest z nami! - Spojrzał na uśmiechniętego Richarda. - Chciałbym ci przedstawić Marilee, lordzie Rahlu.

Kobieta, która zaledwie kilka chwil wcześniej zawzięcie dźgała nożem zwłoki swojego ciemieżcy, teraz wstydziła się odezwać. Skłoniła głowę na powitanie.

Richard wyprostował się i obdarzył ją tym uśmiechem, który Kahlan tak kochała, uśmiechem pełnym radości życia.

- Rad jestem, że mogłem cię w końcu poznać, Marilee. Owen wszystko nam o tobie opowiedział, mówił, ile dla niego znaczysz. W ogniu tych wszystkich wydarzeń zajmowałaś zawsze pierwsze miejsce w jego sercu i w jego myślach. Miłość do ciebie dała mu siłę, żeby zmienić na lepsze całe imperium.

To wszystko i słowa Richarda głęboko ją poruszyły.

- Lord Rahl zjawił się u nas i dokonał czegoś ważniejszego niż ocalenie nas wszystkich - wyjaśnił Owen ukochanej. - Dał mi odwagę, bym walczył o

ciebie, bił się o twoje ocalenie. Natchnął nas wszystkich odwagą walki o nasze życie i życie tych, których kochamy.

Rozpromieniona Marilee pocałowała Richarda w policzek.

- Dziękuję ci, lordzie Rahlu. Nie miałam pojęcia, że mój Owen jest zdolny do takich czynów.

- Możesz mi wierzyć - odezwała się Cara - że i my mieliśmy co do niego wątpliwości. - Klepnęła Owena w łopatkę. - Ale dobrze się spisał.

- I ja pojęłam, jak cenne jest to, czego dokonał - powiedziała Bandakarka do Richarda - i to, czego nauczyłeś naszych ziomków.

Richard uśmiechnął się do obojga, ale potem nie mógł już powstrzymać kaszlu sprawiającego mu taki ból. Radosny nastrój oswobodzenia zmienił się nagle. Ludzie podbiegli do nich, podtrzymali go. Kahlan ujrzała krew ściekającą po brodzie chłopaka.

- Richardzie! - krzyknęła. - Nie...

Ostrożnie położyli go na ziemi. Chwycił Kahlan za rękaw, chciał, żeby była przy nim. Widziała łzy spływające po policzkach Cary.

Wyglądało na to, że zużył resztki sił. Trucizna zyskiwała nad nim przewagę i nic już nie mogli dla niego zrobić.

- Owenie - odezwał się Richard, z trudem łapiąc oddech, kiedy ustąpił kaszel - jak daleko jest stąd do twojego miasta? - Głos miał coraz bardziej zachrypnięty.

- Niezbyt daleko. Kilka godzin, jeżeli się pospieszymy.

- A mieszkał tam... ten człowiek, który sporządził truciznę i antidotum?

- Tak. Wszystko wciąż tam jest.

- Zabierzcie mnie tam.

Owen miał zdziwioną minę, ale energicznie kiwał głową.

- Jasne.

- Spieszmy się - dodał Richard, usiłując wstać, ale już nie mógł.

W tłumie pojawił się Tom. Była tam i Jennsen.

- Przynieście jakieś tyczki! - nakazał Tom. - I płótno albo koce. Zrobimy nosze. Poniesie go czterech mężczyzn. Możemy biec, a wtedy szybko go tam zaniemiemy.

Ludzie rzucili się do budynków, szukając tego, co było potrzebne do zrobienia noszy.

ROZDZIAŁ 65

Kahlan pospiesznie zdjęła z półki puszkę i otworzyła ją. W środku był żółtawy proszek. To był właściwy kolor. Pochyliła się i pokazała zawartość leżącemu na noszach Richardowi. Wziął szczyptę w palce. Powąchał, dotknął językiem, a potem skinął głową.

- Odrobinę - szepnął, wyciągając ku niej rękę.

Kahlan podstawiła dłoń, a on nasypał na nią trochę proszku. Resztę rzucił na podłogę zbyt słaby, żeby się troszczyć o wsypanie tego z powrotem do puszek. Kahlan strąciła proszek z dłoni do jednego z garnuszków z wrzątkiem.

W innych garnuszkach z gorącą wodą moczyły się płócienne woreczki z ziołami. Alkaloidy z suszonych grzybów przesiąkały do olejków. Niektórzy ucierali łodygi roślin.

- Stroiczka - powiedział Richard. Oczy miał zamknięte.

Owen schylił się ku niemu.

- Stroiczka?

Chłopak potaknął.

- To będzie ususzone ziele.

Bandakarczyk zaczął szukać na półkach. Na ścianie izby, w której pracował twórca trucizny i antidotum, znajdowały się setki małych skrytek. Był to zwykły, słabo oświetlony, jednoizbowy budynek. Nie był tak bogato zaopatrzony jak pracownia zielarzy, które Kahlan wcześniej widywała, lecz i tak zapasy okazały się imponujące. Co więcej, ów mężczyzna zapewne sporządził wtedy antidotum z tego, co miał tutaj.

- O, proszę! - Owen podsunął Richardowi torebkę. - Na nalepce jest napisane „stroiczka”.

- Utrzyj ilość odpowiadającą połowie paznokcia twojego kciuka, potem odrzuć włókna, a to, co zostanie, dodaj do czarki z ciemniejszym olejkim.

Richard znalazł się na ziołach, ale nie na tyle, żeby sporządzić antidotum na podaną mu truciznę.

Kierował nim jego dar.

Chłopak był w stanie podobnym do transu, niemal nieprzytomny. Kahlan nie bardzo wiedziała, w którym z tych stanów właściwie jest. Trudno mu

było oddychać. Nie miała pojęcia, jak ma mu pomóc. Jeżeli czegoś nie zrobią, umrze, i to wkrótce. Dopóki leżał spokojnie na noszach, trochę odpoczywał, ale to go nie uzdrowi.

Do Witherton dobiegli błyskawicznie, ale jak na Kahlan i tak trwało to za długo.

- Krwawnik pospolity - odezwał się Richard.

Kahlan pochyliła się ku niemu.

- W jakiej postaci?

- Olejek - odparł.

Szukała wśród małych buteleczek. Znalazła jedną z nalepką „olejek krwawnikowy”. Przykucnęła i podsunęła ją Richardowi.

- Ile? - Uniosła jego rękę i zacisnęła mu palce na buteleczce, żeby wiedział, jakie ma rozmiary. - Ile?

- Jest pełna?

Kahlan pospiesznie wyjęła drewnianą zatyczkę.

- Tak.

- To połowę. Do dowolnego innego olejku.

- Znalazłam złocien maruna - oznajmiła Jennsen, zeskakując z taboretu.

- Zrób tynkturę - polecił jej Richard.

Kahlan zakorkowała buteleczkę i przykucnęła obok męża.

- Co dalej?

- Sporządź napar z dziewanny.

- Dziewanna, dziewanna - mruzczała Kahlan, wracając do pracy.

Richard wydawał im polecenia, a pół tuzina osób gotowało, robiło mieszanki, rozkruszało, ucierało, filtrowało i macerowało. Niektóre składniki mieszały, kiedy były gotowe, inne trzymali oddzielnie. Pracowali, stosując się ściśle do wskazówek lorda Rahla.

Chłopak skinął na Owena. Ten otrzepał ręce o spodnie i pochylił się, czekając na instrukcje.

- Zimne - powiedział Richard, nie otwierając oczu. - Potrzebujemy czegoś zimnego. Trzeba to jakoś schłodzić.

Owen przez chwilę się zastanawiał.

- W pobliżu jest strumień.

Richard wskazał kilku trudzących się ludzi.

- Wsyp przygotowane przez nich proszki i składniki do wrzątku w tym

kociołku. Potem zanieś to do strumienia. Zanurz kociołek w wodzie, niech ostygnie. - Ostrzegawczo uniósł palec. - Nie zanurzaj go za głęboko, bo jak woda ze strumienia dostanie się do środka, to wszystko na nic.

Owen pokręcił głową.

- Nie dopuszczę do tego.

Czekał niecierpliwie, gdy Kahlan wsypywała zawartość płytkich misek do wrzącej wody. Nie miała pojęcia, czy coś z tego wyjdzie, lecz wiedziała, że Richard ma magiczny dar i że z całą pewnością sam rozwiązał problemy z nim związane. Jeżeli ów dar mógłby nim kierować przy sporządzaniu antidotum, to uratowałby mu życie.

Bo nic innego tego zrobić nie zdoła.

Podła kociołek Owenowi. Pobiegł, żeby zanurzyć go w strumieniu i schłodzić. Cara poszła za nim, chcąc mieć pewność, że nic złego nie stanie się z tym, co miało uratować Richardowi życie.

Jennsen siedziała na podłodze przy Richardzie i trzymała go za rękę. Kahlan grzbietem dłoni odgarnęła włosy z twarzy. Też usiadła obok niego i ujęła jego drugą dłoń, czekając na powrót Cary i Owena.

Betty tkwiła w drzwiach. Nastawiła uszu i wyczekująco machała ogonkiem, ilekroć Kahlan czy Jennsen ku niej spojrzali.

Wydawało się, że minęły całe godziny, zanim Owen nadbiegł z kociołkiem, chociaż Spowiedniczka wiedziała, że to aż tak długo nie trwało.

- Przepędźcie to przez płótno - odezwał się Richard - ale na końcu nie wygniatajcie materiału. Niech płyn się przesącza, póki nie będziecie mieli połowy kubka. Wtedy dodajcie do tego olejki.

Wszyscy przypatrywali się pracującej Kahlan. Podsuwali to, co jej było potrzebne, zabierali to, z czym skończyła. Kiedy już miała w kubku odpowiednią ilość płynu z kociołka, dodała do niego olejki.

- Zamieszaj to laską cynamonu - powiedział Richard.

Owen stanął na taborecie.

- Pamiętam, że widziałem cynamon. - Podał laseczkę Kahlan.

Mieszała żółcisty płyn, ale bez wyraźnego efektu.

- Olejek i woda nie chcą się mieszać - powiedziała do chłopaka.

Głowę miał odwróconą w przeciwną stronę.

- Nie przestawaj. W pewnej chwili zniemacka się połączą.

Kahlan, pełna wątpliwości, cierpliwie mieszała. Widziała, że olejki

skupiają się w kulki i wcale nie łączą z poprzedzonym przez płótno płynem. Im bardziej to wszystko stygło, tym mniej wskazywało na to, że się wreszcie połączy. Czowała, jak po policzku spływa jej łza rozpacz i spada z obrzeża twarzy.

Mikstura zgęstniała. Kahlan nie przestawała mieszać, bo nie chciała powiedzieć Richardowi, że to nic nie dało. Coraz bardziej dusiło ją w gardle.

Zawartość kubka zaczęła się robić płynna. Dziewczyna wstrzymała oddech. Zamrugła. Zawartość zmieniła się nagle w jednorodny syrop.

- Richardzie! - Otarła łzę z policzka. - Udało się! Zmieszały się. Co teraz?

Wyciągnął rękę.

- Gotowe. Daj mi.

Jennsen i Cara pomogły mu usiąść. Kahlan, oburącz trzymając drogocenny kubek, ostrożnie przytknęła mu go do ust. Przechylała, żeby łatwiej mu było pić. Trochę to potrwało, zanim wszystko wypił. Od czasu do czasu musiał robić przerwy, starając się powstrzymać kaszel.

Było tego o wiele więcej niż w którejkolwiek z kanciastych buteleczek, lecz Kahlan uznała, że widocznie potrzebował więcej antidotum, skoro tak się to opóźniło.

Kiedy skończył, odstawiła kubek na blat. Zlizła z palca kroplę płynu. Mikstura miała słodki, korzenny smak i leciutko pachniała cynamonem. Kahlan miała nadzieję, że tak powinno być.

Richard odpoczywał, bo picie go zmęczyło. Ostrożnie na powrót go położyli. Dłonie mu drżały. Bardzo źle wyglądał.

- Teraz dajcie mi wypocząć - wymruczał.

Betty - wciąż stojąca w drzwiach i baczenie się wszystkiemu przyglądająca - zameczała na znak, że chce ku niemu podejść.

- Wyzdrowieje - powiedziała Jennsen przyjaciółce. - Masz zostać, gdzie jesteś, i dać mu odpocząć.

Kózka zakwiliła cichutko, a potem ułożyła się w drzwiach i czekała wraz z nimi. Zapowiadała się długa noc. Kahlan czuła, że nie zaśnie, póki nie będzie mieć pewności, że Richard wyzdrowieje.

- Jeszcze tego tam trzeba usunąć - powiedział Zedd do strażnika granicy.

Chase miał kolczugę na brązowej skórzanej bluzie. Grube czarne spodnie podtrzymywał czarny pas spięty dużą srebrną klamrą z godłem strażników granicy. Pod czarną peleryną - przypasany do nóg, stanu, ramion i pleców na

wysokości łopatek - skrywał się niewielki arsenał: od małych, cienkich, kryjących się w dłoni szpikulców używanych do przebijania czaszki, po bojowy topór z półksiężycowatym ostrzem, sposobny do rozplątania czaszki jednym czystym ciosem. Chase był mistrzem w posługiwaniu się całym tym arsenałem.

Minęło już sporo czasu, odkąd przestały być potrzebne umiejętności strażnika granicy. Chase nie miał godnego siebie zajęcia.

Wielkolud przeciął rampart i pochylił się, żeby wyciągnąć spod ciała nóż.

- Oto i on - mruknął, rozpoznając oręż. Uniósł ku światłu nóż z rękojeścią z drewna orzecha i przyjrzał mu się. - Bałem się, że go straciłem.

Wsunął nóż do pustej pochwy, nawet nie patrząc. Złapał jedną dłonią za spodnie u pasa i podniósł sztywne ciało. Podszedł do otworu w zwieńczonym blankami murze i wyrzucił je.

Zedd wyjrzał za krawędź. Kilka tysięcy stóp swobodnego lotu, nim zbocze góry na tyle się wybrzuszy, że to, co spada, w nie uderzy. A potem jeszcze następne kilka tysięcy stóp granitowego urwiska, nim zacznie się las.

Złociste słońce stało coraz niżej. Chmury zaczynały się barwić złotawo i pomarańczowo. Z tej odległości miasto w dole było równie piękne jak zwykle, lecz Zedd wiedział, że nie ma tam ani jednego człowieka.

- Chase, Zedd! - zawołała z drzwi Rachel. - Gulasz gotowy!

Zedd wyrzucił w górę kościste ramiona.

- Kurczę! Najwyższy czas! Człowiek mógłby umrzeć z głodu, czekając, aż gulasz będzie gotowy!

Rachel wsparła o biodro pięść z drewnianą łychą, a palcem drugiej dłoni pogroziła czarodziejowi.

- Jak się będziesz wyrażał, to nie dostaniesz kolacji!

Chase westchnął i łypnął na Zedda.

- I tobie się zdaje, że masz kłopoty. Nie masz pojęcia, jak potrafi dać w kość dziewczynka, która nie sięga głową kłamry mojego pasa!

Czarodziej poszedł za nim ku drzwiom w grubym kamiennym murze.

- Zawsze jest tak dokuczliwa?

Chase, mijając małą, zwichrzył jej włoski.

- Zawsze - zwierzył się.

- A dobry ten gulasz? - spytał Zedd. - Godzien tego, żebym uważał, co gadam?

- Nowa mama nauczyła mnie, jak go przyrządzać - powiedziała Rachel kuszącym tonem. - Rikka trochę zjadła przed wyjściem. Powiedziała, że smaczny.

Zedd przyglądał nieposłuszne siwe włosy.

- Hmm, Emma gotuje najlepiej ze wszystkich znanych mi kobiet.

- No to bądź grzeczny - pouczyła go Rachel. - Dam ci do niego bułeczki.

- Bułeczki!

- Jasne. Co to za gulasz bez bułeczek.

Zedd przyjrzał się jej, mrugając powiekami.

- I ja tak zawsze myślałem.

- Lepiej najpierw pozwól mi sprawdzić, czy dobrze go przyrządziła - odezwał się Chase, kiedy szli zawieszonymi gobelinami korytarzami wieży. - Nie chciałbym, żebyś się pochopnie do czegoś zobowiązał, zanim się przekonamy, czy to w ogóle zjadliwe.

- Friedrich pomagał mi w tym, co najtrudniejsze - powiedziała Rachel. - Mówi, że smaczny.

- Przekonamy się - zawyrokował Chase.

Rachel się odwróciła i pogroziła mu drewnianą łyżą.

- Ale najpierw musisz umyć ręce. Widziałam, jak zrzuciłeś z muru tego zabitego. Musisz umyć ręce, zanim siądziesz przy stole, żeby jeść.

Strażnik spojrzał na Zedda wzrokiem obrażonej niewinności.

- I pomyśleć tylko, że gdzieś tam radośnie bawi się jakiś chłopiec, a może i trzyma teraz w dłoni martwą żabę, nie mając pojęcia, że kiedyś ożeni się z panną umyj-ręce-przed-jedzeniem.

Zedd się uśmiechnął. Kiedy Chase zabrał Rachel do domu i uznał za córkę, stało się coś dla niej najwspanialszego. Czarodziej nie mógłby sobie życzyć dla niej niczego lepszego. Rachel też tak uważała i wtedy, i - najwyraźniej - teraz. Gorąco Chase'a kochała.

Kiedy tak siedzieli przed wesoło buzującym w kominku ogniem i Zedd cieszył się trzecią miseczką gulaszu, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wieża była tak wspaniałym miejscem. Bo znów było w wieży dziecko i byli przyjaciele.

Friedrich - który z polecenia Richarda przybył ostrzec czarodzieja o zagrażającym wieży atakowi - przekonał się, że nie zdążył na czas. Ruszył głową i uznał, że trzeba odszukać Chase'a, starego przyjaciela, o którym

wspomniał mu Richard. Kiedy Chase pojechał odbijać Zedda i Adie, Friedrich wrócił do wieży na przeszpiegi. Wszystko uważnie obserwował, starając się nie natknąć przy tym na Siostrę, więc później mógł przekazać im obu bezcenne informacje o liczbie przeciwników i o rozkładzie ich zajęć. Pomógł też odbić Wieżę Czarodzieja.

Spodobał się Zeddowi. Nie tylko wspaniale władał nożem, ale i dobrze się z nim rozmawiało. Friedrich był mężem czarodziejki, więc w przeciwieństwie do niektórych rozmawiał z czarodziejem bez lęku i onieśmienia. A ponieważ całe życie mieszkał w D'Harze, pomagał uzupełnić rozmaite informacje.

Rachel uniosła figurkę jastrzębia.

- Popatrz, Zeddzie, co Friedrich dla mnie zrobił. Czy to nie najśliczniejsze ze wszystkiego, coś dotąd widział?

- Oooo, na pewno. - Zedd się uśmiechnął.

- To błahostka - prychnął Friedrich. - Gdybym miał płatki złota, tobym ci go pozłocił. Kiedyś tak zarabiałem na życie. - Odchylił się w tył i uśmiechnął do siebie. - Zanim lord Rahl mianował mnie strażnikiem granicy.

- Wiecie co - odezwał się do nich bezceremonialnie czarodziej - wieża jest teraz bardziej wystawiona na ataki niż kiedyś, bo mogą się tu zjawić ci nieskażeni magią. Ja sobie poradzę z obroną przed tymi, na których magia działa, ale nie przed tymi drugimi.

- Na to wygląda - potwierdził Chase.

- Więc tak sobie myślałem - podjął Zedd - że skoro nie ma już granicy i tych wszystkich związanych z nią problemów, to może wy dwaj zechcielibyście pomóc strzec Wieży Czarodzieja. Nie nadaję się tak dobrze do tej roli jak ktoś odpowiednio wyszkolony. - Nachylił się, zmarszczył brwi. - To niezmiernie ważne.

Chase, oparty łokciami o stół, żuł kęs bułeczki i przyglądał się Zeddowi. W końcu zamieszał łyżką gulasz.

- Pewnie, to byłoby nieszczęście, gdyby Jagang i ci nieskażeni magią znowu dostali w swe łapy wieżę. - Dumął przez chwilę. - Emma zrozumie.

Zedd wzruszył ramionami.

- Sprowadź ją tutaj.

Chase zmarszczył brwi.

- Sprowadzić ją tu?

Czarodziej wykonał zamaszysty gest.

- W wieży na pewno wystarczy miejsca.

- Ale co byśmy zrobili z dziećmi? - Strażnik odchylił się na oparcie. - Nie chciałbyś mieć w wieży wszystkich moich dzieciaków, Zeddzie. Biegałyby wszędzie, bawiły się w korytarzach. Zwariowałbyś od tego. Poza tym - dodał, łypiąc gniewnym okiem na Rachel - jedno jest brzydsze od drugiego.

Dziewczynka stłumiła chichot bułeczką.

Zedd pamiętał wieżę rozbrzmiewającą dziecięcym śmiechem, dźwiękami radości i miłości.

- Taak, to byłoby kłopotliwe - przyznał - ale w końcu chodzi o bezpieczeństwo wieży. Atak szlachetny cel godzien jest każdego poświęcenia.

Rachel popatrzyła na Chase'a, a potem na Zedda.

- Moja nowa siostra, Lee, mogłaby ci przywieźć Kota, Zeddzie.

- Racja! - odparł, teatralnie unosząc ramiona. - Od wieków Kota nie widziałem! Czy Lee dobrze go traktuje?

Rachel z zapalem przytaknęła.

- O tak. Wszyscy bardzo o niego dbamy.

- I co ty na to, Rachel? - spytał w końcu Chase. - Chciałabyś mieszkać w tym starym, zakurzonym domostwie razem z Zeddem?

Dziewczynka podbiegła i przytuliła się do jego nogi.

- O tak! Moglibyśmy? To by było boskie!

Strażnik westchnął.

- Czyli postanowione. Ale będziecie się musieli grzecznie zachowywać i nie uprzykrzać Zeddowi życia hałasami.

- Przyrzekam - powiedziała Rachel, a potem spojrzała chmurnie na czarodzieja. - Czy mama też będzie musiała wpełzać do wieży tym samym ciasnym tunelem co my?

Zedd zachichotał.

- Nie, nie, wprowadzimy ją głównym wejściem, jak przystało na damę. - Spojrzał na Friedricha. - No, a ty co na to, strażniku granicy? Zechcesz dalej spełniać prośbę lorda Rahla i zostaniesz, żeby strzec wieży?

Friedrich powoli obracał trzymaną za czubek skrzydła rzeźbę ptaka. Namyślał się.

- A czekając na jakiś groźny atak - dodał Zedd - mógłbyś się zająć inną

robotą. W wieży jest całe mnóstwo starych pozłacanych przedmiotów, które gwałtownie potrzebują odnowienia. Co byś powiedział na propozycję zostania oficjalnym złotnikiem Wieży Czarodzieja? Mamy tu spore ilości płatków złota. A kiedy ludzie powrócą do Aydindril, nie zabraknie ci klientów.

Friedrich wpatrywał się w stół.

- Bo ja wiem. Ta jedna przygoda była niezła, ale od śmierci mojej żony Althei nic mnie właściwie nie interesuje.

Zedd skinął głową.

- Wiem, jak to jest. I ja miałem żonę. Uważam, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś dostawał płacę za wykonanie potrzebnej roboty.

- No to zgoda. - Friedrich się uśmiechnął. - Przyjmuję tę robotę, czarodzieju.

- I pięknie - odezwał się Chase. - Będę potrzebował pomocy do zamykania w lochu uprzykrzonych dzieciaków.

Rachel się śmiała, kiedy postawił ją na podłodze. Chase odsunął krzesło i wstał.

- No, Friedrichu, skoro już mamy być strażnikami wieży, to czas na patrol. Musimy się upewnić, że wszystko jest bezpieczne i pod kontrolą. Rikce przyda się pomoc w tak rozległym domostwie.

- Uważajcie na osłony! - przypomniał im Zedd, kiedy zdążali ku drzwiom.

Gdy poszli, Rachel dała czarodziejowi kolejną bułeczkę, żeby godnie dokończył gulasz. Mocno zmarszczyła brwi.

- Jak już tu będziemy mieszkać, Zeddzie, naprawdę postaramy się być cicho, żeby ci nie przeszkadzać.

- Wiesz co, Rachel, w wieży jest mnóstwo miejsca. Na pewno nie będziecie mi zbyt przeszkadzać, kiedy zechcesz się trochę pobawić z braćmi i siostrami.

- Naprawdę?

Zedd wyciągnął z kieszeni skórzaną piłkę pokrytą wypłowiałymi niebieskimi i różowymi zygzakami. Położył ją na stole. Rachel zabłysły oczy.

- Znalazłem tę starą piłkę. - Wskazał ją bułeczką. - Na pewno będzie jej miło, jeśli ktoś znów zacznie się nią bawić. Uważasz, że ty i twoje rodzeństwo moglibyście się nią bawić, gdy tu zamieszkacie? Moglibyście ją

do woli odbijać po korytarzach.

Aż rozdziawiła buzię.

- Naprawdę, Zeddzie?

Uśmiechnął się, widząc jej minę.

- Naprawdę.

- Mogłabym ją odbijać w tym ciemnym korytarzu, który jest pełny takich zabawnych hałasów. Wtedy bym ci zupełnie nie przeszkadzała. I piłka też nie.

- Ta stara budowla pełna jest zabawnych hałasów, a podskakująca piłka na pewno nie będzie kłopotliwa.

Wdrapała mu się na kolana, objęła go za szyję i przytuliła się z całej siły.

- O wiele milej tulić się do ciebie teraz, kiedy już ściągnąłeś sobie z szyi tę okropną obrozę.

Zedd pogłaskał ją po plecach.

- Na pewno, dziecinko. Na pewno.

Odchyliła się do tyłu i spojrzała na niego.

- Tak bym chciała, żeby Richard z Kahlan tu byli i też bawili się ze mną piłką. Strasznie za nimi tęsknię.

- I ja, dziecinko. - Zedd się uśmiechnął. - I ja.

Zerknęła na niego, marszcząc brwi.

- Nie martw się, Zeddzie. Postaram się zbytnio nie hałasować.

Zedd pogroził jej kościstym palcem.

- Musisz się jeszcze sporo nauczyć o zabawie piłką, moja panno.

- Tak?

- Jasne. Śmiech tak pasuje do tej zabawy jak bułeczki do gulaszu.

Patrzyła nań chmurnie, niepewna, czy mówi poważnie. Postawił ją na podłodze.

- Coś ci powiem. Chodźmy, a pokażę ci, jak się nią bawić.

- Naprawdę, Zeddzie?

Czarodziej wstał, zwichrzył jej włoski.

- Naprawdę. - Zgarnął piłkę ze stołu. - Przekonamy się, czy pokażesz tej piłce, jak się należy dobrze bawić.

ROZDZIAŁ 66

Richard wsparł się plecami o skałę w cieniu białych dębów i zapatrzył na rząd srebrzystych klonów migoczących na wietrze. Wokół pachniało świeżością po wczorajszym deszczu. Chmury odpłynęły, odsłaniając czyste, mocno niebieskie niebo. Jego umysł też się nareszcie rozjaśnił.

Trwało to trzy dni, ale w końcu pozbył się trucizny. Dar nie tylko pomógł mu sprowadzić Kahlan znad krawędzi, ale i ocalić siebie.

Mieszkańcy Witherton właśnie próbowali odbudować swoje życie. Będzie im trudno, zważywszy na to, ilu ludzi utracili. Po przyjaciółach i krewnych została pustka. Jednak odzyskali wolność i dodatkowo zdobyli poczucie, że przyszłość lepiej się zapowiada.

Byli wolni, ale to wcale nie oznaczało, że tę wolność zachowają.

Richard spojrział w rozległą dolinę za miastem. Ludzie pracowali przy uprawach, zajmowali się żywym inwentarzem. Wracali do znanych sobie zajęć, znanego życia. I on chciał już wyruszyć w drogę, wrócić do swojego życia. Te ziemie odgrodziły ich od ważnych spraw, od ludzi, którzy na nich czekali.

Domyślał się, że i to wszystko jest ważne. Trudno było przewidzieć, co tu się zaczęło, co przyniesie przyszłość.

Z całą pewnością świat już nie będzie taki sam.

Zobaczył, jak przez bramę wychodzą Kahlan i Cara. Betty brykała przy nich, pragnąc wiedzieć, dokąd idą. Jennsen zapewne puściła kózkę na spacer. Betty całe swoje życie była w podróży. Nigdy długo nie pozostawała w jednym miejscu. Może dlatego zawsze chciała towarzyszyć Richardowi i Kahlan. Uznała ich za rodzinę i pragnęła być przy nich.

- I co zamierza? - spytał Kahlan, gdy podeszła do niego i postawiła swój plecak obok jego plecaka.

- Nie wiem. - Ośloniła dłonią oczy od słońca. - Uważam, że tobie pierwszemu chce to powiedzieć.

Cara położyła swój plecak przy tamtych.

- Myślę, że jest w rozterce i nie wie, co robić.

- Jak się czujesz? - Kahlan czubkami palców pogłaskała go po ramieniu; jej pieszczotliwy dotyk koił.

Richard się do niej uśmiechnął.

- Wspaniale, jak już mówiłem.

Oddał pasek suszonej sarniny i jadł, przyglądając się, jak z bramy wychodzą w towarzystwie grupki ich ludzi Jennsen, Tom, Owen, Marilee i Anson. Szli ku nim przez wysoką po pierś rozkołysaną zieloną trawę.

- Chce mi się jeść - powiedziała Kahlan. - Dostanę trochę?

- Jasne. - Richard wyjął z plecaka pasy mięsa, wstał i podał po jednym żonie i Mord-Sith.

- Lordzie Rahlu - odezwał się Anson, kiedy grupka dotarła w cień dębów, do Richarda, Kahlan i Cary - chcieliśmy się pożegnać i kawałek was odprowadzić. Moglibyśmy pójść z wami ku przełęczy?

Richard przełknął.

- Byłoby nam bardzo miło.

Owen zmarszczył brwi.

- Lordzie Rahlu, dlaczego jesz mięso? Dopiero co uleczyłeś swój dar. Nie zakłócisz tym równowagi?

Chłopak się uśmiechnął.

- Nie. Bo widzisz, moje problemy z darem powstały dlatego, że błędnie pojmowałem równowagę.

Owen się zdumiał.

- Co to oznacza? Mówiłeś, że nie możesz jeść mięsa, żeby w ten sposób równoważyć to, że czasem musisz zabić. Po walce w obozie już nie musisz dbać o równowagę swojego daru?

Richard głęboko zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił, patrząc na góry.

- Wiedziecie, że winien jestem wam wszystkim przeprosiny - powiedział w końcu. - Wszyscy mnie słuchaliście, ale ja nie słuchałem samego siebie. Kaja-Rang usiłował mi pomóc słowami wyrytymi na posągu, tymi słowami, które wam powtórzyłem: „Zasłuż na zwycięstwo”. Przede wszystkim były przeznaczone dla mnie.

- Nie rozumiem - odezwał się Anson.

- Mówiłem wam, że wasze życie należy tylko do was i że macie prawo go bronić. A mimo to wmawiałem sobie, że powinienem niejedzeniem mięsa równoważyć to, że zabijałem w obronie własnej i moich najbliższych. W gruncie rzeczy uważałem więc, że moja samoobrona i chronienie

niewinnych ludzi są moralnie naganne i że za zadawaną śmierć muszę jakoś ułagodzić wspomagającą mnie magię.

- Ale magia twojego miecza i tak nie reagowała - stwierdziła Jennsen.

- Otóż to i ów fakt powinien mi uświadomić, że cały ten problem brał się stąd, że mój dar i magia miecza to dwie odrębne całości reagujące na to moje nierozsądne postępowanie. Magia miecza zaczęła mnie zawodzić, bo ja sam, nie jedząc mięsa, dawałem do zrozumienia, iż nie całkiem wierzę, że słusznie robię, siłą powstrzymując innych od brutalnych czynów. Magia miecza reaguje na niezłomne przekonania właściciela tego oręża, uderza wyłącznie w to i w tych, których sam Poszukiwacz uważa za wrogów. Magia miecza nie uderzy w przyjaciela. To właśnie powinienem zrozumieć. Kiedy pomyślałem, że użycie miecza należy czymś zrównoważyć, to w gruncie rzeczy sądziłem, że moje działania nie są do końca usprawiedliwione. A ponieważ tkwiły we mnie te resztki wiary w błędne zasady, wpojone mi w ciągu życia i głoszące, że zabijanie zawsze jest złem, magia miecza zaczęła mnie zawodzić. Magia Miecza Prawdy, tak jak mój dar, znów była przy mnie, kiedy w pełni zrozumiałem, że nie potrzebuje ona żadnego równoważenia za to, że czasem muszę zabijać. Bo jest to nie tylko słuszne, ale i jedyne wyjście. Nie jedząc mięsa, przyznawałem, że częśćka mojego umysłu wierzy w to samo, w co wierzyli Bandakarczycy, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy Owena i jego ludzi: że zabijanie zawsze jest złem. Uważając, że muszę je zrównoważyć niejedzeniem mięsa, zaprzeczałem słusznej potrzebie samoobrony, odrzucałem to, co najistotniejsze w chronieniu życia. Samo szukanie „równoważnika” dla tego, co prawowicie robię, stanowiło sprzeczność, co z kolei wiodło do zsyłanych przez dar migren i uśpienia magii Miecza Prawdy. Sam to na siebie sprowadzałem.

Richard złamał pierwsze prawo magii, wierząc w kłamstwo, że zabijanie jest zawsze złym czynem, bo się obawiał, że to prawda. Między innymi złamał również drugie prawo, ale najgorsze ze wszystkiego było to, że złamał prawo szóste: zlekceważył rozum na rzecz ślepej wiary. A ponieważ nie kierował się rozsądkiem, zawiódł go i dar, i magia miecza.

Na szczęście poznał ósme prawo - zasłuż na zwycięstwo - i na nowo ocenił swoje czyny, uświadamiając sobie swój błąd w rozumowaniu.

W końcu postąpił zgodnie z ósmym prawem. Richard przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, patrząc na zwrócone ku niemu twarze.

- Zrozumiałem, że moje postępowanie jest słuszne i nie potrzebuje równoważenia, albowiem już samo w sobie zawiera to, co je harmonizuje. Zawiera zgodne z rozumem przekonanie, że zabijanie jest niekiedy nie tylko usprawiedliwionym, ale i jedynym prawowitym i moralnym czynem. Sam zrozumiałem to, co kazałem wam wszystkim pojąć. Zrozumiałem, że muszę zasłużyć na zwycięstwo.

Owen obejrzał się na towarzyszących mu ludzi, a potem podrapał się po głowie.

- Hmm, biorąc wszystko pod uwagę, na pewno zrozumiemy, jak mogłeś się tak pomylić.

Jennsen, której rude loki kontrastowały z zielenią lasów i pól, spojrzała nań, mrużąc w słońcu oczy.

- No cóż - powiedziała z westchnieniem - cieszę się, że jestem nieskażona magią. Strasznie trudno jest być czarodziejem.

Wszyscy Bandakarczycy jej przytaknęli. Richard uśmiechnął się do niej.

- W życiu jest wiele rzeczy, które trudno pojąć. Na przykład to, nad czym się zastanawiałaś. I co zdecydowałaś?

Jennsen splotła dłonie, spojrzała na Owena i Ansona, na towarzyszących im ludzi.

- To już nie jest zakazane imperium wygnańców. Imperium bezbronne wobec napaści tyranów. Teraz to część imperium D'Hary. Ci ludzie pragną tego samego co my. Chyba zostaną z nimi jakiś czas i pomogę im się włączyć w szerszy świat, co już zresztą zaczęłam robić. To fascynujące zadanie. Zastosuję się do twojej rady, Richardzie, i pomogę im w tym.

Chłopak uśmiechnął się do siostry. Przesunął dłonią po jej pięknych rudych włosach.

- Pod jednym warunkiem - dodała.

Cofnął rękę.

- Warunkiem?

- Jasne. Jestem z rodu Rahlów, więc... tak sobie pomyślałam, że powinnam mieć dobrą ochronę. Mogę się stać celem ataku, sam rozumiesz. Ludzie chcą mnie zabić. Jagang by się ucieszył...

Richard roześmiał się i przytulił ją.

- Tomie, jako strażnikowi rodu Rahlów, polecam ci chronić moją siostrę, Jennsen Rahl. To ogromnie ważne zadanie, bo jej bezpieczeństwo wiele dla

mnie znaczy.

Tom uniósł brew.

- Jesteś tego pewien, lordzie Rahlu?

Jennsen dała mu klapsa.

- No pewnie, że jest. Nie powiedziałby tego, gdyby nie był.

- Sam słyszałeś - rzekł Richard. - Jestem tego pewny i mówię poważnie.

Wielki jasnowłosy D'Harańczyk chłopięco się uśmiechnął.

- No to w porządku. Przysięgam, lordzie Rahlu, że będę jej strzec.

Jennsen wskazała na towarzyszących im Bandakarczyków, na miasto.

- Jak już trochę pobylałam wśród nich, to się przekonali, że nie jestem wiedźmą i że Betty nie jest duchem opiekuńczym. Choć przez jakiś czas się bałam, że mogą mieć rację co do Betty.

Richard spojrział na kózkę. Przekrzywiła łeppek.

- Chyba tylko Betty wie, co robił i knuł Nicholas.

Kózka, usłyszawszy swoje imię, nastawiła uszu i zaczęła energicznie machać ogonkiem. Jennsen poklepała ją po okrągłym boku.

- Skoro już pojęli, że nie jestem wiedźmą i że pod pewnymi względami jestem do nich podobna, mogę tu odegrać ważną rolę. - Wyciągnęła z wiszącej u pasa pochwy nóż i pokazała Richardowi ozdobne „R” na srebrnej rękojeści. - Jeżeli się zgodzisz, mogę zostać oficjalną przedstawicielką rodu Rahlów.

Richard uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Uważam, że to wspaniały pomysł.

- Też myślę, że to wspaniałe, Jennsen. - Kahlan wskazała brodą na wschód. - Ale nie zwlekaj długo z powrotem do Hawton, do Ann i Nathana. Mogą być cennymi pomocnikami w chronieniu tych ludzi przed Imperialnym Ładem. Na pewno ci pomogą.

Jennsen wykręcała sobie palce.

- Ale czy oni nie będą chcieli wam towarzyszyć? Wam pomagać?

- Ann uważa, że powinna kierować życiem Richarda - powiedziała Kahlan. - Według mnie nie wszystkie jej rady i pomysły były dobre. - Ujęła chłopaka pod ramię. - On jest teraz lordem Rahlem. Musi postępować według swojego, a nie ich uznania.

- Oboje czują się za nas odpowiedzialni - wyjaśnił Richard. - Nathan Rahl jest Prorokiem. Proroctwo ze swej natury wymaga równoważnika. A

równoważnikiem proroctwa jest wolna wola. Ja jestem tym równoważnikiem. Wiem, że im się to nie spodoba, lecz muszę się od nich uwolnić, przynajmniej na razie. Ale jest jeszcze coś. Uważam, że najważniejsze jest, by najpierw pomogli tym ludziom. Już wiemy, do czego Jagang w razie potrzeby wykorzysta nieskażonych magią. Dlatego jest ogromnie ważne, żeby ktoś pokierował Bandakarczykami, którzy chcą cenić i bronić przed napastnikami wolności, którą dopiero co zdobyli. Ann i Nathan będą w stanie wznieść odpowiednie linie obronne. Poza tym nauczą cię historii, którą powinnaś znać.

Richard podniósł plecak i zarzucił go sobie. Owen mocno chwycił go za rękę.

- Dziękuję ci, lordzie Rahlu, że mi pokazałeś, że warto żyć.

Podeszła Marilee i uściskała go.

- Dziękuję, lordzie Rahlu, że nauczyłeś Owena, jak ma się stać mnie godny.

Richard się roześmiał. Owen też. Cara z uznaniem klepnęła Marilee w plecy. A potem już wszyscy się śmiali.

Betty wepchnęła się pomiędzy nich i energicznym machaniem ogonka dała znak, że nie należy jej zostawiać na uboczu. Richard ukląkł i podrapał kózkę za uszami.

- Już nigdy nie pozwól, droga przyjaciółko, żeby cię jakiś Slide wykorzystywał do szpiegowania ludzi.

Betty przytuliła łepkę do jego piersi i zameczała, jakby chciała przeprosić.

ROZDZIAŁ 67

Nareszcie byli sami pod błękitnym niebem, niebotycznymi ośnieżonymi górami, pośród drzew. Richard cieszył się, że w końcu wyruszyli. Będzie tęsknił za Jennsen, ale przecież rozstali się tylko na krótko. Samodzielność dobrze jej zrobi - będzie wśród ludzi, którzy również dopiero odkrywają, jak kierować własnym życiem, uczą się otaczającego ich szerokiego świata. Wiedział, że na nic by nie zamienił tego, czego się nauczył od porzucenia bezpiecznego życia w Hartlandzie. Gdyby tego nie zrobił, nie byłby z Kahlan.

Dobrze było maszerować, rozprostować nogi. Poprawił przewieszony przez ramię łuk. Szli przez nakrapiane słońcem dno lasu. Był tak bliski śmierci i utraty daru, więc teraz świat w jego oczach bardziej tętnił życiem. Mchy były bardziej aksamitne, liście bardziej lśniące, niebotyczne sosny wspanialsze.

Oczy Kahlan zdawały się jeszcze bardziej zielone, jej włosy bardziej miękkie, uśmiech cieplejszy.

I choć kiedyś żałował, że urodził się z darem, teraz cieszył się, że dar odzyskał. Bo dar był jego częścią, tym, co go czyniło sobą.

Kahlan spytała go niegdyś, czy chciałby, żeby się urodziła bez mocy Spowiedniczki. Powiedział jej, że nie, bo kocha ją taką, jaka jest. Nie można rozdzielić cech danej osoby, bo byłoby to odbieranie osobowości. To się odnosiło i do niego. Dar stanowił jego nieodłączną część. Jego umiejętności przejawiały się we wszystkich czynach.

Sam ściągnął sobie na głowę te kłopoty z darem. Magia Miecza Prawdy pomogła mu zrozumieć to wszystko, opuszczając go. W ten sposób dała mu odczuć, że nie dostrzega prawdy.

Jaka to ulga mieć ją znów u boku i wiedzieć, że znów jest z nim w zgodzie, gotowa bronić i jego, i jego bliskich - nie dlatego, że chciał walczyć, lecz dlatego, że pragnął żyć.

Było ciepło i w dobrym tempie szli skalistym szlakiem w górę przełęczy. Kiedy dotarli do szczytu przejścia przez niebotyczne góry, zrobiło się chłodniej, lecz bez dokuczliwego wiatru łatwo się dało to znieść.

Na szczycie przełęczy zatrzymali się i spojrzeli na posąg Kaja-Ranga, siedzącego tu od tysięcy lat w samotności i czuwającego nad imperium tych,

którzy nie potrafili dostrzec zła.

Ten posąg był na swój sposób pomnikiem niepowodzenia. Richard odniósł sukces w tym, co nie powiodło się Kaja-Rangowi - skłonił tych ludzi do ujrzenia prawdy, lecz nie bez pomocy Kaja-Ranga.

Richard położył dłonie na zimnym granicie, na słowach TALGA VASSTERNICH, które pomogły mu ocalić życie.

- Dziękuję - szepnął ku obliczu mężczyzny zapatrzonemu w stronę Filarów Świata, miejsca, w którym Richard odnalazł siostrę.

Cara, ku zdumieniu chłopaka, również położyła dłonie na owych słowach, spojrzała na posąg i powiedziała:

- Dzięki, że pomogłeś ocalić lorda Rahla.

Potem zaczęli schodzić przełęczą, najpierw przecinając odsłonięte skalne półki, a później zanurzając się w gęste lasy. Richard usłyszał śpiew muchołówki, sygnał, którego nauczył Carę i który tak dobrze im służył.

- Wiesz co - odezwała się Mord-Sith, prowadząc ich skalistym szlakiem wzdłuż strumienia - Anson dużo wie o ptakach.

Richard ostrożnie szedł przez płataninę korzeni cedrów.

- Tak?

- Tak. I jak zdrowiałeś, sporo sobie rozmawialiśmy. - Złapała równowagę, opierając dłoń o włóknistą korę na czerwonym pniu cedru. Przerzuciła do przodu blond warkocz i ruszyła przed siebie, gładząc dłonią splecione włosy.

- Chwalił mnie, że tak znakomicie naśladuję ptasi śpiew - dodała.

Richard popatrzył na Kahlan. Wzruszeniem ramion dała mu znać, że nie ma pojęcia, do czego Cara zmierza.

- Mówiłem, że dobrze cię tego nauczyłem.

- Powiedziałam mu, że to ty mnie tego nauczyłeś i że według ciebie to głos krótkoogoniastego sokoła sośniaka. Anson na to, że takiego ptaka w ogóle nie ma. I że ten sygnał, którego ześ mnie nauczył, to śpiew pospolitej leśnej muchołówki. Ja, Mord-Sith, wykorzystuję głos jakiejś muchołówki. Też coś.

Jakiś czas szli w milczeniu.

- Czekają mnie kłopoty? - spytał w końcu Richard.

- O tak - odparła Cara.

Richard nie potrafił powściągnąć uśmiechu, ale zadbał, żeby Mord-Sith tego nie zauważyła. Cara nie dostrzegła też, jak Kahlan odwraca ku niemu

głowę i obdarza go tym specjalnym, przeznaczonym wyłącznie dla niego uśmiechem.

- Spójrzcie - wskazała Kahlan, unosząc ramię.

Poprzez prześwity w koronach cedrów zobaczyli na tle błękitnego nieba krążącego wysoko nad nimi czarnosternego chyżolota, który korzystał z górskich prądów powietrznych. Chyżoloty już ich nie śledziły. Ten po prostu szukał sobie kolacji.

- Co to mówi stare porzekadło? - spytała Cara. - Że jak drapieżny ptak krąży nad tobą u początku podróży, to jest to sygnał ostrzegawczy?

- To prawda - odparł Richard. - Ale nie zamierzam się przejmować tym starym porzekadłem. I tak pozwolimy ci z nami iść.

Kahlan się roześmiała i została obdarzona gniewnym marsem. Śmiała się jeszcze bardziej, kiedy i Richard zaczął się śmiać. Cara też nie mogła się powstrzymać i gdy się odwracała, chłopak dostrzegł, że i ona się uśmiecha.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58
ROZDZIAŁ 59
ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67